

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000299955

15/69

XXIX B

KOSCIÓŁ WARSZAWSKIE

1. ICH WIZERUNKI

KOŚCIOŁY WARSZAWSKIE
I ICH WIZERUNKI.

KOŚCIOŁY WARSZAWSKIE

RZYMSKO – KATOLICKIE

OPIŚANE POD WZGLĘDEM HISTORYCZNYM

PRZEZ

JULJANA BARTOSZEWICZA.

WIZERUNKI KOŚCIOŁÓW I CELNIEJSZE W NICH NAGROBKI

RYTOWAŁ NA DRZEWIE

Michał Starkman.

WARSZAWA,

W Drukarni S. Orgelbranda.

przy ulicy Miodowej Nr. 495.

—
1855.

II.28.695



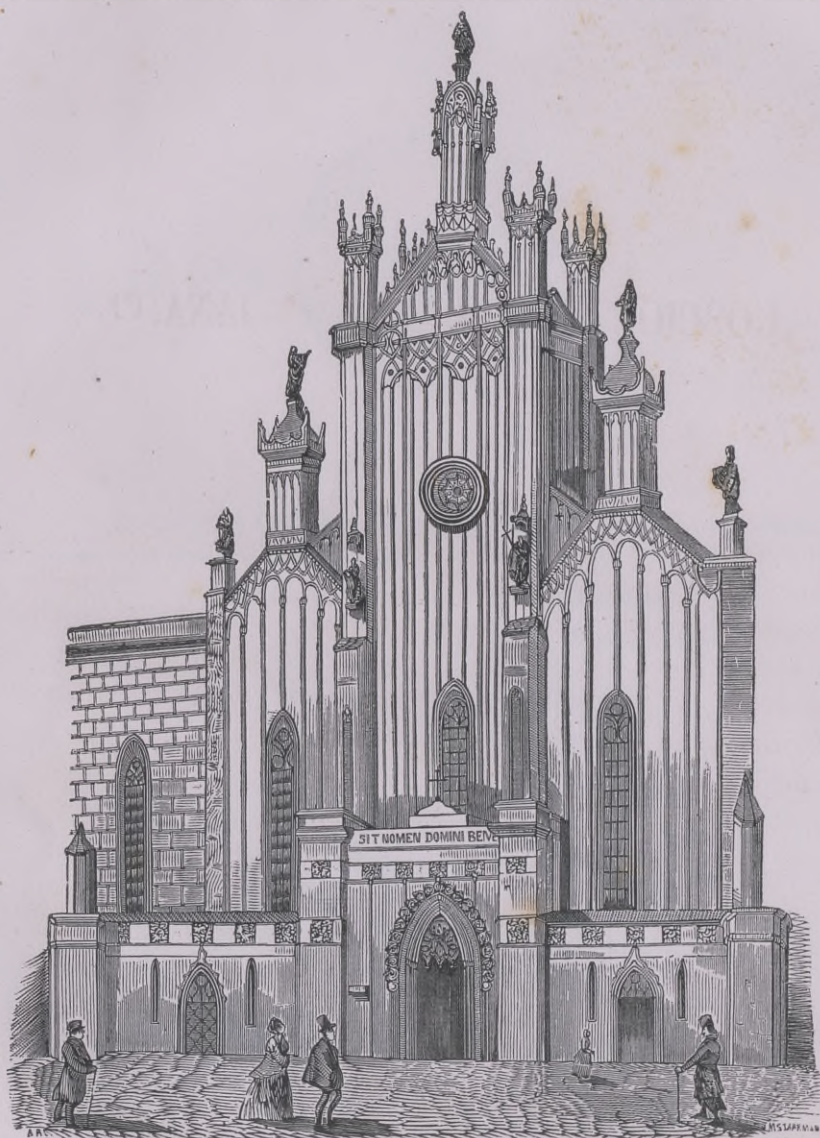
Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie d. 20 Sierpnia (1 Września) 1855 r.

Starszy Cenzor, **Sobieszczański.**

Akc. Nr. K-866/58





KOŚCIÓŁ KATEDRALNY Ś-go JANA.

przy ulicy Święto-Jańskiej.

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY Ś^{go} JANA. (*)

Na początku XIII wieku, na tém samém miejscu na którém dzisiaj stoi kościół ś-go Jana, znajdowała się niewielka a drewniana kaplica, do której załoga zamkowa i służba książęca, wreszcie mieszkańcy małej wioski, jaką była jeszcze wtedy Warszawa, uczęszczali na nabożeństwo. Podług podania, Konrad książę Mazowiecki, pierwszy upodobawszy sobie wzgórzyste położenie miejsca nad Wisłą, zbudował sobie tutaj zameczek i kościółek. Jedno i drugie często narażane było na bardzo rozmaite klęski, to na pożary, to na krwawe napaści litewskie. Ale mimo to, kiedy z upływem czasu Warszawa wyrosła na miasto, i pierwszy jój kościółek ś-go Jana nabywał coraz większego znaczenia; został najprzód filiją parafii w Górze, potem sam zaczął tworzyć oddzielną parafią najdawniejszą w Warszawie. Ale kiedy się

(*) O tym kościele posiadamy dziełko ks. Pijara Ksaw. Kurowskiego: Wiadomość historyczna o kościele metropolitalnym Warszawskim pod tytułem Sgo Jana w Warszawie 1841. w 8ce str. 175. Prócz tego ks. biskup Zenopolitański Albertrandi napisał dzieje kapituły, a expijar kustosz Warszawski ks. Edw. Czarnecki dzieje samego kościoła, które szczególnie zajmują się wykazaniem funduszów. Z wielką szkodą dla nauki, ostatnie te dwie prace nie są ogłoszone drukiem.

to stało? trudno powiedzieć z pewnością; najprędzej za panowania na Mazowszu Bolesława II, (umarł r. 1313). Bo kiedy po tém w lat kilkanaście, złożono sądy w Warszawie przeciwko Krzyżakom, w skutku wyroku rzymskiego, kościół ś-go Jana już parafijalny, jako w mieście ludném, bezpieczném i wygodném, przeznaczony został na ten cel dla delegatów apostołskich i pełnomocników królewskich. Proboszczem kościoła był wtedy Stefan, wikarym Jan, a dozorcą szkoły parafijalnej, bo i ta już była, Hańko. Na dniu 4 lutego 1339 r., rozpoczęli sędziowie prace swoje, i chociaż pełnomocnik krzyżacki ostrzegł ich, że przybył do Warszawy, nie jako do sędziów, ale jako do ludzi uczciwych i poważnych, chociaż założył od nich apelacją do Papieża, mimo to wysłannicy rzymscy i królewscy, świadków ścigali i przesłuchiwali ich w marcu i kwietniu, po kraju jeździli dla śledztwa i wreszcie na dniu 16 września, w kościele ś-go Jana, wyrok zaoczny na Krzyżaków i klątwę rzucili.

Książę Janusz starszy, był drugim prawie założycielem kościoła, bo najwięcej wspaniałości mu nadał; jak Warszawę albowiem obrał sobie za stolicę księstwa, tak jój świątynią wybrał sobie za ulubiony kościół. Rozszerzył najprzód znacznie budowę ś-go Jana, zrzucił drzewo, a postawił mury, potem kościół wzbogacał zapisami; w roku 1398 podarował mu rozmaite sprzęty ku nabożeństwu służące: mszały, psalterze i bogate relikwije, pomiędzy którymi miał się znajdować w złotó oprawny cień z korony Zbawiciela. Nie dosyć na tém, chciał książę kościół swój postawić wyżej i w hierarchicznym względzie. Dla tego w roku 1402 wyrobił pozwolenie ku przeniesieniu kolegiaty Czerskiej do ś-go Jana. Zajął się tém natychmiast, na jego żądanie Wojciech Jastrzębiec biskup poznański: na kapitule więc jeneralnej, jaką ze swemi prałatami odbywał, podniósł kościół ś-go Jana do stopnia kolegiaty, erekcją wydaną na dniu 5 Stycznia 1406 r. Do trzech kanonij czerskich, książę jeszcze siedem innych uposażył; z tych proboszczowi nadał plebaniją Tarczyn-

ską, kustoszowi Warecką i osobno szczerze nadał rządę kościoła ś-go Jana, to jest proboszcza, którego zrobił dziekanem kolegiaty, dał mu władzę nad wszystkimi kanonikami i parafijanami, a w kościele nadzór i władzę. Biskup Wojciech ze swojej strony założył archi-dyjakoniją, jako pierwszą prelaturę. Poprzednio już książę skupował, zamieniał dobra i myślał o tej fundacyi, jednej z najznakomitszych w całej Polsce. Teraz ofiary swoje w akcie urzędowym spisał, kanoników pomianował, nabożeństwo na swoją intencyją rozrządził i wymówił sobie, ciągłą rezydencyją kanoników przy kościele. Odtąd ś-ty Jan po katedrze Płockiej był pierwszym kościołem na Mazowszu, mając kapitułę z dwunastu członków złożoną. Książę jawnie powiedział, że chce mieć w Warszawie pod bokiem swoim zaszczyt ziemi mazowieckiej, chciał więc do niego zgromadzić wielką ludność modlących się, a mury kościelne na wspaniałe grobowce rodziny książęcej przeznaczył.

Dla tego nie ustał nawet przez całe życie zdobić świętego gmachu, który miał być pośmiertnem jego w Warszawie mieszkaniem. Jeżeli dla kościoła wielkie sam położył zasługi, większe nierównie dopiero pole otwierał przez ten popęd, który nadał pobożności publicznej, bo księcia Janusza naśladowali naturalnie, rodzina i ziemianie z całej okolicy. Jeszcze sam założyciel uposażył wikariuszów, (1446 r.) zanim spoczął w murach kościelnych. Nie ma pomnika któryby wskazywał miejsce gdzie pochowano jego zwłoki; była to obojętność której nie możemy darować współczesnym; jeżeli nie dobrodziejowi kościoła, to znakomitemu władcy, hołd publiczny wdzięczności się należał, bo wszakże to „był pan najmędrszy i najznakomitszy pomiędzy współczesnemi książętami, państwo jego kwitnęło, bo najsprawiedliwiej w niem rządził, a był umiarkowanym tak, że go na przykład wskazywano.“ (Długosz.) Po jego śmierci, za twierdzenie papieżkie erekcyi Biskupa Poznańskiego, dał Jędrzej Pallatio nuncjusz Eugenijusza IV, w roku 1444.

Po Januszu największą dobrodziejką kościoła, pokazuje się Anna księżna Mazowiecka. Uposażyła mansjonarzy (1441 r.); poprzednio zaś zbudowała kaplicę, z której wychodziło się na ganki zamkowe. (1428 r.) Osobny zapis uczyniła na doroczne żałobne nabożeństwo w dzień swojego zgonu. (1450 r.) Czem może pobudzony Bolesław syn Janusza, który także w grobach tutejszych spoczywa, (um. 1453 r.) książę również rozumem i cnotą znakomity, zatwierdził wszystkie przywileje kościoła i nowe mu nadał z miasta fundusze, jako dochód stały na przyszłe budowle i naprawy. Stefan z Mniszewa Wodyński, proboszcz warszawski, kanonik plocki, wielki dostojnik mazowiecki, bo kanclerz książęcy, założył kaplicę Najświętszego Sakramentu i bogato ją zapisami swojemi uposażył. (1450 r.) Oprócz szlachty rzucili się do kościoła z dobrodziejstwami i mieszczanie warszawscy; to budowali, to zapisy dawali, to uposażali kaplicę, to powiększali dawniejsze fundacje, rozszerzali je i rozwijali, tak że kościół coraz więcej wzrastał w przybudowy i w fundusze. Z mieszczan z największą hojnością występuje pod owe czasy rodzina Baryczków, która przez kilka pokoleń ciągle sypała do ś-go Jana skarby swojej pobożności i aż na grób sobie wysłużyła w kolegijacie, obok najznakomitszej szlachty, obok największych panów. Za mieszczanami wysunęły się cechy, które także miały tutaj swoje bractwa i uprzywilejowane ołtarze. Nie byli od tego książęta panujący; Konrad, Bolesław i Jan szczególnie, porobili zapisy do ołtarza cechu krawieckiego, a Konrad II w nowe przywileje uposażył altarzystów. (1495 r.)

Tutaj zamyka się okres mazowiecki dla Warszawy, a więcej dla kościoła ś-go Jana. Książęta opatrzyli go we wszystkie potrzeby, instytucje i fundusze, obstawili go masą duchowieństwa, ponadawali całe tomy ustaw. Ostatni przywilój książęcia Janusza II z dnia 14 sierpnia 1525, usuwał studentów od śpiewania psalmów w kościele i obowiązek ten zlewał na oddzielnie wtedy postanowionych ośmiu księży psalterzystów. W kilka miesięcy

potém umarł Janusz, ostatni dziedzic dynastyi, nie wiele przeżywszy rodzonego brata Stanisława; Mazowsze wcielone zostało do Korony, braciom książętom zaś dźwignięto pomnik w kościele, który aż po dziś dzień świadczy o znikomości blasków światowych.

Dwaj książęta okryci zbroją spoczywają obok siebie, w y k u c i z kamienia, ponad nimi wznosi się sarkofag na kolumnach marmuro-



Pomnik książąt Mazowieckich.

wych, między którymi srebrny posąg Zbawiciela na krzyżu na aksamicie czerwonym z ramami srebrnymi, a poniżej napis, który ma

w dziele swoim Starowolski. Zdawało się że ze śmiercią naturalnych opiekunów kościoła ś-go Jana, wszystko się dla niego skończyło i opieka pańska i świetna przyszłość ku jakiej podążał. Miasto w pierwszym strachu, podjęło się czuwać nad jego całością i z duchowieństwem podzieliło wspólne starania: kapituła wzięła na siebie utrzymywanie i reparacją prezbiterium, a nad drugą częścią kościoła, czuwali odtąd opiekunowie postanowieni od 1530 r., którzy wybierani byli z pomiędzy najzamożniejszych mieszczan. Ale Zygmunt Stary wzięwszy po książętach dziedzictwo Mazowsza, nie zapomniał że jest razem po nich kollatorem ś-go Jana w Warszawie. Do tego najprzód żona jego królowa Bona, a potem córka Anna Jagielonka, która za Batorego wzięła oprawą Mazowsze, troskliwie zajmowały się wszystkiém, co się tylko dobra kościoła dotyczyło i ś-ty Jan nie wcale nie stracił na zmianie panującej dynastyi. Pierwsza kapela włoska grała mszę świętą w kolegiacie 29 maja 1523 r. Król Zygmunt uczynił zapis na

utrzymanie organisty (1530 r.); zrzekł się na rzecz kapituły prawa patronatu do wikaryjuszów (18 czerwca 1535 r.); oznaczył dla 5-go Jana stałego odłąd proboszcza (1539 r. Metr. ks. 55). Nowe uposażenie z miasta wyznaczył dla kapituły. Za niego biskup Łatański odbudowywał, za niego téż drugi biskup Braniczki zaprowadzał do tutejszego kościoła nabożeństwo czwartkowe poranne, na uczczenie Najśw. Sakramentu, które aż po dziś dzień z wszelką wystawnością się odbywa (1540 roku). Za niego królowa Bona wyrobiła w Rzymie dla dziekana kolegiaty Warszawskiej, prawo poświęcania w całym dekanacie obrazów, naczyń, patyn, kielichów i wszelkich sprzętów do użytku służby Bożej służących (5 Marca 1544 r.). Księżna Anna Mazowiecka siostra Janusza i Stanisława, Odrowążowa z męża, na wewnętrzne ozdoby kościoła sypała złoto, wzniosła wieżę, dała marmurową posadzkę. Zygmunt August który często bywał w Warszawie i składał tutaj sejmy, przyprowadził do skutku ugodę pomiędzy dziekanem 5-go Jana a radniami miasta względem stałych dochodów, jakich teraz Warszawa dostarczać musiała dla kościoła. (1556 r.) Potém nadał kapitule prawo wybierania jednego z kanoników swoich na proboszcza Panny Maryi, na Nowém mieście. (1562 r.)

Kiedy miasto rosło, jednocześnie i kolegiata coraz większego, coraz rozleglejszego nabywała w kraju znaczenia. Już nie był to prowincjonalny kościół mazowiecki, ale polski koronny. Królowie zajęli po książętach zamek i modlili się u świętego Jana. Niewidziani dotąd biskupi, co raz częściejsi tutaj goście. Już w kolegiacie wreszcie odbywają się synody prowincyi całej, niby sejmy duchowne szlachty; u 5-go Jana prawa duchowne kują dostojnicy kościoła dla całej Polski, Rusi i Litwy. Pierwszy taki synod który się odbył w Warszawie u 5-go Jana, miał miejsce pod prymasem Przerębskim; zjechali się wtedy wszyscy biskupi polscy, a Stanisław Orzechowski miał do nich mowę

o godności stanu duchownego. Na synodzie przewodniczył nuncjusz papieżki Boniwani biskup Kameryński. (4 marca 1564 r.)

Z tego czasu pochodzi pomnik dwóch braci Półkoźców Wolskich, rodem z Mazowsza, ale senatorów koronnych. Jeden z nich biskup kujawski Mikołaj, mąż wspaniały i szczodroliwy, zyskał do takie-



po lasach uwijał się z oszczepem w rękę na dzikiego zwierza, dniom nawet świętym nie przepuszczał; kiedy lud pobożny w processyjach obchodził kościoły, biskup grzmiał z rogu myśliwego na koniu, otoczony dworzany i sforami chartów. Falenty pod Warszawą były jego własne; drugi zaś brat Stanisław rycerz, był kasztelanem sandomierskim, marszałkiem nadwornym koronnym i starostą warszawskim. Kiedy umarł (25 września 1566), biskup dowiedziawszy się o tém, niebezpiecznie zapadł w Wolborzu, wyjechał potem do Warszawy pogrzeb bratu sprawić, tutaj cięższa przyszła choroba i po pięciu latach biskupstwa umarł (3 marca 1570 r.) więc razem obudwu w jednym grobie złożono i razem na pomniku dwóch braci wykuto. Pomnik ten położyli: Barbara z Tarnowa wdowa po Stanisławie i syn jego Mikołaj (1568) który potem był marszałkiem wielkim koronnym i założycielem Kamedulów na Bielanach krakowskich.

go stopnia przyjaźń Zygmunta Augusta, że prawie we wszystkich królestwa tego rządach, zdał się na jego samego rozsądku ten pan polegać" (Niesiecki). Chociaż biskup, mało dbał o kościół, ale ciągle

Ta świetność kościoła ś-go Jana jeszcze mocniej rozbłysła od czasów śmierci Zygmunta Augusta, kiedy nastąpiły elekcye kró-

łów. Wtenczas wszystkie sejmy otwierano nabożeństwem u ś-go Jana i wtenczas tłumy szlachty; dojstojnicy kościelni napelniali zwykle ś-ty przybytek, wtenczas śpiewano tutaj *Te Deum* za szczęśliwie dokonaną elekcją, a królowie albo sami osobiście, albo przez swoich pełnomocników, na pakta konwenta przysięgali. Tutaj już wszystkie odbywały się uroczystości, a obok nich i smutne sceny nierządu. Arcy-biskup Lwowski przywozi różę złotą od Papieża dla królowej Anny, nie kiedyindziej ją odda, jak na konwokacyi, nie gdzieindziej, jak u ś-go Jana w Warszawie (1587); Anna tę różę podarowała kościołowi. Nie skąd inąd tylko z wieży ś-go Jana spoglądał Annibal z Kapui, nuncyusz, na pole pod Wolą, które krwią braterską miało popłynąć. Ale jeszcze powaga prawa zostaje. Karnkowski u ś-go Jana odprawia dziękczynne nabożeństwo za obiór króla Zygmunta (19 sierpnia) a Zborowscy i kardynał Radziwiłł, nie śmieją drugiego *Te Deum* śpiewać w tymże samym kościele i szukają inną świątyni po przedmieściach. Nie długo i to nastąpi: przed jednym ołtarzem dwóch przeciwnych sobie obozów zwolennicy, imienia Boskiego wzywać będą na braci. Jeszcze z kazalnicy ś-go Jana rozchodzi się wymowny głos Skargi, na dziękowaniu kościelném za szczęśliwy powrót króla ze Szwecyi (19 listopada 1598). Jeszcze nie wszystko stracone. Oto koronowany pan zasiada w Warszawie i nowego blasku kościołowi przydaje, niby sąsiad jego wieczysty. Jednocześnie z tym wypadkiem pożar nawiedza miasto, a w płomieniach giną stare akta, przywileje kolegiaty, zapisy fundacyi, pamiątki po dobroczyńcach (1598 r.). W lat 4 potem, gwałtowny wichor obalił wieżę z kościoła, pozrywał dachy, a następnie zapadło się sklepienie boczne, pootwieraly się groby, a gruzy zasypały znaczną część kościoła. (1602 r.) Krzyż cudowny Zbawiciela który z Norymbergii, zajętej nowościami religijnemi przywiózł do Warszawy jeden z Baryczków, ocalał i król kazał go przenieść najprzód do miejsca w którym kapituła odbywała swoje narady, a potem zamieścić na oddzielnym ołtarzu. Dopiero później w lat

kilkadziesiąt Stanisław Małopolski ziemianin braclawski powziął myśl wystawienia kaplicy dla tego krzyża i postawił go na miejscu skarbcza kościelnego. Ciemna ta kaplica miała nadzwyczajny powab dla wyższego towarzystwa warszawskiego. Ze skrucą w sercu tutaj się najwięcej modlono; bogate obicia, wota i obrazy przyozdabiały to miejsce modlitwy, a każdy tutaj chciał coś złożyć na ofiarę. Oryle i flisy w podróżach swoich z Krakowa do Gdańska, zawsze wstępowali do téj kaplicy, a „u Fary, gdzie pan Jezus stary,” msze zakupywali. Pobożne legendy zaczęły się błakać pomiędzy ludem, że Zbawicielowi broda na tym krzyżu odrasta, i że tylko niewinne dziewice mogą ją obcinać.

W ogóle za Zygmunta III. kościół ś-go Jana uległ wielkim zmianom. Cały świetnie wyporzadzono, do zakrystyi i skarbcza przybyły kosztowne ornaty i naczynia. Ołtarz wielki na nowo król odbudować kazał z drzewa i suto cały wyzłocić; tabernakulum wtedy dano srebrne z wizerunkiem baranka apokaliptycznego. Na ołtarzu postawiono wspianą obraz Palmy młodsze-go, wystawiającego Najświętszą Pannę, ś-go Jana Chrzciiciela i ś-go Stanisława. Król znał się na malarstwie, więc pięknymi dziełami sztuki artystów włoskich, ozdobił kościoły polskie. Po nad obrazem Palmy w rzeźbie został wykuty Zbawiciel przyjmujący chrzest od ś-go Jana. Wewnątrz cały kościół nową świąteczną przywdział szatę. Król własnym kosztem znacznej wielkości wznosił organy, do których budowy aż podobno ze Szwecyi ściągnął artystę. (1617 r.) I w ogólności za jego czasów najpiękniejsze malowidła, najcudniejsza muzyka, rozślawiły szeroko kościół ś-go Jana. Kaplicę swoją w której mszy słuchał, w dni powszednie, król Zygmunt przystroił jakby galeriją malowideł, a na chórze często się dawał słyszeć znakomity wirtuoz nadworny wloch Asprilli Pacella, który u ś-go Jana znalazł nawet swój grobowiec, (umarł 4 marca 1623 r. mając lat 53.) Dwa chóry połączyły kościół z zamkiem; zbudowane w prezbiterium szły gankami do komnat mieszkalnych. Król w dni świąteczne szedł

zwykle do kościoła ze swego zamku, przez galeryją umyślnie na ten cel urządzoną, królowa zaś słuchać jój mogła ze swego pokoju; niewiasty dworskie miały ganki osobne, któremi wcale nie wchodzili mężczyźni. Biskup Maciej Łubieński dziesięcinę kmiecią ze wsi Ostrowa, (w parafii magnuszewskiej) stale na fabrykę kościoła ś-go Jana przeznaczył. (1630 r.) Wreszcie kapituła najznaczniej za tego panowania wzrosła w powagę; wysocy urzędnicy koronni z duchowieństwa zaczęli się starać teraz o głos w téj kapitule; wielu z kanoników i prałatów warszawskich wyrosło na biskupów, książąt i senatorów. Kilku z nich wsławiło się dyplomacyją. Zasiadali w jój gronie ludzie uczeni i wielcy sercem, to jest miłości skarbami dla bliźnich. Z kapituły warszawskiej wyrosło samych prymasów R-plitéj jedenastu i dwóch kardynałów. Reszka dyplomata znany w Rzymie, Neapolu i Madrycie, uczony europejski, był za Zygmunta III, dziekanem téj kapituły. Późniejszy zaś jój dziekan, a zawsze za tegoż samego panowania, ksiądz Raciborski założył szpital w Piasecznie i wiele dóbr swoich zapisał na szkoły i uczniów ś-to-Jańskich w Warszawie. (1630). Nareszcie arcy-bractwo literackie, które potém znakomicie podniosło świetność kościoła naszego, za Zygmunta III także osiedliło się po różnych wojnach i losach, w kolegiacie ś-go Jana.

W tymże kościele jednak Piekarski rzucił się z czekaniem na króla Zygmunta (15 listopada 1620 r.), i byłby go zabił, gdyby nie Opatrzność Boska, która nie dopuściła zbrodni.

W 1632 roku, pierwszy raz od czasu wolnej elekcji królów, nowo obrany pan u ś-go Jana osobiście miał składać przysięgę na pakta konwenta. Dotąd obierano zwykle cudzoziemców, więc pełnomocnicy elektów za nich przysięgali. Teraz nowy a pierwszy podobny widok ogromne tłumy sprowadził, szlachtę i senatorów, do kościoła (14 listopada). Po mszy arcy-biskupa, zbliżył się król do wielkiego ołtarza, gdzie Jerzy Ossoliński podskarbi nadworny, jako kanclerz prywatny dotychczasowego królewica, głos chciał podnieść, i za elekcycją imieniem pana R-plitéj dziękować.

Nie pozwolili na to nadużycie starzy senatorowie, przestrzegając majestatu narodowego; rzecz to była kanclerza, zatém podskarbiemu tylko prywatnie, przed oddaniem elekcji przymówić się dali. Król wtedy ukląkł i mocnym dobitnym głosem wyrzekł uroczystą przysięgę, którą mu obadwaj kanclerze czytali. Kiedy powstał, prymas odezwał się do niego, że przysięga, którą złożył nie uwłacza prawom religii katolickiej, na co gdy głos podniósł Leszczyński, dyssydent wojewoda bełzki, Prymas odrzekł: że prawa za sobą nie ma i to mówiąc oddał dyplomaty elekcji królowi; wtedy marszałkowie od ołtarza szli z laskami ku tłumom ludu i nakazawszy milczenie, czytali elekcją, a prymas *Te Deum* zaśpiewał. Lud i wszyscy przytomni zaczęli wtórować pieśni, ale bez ładu i składu, głosy i nuty się pomieszały i napróżno chór królewski muzyków do lepszéj sztuki wdrożony, chciał zaimponować téj głosów rozpuście: ustąpił przed powszechną radością. Król powrócił potem do zamku, a marszałkowie szli przed nim ze spuszczonej laskami, które tylko po koronacji mieli podnieść.

Za tego panowania dopiero stanęła facyjata kościoła, przyozdobiono ją posagami i nowym kościół pokryto dachem. Biskup Poznański Wężyk, który także był kiedyś archi-dyjakonem warsz. i który do kościoła ś-go Jana obrzęd wielko-czwartkowy umywania nóg 12-tu starcom zaprowadził, zostawszy prymasem, zwołał do kolegiaty warszawskiej drugi z kolei synod, (na d. 13 listopada 1634 r.) Przyjęto na nim, żeby obrzędy religijne w całym kraju odbywały się według jednego rytuału na wzór Rzymu i zakazano czytania biblij wydanéj w Gdańsku. Synod ten uprzedził na trzy prawie lata pierwszą koronacją jaką się u ś-go Jana odbyła królowéj Cecylii Renaty austryjaczki. Władysław IV, słaby na podagrę, nie mógł jechać z żoną do Krakowa, więc bez pozwolenia rad koronnych wyjątkowym sposobem odbył koronację w Warszawie (13 września 1637 r.), dla czego po tém stanęło prawo niepozwalające na to nadużycie; ale raz już przykład dany znalazł zwolenników, z czego następne czasy ko-

rzysłały. Synod prymasa Łubieńskiego, trzeci z kolei u ś-go Jana, nastąpił po koronacyi, jak Wężykowski przed koronacją (18 listopada 1643). Łubieński nadzwyczaj wiele dbał o ten kościół.

Muzyk królewski Adam Jarzemski opisywał ówczesną Warszawę. (1643 r) W kościele ś-go Jana znajdowało się za jego czasu tyle pomników, iż trudno już było znaleźć miejsca na umieszczenie nowego. Weszło to już albowiem w zwyczaj, że wszyscy mieszkańcy stariej Warszawy, a szczególnie najętniejsi w kolegiacie spoczywać pragnęli, ubożsi zaś chowali się na cmentarzu który dawniej otaczał kościół. Pomniki te, o których Jarzemski wspomina, jako nietrwale, przy rozmaitych zmianach kościoła zaginęły i trwalsze tylko przeszły do naszych czasów, ale zmieniając miejsce już nie nad prochami zmarłych się wznoszą wskazując grobowce, ale jako pomniki świadczą więcej o cnotach i zasługach dawnych wielkości. Potem do kościoła wiele obcych napłynęło pomników, z innych rozebranych a podupadłych świątyń i mimo to, jeszcze tak nadzwyczajnej mnogości jakiej się dziwił Jarzemski, nie ma. Za królów dynastyi Wazów mogło być inaczej, pominawszy już to że ś-ty Jan z urzędu przodkował innym kościołom Warszawy i jeszcze w pośrodku drewnianych świątyń budową swoją z ciosu wszystkim imponował; okoliczność, która ku niemu naturalnie ściągać musiała myśli i serca pobożnych.

Jan Kazimierz przysięgał także osobiście na pakta w kolegiacie. Za niego wielkie a różnorodne uroczystości, wślawiły kościół ś-to Jański i co chwila coś nowego, coś nadzwyczajnego, niezwykłego i niebywałego jeszcze w Warszawie to uderzało oczy, to zajmowało umysły mieszkańców stolicy. Tutaj nuncyusz papieżki błogosławił króla wyjeżdżającego na wojnę z Chmielnickim, wręczył mu poświęcone miecz i szyszak nadesłane z Rzymu (w kwietniu 1651 r.). Tutaj król pierwszy raz Piotrowi Vidoniemu, którego świeżo Alexander VII mianował kardynałem, oddawał publicznie pismo a na głowę wkładał kapelusz; nuncyusz ubrał się zaraz po kardynalsku i tegoż dnia objadał

z królestwem w pałacu, (30 maja 1660 r.) Biskup Tolibowski potem rozpoczął pierwszą wizytę kościoła o jakiej wiemy, (19 lipca 1661 r.). Nareszcie w dzień Zwiastowania (25 marca 1667), pierwszemu prymasowi R-plitěj, tutaj w kościele ś-go Jana wkładano palijusz arcybiskupi; świętego obrzędu dopełniał biskup poznański jako pasterz miejscowy Wierzbowski na Mikołaju Prażmowskim. Po elewacyi prowadzili prymasa biskupi i kler, a palijusz leżał na korporale, rozebrano nominata z ornatów i kapę na niego wdziano, a wtedy palijusz i krzyż zwyczajny biskupi zanieśiono do zakrystyi. Król znajdował się w kościele i na uczcie u prymasa, ale na téj ostatniej nie długo się zabawił i powrócił rychło do pałacu.

Szlachta od dawna już się gniewała na to, że dzieciom i cudzoziemcom bogatsze posady duchowne rozdawano; gniewała się téż, na mieszczan którzy dosyć często na kanonijach i prelaturach warszawskich zasiadali. Najwięcej pod tym względem w oczach szlachty co do kolegijaty ś-go Jana zawinił Zygmunt III, bo on zwykle nauczycieli dzieci swoich, których ściagał z różnych stron świata, nagradzał kanonijami i prelaturami warszawskimi. Do takich np. kanoników należeli ks. Mikołaj Erler bawarczyk (um. w r. 1645), Alanci (um. w r. 1648) i t. d., którzy mają tutaj swoje nagrobki. Czasem król uszlachconym dopiero polakom, jak Władysławskiemu dawał prelatury. Francuzi pchali się znowu do kapituły za Maryi Ludwiki. Chociaż kościół ś. Jana był kolegijatą nie katedrą i takie rzeczy łatwiej uchodziły w kolegijatach, zawsze Warszawa była to stolica R-plitěj i szlachtę raziło, że na dostojnościach kościelnych w Warszawie siedziały takie podług niej zakazane postacie. Otóż jednocześnie prawie, kiedy magistrat miasta pełen gorliwości o chwałę Najwyższego, chcąc raz na zawsze przeciąć klótnię do jakich bractwo literackie ustawicznie dawało powód, nową dla niego napisał w czasie bezkrólewia po Janie Kazimierzu ustawę, za pozwoleniem bisk. Wierzbowskiego i w niej króla obierał za najwyższego protekto-

ra (20 maja 1669 r.), szlachta na sejm elekcyjny zebrana, stanowała w paktach dla Michała Korybuta, że oprócz czterech doktorałnych kanonij u ś-go Jana, w kapitule powinni odtąd siedzieć sama szlachta „w czym osobliwie, tak się wyraża konstytucya, kapitułę warszawską cum cathedralibus ecclesiis porównywamy.“ Dotąd żadnej jeszcze kollegjaty polskiej podobny zaszczyt nie spotkał. W Warszawie brakowało już tylko dyjecezyi, kościołowi biskupa. I odtąd dopiero stało się zupełną prawdą to co Laboureur dworzanin francuzki, we wspomnieniach swoich o kościele ś-go Jana, za Władysława IV zapisał, że „wszyscy kanonicy są w nim szlachtą, a dziekan zwykle człowiek wielkiego urodzenia.“ Paweł Doni poseł do Wenecyi, Florencyi i Neapolu (w r. 1667), był ostatnim dziekanem ś-go Jana z nieszlachty i z obcych. W skutku prawa tego najznakomitsze nazwiska ubiegały się teraz o kanonije warszawskie. Dawniej z grona téj kapituły wychodzili biskupi i wielcy ludzie R-plitéj, teraz wielcy ludzie i biskupi starali się wejść w grono kapituły. Co raz już częściej biskupi święcili się w kolegijacie warszawskiej, nie w grodach metropolitalnych, nie w swojej dyjecezyi, ale w Warszawie po za jéj granicami. Zdarzało się tedy, że obcy dla Warszawy biskup święcił tutaj obcego dla niéj pasterza i obadwaj umyślnie zjeżdżali do stolicy, żeby uroczystości podnosić urokiem jaki w sobie mieścił majestat królewski. Obok Gniezna Warszawa przybierała wszystkie pozory metropolji, biskup poznański miejscowy pasterz podnosił się w oczach R-plitéj obok księcia prymasa. Zaczny starzec Wierzbowski, który siedział na stolicy poznańskiej, w czasie elekcyi Michała, odbył téż wizytę kolegijaty, która pod względem opisu ówczesnych miejscowych pamiątek jest najdokładniejszą.

Z króla Michała, prymas Prażmowski koronował w tym kościele Eleonorę Rakuską (19 paźdz. 1670). Drugi to z kolei obrządek podobny w kolegijacie i w Warszawie, tą razą już za pozwoleniem sejmu odbyty. Dalej święcił się tutaj na biskupa plockiego ksiądz Madaliński, proboszcz piotrkowski w obec kró-

lestwa, nuncjusza i dworu, a przy téj okoliczności ksiądz Koryciński, ubrany po kardynalsku powiedział kazanie, (27 grudnia 1672). Po Madalińskim u ś-go Jana odbywał prymicyje, stary wojownik Aleksander Wolf, teraz po śmierci żony cysters i opat pepliński i niedługo nominat biskup inflancki (24 sierpnia 1673); po księdzu Donim był on pierwszym dziekanem kolegiaty. Smutny obrzęd żałobny za Jana Kazimierza, wspaniałe egzekwije odbyły się tutaj (21 lutego 1673). A niedługo potem egzekwije za Michała, to znów dziękczynne nabożeństwo za zwycięztwo chocimskie, na którym biskup Wierzbowski celebrował; nazajutrz po tem, rekwiem za poległych (26 i 27 listopada 1673).

Za Jana III dwie szczególnie okoliczności zwracają uwagę w dziejach naszego kościoła, bractwo literackie i seminaryjum. Co do bractwa jeszcze Michał zatwierdził dla niego nowe ustawy, (15 października 1669), a kapituła literatom oddała kaplicę ś-go Krzyża (26 kwiet. 1670). Stanisław Święciecki oficynał warszawski, powagą biskupią zatwierdziwszy erekcyją i wszelkie darowizny, uroczyście bractwo do ś-go Jana wprowadził, (24 lutego 1672). Dopiero co Paweł V nadał w Rzymie wielkie przywileje arcy-bractwa Niepokalanego poczęcia N. Panny w kościele ś-go Wawrzyńca in-Damaso; zatem nasi bracia literaci spragnieni duchownych błogosławieństw, upraszali biskupa żeby pisał do Rzymu i upraszał dla nich o też same przywileje. Stosowne listy ledwie odeszły do Rzymu (2 marca 1673), a już biskup Wierzbowski wprowadzał do ś-go Jana dla bractwa te odpusty i przywileje (22 sierpnia tegoż r.). Jan III zatwierdził dla bractwa prawo obioru wolnego seniorów i innych urzędników ze świeckich jedynie osób i sam się protektorem zgromadzenia ogłosił (20 lutego 1676). Wtenczas i Stanisław Baryczka podstoli czerniechowski (rodzina ta już na szlachecką wyszła), wojownik jeszcze od Szwedów, ustanowił piątą już w kolegiacie służbę duchowną do ołtarza ukrzyżowanego Chrystusa i prawo patronatu nadał seniorom bractwa literackiego po swojej śmierci (5 paź. i 5 list.

1676). Nareszcie biskup Wierzbowski wszystkie te dawne i nowe ustawy przyjął i erekcyjne arcy-bractwa, a raczej wznowienie jego kanonicznie przyjął (29 sierp. 1679). Odtąd arcy-bractwo przyjąwszy tytuł Niepokalanego Poczęcia N. Panny, bezprzestannie używało opieki władzy. Otworzyło swoje album, w którym na członków zapisywali się królowie i najznakomitsi panowie. Zapisy posypały się gradem. Groszkiewiczowie, mąż i żona, Katarzyna i Aleksander (był pisarzem konsystorza warszawskiego i sekretarzem król.) zdobili kaplicę i pierwszy fundusz stały na jej uposażenie wyznaczili (28 maja 1687). Za tém poszły fundusze stałe Sroczyńskich i Soczawskich (1691), Bogdanowicza (1692), Wysoczyńskich (1693). W dziejach bractwa znajdujemy jeszcze kilka zatwierdzeń. Pożądany był głos kapituły poznańskiej, która była senatem dla całej dyjecezyi, więc wspólnie z nowym biskupem Witwickim zatwierdziła erekcją (12 lipca 1689). Nie dosyć na tém, bractwo postarało się o zatwierdzenie papieża, które nadeszło (1690), a które Witwicki zaraz w roku następnym wykonał. Natém skończyła się epoka organizacyjna arcy-bractwa. Reszta jego historii streszcza się w staraniach o utrzymanie funduszów aż do odrodzenia się, które za naszych czasów nastąpiło.

Co do seminaryjum zaś, którego obecność zaczęła teraz powiększać okazałość obrzędów religijnych w kolegiacie, był fundusz ks. dziekana Raciborskiego, jak powiedzieliśmy, ale tego kapituła ustąpiła misyjnarzom ś-go Krzyża (1678). Wkrótce jakby kroku niewczesnego żałować zaczęła, postanowiła swoje założyć seminaryjum (13 kwietnia 1682). Zaczny ks. Mikołaj Popławski dziekan warszawski, a potem przez długie lata biskup inflancki, znakomity swego czasu kaznodzieja, a wielce kościołowi ś-go Jana zasłużony, na ten cel ofiarował część zabudowań swojej prelatury, a kanonicy Kaźmierz Szczuka i Jędrzej Swinolecki, przyszli z ofiarami dla seminaryjum. Sobieski wziął ten zakład naukowy pod szczególniejszą opiekę i z Wieliczki 3000 złotych, co-rocznie na to podarował (19 lipca 1683). Biskup poznański

w akcie zatwierdzającym, nowe ofiary złał na semibaryjum (12 stycznia 1684). Wojciech Pstrokoński utworzył więc alumnat z kilku młodzieży, których fijołkami przezwano, a których używa kapituła do pomniejszych posług kościelnych i do szkół posyła (1685). Nuncyusz zatwierdził seminaryjum, które pod zarządem kommunistów zostawać miało (1704).

Jan III wróciwszy z pod Wiednia zawiesił tutaj chorągiew Mahometa, i własnym kosztem rzeźbiarską robotą zbudował stalla dla duchowieństwa, czego dowodem są zawieszzone po nad stallami herby jego i M. Kazimiry. W bezkrólewiu po Janie III, wiele świętych rzeczy widział nasz kościół. Kardynałowi Radziejowskiemu na mszy przedkoronacyjnej, szlachta tutaj baldachim z nad głowy zrzuciła. Ztąd potem w czasie sejmu elekcyjnego, na Zielone świątki kardynał prowadził uroczyste procesyje do kościoła ś-go Krzyża z relikwijami ś-tój Felicyssymy, a potem w czasie podwójnej elekcyi kardynał jak do twierdzy, dobijać się musiał do kościoła, żeby hymn dziękczynny zaśpiewać: i biskup i dziekan, zawarli przed nim wrota, które potem dla swoich przyjaciół i sasów otwarli. I pierwszy raz wtedy Fleming ewangelik, przysięgał na pakta w kościele katolickim, nie sobie z ważności tego aktu nie robiąc (1697 r.) Ale gorsze nastaly czasy.

W murach kolegiaty ś-go Jana otwarte zostały obrady zjazdu szwedzkiego panów (6 sierpnia 1705), w pośród szczęku broni nieprzyjacielskiej. Wśród także szczęku, głoszone tutaj poprzednio elekcją Leszczyńskiego i w rok potem arcy-biskup lwowski Zieliński, pierwszy raz nie królową już samę, ale oboje królestwo, dla R-plitéj ukoronował (4 paźdz. 1705). Biskupów tutaj nie było, ale znajdował się na téj uroczystości, król szwedzki ze swemi jenerałami; wielka ulewa wstrzymała długi przeciąg czasu nowego pana R-plitéj w kościele. Pobożny biskup Tarło, który odbywał wizytę ś-go Jana, widział jak kładziono podstawy na kaplicę ukrzyżowanego Chystusa, za pieniądze Małopolskiego. Po przejściu wojny, weselsze widoki nastaly: królewicz u ś-go

Jana odbierał dary apostolskie, to jest: miecz i przyłbicę z rąk nuncjusza (w sierp. 1726). Potém uroczyste odbywało się nabożeństwo za szczęśliwą elekcją Klemensa XII, (30 lip. 1730), który nadał właśnie, tak prałatom i kanonikom warszawskim przywilej używania wielkiej kapy.

Tak samo dwa stronnictwa przy jednym oltarzu przysięgi przyjmowały od swoich elektów po śmierci pierwszego króla sasa; Stanisław ślubował osobiście R-plitéj (19 września); August saski przez pełnomocników swoich (1 list. 1733).

Pierwszy i ostatni raz ten król u ś. Jana oddawał biret kardynałski kardynałowi polskiemu ks. biskupowi Lipskiemu (3 paź. 1738), który dopiero w rok po swojej nominacji zjechał na ten obrzęd do Warszawy. Zresztą panowanie Augusta III, pamiętne jest dla kolegiaty tem, że papież nadał kanonikom jój dystynktoryjum (1754), złożone z gwiazdy ośmiokątnej wyrobionéj z błękitnéj emalii pomiędzy promieniami złotemi, w środku zaś na białém polu mieści się wizerunek ś-go Jana, z odwrotnéj strony, cyfra królewska i napis na rogach: *dedit almus pater et patria*; nosi się to dystynktoryjum na wstędze karmazynowéj. Król August także, kiedy podstawy wieży stojącój po lewéj stronie kościoła, na ulicy ś-to Jańskieј rysować się poczęły, wymurował z żoną część górnéj wieży dotąd drewnianéj. Za niego jeszcze hetman Branicki przyozdobił kaplicę Pana Jezusa.

Nowa epoka dla kościoła naszego nastąpiła ze śmiercią króla Augusta. Kapituła wdzięczna za dobrodziejstwa tego pana, postanowiła wieczny aniwersarz obchodzić za dusze zmarłéj królowéj Maryi Józefy i ledwo pierwsze takie nabożeństwo się odbyło (22 stycz. 1763), już jój przyszło odprawiać wielkie egzekwije za króla (od 15 do 17 listo.), jedno z najświetniejszych jakie kościół ten widział, bo na niéj ośmiu celebrowało dyecezyjalnych biskupów.

Tę nową epokę, rozpoczęła koronacyja Stanisława Augusta (25 list. 1764). Król ubrał się na ten akt po hiszpańsku, lubo nawet niemieccy królowie na koronacyją, przebierali się po polsku.

Odtąd imię Poniatowskiego wiąże się ciągle do wspomnień o kościele. W gruncie filozof XVIII wieku, król miał jeszcze nad sobą dawne podania religijne i rad niemi oddychał. Co święto, co niedziela, znajdował się tutaj na nabożeństwie, które zawsze biskupi celebrowali; raz w rok, w tydzień wielki brał komunię uroczystie tutaj w kościele, bywał regularnie na rezurekcji i co rok umywał nogi dwunastu starcom, zawsze publicznie. Bywały chwile że naśladował przodków świętą pobożność, wtedy pokryjomu już, bez oznak wysokiego dostojęństwa które nosił, szarym płaszczem odziany, już nie gankami, ale z tyłu przez zakrystyją wchodził, z jednym tylko paziem, do kaplicy cudownego Zbawiciela i tam gorąco się modlił; poznawano króla wtenczas kiedy już wychodził, i kiedy paź hojną rozsypywał ubogim jalmużnę. Takiego życia upłynęło królowi w kościele u ś-go Jana, lat 30.

Chociaż król zatwierdził wszystkie przywileje swoich poprzedników dla tego kościoła (1766), przecież nadał prawo Młodziejowskiemu biskupowi poznańskiemu, do urządzenia wszystkich aniwersarzów pochodzących jeszcze z czasów książąt mazowieckich, z mocą nawet zbijania dwóch i trzech, umówionych zobowiązań w jedno, w kościele ś-go Jana (5 lutego 1772 r.). Spadło to jednocześnie prawie z kassatą jezuitów, która dla kolegiaty ten miała skutek, że napisów grobowych do niej znacznie przybyło. Nie wiemy jak dalece spełnił wolę króla Młodziejowski, który był jedyny do zamącania funduszków i podejmował chętnie rękę na to, co było już świętością kilku pokoleń. Za Młodziejowskim następuje ostatni dobroczyńca kościoła, który dla niego prawdziwą miał miłość, ks. biskup Okęcki. Na samym początku jego rządów, w dyjecezyi, kościół cały wybielono wewnątrz (1780), on też zakazał chować ludzi po kościołach, hojnie przywilejami i zapisami sypał, i nareszcie spisał ostatnią już za R-plitéj wizytę kościoła, której protokół o 185 arkuszach stanowi jedno z najbogatszych źródeł do historyi kolegiaty ś-go Jana (1787 r.) On też Okęcki ostatniemu prymasowi R-plitéj, bratu królewskie-

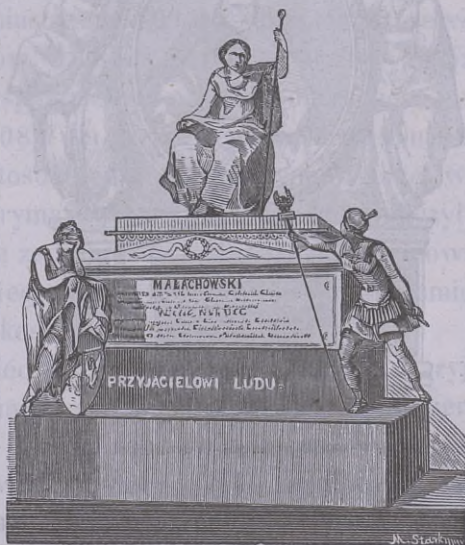
mu, księciu Michałowi tutaj wkładał uroczyście palijusz arcy-pasterski ze zwykłemi obrzędami, (5 maja 1785 roku na Wniebo-wstąpienie Pańskie). W r. 1793 umarł w Poznaniu Okęcki, ale ma tutaj nagrobek.

Król Stanisław po odpadku Wielkiej Polski do Prus, postanowił na miejsce poznańskiego, nowe uorganizować biskupstwo w Warszawie. Już nawet Rzym pozwolił na to, i książę prymas Poniatowski objął administracją nowego biskupstwa. Lat kilka przecież upłynęło, dopiero rząd Pruski zamiary króla i R-plitéj przyprowadził do skutku. Pijus VI, wyniósł archidyjakonat warszawski na biskupstwo, a kolegijatę ś-go Jana wyniósł na stopień katedry (15 list. 1798 r.). Pierwszym pasterzem warszawskim mianowany ks. Józef Bończa Miaskowski, proboszcz poznański, wstąpił do téj świątyni, jako jój poślubiony oblubieniec i na dniu 24 grudnia 1799 objął rządy swoje.

Dzieje biskupstwa i biskupów warszawskich nie należą nie do dziejów katedry i jedne bez drugich obejść się mogą. Z tém wszystkiém dodać trzeba, że w krótkim czasie kościół ś-go Jana jeszcze na jeden stopień wyżej się posunął. Kiedy urządzano biskupstwa nowego królestwa polskiego, niedawno kolegijata, potem katedra, została arcy-biskupim i metropolitalnym kościołem (14 marca 1817). Od tego czasu aż po dziś dzień, pięciu w naszej katedrze zasiadało arcybiskupów.

W tych ostatnich czasach jeszcze nie jedne kościół przeżył koleje. Obraz Palmy z wielkiego ołtarza uwieziono do Paryża, (1807), ale malarz Bacciarelli wymalował na to miejsce nowy téjże wielkości: gdy pierwszy oryginał powrócił, obraz Bacciarellego, tuła się po świecie. Potém w roku 1816, facyjata kościoła groziła zawaleniem się na nowo: doniósł o tém władzy prezydent miasta (5 czerw. 1816 r.). Komisya Rządowa wyznań religijnych wezwala ks. administratora dyjecezyi Wołłowicza o wyjaśnienie, a kiedy pokazało się że naprawa ostatnia złą była, Rząd 20,000 złp. na odbudowę facyjaty przeznaczył. W roku 1822,

cały kościół był odnowionym wewnątrz, ostatni ołtarz wyłociono, toż stalla kanonicze, ozdoby i rzeźby; ołtarze z innych podupadłych kościołów tutaj przeniesiono, tudzież pomniki z ukrytych miejsc do nawy. Z tego czasu pochodzi niedoszły do skutku projekt pani z Tyszkiewiczów Wąsowiczowej, która wyjednała sobie nawet już u władzy zezwolenie, do zbudowania i uposażenia oddzielnej kaplicy, przeznaczonej na grobowe rodziny i dla tego mającej się zwać Wąsowiczowską. Pomnik Stanisława Małachowskiego postawiony w roku 1831. W lat kilkanaście po tym już za naszej pamięci z gruntu odnowiono całą arcy-katedrę, stare kaplice porozbierano, ołtarze nowe powystawiano; posadzka, dach, okna, sklepienie, fi-



Pomnik Stanisława Małachowskiego.

Robotami kierował Adam Idźkowski budowniczy. Lat kilka kościół był zamknięty i dopiero go na dniu 24 grudnia 1840 roku w odnowionej postaci otworzono dla pobożnych. Na akcie znajdowała się kapituła, duchowieństwo świeckie wszystkich parafij warszawskich, akademija duchowna, dwa seminaryja i wszystkie zgromadzenia zakonne, przytém moc ludu. Biskup administrator dopełnił wtedy rekuncyljacyi, a nazajutrz w święto uroczyste, mszę śpiewał ks. Pawłowski biskup płocki.

Jednocześnie z kościołem i bractwo literackie zmartwych-

lary, kazalnica, wszystko przemianie uległo. Komitetowi budowy przewodniczyli, administrator ks. Straszyński i arcy-biskup warszawski ks. Choromański; po jego zaś zgonie biskup sufragan Chmielewski.

KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY PANNY MARYI

NA NOWÉM MIEŚCIE. (*)

Pobożne ludu naszego legendy przywiązane są do kościoła Panny Maryi; zaszczyt, jakiego żadna świątynia Warszawy nie dosięgała. Mówią, że na tém miejscu, na którém dzisiaj stoi kościół, kiedyś przed wiekami, za czasów jeszcze pogańskich, Słowianie przodkowie nasi modlili się do swoich bożków; mówią potem, że kiedy w późniejszych naturalnie już chwilach stawiano kościół i fundamenta już leżały, nadszedł jakiś zamożny młynarz i wieżę postawił, jako ślub prawdziwemu Bogu: albowiem chociaż miał znaczny majątek, jednakże dzieci nie chciały mu się chować i wyraźnie było brak w domu jego błogostawieństwa Bożego. Raz mocno zasnął, mówi podanie, a we śnie zesłał mu Pan przestrożę, żeby szedł ponad brzegami Wisły, aż znajdzie górę i na niej śnieg i żeby na tém miejscu gdzie śnieg ujrzy zbudował kaplicę. Młynarz przyszedł, ale już kościół stawiano, więc zamiast kaplicy wznosił wieżę. Podanie to zachowało się pomiędzy rybakami, którzy pospolicie wszyscy mieszkają w parafii Panny Maryi; ka-

(*) O kościele Panny Maryi pisał tylko ksiądz Kurowski pijar w dziele: „Pamiętki Warszawy.” Artykuł o tym kościele z powyższego dzieła wyjęty, drukowany jest w Allelui, roczniku religijnym, 1842 r. str. 77—109.



KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY PANNY MARYI.

przy ulicy Nowe Miasto.



mień młyński do dziś dnia umieszczony po nad fundamentami a blisko ziemi dotykający i do dziś dnia widzialny, utrzymuje pobożnych wiarę, podaniu niejako służąc za świadectwo.

Kościół naprawdę powstał za czasów książąt mazowieckich. Ze wszystkich przedmieść Warszawy, najdawniejsze jest Nowe Miasto, które się po za wałem i bramą ku północy coraz bardziej budowało. Za wzrostem ludności miasta, musiała rosnać i wygodą dla mieszkańców jego. Niedogodnie im było na msze święte i nabożeństwo uczęszczać do świętego Jana, bo i daleko od nich wznosiła się kolegiata i do tego nie zawsze do niej łatwy był przystęp dla bram i wałów, które opasywały Warszawę. Mogli się już wreszcie o własnych siłach ostać przedmieszczenie i własną założyć parafiją, a nie rozrywać i utrudzać księży ś-to Jan-skich. Te powody wpłynęły na księżnę mazowiecką Annę, że o parafii osobnej myśleć zaczęła i w tym celu wyznaczyła pewne grunty; na jój żądanie książę Janusz darowiznę tę przywilejem swoim zatwierdził (około r. 1409). Wojciech Jastrzębiec biskup wydał potém stosowną erekcyją, sam zjechawszy na ten obrzęd do Warszawy, kościół poświęcił i rocznicę téj uroczystości na niedzielę po ś-tój Małgorzacie oznaczył, wreszcie wieś Polków i połowę przedmieścia, po lewój stronie leżącą, do nowego probostwa wcielił (1411). Tytuł kościołowi nadał: *Najświętszej Maryi Nawiedzenia* (Beatae Mariae Virginis Visitationis). W następnym czasie szczególnym dobrodziejem kościoła był Bolesław IV książę warszawski i zakroczymski, za którego Kacper Wilk obywatel i wójt nadał P. Maryją gruntami, co książę potwierdził (1479); za którego wreszcie kościół znacznie rozszerzony został. Następcy Bolesława polecili magistratowi pamiętać o potrzebach parafii. Stąd to zapewne weszło w zwyczaj drugie pospolite nazwisko, jakie się dostało Pannie Maryi na Nowém Mieście, basi-lica, a czasem capella ducalis, to jest kościółek książęcy, kaplica książęca, in civitate Nova Varsovia, w mieście Nowej Warszawie. W istocie panujący udzielnie na Mazowszu władcy, głównie

przyczynili się do wzniesienia tych murów. Budowa kościoła jest starożytna i lubo się potem rozwijała stopniami, ma wiele cech świadczących że z owego czasu pochodzi: dowodzą tego skarpy które wszędzie są po kościołach téj epoki. Zresztą jak wszystkie kościółki stare, ma Panna Maryja na sobie dowody tych częstych przeróbek i dobudowań, o jakich wspominaliśmy. Widoczne jest, że do pierwszój części, do kadłuba, że tak powiemy dzisiejszego kościoła (presbiterium), dostawiono później nawę główną i dwie poboczne. Tak z maléj kaplicy urosł powoli obszerny kościół.

Księżęta będąc założycielami i opiekunami kościoła Panny Maryi, sami naznaczali do niego plebanów, czyli tak zwanych rządców (rectores), którzy rozciągali dozór duchowny nad parafiją i nad szkołą do kościoła przywiązaną. Taki stan rzeczy do trwał aż do czasów Zygmunta Augusta. W Łomży d. 11 stycznia 1562 r. ostatni nasz Jagiellończyk nadał odrazu w jednym dyplomie dwa przywileje dla kapituły ś-go Jana, to jest pozwolił jéj na kanoniją z funduszu Tarczany wybierać kapłana z obowiązkiem, żeby kaznodzieją był w kolegiacie i kościół Panny Maryi wcielił zupełnie ze wsią i wszystkimi nadaniami do funduszków kapituły. Zachował król jednak obudwu i kanonika i plebana Panny Maryi aż do skonu przy beneficyjach które posiadali. Stosując się do prawa kanonicznego kapituła warszawska upoważniła zaraz ks. Jana Powodowskiego kanonika poznańskiego, żeby się u biskupa o zatwierdzenie tego przywileju królewskiego postarał (18 lutego). Przyjął zeznanie Powodowskiego ksiądz biskup poznański Jędrzej Czarnkowski (23 lutego t. r.). Odtąd kapituła ś-go Jana mogła sama na siebie, albo przez swego członka, albo przez innego jakiego kapłana zarządzać kościołem na Nowém Mieście, mogła dochody parafijalne na swój stół obracać, lub ich drugiemu ustąpić, to jest kapituła uważała się w całym gronie swoim, za pasterza kościoła Panny Maryi i z ramienia swojego miała prawo trzymać tam swoich wikaryjuszków, wszelkie tytuły i prawa przejąwszy na siebie. I rzeczy-

wiecie długo, bo przez lat przeszło 40 księży przysyłani od ś-go Jana, odprowadzali nabożeństwo dla parafian tutejszych i spełniali wszystkie obrządki duchowne. Taki stan rzeczy musiał jednak mieć swój koniec, bo liczne z tego powodu wywiązały się niedogodności. Wprawdzie bliższy nad kościołem Panny Maryi nadzór, jak oddalony król dawny kollator, mogła rozciągnąć kapituła, ale zato nie naznaczając stałego proboszcza do Nowego Miasta rodziła niepewność, tworzyła tysiące zawikłań, spraw, może i sprzeczek, wywoływała często rozdwojenie władzy. Czuł to dobrze biskup Jędrzej Opaliński, który nareszcie postanowił zaradzić złemu, kładąc koniec długiemu bezkrólewiu w parafii. Biskup raz na zawsze urządził, że przy kościele Panny Maryi ma odtąd mieszkać stały proboszcz (*praepositus*), ze wszystkimi prawami, parafijalnemi funduszami, do których nie wchodzić było kapitule (30 kwietnia 1608); wieś zatrzymał dla P. Maryi, folwark tylko jeden oddał kolegiacie ś. Jana, to się znaczy, że biskup zostawił tylko przy kolegiacie prawo prostej prezenty, a władzę jej całkowitą odjął.

Odtąd naturalnie kościół uzyskawszy niepodległość, zaczął rosnąć instytucjami pobożnemi i rozwijać się uroczystościami, zapisami, nabożeństwem. Znaleźli się dobroczyńcy, którzy uposażyli wikaryjuszów, potem mansjonarzy i przy kilku ołtarzach na osobnych altarystów. Liczba więc duchowieństwa parafialnego niezmiernie się podniosła. W odleglejszej części Nowego Miasta zbudowano mały kościółek, pod tytułem ś-go Krzyża, który jako filiją przydzielono do kościoła P. Maryi. Że na Nowém Mieście mieszkało kiedyś wielu Niemców, weszło w zwyczaj, że jeden z tutejszych księży miewał dla nich kazania po niemiecku. Zaczęły powoli wiązać się bractwa i budować kaplice; jedno bractwo Szkaplerza ś-go (wprowadzone przez biskupa Łubieńskiego 1628 r. a przez Rzym zatwierdzone 1642 r.) dostało na swój użytek dawną kaplicę Zwiastowania, a dzisiaj Szkaplerzną; drugie bractwo rybackie, którego początku dojść trudno, a które pewnie

nastaniem swoim, bliższe jest założenia samego kościoła, bo razem z cechem powstało, dotąd po największej części złożone z rybaków, starszych cechowych uznaje za dostojników bractwa. Rybacy dostali pod swój zarząd, kaplicę ś-tój Barbary i mają oddzielną zakrystyją. Trzecią kaplicę utrzymywali rzeźnicy. Bractwa naturalnie znakomicie pomnożyły nabożeństwo kościelne: uroczystości Maryi Panny Szkaplerznej, ś-tój Barbary i msze rybackie przez rok cały, ożywiły wiele okolicę Nowego Miasta. Do tego ruchu, jaki tutaj było widać, przyczyniły się processyje. Corocznie od ś-go Jana w dzień Nawiedzenia N. Panny (2 lipca) jako uroczystości kościoła, odprawiała się processyja na Nowe Miasto, w której pobożni chętnie udział brali, znakomici panowie, liczne duchowieństwo, magistrat, cechy z chorągwiami i tłumy ludu. Potem druga processyja na Boże Ciało, także od ś-go Jana do Panny Maryi, za którą pieszo zwykle król postępował. Od tego też czasu mury naszego kościoła zaczęły się zdobić w nagrobki, bo dawniejszych nie ma jak z drugiej połowy XVII wieku. Większy porządek w utrzymywaniu ksiąg parafijalnych; księgi ślubów datują od r. 1630, urodzeń od 1640, tylko zmarłych o sto lat są późniejsze (od 1730).

Co do altaryi, ślady jej są już od r. 1490. Przywiązaną była do jednego z najdawniejszych w kościele ołtarzów to jest: do ś-tój Trójcy. Mansyjonarzy zaś kilku było tutaj, tak że nawet niezajomy jakiś dobroczyńca, dał fundusz na uposażenie przelożonego, czyli proboszcza mansyjonarzów. Jeden z takich proboszczów Paweł Dunkiewicz, ale to już cokolwiek później, po śmierci swojej pochowany był na smentarzu Reformatów w Warszawie (w grud. 1683).

Jarzemski dosyć dokładnie kościół tutejszy opisał. Były u P. Maryi wtenczas nowe ołtarze; nowe organy; miała do tego parafija dobrych śpiewaków, szpital, wygodne domy kapłańskie, wieżę z zegarem, na cmentarzu stała męka Pańska. Królowa żona Władysława IV (zapewne Cecylia Renata), szczególną opie-

kę rozciągała nad tą świątynią, własną ręką wykonane roboty przynosiła tutaj w ofierze na chwałę Najwyższego. Karola Ferdynanda Wazy biskupa Płockiego sekretarz Maciej Jagodowicz, był tutaj pod owe czasy proboszczem. Nowe za to względy spływały dla kościoła.

Wojna szwedzka dała się dobrze we znaki i Warszawie i P. Maryi na Nowém Mieście. W skutku kilku oblężeń mieszkańcy rozproszyli się, ołtarze poobalano, spalono dachy, pamiątki dawne rozleciały się po świecie i kościół sterczał tylko nagimi ścianami cały w rozwalinach. Podanie krąży pomiędzy ludem, że z wieży, którą ów niegdyś młynarz przy fundamentach kościoła postawił, przyglądał się oblężeniu Warszawy jakiś marszałek szwedzki. Smutne te ostatki najścia szwedzkiego oglądał i opisywał w swojej wizycie kościoła Panny Maryi biskup Tolibowski (1664).

Pobożnością mieszczan na nowo wznosiły się mury. Parafianie i proboszczowie śpieszyli na wyścigi do tej świętej pracy. Zbierano liczne składki. Magistrat najwięcej się tutaj odznaczył, a mianowicie dwaj jego członkowie, z których jeden Mikołaj Baryczka radny, nosił znane dobrze w dziejach Warszawy nazwisko, drugi zaś nazywał się Stanisław Wójtowicz, a był burmistrzem Nowej Warszawy (um. 12 stycznia 1663). Ci dostojnicy miejscy, pozostawili na odbudowę kościoła zapisy, które po ich śmierci na właściwy użytek obrócone były. Trwała ta odbudowa za ostatnich lat panowania Jana III. Wtedy wystawiono nowe ołtarze z drzewa snycerską robotą. Za Augusta II., odbył tutaj wizytę biskup Bartłomiej Tarło (1712). Processyje na Boże Ciało zaczęła parafia odbywać już swoje własne po rynku nowo-miejskim (od 1718). Została tylko doroczna processyja na dzień 2 lipca od ś-go Jana, do której w r. 1731 król szczególną przywiązał pamiątkę: wystąpiła albowiem na niej jego nadworna kapela, złożona z samych murzynów. Do tego czasu również odnieść należy zapisy: Tomasza Hryniewickiego, dawnego altarysty samborskiego i Maryjanny wdowy po Albercie Pietrzykowskim

kupcu, którzy założyli i uposażyli wspólnemi siłami dwie inne altaryje przy oltarzu Wniebowzięcia. Erekcją wydał ówczesny proboszcz Zachniewicz sędzia surrogat, który téż za pozwoleniem biskupa, jednocześnie grunt Panny Maryi pomiędzy pałacem wojewody plockiego na Przyryнку, a gruntem Dominikańskim sprzedał koniuszemu litewskiemu Flemmingowi i żonie jego Radziwilównie za 4000 tynfów (1727). Pierwszym właścicielem nowo ustanowionej prebendy był sam Hryniewicki, który i patronat zachował sobie do śmierci, a potem zdał na bractwo garnicarzy (figulorum), które oltarz dawny Wniebowzięcia założyło, a na nowyłożyło, i w przyszłości pamiętać o nim obiecywało. Proboszcz Panny Maryi, kandydata podanego przez trzech starszych bractwa, podawać miał do zatwierdzenia biskupowi (15 września 1727). Do altaryi pietrzykowskiej magistrat Nowego Miasta otrzymał prawo patronatu. Cały kościół był wtenczas oparkaniony i otoczony domami, przeznaczonemi na mieszkanie dla duchownych.

Pomimo gorliwości tutejszych proboszczów Zachniewicza i Maranowicza, którzy własnym kosztem wiele napraw w kościele podejmowali, pomimo wizyty Młodziejowskiego, którą w imieniu biskupa odbył tutaj kanonik warszawski Piotr Wyszyński (w paź. 1770), rozwijał się wielki nieład, szerzyło się zgorszenie dla parafijan ze strony duchowieństwa parafijalnego. Ciągłe niezgody i kłótnie altarystów, mansjonarzów, wikarych, o dochody, o fundusze, wreszcie o byle co, wyrodziły bezrząd, każdy robił co chciał, a proboszczowie czy nie chcieli, czy nie umieli położyć temu końca. Inwentarza własności żadnego nie było, pierwszy dopiero sporządził Młodziejowski. Aż wreszcie pioruny wypadły z ręki kanclerza Okęckiego, jednego z tych rzadkich biskupów, za panowania Stanisława Augusta, co sprawiali swój obowiązek pasterski z poświęceniem się i z wiarą w swoje boskie posłannictwo. Trwał nierząd już od pół wieku blisko, kiedy biskup zjechał na wizytę do kościoła Panny Maryi, nie jako pasterz, ale jako

sędzie (we wrześniu 1780). Dwa miesiące trwała wizyta. Przy końcu jój, biskup wezwał do siebie wszystkich księży parafijalnych z tego kościoła i najprzód po przyjacielsku im radził, żeby złożyli dobrowolnie swoje beneficyje, to jest radził im, żeby tytuły swoich instytucyj na prostą aplikacyją pozwolili zamienić, obiecując jednak, że wszystkich do posług parafijalnych w kościele użyje i przy tychże samych obowiązkach co dotąd zostawi. Chciał mieć biskup na nich miecz w swoim ręk, t. j. prawo oddalenia z nich każdego w razie potrzeby. Zostawił księżom czas do namysłu, ale kiedy po kilku tygodniach oświadczyli, że wolą swoje instytucyje, jak niebezpieczeństwo stracenia tego co mają: „dobrze, odparł gorliwy biskup, zostańcie i tak, ale do usług parafijalnych jako wikaryjusze, wybaczcie, nie będziecie używani.“ Okęcki więc zniósł mansjonarzy, fundusze ich wcielił do ogólnych dochodów probostwa i na wikaryjuszów przeznaczył, do śmierci zostawił wszystkich przy prebendach, ale trzech nowych młodych kapłanów wyznaczywszy do służby w kościele, im tylko dał prawo do odprawiania uprzywilejowanego nabożeństwa, do posługi parafijnej, a dochodami tymczasem z tytułowanymi dzielić się kazał. Okęcki wziął tę rzecz bardzo surowo, bo nigdzie, w żadnym kościele warszawskim tyle zgorszenia nie zastał. Jak tylko zapamiętał piekło się zawsze trzęsło w parafii na Nowém Mieście. Gdyby pominąć już czasy dawniejsze, od chwili kiedy był sam officyjałem warszawskim, patrzył na wszystko co się tutaj działo i był żyjącym zgorszenia świadkiem. A jednak jego officyjalstwo sięgało pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Nie mógł wtedy złego naprawić, bo przeniósł się na biskupstwo chełmskie i stracił władzę w stolicy. Razily go wtedy najwięcej: niedbalstwo w usługach parafijalnych, i swary duchowieństwa o których głośno było w całym mieście. Ale powróciwszy tutaj jako pasterz, od razu wziął się do poprawy tego co najprędzej ratunku potrzebowało. Zacny, pocciwy, nie na ludzi zwałal winę; mówił raczej, że to nieszczęście jakies

padło, bo chociaż zwierzchność starała się zapobiegać złemu, nie poradzić długo nie mogła. Był i w tem dowód nierządu parafii, że żadnego kościoła wizyta, tyle kłopotów, tyle pracy i starań nie kosztowała biskupa co kościoła P. Maryi. Napisał więc biskup nową ordynacją dla duchowieństwa parafijalnego, w której nie uwodził się żadnym względem, jedynie chwałę Bożą mając na celu. Wreszcie proboszczowi księdzu Szydłowskiemu dał biskup surowe polecenie, żeby nowego ładu pilnie przestrzegał. Składali wówczas duchowieństwo parafijalne Panny Maryi: ksiądz Jędrzej Czarnek nar. 1710 r. który już od r. 1764 był tutaj altarystą; dalej Marcin Philipson nar. 1740, mansyjonarz od r. 1766; Antoni Węgrzynowicz nar. 1738 ksiądz od 1770 a od r. 1774 kapłan w tym kościele; ksiądz Gabr. Bietkowski n. 1733, poświęcony 1764, a u Panny Maryi od 1779 r., i wreszcie ksiądz Wawrzyniec Majewski nar. 1744, poświęcony 1766 i tegoż roku już kapłan u P. Maryi. Skutkiem tych reform było, że odtąd zwierzchność parafijalną składać zaczęli proboszcz i trzech wikaryjuszów.

W r. 1772 w skutku wyroku konsystorza przeniesiono tutaj od Brygidek bractwo ś-tój Trójcy, które wkrótce upadło. Podupadło też bractwo Szkaplerza ś-go, które od r. 1793 przestało obierać swoich urzędników, ale wreszcie w roku 1802 zmarłych-wstało. W końcu dopiero zeszłego wieku pokryto tynkiem starożytne mury kościoła, dotąd nagiego.

Z ostatnich czasów mało posiada wspomnień kościoła P. Maryi. W r. 1811 obchodzono procesyją od księży Dominikanów czterystoletnią pamiątkę poświęcenia tutejszego kościoła. Dalej 1816 r. w lipcu, mieszczenie Warszawy na czele mając Baltazara Kuczkowskiego podali prośbę do Rzymu, żeby im wolno było założyć bractwo Przemienienia Pańskiego. Pijus VII wysłuchał prośb (21 listop. 1817 r.) i nadał odpusty na lat dziesięć, które bractwu zaprowadzonemu 1818 r. Grzegorz XVI na wieczne czasy zatwierdził. Kościół P. Maryi wtenczas tak bardzo podupadł, że Rząd myślał zupełnie opuścić kościół. Dawny proboszcz tylko

co się usunął, a nowy administrator ks. Szarkiewicz (późniejszy professor uniwersytetu), podał projekt żeby parafiją przenieść do kościoła Franciszkańskiego. Do tego doszło, że kapituła zrzekła się prawa kollacyi z r. 1562, ale książę namiestnik Zajączek zrzeczenia się tego nie przyjął. Zostały więc rzeczy po dawnemu, aż przecież rewizya murów, zapewnienia znawców, a nadewszystko prędką pomoc uratowały kościół, ku czemu głównie przyłożyli się parafijanie przywiązani do swojej świątyni. W r. 1829 rozebrano i przerobiono stare organy, w r. 1830 ukończono ze składek przerobienie i odnowienie kaplicy N. Panny Szkaplerznej. Za naszej już pamięci jeszcze raz z funduszu pokładnego odnowiono kościół; stanął wtedy nowy przysionek z ozdobami w miejsce dawnego, nowe okazalsze otworzyło się wejście do kościoła, dach świeży i przerobiona wieża środkowa dopełniły zmian koniecznych. Rysunek kościoła przed tą odbudową, jakim był, ma Alleluja z roku 1842.

Zakończym historiją kościoła Panny Maryi spisem proboszczów tutejszych, o jakich mogliśmy powziąć po mozolnych poszukiwaniach wiadomość. Będzie to ważny przydatek nie tylko do dziejów kościoła, ale i samego miasta. Nazwiska najdawniejszych proboszczów znajdujem w owym przywileju Zygmunta Augusta z r. 1562, o którym wyżej mówiliśmy.

1. Marcin Oborski dawny pleban kościoła Panny Maryi był kanonikiem warszawskim, z funduszu Tarczany w czasie przywileju królewskiego (w styczniu 1562 r.).

2. Stanisław Wilczek, zdaje się że po nim zaraz bezpośrednio nastąpił może w probostwie i w kanonii, bo takby sądzić należało z tekstu owego przywileju, którego tłómaczenie u ks. Kurowskiego (Alleluja 1842 r. str. 87—93) jest niejasne.

3. Stanisław Mróz (Mrozeus), kanonik warszawski był kaznodzieją u ś-go Jana, miał więc także fundusz Tarczany, co dowodzi że najczęściej plebanija P. Maryi z kanoniją tarczańską chodziła; król te dwie prebendy połączył w przywileju, a kapi-

tula w nadawaniu. Ksiądz Stanisław Mróz stanowi trzeci tego przykład. Był on jeszcze pisarzem kapituły warszawskiej, i w młodości swojej kapelanem Anny Jagielonki królowej. Rodem mieszczanin warszawski. Pochowany zapewne w grobach kościoła P. Maryi razem z matką Anną. Umarł 26 grudnia 1622 roku. Pomnik który jest u Starowolskiego, postawił mu Jan Mróz, ławnik i chirurg warszawski (Monumenta Sarmatarum str. 253).

4. Jakób Sierputowski mansyjonaryjusz kolegiaty ś-go Jana, bezpośrednio musiał nastać po Mrozie, gdyż w maju 1623 roku występuje jako pleban P. Maryi (parochus). Mansyjonaryją zatrzymał. (Wejnert, Wiad. hist. stat. o morowém powietrzu w Warszawie str. 6. Toż samo w Biblijotece Warsz. 1852 T. 3 str. 202).

5. Maciej Jagodowicz, którego nagrobek znajduje się w kościele P. Maryi a na nim spisane całe życie tego kapłana. Urodził się r. 1603 w Warszawie. Był patrycjuszem Nowego Miasta, to jest pochodził z rodziny oddawna osiadłej na przedmieściu, zamożnej i zasłużonej w senacie miejskim. Był doktorem obojga pra-



Pomnik Macieja Jagodowicza.

wa, protonaryjuszem apostolskim, kanonikiem katedry plockiej, kanonikiem pultuskim i warszawskim i wreszcie sekretarzem królewskim. Plebanem na Nowém Mieście był od lat trzydziestu przeszło, z czego wypada, że objął parafiją przynajmniej w roku 1636, jeżeli nie dawniej jeszcze. Kanoniją swoją winien był zapewne głównie względem księcia biskupa plockiego i włocławskiego królewica Karola Ferdynanda Wazy, którego tajnym radcą był przez lat wiele. Poprzednio dobrze się zasłużył biskupowi poznańskiemu Maciejowi Łubieńskiemu, Adamowi Nowodworskiemu i Wojciechowi Tolibowskiemu. Od królewica biskupa wyprawiony w czasie jubileuszu wielkiego do Rzymu,

sprawiał u Innocentego X poselstwo (*). Potém od króla jeździł w ważnych sprawach do cesarza Ferdynanda III, najprzód do Ratyzbony, a potém do Wiednia. Był też Jagodowicz przez wiele lat jeneralnym w księstwie mazowieckim wikaryjuszem i officyjałem biskupów poznańskich. (Z tym tytułem w r. 1662 święcił Franciszkanów warszawskich. Pamiętnik rel. moral. VII 442). Mąż prawy i pobożny, w końcu życia opuścił dwór i spokojnie umarł dnia 11 sierpnia 1666 r. mając lat 63 wieku. Miał szczególne nabożeństwo do N. Panny i na Jój cześć w kościele swoim pewne uroczystości ustanowił. Nagrobek położyli mu przyjaciele według rozporządzeń testamentu w roku 1673.

6. Jan Józef Piaskowski, za czasów szwedzkich i jeszcze w grudniu 1709 roku występuje.

7. Mikołaj Maciej Zachniewicz, ma także nagrobek swój w kościele w kaplicy ś-tój Barbary, której szczególnym był do-
dobrodziejem. Gorli-
wy kapłan o chwałę
Bożą i o dobro swo-
jego kościoła, który
całkiem pokrył da-
chówką. Był kanoni-
kiem honorowym
warszawskim i sędzią
surrogatem aż trzech
nagrobku (w dowód prawdziwej przyjaźni), wznosił mu ten pomnik
w kaplicy ś-tój Barbary.



Pomnik Zachniewicza.

8. Stanisław Józef Jazwiecki kanonik inflandzki i warszawski był długo proboszczem (w maju 1734 i jeszcze w maju 1758 r.)

9. Jan Maranowicz nar. 1719, kanonik smoleński, objął parafiją P. Maryi od roku 1759. Wiele w niej zrobił: przymnożył

(*) Tutaj zmyłka w dacie, albo w osobie, bo Karol Ferdynand umarł tylko co przed wojną szwedzką 20 maja 1655 r. i do Rzymu w r. 1658 jak stoi na nagrobku nikogo ślać nie mógł: jakoż Innocenty X umarł w istocie w r. 1655.

ozdoby samej świątyni, wystawił własnym kosztem za grosz oszczędzony probostwo. Zdaje się że narzuconego sobie przyjął na koadjutora księdza Szydłowskiego, który po nim nastąpił. Przed śmiercią chorował długo i wreszcie zakończył życie d. 26 sierpnia 1779 r. w wieku lat 60. Wyniesienie zwłok odbyło się dnia 27. Ciało prowadził biskup Chełmski Aleksandrowicz, a 28 nastąpił wspaniały pogrzeb w kościele P. Maryi, na którym mszą śpiewał także biskup chełmski. Koszta pogrzebu ponosił ksiądz Szydłowski wdzięczny swojemu proboszczowi.

40. Antoni Kazimierz Szydłowski, nar. dnia 13 listopada 1737 r., poświęcony był na księdza 30 lipca 1760 r. Rzym pozwolił mu na koadjutoryją N. Panny 9 września 1777 r. stąd wprowadził go uroczyście na pasterstwo oficcyjał warszawski biskup Aleksandrowicz 9 grudnia 1777 r. po śmierci Maranowicza proboszczem P. Maryi od 26 sierpnia 1779. Zaczął rządy swoje tutaj od missyi, na którą zaprosił Dominikanów (7 listop. 1779 r. w niedzielę). Mszę wielką śpiewał ksiądz Młodziejowski kanclerz, pobłogosławił Dominikanów na missyją i znajdował się na ich pierwszém kazaniu. Zaprosił następnie proboszcz księdza biskupa Kacpra Cieciszewskiego, który w drugą niedzielę (14 listopada), miał gruntowną przemowę do ludu o bierzmowaniu, po której więcej niż tysiąc osób bierzmował. Ludu massami bywało na tych nabożeństwach. Proboszcz Szydłowski był panicykiem, stąd wielki świat na nim znać było. Wszystkie gale, imieniny, urodziny, króla, biskupów, panów różnych, nabożeństwami w kościele swoim obchodził. W drugą rocznicę śmierci Młodziejowskiego wyprawił mu egzekwije wspaniałe u P. Maryi, bo dla kanclerza chował, jak sam się wyraża, nigdy nie wygasła wdzięczność; wyborna muzyka przygrywała wtedy na chórze sproszonemu państwu, a lud i cechy napelniały kościół. Z tego jeszcze względu może zająć tą uroczystość, że Naruszewicz na niej celebrował (22 marca 1782 r.). Naruszewicz celebrował tutaj jeszcze w następujący odpust Nawiedzenia Najświętszej Panny

(2 lipca 1782 r.). Kazanie wtedy mówił, jak zwykle Franciszkanin. Zdaje nam się, że w skutku reform Okęckiego usunął się i sam Szydłowski z probostwa. Jeszcze w dwa lata potem pogrzebał tutaj w kościele ks. Jana Karskiego, opata plockiego. Nabożeństwo żałobne po Karskim celebrował Cieciszowski. Tegoż roku dostał upoważnienie od króla, na mocy którego mógł działać prawem dla dostania provizyi i instytuowania się do kościoła Warszawskiego ś-go Jerzego (26 stycznia 1784 r.), co może bliższy ma jaki związek z opuszczeniem kościoła P. Maryi, od zarządu którego usunął się dopiero w r. 1794. Pod koniec tutaj swego pobytu występuje w aktach jako prezes zgromadzenia księży kanoników regularnych w R-plitėj. Inny ks. Antoni Szydłowski wojewodzie plocki, był kanonikiem warszawskim i krucyferem u księcia prymasa Poniatowskiego. Obrany następnie z Gniezna deputatem, był prezydentem trybunału w Lublinie 1789 r. Proboszczem kolegiaty warszawskiej mianowany 2 kwietnia 1790 r. Ustąpił niedługo tej prelatury księdzu Albertrandemu. Nareszcie dnia 23 stycznia 1817 r. przedstawiony na pierwszego kandydata do dziekanii metropolitalnej, kiedy o urządzeniu nowój kapituły myśłano. Utrzymał się na dziekanii, na którą nominacją przesłał mu minister wyznań religijnych już pod d. 12 lutego 1817 roku. Umarł w roku 1820. Wszystkie te fakty i daty o jednym i drugim Szydłowskim, wzięte są z gazet współczesnych, z wizyty Okęckiego 1781 r. i sygillat.

41. Antoni Pobóg Malinowski, najprzód Dominikanin potem kapłan sekularyzowany, suffragan żmudzki. Poświęcony na biskupa cynneńskiego 22 grudnia 1782 r. w niedzielę w kościele dominikańskim w Warszawie, przez biskupa Giedrojcia żmudzkiego, któremu assystowali Cieciszowski i Naruszewicz. Proboszczem Panny Maryi został w ciągu czteroletniego sejmu. Sławny kaznodzieja swego czasu. Umarł już za czasów królestwa.

42. Piotr Gniewczyński installowany na koadjutora proboszcza 24 marca 1796 r. w wielki czwartek, był poprzednio kano-

nikiem łowickim. Z rozkazu Albertrandego installował go Jan Latecki koadjutor kanonik warszawski. Celebrował wtedy sam Gniewczyński i komunikował, przyczém rektor szkół Hajewski miał kazanie. Usunięty 1822 r. umarł potém w nędzy w Wilnie.

13. Tomasz Bożeński objął probostwo w końcu 1822 roku. Razem z dozorem kościelnym naprawiał uszkodzone mury kościoła i sztachetami plac ogroził, przyczém Józef Boretti budowniczy znakomite położył zasługi dla kościoła, bo dał mu w ofierze i pieniądze i pracę własną. Bożeński był kanonikiem honorowym warszawskim. Umarł 30 czerwca 1828.

14. Antoni Kotowski nar. 10 Stycznia 1784 r., poświęcony na kapłana 1809, dawniej proboszcz w Piasecznie, potém z kanonika honorowego gremijalny w Warszawie i od r. 1828 proboszcz Panny Maryi, które to probostwo objął 1 września. Dziekanem arcykatedry mianowany 11 kwietnia 1837 r. Officyjał za rządów arcybiskupa Chłromańskiego, doktor 3-tój teologii i prawa kanonicznego za przywilejem rzymskim, sędzia apostolski 2 instancyi, członek Rady głównej opiekuńczój zakładów dobroczynnych i t. d. i t. d. Wreszcie mianowany 10 maja 1842 r. suffraganem łowickim, umarł biskupem nominatem d. 24 czerwca 1845 r. Żywot tego kapłana wart obszerniejszych opisów, bo znakomite zajmował stanowisko w kościele i wielki wpływ na niém rozwijał. Słyszał szeroko z wymowy kaznodziejskiej: ale więcój tam było na jego kazaniach wystawy jak rzeczy; myśli i serca nie miał, ale miał gest wymowny i wszystkie pozory, co stanowią mówcę kościelnego. Z tém wszystkiém w literaturze naszój kilka po nim zostało pamiątek.

15. Michał Toczyski, jeden z najzasłużeńszych wikaryjuszów 3-go Jana i dla tego ich senior, otrzymał w lipcu 1845 r. probostwo, instytutowany zaś 31 sierpnia. Narodzony 2 października 1782 r. umarł 16 czerwca 1849 r. na cholere. Życiorys jego znajduje się w Pamiętniku religijnym T. 17 str. 448.

15. Antoni Białobrzeski dzisiejszy proboszcz, scholastyk

metropolitalny warszawski od 1837 roku, od sierpnia 1849 roku zaś rządzi parafią Panny Maryi.

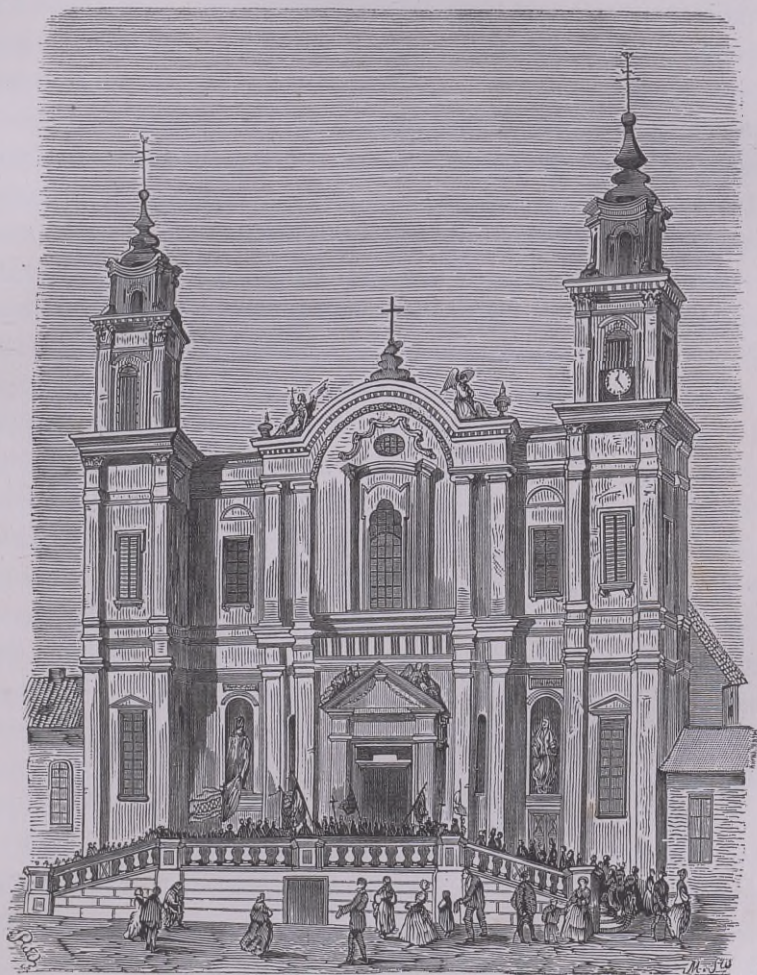
Pomników grobowych niewiele u Panny Maryi. Oprócz dwóch wyliczonych i trzeciego dla Stanisława Wójtowicza burmistrza m. Warszawy, leży tutaj i ma nagrobek Bonawentura de Galves katalończyk, doktor, który miał uniwersalne na wszystkie choroby lekarstwo i po którego śmierci nastąpił dzień 8 czerwca 1774 r. pokazało się wielu w Warszawie oszustów, bo przeszło trzydzieści osób przyznawało się, że doktor zmarły im nie komu innemu, tajemnice balsamu powierzył. Inne nagrobki pochodzą z czasów późniejszych i nie interessują dla tego, że dla nieznanych postawione są osób. Bez nagrobka zaś spoczęły tutaj ciała: biskupa janopolitańskiego Karskiego, który był suffraganem gnieźnieńskim, dziekanem łowickim, a umarł w Warszawie 25 października 1784 r. Dalej księdza Antoniego Portalupiteatyna, nauczyciela Stanisława Augusta a potem spowiednika, uczczonego medalem przez wdzięcznego ucznia i wspaniałym pogrzebem (umarł 20 stycznia 1791 r. przeżywszy lat 58). Ze świeckich zaś osób spoczął w kościele Panny Maryi, Aleksander Butler starosta mielecki, zmarły 25 października 1783 r. i synowiec ostatniej z królewicowych rodziny Sobieskich, Bartłomiej Józef Wessel, kawaler maltański, kasztelan warszawski, który w dziele wydanem po łacinie w Amsterdamie dzielnie zbijał błędy niedowiarków encyklopedystowskich. Umarł ten Wessel 3 lipca 1781 r.

KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY Ś^{go} KRZYŻA.

NA KRAKOWSKIEM PRZEDMIEŚCIU. (*)

Kiedy Przedmieście krakowskie, po za murami Warszawy coraz się lepiej budowało, i jedna parafija ś-go Jana już służbie duchownej wystarczyć tam nie mogła, zami przedmieszczanie pomyśleli o własnym kościele. Było to jeszcze za czasów panowania książąt Piastów, ale już w ostatnich chwilach udzielnosci Mazowsza. Stał na przedmieściu małeńki odosobniony kościółek, którego ślady już są w r. 1512, a który nie mógł naturalnie dobrze służyć wygodzie pobożnych. Otóż Marta wdowa po rajcy warszawskim Serafinie Möllerze, pierwsza zgłosiła się z ofiarą na ten cel pobożny, i podarowała grunt tak nazwany barczykowski na uposażenie kapelana wiecznego przy kościółku (8 maja 1526 r.), który na nowo z fundamentów murować zaczęła. Anna księżna mazowiecka tegoż samego roku zatwierdziwszy zapisy Marty, i grunta nadane uwolniwszy od wszelkich ciężarów, od siebie podarowała jeszcze inny plac na rzecz kapelana tego kościółka Bernarda, dla powiększenia ogrodu i cmentarza, i co tydzień mszę wieczną za to sobie wymówiła. Martę naśladowały dwie wnuczki (neptes) po siostrach. Dorota Passowa żona Macieja krawca i Helena żona Pawła klucznika, jedyne po niej dziedziczki, które tylko wolę dawczyni wypełniając, bo śmierć jej samą tego zrobić nie pozwoliła, jeszcze dwa łany na kościółek ofiarowały

(*) Opisanie kościoła ś-go Krzyża mamy jedno tylko, oprócz małego artykułu Gołębiowskiego. Drukowane w Rozmaitościach warszawskich z roku 1825, w numerach 2 i 3, jest pióra księdza Michała Szymonowicza, wizytatora tego zgromadzenia



KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY Ś-go KRZYŻA.

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście.



(4 marca 1534 r.). Nareszcie władza duchowna wzięła tę fundacyją pod opiekę, i biskup poznański Jan, wyrokiem swoim w Łaskarzewie podniósł kościółek ś-go krzyża (oratorium) na stopień beneficyjum (beneficium ecclesiasticum); prawo patronatu przyznał dwom paniom Helenie i Dorocie, a na plebana włożył obowiązek odprawiania co tydzień dwóch mszy za fundatorów i na ogólną intencyją (29 stycznia 1536 r.). Pierwszym proboszczem nowo uposażonego takim sposobem kościółka, został od roku 1536 ksiądz Jędrzej Lubański. Ale mimo te wszystkie urządzenia nie skończyły się tak prędko kłopoty proboszczów. Już następcy Lubańskiego, musieli prawować się z mieszczanami o różne grunta, które graniczyły z posiadłościami Wielkój Woli. Zapadł stosowny wyrok w konsystorzu jeszcze w roku 1550, ale kiedy potem Szymon Nasiłowski mansjonarz i penitencyjarsz kolegiaty, a proboszcz ś-to krzyski, przez niedbalstwo swoje wiele praw kościołowi służących utracił, drugi raz sprawę wniesiono do konsystorza, i wtedy już rzecz prowadził Wojciech Kuliński rajca (consul) Starego miasta jako patron kościoła, w imieniu własnem i współkollatorów swoich (1584 akta konsyst. ks. 8, strona 228—235 i t. d.). Tak więc założenie, uposażenie i wzrost swój, winien był kościół dzisiejszy parafijalny ś-go Krzyża, rodzinom mieszczan warszawskich, którzy nad nim przeszło sto lat władzę kollatorską utrzymywali, nie zaś szlachcie i książętom, którzy zwykle kościoły w samém mieście zakładali i uposażali.

Taki stan rzeczy przetrwał do czasów Zygmunta III. Wtedy Paweł Klucznik Zembruski, burmistrz warszawski i jak nam się zdaje szlachcie zmieszczony, spadkobierca dawnych kollatorów, a więc patron kościółka ś-to krzyskiego (poprzednio Mikołaj Pass syn Macieja na Jana Kluczniaka Zembruskiego rajcę warszawskiego, zlał swoje prawo patronatu, co widać z wyroku konsystorskiego w Warszawie z dnia 4 lipca 1566 r.), z żoną swoją Krystyną odnowili świątynią i dwie kaplice z fundamentów do niej przybudowali, czego pamiątką był kamień marmurowy, który przy

wnijściu do kościoła położyli ze stosownym napisem (1615 r.). Nie dosyć na tém, Zembrzusi pomyślał o parafii, bo kościółek był dotąd filją s-to Jańską. Ludność przedmieścia znacznie wzrosła, dawała mu do tych żądań prawo. Nadto zapewne bliski kréwny jaki, Bartłomiej Zembrzusi był wtedy przełożonym kościółka. Biskup Wężyk usłuchał jego prośb, aż po Dziekanę idąc ku miastu, zakreslił granice nowój parafii, całą tę stronę przedmieścia oderwał od ś-go Jana, i dla lepszój wygody place i domy pozamieniał to z kościołem Panny Maryi na Nowém Mieście, to z Kazanowskiemi, to z kapitułą kolegiaty, i patronat przy dawnych dziedzicach zostawiwszy, kościółek nasz (ecclesia, capella), podniósł na udzielną parafiją, czyli in ecclesiam parochialem, jak się biskup wyraża w języku urzędowym (3 lipca 1626 r.). Jurydyki Kałęczyn, Grzybów, Leszno i Bożydar wcielone zostały do téj parafii po innych stronach przedmieścia. Był już wtenczas przy ś-tym Krzyżu szpital drewniany na sześciu chorych, któremu dała początek także mieszcza warszawska Anna Wolfowa, zapisawszy na ten cel 1000 złotych (1572). Inny fundusz na drugich sześciu chorych, dał lekarz królewski Wojciech Oczko. Biskup i szpital zaraz wcielił do funduszków parafijalnych, a pobożni mieszczanie Jakób Paprocki i Dorota Karabinowa w konsystorzu zeznali nowe darowizny placów dla kościoła (5 sierpnia 1626 r.); Powierzchność ś-go Krzyża z owego czasu Jarzemski tak opisuje: „kościół, powiada, ma kapliczki na krzyż, wewnątrz polerowaném czarném drzewem wysadzone, cmentarz obszerny, szpital, szkołę, dzwonnice, wszystko oparkanione, dalej Apostołowie, Chrystus Pan na krzyżu i pod nim płaczące figury. Niedaleko jest kaplica moskiewska (1643 roku).“

Trzecią epokę naszego kościółka zaczęła królowa Maryja Ludwika francuzka rodem i zabita francuzka. Przeszczepiając wszystko na ziemię polską, co tylko we Francyi wzrosło i wybujało, królowa postanowiła przenieść też do nas świeżo tam za-

łożone zakony, męski i dwa żeńskie, które się sławą niepoślednią w swojej ojczyźnie uwieńczyły. Jednym z tych zakonów, męskim było zgromadzenie missyjonarzy ś-go Wincentego u Paulo; żeńskimi zakonami były Wizytki i Szarytki. Sama mieszkając w pałacu kaziemierowskim chciała królowa otoczyć się jakby Francją, i odechnąć niby powietrzem swojej rodzinnej ziemi. Wizytkom więc budować chciała kościół obok pałacu, a ś-ty Krzyż wybrała dla missyjonarzy. Sprowadziła wprzód zakon męski (15 listopada 1651), potem żeński; chociaż pannom nie zbudowała jeszcze kościoła, a z patronami ś go Krzyża nie ułatwiła się jeszcze i z władzą duchowną. Przyjechał w poselstwie od zakonu na zwiady do Polski, ksiądz Lambert missyjonarz. Przyjęty naturalnie był gościnnie: podobala mu się królowa Ludwika, dwór, Warszawa, powietrze polskie, jedném słowem wszystko. Zdał więc sprawę swojej starszynie bez uprzedzenia (26 lutego 1652 r.). Powietrze znalazł wprawdzie zimniejsze, jak we Francji, ale za to zdrowsze i przyjemniejsze. Nie było w Polsce kanarków, ale nie było i chorób. Rany niewyleczone we Francji, w Polsce wyleczyć było łatwo. Zima cierpka ale zawsze nie tak nudna jak we Francji: piece w budowlach, a futro na ulicach, tak samo grzały nad Wisłą jak i nad Sekwaną. Polska, donosił dalej ksiądz Lambert, jest jednym z najbogatszych i najpiękniejszych krajów; niczego w niej wtedy nie brakowało, podług jego zdania, tylko ksiąg i aptek. Nawet naczyń aptekarskich nie dostanie w Polsce, co w Paryżu np. 5 franków, to w Polsce kosztowało 30 i jeszcze prosić się o to było potrzeba. Malowidło i papier dwa razy też droższe w Polsce, jak we Francji, a igły i szpilki kto je ma, musi chować jak relikwije (Portofolio M. L. str. 174—5). Te male niedogodności nie były wcale tak straszne, jakby się może zdawało. Zresztą ksiądz Lambert zwyczajem cudzoziemców, aczkolwiek sprawiedliwszy od wielu, przesadzał trochę, dla tego zakon przyjął chętnie ofiarę królowej i wysłał pierwszą osadę missyjonarską do Polski.

Na prośbę królowej ksiądz ówczesny proboszcz ś-to krzyski Zejdlie rzekł się uroczyście swego probostwa, a za nim patronowie kościoła rzekli się praw swoich kollatorskich w konsystorzu warszawskim (25 października 1653 r.). Właścicielką tych ostatnich praw była wtedy Zofija Zembruska, wdowa po Bartłomieju Strużbiczu, najpewniej córka owego Pawła Klucznika. Z ramienia królowej działali w tym razie, jako upoważnieni przez nią, jakiś doktor sorboński de Pchlewy, jak jest nazwany w przywileju, najprędzej polak, i Jan Zaleski kuchmistrz nadworny M. Ludwika. Konsystorz te wszystkie zamiany zatwierdził uroczyście, wyczerpawszy wprzód wszystkie formalności prawne (12 listopada). Prócz tego zakupiła M. Ludwika folwark ks. Augustyjanów, na przeciw pałacu kazimierowskiego, z ogrodem owocowym, browarem i karczmą, do czego należało kilku czynszowników; wszystko dla tego, żeby było na czém rozprze-strzenić budowle kościelne. Teraz już zależała rzecz cała od biskupa. Jakoż książę Kazimierz Flor. Czartoryski, powagą swoją uznał to wszystko (1 grudnia 1653 r.), oddał prawa i kościół księżom missyjonarzom, których w Warszawie długi czas Francuzami nazywano, polecając im, żeby, jak mają w ustanowieniach swoich, lud uczyli wiary, żeby po miastach i wioskach chodzili na kazania, żeby spowiedzi z całego życia słuchali, owszem do téj spowiedzi lud pobożny zachęcali, żeby wreszcie klótnie godzili, biednych wspierali i t. d. Uroczyste wprowadzenie zakonników do nadanego im kościoła nastąpiło także 1 grudnia 1653.

Królowa która się niezmiennie opiekowała missyjonarzami, nie przestała dotąd na swoich dobrodziejstwach. Nadała im wieś Skuły i ogrody w Warszawie z budynkami (23 maja 1654 roku). W téj wsi najpierwszą księża francuscy odbyli missyją, których tylko do roku 1740 odprawili już dwieście. Była królowa upojona szczęściem swoim; nie wiedziała albowiem co ma robić z radości. Wizytki, które później po missyjonarzach przybyły do Warszawy, odwiedzały za jój pozwoleniem missyjonarzy i oglądały nie raz

ich gmachy i kościół. Potém kiedy na uroczystości wprowadzenia wizytek do klasztoru celebrował nuncyusz, przy takiej massie duchowieństwa, jaka tam była, missyjonarze jednakże, a nie kto inny, podług wyraźnej woli założycielki towarzyszyli nuncyuszowi (9 sierpnia 1654 r.). Nareszcie książę biskup Czartoryski już wtedy nominat kujawski oznaczywszy ściślej stanowisko swoje jako pasterza miejscowego do jenerała zgromadzenia mieszkającego we Francyi zamknął epokę, że tak ją nazwiemy, organizacyjną missyjonarzy warszawskich: jenerał podług umowy miał wyznaczać z ramienia swojego proboszcza do 5-go krzyża, ale między śmiercią jednego, a objęciem pasterstwa przez drugiego proboszcza, administracyja parafii należała do biskupa, który sam tymczasowego rządcę kościoła miał prawo wyznaczyć. W tymże akcie książę kościół i szpital wcielił na wieki do funduszu probostwa, i zatwierdził nadanie Skuł przez królowę (w Pszczewie, 2 marca 1655 r.).

Wypadki te tylko co uprzedziły wojnę szwedzką i Karola Gustawa. Kiedy się mars zwycięski srożył nad Polską, księża missyjonarze sądzili, że oni sami przynajmniej, jako cudzoziemcy ująć powinni gniewu nieprzyjaciół. Ale omyliła ich nadzieja. Za pierwszém wprawdzie wkroczeniem szwedów do miasta upiekło im się, ale kiedy nieprzyjaciół już w skutku morderczej bitwy wdarł się po drugi raz do Warszawy, rozżalony i rozgniewany rzucił się do rabunku kościołów. Wtenczas i 5-ty Krzyż wiele ucierpiał. Ksiądz du Perroy ówczesny przełożony, próbował użyć wymowy w chwili, kiedy kościół jego rabowano. Robił przedstawienia, nie słuchano go; nie ustawał więc w upominaniach i żalach dopóty, aż znudził wreszcie szwedów, którzy się na niego rzucili i zbili ogromnie: został jak nieżywy na miejscu biedny missyjonarz, i mówią, że nawet nie przyszedłby zupełnie do siebie, gdyby nie pomoc, jaką mu przyniosły niewiasty warszawskie, które się licznie zbiegły do niego z przedmieścia.

Następują teraz dwie wizyty biskupie kościoła 5-to krzyskie-

go: jedną odbył w r. 1663, Wojciech Tolibowski, drugą Stefan Wierzbowski, lubo nie osobiście, ale przez księdza Jana Denhoffa opata mogińskiego i kanonika warszawskiego w r. 1679.

Konstytucja sejmowa dopiero w r. 1678 zatwierdziła wszystkie nadania Maryi Ludwiki dla ś-go krzyża, darowiznę Skut i z osobna przyznała kościołowi dobra Dawidy i Zgorzałę na seminaryjum, których kolegiata na rok poprzednio księżom missyjonarzom ustąpiła (Vol. L. Tom V. 568). Nuncyusz Martelli wpływał na to wszystko i wyjednał u missyjonarzy, że otworzyli wtedy razem i nowicyjat dla polaków (1678).

Musiał być strasznie nędzny stan kościoła po najściu szwedzkim, kiedy już za pierwszych lat panowania króla Sobieskiego, księza missyjonarze zaczęli szczerze myśleć o podźwignięciu swojej świątyni i nie cząstkowém, ale całkowitem od podstaw wybudowaniu kościoła. Król z żoną, pobożną myśl tę całym wpływem popierał, ile że przemieszkując często w dziedzicznym pałacu kazimierowskim, należał do parafii ś-tokrzyjskiej. Zbierali składki księza na tę odbudowę, do której hojnie przyłożyli się król i panowie. Tylko co przed samą wyprawą wiedeńską rozpoczęła się robota; obalono cały kościół, a raczej dawnego szczątki, a z nim i szpital, który także nowy miał stanać; chorych zaś tymczasem pomieszczono w dwóch murowanych izbach przy kościele. Kiedy te przygotowania skończono, kamień węgielny położył 4 kwietnia 1682 r. królewic Jakób w obec księdza biskupa poznańskiego. Budowniczym był zasłużony Warszawie i Sobieskim, sławny Józef Bellotti włoski, który razem dwa wzniósł kościoły, górny i dolny, jakby piętro stawiał na pięttrze. Lat czternaście trwała budowa, i przeciągnęła się przez całe panowanie króla Sobieskiego, ale nie szkodziło to wiele nabożeństwu, bo ołtarze w miarę, jak były skończone poświęcali obecni w stolicy biskupi. W górnym kościele wystawiono siedm ołtarzy, w dolnym trzy: w górnym jeszcze stanęła kaplica z obrazem N. Panny i nowy ołtarz ś-go Aleksego pod organami. Pó-

źniej już budowniczy cały kościół górny wyłożył czarnym węgierskim i białym aż z Karrary z Włoch sprowadzonym marmurem, co szczególnie podłogę pięknie przyozdobiło (w r. 1760).

Ołtarze kościoła górnego już w r. 1696 były zupełnie gotowe. Zatem gmach ś-ty pobłogosławił uroczyscie Bartłomiej Tarło (1 kwietnia), a nazajutrz pierwszą mszę odprawił w nowym kościele ś-to krzyskim nuncyusz papieski Santa Crozze; następnie kardynał Radziejowski prymas, który szczególnie polubił nowy ten gmach, wystawiony Bogu na cześć, przystąpił do poświęcenia kościoła, którego dokonał w d. 14 października t. r. Na tej uroczystości znajdowała się osobiście królowa Maryja Kazimira, ale powszechnie na niej uważano nieobecność nuncyjusza i posła francuskiego; ostatni te dał powody, że nie otrzymał na sejmie konwokacyjnym posłuchania, więc się gniewał. Tegoż dnia poświęcił kardynał i sam ołtarz wielki z obrazem Ukrzyżowanego. Ołtarz robiony w Elblągu wyłocił w Warszawie malarz Paweł Pielaszynski kosztem prymasa Teodora Potockiego; obraz zaś był pędzla Elesithera mieszczanina warszawskiego. W dwa tygodnie potem zastąpił prymasa w świętym obrzędzie ksiądz Mikołaj Popławski biskup inflancki, ówczesny officyjał warszawski, który sześć innych ołtarzy, jakoto: Najśw. Sakramentu, Ś-go Wincentego a Paulo, ś-go Karola, ś-go Rocha, Ś-go Michała, i ołtarz później nazwany św. Felicysymy uroczyscie poświęcił (28 października). W każdym z tych ołtarzy umieścił się obraz właściwego patrona, a w ołtarzu Najśw. Sakramentu obraz wieczerzy Pańskiej. O półtora roku przeszło uprzedził kościół dolny górne ołtarze. Już albowiem na dniu 20 marca 1695 r. poświęcił go Kryszpin biskup saloneński, jak to trzy kamienie przy trzech ołtarzach postawione świadczą. Kościół dolny oparty na 30 kamiennych słupach, w ołtarzach miał posągi zamiast obrazów. Nareszcie ostatni ołtarz ś-go Aleksego później jeszcze, już za powtórnego szczęku broni szwedzkiej poświęcił Stefan Mdzewski biskup kalamacki kanonik i suffragan gnieźnieński (10 lipca 1704 r.).

Całą tą odbudową kościoła kierował głównie ks. Bartłomiej Tarło, z wojewodzica sandomierskiego missyjonarz i proboszcz 5-go krzyża. Kapłan to był niepokalanego życia i mąż tak święty, jakimi tylko być mogli pierwotni wyznawcy naszego kościoła. Nakład cały dotąd wynosił przeszło 800,000 złp., a dopiero kościół wewnątrz był jak się należy; brakowało mu jeszcze pozorów, to jest: sukni zewnętrznej. Tarło jednak znalazł wszelkie potrzebne fundusze. Skończywszy budowę wewnętrzną w r. 1696, myślał teraz o nowych ofiarach, składkach, zapisach, żeby swoją świątynię jako przyozdobić od ulicy. Rozkładał na długie lata fabrykę i wolno gromadził ziarno do ziarnka. To ganek żelazny na gzymsie kościoła, to kazalnica żelazna, dzieło Michała Tetera, (1698 r.), to kaplicę Panny Maryi postawił (1700). W ołtarzu téj kaplicy dzisiaj mieści się obraz Najświętszej Bogarodzicy większą nazwanéj; zasłaniają go według potrzeby inne obrazy malarza warszawskiego Seisto, jako to: Niepokalanego Poczęcia, Zwiastowania, Ofiarowania i Wniebowzięcia. Miał czas Tarło potem, żeby wszędzie nastarczyć, bo proboszczem 5-go krzyża był tak długo, jak nikt przed nim i po nim, przeszło ćwierć wieku, a jako prowincyi swojej komisarz w Polsce, mógł różnorodnemi posilkować się funduszami. Podobano się potem królowi zrobić Tarłę biskupem poznańskim (22 października, 1709 r.). Opierał się proboszcz wszelkimi siłami, bo polubił swój zakon, w którym pierwszy z Polaków piastował wysoką godność, i żał mu do tego było się rozstać ze 5-tym krzyżem, w którego grobowcach chciał spocząć po śmierci. Zawezwany przez nuncjusza żeby świadczył o wartości osobistej ludzi powołanych na biskupów, pospolicie im prawa do tego urzędu zaprzeczał, jakże dla siebie surowym być nie miał? Składał się przysięgami i ślubami. Aż wreszcie Rzym nakazał księdzu Tarle posłuszeństwo, a pochlebne stąd dla niego wyrazy kardynała Paulucci przywodzi Niesiecki w swojej Koronie. Wjechał zatem na biskupstwo poznańskie (24 sierpnia 1711 r.), ale dla tego

opieki nad ś-tym krzyżem z rąk swoich nie wypuścił. Biskup pozostał zawsze proboszczem. Na wsi, w mieście, sam do ludzi z ambony miewał kazania, lubo i życie jego pobożne, powiada zacny Niesiecki, za najlepsze kazanie stało. Publiczne zgorszenia karał surowo, na samą jego obecność częstokroć źli ludzie powściągali swoje naturę. Usychał od żalu gdy usłyszał o jakim wykroczeniu od praw boskich, lub przykazań kościelnych. Po apostolsku przemawiał do wszystkich, żadne względy światowe nigdy nie otumanily zanego biskupa. Prawdziwie był on tym ewangelicznym pasterzem, co to oddawał duszę za owce swoje. Do Warszawy kiedy przyjechał z podróży po dyjecezyi, bo żadnej innej nie znał podróży zawsze mieszkał u ś-go krzyża; nawet prawdę powiedziawszy, tylko na wizytę kościołów oddał się z Warszawy. Stolica biskupstwa poznańskiego była za jego czasów u ś-go krzyża, bawiać tu bawił w swojej dyjecezyi, tylko już częściej po innych się dał widywać kościołach w Warszawie i pospolicie kazywał, a najczęściej u ś-go Jana w kolegiacie. Żadna postać w dziejach kościoła ś-to krzyskiego nie świeci tak znakomicie, jak postać księdza biskupa Bartłomieja. Kiedy po sześciu latach sprawowania apostolskiego urzędu, jechał z Warszawy do Poznania, zapadł nagle w Łowiczu; zaraz krew mu puszczone, ale to nie uratowało biskupa: zakończył życie w d. 15 września 1716 r. Ciało jego pochowane u ś-go krzyża i nagrobek wzniósł mu zakon przy oltarzu Najświętszego Sakramentu czyli Bożegociała, przy tym oltarzu, który dał i w tém dowód przywiązania swe-



Pomnik Tarły.

rzu, który bogato przyozdobiła złoconymi elbląskimipobożnapani jego krewna Helena z Tarłów Gozdka starościna stężycka (1725).

Mniejszym, lubo zawsze wielkim dobroczyńcą kościoła ś-to krzyskiego był w owym czasie książę kar-

go do zakonu, że misyjnarzy sprowadził już poprzednio przed kilku laty do swojej stolicy, to jest, do Łowicza. Kardynał podczas sejmu elekcyjnego po śmierci króla Jana, wtenczas, kiedy szlachta wrzała niesnaskami pod Wolą, wprowadzał nowe nabożeństwo do ś-go krzyża, z wielką radością księdza Tarły. Podczas Zielonych Świątek od ś-go Jana postępował na czele tłumnej procesyi, w której udział wzięło całe mieszczaństwo warszawskie, do nowo poświęconego kościoła z relikwiami ś-ég Felicyssymy męczenniczki (27 maja, 1697 r.). Relikwie te złożył na oltarzu przed kaplicą Najświętszój Panny, zaraz naprzeciw oltarza Przenajświętszego Sakramentu. Kazanie na téj uroczystości, która kilka dni trwała, powiedział Denhoff biskup przemyski i dedykowane księciu prymasowi ogłosił potem drukiem u pijarów w Warszawie. W téjże kaplicy ś-ég Felicyssymy pochowane jest i ciało Radziejowskiego, który umarł w Gdańsku 14 października, 1705 r.

Przed misyjnarzami znamy z nazwiska, a przynajmniej z imienia pięciu tylko świeckich proboszczów ś-go krzyża. Potém następowali od pier-



Pomnik Radziejowskiego.

dames zaś umarł 1672 r. Po nich idzie Jakób Eveillard w latach 1678—9, potém Augustyn Tapie de Monteils w r. 1682; za niego vice prezydentem był ks. Jan Fabri. Za temi już następuje bezpośrednio Tarło. Francuzi ci, pospolicie byli to ludzie z rodzaju gorączek; dumnie głowę nosili pyszni dla stosunków swoich ze dworem, i ze względów dwóch królowych rodaczek, Maryi

wszego misyjnarza ks. Lamberta, aż do Tarły sami francuzi, w następującym porządku. Mikołaj du Perroy i Wilhelm Desdames, którzy współcześnie sobie występują w latach 1668—72, lubo du Perroy był już za najścia szwedzkiego, Des-

Ludwiki i Maryi Kazimiery. To téż ogromny rej wodzili na przedmieściu krakowskiém i w całej swojej parafii. Czasy ich rządów upływały w ciągłych swarach i nieporozumieniach, a czasami nawet zgorszeniach. Powód do tego najniewinniej dawało bractwo rożańcowe, umieszczone w pobliskim kościele dominikanów obserwantów. Stare jak kościół ś-to krzyżki, a przynajmniej sięgające czasów Zygmunta III, drugie bractwo przy parafii, ś-go Rocha patrona od zarazy, nadane przywilejami, zaszczycone opieką królów i biskupów, nie chciało ustąpić przodka Rożańcowi, stąd spory i pomiędzy dwoma zakonami; bo misyjonarze nie mogli znieść tego obojętnie, że bractwo rożańcowe nie zważało wcale na porządek nabożeństwa w parafii, i odbywało processyje swoje po ulicy, nie stosując się do cudzych potrzeb, kiedy i jak chciało, że wreszcie zdobywało się na wielką wystawność, i odciągało do siebie lud z przedmieścia. Zgorszenia było dużo; skarg, żalów w konsystorzu tak dużo, że kto by chciał spisać szczegółową historyją kościoła ś-to krzyckiego za pierwszych misyjonarzy, najwięcej musiałby rozpowiadać o tych nieporozumieniach dwóch bractw i zazdrościach dwóch zakonów. Z tego powodu i sama historyja bractwa ś-go Rocha miałaby wielkie znaczenie dla historyi wewnętrznej naszego miasta. Francuzi jakoś nie potrafili godzić się z ludnością warszawską, dla tego w coraz wzrastającym postępie rosły te wrzaski i zgorszenie w kościele i po ulicach, aż dopiero świątobliwy ksiądz Bartłomiej skarbami swojej miłości i wyrozumienia zakłął burzę, że raz przecie na zawsze ucichła.

Po Tarle siódmy już z misyjonarzy był tutaj proboszczem ksiądz Michał Kownacki (1714 r.), mąż który po swoim poprzedniku odziedziczył całe zaufanie jenerała zakonu mieszkającego we Francyi, jak tego liczne zdarzyło się nam widzieć i czytać dowody. Po Kownackim jeszcze jeden francuz Antoni Fabri w r. 1717 i zastępca viceprezydent Jan Aumont wspomniany pod r. 1715. Odtąd już znowu i ciągle aż do naszych czasów rzą-

dzą w kościele tym polacy. Ale do historyi ś-go krzyża wiąże się jeszcze wspomnienie jednego ostatniego już francuza. Była to dyplomatyczna postać; Maron jako rezydent francuski pilnował przy dworze warszawskim spraw swojego króla; człowiek to był nadzwyczaj pobożny. Nic dziwnego, że ziomek przyłgnał do ziomków, których ciągle u ś-go krzyża wielu bywało, a między niemi wtenczas, i nie zapomniany nigdy w dziejach naszego miasta Baudouin. Maron zamieszkał przy klasztorze, porzucił świat i dostojności i żył tutaj jako prosty zakonnik, sypiąc ciągle hojne jałmużny to temu, to owemu klasztorowi w stolicy. Przed samą śmiercią wystawił forysteryją u ś-go krzyża. O żadnym księdzu źle nie mówił; jeżeli zaś miał co dobrego o nim do powiedzenia, a jeszcze znał go osobiście, wtedy już końca nie było pochwałom. Szczególniej szarytki i trynitarze mieli z niego prawdziwego dobroczyńcę i ojca: poszedłby choć w piekło za niemi. Poznał się z ks. Innocentym Pokorskim paulinem warszawskim i zawarł z tym zacnym człowiekiem najserdeczniejszą przyjaźń. Kiedy się słabym uczuł, zrobił spowiedź powszechną i przyjął olej święty, umarł 24 stycznia 1729 r. o 10 godzinie wieczorem; 27 pochowany został u missyjonarzy. Wszystkie dzwony kościołów warszawskich trzy dni jęczały żałobnie po jego śmierci. Przed zgonem wszystko co miał, rozdał pomiędzy ludzi, ruchomości zaś swoje missyjonarzom zapisał, tak więc nie zostawił żadnego testamentu i pogrzeb mu własnym kosztem sprawili, ale senatorski, księża ś-to krzyscy. Przez trzy dni po wszystkich kościołach warszawskich odprawiały się za niego msze święte. Maron nie chciał spoczywać w kościele, jako niegodny téj łaski, kazał się pochować pod figurą na cmentarzu.

Po Tarle najgłośniejsze jest u ś-go krzyża nazwisko ks. Piotra Hyacynta Sliwickiego proboszcza ś. krzyża i wizytatora missyjonarzy. Narodzony w dyjecezyi poznańskiej 1703 r. Zakonnik od 1721 r., a wizytator swego zgromadzenia od roku 1740 aż do śmierci, która nastąpiła 5 maja 1774 r. mieszkał ciągle

w stolicy i był świadkiem wielkich wydarzeń. Człowiek bardzo uczony, bo z pod jego ręki wyszło wszystko, co tylko kiedykolwiek zakon miał świetnego, nawet sławny kaznodzieja swojego czasu i literat, przytém wolteryjanista, miał wiele zachowania u panów i ogromny wpływ na około siebie wywierał, lubo nie tyle na pierwszy rzut oka widoczny. Portret ks. Śliwickiego znajduje się w życiorysach Wojcickiego i tamże krótki rys jego zawodu przez Jaholkowskiego spisany, ale to wszystko o tym znakomitym człowieku żadnego wyobrażenia nie daje. Spowiednik i doradca dwóch królów, pomocnik Konarskiego, wszystko mógł, wszystko robił, co chciał i w kościele i w kraju. Biskupstwa przyjąć nie chciał, chociaż mu je kilka razy ofiarowano; wołał działać za kulisami, jak na widoku wszystkich. Za niego i kościół ś-go Krzyża wiele zmian doznał. Fontanna wystawił dwie wysokie wieże, z których prawa w r. 1726—30; lewa zaś dopiero 1753—4 skończona została, na co 100,000 złp. wyszło nakładu. Na prawej wieży osadził Śliwicki w r. 1765 zegar, cztery dzwony i sygnaturkę, za pieniądze najwięcej Adama Rostkowskiego biskupa Filadelfii i założyciela domu Poprawy w Warszawie, który fundusz na to przeznaczył. Potém przyozdobił się kościół łacyjată (w r. 1757): zamiast kopuły zamyślanęj, krzyż złożony na sześć łokci wysoki umieszczono na kościele, a przy nim wyobrażono anioły kamienne utrzymujące narzędzia męki Pańskiej; niżej portyk na dwóch wielkich słupach wsparty z postaciami emblematycznymi wiary i nadziei, obok portyku śś. Piotra i Pawła posągi. Na kopułę w środku kościoła wzniesć się mającą przekazał w testamencie fundusz kardynał Radziejowski, ale gdy budowniczy dał zdanie, że przez kopułę kościół osłabi się, Rzym pozwolił zapis kardynała obrócić na te zewnętrzne przyozdobienia świątyni, na które i król wielełożył, i dla tego napis na kościele położony po nad drzwiami świadczy o tych dobrodziejstwach Augusta III. Panowie takżełożyli. Tak więc właściwie w r. 1757 ukończyła się fabryka kościoła, która od r. 1682 trwała

ła przez lat 75. Poprzednio jeszcze przed Śliwickim stały organy w r. 1727 za proboszcza Michała Walthara, który zostawił także dosyć śladów po sobie w kościele i w mieście, z których nie ostatnim jest założenie apteki świętokrzyskiej wtenczas; kiedy tych aptek mało jeszcze znajdowało się w Warszawie.

Prócz tego ks. Śliwicki szczególnie opiekował się szpitalem siostr miłosierdzia ś-go Rocha, rozszerzył zabudowania i troskliwiej pielęgnował chorych. Staranność swoją rozwinął nad zakładem Dzieciątka Jezus, który teraz prawie powstał w jego oczach. Kiedy umarł Boduen, „opisanie pobożnego życia i przykładnego skonu“ tego kapłana ułożył i wydrukował (1768). Książę wojewoda ruski Czartoryski i córka jego Lubomirska wiele łożyli na szpital ś-go Rocha. Śliwicki wreszcie wyrobił u króla nową erekcją nowego jeneralnego szpitala dla ubogich warszawian, który się miał pod dyrekcją księży misyjnarzy otworzyć (21 maja 1764 r. Sygillaty 29). Za jego czasów téż pobożni mieszczanie Stanisław i Zofija Wenderlichowie chcąc założyć bractwo miłosierdzia ś-jej Trójcy dla wsparcia biednych stowarzyszonych i chcąc je z bractwem ś-go Rocha połączyć (1742) zapisali na ten cel 3,000 złp. W roku następnym książę biskup poznański wydał erekcją temu nowemu stowarzyszeniu, ale nie poszczęściło się jakoś, lubo znalazł się nowy dobrodziej Michał Wyszynski łowczy sanocki, który chciał z zakładem Wenderlicha połączyć Górę miłosierdzia, żeby na zastaw pożyczala bez procentu. Dał fundusz na to 5000 złp. i liczył na poparcie powszechne. Kiedy zaś to społeczenie pocziwego łowczego zawiodło, zrobił jeszcze nowy fundusz, to jest dał 6,000 na pisarza, a 4,000 na skład fantów, to jest, na najęcie izby, bo póki żył, sam u siebie chował fanty i kontrolę utrzymywał (1743—53). Dzieje téj instytucji, z którymi nie czas się tutaj rozwodzić, spisane w wizycie z r. 1779, są dosyć ciekawe. Nareszcie za czasów Śliwickiego weszły w zwyczaj okazałe processyje odprawiane na Boże Ciało od ś-go krzyża po przedmieściu, które za-

kassować chciały processyje ś-to Jańskie. Prawda że już August II sadził się na wystawne ɔltarze i okazanie oryginalnej czci. Najwyższemu w czasie tych processyi przed swoim pałacem saskim. I on i syn jego, ile razy byli w Warszawie podczas Bożego Ciała, zawsze z największą pobożnością towarzyszyli tym processyjom.

Za Stanisława Augusta kościół ś-to krzyski podniósł się nad inne kościoły Warszawy i stanął zaraz obok ś-go Jana. Uroczystościami współzawodniczył z kolegijatą. Od ś-go Krzyża wyruszył orszak koronacyjny króla, potem w kilka miesięcy kościół nasz został uprzywilejowaną świątynią orderu ś-go Stanisława. Odtąd co roku tutaj 8 maja zaczęło się odprawiać uroczyste nabożeństwo orderowe, na którym król bywał i najwyżsi urzędnicy rzeczypospolitej, a kawalerowie do Dzieciątka Jezus co roku za to sypali dukaty z obowiązku. Odtąd świecenie biskupów najczęściej odbywało się w tym kościele poważnym, przestronnym, i wspaniałym. Nie zliczylibyśmy nigdy tych świeceń i tych uroczystości, jakich za jednego Stanisława Augusta, był świadkiem kościół ś-to krzyski.

Powagę Śliwickiego utrzymał i jego następca ksiądz Mikołaj Siemiński, który już w r. 1763 dnia 21 marca przez generała Jacquier'a mianowany został proboszczem s-go Krzyża, a w r. 1774 został wizytatorem zgromadzenia. Siemiński był także ojcem duchownym wizytek. Za niego Młodziejowski zaczął wizytę kościoła 17 maja 1779 r., którą potem ksiądz Okęcki ukończył a w skutku tego w wydanej reformacyi obszerne urządzenie dla seminaryjum zostawił.

Za krótkich rządów proboszcza ks. Wolińskiego dwie uroczystości odbyły się u ś-go krzyża. Jedna processyja ku fundamentom kościoła Opatrzności (1792), druga nabożeństwo żałobne za duszę Ludwika XIV (21 marca 1793). Na jedną z tych uroczystości zdjęto w r. 1792 kratę, która odosobniała chór od nawy kościoła, żeby więcéj się ludzi pomieścić mogło, i już od tego

czasu na zawsze owa krata zniknęła. Wszystkim zaś uroczystościom jakie się tutaj odbywały, zawsze towarzyszyli kadeci z kazimierskiego pałacu. W r. 1792, pokryto téż na nowo miedzią cały kościół, bo dawniejsi robotnicy przez nadużycie chociaż miedzią go pokrywać mieli, ułożyli dach jednak z samych żelaznych blach i ołowianych. W dziejach kościoła warta z tego powodu wspomnienia Anna ze Stanisławskich Zbąska, podkomorzyna lubelska, która dawniej jeszcze przeznaczyła tysiąc złp. na dachówkę i osobno miedź na pokrycie kaplicy (1700).

Ostatniemi proboszczami u ś-go krzyża byli: ks. Józef Jakubowski, który zajmuje znakomite stanowisko w historii naszych zakładów naukowych i w literaturze stanisławowskiej, człowiek z sercem. Z profesora artylleryi i kapitana, misyjonarz. Wizytatorem i proboszczem został w r. 1796. Zdolnościami i poświęceniem się słynął. W czasie powszechnego zepsucia kapłan gorliwy, przykładny, katolicki. Uratował swój zakon od burzy, która się nad nim srożyła; wyrobił u Rządu pruskiego zwrot funduszków kościoła, podniósł nauki w seminaryjum. Za czasów księstwa warszawskiego wszelkimi silami opierał się filozofii, która wtedy wszechwładnie rozpościerała się nawet w stosunkach czysto duchownych pomiędzy pasterzem a jego owieczkami. Wiele dzieł zostawił. Dla tego księdza Jakubowskiego potrzeba nawet uważać za wskrzesiciela pobożności zakonnej. Poświęcony zupełnie kościołowi umarł 19 września 1814 r. ukochany od biskupów. Był téż członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Za ks. Jakubowskiego dolny kościół zajęto na skład wina dla wojska (1807—10); później zaś stało tutaj długi czas ciało księcia Józefa Poniatowskiego, za nim przewiezione zostało do Krakowa. Stąd częste z powodu tego żałobne nabożeństwa, i wiele mów powiedziano, które zбогаły naszą literaturę.

Po nim idzie Michał Szymonowicz wizytator od d. 22 lipca 1817 r. umarł d. 23 czerwca 1826 r. Biografia w Kurjerze warszawskim t. r. Nr. 151. Mamy historyczne opisanie kościoła

ś-go krzyża, przez Szymonowicza ale dosyć błędne. Za niego usunięto zupełnie zajazd do kościoła nieco więcej na ulicę występujący, i galeryją kamienną, z czterema ewangelistami przerobiono, (1818). Przed tém całą tę ogromną przestrzeń przed kościołem zamykano na noc łańcuchami, a karety panów przed same podwoje zajeżdżać mogły.

Paweł Rzymski proboszcz 1830 r.

Adam Nadolski proboszcz 1840 — 5.

Jędrzej Dorobis dzisiejszy wizytator i proboszcz.

Ksiądz Szymonowicz do roku 1825 liczy wszystkich proboszczów ś-go krzyża dwudziestu siedmiu, ale zdaje się, mówi tutaj o samych tylko misyjnarzach.

Dziwna rzecz, że nagrobków wspaniałych kościół ś-to krzyski ma tak nie wiele, a i te co są, po największej części pochodzą już z czasów nowszych. Oprócz Radziejewskiego i Bartłomieja Tarły, jest nagrobek po prawej stronie ołtarza ś-tój Felicysymy, Kazimierza Szczuki biskupa chełmińskiego, przenajzacniejszego człowieka, założyciela klasztoru księży misyjnarzy w Chełmnie (1694 r.). któremu kamień położyło zgromadzenie warszawskie wdzięcznie za to, że do zbudowania domu klasztornego najwięcej się przyłożył po Maryi Ludwice (1682 r.). Dużo tutaj jednak spoczywa w murach kościoła ciał wielkich ongi panów Rzeczypospolitej, chociaż bez nagrobków; leży tutaj książę August Aleksander Czartoryski, wojewoda ruski (umarł 1782), dalej leży Flemming najprzód podskarbi litewski a potem wojewoda pomorski i t. d., w pieczarach pod kaplicą Najświętszej Panny. Obok wielkiego ołtarza jest kamień grobowy Piotra des Noyersa, sekretarza Maryi Ludwiki, którego pamięć teraz znakomicie na tle przeszłości rozbłysła, w Portofolio; Desnoyers umarł późno już za Jana Sobieskiego starostą tucholskim na Pomorzu, w roku 1693 r. Nie wspominamy już o znakomościach samego zgromadzenia które także spoczywają w grobach kościoła, jak np. o Sliwickim. Dodamy tylko, że niegdyś świetne tutaj odbywały się obchody za-

łobne i nabożeństwa; jeden z najwspanialszych takich w całej Polsce obchodów należy słusznie do kroniki kościoła, mówimy tutaj o nabożeństwie żałobném które w lat cztery po śmierci męża swojego Stanisława Denhoffa hetmana polnego litewskiego, a wojewody Potockiego wyprawiła mu u ś-go Krzyża wdowa Zofija z Sieniawskich, potem Czartoryska wojewodzina ruska. Z czasów króla Poniatowskiego, lubo w r. 1817 dopiero zmarła, leży tutaj Ludwika z Rostworowskich Potkańska podkomorzyna sandomierska. Najnowsze pomniki są: Zofii z Matuszewiczów Kickiej, córki ministra skarbu i kasztelana Tadeusza; Walentego Sobolewskiego senatora wojewody i prezesa Rady administracyjnej po księciu namiestnika Zajączku, zmarłego dnia 4 czerwca 1831 r. i Tomasza Grabowskiego senatora kasztelana zmarłego w Dreźnie, 28 października 1840. Pierwszemu zięć z córką Kwileccy, drugiemu żona Olimpija z Tarnowskich te pamiątki wznieśli.

Kościół bogaty jest w malowidła dawniejszych artystów polskich, których dzieła mieszczą się po różnych oltarzach. Posiada piękną bibliotekę, podobno jedną z najbogatszych w Warszawie. Missyjonarze założyli także i mają do dziś dnia drukarnię, która najwięcej zajmuje się odbijaniem dzieł i dziełek treści religijnej. Do parafii należała i mała szkółka elementarna.





KOŚCIÓŁ KSIĘŻY AUGUSTYJANÓW.

przy ulicy Piwniej.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} MARCINA AUGUSTYJANÓW.

(NA ULICY PIWNEJ).

Jeden z najdawniejszych kościołów Warszawy, a z pomiędzy zakonnych, dzisiaj istniejących, najdawniejszy. Był jego przeciąga się już od lat 500.

Ziemowit najprzód ksiązę na Rawie, a potem za zbiegiem okoliczności pan całego Mazowsza, nieprzyjaciel Kaźmierza W^{so} a stronnik Czechów do tego stopnia, że rwał jedność polską, oddając się całkiem w opiekę Karola IV cesarza, był z żoną swoją Eufemiją założycielem kościoła augustyanów w Warszawie. Podania w aktach klasztornych zachowane świadczą: jedno, że ksiązę z żoną bawiąc oboje w Czechach polubili zakon; drugie, że augustyjanie oddawna już jako pustelnicy, znajdowali się w Polsce i że mieszkali wtenczas po lasach, a nawet znajdowali się w samej Warszawie; stąd napis na ścianie kościoła ciechanowskiego świadczy, że w roku 1218 byli już na Mazurach, w Warszawie zaś u dworu ksiąząt kapelanowali. Dopiero kiedy Bonifacy VIII, zakazał wszystkim zakonnikom mieszkać oddzielnie, augustyjanie mieli pomyśleć o stałym siedlisku, ku czemu im pomógł Ziemowit.

W archiwum klasztorneń jest do dziś dnia zachowany przywilej Innocentego VI z d. 5 lipca 1356 r. (2 nonas julii) z którego wyczytujemy, że ksiązę z żoną używszy pośrednictwa nawet do

tego cesarza Karola, pisali prośbę do Papieża o pozwolenie zaprowadzenia klasztorów augustyjańskich do Polski i że na pierwszy raz obiecywali zrobić trzy fundacye, to jest; w Rawie, w Warszawie i w jakim inném miejscu, którego jeszcze wtedy niewybrali (wybórpotém padł na Ciechanów); dalej że zakonnikom tym chcieli powierzyć prace apostolskie około wiernego ludu, i że chcieli ich używać do nawracania Litwy i Rusi, z którymi właśnie Mazowsze graniczyło. Papież pozwolił na te fundacye księciu i żonie jego dopiero w r. 1356, a więc pomylił się Naruszewicz i wszyscy, którzy za nim powtarzali, że już w r. 1353 sprowadzeni byli augustyjanie z Pragi Czeskiej i że książę dla nich w r. 1355 zbudował kościół i klasztor. Naruszewicz zsyłał się (T. IX str. 64 wyd. Bobrowicza) na „oryginalną fundacyą tych zakonników przez Ziemowita,“ a ze słów jednak, które w dziele swoim przytoczył, czerpiem to przekonanie, że nie o fundacyi Ziemowita mówił, ale o przywileju Innocentego VI, i że wyraźnie w dacie się pomylił.

W przywileju papieskim wymienione są już tytuły przyszłych kościołów. Warszawski miał być poświęcony na cześć Ducha ś-go, oraz ś-tych Marcina i Doroty. Do dziś dnia zaś utrzymał się jeden tytuł ś-go Marcina. Otrzymaawszy bullę papieską, książę kościół wymurował w postaci krzyża. Po obudwu zaś jego bokach postawił kaplice: po prawej ze strony Ewangelii ś-go Ducha, po lewej ś-tój Doroty. Kaplica ś-go Ducha służyła jako przedsionek kościołowi; obok niej książę wznosił zakrystyję. Klasztor wybudował na południe, a od przedsionka zakreslił cmentarz dla chowania zmarłych. Przez cmentarz także wchodziło się do kościoła. Z tyłu po za temi zabudowaniami zostawił pole na ogród. Fundusz był na utrzymanie dwunastu księży. Oddawszy potém kościół augustyjanom, podarował im jeszcze książę do wielkiego ołtarza obraz przeniesienia Najświętszej Panny, który potém zasłynął cudami. Ale znakomite fundusze augustyjanów w lat sto upadły, a zdaje się przez złą wolę starszej księżny

mazowieckiej Anny matki Bolesława, która niebardzo widać lubiła zakon ś-go Augustyna.

Pierwsze uposażenie kościoła składało się z placów i ogrodów w samej Warszawie, a po za jej granicami z 7-miu wiosek i miasteczka Cegłowa. Potém pobożność mieszczan warszawskich znacznemi zapisami zbożaciła to pierwotne nadanie. Księżna Anna pragnąc założyć szpital książęcy ś-go Ducha, nieznalazszy nigdzie stosownego ku temu miejsca, musiała już od augustyjanów na ten cel grunta skupować (1431). Radzi nie radzi dali jej augustyjanie grunt darowizną, w nadziei przyszłej opieki panujących w Warszawie książąt, co im Anna obiecywała z największą pewnością, a najwięcej w obawie prześladowania odedworu, na co się zanosilo w przeciwnym razie; radzi nieradzi oddawali więc ogród i część cmentarza. Potém księżna upraszała zakonników, żeby jej pozwolili wybudować pokoje wygodne przy kościele, z prawej strony obok kaplicy ś-go Ducha, dla pomieszkania swego i służących. Pozwolono i na to; —księżna więc znowem wystąpiła pretensyjami. Chciała żeby księża augustyjanie, którzy tyle dóbr posiadali, swoim kosztem wystawili szpital dla chorych; dowodziła albowiem, że dobra te przydzielone były do kaplicy ś-go Ducha i że na ten cel jedynie ofiarowane, przyobiecując uroczyscie, że i majątek i zarząd szpitala pozostanie na zawsze przy zakonie. Kiedy stanął szpital, księżna zawarła komplanacyją z augustyjanami, w której zapewniała im zarząd jego, z oddaleniem pretensyj księży świeckich, którzy już do szpitala zaglądali; obiecywała dalej, że za życia do utrzymania szpitala dokładać się będzie, jakoż miała dawać co rok 60 kop żyta i po 40 dukatów i t. d. Ugodę tę którą spisano w r. 1442 w obecności świadków, oficyjała i kanoników warszawskich; zatwierdził ją Eugenijusz IV, i wykonanie woli swojej polecił nuncyuszowi Jędrzejowi Pallatio, który w pośród bardzo świetnego zebrania w Warszawie szlachty i książąt na urodziny wnuka Bolesława sprowadzonych, ugodę Anny z augustyjanami potwierdził. Nie spodziewali się augu-

styjanie, że kłopot sobie tym szpitalem kupili. Mansyjonarze warszawscy albowiem ubiegli zakonników w łasce księżny, która niedosyć, że warunków układu nie dotrzymywała, że ściany jednej kościoła nie wybudowała, ale jeszcze zawiodła klasztor, bo testamentem swoim oddała mansyjonarzom władzę nad szpitalem (1458 roku), chcąc się więc przy niej księża ś-to jańscy utrzymać, opisali do Rzymu w czarnych kolorach i zarząd szpitala i samo zgromadzenie księży augustyjanów.

Rychło po téj klęsce nastąpiła druga, to jest pożar kościoła. Ogień wszczęty na Dunaju przebiegł całą ulicę Piwną i rozszerzył się aż pod zamek (1478). Kościół augustyjanów wewnątrz cały był zniszczony. Popękały od gorąca marmurowe ołtarze, spłonęły obrazy i nagrobki starożytne, spłonęły także ozdoby kościelne. Jeden tylko obraz z wielkiego ołtarza ocalono. Ocalał też i klasztor dla mocnych sklepień swoich, lubo dach na nim drewniany zupełnie zgorzał. W korytarzach więc za przeformowaniem odbywało się tymczasem nabożeństwo, dopóki arcybiskup gnieźnieński i biskup poznański nie przyszli z pomocą; w listach pasterskich albowiem zachęcali pobożnych do składek dla odbudowania kościoła. W tym celu nadawali odpusty. W istocie nie był to głos wołającego na puszczy: pobożni pośpieszyli prędko z ofiarami, tak że zakonnicy mogli nie tylko dosyć nadobnie wewnątrz odbudować kościół, ale cały klasztor odnowili. Zakrystyją tylko przenieśli wtedy do kaplicy wszystkich Świętych, w dogodniejsze miejsce. Ale pożar mimo to największą krzywdę wyrządził augustyjanom, bo spaliły się w nim wszelkie nadania i przywileje klasztoru. Wojna z mansyjonarzami rozpoczęła się na nowo. Szturmem księża święto-Jańscy opierając się na testamencie księżny Anny i jakichś wyrokach, w lat 30 przeszło po jej śmierci zajęli szpital, a skutkiem tego odpadły od kościoła wszystkie jedenaście wiosek będące dotąd własnością kaplicy ś-go Ducha i miasteczko Ceglów, bo kiedy spory zaczęły się, źle się znalazł przeor Jan rodem z Niemiec, który zarząd

dóbr teraz szpitalnych oddał kapitule, bez wiedzy zakonu i bez żadnych zastrzeżeń; a zakonnicy widząc że nie wskórają przemocą, uciekli się do układów. Na ten cel książęta Janusz i Stanisław z matkąswoją Anną, wyznaczyli kommissyją złożoną z najcelniejszych panów Mazowsza, która tytuł własności dóbr przepisała na mansjonarzy (1517). Stało na tém, że augustyjanie zrzekli się prawa do swoich wiosek, ale z tym warunkiem, żeby zarząd szpitala oddawał im część dochodów z dóbr zabranych. Przyczém zarząd duchowny i administracyją sakramentów w szpitalu augustyjanom zostawiono. Trwało to czas niejakiś (do r. 1526, roku śmierci ostatnich książąt), ale gdy potem i tego nie chcieli mansjonarze oddawać, dając pozór, że na utrzymanie samego szpitala dochody nie wystarczają, augustyjanie zrzekli się i téj nawet pretensyi. Odtąd główne uposażenie zakonu stanowiły, czynsze z placów warszawskich. Ale i tutaj przeszkody spotykali księża augustyjanie. Gdy z czasem ofiar przybywało, zakonnicy z obudwu stron klasztoru zaczęli murować kamienice, w czém bez przestanku im dokuczali prowizorowie szpitalni, którzy podług własnej chime-ry, place klasztorne rozgrodzili od niby szpitalnych, i na nich swoje znowu budowle stawiali. Dzieje tych sporów dosyć zajmujące i charakterystyczne zasługują na to, żeby je osobno w obrazie rozwinać. Zygmunt stary wyrokiem swoim stanowczo, chociaż niesprawiedliwie przysadzając szpital kapitule ś-go Jana, zakończył wprawdzie spory o tytuł własności (1527), ale nie umorzył na zawsze przyczyn sporów sąsiedzkich, które z cierpkością późno się jeszcze z obudwu stron odbywały.

Kościół augustyjanów chociaż tracił na funduszach, coraz więcej jednak za to zyskiwał na powadze. Uwolniwszy się od zarządu szpitala zastąpił swojemi nabożeństwami, nawet znaczeniem polityczném.

Kościół posiada do dziś dnia piękne archiwum, moc przywilejów i wielkie odpusty. Jeszcze w roku 1472 Wincenty biskup eneński suffragan poznański, nadał mu na dzień patrona kościoła

ś-go Marcina wieczne odpusty. Papieże powiększali te nadania, zwłaszcza po odbudowaniu kościoła; Innocenty VIII i Leon X-ty pamiętni są z tego względu w dziejach augustyjanów warszawskich. Leon X szczególnie liczbę odpustów powiększył (1516). Dla ołtarza Pocieszenia N. Panny, przywieziono odpusty i przywileje aż z dalekiego wschodu od patryjarchy konstantynopolitańskiego. Kacper Rzepcha albowiem mieszczanin warszawski, a jak w dyplomie patryjarchy stoi, kollator ołtarza Pocieszenia u augustyjanów w Warszawie, puścił się w daleką w owym czasie do Grobu ś-go wędrówkę; wracając zaś z niej przybił do wyspy Krety, -której arcybiskupem był naówczas Hieronim Lando wenecyanin, łaciński patryjarcha Carogrodu. Rzepcha zrobił widać ślub w Jerozolimie, że za powrotem ołtarz Pocieszenia odbuduje własnym nakładem i ze składek, dla tego upraszał patryjarchy o jakie nowe zaszczyty dla swego ołtarza. Skłonił się do jego życzeń arcybiskup i nadał wielkie odpusty dla odwiedzających ołtarz w ciągu najcelniejszych świąt i w kilka innych dni do roku zwłaszcza uroczyscie obchodzonych w kościele ś-go Marcina (17 października 1485). Biskup Urjel Górka nadanie patryjarchy przyjął (17 lipca 1489 r.).

Politycznego zaś znaczenia nabył kościół od tego czasu, kiedy szlachta ziem mazowieckich, wybrała go sobie na miejsce sejmików; co mniej więcej od wcielenia Mazowsza do Korony stało się zwyczajem, to wkrótce zamieniło się w prawo. Żaden kościół w Warszawie nie był tak właściwy jak augustyjański do odbywania sejmików, bo właściwie żadnego innego nie było w mieście; wszystkie pozostawały po za bramami i na przedmieściach; augustyjanie już znajdowali się na samém pobrzeżu miasta, ogród ich nawet wały okopowe ścisnęły. Kiedy więc kolegijata zostawioną była do ważniejszych uroczystości, augustyjanie dla obradującej szlachty otwarli chętnie swoje bramy i wyszli na tém dobrze, bo kościół podnieśli w znaczeniu. Całe Mazowsze, cała szlachta odtąd знаła augustyjanów i kościół ś-go Marcina stał się

że tak powiemy narodowym kościołem Mazowsza. Często tutaj od wrzawy szlachty szablistej drżały mury klasztorne; czy posłów wybierać na sejm, czy deputatów na trybunał, czy podatki na ziemię rozkładać, czy urzędników mianować, czy konfederować się, wszystko to trzeba było odbywać na tak nazwanych jenerałach mazowieckich w kościele augustyjanów. Wojewodowie, kasztelani, podkomorzowie i wielcy panowie, jenerały te zagajali. Jeżeli czasem krew płynęła po korytarzach, za to kiedy indziej hojnie sypały się ofiary, bo augustyjanie od panów do biednej szlachty, wszędzie mieli naówczas swoich dobrodziejów. Z początku te sejniki były rzadsze, potem im dalej w las tém więcej dREW; zbierały się bez końca jenerały mazowieckie różnych nazwisk, różnych celów: poselskie, deputackie, komissarskie, konfederackie, gospodarskie i t. p. Ktoby chciał spisywać dzieje mazowieckiej szlachty i jej życia politycznego, prawie by nigdy nie wyszedł po za mury tego kościoła. I augustyjanie sprawiedliwie dumni byli z tego zaszczytu, który ich spotykał. Mówili np. że *nobiles et proceres Masoviae sunt patricii ecclesiae et monasterii*, to jest że szlachta jest opiekunką ich kościoła. Umieli nawet z tego położenia rzeczy korzystać, w posłach mazowieckich, w szlachcie w ogóle szukając sobie naturalnych obrońców nawet przed sejmami.

Znaczenie to polityczne kościoła wzrosło najwyżej od czasów panowania Zygmunta III, który stałe sobie obrał mieszkanie w Warszawie, i trwało aż po koniec R-plitej. Najbliżej zamku leżeli w mieście augustyjanie, na krakowskiem przedmieściu zaś bernardyni; innych nawet zakonów nie było jeszcze w Warszawie. Stąd na wszelkich uroczystościach czy dworskich, czy paradnych, na wjazdach, pogrzebach, nabożeństwach głównie od-tąd występują augustyjanie i bernardyni. Czy to kardynał Gaetano przyjechał, a duchowieństwo go szło witać od bramy do Ujazdowa ciągnącej się, czy to pogrzeb królowej Anny Jagiellonki (we wrześniu i październiku 1596 r.), augustyjanie wesolym i smu-

tnym obrzędom towarzyszyć zawsze musieli. Używali też powszechnego szacunku, bo zasługiwali ze wszech miar na to. Przykładnie utrzymywali swój kościół, oddał im tę zaletę kardynał Gaetano, który w czasie krótkiego pobytu swojego odprawiał raz tutaj mszę ś-tą (25 września 1596). A sekretarz jego Mucante dodał wtedy: „jest to kościół nie wielki, lecz wcale piękny.“ Wiele gruntów na Ujazdowie, powiedzmy nawiasem, należało wtedy do kościoła augustyjanów; w archiwum klasztorńm znajdują się dowody tego, które jeszcze końca XV wieku sięgają. Część tych gruntów zakupili dla klasztoru wykonawcy testamentu mieszczanina Ulryka w roku 1495, część zaś książę Janusz w r. 1526 podarował. Dopiero król Zygmunt III pomieniał się z klasztorem: wziął od niego Ujazdów, a dał księżom za to inną wieś Dąbrówkę, którą kupił w okolicy.

Trudno nie wspomnieć tutaj wielce zasłużonego dla swojego kościoła zakonnika, którego nazwisko często się napotyka po aktach urzędowych owego czasu. Z łacińska zakonnik ów zwał się Cornicius, może po polsku Kornicki, Stanisław mu było na imię. Kilkanaście, może kilkadziesiąt lat pracował ojciec Kornicki dla swojego kościoła, piastował tutaj wszystkie zakonne godności, był przeorem. Jego głównie staraniem zaprowadzono tutaj bractwo tak nazwane paskowych ś-go Augustyna i jego matki ś-tój Moniki. Znajdowało się już albowiem od niejakiemu czasu we Włoszech arcybractwo tegoż nazwiska, pod tytułem Pocieszenia N. niepokalanie poczetej Panny, którego główna siedziba była w Bolonii w kościele ś-go Jakóba, arcybractwo obficie nadane przywilejami trzech Grzegorzów papieży XIII, XIV, i XV^{go}. Ojciec Kornicki upraszał jenerała zakonu, żeby mu także bractwo pozwolił założyć w Warszawie u ś-go Marcina i żeby je wcielił do łask i przywilejów arcybractwa. Jenerał Hieronim de Ghetis chętnie na to wszystko pozwolił (w Rzymie 12 kwietnia 1628 r.) i Kornickiego pierwszym dyrektorem bractwa warszawskiego mianował (Confraternia Cinturatorum S. Patris Augustini ac S. Matris Monicae),

na co pargaminowy przywilój do dziś dnia posiadają księży augustyjanie. Jarzemski mało co później kościół augustyjanów tak opisuje: „ma obraz cudowny Matki Boskiej, posąg ś-go Marcina, który część płaszcza swojego ubogiemu daje, cały złocisty. Ojcowie ci utrzymują liczną kapelę, tu się muzycy chowają, i mnie też tu leżyć przyjdzie, — dodaje Jarzemski. Postawili tu włosi oltarz, obraz lauretański cudowny; wiele dewotek i wdówek mieszka przy tym kościele.“ Z tego widać jak troskliwie zakonnicy utrzymywali ciągle świetność swojego kościółka. — W ciągu pół wieku już drugie takie a bardzo poważne do tego świadectwo. Ojcowie mieli się dobrze, chociaż bez dochodów szpitalnych i wiosek byli; muzyka naturalnie kosztowała ich dużo, i widać najświetniejsze msze odbywały się u augustyjanów. Zresztą za czasów Zygmunta III-go, i Władysława IV-go, kwitnęła szczególnież muzyka kościelna w Warszawie. Kornicki jeszcze w r. 1648 był tutaj przeorem, a więc patrzył może na najpiękniejsze czasy kościoła.

Może pożar, który w czasie bezkrólewia po Janie Kazimierzu nastąpił (9 czerwca 1669 r.), a który zniszczył trzy ulice miasta: Piwną, Piekarską i Krzywe koło, który aż pod kościół ś-go Marcina wszystko wypalił, zakończył te świetne czasy. Był i kościół w wielkiem niebezpieczeństwie, co łatwo zrozumieć: zakonnicy pomyśleli najprzód o cudownym obrazie z oltarza wielkiego, chcieli go wyjąć z ram i unieść na inne miejsce, lecz im bardziej, powiada miejscowe podanie, silili się o to, tém silniej ich jakaś moc niewidzialna wstrzymywała, a skoro dali temu pokój poleciwszy ocalenie kościoła zrazu Matce Boskiej, ogień przeniósł się nagle na drugą stronę kościoła i klasztoru, które ocalały i widocznie cudownem zrządzeniem Boskiej Opatrzności, będąc na około objęte płomieniami; podanie też dodaje, że N. Panna zjawiła się wtedy po nad szczytami kościoła i płaszczem swoim zasłaniała gmachy od pożaru. Spaliły się tylko obok samego kościoła dwa domy szpitalne. Król Michał uwolnił od cięża-

rów publicznych kamieniczkę z klasztorem złączoną, a sejm w r. 1677 zatwierdził (Vol. Leg. V. 487), ale bodaj nie ta kamieniczka dała powód, do nowych zajęć z prowizorami szpitala. Rzecz dziwna że zawsze po tych wielkich pożarach odnawiały się sprzeczki kościoła ze szpitalem, chociaż właściwie mówiąc spory te nigdy na chwilę nawet nie ustawały. Za Zygmunta III tak daleko zaszło, że aż uciekano się do gwałtów. W roku 1614 stanowczo mansyjonarze oświadczyli augustyjanom, że nie im nie będą już płacić z dochodów szpitala, nawet wbrew ostatnim rozporządzeniom króla, Zygmunta starego. Szukali więc łatwój sposobności do sporów i do nowego zerwania, które naturalnie łatwo się nadarzyło.

Była brama, która prowadziła z kościoła prosto do szpitala zamykająca się z zakrystyi; wizytował wtenczas klasztory polskie wikaryjusz jeneralski, który dowiedziawszy się w Warszawie o tych nieporozumieniach z księżmi szpitalnemi, sam własną wolą nie przestrzegłszy kapituły bramę zamurował i w niej ołtarz ś-go Wilhelma postawił. Księża szpitalni skarżyli się do nuncyjusza, ale już za późno było; więc spędziwszy ludzi i bramę zamurowaną i ołtarz obalili. Ojcowie zebrani wtedy na obiad wypadli bronić kościoła, a przeor na gwałt, jakby na pożar kazał uderzyć we dzwony i na ołtarzu zniszczonym postawił przenajświętszy Sakrament. Wtedy zbiegowisko zrobiło się ogromne, ludzie ze wszech stron zbiegli się z kijami i z bronią zaślaniać kościół; zgiełk i wrzawa powstały w mieście. Król się przeląkł ulicznego rozruchu; wikary jeneralski domagał się u nuncyjusza, żeby rzucił klątwę na księży szpitalnych, ale nuncyusz czy ujęty był dla drugiej strony, czy też przekonany był o większej winie zakonników długo zwłóczył i wreszcie im samym zagroził klątwą (1614). Rzecz się tą razą pogodziła, mimo to nieporozumienia zostały. Zdaje się, że księża szpitalni jawnie i wówczas szukać zaczęli zaczepki. Bo r. 1645 na cmentarzu klasztor-nym zbudowali sobie samowolnie gmach okazały, z którego ogromne pobierali dóchody; nie dosyć na tém, że oparli te mury o za-

krystyją i przez to wejście dawne od ulicy do kościoła zatarasowali, ale jeszcze wysokością murów swoich odbierali światło, bo naprzeciwko jedynego okna kościelnego od południa wzniesli kamienicę potwornéj wysokości i wszystek ściek wody ze swoich budowli obrócili zupełnie na stronę klasztorną. Augustyjanie musieli część wewnętrzną swojego klasztoru z przeciwnéj strony kościoła otworzyć dla wygody publicznej, i takim sposobem nowe wejście do świątyni przygotować pobożnym. Biblijoteka, która była wtedy w zakrystyi i sprzęt święty tam przechowywany, zaczęły nasiąkać wilgocią, bo woda z dachów kościelnych spadając, już nie spływała na ziemię, ale opierała się o mur i wsiąkała powoli w zabudowania klasztorne. Co więcćj, studnię wykopali księży szpitalni pod fundamentami kościoła; stąd rysy w wielu miejscach pokazały się na murze, a kościół groził lada chwila ruinami. Sąsiedztwo zle dokuczyło okropnie augustyjanom. Wtenczas kiedy kościół cieszył się najwięćj swoją uznaną powagą, płakał razem nad swoją przyszłością. Nie było nawet sposobu żeby zapobiedz grożącemu nieszczęściu, bo choćby znalazł się i fundusz do naprawy tego, co zepsute było, augustyjanie ściśnięci ze wszech stron jak w kleszczach, nie znaleźli nawet swobodnego miejsca na około siebie, na którém mogliby położyć cegły, rozrabiać wapno i piasek. Wszystkie te roboty księży szpitalnych a jest ich nierównie więcćj w skardze, którą augustyjanie zanieśli aż do Rzymu, wszystkie te systematyczne że tak powiemy prześladowania, najmocnićj się rozwinęły w czasie od 1645 do 1682 r. Klasztor stracił wreszcie cierpliwość i wydał wojnę kapitule ś-to Jańskieję na śmierć; już mu nie szło o małe rzeczy, ale o wszystko, chciał odzyskać wszystkie swoje grunta, które utracił od czasu księżnéj Anny dla szpitala, chciał odzyskać wszystkie budowle, a mianowicie kaplicę ś-go Ducha, to jest, dawną zakrystyją, dochody, szpital sam i ulicę, którą niedawno jeszcze było przejście do kościoła, cmentarz cały i t. d. Opierał się na téj zasadzie, że nadania przez Ziemowita poczy-

nione nie były dla jednego klasztoru, ale dla całej prowincyi, dla zakonu, więc ojcowie warszawscy nie mieli prawa ustępować księżnie Annie własności, która nie do nich należała, ale mógł to zrobić jedynie zakon na kapitule jeneralną zebrany i dla tego zakon, kiedy w nuncyjaturze nie znalazł sprawiedliwości, więc jednocześnie apelował do sejmu i do Rzymu. Sprawę tę prowadził przeor ks. Augustyn Urbanowicz bakałarz ś-tój teologii (1682—3).

Innych za to nieprzyjaciół kościół augustyjanów przerobił na serdecznych swoich sprzymierzeńców. Jezuici ze ś-to Jańskiej ulicy, ostrzyli dawno zęby na kościół ś-go Marcina, zwłaszcza że tak ich samych znajdował się blisko. Żeby dojść do celu, użyli na to podstępu. Namówili jakąś wdowę żeby wyprawila żałobne nabożeństwo u augustyjanów za duszę męża, a potem żeby do siebie sprosiła zakonników na objad. W istocie wyszli wszyscy z przeorem, zostawiwszy jednego tylko furtyjana braciszka, lecz i tego wymanił z klasztoru wyznaczony na ten cel jezuita, zmyślając przed braciszkiem, że przeor go wołał, a obiecując przez ten czas pilnować furty. Wziąwszy więc klucze od braciszka zaraz dał znać do swojego collegijum, a wtedy jezuita naszli i prawnie niby, jako bez właściciela prawem kaduka zajęli kościół i klasztor. Przeor dowiedziawszy się o tym wypadku, ruszył zaraz z zakonnikami do domu, ale gdy do klasztoru zamkniętego dostać się nie mógł, musiał starać się o tymczasowe swoich księży gdzie w domach sąsiednich pomieszczenie, a sprawę wytoczył o najście razem do sądów świeckich i duchownych. Za silném wstawieniem się rajców miasta, nakazano ustąpić jezuitom, ale wiadomość o tém wszystkiém zaszła swoją drogą do Rzymu i papież na wieczny wstyd jezuitów nakazał im, żeby jako zadosyć uczynienie co roku na dzień 5ty maja, w którym obchodzono nawrócenie się ś-go Augustyna, uroczyście w kościele ś-go Marcina celebrowali mszę śpiewaną ze swoją assystencyją, z kazaniami, rano i po południu, z których popołudniowe po łacinie i na cześć patryjarchy zakonu poświęcone być miało. Wypadek ten

cały zapisujemy tutaj, tak jak go nam w wypisie z akt klasztornych podano i nie bierzem żadnej stąd na siebie odpowiedzialności. Augustyjanie przyznają, że Jezuici wiernie dopełniali aż do swojej kassaty zobowiązań, które im Stolica apostolska narzuciła. Zdarzenie to miało być w roku 1628.

Burzliwe dosyć życie było jak widzimy, kościoła augustyjanów. Ciągłe upływało w sporach. Nareszcie po tylu latach spadła po raz pierwszy na kościół kłątwa z powodu szlachty. Zaledwie w r. 1695 ołtarz wielki na nowo wybudowano i wyzłocono, zebrał się tutaj zwyczajem swoim sejmik, na którym rozbiérano drażliwą bardzo rzecz o podatkach. Pokłóciwszy się ziemianie, schwycili za szable i rąbać się zaczęli i był rozlew krwi duży. Władza duchowna oczywiście nałożyła zaraz interdykt i kościół zamknęto aż do czasu, w którym za pozwoleniem biskupa nastąpiła rekonyliacyja. Potém za czasów saskich już nie same tylko sejmiki odbywały się w kościele i w klasztorze, ale różne szlacheckie uroczystości. Panowie na korytarzach tutejszych częstowali gości; to nowy starosta np. wjeżdżał na gród warszawski, zaraz przedstawiał się szlachcie u augustyjanów i do klasztoru na ucztę ją zapraszał (23 października 1742 r. Mikołaj Święcicki), to wojewoda mazowiecki obejmując urząd, tutaj się najprzód zapoznawał z bracią szlachtą.

Pobożna Maryja Józefa żona Augusta III, która po kolei bawiąc w stolicy, chodziła zwykle po wszystkich kościołach warszawskich, nie raz i u augustyjanów się modliła (27 czerwca 1744 r.). W czasie jednego z jej pobytów w naszym mieście, ksiądz Franciszek Kobielski biskup łucki, kanclerz królówój poświęcał kościół augustyjanów (28 sierpnia 1744 r.). W wigilię tego dnia uroczystego królowa znajdowała się tutaj razem z córkami na pierwszych nieszpórach, które celebrował biskup łucki. Był to dzień ś-go patryjarchy zakonu; od tego czasu nabożeństwa i odpusty zaczynają się i trwają w kościele tym przez cały wrzesień. Po konsekracyi następowała uroczystość Pocieszenia

Najświętszej Panny i na zakończeniu tegoż nabożeństwa, które się odbywało z kazaniem, nieszporem i processją była także z córkami królowa (6 września t. r.). Do wrześniowych uroczystości przybyła później jeszcze jedna przez zaprowadzenie nowego bractwa ś-ój Tekli. Bractwo to zawiązało się już dawniej, ale erekcyją kanoniczną i błogosławieństwa otrzymali dopiero od papieża w początkach panowania Stanisława Augusta (11 grudnia 1764 r.). Kiedy zaś oficyał warszawski ksiądz Turski przyjął bractwo (12 stycznia 1765 r.), publiczne jego wprowadzenie odbyło się z kościoła kapucynów do augustyjanów (1 czerwca 1765 r.). Świetny opis téj uroczystości zawierają ówczesne addytamenta do gazet. W późniejszym jeszcze czasie oficyałowie biskupi, Okęcki i Aleksandrowicz nowemi nadaniami znaczenie tego bractwa podnieśli.

Dla wielu bogatych mieszczan warszawskich kościół augustyjanów był czemś tak rodzinném jak dla szlachty. Czempinścy za panowania Stanisława Augusta najzasłużeńsi w stolicy, a szczególnie na Starem Mieście, wielkie do kościoła tego mieli nabożeństwo. Jeden z nich Ambroży Tomasz metrykant skarbu koronnego, uczynił tutaj zapis na mszę mającą się odprawić o godzinie dwunastej w południe i otrzymał



Pomnik Czempinśkiego.

na nią dyspensę z samego Rzymu: chciał przez to zasłużyć się względem osób zatrudnionych urzędowaniem w godzinach przedpołudniowych, i stąd narażonych na opuszczenie mszy świętej. W kaplicy augustyjanów, gdzie owa msza dotąd się odmawia i odmawiać będzie po wieczne

czasy, znajduje się popiersie dobroczyńcy z marmuru wykute

ze stosownym napisem, jedyny okazalszy nagrobek w kościele; umarł Czempiński r. 1777...

Zresztą nagrobków ważnych wcale kościół nie posiada i te kilka które są, z naszych już pochodzą czasów; proste to kamienie z napisami wsunięte w mury kościelne i dla osób nieznanym w świecie.

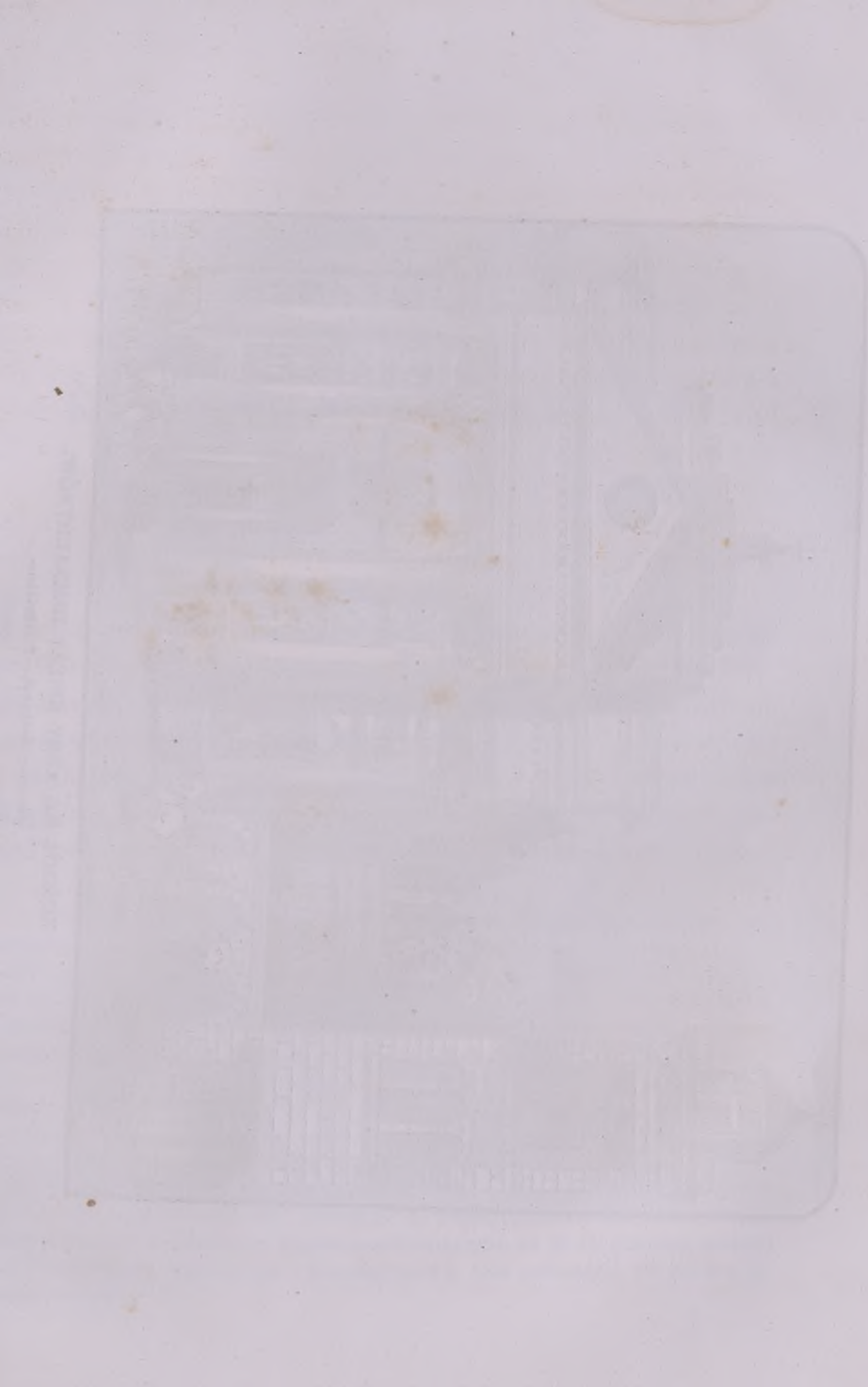
Prusacy zabrali jedyną wieś klasztorną Dąbrówkę na rząd i wyznaczili za to klasztorowi kompetencyją złp. 255 na kwartał, co zaledwie piątą część dochodu rocznego stanowiło.

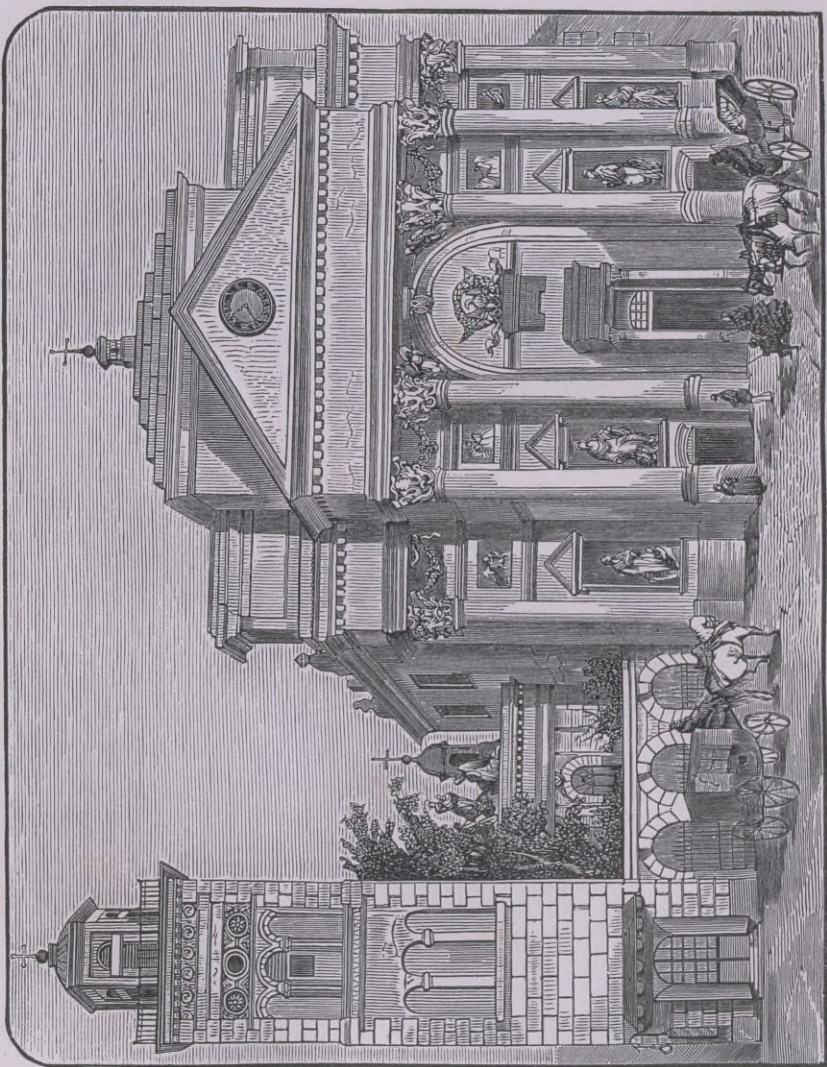
W r. 1824 i 1825 zajął się zupełną restauracją gmachów kościelnych ksiądz przeor Alipi Niedzielski. Ołtarz wielki razem z dwoma obok kazał pozłocić, odczyścić i wylakierować. Toż samo wielkie presbiterjum i ambonę odnowił, a jedno i drugie wyzłocił. Chór dla kapeli dał wymalować, organy wyporządził, świeżą przyozdobił malaturą, zakrystyją także wyporządził, sklepienie kościoła umocnił. Dach pod dachówkę cały kazał wybielić. Klasztor poprzednio był jeszcze, zaraz po rewolucyi francuskiej wyporządzony wewnątrz i zewnątrz i dachówką przykryty. Ksiądz Alipi miał także z akt klasztornych spisać historiją kościoła warszawskiego ś-go Marcina, ale do tego nie przyszło.

Przy kościele dzisiejszym mieści się biblijoteka która posiada dosyć książek, a może nawet rzadkich: sala na nią przeznaczona piękna i ogromna, kiedyś miała na suficie malowidła alfresco. Prócz tego znajduje się tutaj nowicyjat, który szczególnie podupadł od czasów pruskich, kiedy wstęp do zgromadzeń zakonnych w ogólności utrudniono. Nareszcie księża augustyjanie utrzymują szkółkę elementarną, w której dzieci miejskie uczą katechizmu, czytać, pisać, rachować, oraz początków języka łacińskiego i niemieckiego. Nabożeństw dorocznych ciągle wiele się odbywa.

Pomiędzy dawnymi przeorami klasztoru warszawskiego augustyjanów, spotykamy wiele nazwisk szlacheckich i fakt ten nie powinien dziwić z tego względu, że kościół sam był arcyszlache-

eki dla swoich sejmików. W r. 1613 przeorem był tutaj Bartłomiej Łebkowski; potem w lat sto występuje Mikołaj Wodziński obrany prowincyjalem polskim w Rimini 1739 r. człowiek tak rozległej sławy, że Janocki pomieścił go w swoim Słowniku współczesnych uczonych polskich i t. d. Wojciech Kocierzyński w r. 1784. Są też i nie szlachta między przeorami. Jeden z tych mianowicie ksiądz Wawrzyniec Czepański był doktorem pisma ś-go i po różnych miejscach uczył teologii i filozofii, cenzor ksiąg w dyjecezyi poznańskiej, przeorem był w Krakowie, w Warszawie i t. d. Nigdy nie próżnował, wiele pisał i czytał. Kochał się w alchemii i we Francyi, bo w samym Paryżu skończył nauki wyzwolone. Umarł w sam dzień ś-go Augustyna 28 sierpnia 1724 r. w Krakowie.





KOŚCIÓŁ Ś.ój ANNY KSIĘŻY BERNARDYNÓW.
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście.

KOŚCIÓŁ Ś^{tej} ANNY BERNARDYNÓW

NA KRAKOWSKIEM PRZEDMIEŚCIU (*).

Dzieje zachowały nam o początkach kościoła bernardynskiego w Warszawie następującą wiadomość: — Anna, wdowa po Władysławie książęciu mazowieckim, znajdowała się w Krakowie na uroczystościach weselnych króla Kazimierza z Elżbietą rakuską i na ślubie, który dawał królestwu sławny świętobliwość Jan Kapistran zakonnik braci mniejszych. Dziewięć miesięcy przepełdził natchniony kapłan w stolicy od króla i od kardynała Zbignie-

(*) Kościół bernardynski w Warszawie nie ma żadnej o sobie drukowanej kroniki, ale ma pisaną pod tytułem: „*Fulera antiquitatis et posteritatis, id est, archivum conventus varsoviensis fratrum minorum observantium ad S. Annam in suburbio cracoviensi compilatum, opera F. P. Joannis Kamińskiego, provinciae ejusdem ex-Ministri ac Chronologi, anno 1729. Liber primus archivi ab anno foundationis*“ Jest to książka prześlicznie i wyraźnie napisana, która rok za rokiem wspomnienia klasztoru podaje, wprowadzie bez żadnej krytyki, ale zawsze ma wysoką wartość z tego powodu, że wszelkie przywileje, ugody i listy prywatne dotyczące klasztoru, jakie miał jeszcze w r. 1729 Kamiński pod ręką, tutaj w ciągu opowiadania swojego pomieścił. Wyznajem, żeśmy wiele tutaj winni temu sumiennemu chronologowi. Jest wprowadzie i drugi tom onych *Fulera* (tytuł cały jak wyżej): zaczął go za gwardyjaństwa Józefa Górskiego spisywać „*F. P. Ant. Kunin dignus praedicator glis, ad M. D. gloriam, proximi uti-litatem et sui contemptum*“; kronikę tę od r. 1531 prowadził, ale już bez żadnej wartości.

wa z wielką czcią zawsze podejmowany, nieustannie lud nauczał z umyślnie na ten koniec urządzonej kazalnicy przy kościele świętego Wacława, i cuda czynił, co zawsze niezmierne tłumy ludu ściągało ciągle do Krakowa. Kardynał Zbigniew zbudował przez wzgląd na cześć tego świętego męża, kościół Ś-go Bernarda przy zamku i oddał go braciom mniejszym, a zapal, jaki z tego powodu ogarnął ówczesną młodzież polską do nowego zakonu, był tak wielki, że w krótkim przeciągu czasu przeszło do sto osób przyjęło kaptur i suknię, a w ich liczbie i Jan z Mielsztyna, świetnego rodu i wielkich dostatków młodzieniec. Od kościoła Ś-go Bernarda zakon w Polsce bernardynami zwać poczęto.

Księżna Anna podzielała razem z innemi cześć dla świętobliwego męża Kapistrana, i zaraz na miejscu zaczęła go prosić, żeby kilku zakonników dał jój do Warszawy, gdzie również pragnęła im wystawić klasztor. Usłuchał Kapistran i dał księżnie sześciu braci Ś-go Franciszka, nad którymi przełożył ojca Jakóba z Głogowy. Ci zakonnicy towarzyszyli księżnie w podróży z Krakowa do Warszawy. Za przybyciem do stolicy Mazowsza, niedaleko zamku, po za murami jednak miasta, kazała Anna kopać fundamenta dla nowego kościoła, który od imienia swojej patronki na cześć Ś-tój Anny chciała wystawić. Ale, podanie mówi, że ziemia raz wraz usuwała się pod kopaczami, i księża bernardyni coraz z większym żalem zaczęli się przekonywać, że gruntu dokopać się nie można; już byli w rozpacz, kiedy nagle Ś-ta Anna ukazała im się, a zachęcając do pracy, kazała nie zważać na trudności i coraz głębiej kopać. W istocie, tą razą nie zawiedli się i zakonnicy i pobożna założycielka, bo trafiwszy wreszcie na grunt stały, założyli mocne zaraz posady budowie, która się wzniosła piorunem, z cegieł murowana. Stanął kościół wprzód, a potem klasztor. Kiedy roboty skończono, biskup poznański, którym był wtedy Jędrzej z Bnina Opaliński, uroczystie do gmachów wprowadził zakonników na dniu Ś-tój Barbary, to jest 4go grudnia 1454 r. Takim sposobem klasztor warszawski był

drugim bernardyńskim w całej Polsce. Z Krakowa i z Warszawy rozeszli się bracia ś-go Franciszka dawniej reguly (de observantia) po całej Koronie i Litwie, a rośli tak prędko u nas w klasztorach, że niedługo poczęli myśleć o wydzieleniu się na osobną prowincyją, gdy dotąd jedność razem z Austryją i Czechami składali. Wzrostowi zakonu wiele sprzyjała ta okoliczność, że pomiędzy bernardynami polskimi znajdowało się wtedy wielu mularzy, budowniczych i wszelkiego rodzaju sztukmistrzów, tak dalece, że nie w jedném miejscu mogli budować klasztory nawet bez pomocy świeckich ludzi, przy opiece tylko dobrodziejów. Klasztor warszawski i z tego powodu jest w dziejach zakonu bernardyńskiego pamiętny, że w nim wiele odbywało się pierwotnych kapituł, które wszelki wpływ wywarły na losy tego zgromadzenia w Polsce; jakoż najważniejsze wypadki i urządzenia dotyczące się karności, praw i rządu samego, po większej części obmyślane bywały w Warszawie, tak w XV wieku jak i w późniejszych, bo najprzód Warszawa była więcćj środkowym punktem kraju, a potem została stolicą, i dla tego właśnie ściągała na siebie więcćj niż inne miejsca uwagę starszyny zakonnój.

Wydzielenie się prowincyi polskiej z austryjacko-czeskiej, nastąpiło wprawdzie na kapitule w Krakowie 1467 r., ale Maryjan z Jeziorka wybrany tam prowincyjałem polskim, zjechał zaraz do Warszawy, gdzie złożył kapitułę (na d. 6 stycznia 1468 r.) i ogłosiwszy swoją władzę, do nowo założonych klasztorów, to jest: do Wilna, Radomia, Łowicza i Warty, powybierał ze starszemi ojcami gwardyjanów. Z temi nowemi klasztorami, zakon już liczył w Polsce szesnaście kościołów. Maryjan z Jeziorka obrany prowincyjałem i na drugiej kapitule w Warszawie, na której stanął kościół tykociński (1480 r.), myślał jeszcze o podziale prowincyi na kustodyje, i starał się o to w Assyżu na kapitule jeneralnej przez posłów (1487), bo sam jako starzec, nie mógł już przedsiębrać tak dalekiej podróży. Stąd, za powrotem posłów z Assyża, w klasztorze warszawskim zebrala się trzecia kapituła,

na której już prezydował następca Maryjana w godności, Władysław z Gielniowa: prowincyją ogromne przestrzenie kraju obejmującą, rozdzielono tutaj na trzy kustodyje, których stolicami zostały podług trzech wielkich kawałów Rzeczypospolitej: w małej Polsce Kraków, w wielkiej Polsce Poznań, w Litwie zaś Wilno. Warszawa przegrała tutaj sprawę z Poznaniem, bo podług wszelkiej sprawiedliwości jej się należało pierwsze miejsce w kustodii, ile że założenie klasztoru warszawskiego o dwa lata uprzedziło klasztor poznański. Ale tą razą Warszawa dla tego pewnie przegrała sprawę, że była miastem mazowieckim, a więc czemś obcym i zagranicznym w całej polskiej ojczyźnie, w Koronie.

Niezmiernie piękne były początki zakonu bernardyńskiego w Polsce. Świętobliwi, bogobojni mężowie szeroko sławę pobożnego zgromadzenia roznieśli. Nie mówim już o samym ich założycielu u nas Kapistranie, który świętym został, bo oprócz niego, zakon na wiele nieskalanego życia ludzi, mógł z dumą jako na swoich członków ukazać. Klasztor warszawski ma z tego również chlubę, bo ci ludzie potulni piastowali z kolei w nim godności miejscowe, lub tutaj z nad Wisły zarządzali sprawami całego zgromadzenia. Do tych ludzi należy Jakób z Głogowy, który przed czasem wydzielenia się trzech prowincyj, był ostatnim wszystkich trzech wikarym i Rafał z Proszowic, człowiek, który świętobliwością życia szeroko zasłynął. Podobny jemu świętobliwością był ojciec Ludwik z Warki i braciszek Ludwik z Koźła, których ciała tu w kościele warszawskim spoczywają; dalej Maryjan z Jeziorka (um. 1490), błogosławiony Michał Bał, a co najważniejsza, Władysław z Gielniowa, jeden z dzisiejszych świętych patronów ziemi polskiej.

Żaden klasztor bernardyński w Polsce nie ma tyle wspomnień po błogosławionym Władysławie z Gielniowa co warszawski. Najpierwsze dzieje naszego kościoła już się związały z tym imieniem i ciągle je powtarzają. Całe prawie życie świętego spłynęło w Warszawie, i prac jego apostołskich świadkiem

był ciągle nasz klasztor przez lat kilkadziesiąt. Kościoła warszawskiego Władysław z Gielniowa jest pierwszą i największą znakomitością. Syn mieszczanina z ziemi opoczyńskiej Piotra, przybył do Warszawy Władysław młodzieńcem i tutaj w klasztorze ś-tój Anny przyjął suknię zakonną (1 sierpnia 1468). Tutaj przechodził po wszystkich stopniach zakonnych godności, aż stanął na pierwszym. Tutaj święte składał polskie i łacińskie pieśni, które potem lud pobożny i zakonnicy nucili po nabożeństwach lub po kazaniach w kościele (np. pieśń „Jezusa Judasz sprzedał, Jezus Nazarenus rex Judeorum, Exurgat et auferat gentes paganorum“ i t. d.), tutaj złożył prowincjalstwo na kapitule 1490 r., świeżo co powróciwszy od jenerała z Urbinu, i władzę swoją przekazał Michałowi Balowi, także świętobliwemu zakonnikowi, który z zarazy umarł w r. 1495. Władysław nabył tak przeważnego wpływu w swoim zakonie, że chociaż złożył dostojność swoją, zawsze bernardyni uciekali się do jego rady i opieki; ciągle im też przewodniczył i żadnej pracy się nie lękał, żył jedynie poświęceniem się i pobożnością. Przeciw Turkom głosił krucjaty. Gromadził kapituły do Warszawy, na których obierano prowincjalów (1499 r.) Zakon, kiedy już dobrze Władysław zaszedł w lata, chciał mu dać spokoju, żeby odpoczął po tylu trudach, i dla tego pozwolił ojcu wybrać sobie jakie miejsce na mieszkanie i chciał braciszka jakiego wyłącznie do usług mu wyznaczyć. Ale się przeląkł tych prośb świętobliwy Władysław; przysiągł zakonowi na posłuszeństwo i pracę, więc odpoczynku nie chciał, za wszystkie wygody podziękował i prosił o pracę. Obrany więc w Krakowie 1504 r. gwardyjanem warszawskim, jeszcze i kaznodziejstwo w klasztorze ś-tój Anny przyjął, ale były to już ostatnie błogosławionego prace. Jest podanie, że na wielki piątek miał ojciec Władysław w kościele swoim kazanie o męce Pańskiej, na którym się znajdowała ogromna moc ludu, nabożeństwo się przeciągnęło późno w noc, bo kaznodzieja wpadł w tak niezwykle zachwycenie, że nawet podniósł się nad ambonę: wy-

silenie spowodowało chorobę, miesiąc Władysław cierpiał, aż wreszcie zakończył ziemski swój zawód w dniu 4 maja 1505 r. Tutaj śmierć znalazł, gdzie przywdział zakonną sukienkę. Pracował w zakonie lat 40 i 9 miesięcy. Warszawa płakała zgonu świętobliwego męża, którego zakonnicy pochowali w środku chóru. Niedługo nad grobem jego zasłynęły cuda (*).

We dwa lata po śmierci Władysława pożar nawiedził kościół bernardynów warszawskich. Łatwo spalił się mur tak nazwany pruski. Gwardyjan Antoni z Biecza wziął się do odbudowania Domu Bożego, z podstaw zaczął murować najprzód klasztor, a w nim refektarz i kuchnię: pieniędzy dostarczał jakiś Baltazar mieszczanin warszawski (1510 r.). Następca jego Jan z Komorowa, pierwszy dokładniejszy chronolog prowincyi, dokończył odbudowy; wystawił kościół, klasztor na dole i na górze, po nad całym gmachem zarzucił więzania i dachy, ale zaledwie skończył pracę, we dwa lata nowy pożar i tą razą już z umyślnego podpalenia wynikły, w którym zgorzało całe prawie przedmieście, zniszczył klasztor bernardyński z kościołem. Komorowski pojechał na kapitułę do Samborza skarżyć się i ubolewać nad nieszczęściem i tutaj mila go spotkała niespodzianka (1515 r.), albowiem Beata z Tęczyńskich Odrowążowa wojewodzina ruska, która założyła i zbudowała po raz drugi klasztor bernardyński w Samborzu, popierała silnie na kapitule sprawę kościoła warszawskiego; jednocześnie z ofiarami na ten cel zgłosili się księżna Anna Radziwiłówna, wdowa po Konradzie mazowieckim i Jan Lubrański biskup poznański. Komorowski obrany na nowo w Samborzu gwardyjanem warszawskim, wrócił do naszego miasta i zajął się gorliwie trzecią już odbudową kościoła, co naturalnie

(*) Następne kapitule, o których w tekście nie ma wzmianki, a które według chronologii ks. Kamińskiego, odbywały się w klasztorze warszawskim, miały miejsce w latach: 1495, 1503, 1523, 1538, 1554, 1585 (na tej kapitule znajdował się kommisarz jeneralski Annibal Rosselli). Na kapitule tutaj odbytej 8 sierpnia 1602 r. przyjęto fundacyą w Kalwaryi Zebrzydowskięj. Inne kapitule 1611, 1703 i t. d.

przy takich pomocach przyszło mu bardzo łatwo. Napływ ten ze wszech stron ofiar dobroczynnych, (bo i mieszczanie warszawscy rozłakomieni pobożnością, zaczęli zbierać składki i jałmużny na fabrykę) był powodem, że w ciągu budowy już tworzyły się nowe dla ozdoby świątyni pomysły i że sama budowa przeciągnęła się na dłuższe lata, jak wyrokowano. Komorowski nie skończył stawiać gmachu, ale nastąpili po nim inni gwardyjanie, którzy ciągnęli dalej rozpoczętą robotę. Księżna Anna mazowiecka szczególnie łożyła na sam kościół. Rozszerzony znacznie, podzielił się teraz kościół na trzy nawy, bo do dawnych trzech kolumn na prawo, które jeden bok świątyni stanowiły, księżna kazała dostawić trzy na lewo i takim sposobem drugą nawę boczną wzniosła. Kościół przez to z małego stał się przestronnym, z dosyć skromnego piękniejszym i wspanialszym; jedném słowem, stał się jak powiada kronika kościelna, lubująca się w makaronicznego czasu ozdobach stylu i dowcipach „ex angusto templum augustum.“ Biskup Lubrański zaś zbudował jako wielki przyjaciel bernardynów mniejszą nawę, czyli chór z nakryciem i sklepieniem. Księżna Anna nie doczekała końca odbudowy, ale umierając (15 marca 1522 r.), zapisała jeszcze tysiąc złotych na fabrykę. Pochowano ją za to w kościele u bernardynów i grobowiec z pięknym napisem umieszczono w ścianie na lewo od wielkiego ołtarza, zaraz przy stallach. Naturalnie, synowie powinni byli spłacić kościołowi dług matki. Stanisław oddał swoje pięćset złotych, ale Janusz opętany przez złych (znowu wyrażenie się kroniki klasztornej), dał tylko dziewięćdziesiąt, żądał jednak kwitu od kościoła na całą sumę: trudno się było oprzeć władzy panującego księcia. Janusz otrzymał więc kwit od syndyka w imieniu po raz trzeci obranego gwardyjanem warszawskim Komorowskiego. Cała budowa ukończyła się wreszcie w r. 1533. W tym przeciągu czasu klasztor warszawski razem ze lwowskim na kapitule lubelskiej podniesione zostały do stopnia klasztorów kustodyjalnych (1518). Jednocześnie z tém prawie, o kilka lat później głód i za-

raza srożyły się w Warszawie, a kiedy ustały, lud przypisywał to opiece nad miastem świętobliwego Władysława z Gielniowa (1522).

W ciągu pół wieku tak ogromnie w oczach ludu wyolbrzymiała postać, a w wyobraźni ludu tak wszechmocnie rozwieliła się pamięć cnót i zasług prostego zakonnika, że Władysławowi z Gielniowa publiczną już cześć w tutejszym kościele oddawać zaczęto. Odgłos ogólnego uwielbienia dla tej pamięci przeniknął do wyższych nawet stref społeczeństwa; zajęło się tą sprawą zaraz duchowieństwo, wreszcie postanowiono podnieść ku czci publicznej z grobu kości świętobliwego męża. Głównym popieraczem tej myśli był zacny i katolicki prawdziwie biskup, sławny w dziejach Stanisław Karnkowski. Sam obrzęd podniesienia odbył się z wielką wystawnością. Na ten cel Karnkowski uprosił dla siebie pozwolenie dwóch nuncyuszów, którzy się wtedy znajdowali w Polsce, to jest kardynałów Commendoniego i Portica, uprosił także biskupa poznańskiego, że mu pozwolił rozporządzać się tém w swojej diecezyi. W czasie sejmu, w obec króla, Anny Jagielonki, obudwu kardynałów włoskich, w obec senatu, biskupów, posłów i masy ludu, Karnkowski dopełnił uroczystego obrzędu (1572). Podanie mówi, że gdy z rozkazu biskupa kamień z sarkofagu podjęto, kości świętobliwego ujrzeli wszyscy na wierzchu grobowca pod samym marmurem nie zaś w grobie jak były pochowane; obmyto je w winie, zamknięto, opieczętowano i złożono w ścianie na prawo od wielkiego ołtarza; zawalono dalej wielkim kamieniem to miejsce, na kamieniu obraz wyrżnięto leżącego Władysława, u góry nad nowym grobowcem powieszono inny jego obraz malowany na drzewie; na prawo zaś od tego pomnika zaczęto budować ołtarz, który się wkrótce przemienił w osobną kaplicę, i na tym ołtarzu msza święta codziennie odprawiać się zaczęła (*). Żył jakiś w tej epo-

(*) Chronograf ks. Kamiński powiada, że uroczystość podniesienia odbyła się w oktawę 5-tęj Anny i w czasie sejmu 1572 r. Są to dwie jasne sprze-

ce w zakonie kaznodzieja i poeta doskonały ksiądz Fabijan Orzeszkowski, który prawie dotykał się błogosławionego, a przynajmniej żywe o nim znalazł jeszcze podania u bernardynów. Ksiądz Fabijan piérwszy napisał życie jego i Rafała z Proszowic, czém się bardzo wiele do sławy pobożnego zakonnika przyłożył.

Największemi w tym czasie dobrodziejami kościoła bernardyńskiego pokazują się ów biskup kujawski niedługo potem ksiązę prymas Karnkowski, i królowa Anna Jagiellonka. Prymas zachował do tego stopnia cześć dla wyznawcy, którego zwłoki podniósł w naszym kościele, że u bernardynów obierał sobie mieszkanie, ile tylko razy bawić mu przychodziło w Warszawie. Stał tutaj w czasie owój burzliwój elekcji po Stefanie Batorym (1587). Zborowscy chcieli go uwieść z klasztoru, gdy się oświadczył przeciw Maksymilijanowi, dla tego w nocy do tego wyznaczonej spuścili Wisłą pod kościół bernardyński łódź, ale baczne oko Zamojskiego czuwało nad starcem prymasem: cały kościół osadził mocną załogą pod dowództwem Stanisława Pękosławskiego starosty sandomierskiego, a tymczasem prymasa przeprowadził do bezpieczniejszego schronienia do zamku. Spisek nie udał się tą razą, ale kiedy potem Maksymilijaniści królem swoim arcyksięcia ogłosili, zwała się nazajutrz po téj elekcji (w niedzielę to było) wielka na kościół bernardyński nawała (23 sierpnia). Chcieli Rakuszanie śpiewać *Te Deum* w Kollegijacie, ale gdy ich do miasta nie wpuszczono, bo już po rannéj mszy było, udali się na przedmieście i owdągnęli nagle kościołem ś-téj Anny. Znajdowali się w tym orszaku posłowie rakuscy i hiszpańscy, biskupi, wielcy panowie i szlachta stronnictwa niemieckiego. Kardynał Radziwiłł śpiewał mszę świętą a marszałek nadworny Zborowski ogłosił w kościele tutejszym królem polskim Maksymilijana. Nie dobra była wróżba panowa-

czności: w oktawę ś-téj Anny tego roku już od dwóch tygodni nie żył Zygmunt August.

nia Maksymilijanowego, bo się w *Te Deum* śpiewając elektorowie pomylili. Kardynał Gaetano kiedy bawił w Warszawie, był także z Karnkowskim na nabożeństwie u bernardynów (1587); raz w zapusty (18 lutego) towarzyszyło mu tutaj wiele biskupów, był wtenczas i sławny Dymitr Sulikowski; wszyscy przez uszanowanie dla legata pozostawiali w domu swoje czapeczki, jeden tylko Karnkowski przyszedł w swojej, co zgorszyło sekretarza księdza Gaetano do tego stopnia, że aż sam legat musiał go uspokajać, i dowodzić że do takiego honoru chociaż przy legacie arcybiskup gnieźnieński ma prawo; w dwa dni potem po mszy u bernardynów (20 lutego kardynał w klasztorze czekał uwiadomienia rychło ma się udać do izb sejmowych, żeby się przed nimi wynurzyć z celów swojego poselstwa.

Pięknym nazywa konwent ojców bernardynów za bramą sekretarz Gaetana Mucante. I pięknym, wspaniałym, uderzającym musiał być gmachem na całym przedmieściu ów kościół, kiedy w ówczas nadawał nazwisko całej części miasta po za bramą krakowską znacznie rozszerzonego. Za książąt mazowieckich otaczały kościół nasz zewsząd pola i ogrody, potem dworki i chałupy zaczęły tworzyć ulicę, którą Czerską przezwano; z ulicy tej powstało całe przedmieście Czerskie; a gdy dawna stolica książąt upadła przed Warszawą, już ku końcowi r. 1499 całe to przedmieście nazwano od naszego kościoła bernardyńskim i nazwisko to utrzymało się aż do czasów Zygmunta III. Jeszcze w r. 1582 akta miejskie tę całą okolicę miasta zowią: suburbium bernardinorum, seu cracoviensium. Od tego czasu, coraz piękniej zaczęła się zabudowywać Warszawa, i przedmieście jej coraz szerzej zakreślać się po nad Wisłą zaczęło, dla tego powoli i nazwisko stare ginie; wtedy z upływem czasu zostaje się tylko wyłącznie po za bramą ku Krakowu prowadzącą, przedmieście krakowskie. Do wspomnień kościoła z końca XVI w. i to należy, że przed nim na placu odbywały się holdy margrabiów brandenburgskich.

Powiedzieliśmy że królowa Anna była drugą dobrodziejką

pięknego kościoła bernardyńskiego na przedmieściu. Za jój albowiem staraniem przybyło wiele życia, wiele ozdoby temu kościołowi, przez zaprowadzenie do niego bractwa ś-jej Anny. Sama królowa przepisała ustawy (1582), które potem cokolwiek zmienił kardynał Bologneti (1584). Nim jeszcze uroczyście do kościoła wprowadzono bractwo, Anna robiła wszystko, żeby od razu postawić je na szczycie wziętości; podarowała bractwu krzyż wielki srebrny, pozłacany, z relikwiami swojej świętej patroki i dyamentem na wierzchu, który potem za wojen szwedzkich zaginął. Za staraniem królowej zapisywali się do tego bractwa panowie, mieszczanie i kobiety; arcybiskup Solikowski w jego sprawach pojechał do Rzymu, przywiózł przywileje i odpusty, nareszcie sam król Batory i kardynał Radziwiłł wdali się w tę rzecz i uroczyście już nie bractwo, ale arcybractwo ś-tėj Anny wprowadzili do bernardynów. Bulla na to papieżka wydana dnia 22 października 1586 r. Przyjęcie zaś jój nastąpiło przez Michała Sławieńskiego kanonika i officyjała poznańskiego już w czasie następnego bezkrólewia (17 września 1587). Królowa Anna zostawszy wdową, całkiem się oddała modlitwom i praktykom religijnym: nabożeństwo tedy arcybrackie, które co wtorki odbywało się w tym kościele, zawsze ją widziało, nie dla tytułu albowiem przyjęła w niem królowa urząd opiekunki i przełożonej. Przez cześć dla majestatu kościół zawsze był pełny, a pobożna pani zachęcała wszystkich, żeby zapisywali się do bractwa; upominała tych, którzy nie pilni byli w modlitwie, spostrzegłszy zaś czyją nieobecność, posyłała umyślnie pytać się o przyczynę, sama winnych strofowała i rzeczywiście za jój czasów bractwo kwitnęło, szczególnież panny miejskie odznaczały się świętą gorliwością. Niedługo za danym wzorem zawiązało się w kościele tym drugie bractwo muzyczne, (chordi-gerorum) ś-go Franciszka, uprzywilejowane przez generała zakonu, a wprowadzone tutaj r. 1600 i do ołtarza ś-go Franciszka przywiązane. Odtąd cała oktawa i tego patryjarchy, obchodziła się uroczyście; bracia

między innemi powinnościami, przyjęli na siebie obowiązek biczowania się podczas postu.

Królowa Anna samym bernardynom zostawiła po sobie pamiątkę. Przy kościele świeżo przyozdobionym, wzniosła okazałą dzwonnice ze sławnemi w całej Koronie dzwonami (1578 r.). Wyznaczyła ze swoich folwarków warszawskich stałą jałmużnę zakonnikom, to jest 60 korcy żyta co 5-ty Marcin, po złotemu co piątek, i wolny wręb do lasów brudnowskich, to jest zwyczajową od lat dawnych jałmużnę, pobożna ta pani zmieniła w prawo przez osobny na to wydany przywilej (w Warszawie 30 listopada 1582). Król Stefan nadanie to zatwierdził. Zygmunt III zaś do tego wsparcia dodał jeszcze dla zakonników po sześć kawałów (tunnas) soli z żup warszawskich (16 października 1590 r.), i jeszcze kazał osobną dla zakonników w Brudnie łękę wymierzyć (1601). Następni królowie zapis ten równie zatwierdzali (1635, 1649, 1679 i t. d.). Spółcześnie bernardyni nabywszy od kolegiaty gruntu nazwanego Nasierowskim, bo kanonikowi tego nazwiska podarowany niegdyś był od książąt mazowieckich, a dawszy za to kolegiacie inny, rozprzestrzenili znacznie swój cmentarz, na którym chowali zmarłych (1596).

Kardynał Jędrzej Batory wyrobił w Rzymie u Sykstusa V, ważny przywilej (z d. 1 sierpnia 1585) dla tego kościoła, że ile razy ksiądz odprawi jaką mszę żalobną tutaj przed ołtarzem boleści Najświętszej Panny, tyle razy dusza, za którą się modli, dostępuje zupełnego odpustu.

W ostatnich latach przed pierwszą wojną szwedzką słychać u bernardynów już tylko o staraniach względem kanonizacji Władysława z Gielniowa i o wewnętrznych sporach, które zresztą dotyczyły losu całego zgromadzenia. Według podania, w roku 1610 relikwije błogosławionego same się otwarły, więc je do innej przeniesiono urny i to głównie było powodem dla czego zgromadzenie warszawskie mocno zabiegać zaczęło o kanonizację. Jerzy Godziszewski prowincjał prosił biskupa Wężyka, żeby

upoważnił śledztwo względem cudów, które się zdarzały nad grobem świętobliwego zakonnika. Ale najgorliwszym popieraczem pobożnej myśli był ksiądz Wincenty Morawski, jeden z głosnych w ówczesnej Polsce zakonnych literatów, lektor teologii, definitor prowincyi i t. d. Śledztwo zaczęte w kościele bernardynskim (2 marca 1627), w ośm miesięcy ukończone zostało (30 października). Ale tymczasem, kiedy we Włoszech, w Niemczech i we Francyi wewnętrzne niesnaski rozdzielały braci 5-go Franciszka na dwa obozy, kiedy zakon rozszczepiał się na reformatów i bernardynów, pojawił się w Polsce ksiądz Antoni Strozius kommissarz jeneralski zreformowanych braci i z hałasem zaczął objeżdżać klasztory, gwałtem wszystkich bernardynów nakłaniając ku reformie, czém wielkie wywołał zgorszenie i nieukontentowanie. Jeszcze w roku zeszłym nakazał Strozius kapitułę do Warszawy, która się w istocie zebrała tutaj (31 lipca do 19 sierpnia 1626 r.). Strozius długo ją przeciągnął, ale niczego nie dokazał, bo miał do czynienia z bardzo gorliwym obrońcą swojej reguły, zacnym i pobożnym prowincyjałem Godziszewskim, następcą Leonarda Starczewskiego. Kiedy się bernardyni opędzili Stroziusowi nie mogli, odwołali się do Rzymu, bo nuncyatura nie przyjęła od nich appellacyi. Strozius rzucił na zakonników klątwę i jak powiada ks. Kamiński, turbato potius quam soluto capitulo, przeniósł się do reformatów warszawskich. Pojechał do Rzymu ojciec definitor Remigi Lasocki i usprawiedliwszy swoich przyniósł nakaz do nuncyjusza, żeby starał się pogodzić pogniwanych na siebie braci 5-go Franciszka. Chciał tego nuncyjusz ale spotkał opór: reforma albowiem myślała w Polsce znosić obserwantów, obserwanci zaś nie chcieli przyjąć reformy zalecanej przez Stolicę apostolską. Król sprowadził Reformatów do Polski, radby więc im pomagał. Wtedy to powstała myśl rozdziału prowincyj na kilka, myśl którą Strozius z zapalem pochwycił, bo podzieliwszy obserwantów na kilka części, sądził, że prędzej jedność ich potem rozerwie. Rzym więc nakazał na rok na-

stępną nową do Warszawy kapitułę, żeby tę rzecz ostatecznie rozbić, a tymczasem Strozius mógł nadrabiać z nuncyuszem i ze swojemi stronnikami. Kronika klasztoru warszawskiego wiele kart poświęca przebiegowi tej sprawy tak żywotnej dla zakonu. Przytacza wiele listów, jakie w tej materii do Rzymu do papieża, do kardynałów i do wielu bardzo ważnych osób pisali królówie Władysław, kanclerz Albrycht Stanisław Radziwiłł, starosta leżajski i t. d. (wszystkie z Torunia 27 i 28 sierpnia 1626 r.). Skarża w nich Stroziusa i bronią w ogóle bernardynów. Kapituła odbyła się w Warszawie 19 lutego 1628 r. Prezydował na niej nuncyusz Santa Cruze. Podzielono bernardynów polskich na cztery prowincyje: to jest na małą, wielko-polską, litewską i ruską. Warszawa dostała się najprzód do prowincyi ruskiej, ale we dwa lata potem klasztory litewskie i ruskie połączyły się na powrót w jedność z mało-polskimi; gdy wielko-polska do tego przystąpić nie chciała, klasztory mazowieckie z Warszawą i pruskie wcielone ostatecznie do prowincyi Wielko-polskiej (1630).

Takie niepokoje, łatwo to pojąć, odwlekły bardzo sprawę błogosławionego Władysława, ale jej nie opóźniły, bo bernardyni warszawscy mogli przytaczać na swoją obronę coraz nowe dowody. Kanclerz Kryski był wielkim dobrodziejem i w ogóle całego zakonu i w szczególności naszego klasztoru ś.ćj Anny. Po śmierci więc jego, wdowa kanclerzyna pobożna pani, przez cześć dla tej miłości mężowskiej, zaczęła budować obok wielkiego ołtarza po stronie ewangelii nową kaplicę, a pod nią grobowiec rodzinny dla Kryskich. Ciało jej męża i jej samą tutaj w podziemiach spoczywają. Kaplica ta później poświęcona błogosławionemu Władysławowi, ale kiedy właściwie stanęła i kiedy oddana ś. mu Władysławowi, śladu pewnego nie ma. Domyślają się tylko mniej więcej prawdopodobnie, że powstała w ciągu tych zatargów z reformatami (w r. 1629) i że dopiero po wojnie szwedzkiej przyjęła swój tytuł dzisiejszy. Kanclerzyna codziennie wielkie jałmużny sypała dla klasztoru: prócz tego 30,000 magistratowi toruńskiemu zapisała,

pod warunkiem, żeby cały procent od téj summy (1500 złp.) co roku płacił na potrzeby kościoła bernardynskiego w Warszawie (1649). Bernardyni nie mogąc zbierać kapitałów, zapisu tego się rzekli później na rzecz wykonawców testamentu, prosząc tylko o jałmużnę (1674). Obok Kryskiej nie można zapomnieć królowej Konstancyi, która zastąpiła w tym kościele Annę Jagiellonkę. Dawała tutaj częste jałmużny, nie opuszczała nigdy nabożeństwa w dzień ś-jej Anny i ś-go Franciszka. Pomyliliśmy się: nie Konstancyja, a raczej oboje królestwo kochali się w bernardynach. Zygmunt Waza wiele im świadczył, przysyłał do klasztoru raz jałmużnę, a drugi raz ryby albo śledzie, raz suknie zakonnikom sprawiał, drugi raz sprzęt bogaty. Bernardyni sami powiadają, że nigdy od niego z próżnemi rękoma nie odeszli. To też kiedy umarła królowa Konstancyja, bernardyni ciągle przy jój ciele śpiewali godzinki, aż póki ciała nie odwieziono do Krakowa, tak król kazał; kiedy król zaś umarł, pełnili też powinność przy jego znów ciele i ciału temu towarzyszyli do Krakowa, bo tak Władysław nowy pan nakazał. Ze śmiercią też Zygmunta III zaginął i ów przywilej Anny Jagiellonki dla bernardynów; potwierdzanie przywileju albowiem było już nadal czczą tylko formą (*).

Sprawa błogosławionego Władysława i spory z reformatami przeciągały się. Biskup Łubieński kazał raz jeszcze otworzyć grób wyznawcy i kości jego przelożyć do świeżo zrobionéj cynowéj skrzynki (11 sierpnia 1630 r.). Inny biskup Nowodworski rozpoczął w Warszawie nowy proces o cudach i cnotach jego (15 listopada 1632 r.). W piérwszym i w drugim razie prałaci kollegijaty czynnie występowali. Ksiądz Morawski wydał tymczasem życiorys błogosławionego Władysława; książce swojéj dał tytuł „mistycznój latarni doskonałości“, *Lucerna perfectionis* (1633); de-

(*) Ostatni raz przywilej Anny Jagiellonki zatwierdził August II w przywileju, w którym podarował też bernardynom całą przestrzeń ziemi, jaka się ciągnęła od ogrodu klasztornego w dół aż do Wisły (29 maja 1700). Patrz Fulera i t. d.

dykował ją zaś królowi Władysławowi IV. We dwa lata potem otwarto znowu ciało Władysława (1635).

Nowe intryki w Rzymie, żeby obserwantów z reformatami połączyć, sprowadziły zjazd w Warszawie w roku 1636 starszyny zakonnéj, ale rozbiły się w niwecz. Prowincyałem tutaj gwardyjan warszawski obrany ksiądz Bonawentura Lutocki, odznaczył się nowemi budynkami w klasztorze i w kościele: wystawił groby podziemne w chórze i wielkiej nawie. Na sześćdziesiątą rocznicę roku następnego znowuż u bernardynów warszawskich zjazd wielki; radzą bracia świętego Franciszka obudwu reguł: ci chcą jedności, a ci rozłączenia. Uplęło cztery tygodnie w tajnych naradach, w końcu jedna tylko odbyła się publiczna sessyja, na której spisano protokół stanowczy rozłączenia się dwóch zakonów. Wtedy to ustąpili bernardyni części gruntu swojego na pałac marszałkowi Kazanowskiemu; marszałek nie płacił czynszu klasztorowi, ale obiecał łaskę swoją i jałmużny, a wreszcie miał murem całe zabudowania zakonników otoczyć, czego wszystkiego jednak nie dotrzymał. Po Lutockim nowy następuje gorliwy budowniczy ojciec Ludwik, (kronika go zwie Zbąszynius, nie wiadomo czyli to złacińszczone nazwisko miejsca z którego gwardyjan pochodził, czyli to rodzinne jego nazwisko, w każdym razie nie będzie to potomek sławnego rodu Zbąskich i najprędziej nieszlachcie). Gwardyjan Ludwik w całym klasztorze na dolnych piętrach dał podłogę z kamienia w czworogran rżniętego, toż samo w kościele żeby uniknąć na przyszłość częstéj naprawy i kosztów (1638 r.). Później już lektor jubilat Gąbiniusz, jak go zwie kronika, w refektarzu taką samą ułożył podłogę. Na bibliotekę także gorliwy gwardyjan zwrócił swoją uwagę; zmalała ogromnie przez podział prowincyj, ale ją już poprzednio podniósł Godziszewski. Samo uporządkowanie biblioteki przeszło 1,000 złotych kosztowało.

Nie wspominaliśmy jeszcze, że całą część klasztoru, która ciągnęła się do wielkiej bramy placu niegdyś przez kustosa

warszawskiego Pawła Lanciò zabudowanego i przeznaczona dla zakonników których zwano „forenses“; za zgodą ojców ustąpioną została poprzednio na mieszkanie dla nuncyjuszów. Wielka stąd była niewygoda dla klasztoru, bo bernardyni najprzód nie mieli nic z tego, a co większa na swoim własnym gruncie byli ściśnieni. Więc kiedy wyjechał nuncyjusz Filonardi, księży klasztorni zajęli napowrót swoje własność, którą do szczytu zniszczoną znaleźli i komnaty nuncyjuszowskie przeznaczili dla swoich nowicyjuszów. Król w Grodnie będąc zatwierdził najuroczyściej prawa klasztoru i od wszelkich ciężarów postoju uwolnił raz na zawsze bernardynów (11 listopada 1643). Ale kiedy jedną ręką król wyświadczał dobrodziejstwo, drugą nowy cios prowincyi całej gotował. Jakieś intrygi wpływały na to, że król się uparł i chciał w jedną napowrót złączyć rozdzielone trzy prowincyje bernardynów polskich; robił zaś to bez wiedzy generała i Rzymu. W tym celu prezydował tutaj w klasztorze warszawskim nuncyjusz Torres na nowój kapitule wszystkich trzech prowincyj (25 października 1647 r., narady trwały do 9 listopada). Czy ma być nowy podział prowincyj, czy nie; czy dawny stan rzeczy utrzymywany? oto pytanie, nad którym długo myśleli ojcowie; stanął wreszcie wyrok zastosowany do woli królewskiej, że połączenie prowincyj nastąpić ma. Mało-polscy bernardyni głównie na to nalegali; wielko-polscy bronili się, chodzili do króla, prosili, nic a nic nie pomogło; prowincyał wielko-polski był jak zabity, zląkł się wielkiej za to odpowiedzialności przed starszyzną w Rzymie, ale król mu powiedział: „nie bójcie się ojczy, obronimy was.“ Mimo te wszystkie intrygi jedność nie przysłała do skutku, bo król umarł i zostało się wszystko jako było dawniej.

Nastaje krwawa wojna szwedzka: przed jej wybuchem powierzchowność kościoła w następny sposób wspomnienia współczesne nam opisują. Najprzód świadectwo bardzo ważne idzie Jarzemskiego, który pokolei wszystkiego dotyka: „na Krakowskim Przedmieściu, mówi on, jest obszerny kościół oo. bernardynów, własność

ich rozciąga się aż po Wisłę. Sami nieboracy robią wszystko, ci w ogrodzie, inni w browarze, inni drzewo karują. W tym kościele jest wiele ołtarzy cudownych świętych, nad grobami senatorów i starostów wiszą proporce. Ambonę ogrodzili tak wysoką kratą, iż nie widać kaznodziei, gdy kazać wchodzi. Huczne organy, ogromna dzwonnica; tam dzwony biją, we dwie oktawie tak ślicznie, jakem nigdzie nie słyszał, lubo bywałem w Warce, w Gószczyńie, w Garwolinie, a nawet i w Czersku.“ Opisu tego dopełniamy wiadomościami poczerpniętymi z kroniki klasztornej. Kościół był ładny, sklepienie nad nim w łuk zarzucone: na środku kościoła ze sklepienia spuszczał się orzeł drewniany złożony, dowód hojności królewskiej dla zakonników; liczne chorągwie spadały po ścianach według starożytnego zwyczaju, na nich zaś napisy i portrety bohaterów, których tu ciała na sen wieczny spoczywały. Obok wielkiego wznosił się już ołtarz błogosławionego Władysława z jego obrazem, a na nim ogromna moc wotów srebrnych, niektóre długie były na łokieć. Pomiędzy temi dwoma ołtarzami grobowiec wyznawcy murowany, o ścianę chóru zakonnego oparty, na nim także niezmierna moc wotów złożonych na podziękowanie to za zdrowie powrócone, to jako hold dla cudownej siły, jaką słynęło to miejsce. Naprzeciw ołtarza błogosławionego Władysława, ołtarz świętego Piotra z Alkantary z ładnym obrazem; od niego szły stalle zakonne i ciągnęły się daleko w chór starożytnej roboty, ale piękne; wiek dzisiejszy dziwi się tej sztuce, ale jej nie naśladuje. Kraty żelazne oddziaływały te trzy ołtarze od reszty kościoła, w nich oddzielne drzwi do chóru, do wielkiego ołtarza i do grobowca błogosławionego; robił te kraty braciszek Feliks doskonały kowal. Przed niemi ołtarz N-szej Panny, na wzór Częstochowskiej, z dziecięciem Jezus na ręku, do którego panowie i pospólstwo wielkie mieli nabożeństwo, i cały wotami także srebrnymi pozawieszali: świeża to była budowa, bo ołtarz ten wystawił książę Albrycht Stanisław Radziwiłł kanclerz litewski, pan jeden z najpobożniejszych w całej po wsze

czasy rzeczypolitěj; książę sprawił dwie korony złote, w Gdańsku wyrobione na głowy Pana Jezusa i świętėj Bogarodzicy, ozdoby zaś złote na tym oltarzu, łańcuchy i klejnoty pobożny lud pozawieszał. Organy śliczne, które tak Järzemski zachwala, złożone, w różne kolory malowane, były fundacją wielu dobrodziejów. Był czas, że kościołowi przydawały jeszcze większego znaczenia bernardynki, które najprzód z początku w domu pomiędzy klasztorami ś-tėj Anny a bramą krakowską obsiadły, potem przyjęły regułę ś-ėj Klary, a wreszcie do zakonu ś-go Franciszka przyjęte, tutaj do bernardynów chodziły do kościoła, gdzie miały szczególne wyznaczone sobie miejsce; wreszcie za Zygmunta III. zdobyły się na klasztor i przeszły pod klauzurę zakonną. Jedném słowem kościół był cały wystrojony, co krok w nim napotykałeś na świętości, co chwila odprawiało się nowe jakieś i osobliwe nabożeństwo, kościół był wzięty w Warszawie i w całej Koronie.

Wojna szwedzka za Jana Kazimierza zamknęła tę złotą epokę dla kościoła bernardyńskiego w Warszawie. Najprzód sama rzeczpospolita położyła rękę na bogactwa klasztorne, bo na sto grzywien srebra pożyczyła od bernardynów, żeby je potem przekuć na monetę w Częstochowie, czego został dowód w świadectwie wydaném przez biskupa Tolibowskiego (1655).

Cudném zrządzeniem Opatrzności, wtenczas kiedy inne świątynie warszawskie szwed łupieżył, uszanował kościół ś-ėj Anny. Nawet w czasie oblężeń kościół nie tyle pocierpiał, ile by się здаwało z tego, że na ciągły ogień był wystawiony. Zgorzało całe przedmieście, pałace i dworki, ale kościół osmolony i ostrzelany pozostał i jak pogrzebowa urna świecił po nad stosami rozwalisk. Wprawdzie szwedzi zbyt po swojemu w kościele i po klasztorze gospodarowali, do ogrodu bernardyńskiego zaciągali armaty, z okien strzelali, wprawdzie kościół zmienili na jakiś czas w fortecę, póki ich stamtąd Czarniecki przerzynając się od Gdańskiej piwnicy przez Podwale nie wypłoszył, stoczywszy wprzód mor-

derczą bitwę przed samym kościołem, ale zawsze gmach święty uragał się grozie wojennej i stał jakoby na straży miasta, sam jeden w pośród pustki. Ale czego nie dokazały szturm i oblężenia, na to zdobyła się jakaś nie dająca się niczem wytłómaczyć nieostrożność. Zakonnicy może mniej trafnie o złość umyślną posądzają rodaków, *patricios regni et civitatis varsaviensis*. Było to w r. 1657, kiedy miasto trzeci już raz z kolei obleżone było przez wołochów, węgrows i kozaków Rakoczego. Warszawa kapitulując wchodziła już w układy, zaręczając sobie i kościołom wszelkie bezpieczeństwo. W tém nagle ni ztąd ni z owąd nachodzą kościół o godzinie ósmej rano zbrojni (16 czerwca): podesłała ich władza miejska, chociaż dobro publiczne nie wymagało już po nikim ofiary. Nic nie mówiąc gwardyjanowi, co mają robić w kościele, nie ostrzegłszy go, żeby wyniósł ołtarze i obrazy, bez zwłoki wykonywali rozkaz z góry już dany: zapalają więc pochodnie, i tłumnie z niemi i z materyjałami palnemi wpadają do kościoła, ciskają je na katedry i na konfesyjonały, potem na ołtarze, ażeby zaś większy rozniecić płomień, obrazy ze ścian obalają w środek pożaru. Inni pod belki podłożyli ogień. Pęka sklepienie i wali się na podłogę, ściany upadają, gruchoczą się mury, głównie u dołu i u góry błyskają. Ojcowie wśród tego ognia sodomskiego chodzą, płaczą i załamują ręce, uciekają się do proźby, ale nie pomagają. Stoi najęta tłuszcza i spokojnie przygląda się temu dziełu zniszczenia, pilnuje aż póki się wszystko nie wypali. Wyuzdańsi łupież nawet dzielą pomiędzy siebie, inni mało jeszcze mają i tej rokoszy, więc znoszą z korytarzów obrazy, drzewo dźwigają, w stosy je układają i niecą pożar. Wtedy to zgorzała biblijoteka, „jakiż żaden klasztor w Polsce nie miał,” warta przeszło 30,000 złotych, nieustannie pomnażana przez dobrodziejów. W porównaniu z tą stratą, co znaczą te ogromne zapasy żywności, które klasztor z hojnej jałmużny, przygotował dla siebie, na zapas oszczędzone? Część się ich spaliła, część z wapnem i cegłą pomieszana do niczego posłużyć nie mogła. Oburzenie, jakie

obudził tak niecný postępek, było w Warrszawie tak silne, że wróg nawet kazał śledzić, czy kto z jęgo ludzi nie miał udziału w pożarze i odgrażał się, że jeżeli odkryje winnego, szubienicą go ukarze, bez względu na wiek i osobę. Siedmiogrodzianin wychodząc z Warszawy oświadczał, że nie ustąpi wprzód, aż skarze winnych; i odszedł indignabundus, mówi kronika kościelna, dowiedziawszy się, że sprawcami téj klęski byli patricii, to jest polacy. Szkodę, jaką wyrządził pożar, oceniono na przeszło 200,000 złotych polskich. To chyba za mało, chociaż złote dawniejsze więcej znaczą, jak nasze. Téj summy mogła być warta sama biblijoteka.

Król stał w Łowiczu wtenczas z wojskiem koronném. Tutaj w miesiąc po klęsce dochodziły go listy prowincyjała bernardyńskiego (19 lipca 1657). Zakon nie od szweda, ale od niego domagał się sprawiedliwości. Co mamy robić? pytał się króla prowincyjał. Jan Kazimierz odpisał z utyskiwaniami. Prowincyjał zwiedziwszy znowu rozwaliny kościoła, posłał szczegółową o nich informacją królowi: „Takię się wysługi doczekał ubogi konwent po dwustu latach, temi słowy narzekał przed synem Zygmunta III prowincyjał, takiego poszanowania fundacyja najjaśniejszych królów polskich i ciał świętych bożych w kościele tamiecznym deposita, na to ołtarze i obrazy świętych, na to żarliwy zelus obrońce niegdy hetmana polskiego ś-go Kapistrana.“ I dalej: „Czego się ręka nieprzyjacielska nie ważyła, to bezbożna swoich impietas bez potrzeby, ale mimo traktatów modo et insolentia indicibili wykonała.“ Kilka razy tak prowincyjał i klasztory poznański i warszawski przypominały się królowi i kancierzowi koronnemu. Prócz tego wojewoda poznański Jan Leszczyński, jako syndyk prowincyi, zaniósł protestacyją do grodu przeciw spaleniu kościoła i w skardze swojej wymienił nawet osoby, które myśl tę podały, które namawiały, paliły i rozkazywały palić, żądając na nich kary. Zdaje się jednak, że bezkarnie puszczono tę zbrodnię w odwłokę.

Tymczasem w r. 1660 wrócili zakonnicy do zgłiszcz warszawskich z innych klasztorów, i najprzód dom sobie mieszkalny wystawili, a roku następnego ze składek zaczęli budować kościół. Największą pomoc niósł im przy tém Jan Wielopolski kasztelan wojnicki przez dziwne nabożeństwo, jakie miał do Władysława z Gielniowa. Wziął on wprawdzie od gwardyjana Zygmunta Janowskiego ostatki sreber kościelnych, które sześć funtów ważyły, a złota wartości dukatów 168, ale to wszystko było połamane, w kawalkach, w okruchach, jak naturalnie po pogorzeli; ojcowie zbierali wszystko, wota i blaszki z pod zgłiszczy dobywali, żeby jaki taki znaleźć fundusz na odbudowę. Ale o czém mogli myśleć, jak sobie poradzić z taką łataniną? Wielopolski więc zabrał na własność te okruchy, ale za to zapewnił klasztorowi stały fundusz na odbudowę, miał mu albowiem dawać przez czas jakiś po 5000 złotych polskich co roku. Księża téż sami mocno się krzątali, a mianowicie Cypryjan Górski prefekt fabryki i Bonawentura z Mławy obrany gwardyjanem, chodzili po panych i zbierali składki, tak dalece, że w ciągu lat siedmiu nowy zupełnie stanął kościół. Górskiego i Mławczyka dla tego potwierdzano na urzędach, żeby pilnowali roboty. Zaczęta w roku 1663, już podczas abdykacyi Jana Kazimierza ogromnie postąpiła, lubo mniejszą część jęj wykończono. Dwa lata następne pod tym względem najważniejsze są. Ale gdy na cześć Wielopolskiego na sklepieniu i po ścianach to z gipsu, to z innych materyjałów piękną sztukateriją różne powyrabiano ozdoby, zwrócił ktoś z budujących na to uwagę, że sklepienie ciężaru wielkiego nie wytrzyma i że dla tego grozi niebezpieczeństwo, więc ozdoby te potem za radą biegłych usunięto, i podstawy nowe pod kościół założono głębiej i szerzej. Wielopolski umarł w lutym 1668, i tutaj jak mówi kronika, w przysionku kościoła pochowany, bez żadnej wystawności; napis tylko: „orate pro peccatore“ oznacza miejsce jego wiecznego spoczynku. Ze śmiercią jednak Wielopolskiego nie ustały dobrodziejstwa, bo dzieci jego dawały wciąż

na budowę kościoła, tak, że nakład cały Wielopolskich na ten cel wynosił złotych polskich 15,440 i bernardyni warszawscy powtarzają że kasztelanowi (potém wojewodzie krakowskiemu), słusznie należał się od nich tytuł patrona kościoła ś-jej Anny.

Ale Wielopolscyłożyli na ogólną odbudowę; o szczegółach i wykończeniu pamiętali inni. I tak kaplicę błogosławionego Władysława odnowiła rodzina Kretkowskich, którzy Kryskich dziedzicami byli. Później już dobrze biskup chełmiński Feliks Ignacy Kretkowski najregularniej dzień patrona tego mszą zawsze w kaplicy tutejszej obchodził przy ciałach przodków. Kiedy kanonikiem gnieźnieńskim był w Łowiczu, kiedy potém biskupem został, acz starzec przeszło ośmdziesięcioletni, nie opuścił nigdy jednego roku uroczystości błogosławionego Władysława i z Lubawy tu na celebrę zjeżdżał. Ołtarz ś-jej Anny odnowiło bractwo. Jędrzej Trębosz odźwierny królewski, dom zwany Zielazowskim na Przedmieściu krakowskim, za czasów szwedzkich ogniem zniszczony zapisał na ołtarz ś-jej Anny, a konstytucja dar ten od wszelkich ciężarów wyjmując zatwierdziła (1667 Vol. Legum. V 485). Ołtarz wielki nie wiadomo kto odnowił. Było także w projekcie wystawić wspianą facyjatę kościoła. Jakiś nieznany dobroczyńca sprowadził na ten cel do Warszawy z łomów krakowskich płyty wielkie czarnego marmuru: wyrobione postumenta, kolumny i kapitele już czekały tylko czasu, żeby jaka wprawna ręka przyozdobiła niemi świątynią Pańską. Kronikarz zakonu warszawskiego ks. Kamiński oglądał to wszystko dzieckiem jeszcze w r. 1696, ale w lat kilkanaście potém jeszcze po korytarzach wały się płyty zepsute i zniszczone, większe ktoś pozabierał i projektowana facyjata przepadła. Na ostatku już pomysiano o muzyce, to jest organach. Dopiero za pierwszego Sasa stanął chór murowany, po nad wejściem do kościoła, a na nim organy poważnie zabrzmiały głosem uroczystym. Ojciec Antoni z Głogowy mając do pomocy braciszka Klemensa z Sierpska zaczął je stawiać, ale gdy gwardyjan, który popierał tę rzecz umarł, a za nim i organ-

mistrz życie zakończył, więc lektor ks. Żelewski wziął się do tej pracy i doprowadził ją do końca. Klemensowi ztąd cała sława (1704—1707). Budownicza część i rzeźbiarska organu należały do braciszka Kleina. W ogrodzie w r. 1704 stanęły łazienki.

Podrośł w tym czasie i zakład naukowy, studium generale varsaviense, gdy na kapitule zakonu w Hiszpanii podniesiono je na stopień „studium primae classis” (1676), czego warszawskim zazdrościli bernardyni poznańscy, którzy się o ten zaszczyt napróżno starali dla siebie. Nowicyjat ten błakał się w r. 1677 dla zarazy po różnych klasztorach, wreszcie do stolicy powrócił. Zdarzały mu się i później takie wędrówki, bo zaraza często się srożyła; najczęściej przejeżdżał do Skępego, Ostrołęki, Wartemburga w Prusiech i Gniewa, mianowicie w czasie drugiej wojny szwedzkiej. Jednocześnie obalono przewagę gwardyjanów warszawskich i poznańskich, którzy w kustodyjach swoich przed wszystkimi gwardyjanami miejsce brać chcieli (1678).

Było to już za czasów króla Sobjeskiego. Zakon przyszedłszy do siebie, znowu około wyjednania czci publicznej dla swego błogosławionego starać się począł. Rzym na kapitułę jeneralną, która się odbywała w Warszawie (22 października 1678) udzielił zupełnego odpustu; kiedy elekcye się odbyły, starszyzna więc o kaplicy Władysława radziła. Popierał tężecz szczególnie Kapistran Jankowski exprowincyjał: postanowiono kaplicę odnowić i pokryć ją dachówką. Dalej nowy obraz błogosławionego umieszczono w oltarzu (1695); malował go włoski artysta, koszt zaśłożył na to marszałek w. kor. Lubomirski. Król lubił też braci zakonnych. Z ks. Stanisławem Orłowskim, który po dwa razy był tutaj gwardyjanem, żył nawet w bliższych stosunkach, bo mu raz na zawsze wstęp do siebie otworzył. Cieszył się król, rozkoszował nadzwyczaj miłym śpiewaniem bernardynów (*sonoroso cantu*). Nie raz król stawał w oknie zamku od strony kościoła, a gdy nocne wigilije lub *Te Deum* pośród modlitw porannych posłyszał, jak księża śpiewali, sam też za niemi nucił Dawidowe psalmy.

Już to w ogóle król Jan III hardzo był pobożny i jak z bernady-
nami pieśni, tak u ś-go Jana na wotywie o Najświętszej Pannie
którą zwaną literacką, a którą mieszczanie śpiewali, zawsze sie-
dząc na tronie, głos swój z głosem pobożnych łączył. Kiedy król
umarł, z samych hojnych jałmużn, które bernardyni otrzymali
od Sobieskich za jedne wigilije i msze odprawiane przy ciele,
gwardyjan Rafał Fiolkowicz mógł pokryć klasztor dachówką,
i murem, drewnianą oponę z niego zruciwszy i jeszcze niektóre
przedsięwziąć naprawy.

Po wielu przecież kłopotach i zawadach, po dwustu latach
nieustannych starań, bernardyni zaczęli przecież zbliżać się do
upragnionego celu. Dziwnie posłużyła im do tego wojna szwedz-
ka. Wiadoma rzecz z dziejow, jak zaraza wtedy dziesiąt-
kowała ludność i jakie ofiary zabierała w Warszawie. Nie by-
ło żadnego ratunku. Studium warszawskie bernardynów tułało
się znowu po jednych, nowicyjat zaś po drugich klasztorach.
Z Ostrołęki gdzie zaraza dosięgła nowicyjat, bernardyni uciekli
w lasy i chociaż to było na zimę, że w lasach bezpieczniej mie-
szkać mogli, pobudowali tam sobie budy i siedzieli przez cały
czas ze zwierzętami, chodząc po wsiach, nauczając lud, udziela-
jąc świętych sakramentów (1710 — 1711). W stolicy mało zosta-
ło księży, a i to marło. Wprzódzy zanim się zaraza zbliżyła, pobo-
żni udali się z prośbą do oficynała warszawskiego ks. Wierzbow-
skiego, żeby do trzech celniejszych patronów miasta i obrońców
od zarazy, dodał czwartego jeszcze świętego (tak go już po-
wszechnie nazywano), Władysława z Gielniowa. Patronami tem-
byli: Najświętsza Panna łaskawa u pijarów, święty Roch w ko-
ściele ś-to krzyskim i Stanisław Kostka u jezuitów. Prosilili da-
lój pobożni, by na cześć tych świętych patronów i nowego, któ-
rego za patrona sobie wybierali, nakazał publiczne processyje
i suplikacyje. Wierzbowski zezwolił na to, (18 kwietnia 1705).
Stąd pierwsza processyja taka na cześć ś-go Władysława, z je-
go obrazem odbyła się po mieście od kolegiaty do bernardynów

w sam dzień dorocznój pamiętce jego poświęcony, to jest dnia 4 maja. Był to dzień śmierci błogosławionego. Trzy lata nie było nic słyhać o zarazie, aż w roku 1708 znowu pozwolił biskup Wierzbowski (27 kwietnia) na drugie także w dzień doroczny błogosławionego processyje i supplikacje. I pierwszą i drugą razą nabożeństwo odbyło się z całą wystawnością i trwało zawsze przez całą oktawę.

Process nowy o cudach rozpoczął Jan Tarło biskup poznański, jako wyznaczony do tego z Rzymu kommissarz apostolski i ks. Michał Barankiewicz exprowincyjał, który głównie wywołał tę kommissyją (1724). Dawniejszych procesów nie uznano w Rzymie za autentyczne. Teraz król, Teodor Połocki prymas i najcelniejsze postaci Rzeczypospolitej w sprawie zakonu przyjęły udział. Mimo to rzecz się wleka i Tarło w r. 1729 drugi raz z ramienia swego wyznaczył delegatem do badań ks. Zachniewicza proboszcza Panny Maryi (12 kwietnia) w półtora miesiąca potem mógł już Barankiewicz do Rzymu wyjechać z gotowym processem. Jeszcze jedno bezkrólewie przeszkodziło. Ale różniej poszło za Augusta III, którego żona bardzo pobożna często bywała u bernardynów na mszy sama ze dworem lub z córkami (np. 5 lipca 1744 r.). Już publicznie tutaj odbywano oracyje na cześć Władysława, w których teologowie zakonu zwali go „patronus regni;“ raz na uroczystém stąd nabożeństwie celebrował Grzegorzewski officyjał, kazanie prawil Zdzieborski kanonik laterański, a w kościele znajdowali się: biskup łucki i pisarz lit. ks. Wołłowicz i t. d., do tego oracyją przyjmowała księżna wojewodzina raska przed nieszporem (4 maja 1747 r.). Kommissyją zakończono 31 marca 1748 r. hymnem 8-go Ambrożego; księża już mieli nowe listy od króla do Rzymu, które nadeszły z Drezna i biskup poznański książę Czartoryski usilnie o kanonizacyją prosił. Nastąpiła wreszcie. Więc 3 sierpnia 1750 r. odbyło się pierwsze nabożeństwo na cześć 8-go Władysława, celebrowali Accoramboni kanonik warmiński i Szeptycki suffragan łucki, który śpiewał nowennę. Oł-

tarz wielki przystrojono na ten dzień w cztery piramidy rzesisto obstawione słicznymi lampami w różne mienione kolory, toż w dwa kolory świece jarzące paliły się po nad świętego obrazem: sława téż nad nim koronę trzymała z napisem: „Augusti votis Augusta corona beato cessit in urbe orbis.“ Królowa i moc ludu znajdowała się na tém nabożeństwie (3 sierp. 1750) W lat trzy potem odprawiła się tutaj wotywa dziękczynna za wyrok pomyślny przez Stolicę apostolską wydany w sprawie błogosławionego (19 sierpnia 1753 r.). Ojciec święty uznawał albowiem skromnego zakonnika patronem Polski i Litwy i doroczną uroczystość jego podnosił do pierwszego stopnia święta, bo nakazał obchodzić ją z oktawą. Bernardyni opóźniali się cokolwiek z tém nabożeństwem dla tego, żeby jednocześnie mogli obchodzić jubileusz trzechsetletniego pobytu w Polsce. Relikwije błogosławionego wtedy w srebrną trumnę przełożono. Odtąd na doroczny fest corocznie tutaj biskupi celebrowali (np. Ostrowski infl. 26 września 1756 r. i t. d.).

Nie temi jednemi nabożeństwami odznaczała się wśród kościołów warszawskich za panowania królów z domu saskiego nasza piękna świątynia. Wiek to był cały dziwnie nastrojony ku nabożeństwu, więc co chwila obchody, pamiątki, uroczystości, które zajmowały duchowieństwo i lud warszawski opierały się to o inne kościoły, to o bernardynów. Bractwo ś-ój Anny ze składek sprawiało nowe dzwony, na co nawet aż długi zaciągnęło, ale chciało za to i postawiło na swoim, że dzwony te najpiękniejszym odzywały się głosem po przedmieściu. Raz dzwony te poświęcał w dzień ś-go Władysława sam biskup Tarło (4 maja 1721 r.), przy obecności wielu senatorów, drugi raz podobna uroczystość odbyła się 1728 r. Potem następują uroczystości wprowadzenia kilku bractw. Najcelniejsza z nich było to wprowadzenie bractwa ś-go Jana Nepomucena do bernardynów z kollegijaty: celebrował na głównej processyi sufragankujawski ks. Kobielski (4 października 1732 r. wprowadzone,

a nazajutrz uroczyste nabożeństwo). Inną razą wprowadzał z kolegiaty do bernardynów bractwo drogi Krzyża ś-go sławny założyciel biblijoteki ks. referendarz Załuski (23 czerwca 1743 r. w niedzielę), niesiono wtedy na processyi czternaście obrazów tajemnic męki Pańskiej. Wspaniały też był obrzęd wprowadzenia nowych kilku kanonizowanych świętych z kościoła jezuickiego do bernardynów (8 października 1724 r.). Zawsze na takich uroczystościach celebrował biskup lub jaki inny członek wysokiego duchowieństwa znaczący wiele i w rzeczypospolitej: towarzyszyły mu bractwa, cechy i niezliczone massy ludu, a dla większej powagi przed biskupem szły zakony, za którymi postępowali kanonicy i prałaci kolegiaty w kapach fioletowych. Inne bractwa w tym czasie zawiązywały się przy kościele bez uroczystych wprowadzeń. Tak cech kowalów został bractwem religijnym i obrał sobie oltarz świętego Stanisława (1726 roku). Z jednym tylko bractwem ś-jej Anny odzywały się czas od czasu niesnaski z powodu, że samo bractwo rządzić się chciało: ścieśniało władzę promotora, którym był zawsze naturalnie jakiś zakonik bernardyński; w spory te wdawał się nawet konsystorz (1700).

Nareszcie do tyłu pamiątek kościoła naszego płaczą się wspomnienia dysput. — Jezuici litewscy przez szacunek, jaki mieli dla bernardynów wyprawili w ich kościele panegiryk na cześć ś-go Bonawentury (14 lipca 1726 r.), a kiedy za to wdzięczność serafickiego zakonu ich spotkała, już odtąd co roku w dzień tego świętego odbywali tutaj publiczne dysputy. Wtedy i o. Mateusz Roznerski exprowincyjał mieszkający przy klasztorze przy pomocy dobrodziejów zajął się upiększeniem domu bożego. Miał zakon artystę w gronie swoim Walentego Żebrowskiego, który już cztery kościoły w prowincyi odmalował, tego Roznerski do Warszawy sprowadził i dał mu nową robotę. Księdza Żebrowskiego są te wszystkie malowidła wewnętrzne kościoła, które widzimy; malował je 1750 — 1753 r. Drugi bernardyn zrobił w zakrystyi piękne szuflady i tablaturę. Roznerski skończywszy jedno

już wtedy myślał o nowym organie, ale gdy umarł, o. Józef Górski exprowincyjał i gwardyjan tutejszy, sławne w całej Polsce wystawił organy.

Dobrodziejami klasztoru z tego czasu byli: książę Jerzy Lubomirski, wojewoda krakowski, który dziesięć tysięcy złotych zapisał na budowę facyjaty, ale funduszu tego inaczej zgromadzenie użyło. O facyjacie téż i odnowieniu całego klasztoru myślała ordynatowa Zamojska założycielka na Marywilu kanoniczek; nabywszy albowiem ową część gruntu od bernardynów, którą niegdyś Kazanowskiemu ustąpili, wystawiła na nim pałac i poczuwała się ztąd do pewnych obowiązków względem klasztoru. Była to prócz tego wielka czcicielka ś-go Władysława, i stąd po 450 dukatów z gruntu onego placila na kosztu jego kanonizacyi; chociaż umarła, zobowiązanie zostało i najprzód Małachowski kanclerz, potem ksiądz Młodziejowski, obadwaj posiadacze pałacu; po 150 czerwonych złotych klasztorowi placili. I Małachowski i Młodziejowski byli syndykami bernardynów, jeden po drugim w téj godności nastąpił, lubo cztery lata za ostatniarazą wakowała. Młodziejowski obrany został syndykiem w r. 1766; instrument elekcyi wręczony mu został ze zwykłą uroczystością w pałacu Krasieńskich w obec wielu panów (21 stycznia 1766 r.). Później kiedy został Młodziejowski biskupem poznańskim, do kolegiaty ś-go Jana od bernardynów był wprowadzany (23 czerwca 1768 r.).

Za króla Poniatowskiego nabożeństwami tylko swemi i pamiątkami dotąd wstawiony kościół nasz, stał się eleganckim wielkiego świata kościołem, ale mu nie bardzo bywało z tém do twarzy. Najwyszukańsza magnateryja stolicy, po największej części elegancka zarazem i bezbożna, karetami zajeżdżała wtedy przed bernardynów w niedziele i święta. Wracając lub jadąc do zamku, świat wielki raczył po drodze dla mody i zwyczaju pokłonić się Panu Bogu na tak zwanéj wtedy *belle messe*, *messe musquée*, która się odbywała między jedenastą a dwunastą zrana. Szeregi powozów zajmowały wtedy daleko przedmieście, a w kościele

tymczasem brzmiały z chóru dobrana muzyka złożona z głosów płci pięknej i modnej młodzieży. Jednakże z téj massy pobożnych niby panów, jeden tylko Stanisław Potocki pomyślał o tém, o czém już tylu myślało, to jest o przyozdobieniu facyjaty kościoła, a nawet i ten pan nie byłby wytrwał w przedsięwzięciu, bo składka, którą zebrał pokazała się niedostateczną, gdyby nie czynna pomoc ku temu Kwiecińskiego, jednego z mieszczan warszawskich, i poparcie króla Stanisława Augusta. Aigner tedy zaczął kosztem ich przerabiać facyjatę kościoła (1778—1788), a Kwieciński jeszcze sam domurował zaraz z brzegu od wejścia kaplicę Najświętszej Panny Sokalskiej, i wyznaczył fundusz dla ogrzewania jęj w czasie zimy; napis łaciński nad podwojami kościoła uwiecznił tę ostatnią pamiątkę trzech głównych nakładców facyjaty. Stany Rzeczypospolitej w tymże czasie pozwoliły żeby starosta warszawski ustąpił na własność klasztorowi włókę lasu z dóbr królewskich pod Grodziskiem, i wszelkie bernardynów posiadłości w Warszawie zatwierdziły (1778 Vol. Leg. VIII, 281).

Prusacy założyli przy kościele odwach. Co później było powodem, już za czasów królestwa polskiego, że Aigner na wezwanie Rządu nadał dzwonnicy kształt architektury XV wieku, i że nieforemną ścianę klasztoru po nad tym odwachem przykrył galeryją jońskiego porządku wybornego smaku z lazien Marcella naśladowaną (1818).

Później przybyło wiele nowęj a świętęj ozdoby kościołowi przez Loret. Jeszcze w r. 1811, kiedy klasztor bernardynów, zabudowany na Pradze przez Władysława IV, miał być rozebrany, przeniesiono tutaj do Warszawy obraz Najświętszej Panny Loretańskiej i jako najdroższy klejnot złożono w skarbcu kościelnym. Upłynęło tak lat jedenaście, wreszcie pobożni, którzy za pośrednictwem Bogarodzicy łask wielu doznali, postanowili zbudować na jęj cześć osobną u bernardynów kaplicę, ubolewając nad tém, że tyle przywilejów do świętego obrazu przywiązanych marnie ginęło. Uroczystość przeniesienia obrazu na ołtarz, który takim spo-

sobem stanowił pierwszy zawiązek kaplicy dopełnił Daniel Ostrowski biskup Betsaidy (23 listopada 1822 r.). Następnie zawiązało się bractwo Sodalistwa laterańskiego, któremu Leon X nadał odpusty i przywileje (10 września 1824 r.). Pierwsza składka na zbudowanie kaplicy złożona na ręce promotora kaznodziei miejscowego, wynosiła ledwie 2000 złotych. Drugi już z kolei promotor i kaznodzieja ks. Franciszek Morański położył fundamenta pod kaplicę w r. 1830, a w r. 1833 znowo około budowy krzątać się począł. Znakomity fundusz na ten cel przeznaczył bardzo pobożny i czcigodny starzec Jan Kolumna Żaboklicki mistrz obrzędów dworu królestwa polskiego; starsi sodaliści chętną pomoc głównemu dobroczyńcy nieśli. Statuę Najświętszej Panny, którą postawiono po nad nową kaplicą Loretu, dzieło rzeźbiarza Czajkowskiego poświęcił ks. Franciszek kaznodzieja (18 września 1836 r.), w obec licznie zgromadzonego ludu, który niósł chętnie składki. Wreszcie i cała kaplica stanęła (1837). Wtedy z polecenia arcybiskupa Choromańskiego ks. Antoni Kotowski officyjał i dziekan metropolitalny kaplicę i oltarz poświęcił i pierwszą w niej mszę celebrował (14 sierpnia 1837 r.), a nazajutrz sam arcybiskup otoczony kapitułą, w obec kilkunastu tysięcy ludu, z uroczystą processyją statuę Matki Boskiej Loretańskiej, przeniósł do nowej kaplicy.

Żyjący jeszcze ks. Franciszek Morański z kolei gwardyjan, prowincyjał, a dzisiaj zasłużony ojciec w zakonie, oprócz tej jednej pamiątki, a pamiątki świetnej, w historii kościoła warszawskiego będzie pierwszego rzędu znakomitością. Nieposiadając do tego żadnych zasobów, postanowił odnowić cały kościół, ile że od ostatniej naprawy lat sto upływało. Rzeczywiście czas też było; wiązania się rwały, na wieżę woda przeciekała, stąd dzwony znacznej wielkości groziły niebezpieczeństwem. Kościół zarty w ozdobach swoich, obnażony w wielu miejscach z tynków i organ zrujnowany, smutny przedstawiały widok. Zwierchność zakonna z boleścią patrzyła na nieuchronny kościoła upa-

KOŚCIÓŁ WNIEBOWZIECIA N^{szej} PANNY

KSIĘŻY KARMELITÓW BOSYCH

NA KRAKOWSKIEM PRZEDMIEŚCIU.

Za panowania Władysława IV przy końcu Przedmieścia Krakowskiego na placu ku wałowi, około którego z jednej strony ciągnęły się dwory pana Gąsiewskiego wojewodzica smoleńskiego, dalej w koło oparkaniony dwór księdza proboszcza warszawskiego od ś-go Jana, a z drugiej hetman wielki koronny Koniecpolski zaczął budować gmach ogromny, Albrycht Wessel chorąży nadworny, a rożański, makowski i tykociński starosta postanowił wznieść nowy kościół dla księży karmelitów bosych, których jeszcze nie było w naszej stolicy. Część miasta, a raczej przedmieścia, na którym miał stanąć nowy kościół, nazywała się oddawna Bykowcem, sam zaś plac był niegdyś własnością najprzód Bartłomieja włocho, murarza, a potem (od roku 1601) Marcina Krasickiego starosty bolimowskiego, który fundował karmelitów w Przemyślu. Podania zakonne twierdzą, że kościół już stanął w r. 1642, ale to przedźję założenie samo nastąpiło tego roku, gdyż budowa trwała długie potem lata, a i Jarzemski, któ-



KOŚCIÓŁ WNEBOWZIĘCIA N. P. KSIEŻY KARMELITÓW BOSYCH.
przy ulicy Krakowskie Przedmieście.



ry w r. 1643 opisuje Warszawę, robi tylko nagą wzmiankę o tym kościele, co zdaje się naprowadzać na myśl, że nieskończony był jeszcze i ledwie może zaczęty, tém bardziej że Jarzemski wszystkie za jego czasów istniejące w Warszawie kościoły bardziej szczegółowo opisuje. Rzeczywiście, Wessel zaczął tylko fundacyją, to jest położył na nią kamień węgielny, ale zamierzonej budowy dokończyć śmierć rychła mu nie dozwoliła. Umarł już za czasów Jana Kazimierza krajczym koronnym. Podania klasztorne, które nazywają go Janem, a tytułują zawsze kasztelanem czerskim, bardzo są mylne, żadnego albowiem Wessla nie mamy w spisie kasztelanów czerskich. Karmelici bosi w Warszawie, którzy jak nas dzisiaj zapewniali, nie mają ani biblijoteki, ani archiwów, ani zgoła żadnych innych pamiątek o przeszłości klasztoru, mogą źle nazywać swojego założyciela, o którym wieść do nich tylko zabłądziła z podania. Dla tego i w ogólności historyja tego kościoła jest bardzo uboga w fakta, a przynajmniej uboższa od historyi pierwszej lepszej świątyni w stolicy, ile, że nie tak dawno, bo ledwie dwa wieki może pamięcią w tył zasięgnąć. Samą zaś myśl sprowadzenia karmelitów do Warszawy podala zapewne Wesslowi ta okoliczność, że już od lat kilkunastu za Zygmunta III dobroczyńcy zbudowali kościółek karmelitkom na Krakowskim Przedmieściu. Teraz obok żeńskiego wznosił się powoli i męski klasztor, którego kapłani spełniali z urzędu przez długie lata nabożeństwo i ceremonije święte u niewiast swojej reguły.

Zacząty kościół rosnął składkami bardzo wielu pobożnych, bo Wessel umierając nie zapewnił swojej fundacyi pewnego na dalszą budowę funduszu. Na czele tych dobroczyńców stawia kościół króla Jana Kazimierza, który z dochodów stołu swojego wyznaczył po 500 złp. rocznie na fabrykę, i oprócz tego zapisał grunt na Ujazdowie dla klasztoru (11 lutego 1668 r.); grunt ten przeznaczony był właściwie nie na obsiew, ale na cegielnię, żeby karmelici nie potrzebowali kupować do budowy najważniejszego materyjału, owszem, żeby go sobie sami wyrabiali. Rze-

czywiście podania klasztoru twierdzą (ciągle nam się przychodzi przy opisie kościoła karmelickiego podaniami temi wyręczać), że cegielnie te były niegdyś w bardzo świetnym stanie, że klasztor wyrabiał cegłę nie tylko na swoje potrzeby, ale że ją mógł nawet sprzedawać, że ciągle nowe zakładał ku temu celowi roboty, i że wreszcie na około całej Warszawy jednym pasem cegielnie roztoczył, a najwięcej ich miał w stronie mokotowskiej. Później kiedy już fabryka podupadła, z tego gruntu w Ujazdowie klasztor pobierał czynsze, aż wreszcie za czasów królestwa polskiego grunt ten karmelici sprzedali.

Innemi dobroczyńcami kościoła byli w tym czasie książę Michał Czartoryski wojewoda sandomierski, który klasztorowi dwie summy zapisał na dobrach swoich w Podlasiu, wynoszące razem 8,500 złp. (1674 i 1691). Jedna z tych summ mniejsza, wynosząca 1,500 złp. opartą była na wsi Strzale pod Siedlcami, która stanowiła własność samej księżnej, wsi pamiętnej z tego, że w niej gościł kiedyś Pasek, i wspomnieniom to pobytu swojego w Strzale, jedne z najpiękniejszych stronnice swojej książki poświęcił. Drugą summę książę oparł na Mszyńcach, Bębenku i Sekule. Innym dobroczyńcą klasztoru był Władysław Szmeling koniuszy wielki koronny, który 4,000 zapisał na wsiach Straszowej, Borkach i Osękach. Wszystkie te dobra Czartoryskiego i Szmelinga leżały w powiecie węgrowskim, w owoczesnym województwie podlaskiem. Ale najwięcej klasztorowi temu świadczył książę Michał Radziejowski, który potem został prymasem i kardynałem. Jakoż w połowie panowania Jana III, Radziejowski widząc, że kościół marnieje, a księża dać sobie sami rady nie mogą, postanowił dokończyć rozpoczętą fundacyi Wessla. Z własnych dochodówłożył na budowę i zbierał składki, toż samo księża karmelici kwestowali; otóż za wspólną pracą powstał kościół prawie z niczego; wewnątrz ołtarze, zewnątrz mury podniosły się tak dalece, że już mogło odbywać się bez przerwy w kościele nabożeństwo. Ołtarz wielki słynie na cześć ś-go Józefa, oprócz

niego stanęło kilka innych ołtarzy. Kościół zaś sam otrzymał tytuł Wniebowzięcia N. Panny. Nie miał z początku żadnych nadzwyczajnych ozdób, ani obrazów celniejszych mistrzów, ani pomników. Skromny i cichy, służył tylko wygodzie mieszkańców przedmieścia. Dopiero księża karmelici wdzięczni za łaskę Radziejowskiemu, którego drugim założycielem swoim zwali, chcąc przekazać następcom pamięć jego dobrodziejstw, jeszcze za życia wystawili mu w w klasztorze na zewnętrznej ścianie od podwórza pomnik z czarnego marmuru, który do dziś dnia jeszcze świadczy o wdzięczności z jednej, i o pobożności zdrugięj strony. Serce zaś kardynała pochowali u siebie w kościele. Pod herbami kardynała napis łaciński następny ze skróceniami:

Eminentissimo et Reverendissimo S. R. E. tit. S.

M. de Pace Presbytero cardinali Radziejowski

Archiepiscopo Gnesnensi Legato nato Regni

Poloniae et M. D. L. primoque

Principi, Serenissimis Regibus Michaelis I cognato,

Joannis III. nepoti, prudenti sub interregno

Moderamine, constanti sub turbine

Reipublicae fortitudine, zelo ac pietate Patriae

Patri, ob spretum nominaudi ac coronandi, in

Publica discordia fastum, re et nomine Primati

Religionis catholicae propugnatori

Morum ac ecclesiasticae disciplinae restauratori

Coenobii hujus fundatori, pauper sed in

votis dives Carmel. discal. Religio nunquam

moriturae gratitudinis monumentum

posuit.

Anno Domini 1699.

Wieś Szopy za rogatekmi wolskimi dostała się także karmelitom podobno z łaski Radziejowskiego. I na Wołyniu, jak powiadają dzisiejsi księża karmelici, posiadali dwie wioski z owego czasu, od dobroczyńców nadane.

Po Radziejowskim jeszcze sypały się fundusze na kościół.

Okuniew, Kaluszyn, Rudno, Rudzienko, i wiele innych dóbr w okolicach Warszawy obciążali summami dla karmelitów, Opacy, Chrzanowscy, Karczewscy, Grzybowscy, Rudzieńscy i inna mazowiecka szlachta; książę hetman Rybeńko Radziwiłł zapisał także na Strachówku w ziemi liwskiej dziesięć tysięcy (23 czerwca 1744). Summa tych wszystkich zapisów doszła wreszcie do 65,000 złp. (1701—1757).

Ale mimo to fabryka nie skończyła się jeszcze, bo nim odbudowano cały kościół, to potrzebowało odnowienia, tamto ozdoby; okoliczności wywołały więc nowego dobroczyńcę. Był nim ksiądz Augustyn Adam Wessel opat jędrzejowski, a wnuk od brata pierwszego założyciela kościoła, syn Stanisława starosty rożańskiego, rodzony brat Maryi Józefy Sobieskiej, znaney w historyi naszego miasta pod nazwiskiem królewicowej Konstancy. Wessel lubił klasztor karmelitów, często w nim przemieszkował, lubił go dla „samotności,” z jaką się tutaj mógł pomodlić, lubił dla tego, że tutaj w nim widział pamiątkę rodzinną. Więc z dochodów własnych odnowił go i przyozdobił, wreszcie poświęcił w r. 1716. Tak zamknęła się pierwsza epoka dziejów naszego kościoła, która trwała lat przynajmniej 74 (1642—1716). Na pamiątkę poświęcenia postawił Wessel nad wejściem do kościoła kamień niedawno przy odnawianiu facyjaty w murze wewnętrznym odkryty z następującym napisem łacińskim:

Deo, quo nihil melius, solitudini qua nihil beatius, virtuti, qua nihil oportunius Hanc, a se renovatam, ornatamque Edificii partem Augustinus Vessel Abbas Andreovien. consecravit, dicavit, dicavitque a. D. 1716.

Wprzód jednak, zanim to odnowienie nastąpiło, w kościele karmelitów zaszedł bardzo ważny wypadek polityczny. Oto układy o pokój ostateczny pomiędzy Polską a Szwecyją, to jest pomiędzy Karolem XII, a Stanisławem Leszczyńskim przez kilka miesięcy w klasztorze tutaj się odbywały. Było to niedługo po owej sławnej bitwie, którą pod murami stolicy generał Nierot sto-

czył przeciwko szwedom i w skutek której koronacyja nowego króla mogła swobodnie nastąpić. Był też zjazd wielki w mieście. Król Stanisław mieszkał w pałacu radziwiłłowskim w pobliżu karmelitów. Może dla tego klasztor nasz wybrano na miejsce układów, które się już z dniem 1 września 1705 r. zaczęły. Nie było wszystkich kommissarzów; hetman w. kor. nie zjechał, a biskup pozn. jeszcze był w niewoli u sasów, zatem dobrano biskupa kamienieckiego Gnińskiego, i kasztelana wieluńskiego Zapolskiego do rady. Gniński też prezydował na konferencyjach obok posłów szwedzkich. Tok narad przerwał sam król szwedzki, który stanowczo oświadczył, że chce traktat podpisać z ukoronowaną głową, ale nie z prywatnym człowiekiem. To dało powód do rozerwania chwilowego układów. Dopiero po koronacyi, kommissarze wrócili w pierwszych dniach października do karmelitów dla dalszych prac, które tylko co zaczęli. Po miesięcznych przetorach zawarte zostało w tutejszym klasztorze przymierze pomiędzy Polską a Szwecyją, w d. 18 listopada 1705 r. Gwarno więc było przez te trzy miesiące w kościele, bo codziennymi gośćmi jego byli już nie sami pobożni tylko ludzie, ale dyplomaci, hetmani, jenerałowie, żołnierstwo. Marszałek konfederacyi, która Leszczyńskiego na tron wybrała zasiadał tutaj obok starego hetmana Sapiehy, Józef Potocki obok Jerzego Warszyckiego, i t. d. Wypadek to był jeden z największych dla Polski w owych czasach nieszczęsnej wojny szwedzkiej.

Drugie wspomnienie, jakie się do kościoła karmelitów wiąże, niewiele od tamtego późniejsze, jest to jednodniowy a tajemniczy pobyt w klasztorze Emanuela królewicza portugalskiego, który czas jakiś ludził się nadzieją, że osiadzie na tronie polskim po usunięciu króla sasa. Nadzieje te były na pewnej podstawie, bo dwa silne dwory sąsiednie dały sobie słowo, że będą postępowały w tym duchu na korzyść Emanuela, który uważał się po części za członka rodziny Sobieskich, będąc siostrzeńcem królewiczowej Jakóbowej. Emanuel z bratem w ciągłej zostawał woj-

nie, i dla tego wiatry gonił po Europie. Nagle pokazał się w Warszawie (9 lipca 1730 r.) w towarzystwie jakiegoś z kawalerów Maltańskich, który był hrabią i czterech lokajów. Przyjechał o 5tej rano i stanął w celi u karmelitów; przykładowie odprawił nabożeństwo, zjadł w klasztorze obiad z hrabią swoim i z przeorem klasztornym; do stołu był zaproszony Tymiński oberstlejtant i kilka innych osób. Jechał do Moskwy wtenczas na koronację, a spieszo mu było. Więc odebrawszy od przeora błogosławieństwo na drogę, o 3ciej po południu wyjechał. Nigdzie ani na krok nie wyszedł na ulicę w Warszawie. Przybył i odjechał pocztą. Zachowywał najściślej incognito, bo naturalnie nie chciał obrażać króla Augusta, po którego państwach swobodnie przejeżdżał się, chociaż chciał mu je zabrać. I w całej Polsce zachował incognito. Poznany tylko po drodze przypadkiem, wstąpił do Morsztyna wojewody inflanckiego, którego znał dawniej i tam trzy dni bawił. W Warszawie odwiedził go zaś tylko pułkownik artylleryi kor. dawny przyjaciel z Paryża. W Petersburgu i Moskwie serdecznie przyjęty, już nie wracał na Warszawę ale na Mitawę, Elbląg i Toruń do Wiednia.

Współcześnie z opatem Wesslem, który potem został biskupem inflanckim, odznaczył się wielką gorliwością dla dobra swojego kościoła ksiądz Jerzy Brzostowski karmelita, przeor warszawski. Sam z siebie majątny,łożył wiele na ozdobę kościoła. Jerzy chciał tém upamiętnić w klasztorze rządy swoje. Wszystkiego po kolei dotknęła gorliwa pobożność księdza przeora, który miał rozwiązane ręce i robił co chciał, bo najwyższe godności piastował w zakonie. Był prowincyjałem, był dwa razy definitorem jeneralskim w zakonie: kapłan przykładowy, znany niegdyś całej Warszawie, współczesny i przyjaciel księdza Pokorskiego od paulinów. Brzostowski wiele nowych oltarzy w kościele wystawił, klasztor zewnątrz i wewnątrz obrazami przystroił (zapewne portretami biskupów, którzy z karmelitów poszli), nareszcie założył bibliotekę, która od tego czasu tak znakomicie wzrastała, że na-

leżała bez wątpliwości do najbogatszych bibliotek w Polsce, jak nam prawią o tém czasowe podania klasztorne. Brzostowski ten jadąc po raz już drugi w sprawach zakonu do Rzymu, przepowiedział sobie śmierć; jakoż wistocie umarł w stolicy świata chrześcijańskiego dnia 5 lipca 1721 r. Szczegóły te o nim mamy z notat księdza Pokorskiego, który tę jeszcze okoliczność o Brzostowskim przydaje, że był to sławny wieku swojego kaznodzieja, i że wymową swoją wielu grzeszników nawrócił.

Nastąpiła najświetniejsza epoka dla klasztoru. Księża posiadali ogromne uposażenie, bo wszyscy najznakomitsi panowie rzeczypospol. spieszyli się na wyścigi i sypali pieniądze na tę pobożną fundacyją. Klasztor miał swoje dobra, jeziora swoje, swój połów ryb na Wiśle, dużo placów w samej Warszawie, z których mieszczanie płacili czynsze; jednym słowem miał jakby całą swoją jurydykę i rządził we własném hrabstwie. (*) W Szopach zaprowadził później wzorowe gospodarstwo. Sam zaś klasztor uderzał ogromem, wznosił się albowiem aż na dwa piętra; obszernie był zabudowany, mógł wielu zakonników pomieścić. Na górnym piętrze urządzono umyślnie pokoje biskupie, które do dziś dnia przetrwały; jakoż są wspomnienia, że w owych pokojach przesiadywali bardzo często znakomici goście klasztoru a senatorowie rzeczypospolitej.

Klasztor kwitnął. Bywało w nim pod owe czasy po 60 – 80 mszalnych księży, a wszystko ludzie uczeni, wszystko doktorowie teologii, filozofii i prawa kanonicznego. W kościele sławne odbywały się dysputy, w których nikt pod owe czasy księżom bosakom, jak karmelitów zwano, nie sprostał. Księża tutejsi wy-

(*) Za Jana III w r. 1677 na sejmie zapadła następna konstytucya. *Approbatio kommutacyj domku karmelitom bosym tu w Warszawie.* Wygadzaając *intentioni ojców karmelitów bosych w Warszawie, komutacyją domku z wielebną kapitułą warszawską na placu Bromerowskim będącego approbujemy i wiecznemi czasy immunitatibus ecclesiae adscribimus, od stanowisk wszelkich conventu praesenti uwalniając.* — Vol. Leg. T. V, str. 482.

dawali dzieła teologiczne, mieli wpływy i łaski u panów, sławnych kaznodziejów posiadali. Od nich Załuski referendarz koronny wprowadzał święto Hyjacynty de Morescottis do bernardynek, a do nich znowu święto Jana krzyża odnowiciela karmelitów (1728): obiedwie uroczystości odbyły się nadzwyczaj świetnie z kazaniami i z procesyjami przez całą oktawę. Stan ten świetności kościoła trwał szczególniejsz za panowania Augusta III, i trwało cały czas rządów króla Poniatowskiego. Dysputy odbywały się publicznie w kościele, a konkluzyje pospolicie „z wielkim applauzem“ przyjmowane, starszyzna zakonna zawsze komuś z panów albo biskupów według staropolskiego zwyczaju poświęcała. Sławna była np. dysputa ofiarowana publicznie w kościele dnia 22 kwietnia 1763 r. Wojnarowskiemu staroście mirhorodzkiemu i Wyhowskiemu starościcowi wieletyckiemu (Wiad. Warsz. suppl. Nr. 34). Inną razą całe kolegium karmelickie obchodziło pamiątkę 8-go Tomasza z Akwinu, który był „słowem bożej myśli“ (1745, Jocher Nr. 5463). I ta cześć dla 8-go Tomasza z Akwinu ponawiała się ciągle: pamięć świętego męża obecną zawsze była karmelitom warszawskim, kiedy potem jeszcze w lat kilkanaście i kilkadziesiąt księża tutejsi przybierali imię tego patrona i drukowali np. dzieło czterotomowe: „Cud miłości boskiej ku narodowi ludzkiemu największy, przez W. O. Tomasza z Akwinu od 8-go Ignacego karmelitów bosych konwentu warszawskiego przeora“ (1790, Jocher Nr. 6005). Ksiądz Gabryjel Jakubowski karmelita należał wtedy do najcelniejszych w stolicy kaznodziejów (*).

(*) Wielu innych było literatów z zakonu karmelitów bosych oprócz wymienionych w tekście. W r. 1746 bosych była w całej Polsce tylko jedna prowincja, obejmująca klasztorów 20, wtenczas kiedy trzewickowych było aż 3 prowincyje, a małopolska w r. 1766 rozdzieliła się jeszcze na dwie: na małopolską i litewską. Inne dwie były: wielkopolska i ruska. Dzieła uczonych karmelitów bosych można znaleźć u Jochera, *Obraz historyczno-statystyczny i t. d.* pod Nrami 6201, 6331, 6856, 7431 i t. d.: oraz u Mizlera *Acta* str. 102: rękopisma ks. Idlińskiego prowincjała, które znajdowały się w bibliotece warszawskiej zakonnej, tenże Mizler tamże wylicza.

W roku elekcyjnym Stanisława Augusta kościołowi groziło niebezpieczeństwo od pożaru. O północy przypadkiem zapaliły się stajnie, które księża wynajmowali zwykle panom; wiatr był silny, zatem wozownie i pojazdy, obszerny browar z narzędziami, moc przygotowanego na zimę drzewa i przyległych kościołowi kilkadziesiąt domów, pożar w perzynę obrócił (z dnia 11 na 12 września 1764 roku). Już zakonnicy wynosili się z klasztoru, bo ogień sięgał im do okien, i cztery kamienice na Krakowskim-Przedmieściu pochłoniął. kiedy wreszcie ugaszono go po kilkunastu godzinach wielkich usiłowań.

A kościół nasz po ostatniem swojém odnowieniu przez Wessla, jeszcze zupełnie skończony nie był; wewnątrz przyzwoicie urządzony, nie mógł się pochwalić powierzchownością swoją od ulicy, to jest, nie miał dotąd facyjaty. Ale żeby go i pod tym względem przyozdobić, oko Opatrzności czuwało. Ojciec Honory od ś-go Elizeusza, gorliwy o chwałę Bożą zakonnik, myślał ciągle o facyjacie. W szesnastym roku życia już karmelita, skromny, potulny, uczony, najprzód przez lat 12 młodzież swojego zakonu ćwiczył w nauce i moralności, a potem dostawszy się na urząd przeora warszawskiego, miał sposobność zapoznania się z wielą znakomitościami rzeczypospolitej i z panami, których wtedy zawsze po kilkudziesięciu mieszkało w Warszawie. Panowie ci budowali sobie pałace zwykle na przedmieściu, bo tam najwięcej miejsca i placu było, wszyscy więc mniej więcej sąsiadowali z karmelitami. Ojciec Honory kilkakrotnie piastując godność przeora, to jest różnemi czasy przez lat 20, przymiotami swojemi, skromnością życia, zdrowemi radami, zjednał sobie przyjaciół. Koło siebie najściślej przestregał ubóstwa, a liczne jednak ofiary rozrzucił z rąk swoich na ubóstwo w stolicy. Jak raz władzę objął, tak jéj nie porzucił, bo w czasach kiedy nie był przeorem, dwa razy obierano go na prowincyjała, dwa razy na wizytatora jeneralnego. Nie tylko u panów, ale i w całej stolicy zjednał sobie wielką opinią o swoich cnotach i skarbach miłości,

jakie w sercu swém nosił, tak dalece, że blask wysokich jego w zakonie stopni, gasnął przy blasku jego wartości osobistój.

Ze wszystkich atoli panów, których serca sobie zaskarbił ojciec Honory, najskuteczniejszą dla niego była przyjaźń księcia hetmana Radziwilla Rybeński. Książę najbliższym był sąsiadem klasztoru, stąd wypadło, że i największym w swoim czasie był jego dobrodziejem. Mieszkając w dzisiejszym namiestnikowskim pałacu, tutaj zwykle za czasów pobytu swego w Warszawie bywał na mszy i nabożeństwie. Urządził sobie nawet kaplicę osobną w kościele, zaraz obok wielkiego ołtarza ze strony pałacu. Kaplica ta kiedyś radziwillowską nazywana, a dzisiaj zamieniona na zakrystyją, miała osobne wejście z boku dla samego księcia. Miał zatem hetman Rybeńko jakiś rodzaj zobowiązania się względem klasztoru, a ojciec Honory z tego korzystał.

Książę Radziwiłł postanowił wznieść karmelitom facyjatę. Ale zaczął późno i nie dokończył dzieła. Zato syn jego książę Panna kochanku, który po ojcu odziedziczył względy dla klasztoru i dla ojca Honorego, święcie dopełnił woli hetmańskiej. Budowniczy Schrögen, który wslawił się licznymi robotami podówczas w Warszawie, który i dominikanom obserwantom stawiał facyjatę, podjął się na żądanie księcia téj roboty. W istocie wystawił i karmelitom facyjatę z ciosu, jedną z najgustowniejszych, bo znawcy nawet przyznali, że żaden kościół warszawski dzisiaj tak pięknej powierzchowności nie ma od ulicy, jak kościół karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu.

Jednocześnie kiedy się czło tak przyozdabiało, kościół wewnątrz nowe zyskiwał skarby. Sinuglewicz dał tutaj trzy swoje obrazy: ś-go Wawrzyńca, ś-go Jana od Krzyża i ś-go Eliasza, a w roku 1790 lub około, trzy nowe ołtarze mozaikową robotą najświeższego gustu wyrobiono kosztem dobroczyńców. Nie zwracając dotąd na siebie uwagi kościół karmelicki pod względem sztuki, teraz i pod tym względem miał się z czém pochwalić.

Ojciec Honory umarł w sierpniu 1793 r. mając lat 74, a w za-

konie przepędziwszy lat 54. Jest to jedna ze znakomitości zakonu, pierwsza, ale i nieostatnia. Jak Honory cnotami, tak współczesny mu karmelita warszawski ks. Adryjan Jędrzej Czechowicz słynął nauką i powagą, kiedy w roku 1794 pierwszy podobno z polaków został generałem całego zakonu. Umarł w Lublinie, ale w Warszawie mieszkał.

Klasztor warszawski wiele bardzo stracił z upadkiem dawniej Rzeczypospolitej. Dobra jego po większej części dostały się pod inne panowanie, najwięcej funduszów zostało wtenczas w Galicyi. Za to zaś co zostało pod panowaniem pruskim, rząd wyznaczył kompetencyją; od tego czasu i wieś Szopy stała się własnością rządu, ale wzorowe gospodarstwo już widać podupadło w tej wsi, kiedy w r. 1789 Szopy według wykazu urzędowego czyniły klasztorowi tylko 813 złp. i 6 gr. rocznego dochodu. Odtąd zupełny nastąpił upadek dawniej świetności klasztoru. Ze zmniejszeniem się funduszów, zmniejszyła się i liczba księży. Biblioteka rozleciała się po wszystkich stronach. Księża karmelici narzekają na Czackiego, że bardzo wiele im wyciągnął ksiąg i wywiózł potem z Warszawy; Czacki, powiadając o nim, narzekał, że nie ma w Polsce zakonów coś umiejących, a są tylko beczące, i dla tego bez skrupułu cudzemi skarbami wzbogacał własną bibliotekę. Archiwum też, a być miało, wtedy rozbiegło się po rękach i zmarniało. Nawet duch żelazny niewiary wtedy schwycił umysły i do bractw przeniknął. Było w klasztorze sławne kiedyś swojego czasu bractwo muzyczne, które miało swoje ustawy, miłością bliźnich i pobożnością nacechowane, a które co piątek i co niedzielę miało obowiązek odgrywać na chórze msze na cześć Najwyższego. Duch wolterjanizmu i z tego wynikłe niezgody rozproszyły rychło to bractwo. Nawet pokazali się ludzie złej woli, którzy na zgubę klasztoru działali, korzystając z chwilowych okoliczności. Są w kościele u karmelitów kamienie nadgrobné: Józefa Kantego Ossolińskiego wojewody wołyńskiego, i żony jego Teresy ze Stadnickich; są to ci Osso-

lińscy, o których tyle wspomnień w powieściach historycznych Kaczkowskiego. Chociaż oboje pomarli gdzieindziej, tu przecież pamiątkę swoją chcieli zostawić na murze. Ossolińscy byli dobroczyńcami klasztoru karmelitów. Podanie klasztorne rozpowiada, że pani wojewodzina bardzo pobożna niewiasta, zapisała im ostatnią wolą swoją na własność dzisiejszy hotel Gerlacha, ale że testament jój zniszczono i że księży karmelici nigdy do posiadania téj darowizny nie doszli; o hotelu Gerlacha mowy tutaj być nie może, bo nigdy pałac ten własnością Ossolińskich nie był; ale w podaniu tém zawsze pozostanie dowód zléj czyjejeś woli, która darowizny jakiejś wojewodziny dla klasztoru porobione zniszczyła.

Epoka ta upadku obejmuje czas od 1794 r. do czasów odrodzenia się królestwa. Jednakże innych zmian wiele przeszedł wtedy i za czasów królestwa polskiego klasztor i kościół. Przeniesiono tutaj obraz ś-ój Barbary od bernardynów pragskich, przeprowadzono potem ze zniszczonego kościoła obserwantów obraz ś-go Wincentego patrona bractwa mularskiego, który był wprzódy u wizytek. Wreszcie i bractwo Różańcowe po obserwantach pozostale, a do wizytek przeniesione, przeszło potem do karmelitów. Nie wyszedł na tem dobrze klasztor, bo ciągle kłótnie, spory i nieporozumienia z bractwem zyskał, a skargi sypały się jedne za drugimi, to do biskupa, to do konsystorza, to do rządu. Było i trzecie bractwo Najświętszój Panny Szkaplerznej także bardzo ruchliwe, które czciło także ś-go Józefa i Najświętszą Pannę od szczęśliwój śmierci. Erekcya jego w r. 1740 podobno wydana, a w r. 1803 poprawiona, nie była na rękę karmelitom. Rożaniec także narzekał na to, że wolą tylko, a raczej intrygą dwóch braci osiedlony był w kościele tutejszym, chociaż chciał pozostać przy wizytkach; wyniósł się wreszcie, ale że jakieś własności jego u karmelitów pozostały, udawał się po opiekę aż do prymasa (1825 r.). W r. 1817 po skassowanym klasztorze karmelitek przeniesiono do tego kościoła relikwiarze na oltarzu ś-ój Teresy złożone. Do te-

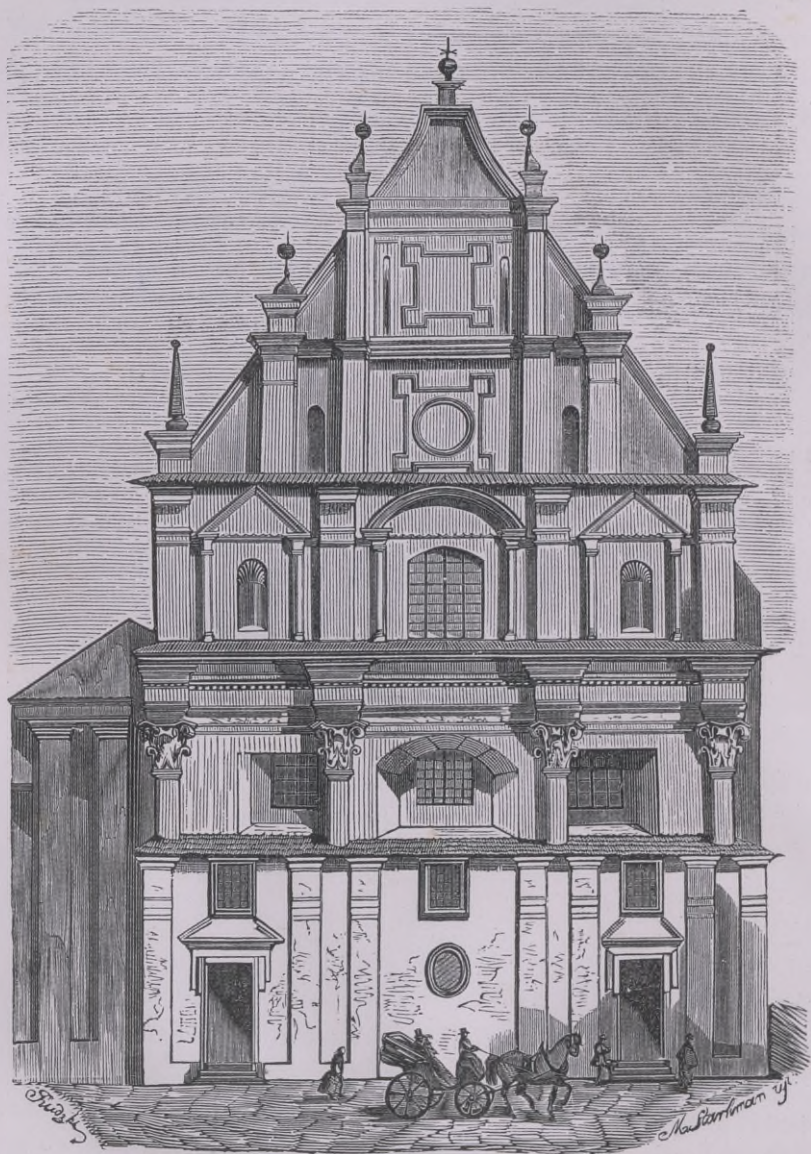
go budowa kościoła psuć się i rysować poczęła. Postanowieniem księcia namiestnika Zajączka, górne piętra klasztoru zajęte były na użytek publiczny, naturalnie za opłatą czynszu pewnego, to jest na skład archiwów i biuro Prokuratorji. Z początku r. 1817 rząd nakazał zajęcie części klasztoru na instytut zarobkowy powstającego podówczas Towarzystwa Dobroczynności (w sierpniu). W klasztorze téż mieściła się drukarnia rządowa. Był projekt wtedy nowój przebudowy klasztoru a przynajmniej kościoła, nawet już w tym celu wydano stosowne rozporządzenia; dla zabezpieczenia samych archiwów potrzeba było o naprawach pomyśleć, ale jakoś to na niczém zeszło. W ostatnich tylko czasach kościół za wsparciem rządu odnowiony został, ale gdy nadspodziewanie na ścianach pokazały się rysy, ojcowie karmelici na własne barki przyjęli ciężar i do nowój fabryki przystąpili, która trwa i w obecnej chwili, a jak długo trwać będzie? wie to Bóg sam, bo karmelici żadnego na to nie mają funduszu. W niedzielę d. 15 lipca 1855 r. odbyło się uroczyste poświęcenie ołtarza ś-ój Teressy i umieszczonego na nim relikwiarza przeniesionego od karmelitek, który kiedy otworzono, przekonano się, że zawiera kości jednéj z jedenastu tysięcy panien męczenniczek, towarzyszek ś-ój Urszuli, zamordowanych niegdys w Kolonii przez hunnów.

Dzisiaj znajduje się w kościele oprócz wielkiego ołtarza, nowych mniejszych jedenaście, to jest. ś-go Wincentego, Matki Boskiej Różańcowej, Najśłodszego Imienia Jezus, Matki Boskiej Szkaplerznej, ś-ój Teressy, ś-go Jana od Krzyża, cudownego Pana Jezusa przy słupie biczowanego, ś-go Wawrzyńca, ś-ój Barbary, ś-ój Anny i Matki Boskiej od szczęśliwój śmierci. Nagrobków prawie żadnych nie ma. W ostatnich czasach postawiono pomnik Janowi Kalasantemu Szaniawskiemu b. prezesowi prokuratorji, radcy stanu z okresu przed rokiem 1830, i sławnemu filozofowi swoich czasów, który na dewocyi u jezuitów życie zakończył w Galicyi (w r. 1844).

Kościół karmelitów to ma jeszcze wspomnienie, że był jakby kościołem wojskowym. Świetne albowiem przedtem bywały tutaj nabożeństwa, którym dawne wojsko polskie w niedziele i święta, z parady na saskim placu powracające, zawsze towarzyszyło.

W téj chwili odbywa się całkowita wewnętrzna odbudowa kościoła po największej części ze składek pobożnych, bo zasilki dotychczasowe nie wystarczyły. Kiedy się skończy odnowienie, śliczny kościół karmelitów jeszcze wspanialszą przybierze postać.





KOŚCIÓŁ KSIĘŻY PIJARÓW.
przy ulicy Święto-Jańskiej.

KOŚCIÓŁ KSIĘŻY PIJARÓW

NA ULICY ŚWIĘTO-JAŃSKIEJ. (*)

Pijarzy zajmują dzisiaj gmachy po-jezuickie. Więc w kronice teraźniejszego kościoła pijarskiego, jezuitom pierwsze należą się wspomnienia.

Już kilkanaście kolegiów jezuickich wznosiło się po różnych stronach kraju, a uczonego zakonu na stałe zamieszkanie jeszcze nie miała w swoich murach Warszawa, chociaż już była niby stolicą Rzeczypospolitej, a przynajmniej króla Zygmunta. Przejeżdżali nieraz przez Warszawę jezuici, tutaj naradzali się często, przyjmowali fundacje, Skarga nawet u ś-go Jana kazywał, przecież długo oczekiwany dobroczyńca nie zjawiał się w Warszawie; sam tedy zakon musiał podnieść staranie około swojego usadowienia się w stolicy. Skarga kupił w tym celu z jalmużn dom murowany na Starém-Mieście (1597 r.) i zaraz sprowadził do niego na mieszkanie współbraci (1598 r.). Była to na początek rezydencyja tylko,

(*) O tym kościele jest książeczka pod tytułem: „Wiadomość historyczna o kościele, kolegium i innych gmachach należących dawniej do księży jezuitów warszawskich“ ogłoszona po otwarciu na nowo kościoła w d. 19 marca 1836 r. w Warszawie 1836 in 8-vo str 40. Jest to wyjątek z „Pamiętek Warszawy.“ Przedrukowana ta książeczka w Przyjacielu Ludu. Autor tej książeczki mówi, że tytuł kościoła był „Niepokalanego Poczęcia.“ Zdaje się że to pomyłka, bo z nadań Okęckiego 1781 r. widać, że tytuł był taki, jakimy tutaj podali.

nie zaś kolegium, i dla tego nazywano ją potem długo *klasztorem*. Skarga rozpoczął też budować kolegium (15 października 1597 r.) oddzielone murem od innych zabudowań staromiejskich, ale ta robota wlokła się bardzo powoli, i jezuiti długo nie mieli w Warszawie nawet przyzwoitego kościoła. Starszyzna zakonna postanowiła wreszcie wznieść tutaj dom professów (1606), ale zaledwie o tém pomyślano, już burza rokoszowa Zebrzydowskiego, która z wielu miejsc chciała usunąć jezuitów, do kassaty przeznaczyła i zaprojektowane kolegium warszawskie, nie rada z tego, że się jezuiti pod boki króla tak blisko rozpierali (1607). Kiedy ucichła burza, wzięli się jezuiti z wielką gorliwością do budowy kościoła (1609). Król Zygmunt podarował ojcom plac nabyty od miasta, zaraz obok kolegiaty, i sam podobno położył pierwsze podstawy kościołowi z wielką uroczystością; za królem poszło wielu innych dobroczyńców, a na ich czele odznacza się Jędrzej Bolota, podkomorzy wielki koronny, wielki przyjaciel jezuitów, który nie tylkołożył za życia swego znaczne pieniądze na budowę, ale gdy umarł (18 października 1616 roku), w testamencie na fabrykę kościoła ogromne przekazał zapisy, za co zakon wywdzięczając się, wyniósł później Boboli w kościele swoim nagrobek złożony z popiersia brązowego połączanego ze stosownym napisem na murze. Obok panów był, co dziwniejsza, grek Krzysztof Chisz, szczególniejszym dobrodziejem nowego kościoła. Budowa wszystkich gmachów jezuickich i kościoła, miała się skończyć dopiero 1626 r. Nowe kolegium przydzielono do prowincyi litewskiej. Kościół poświęcony został pod tytułem: „Narodzenia Matki Boskiej i ś-go Ignacego.“

Czego to podówczas w kościele jezuickim nie było? Odrzucała nowa świątynia Warszawy, uprzywilejowana, ukochana od wielkich, stanęła na szczycie blasku, okazałości i dostojeństw. Królowie z rodziny Wazów, jakby dziedziczną miłość kościołowi temu poprzysięgli. Ołtarzy moc, bo aż dwadzieścia i tyleż konfesyjonałów; dwanaście ołtarzy marmurowych, insze zaś z drze-

wa, posadzka marmurowa i marmurowa balustrada oddzielająca prezbiterjum od reszty kościoła. Do ołtarza ś-go Ignacego patriarchy zakonu, obraz sprowadzono z Rzymu, a król Zygmunt do niego podarował bogate obicie. Nie dosyć na tém; król wykonał sam własną ręką kosztowne naczynia święte, przeznaczone do ofiar, i tutaj w kościele jezuitów złożył je Bogu w podarunku. Władysław IV hojnie uposażył i ozdobił ołtarz ś-go Kazimierza Jagiellończyka. Daléj zawiązał tutaj z kanclerzem Ossolińskim owo sławne bractwo Niepokalanego Poczęcia, które się tylko osłaniało religijnym pozorem, a miało cele więcej polityczne; zapisał się król sam w kościele jezuickim do tego bractwa, i został jego przełożonym, a Jan Kazimierz i Karol Ferdynand królewicze, urząd assystentów w niém sprawiali (1645 r. Dwutyg liter. tom 2 str. 204) Cecylja Renata i Jan Kazimierz rachowali się między dobrodziejów kościoła. Zakon jezuicki swoich szczególnie świętych patronów miał w wielkiem poważaniu, dla tego ołtarze tu swoje mieli: ś-ty Franciszek Borgiasz, ś-ty Ksawery, ś-ty Stanisław Kostka, ś-ty Aloizy. Żaden kościół warszawski na ołtarzach swoich nie był tak może pięknie przybrany, jako ten jezuicki, bo tutaj każdy z panów, biskup czy świecki, prędkiej jak gdzieindziej niósł ofiarę; dziejcpisowicze nie próżno wysławiali téż skarbiec tutejszy, mówiąc: że bogatszego nigdy w stolicy nie było. A nabożeństwa jakie świetne! Ślicznej powierchowności kościoła, bogactwo skarbów ducha naturalnie odpowiadać musiało. Dobrani mówcy kościelni, muzyka: częste odpusty, ściągaly do kościoła ludzi pobożnych ze wszystkich stanów. Jezuici wszelkimi siłami starali się mnożyć i podnosić urok swojego nabożeństwa. Nie odrazu do takiej wziętości przyszedli w stolicy, ale powoli, powoli stanęli u kresu życzeń swoich. Cztérnaście obchodzili odpustów, nie rachując w to świąt uroczystych, decenny ś-go Ksawerego i sexenny ś-go Aloizego; a zwyczajów pobożnych, a obrzędów ściśle miejscowych ile? Na ś-ty Ksawery co rok, np. w czasie rorat, święcono nadzwyczajnej wielkości świe-

cę woskową, na pamiątkę wybawienia od powietrza (od r. 1661) był to zwyczaj, który aż do naszych prawie czasów przechował się w tym kościele, nawet po upadku jezuitów. Codziennie do tego msze śpiewane, w niedziele kazania i katechizm dla dzieci. Wszystkie narodowości jezuitów umiłowali sobie; nie służyli już ziomkom swoim, ale i cudzoziemcom, prawili częściej kazania po niemiecku, ale i z francuzkami występowali; zwłaszcza w dzień ś-go Ludwika, którego ołtarz był także z marmuru. Spowiedników tu znalazł, jakich kto pragnął. Poświęcali się i pracy na mieście. Chodzili po szpitalach i więzieniach, skazanym na śmierć towarzyszyli na rusztowanie. Kollegijata była tak blisko, zaprzyjaźnili się ściśle jezuitów z kapitułą ś-to-Jańską, i stąd najznakomitsi ich mówcy kazali często w kollegijacie dla ludu i królów: dla tego kościół jezuitów połączony był nawet wewnątrz galeryją ze ś-ym Janem, a w ścianie bocznej kollegijaty po nad kaplicą zbudowano balkon dla młodych jezuitów, żeby z niej wygodnie ojców swoim i przełożonym, każącym na ambonie przysłuchiwać się mogli. Współzawodniczyli nawet jezuitów z kollegijatą; kiedy kościół ś-to jański dostał przez bernardynów sprowadzony krzyż cudowny Pana Jezusa z Norymbergi, jezuitów postarali się o drugi takiż cudowny zabytek, to jest o krzyż drewniany Zbawiciela z Lubeki; który gorliwość katolicka jednego z mieszczan niemieckich ocaliła od świętokradztwa. Krzyż ten z urzędowemi świadectwami, Ryszard von der Hardt kupiec, nadesłał do Gdańska do swego przyjaciela Jana Bolfelta, sekretarza królewskiego (1645 roku) z prośbą, żeby go złożyć w jakim kościele; Bolfelt przywiózł drogi ten zabytek pobożności do Warszawy i w dzień podwyższenia ś-go Krzyża w r. 1648 złożył go w kościele jezuitów na ołtarzu marmurowym, i odtąd corocznie nowe a świetne przybywało jezuitom nabożeństwo (*). Z kolei narażali się

(*) Jest dziełko u Jochera (tom III, str. 508) księdza Dominika Rudnickiego Jezuita, które się do tego krzyża odnosi, pod tytułem: „Relacyja o cudownym ukrzyżowanego Chrystusa obrazie w Warszawie w kościele jezuitów.“ Dru-

nawet kolegiacie. Do nich albowiem przeniosło się najprzód od 5-go Jana burzliwe bractwo literackie na skutek wyroku biskupiego (z d. 29 maja 1659 r.); potem toż samo bractwo zaczęło wcześniej odprawiać roraty, uprzedzając nabożeństwo 5-to jańskie, co znowu dawało powód do wielkich skarg i zażaleń, które znowu władza biskupia godziła (1661 roku): nieporozumienia przez bractwo wzniecane ciągle rosły, aż wreszcie skończyły się tem, że literaci musieli powrócić do kolegiaty (1669 r.).

Wszystkie te fundacje jezuickie w Warszawie i szkoły, które otworzyć mogli, dopiero sejm z r. 1635 zatwierdził. Jarzemski niedługo potem, sam kościół tak opisuje: „Kościół oo. jezuitów niewielki, powiada; ołtarze, cymboryjum, drzwi, obrazy kosztowne, wszystko tam grzeczy; tam śpiewają psalmy po niemiecku, pełno zawsze cudzoziemców.“ Z powodu tej wzmianki o cudzoziemcach, dodać musimy, że z kilku pobożnych stowarzyszeń, które losy swoje przywizały do jezuitów warszawskich, najdawniejsze było przy tymże kościele bractwo katolików niemieckich, które zawsze zyskiwało pochwały biskupów poznańskich za swój porządek, zgodę, moralne sprawowanie się i gorliwość o służbę Bożą. Inne bractwo Opatrzności zawiązało się w tutejszym kościele w r. 1660. Pierwsze miało ołtarz 5-go Ksawerego, drugie ołtarz 5-jej Barbary patronki dobrej śmierci, i obchodziły tamto uroczystość swoją 3-go grudnia, to zaś w czwartą niedzielę po Zielonych Świątkach. W roku 1660 założyli też jezuita przy swoim kościele aptekę, nie tylko dla swojej własnej, ale i dla mieszkańców warszawskich wygody; wejście do niej było od Rynku Starego Miasta; była to po zamkowej królewskiej, najdawniejsza apteka w Warszawie.

Nowej ozdoby i życia kościołowi temu przybyło od dnia onego, w którym jezuita rozpoczęli powołanie nauczycielskie w War-

rowane 1724 r. w Warszawie. Dzieje tego krzyża znajdują się w Gazecie Warszawskiej 1783 r. Nr 76 w suplemencie. Autor Pamiątek historycznych Warszawy mylnie podaje, że w Gazecie z r. 1793.

szawie. Było to w r. 1668. Ale mimo przywilejów, które im służyły, mieli jezuici wiele przeszkód na tej drodze do przełamania. Jenerał małopolski w Korczynie (w lutym 1669 r.) domagał się zatwierdzenia wszelkich praw akademii krakowskiej, i zamknięcia szkół nowootwartych bez wiedzy rzeczypospolitej; pomiędzy temi szkołami wymieniono jawnie Kollegijum jezuitów warszawskich, nawet domagano się tego na mocy konstytucyi z r. 1635, która podstępnie stanom rzeczypospolitej miała być wydartą. Jednocześnie pijarzy otwierali szkoły w Warszawie. Młodzież jednakże na to nie zważała, i zaczęła się licznie, liczniej jak do innych zakładów naukowych, zbierać do Kollegijum jezuickiego. Szkoła więc najprzód ograniczona do początków, rozwijać się wspaniale zaczęła. Biskup chełmski Stanisław Świąciecki chcąc uczonych i pobożnych pasterzy przysporzyć księstwu mazowieckiemu, postanowił na dobrach swoich Trąbkach, Naborowie i na innych, które trzymał, fundować dla jezuitów warszawskich teologiją, i przeznaczał fundusz na wychowanie w Kollegijum kilku szlacheckich dzieci. Konstytucya z r. 1677 obciążyć biskupowi na ten cel dobra pozwoiliła (Vol. leg. V. str. 488). Autor Pamiątek historycznych Warszawy wspomina o innym jakimś nieznanym dobroczyńcy, którego nazwisko musi być mylne, o Teterrze Morzkowskim, że niby on fundował teologiją. Bądź co bądź, już na sejmie w r. 1678 fundacyją teologii warszawskiej, jako bez wiedzy rzeczypospolitej, ze szkodą trzecich osób „in volumen legum wprowadzoną,” rzeczypospolita skassowała (V. L. V. 594). Zdaje się jednak, że zakaz nie był wykonany, i że jezuici korzystając z dekretów rzymskich, które pozwalały im nauk wyższych udzielać, wykładali u siebie filozofiją i teologiją jak należy. Osobny gmach na szkoły, na miejscu różnych małych kamieniczek, które skupił, wyniósł dobrze później Ludwik Zaluski biskup płocki z tyłu Kollegijum i kościoła, przez co utworzył ulicę tak nazwaną jezuicką (1720—1725), stąd na jego cześć cały ten zakład naukowy przyjął nazwisko prawie urzędowe: *Gymnasium Zaluscianum*.

Tutaj się przeniosła apteka i piękny księgozbiór, który wychwala Erndtel w opisie Warszawy, a dla którego osobne znalazło się pomieszczenie. Królowie, dobrodzieje i sami jezuici składali się na bibliotekę. Wreszcie w zabudowaniach Zaluskiego otwarto drukarnią, która już od początku XVIII wieku będąc czynną, dopiero za Augusta III otrzymała przywilej (1735 r. i 16 stycznia 1737 r.). Uczniowie związali się w bractwo, które kosztem swoim utrzymywało ołtarz ś-go Alojzego. Na wszystkie obchody religijne przepisany był dla uczniów osobny ceremoniał. Szli w ordynku, ubrani wszyscy schludnie, śpiewali hymny po łacinie; komunią im rozdawał sam ks. prefekt, do którego zbliżali się każdy z zapaloną świecą, przystrojoną w bukiety z kwiatów naturalnych lub misternie wyrobionych. Wtedy zwykle jaki biskup miał mszę świętą przy dobranej orkiestrze, w ciągu której było kazanie, a kościół zaledwie objąć zdołał panów i lud, i rano i popołudniu na nieszpórach; wieczorami oświecano facyję kościoła. W dni wolne od nauk odbywali uczniowie z profesorami swojemi wędrowkę do Loretu na Pragę, a jeżeli spotkali się gdzie w drodze ze studentami pijarskimi, nie obeszło się bez bójki, której dramatyczne ustępy z wielkiem zajęciem dla czytelnika szkicuje Kitowicz. A dyjalogi jakie sławne tu były! Na karnawał, na ś-ty Alojzy, na zakończenie roku szkolnego, spraszano do kolegium na dysputy senatorów, w inne zaś dni kiedy ich nie stało, magistrat; magnaci i dobrodzieje zakonu skrzętnie się na te uczone reprezentacje zbierali. Odbywały się raz po polsku, drugi raz po łacinie, później po francuzku i po niemiecku, ale już wtedy przedstawienia te zwano komedyjami, lubo przedmioty ich bywały religijne (np. historyją ś-go Placyda odegrano 9 lipca 1743 r.). Dyjalogi zawsze ofiarowywano komuś, i zwykle ogłaszano je drukiem przy uwielbieniu przymiotów i zasług dobrodzieja, który na ich wystawienie kosztłożył; role rozdawał pomiędzy uczniów i kierował wszystkiem z urzędu, professor poetyki. Obszerne sale dwupiętrowego gmachu Zalu-

skiego mogły wiele gości pomieścić. W późniejszych już czasach młodzież odgrywała i świeckie sztuki. Bohomolec zawsze im treści i przedmiotu dostarczał. Teatralności dużo było w tych wszystkich wystawach. Za ładą sposobnością, jezuici wyznawali swą wdzięczność wielkim ludziom Rzeczypospolitej. Na ten cel wymyślono illuminacją facyjaty. Obrazami króla i królowej, braci Załuskich, księcia prymasa, przyozdabiano wtedy czoło kościoła, kolegium i gimnazjum, prócz tego na szkolnej facyjacie odmalowane świeciły się obrazy doktorów jezuickich; wszystko to obrzucono kolumnami różnokolorowych lamp poukładanych w słupy, wieńce i korony, osobno chór dla kapeli zbudowany, cały był w ogniach, a szpalery pokrywały mury. Do gimnazjum przybył na końcu już konwikt szlachecki na wzór pijarów; mieścił się najprzód w kolegium, ale w r. 1754 jezuici kupili na Nowém-Mieście za franciszkanami, od Maryjanny z Ogińskich Potockiej wojewodziny wołyńskiej za 66,000 złp. pałac murowany zwany Kotowskim, spadkiem nabyty przez nią po Wielopolskich i tu gmachy nowe dla konwiku stawiać poczęli. Kontrakt z panią wojewodziną podpisał ze strony jezuitów (21 czerwca tegoż r.) Jan Ciecierski rektor kolegium, założyciel i rejens konwiku, a ze strony sprzedającej Józef Kretowicz stolnik owrucki, upoważniony w czasie postu wielkiego do tego aktu w grodzie bieckim (Metr. ks. 230 str. 12—17). Cała ulica tak nazwana Konwiktorska, po obu stronach do jezuitów należała.

Kolegium samo na Starém-Mieście wiele winno Witthofom, rodzinie patrycyjuszów warszawskich. Franciszek Witthoff prezydent miasta, zwany od ludu bogaczem, bo samych kamienic posiadał w stolicy kilkanaście, wielki przyjaciel jezuitów, miał jedynego syna Stanisława, na którego milionowy spadał majątek. Stanisław pobożny jak ojciec, wstąpił do jezuitów, i jedną ze swoich kamienic długą na 57 łokci, a stykającą się z kolegium, zapisał dla zakonu wieczystym darem (12 sierpnia 1729 r.), przez co rozciągnął gmachy jezuickie przez całą ulicę na prost

gimnazyjum od furty aż do rynku staromiejskiego. Oprócz tego 108,000 złp. dał na dokończenie collegijum, aby stało pod jedną facyjată, a kamienice pod jednym dachem. Przeto i facyjata lepiej się wydała, i wysoka wieża, której budowę podziwiali przejeżdżający przez Warszawę cudzoziemcy. Ta wzgarda bogactw przez młodego Witthoffa publicznie okazana, ściągnęła na niego oczy; najwyżsi panowie starali się go poznać osobiście. Stąd na prymicyjach ks. Stanisława znajdowali się senatorowie, ministrowie, biskupi, nawet sam książę prymas Teodor Potocki. Uczelę z tego powodu wyprawił w collegijum szwagier Stanisława i współdziedzic jego majątku Piotr baron de Riaucour, który każdemu z obecnych panów jakąś dał tego dnia pamiątkę. Siostry cioteczne Witthoffa, mile i bogate, zrobiły z tego powodu los, bo powychodziły za mąż za wysoką szlachtę, nawet i za senatorów. Stanisław postawił jeszcze ojcu (zmarłemu 7 listopada 1719 r.) kosztowny pomnik w tym kościele, który dziś się znajduje u ś-go Jana. Sam zaś umarł bardzo jeszcze młodym, bo miał lat zaledwie dwadzieścia siedm, tutaj w collegijum d. 10 sierpnia 1733 r.

Ogrom zabudowań posiadali w Warszawie jezuici litewscy, bo krom gmachów klasztornych i kościelnych na Starém i Nowém-Mieście, posiadali jeszcze grunta i wiejski pałacyk pod Półkowem, i trzy kamienice na Starém-Mieście (Nr 67, 68, 69). Przywilejem Augusta II zyskali jeszcze prawo do założenia na gruntach miejskich około dworku który posiadali, sadzawki na ryby w rzeczce Drzaznie (24 marca 1717 r. Sygill.).

Ważniejsze wypadki które się do tego kościoła odnoszą z ostatnich czasów, są następujące. Za Korybuta odprawiły się tutaj świetne exekwije za duszę cesarzowej a bratowej jego żony Eleonory rakuszanek; kazanie miał wtedy ksiądz Adryjan Piekarski, kaznodzieja nadworny, na niem był król, senatorowie i panowie (5 maja 1673 r.); nazajutrz nabożeństwo ponowiono, ale znajdował się na niem tylko Brzeźnicki piwniczny królewski, a z pospół-

stwa kilkanaście osób, poczem zaraz katafalk rozebrano. Za Augusta II wprowadzono do tego kościoła nowo-kanonizowanych ś-go Ludwika Gonzagę i Stanisława Kostkę, i wtedy z ambony jezuickiej najznakomitsi stolicy odzywali się kaznodzieje (1719 r. Jocher tom III str. 509). Ale najświetniejsze swoje pamiątki co do nabożeństwa, ma kościół po-jezuicki z czasów Augusta III. Bardzo wiele do tego przyczyniło się okoliczności; najprzód, że król z królową byli oboje bardzo pobożni, i że szczególne nabożeństwo mieli do świętych zakonu jezuickiego, a szczególniej do ś-go Ksawerego, którego uroczystość zawsze z wielką wystawnością w kaplicy swojej palacowej obchodzili, a wreszcie, że jezuici byli bardzo grzeczni, że mieli u siebie bractwo niemieckie i kaznodziejów niemieckich. Kiedy królestwo bawili w Warszawie, na święta swoje odpustowe na ś-go Ignacego albo Ksawerego, na dzień ostatniego roku, jezuici osobno ich do kościoła zapraszali. Wtedy i Maryja-Józefa przyjeżdżała tutaj z córkami, i król z licznym dworem w karetach przybywał. Wtedy celebrowali najwyżsi dostojnicy kościoła polskiego, książę kardynał Lipski, książę biskup warmiński Grabowski, ks. kanclerz kor. Załuski, biskup poznański książę Czartoryski i t. d., wtedy orkiestra królewska grzmiała z partesu, a kaznodzieja nadworny ks. Kauschke prawił kazanie; wtedy śpiewano litanije o Panu Jezusie, odbywały się processyje i Te Deum na podziękowanie Bogu za wszystkie dobrodziejstwa, kończyło rok jeden a zaczynało drugi. Wtedy orszak świeckich znakomitości otaczał pobożne państwo w kościele, i nuncyjusz towarzyszył królestwu. W nowy rok jeden biskup zawsze w obec królestwa celebrował u wielkiego ołtarza, a inni biskupi wychodzili ciągle ze mszami do pobocznych ołtarzy; na nieszpory i kazanie polskie zjeżdżała sama królowa z córkami. Najświetniejszy pod tym względem był rok 1744, w którym król przeszło ośm miesięcy bawił w Polsce. W dwa lata potem, za inną bytnością w Warszawie, król z żoną i dziećmi własnoręcznie zapisali się do bractwa Niepokala-

nego Poczęcia, założonego przez Władysława IV-go (10 grudnia 1646 r.).

Suppressyja zakończyła zakon jezuowski. Przed samą bullą Klementa XIV spaliła się wielka część zabudowań konwiktorskich na nowém mieście, za rektorstwa Wyrwicza (19 kwietnia 1772 r.). Naruszewicz był tam podówczas professorem: jezuici u pijarów na Zoliborzu tymczasowego schronienia szukać musieli. Smutna to była przepowiednia. W skutek kassaty, wszelkie własności jezuickie w Warszawie przeszły na własność kommissyi edukacyjnej, potem Stanisław August kolegijum zajął na pomieszczenie niższych urzędników dworu, za co od summy szacunkowej do ostatnich lat panowania płacił procent. Była myśl, żeby część gmachów zająć na archiwa, ale powoli obszerne sale poprzerabiano na mniejsze pokoiki i powynajmowano na mieszkania prywatne. Bibliotekę przelano do biblioteki narodowej Żałuskich, aptekę puszczano w dzierżawę, a później wszystkie narzędzia i sprzęty apteczne podarowano szpitalowi ś-go Ducha. W gmachach akademickich prowadzono dalej szkołę, ale już pod zarządem księży świeckich, lubo z początku sami ex-jezuici byli w niej nauczycielami, więc młodzież tak teraz jak i dawniej do kościoła uczęszczała na nabożeństwo, ale za to ceremonijalność cała dawnych obzędów i zwyczajów przepadła. Jezuici rozproszyli się po świecie, kilku ich zostało w kościele ale pod zwierzchnictwem już świeckiego księdza i tym zlecono tymczasowo dopełniać wszelkich powinności religijnych i utrzymywać porządek w nabożeństwie. W drukarni jeszcze, teraz już po-jezuickiej, zostali księża Bohomolec i Łuskiński, którzy wydawali wprzód „wiadomości“ a potem „gazetę warszawską.“ Łuskiński smutny i zasepiony, gniewał się na cały świat i światu przymawiał, a tymczasem prowadził sobie sławny na całą Warszawę handelek francuskim winem razem z braciszkiem Kościeszą. Gmachy po-jezuickie do szczytu wreszcie sprofanowano traktyjernią, która się rozgościła w refektarzu, a gości przez gazety zapraszała (gazeta warszawska 1776 Nr. 98).

Zamarło nagle bujne życie kościoła i klasztoru, z trzydziestu księży, którzy tutaj niegdyś służbę Bożą pełnili, z koleją czasu, trzech zaledwie zostało.

Mimo to jednak świetne nabożeństwa w kościele tym jeszcze bywały. Biskupi ciągle tutaj celebrowali. Szczególniej pod tym względem świetny był rok 1776. W zapusty odbywało się jak zwykle w kościele po-jezuickim czterdziesto-godzinne nabożeństwo; msze rano, kazania rano i po południu i nieszpory; ludu i obywateli miejskich i państwa aż do nacisku, a biskupim obrzędem przy hymnie ś-go Ambrożego i dawaniu błogosławieństwa, nabożeństwo to kończył brat królewski, książę biskup płocki (19-21 lutego). Następowало miłościwe lato; Młodziejowski do ś-go Jana wprowadzał je dla niepogody z tutejszego kościoła, nie od ś-go Krzyża jak chciano: zgromadzali się biskupi, prałaci, zakony, państwo, magistrat, cechy, w kościele i na ulicy; kanclerz w biskupie szaty przybrany przed wielkim ołtarzem zaśpiewał *Veni Creator*, poczem w uroczystej processyi udał się do ś-go Jana. Miasto całe dzwoniło. Bullę jubileuszową niesiono, przeczytano ją w kolegiacie i zaśpiewano *Te Deum*, poczem ksiądz kanclerz celebrował *summę*, na której znajdował się król, a kazanie miał ksiądz kanonik, infl. Lachowski (25 marca). Po *summie* rozpoczęła się wielka jubileuszowa missyja, która kcleją przenosiła się z kościoła do kościoła, a trwała w Warszawie przez pół roku: zaczęła się tą razą od ś-go Krzyża, sam kanclerz ją rozpoczynał. W kościele po-jezuickim odbywała się dwutygodniowa missyja dla Niemców katolików, którzy tutaj oddawna mieli swoje bractwo, zaczął ją mszą biskupią Cieciszowski (12 maja) a skończył Aleksandrowicz (25 maja); nazajutrz jeszcze Cieciszowski bierzmował w tym kościele. Na Wniebowstąpienie, że w czasie tej missyi przypadło, Młodziejowski obchodząc kościoły, miał tutaj mszę czytaną (16 maja), bo trzeba było dla zupełnego odpustu zwiedzić w czasie jubileuszu 15 kościołów; przepisu tego dokładnie dopełniali wszyscy, i pospólstwo i panowie i sam król piechotą obchodził kościoły.

Książę, biskup płocki Poniatowski, regularnie, może dla tego, że był prezesem kommissyi edukacyjnój, więc jakby we własnym kościele celebrował tutaj i lat późniejszych na czterdziesto-godzinném nabożeństwie w zapusty i nabożeństwo nieszpornami kończył (16 lutego 1779 r., 8 lutego 1780 r., 27 lutego 1781 i t. d.) Starożytnym zwyczajem odbywało się ciągle tutaj nabożeństwo w Nowy Rok z nieszpornami i Te Deum. Wszystko jak było, tylko pobożność się zmieniła, bo czego dawniej nigdy nie bywało, zaczynają się po kościołach warszawskich kradzieże, i tak tutaj świętokradzka czyjaś ręka z ołtarza Pana Jezusa zdjęła 37 wotów srebrnych, z ołtarza Najśw. Panny dwóch aniołków, a z ołtarza ś-go Tadeusza pólstukienkę srebrną we floresy (8 marca 1779 r.).

Tymczasowość kościoła po-jezuickiego skończyła się wreszcie w r. 1781. Kommissyja edukacyjna ofiarowała tę świątynię biskupowi Okęckiemu do rozrządzenia, biskup zaś oddał tutejszy kościół, dwa domy zwane bursą i drukarnią, tudzież dwie kamienice stykające się z facyjată kościoła, wszystko po-jezuickie, na własność bractwu ś-go Benona, które się utrzymywało przy kościele tegoż nazwiska na Nowém Mieście, końcem utrzymania, jak się wyrażał w urzędowym języku, założonej zdawna przy tymże po-jezuickim kościele kongregacyi niemieckiej. Protokół oddania biskup podpisał na d. 25 maja 1781 r. W inwentarzu już nie widzimy bogactw po-jezuickich, rozproszyły się gdzieś bez śladu po rękach i po świecie. Zresztą do skromniejszego celu, jakiemu miał teraz służyć kościół, stosowano wszystko: biskup nakazywał albowiem znosić powoli ołtarze i konfesyjonały, bo „kiedy mniej będzie ołtarzy, powiadał, z większą ochędożnością będą mogły być utrzymywane.” Biskup przepisywał też nabożeństwo, jakie miało utrzymywać nadal to bractwo; w niedziele kazania polskie miały bywać o 9-tój, niemieckie zaś o 11-tój, toż katechizmu nauczano po niemiecku; uroczystość tylko ś-go Ksawerego-gdyby przypadła w niedzielę, zastrzegał biskup na rano kazania polskie, niemieckie zaś po nieszpornach. Bractwo obowiązywało się za to trzymać trzech

księży przy kościele w stancyjach tak zwanych Skargowskie, to jest dwóch Niemców i jednego Polaka, nadto utrzymywać powinno było szkołkę elementarną dla dzieci niemieckich. Żeby zaś niezba-
czać raz od przedmiotu, dodamy co do téj szkółki, że kommissyja edukacyjna w r. 1790 do uposażenia jéj ze swoich funduszków wyznaczyła złp. 1,200, a sejm grodzieński z r. 1793 podniósł to wsparcie do wysokości złp. 4,000.

W skutku tych nadań biskupich, w piérwszy dzień Zielonych świątek (3 czerwca) bractwo tutaj do kościoła uroczystie wprowadzone zostało. Szło w processyi od kościoła ś-go Benona śpiewając litanije o Najśw. pannie, niosąc chorągwie i wielkie świece jarzące. Duchowieństwa i Niemców moc była. Wszedłszy do kościoła po-jezuickiego zaśpiewali bracia *Veni Creator*, poczem Naruszewicz wyszedł ze mszą wielką: przed ofiarowaniem bractwo za pośrednictwem starszych, złożyło w ręce biskupa celebrującego w darze dla kościoła świece, wiele ich zaraz w lichtarzach ołtarza wielkiego osadzono i zapalono. Kazanie miał po niemiecku ksiądz Katenbring ex-jezuita wikary od ś-go Jędrzeja. *Te Deum* zakończyło uroczystość. Jednocześnie kolegium na trzy części podzielone i otaksowane, wystawiono na sprzedaż publiczną. Ksiądz Jakukiewicz ex-jezuita głównie miał się zająć tą sprawą; on dawał potrzebne informacyje stronom i ułatwiał sprzedaż; która odbyć się mogła gotówką albo za poprzednią rękojmią (dzień na licytacyją wyznaczony był 18 września 1781 r., gazeta warszawska, Nr. 62).

Bractwo zajęło się zaraz w tymże roku naprawą kościoła wewnątrz i zewnątrz. W krótkim czasie tak pięknie odnowiono dom Boży, że podziwienie brało: rzekłbyś wszedłszy do kościoła, że tylko co Zygmunt III pierwotnej swojej budowy dokończył. Stąd biskup Okęcki wielkim był i gorliwym opiekunem bractwa, pilnie wszystkie naprawy oglądał (13 i 15 sierpnia 1781 r.) i często tutaj odprawiał rano msze święte.

Bractwo ś-go Benona, które zdaje się odtąd z bractwem da-

wném niemieckim, zostającym przy kościele jedną całość stanowić zaczęło, święcie przestrzegało wszelkich starożytnych zwyczajów i nabożeństw przywiązanych do tego kościoła, co mu na wielką chlubę wychodzi. Co rok obchodziły się tutaj albowiem święta jezuickie, Ignacego Lojoli głównego patrona kościoła, i ś-go Ksawerego z całą wystawnością obrzędów, z nieszpornymi, processyjami, kazaniami polskimi i niemieckimi, z wotywami i ze mszą wielką. Dzień ś-go Ignacego przypadał w lato, ale ś-go Ksawerego w grudniu, więc roraty były tutaj wystawniejsze w dzień ten, jak gdzieindziej w kościele. Bractwo zawsze dla większej uroczystości zapraszało tutaj do celebry biskupów. Naruszewicz, Cieciszewski, Krzysztof Hilary Szembek, później biskup suffragan Malinowski i drugi Lewiński suffragan biskup tegoneński, zawsze tutaj celebrowali. Książę Michał brat królewski nigdy nie zapominał kończyć 40-godzinnego nabożeństwa w zapusty (12 lutego 1782 roku, 4 marca 1783 roku, 24 lutego 1784 roku), ale kiedy został prymasem, ostatni raz już tutaj mszę świętą w zapusty odprawił 8 lutego 1785 roku, na lato następne zlewając ten obowiązek na Cieciszewskiego. Nie raz na te różne nabożeństwa cichaczem, niespodziewanie, np. na roraty w zimie, nadchodził ksiądz Okęcki i kłęcząc słuchał mszy ś-jej przed ołtarzem ś-go Ksawerego. Bractwo w gorliwości swojej poszło tak daleko, że wznowiło nawet zapomniane nabożeństwa, i tak w dzień Podwyższenia Świętego Krzyża, że to piąty zaczynał się wiek obrazu Zbawiciela wsławionego cudami, a do Warszawy z Lubeki sprowadzonego, jubileusz ten uroczyście obchodziło (14 września 1783 roku). Nie przerwały się więc ani na chwilę miejscowe kościoła uroczystości, chociaż do starych przybywały nowe. Kommissyja Edukacyjna rozkazała, żeby wszędzie gdzie tylko są szkoły, odbywały się raz na zawsze doroczne nabożeństwa za dobrodziejów edukacyi; rozkaz ten naturalnie głównie dotyczył wszystkich kościo-

łów po-jezuickich. Dla Warszawy na ten cel wybrano nasz kościół, i odtąd w listopadzie zawsze po dniu zadusznym modlono się tutaj za ludzi, którym naród winien był swoje światło. Pierwsze takie nabożeństwo odbyło się tutaj 6 listopada 1784 r., że to było w Warszawie, naturalnie z większą jak gdzieindziej odbyło się uroczystością, bo oprócz szkół, to jest professorów i uczniów, schodzili się na nabożeństwo do kościoła, jakby z urzędu kommissarze edukacyi narodowej i członkowie towarzystwa elementarnego. Zbierano wtedy jałmużnę, a liczne msze odprawiały się przy wszystkich ołtarzach od rana do południa, summę zawsze celebrował Naruszewicz. Obok biskupów, gdy ci na wszelkie żądania bractwa wystarczyć nie mogli, śpiewali msze w kościele po-jezuickim Wyszkowski lub Paszkowski kanonicy plecy; Gołaszewski proboszcz ś-go Łazarza, Onufry Szembek, Albertrandi, Drewnowski proboszcz warsz. i t. d,

W takim stanie rzeczy kościół po-jezuicki przetrwał ostatnie czasy rzeczypospolitej. Zostawał pod rządem księży rektorów, pospolicie Niemców, którzy zaraz przy kościele w ulicy Sto-Jańskiej (w domu pod Nr 6) mieszkali. Urzędowy tytuł, jaki tym przelożonym dawano, był po łacinie: „rector ecclesiae nationis germanicae ad ecclesias collegiatam varsaviensem.“ W r. 1783 był takimrektorem ks. Ferdynand Gerber altarysta od ś-go Jana. W r. 1794 zaś ks. Antoni Powahl. Za Powahla to w co bractwo zaledwie powoli zdolalo się uposażyć, zabrala na swoje potrzeby rzeczpospolita, w roku 1794 albowiem dnia 18 lipca oddano z kościoła po-jezuickiego do mennicy srebra grzywien 248 i łutów 3 wagi kolońskiej, ale rachowało się w to żelaztwo, malowanie i brud. Oszacowano to srebro na złp. 13,333 gr. 22. Stąd potem Powahl (30 października i 14 grudnia 1797 r.) upomniął się od najjaśniejszej kommissyi Policyi, ażeby to srebro zaliczyła do długów pozostałych po rzeczypospolitej polskiej. Miał wtedy Powahl dużo kłopotu z regulacją innych funduszków

bractwa, które utrzymywało szpital, miało swoje kamienice, wiarytelności i długi, czynsze i kapitały.

Gorliwość i pobożność niemiecka zaczęła tymczasem stygnąć, a z po za gorącości modlitwy wysuwały się powoli nowe cele i żądze panowania. Zdaje się, że senjorowie niemieccy nie będąc już pod kontrolą gorliwych biskupów, ścieśniali coraz więcej inne bractwa Opatrzności i Niepokalanego Poczęcia, jakie po jezuitach zostały w kościele, li tylko dla tego, że te bractwa były polskie; dalej księży niemieckich nie utrzymywali, a polaka księdza wcale nie było, i tylko z politowania dla bractw prześladowanych, jak to widać z akt urzędowych, jakiś ksiądz Paprocki nabożeństwa polskie odprawiał bezpłatnie, i to za każdą razą miał z tego powodu nieprzyjemności. Szło co raz gorzej, bo bractwo niemieckie korzystając z jakichś pozwoleń udzielonych biskupom, samowładnie święta przypadające w dni powszednie przenosiło na niedziele i najbliższe uroczystości pierwszego rzędu, przez co najwięcej nabożeństwo polskie traciło, tém bardziej, że nie było wcale takich pobożnych ludzi, którzyby tutaj w kościele na msze dawali, więc nie raz po całych dniach głucho milczenie panowało w świątyni, kiedy lud szemrał, bo przyzwyczajony był do wielu pamiątek obchodzonych u jezuitów, które jeszcze tak niedawno zapamiętał. Oswald senjor bractwa był podobno największą przyczyną upadku, jako człowiek ambitny i lubiący wszystko stosować do swojej woli. Zupełny ten upadek widać już w r. 1805, odtąd wegetuje kościół i bractwo. Nie polepszyła stanu rzeczy ta okoliczność, że bractwo po wygnaniu benonów, wyłącznie już się tylko w kościele pojezuickim osiedliło (na skutek wyroków królewskich z dnia 29 sierpnia 1810 r. i 9 maja 1811 r.). Do tego doszło, że władza dyecezalna, to jest biskup vice-administrator warszawski Zambrzycki, postanowił kościół odebrać niemcom. Wtedy to bractwo obudziło się z uspienia na ogłos grożącego bardzo mu niebezpieczeństwa (1814 r.). Sprowadziło aż z Olsztynka (Allenstein) w Prussach, księdza Ka-

rola Blumenau, który będąc niegdyś w Warszawie benonem, razem z całym klasztorem został wywieziony za granicę (1808 r.). Długie bractwo musiało przeprowadzać korespondencyje, zanim na to mu pozwolono, bo przeciw księdzu Karolowi zostały jeszcze pewne uprzedzenia z czasów księstwa warszawskiego. Potém bractwo obiegło prośbami swojego biskupa Zambrzyckiego, i jakoś konanie się to przewlekło. Blumenau przyjechał, ale gdy będąc dobrze obeznanym z językiem polskim, otrzymał probostwo w Nowém-Mieście nad Pilicą, pożegnał się zaraz z bractwem (w sierpniu 1815 r.). Przesilenie na chwilkę wstrzymane, wybuchło na nowo. Postanowiono raz skończyć z tym nierządem.

Bractwo niemieckie panowało tutaj wyłącznie do 1815 roku. Odtąd z rozporządzenia biskupa objęli kościół paulini, z obowiązkiem jednakże kapelanowania bractwu, które teraz własnością z niemi podzielić się musiało i gorzej jak podzielić się, bo poddać się zupełnie pod łaskę i nielaskę. Przeor warszawski paulinów był tutaj w kościele najstarszym, urządzał nabożeństwo, miewał się w sprawy wewnętrzne bractwa, a nawet jego fundusze wziął pod swoją bliższą opiekę; jednym słowem nie bez jego wiedzy stać się teraz nie mogło; seniorowie bractwa radzi nie radzi za tytuł własności kościoła musieli przystać na wszelkie reformy, ale znosili téż nieprzyjemny dla siebie stan rzeczy z widocznym przymusem, i czekali tylko na jaką szczęśliwą okoliczność, żeby się wydobyć z tego stanu niewoli. Rzeczywiście losy pomyślne zawiąły po trzech latach, lubo chwilowo zdawało się, że klęskom bractwa jeszcze nie koniec. W roku 1818 albowiem postanowiono zupełnie znieść kościół pojezuicki, a że jednocześnie bullą kassaty zniesiony był klasztor pauliński w Warszawie, więc zakonników przeniesiono do Częstochowy, a bractwo tak umiało około siebie chodzić, że kościół po nich śgo-Ducha za Nowomiejską bramą, na własność mu oddano w zamian za odebrany kościół pojezuicki, na czem naturalnie wiele bractwo skorzystało. Dnia 18 listopada spisano

w protokule stan kościoła po-jezuickiego, jego fundusze i nabożeństwa. Powiedziano tam, że kościół niemający żadnej parafii i nie będący ozdobą ulicy, może być właściwiej na inny użytek obrócony. Kościół po-jezuicki oddany był katedrze, która tutaj w nim przez lat kilka miała swój skład narzędzi potrzebnych do publicznych uroczystości. Tak więc bractwo niemieckie, które rosło razem prawie z kościołem, a które po jezuitach w tym kościele wzięło spadek, rządziło się tutaj wyłącznie przez lat 37.

W roku 1828 oddano cały ten kościół na skład wełny dla banku (14 czerwca). Ruchomości kościelne wszelkie stąd wywieziono, tak że zostały tylko mury bez okien i posadzki.

Trwało to do r. 1834, wtedy albowiem bank składy swoje wyniósł, a rząd kościół oddał na użytek pijarom (22 sierpnia), którzy się tutaj przenieśli z kollegijum swego na Długiej ulicy. Znacznie budynki te uszkodzone były w murach. Więc zaraz rektor i razem prowincjał zgromadzenia, ks. Jakób Ciastowski przy wsparciu rządu, silnie się zajął odnowieniem murów, aby i na mieszkanie i do nabożeństwa mogły służyć. Pracami budowniczymi kierował Kropiwnicki. Prędko poszła robota; już w d. 19 marca 1836 r. nastąpił przez biskupa uroczysty obrzęd rekonyliacji, i kościół otwarty został dla pobożnych. Świątynia jak jest dzisiaj, ma dwie nawy, główną i drugą po prawej stronie, co ukazuje pewnego rodzaju nieforemność. Stare i grube mury dźwigają zbyt ciężkie gzymsy, które obok lekkości nowo przedstawionych ozdób, stanowią dosyć przyjemną dla oka całość. Nawa główna w formie prostokąta stykającego się z półkolem; budowa jęj, pilastry i gzymsy w stylu korynckim, sklepienie nadzwyczaj wysokie i krzyżowe w stylu dawnym. Półkole, w którym jest wielki ołtarz, zakończone rotundą cięższą od sklepienia całego kościoła, z dwoma gzymsami jeden na drugim wynoszącemi się, z oknami dla światła; ołtarz wielki ma obraz Zbawiciela, pędzla Czechowicza, odnowiony przez Blanka, który odnawiał téż inne obrazy tego kościoła. Naprzeciw

oltarza chór obszerny, wsparty na dwunastu jońskich kolumnach. W nawie bocznej węższej i krótszej, w stylu doryckim zbudowanej, cztery ołtarze, Najświętszej Panny Łaskawej, ś-go Józefa, ś-go Jana Nepomucena i kaplica ukrzyżowanego Chrystusa, na przeciwniej stronie której, wznosi się ołtarz ś-go Józefa Kalasantego, wszystkie przeniesione z dawnego kościoła. Sklepienia w nawie bocznej noszą ślady starożytności i są nasiąkłe wilgocią. Równolegle od kopuły po nad wielkim wznoszącą się ołtarzem, znajduje się wysoka wieża z dzwonami i zegarem, odnowiona przy ostatnich naprawach kościoła. Gimnazjum Załuskiego nie oddano pijarom, bo jeszcze poprzednio zajęto je na użytek publiczny, i w gmachach tych pomieszczono zakłady b. uniwersytetu, które do dziś dnia tutaj się mieszczą.

Z czasów pijarskich kościół tutejszy mało posiada wspomnień. Dzisiaj bardzo są uczęszczane nabożeństwa niedzielne u pijarów; jak za króla Poniatowskiego modny był pod tym względem kościół bernardynów, tak dzisiaj pijarski. Od dawnych czasów towarzystwo muzyczne złożone z różnych znakomitości artystycznych stolicy, wykonywało u pijarów msze wokalne i instrumentalne. Towarzystwo to z kościołem przeniosło się razem z Długiej na Sto-Jańską ulicę, i ciągle tutaj występuje. Dla tego kościół był i jest zawsze natłoczony, zwłaszcza że i kazanie dobre tutaj można posłyszeć. Był czas, że przez kilka lat z kolei pokazywał się tutaj na ambonie zdolny mówca, dzisiaj tak z korzyścią poświęcający się badaniom dziejowym religijnym, proboszcz łeczycki, ex-pijar ksiądz Józef Mętlewicz.

Niegdyś w grobach swojego kościoła jezuici chowali samych tylko wyłącznie dobrodziejów zakonu; tutaj spoczywali więc: Marcin Załuski biskup suffragan plocki, założyciel missyi w Kobyłce, Jan Ciecierski założyciel konwiktów w Warszawie, książę Stefan Puzyna założyciel drukarni, Franciszek Witthoff i t. d. Miał tutaj leżeć i ks. rektor Stryjeński, który własnym kosztem zbudował dla jezuitów tutejszych bibliotekę, i w piękne ją księ-

gi zaopatrzył, ale gdy umarł gdzieindziej, miejsce jego zajął sławny ks. Józef Baka, nieśmiertelny autor „uwag o śmierci niechybnéj“, założyciel missyi jezuickiej w Bloniu na Litwie, który przypadkiem za interesami swojemi przyjechał do Warszawy, i tutaj umarł (2-czerwca 1780 r.). W ostatnich czasach przy prze-rabianiu kościoła tego dla pijarów, w grobach znaleziono trumnę, która o ile z kilku śladów sądzić można, zawierała w sobie popioły sławnego poety Sarbiewskiego. Ale to zawsze domysł, a bliższe o tém szczegóły ma autor pamiątek historycznych Warszawy w swojej broszurze (stron. 16). Pomimo tego jednak nagrobków kościół ten nie wiele posiadał, a i to nie wiele potem poprzesnoszono do kolegiaty, np. nagrobek Witthoffa i drugi księcia Floryjana Czartoryskiego prymasa, który należał do najznakomitszych dobrodziejów zakonu. Dopiero już za czasów pijarskich ubogi ten kościół zaczął się zdobić w nagrobki, których jednakże dotąd ma trzy; lubo księża pijarzy wzięli z sobą wszy-



Pomnik St. Konarskiego.



Pomnik Edmunda Andraszka.



Pomnik Kopczyńskiego.

stkie pomniki z dawnego kościoła, i w miarę możności pragnęli je, jak autor Pamiątek Warszawy poświadcza, w odpo-

wiednich miejscach do murów nowych przytwierdzić. Z tych trzech nagrobków dwa są dawne, a jeden nowy; z dawnych są pomniki Konarskiego i Kopczyńskiego, ci ludzie znajomi są wszystkim. Ale z nowych jeden tylko księdza Edmunda Andraszka pijara, znakomitego nauczyciela i filologa, wydawcy dzieł Sarbiewskiego, autora doskonałej grammatyki łacińskiej, człowieka gruntownie uczonego, zakonowi i oświeceniu polskiemu wielce zasłużonego, któregośmy jeszcze osobiście znali, ale którego pamięć nasze już pokolenie musi przekazywać następny z czcią i uwielbieniem. Takich nauczycieli jakim był ks. Andraszek, mieć powinien kraj każdy, który ubiega się za światłem, uczonych i cierpliwych i poświęconych swojemu mozolnemu zawodowi i to z dobrocią, z wyrozumieniem prawdziwie anielskiem.





KOŚCIÓŁ KSIĘŻY PAULINÓW.
przy ulicy Nowomiejskiej.

KOŚCIÓŁ PO-PAULINSKI Ś^{go} DUCHA

WPROŚT ULICY MOSTOWÉJ.

Wszystkim kościołom Warszawy mniej więcej rok założenia naznaczyć można, ale początku kościoła ś-go Ducha nikt jeszcze z badaczów naszych nie tylko ściśle, ale nawet i przybliżonym sposobem nie oznaczył. Powstał on za dawnych bardzo czasów świetnej udzielnosci Mazowsza, razem z innemi najstarożytniejszemi kościołami miasta. Założyli go sami panujący na Warszawie książęta mazowieccy, wyznaczając na pierwotny fundusz dla kapelana dwie włóki miary chełmińskiej w samej Warszawie, które uwolnili od wszelkich opłat, robocizn, czynszów, podwód i uciążliwości. Zbudowany był kościół po za murami miasta, extra muros, bo stara Warszawa do samego kościoła prawie sięgała, i w tém miejscu łączyła się z okolicą, przez tak zwaną później Nowomiejską bramę, co prowadziła ku Nowemu-Miastu. Kościółek ten pewno maleńki, nadany był polami i różnemi innemi dochodami od książąt, dla tego, że pełnił jakieś parafijalne obowiązki dla mieszkańców zagród i chalup, które bliżej do miasta przytknęły. Takich kościółków po za murami miasta z władzą parafijalną widzimy w owym czasie więcej jeszcze pod Warszawą: zdaje się, były to osady, filije ś-to-jańskie, to jest kościoła głównego i jedynego w samém mieście i że po części go zastępo-

wały, ale dobrze stosunku ich urzędowego do późniejszej kolegijaty oznaczyć nie jesteśmy w stanie. W owym czasie pierwotnego wzrostu Warszawy, wznosi się po za murami miasta w stronie jego północnej kościół parafijalny ś-go Jerzego, później cokolwiek kościołek ś-ój Trójcy i wreszcie nasz, jeden z najdawniejszych, kościołek ś-go Ducha (z innej strony miasta takież jest kościołek ś-go Krzyża). Kiedy potem na co raz więcej zabudowywajacem się Nowém-Mieście powstaje udzielna i zupełna parafia Panny Maryi, nie umiemy odgadnąć znaczenia, jakie miały kościółki inne w tych stronach: ś-go Jerzego, ś-go Ducha i ś-ój Trójcy, także od dawna parafijalne i rządzone przez proboszczów.

Podania odnoszą początek kościoła śgo-Ducha do roku 1333 i do jakiegoś księcia Konrada; oczywiście myłka tutaj w imieniu. To przynajmniej niezawodna, że około połowy XIV wieku już żyje nasz kościołek. Rajcy i obywatele Warszawy chcieli wtenczas założyć przy nim szpital, i na ten cel podobno Mikołaj Panczałka jeden z ich grona podarował kościołowi trzeci denar z jatek, kramów i straganów, to jest trzecią część dochodów wójtostwa warszawskiego, które kupnem nabył za wiedzą księcia od dawnych posiadaczy przywileju. Panujący wtedy na Warszawie książę mazowiecki Jan, pomnażając ten fundusz szpitalny, zrzekł się do kościoła ś-go Ducha wszelkich praw kollacyi na rzecz mieszczan warszawskich (6 stycznia 1388 r.). Od tego czasu mnożą się już nadania, ale już nie dla kościoła, tylko więcej dla szpitala znajdującego się przy kościele ś-go Ducha, co prawie na jedno wychodzi, bo i szpital i kościół stanowią teraz jedną całość, i to na kilka wieków. Szpital to najdawniejszy w Warszawie, w przeszło pół wieku dopiero przy augustyjanach powstaje drugi. Zważ go rozmaicie akta urzędowe, to domem gościnnym dla ubogich (1425), to kaplicą ś-go Ducha, czyli po łacinie oraculum, biorąc część jedną za drugą (1473 r.), to wreszcie oddzielnie od kościoła wspominają xenodochium; nawet

uważają kościół poniekąd za dodatek do szpitala, który zowią klasztorem (cenobium, 1473 roku). Proboszcz ś-go Ducha był z urzędu prowizorem tego szpitala, i dobrze się miał przy nim, jeszcze w XV wieku; posiadał albowiem z tego czasu młyn na Drzanznie z sadzawką (od 1425 r.) który szpitalowi podarował książę Jan, dalej folwark Pustolę od Wawrzyńca z Targowa podsędką warszawskiego. Jedno i drugie nadanie jednocześnie prawie było z erekcją szpitala. Kiedy wczasie pożaru wielkiego, jakim i miasto dotknięte było, spaliły się wszelkie przywileje, uposażenia i darowizny kościoła, Jędrzej Pronobis proboszcz ś-go Ducha (prepositus oraculi S. Spiritus ad cenobium extra muros Varsavienses) wystarał się u księcia Bolesława o nową erekcję, czyli potwierdzenie dawniejszych nadań, co nastąpiło dnia 20 maja 1473 r. Ksiądz Pronobis pierwszym jest tego kościoła proboszczem, którego z nazwiska znamy.

W ogóle szpitalowi kościółek nasz winien był całe swoje w dawnych czasach znaczenie. Gdyby nie szpital, zapomniałaby o nim zupełnie kronika Waszawy. Jeżeli po przywilejach książęcych i aktach miejskich napotyka się gdzie wzmiankę o ś-tym Duchu, zawsze tam mowa wyłącznie o szpitalu. Cały dyplomatajusz tego dobroczynnego zakładu spisał Wejnert w swoich „Starożytnościach Warszawy.” Z niego widać, jak gorliwie przełożeni szpitala, którzy czasem przybierali tytuł rektorów, po większej części sami rajcy warsz. dbali o dobro zakładu, jak u książąt wyrabiali przywileje dla niego a potem od królów polskich, u Zygmunta starego i Bony, jak z oszczędzonych pieniędzy pożyczali współmieszczanom, a nawet panom koronnym, i potem z tego umieli nie ze złą przecież wolą korzystać, jak nabyli folusza pod Pulkowem i folwarku zwanego Fawory, jak ovladnęli całém pobrzeżem rzeczki Drzanzny, i grunta od siebie poddzierżawiali, i jak wreszcie w późniejszych czasach processowali się, to z kamedulami z Bielán, to z missyjonarzami ś-go Krzyża

o własności szpitala, lecz te rzeczy do dziejów samego kościoła mniej należą.

Wiadomości, które nas o kościele samym zalatują są późniejsze; historyja jego albowiem długo ciemna, dopiero rozjaśnia się cokolwiek już po śmierci ostatniego z Jagiellów. W roku 1574 był tutaj proboszczem ksiądz Jan Szeliga syn Franciszka pro-konsula warszawskiego. Dorota Mniszewska, jako matka Adama nie płaciła nic przez dwa lata czynszu, który rocznie wynosił ośm grzywien, za co spotkały ją cenzury kościelne. Wtedy staje w konsystorzu warszawskim (25 czerwca t.r.) proboszcz z Chinowa i Pieczysk, widać przyjaciel rodziny z zeznaniem, że na pierwszą sessyją po ś-y m Bartłomieju ośm grzywien sam spłaci. Po Szelidze, proboszczem tutaj jest sławny w dziejach miasta ks. Wojciech Pruszczyński, który u ś-go Jana w mieście, był mansjonarzem i prokuratorem mansjonarzy, do tego pisarzem kapituły, a po za miastem dzierżył dwa probostwa: w Koźlinie biskupim i w Powsinie. Poprzednika swego w Kozłowie Pawła Borutę Kuczyńskiego, który poszedł na pisarza biskupiego w Poznaniu, spłacał z zaległości należnych mu jeszcze z probostwa ks. Wojciech w konsystorzu (24 września 1574 r.). Powsin zaś dostał 1578 r. i trzymał go do śmierci. Ogromnie czynnym jest Pruszczyński: w aktach konsystorza co krok z nim napotkać się można, to świadczy, to zeznaje, to układa się, to w swem imieniu, to w cudzem, wiecznie zajęty, ciągle pracuje. On do swego kościoła sprowadził bractwo literackie, które początkowo przywiązane było do kaplicy ś-ój Trójcy w kollegijacie, a wyjednaawszy dla rozsądzenia o to sprawy umyślną kommissyją wyznaczoną przez biskupa Łukasza Kościeleckiego, zwyciężył przeszkody, które mu stawiano, i uzyskawszy przywilej na przeniesienie, w konsystorzu także razem z braćmi stanął, żeby się urzędowo przedstawić władzy (26 października 1579 r.). Wywołało to nieprzyjemne zawikłania z kościołem Panny Maryi, którego proboszcz zaraz na miejscu protestował, a potem raz wraz

z bractwem zadzierał, a najwięcej o pogrzeby. Spory te najwięcej się rozwinęły już po śmierci Pruszczyńskiego, która nastąpiła w r. 1590. Niedługo przecież bractwo i z proboszczami ś-go Ducha wyżyło w zgodzie; kapelanami bractwa byli pospolicie wikaryjusze kapituły, więc dwie władze spotykały się prawie razem w kościele, bo i proboszcz ś-go Ducha pospolicie był brany z grona młodszych księży ś-to Jańskich; dalej wyniknęły spory kaznodziei ś-go Ducha z senjorem Tarnowczykiem o służbę Bożą, sprawa przeniosła się do konsystorza za oficcyjalstwa Raciborskiego (1620). (Akta konsyst., księga 6 str. 7, 10 i t. d. księga 8 str. 84).

Miasteczkowe, drobnemi namiętnościami miotane było życie tego kościółka; goszcząc w nim, w jego murach i wspomnieniach, zaraz wiedziałeś, że jesteś w pośród plotek, w gwarze różnorodnych maluczkich żywiołów miasteczka, i dziwnie to położenie rzeczy odbijało od parafii i Starego-Miasta, które o ścianę tylko spokojnie sobie leżało. W mieście, gdzie był zamek i pany i króle, nie ma, nie może być już tyle pustoty i sielskiej swobody, co tutaj na przedmieściu przedmieścia, naokoło kościoła ś-go Ducha. Oto mieszczki np. zawodzą spory w tutejszym kościele, o co? o ławkę przy wejściu. Odziedziczył ją sobie kiedyś po rodzicach Walenty Kukielka, ale że stare to było próchno, więc Jan organista miejscowy, na tém miejscu wystawił sobie inną, znać że mu żona o to głowę klektała. Obaj sławetni panowie, a raczej sławetne panie spór o to między sobą zawodzą. Kukielka ma prawo do miejsca przy drzwiach, Jan do ławki. Długi czas te klótnie zajmują i arystokracją całej okolicy i proboszczów i kaznodziejów, wreszcie sprawa wytacza się aż przed konsystorz, i sąd polubowny godzi ją ostatecznie. Sąd to nie lada, bo go składają dwaj kanonicy warszawscy, Feliks Skarzyński i Stanisław z Rawy, pierwszy z nich do tego szlachcic; a ks. oficcyjał na pamiątkę zgody, do protokołu wieczny akt zgody zapisywać każe. Na dobre to wyszło dla obydwóch stron, bo przez to

dostały się chociaż do naszej kroniczki, która te dawne namiętności notuje. W ugodzie téj, która wspólność ławki obudwóm rodzinom przyznawała, przepisany jest porządek siadania: pierwsza żona, która do kościoła przyjdzie, zajmie jakie chce miejsce, a druga już spóźniwszy się, ma się tém, które zostanie kontentować, dalej oznaczone miejsce dla córek obudwu pań; ustanowiona kara 20 złot. na stronę wszczynającą nowe spory, z których połowa, to jest 5 kop groszy miała iść na kościół, a połowa na stronę trzymającą się prawa. (9 października 1577 r., akta konsyst. 6, 63). Inne spory już są cokolwiek poważniejsze: oto rodziny patrycyjuszowskie, Fukierowie z Gizami i Baryczkami walczą o prawo patronatu do kaplicy Najświęt. Panny założonej przez Jerzego Landikiera, po którym spada to prawo na jego współimienników i dziedziców Macieja i Stanisława, i od nich wreszcie darowizną przechodzi po kądzieli do Michała Fukiera. Erekcją téj kaplicy niedawno co wydał biskup Goślicki. A powód do starcia się daje śmierć Pawła Gissy, proboszcza liwskiego, który był kapelanem téj kaplicy; rajcy warszawscy, jako są patronami kościoła, chcą gospodarować w kaplicy, i o to syna jednego ze swoich Stanisława kleryka Gissę zamianowali na osierocone beneficium; jednocześnie więc, kiedy Jan Giza wójt warszawski domaga się dla syna kaplicy, Fukier staje w konsystorzu (20 marca 1624 r.), i księdza Wojciecha Skoroszewskiego, muzyka królewskiego ze swój strony przedstawia. Była to sprawa bardzo powikłana, długo się też toczyła w konsystorzu. Fukier chociaż miał dowody niezbite, to jest przywileje, pargaminy, prezenty i wreszcie erekcją kaplicy, miał wiele trudności, bo nie dobrze był położony u księży ś-to Jańskich; miał im poprzednio zapłacić jakąś summę na fabrykę kolegijaty, a nie zapłacił jój, stąd nowe pozwy i kłopoty.

Spory znowu z dominikanami, którzy zabudowali się na prost kościoła ś-go Ducha, to nowo podniesione klótnie z kościołem Panny Maryi o rozległość praw i przywilejów parafjalnych, zwa-

szcza, że stosunki urzędowe nie zbyt jasno oznaczone były. Te ostatnie spory głównie się podniosły za czasów Jagodowicza, który gorliwie praw Panny Maryi przestrzegał, i dla tego ucierał się na wsze strony. Za jego czasów Wojciech Badowski komendarz ś-go Ducha najwięcej zgniewał proboszcza z Nowego-Miasta tém, że bez jego wiedzy kobiety po słabości sprowadzał do swojego kościoła i że śluby dawał; zapozwany przed konsystorz, został zgromiony i otrzymał surowy zakaz (10 stycznia 1633 r. Akta 15 str. 272). Sprawy zresztą wytaczano w konsystorzu przeciw Jędrzejowi Troleckiemu nauczycielowi szkoły, którą kościół utrzymywał swoim kosztem; skargi na niego od rodziców, że dzieci katuje, wypełniają dzieje naszej świątyni (1638 roku, Akta ks. 15 str. 396). Nowego zaszczytu, ale też i nowych kłopotów przybyło ś-mu Duchowi w r. 1629, w którym biskup Maciej Łubieński przeniósł całkiem probostwo ś-jej Trójcy i jego fundusze z naszego kościołka, łącząc jedno i drugie beneficyjum w jedną nierozdzieloną całość. Gmachy albowiem ś-jej Trójcy na żądanie królewskie oddano Brygidkom świeżo sprowadzonym ze wsi Lipia do Warszawy, a Maciej Białobrzescki był ostatnim oddzielnym proboszczem ś-jej Trójcy. Człowiek niespokojny czy gorliwy ledwie się osiedlił w kościele ś-go Ducha, już zapożywał magistrat Starego miasta przed sądy za szkody w sprzętach świętych, i mnożąc ciągle swoje pretensyje, rozpisywał uwłaczające pisma. Napróżno magistrat winę szkód tych zwał na upór księdza, że długo wydać sprzętów nie chciał, proces nie ustawał i oparł się aż o samego biskupa, ile, że oficyjał do niego sprawę jako ważniejszą odsyłał. (Akta kons, pod d. 4 czerwca 1632 r.).

Kiedy Jarzemski opisywał Warszawę, stan kościoła ś-go Ducha dosyć był świetny. Powoli już się rozwijał i rosł w kaplicę, jak to już widzieliśmy, miał szpital i obszerne grunty, miał szkołę i bractwo, do niego wcielano inne beneficyja. Dokładniej to jeszcze wystawia Jarzemski (1643 r.); „wszedłem do dawnego kościoła ś-go Ducha, powiada, gdzie bractwo literackie współ-

nie z pozytywą jakby żaki jakie śpiewali. Proboszcz zbudował tam kamienicę. Jest i szkoła, w której uczą różnych języków." Niedługo potem bractwo literackie poróżniło się z kościołem ś-go Ducha, i powróciło do kolegiaty.

W czasie pierwszego najścia szwedzkiego, poszły w ruinę kościoły i całe prawie miasto; gmachy zatem ś-go Ducha na pierwszy ogień wystawione będąc po za murami i okopami, naturalnie najwięcej z tego ucierpieć musiały. Szpital ś-go Ducha wznosił się na jedno piętro, i dotykał samej nowomiejskiej bramy, nie zbudowany na mieszkanie, żadnej też mieszkalnej nie miał powierzchni; wchodziło się do niego osobną bramą, którą kiedy zamknięto, szpital stawał się rodzajem fortecy, dostać się do niego nie można było inaczey, chyba po drabinach. W szturmach do stolicy poszedł w poniewierkę szpital, a starcy, których w nich dobroczynność przytuliła, rozproszyli się. Kiedy powódź najeźdźców spłynęła, nie zaraz mógł się magistrat zająć naprawami i przebudowywaniem gmachów, które jego były własnością; wszędzie sterczały smutne zwaliska i popioły. Kościół ś-go Ducha tak był podupadł, że go wszystko co żyło odbiegło, i ledwie jakaś służba Boża plątała się po tych rozwalinach, które z każdym dniem i godziną groziły ostatecznym upadkiem. Bolało nad tém miasto, król mianowicie; królowi nagle myśl zaleciała, żehy w osieroconym kościolku osadzić księży paulinów. Znako-mita obrona Częstochowy i poświęcenie się Kordeckiego, ogromnie podniosła zakon ś-go Pawła w oczach całego narodu; zdawało się królowi, że osadzeniem paulinów w Warszawie nie tylko spełni wysoki dla nich hołd wdzięczności publicznej, ale że choć w małej części wypłaci się cudownemu wizerunkowi Najświętszej Panny w Częstochowie, bo dźwignąwszy kościół paulinów w stolicy, dźwignąłby Bogarodzicy samej pomnik i uwieczniłby pamiątkę Jój orędownictwa za narodem. Jeszcze kurzem wojennym okryty, pisał król dwa razy z obozu do magistratu staréj Warszawy „o ustąpienie kościoła ś-go Ducha z za-

budowaniami oo. paulinom." Magistrat nie był od tego, tém bardziej, że naglili o toż samo różni wielkiego znaczenia panowie i biskup Tolibowski. Więc w istocie wspomniony kościół z dochodami, tytułem probostwa, ze wszystkimi dobrami, użytkami, zyskami i wygodami (tak brzmiała arynga prawna owego czasu), oddany został przez magistrat paulinom na mocy uchwały (z d. 22 sierpnia 1661 r.). Probostwo zamieniło się w klasztor, ale wszelkie prawa parafijalne zostawały jak dawniej: zawarowano tylko najprzód, żeby ówczesny ostatni świecki proboszcz zachowywał swoje stanowisko w kościele i prawa, które mu służyły aż do śmierci; powtóre, żeby zakonnicy obchodzili pamięć wieczną założycieli obecnych jak i pierwotnych, przez odprawianie co tydzień mszy za ich dusze; po trzecie, szpital wyjęto z pod ich władzy, księżom tylko posługę duchowną w nim oddano; po czwarte, wymówiono sobie, żeby księża nie zabraniali wejścia i wyjścia do kościoła dla ubogich szpitala, dla mającej się wybierać jałmużny lub pogrzebów. Szpital jak dawniej pozostał przy magistracie, i odczepił się teraz od kościoła. Nie było jednak w tém wszystkiém nic pewnego, skoro magistrat zastrzegł sobie, że na przypadek gdyby osadzenie paulinów nie spełniło się, stosunki dawne kościoła z miastem i nadal utrzymane być mają.

Myśl królewska jednakże przyszła do skutku, lubo nie zaraz, dla tego, że trzeba było wprzód czekać na śmierć proboszcza i rzeczenie się magistratu na rzecz paulinów. Pod tym względem ważne jest, że ofiarę przyjmował Kordecki nieśmiertelny obrońca Częstochowy, ówczesny prowincjał zakonu w Polsce i na Szląsku. Zanim się osadowili tutaj paulini, upłynęło jeszcze okragłe lat dziesięć i to w ciągłych sporach, do których bractwo literackie dało powód. Siedziało wtedy bractwo u jezuitów, ale rozdziwiło się wtenczas; na tę niezgodę wpływał wiele proboszcz ó-go Ducha ksiądz Feliks Mierczyński. Chciał on to niby przeciągnąć bractwo napowrót do swojego kościoła, i wywołał

z tego powodu na siebie burzę. Potém rozpoczął sprawę z bractwem o dzwony. Umarł w roku 1674, i wtedy paulini zajmąwszy gmachy ś-go Ducha, musieli kończyć proces ten o dzwony, który za pośrednictwem kaznodziei Jana Mrogickiego i Bogusława Lasockiego wreszcie ukończony szczęśliwie został. Wleźli księża i w insze nieprzyjemne zajęcia, którym przecinając drogę pierwotne swoje uposażenie z dwóch włók chełmińskich składające się, misyjnarzom drogą sprzedaży ustapili. (1678 r. Wejnert, tom I, str. 161).

Najświetniejsze dla kościoła ś-go Ducha czasy stanowiła ta właśnie epoka paulińska, która następowała. Była to epoka przebudowywań na wielką skalę, bractw i dobrodziejów, świetnych nabożeństw i uroczystości. W roku 1699 zwiedzał tutejszy kościół ksiądz Tomasz Gruszkowicz doktor ś-jej teologii i przeor Jasnój-Góry, wybrany nadzwyczajnym wizytatorem konwentu; musiały więc już wtedy główne roboty w kościele i w klasztorze być pokończone, skoro urzędowa nastąpiła wizyta. Z tém wszystkiém dopiero po r. 1699 rozwinęła się w całym blasku świetność kościoła, który zmartwychwstał ze swoich popiołów. Położono wtedy węgielny kamień na nowy zupełnie kościół; zaproszony na tę uroczystość, żeby główną był na niej osobą pan Rybiński jeden z największych przyjaciół króla Augusta, dał sam 30,000 złp. na budowę. Zdarzyło się, że w czasie rozpoczętych z tego powodu robót, Rybiński został wojewodą chełmińskim, przyszedł tedy do księdza Pokorskiego przeora, i rzekł mu: „donoszę waszmości, że mi król województwo chełmińskie przysłał, przypisuję to modlitwom waszmości, któremu deklaruję więcej niż wprzódę czynić.” I podniósł sumę swoją do 40,000 złotych na kościół. Najwięcej blasku paulinom szło od bractwa pięciurańskiego, które do Warszawy zaprowadzono, jako odrostkę całości z Jasnój-Góry. Co tylko było najpobożniejszego w stolicy, to wszystko zapisywało się do bractwa, które odrazu, jak się tylko ukazało, wzrosło i w dostatki i w siły. Trudnoby zli-

czyć ofiar, jakich to bractwo było powodem. Już Gruszkowie gorliwy jego przyjaciel, w czasie swojej wizyty zastał je w chwale i w poważaniu, a podarował mu w dowód względów Jasnej-Góry dalmatyki białe; wracając do Częstochowy ksiądz Tomasz dostał maligny i umarł w drodze w sam dzień zaćmienia słońca. Bractwo rozdzieliło się na dwie połowy, męską i żeńską, w każdej przewodniczyli przeor i przeorysza, składało się zaś po największej części z mieszczan warszawskich. Konstancyja Dulfussowa z grona sióstr przy wejściu do kościoła zaraz po lewej stronie, postawiła ołtarz Pana Jezusa, i przed nim swój nagrobek, przy którym też pochowana; na pogrzeb jej zbiegła cała ludność Warszawy i moc duchowieństwa; syna też swego poświęciła Dulfussowa zakonowi.

Do najpierwszych dobrodziejów bractwa liczyli się Aleksander Konarski łowczy inflancki z żoną swoją Anną z Czekanowskich; mąż zapisał 2,000 złotych dla bractwa, na murowanym pałacyku opata paradyskiego Pawła Sapiehy, który stał na Wielopolu, za mszę żalobną jedną na miesiąc wiecznemi czasy; kiedy zaś umarł, tutaj w kościele pochowany został jako brat pięciorański (10 maja 1700 r.). Pobożna żona jego, całkiem Bogu oddana, zamieszkała przy kościele, sprawiła ołtarz nowy do kaplicy Pana Jezusa, i chciała zrobić inną nową przy nim fundacyją, ale źli ludzie skusili, że w niwecz poszło całe przedsięwzięcie. Namówili ją, że 5,000 złotych na tę fundacyją przeznaczonych, oddała winiarzom w nadziei, że większe kapitały z tego się złożą dla kościoła w skutku zysków, ale winiarze zbankrutowali, wierzyciele zabrali im towar, a biedna Konarska umarła ze zmartwienia, i pochowana przy mężu (19 lutego 1701 roku). Jedną z najpierwszych sióstr, co się do tego bractwa wpisała, była Jadwiga Barcejuszowa mieszcza, która bieliznę kościelną znakomicie ofiarami swemi zapomogła, dała obrazy, tuwalnie i antepedja i świeczniki srebrne, zresztą na wszystko szczodrobliwości jej starczyło; gdy brackiego krzyża srebrnego nie by-

ło czém wykupić, dała na to z mężem 70 talarów bitych złotych; gdy w nowym kościele oltarz stawiać poczęto, dała na ofiarę sto tynfów, zbudowała téż kamienicę i podarowała ją księżom paulinom. Mąż jój był szlifierz, ona trzymała kramik z żelastwem. Od rana do południa w lecie i w zimie przesiadywała w kościele, chorym zakonnikom i żebrakom sama gotowała jedzenie, klasztorom i biednym hojne rozdawała jałmużny. Syna chciała mieć koniecznie paulinem, a gdy ożenił się wbrew jój woli, całe życie ukoić się z żalu nie mogła. Kiedy mąż umarł, rzadki dzień, żeby za duszę jego na mszę nie dała, i hojniejsze jeszcze rzucała na około siebie jałmużny, to klasztorom, to szpitalom. (Umarła dnia 26 października 1728 roku).

Wspomnieć téż musimy i kupca Filipa Mattheja brata różańcowego; od samego wprowadzenia bractwa pięciu ran obrany przeorem, wylany był dla nabożeństwa;łożył wiele na bractwo i na budowę kościoła, kiedy czego brakło; ledwie która koronka obyla się bez niego, a zdołł wszystkie głosem tubalnym, który się rozlegał grzmiąco po kościele: w niebie był, skoro mógł kiedy u stołu swego paulinów uraczać, u niego były to „anioły Boże;“ (umarł 8 kwietnia, a pochowany 12-go 1727 r. w kościele). Z téjże samój miejskiej rodziny pochodziła Konstancyja Matthejowa, wielka dobrodziejka bractwa, matka ks. Cypryjana paulina, a potém kameduły; (um. 31 maja 1752 r.). Miało bractwo w gronie swojém kilku muzyków, którzy na chwałę Najwyższego całém sercem pracowali. Szymakowski, zdaje się szlachcie, służył paulinom jakby z powinności, i to śpiewał, to grał na organach, osobliwie na sobotnich wotywach, i tak prawie przez lat 20 pracował; (umarł 15 października 1722 r.). Ale przewyższał go zasługą na tém polu Zacharyjasz Witernicki, ormijanin, który od wprowadzenia bractwa był zawsze najgorliwszym jego zwolennikiem i dobrodziejem, gdyż dom nawet mu zapisał. Nie tylko sam Witernicki śpiewał koronki i zdołł wotywy wdzięcznym głosem, ale jeszcze i dzieci do chwały Bożej zapędzał, córki do klawikordów

i spinetów, synów do lutni i skrzypców. Szczególniej gdy Boże Narodzenie nadeszło, cała ta rodzina grała i śpiewała w kościele; ojciec na lutni, synowie na skrzypcach, córki na spinecie. Wtedy na kolendę zapraszał do siebie cały konwent paulinów, częstował ich Wieczerzą Pańską śpiewał z niemi u stołu nabożne pieśni i na różnych instrumentach przygrywał. Toż samo na Grób Pański; muzyka Witernickich brzmiała wtedy tak żałośnie, że łzy z oczu słuchających wydobywała. Nie na tém jedném polu odznaczył się zacny ormijanin. Jeżeli bractwo żądało jakiej po nim wysługi, cały był dla niego wylany, niczego albowiem nie szczędził, żeby je wynieść albo wywyższyć. Na processyje z żoną i dziećmi stroił obrazy, ubierał aniołków. To też kiedy umarł (1 marca 1723 r.) całe miasto zważyło się do kościoła po-paulińskiego na pogrzeb; oznaki publiczne żalu były widoczne, bractwo zakupiło za niego msze i dało światło, zagrzało przykładem swojego przeora Jakóba Bohdanowicza, a umiejący czytać bracia pięciorańscy, śpiewali na jego cześć rekwiem alternatą z trębaczami; artystę chowano po artystowsku, kościół zaś przez wzgląd na zasługi jego, w grobach zakonnych złożył ciało.

Jakich przeorów czyli senjorów, tak samo gorliwych promotorów miało bractwo pięciorańskie, raz obieranych ze świeckich, drugi raz i po większej części z zakonników. Pospolicie bywali to sławni owego czasu kaznodzieje i nauczyciele, a więc luminarze zakonnicy np. paulin Izydor Sobański, którego kazania są i w druku, a który gorliwie dochodził rzeczy brackich (umarł 20 stycznia 1726 r. w Pinczowie); Kajetan Gruszyński, który przejęty ważnością urzędowego swojego stanowiska, ciągle miał mowy do braci, a codzień bywał na koronce i potem był pierwszym przeorem w Konopnicy; ksiądz Teofil Neklikowski dawniej mówca z Jasnej-Góry, który w Warszawie na passyjach odznaczał się kazaniami i umarł w Krakowie także kaznodzieją (1725 r.), pierwszy przeor w Skrzyszowie; ksiądz Mikołaj Garbowski pierwszy przeor w Leśnej na Podlasiu, który z Leśnej

zrobił drugą Częstochowę pod względem świetności nabożeństwa, wylany tylko dla kościołów, w których przewodniczył, a wiele kościołów o nim pamięta; w bractwie pięcicrańskim w Warszawie zasłużył się sporządzeniem krzyża srebrnego i sukienek w srebro oprawnych Najś. Pannie Bolesnej i ś-mu Albiniowi († 1734 roku) i t. d. Ze świeckich był promotorem Remigi Strauch, syn Jerzego generała-adjutanta księcia wojewody krakowskiego Lubomirskiego (1744 r.).

Oprócz tego bractwa, które widocznie ton nadawało w kościele i przykład, ile to innych dobrodziejów liczyli paulini! Widno dobrze umieli wychodzić z mieszczanami warszawskimi i ze szlachtą.

Fabryka ciągle przez te lata trwała, i co chwila coś ozdoby przybywało świątyni. Stanisław Żukowski chorąży czerski, pisarz dekretowy, z żoną Katarzyną fundował oltarz ś-go Stanisława i umierając (w grudniu 1725 r.) jeszcze 2,000 złotych na ten cel zapisał. Konstanty Pawłowski definitor prowincyi polskiej, oltarz ś-go Michała wystawił i wiele świadczył kościołowi; stąd i bractwo ś-go Michała zawiązało się u paulinów. Franciszek Czaczkowski pułkownik cudzoziemskiego zaciągu, Rybińskiego wojewody chełmińskiego, przychylny paulinom stąd szczególnie, że u nich ślub brał z żoną swoją Teofilą Oborską, co mógł to dla nich robić; darował na fabrykę cegły kilkanaście tysięcy sztuk i konia, hojne jałmużny posyłał dla klasztoru warszawskiego i do innych; ile razy przyjechał do Warszawy zawsze tutaj siedział w kościele, zawsze o błogosławieństwo księdza Pokorskiego prosił. Toż samo żona jego; oboje prędko po sobie pomarli, — pułkownik zaraz po swoim jenerale (17 stycznia 1726 r.), żona po mężu z suchot niedługo umarła (w sierpniu 1727 r.). To szlachta: cóż dopiero mieszczanie i cudzoziemcy? Łożył na budowę kościoła Antoni Thejba, łowczy starostwa warszawskiego, węgier rodem, osiadły w Polsce, a bardzo pobożny (umarł 1729). Karol Cyroni włoch, budowniczy, dawał na tenże sam cel go-

tówkę; przeszło lat 40 pracował on w Polsce, budował kościoły i domy. Malarz Bazyli (nieznamy jego nazwiska) cały kościół wymalował, (um. 11 lutego 1731 r.) pochowany u kapucynów. Sławny rzeźbiarz, czyli jak wtedy nazywano skulptor Bartłomiej Bernatowicz, który niemal wszystkie kościoły warszawskie robotami swemi napelnił, najwięcej zaś franciszkański i dominikański, pracował i dla paulinów; bezinteresowny tak, że w Siemiatyczach za robotę nie żądał zapłaty (pochowany u franciszkanów 12 lutego 1730 roku). Franciszek Majno włoch z Milanu, dobry sztukator, a przytém skromny i cierpliwy; ten u paulinów warszawskich wyrabiał sztukaterije różne dla nich i dla kościoła dobrowskiego, a dla naszego kościoła na jego ozdobę zapisał jeszcze z krwawej pracy 500 złot. (pochowany u teatynów, um. 1721 r.). Wspominają też akta bractwa pięciorańskiego, z których te wszystkie mamy wiadomości i które już z tego powodu szacunku warte, że tak gorliwie pamiętały o historii swojego kościoła, które, nawiasem dodajemy, wiele też zanotowały innych szczegółów interesujących nawet dzieje rzeczypospolitej i osób historycznych związanych ściślejszemi stosunkami z sobą, otóż wspominają te akta jeszcze jakiegoś Budowniczego Bazylego Węgrowskiego, który dla kościoła i dla miasta stawiając w niem pałace, wiele miał się zasłużyć (umarł w czerwcu 1721 roku). Wreszcie dodamy do tego spisu, dobrodziejów kościoła Michała Pawłowskiego pisarza królewskiego, rodzónego brata księdza definitora, o którym wspominaliśmy; testamentem albowiem zapisał Michał na budowę kościoła złp. 4,525 gr. 14.

Duszą tych wszystkich nabożeństw, i tych wszystkich zmian dla ozdoby kościoła, był ksiądz Innocenty Pokorski, przeor paulinów. Postać to wybitna, znakomita w swoim czasie i w dziejach zakonu i w dziejach Warszawy, dla tego kilka słów jemu wyłącznie poświęconych tutaj nie zawadzi. Ksiądz Pokorski młodziutki, zaledwie dwadzieścia lat mając, już w r. 1692 mieszkał w klasztorze warszawskim i z niego przez całe życie rzadko się

kiedy wydalal, chyba tylko wówczas, gdy zakon potrzebował jego zachodów i pracy. Tak w czasie drugiego napadu szwedów Stromberga na Częstochowę, był na Jasnój-Górze przeorem, i w śród pożogi wojennój uporządkował tam biblijotekę (1705 r.). Potém już znowu ksiądz Pokorski rządzi klasztorem w Warszawie.

Wcielona pobożność i cnota, Pokorski był nauczycielem, apostołem i opatrnością: wszyscy go znali i kochali. Te fundusze, o których mówiliśmy, były dla Pokorskiego; te skarby miłosierdzia i miłości bliźniego, on jeden budził natchnął i zapalał. Kolo niego grupowało się wszystko, panowie, lud, bogaci i ubodzy. Trafiał wszędzie i umiał pukać do serc, a poświęcenie się jego granic nie miało. U możnych miał wpływy potężne, u kanclerza Szembeka, u Lubomirskich, u kasztel. brzeskiego Nestorowicza, u hetmana Pocięja, u szlachty mazowieckiej, — wywierał wpływ i na obcych. Raz w Warszawie nieprzyjaciel nalożył kontrybucyj na kościoły i klasztory, Pokorski nie nie dał, bo nic nie miał; przystawiono mu straż, i w celi uwięziono, ale w tém officer spostrzegł srebrne votum, „co to jest?” pyta się księdza, — „to obłężenie Częstochowy, pamiątka wdzięczności, jaką złożyła paulinom warszawskim, gdy za ich modlitwami ocalała się przed szwedem.” „I jacyż to księza bronia?” — „Paulini.” Po téj odpowiedzi officer zdjął egzekucyj z klasztoru. Drugą razą będąc na kapitule zakonu w Tall w Węgrzech, tak się podobał arcybiskupowi strygońskiemu, który na nię prezdyował, że rozstać się nie chcieli, a kiedy wszystkie prowincyje szły do arcybiskupa przy pożegnaniu się prosić o błogosławieństwo, dał im je in viam pacis omnibus, mówił pry mas węgierski, exceptis fratribus polonis, qui adhuc mecum coenare debent. Jeździł po wizytach klasztorów w Polsce. Po wszystkich kościołach warszawskich prawil kazania w odpusty. Na śmierć skazani, o niego prosili. Każdy go chciał poznać, kto tylko o nim slyszal. A ileż to fundacyj pobożnych dla jego tylko zaslug przyszło do skutku! W starości lat, jeszcze raz był przeorem na Jasnój-Górze (1727 roku). Postawił

w Oporowie pomnik prowincyałowi paulinów Stanisławowi z Oporowa (1718 r.). Pisał dużo. Wydał u pijarów w Warszawie żywoty paulinów, wyjęte z roczników (1730 roku). Umarł wreszcie przeorem warszawskim w roku 1740, mając lat 68. Niedługo po nim około roku 1747 zakończył też życie kaznodzieja konwentu warszawskiego doktor teologii Bruno Osiecki, który zostawił po sobie ogromny tom kazań drukowanych w Częstochowie (w 4-ce 1738 r., Mizler, Jocher Nr. 4601).

Po śmierci Pokorskiego, nową tutaj szlachetni dobrodzieje wzniesli kaplicę Najświętszej Panny Częstochowskiej. W końcu września 1746 r. odbyło się stąd uroczyste do kaplicy tej wprowadzenie obrazu nadanego obficie odpustami. Było to jedno z najpiękniejszych nabożeństw, jakie kościół pauliński pamięta; celebrował na niem Sołtyk kanonik gnieźnieński, przyszedł biskup krakowski. Była królowa z córkami. Biskup Kobielski wziął od Maryi Józefy i panów obecnych pierścienie dla pocierania ich o Najś. Panny obraz. Królowa też zawiesiła pierwsze votum, to jest pierścień dyjamentowy i dwa serca na tym obrazie; nazajutrz biskup chełmiński Szembek celebrował, jezuita koronny miał rano kazanie, a na nieszpórach pijarzy ku czci Najświętszej Panny rozprawiali.

W ogóle Maryja Józefa lubiła tu bywać, dla tego, że z przeorem, który ją zawsze witał po niemiecku, rozmawiać się mogła (16 sierpnia 1744 r. i t. d.).

Na sejmie czteroletnim wymierzono sprawiedliwość paulinom. Stała albowiem długi czas bezpłatnie w klasztorze chorągiew węgierska laski marszałkowskiej. Książę Nestor zatém żądał po Straży, żeby kommissyja policyi porachowała się, ile za to rzeczpospolita winna paulinom (24 stycznia 1792). Wniosek ten poparł silnie Strojnowski poseł wołyński (30 marca t. r.). Stosownie do wniosków, zaraz konstytucyja stanęła; ale czy na niej co klasztor zyskał? zwłaszcza, że to było w przeddzień wielkiego zamieszania rzplitej? trudno na to pytanie odpowiedzieć.

Stan kościoła i klasztoru w początkach XIX wieku był nie tak świetny jak wprzód, ale przecie upadkiem nie groził. Mamy o nim wiadomość z odpowiedzi przeora danéj na zapytanie biskupa który się urzędowo (z d. 12 marca 1800 r.), o wszelkie szczegóły dotyczące klasztoru dopytywał. Księży było wtenczas 9-ciu, to jest mniej jak zwykle, dla zmniejszonych dochodów. Nowicyjatu nie było, ale znajdowało się studium teologiczne w klasztorze, a w niem dwóch professorów i czterech uczniów, którzy słuchali teologii spekulacyjnej i dogmatyki, oraz ćwiczyli się w rozwiązywaniu wypadków sumienia i znajomości ceremonij kościelnych. Uposażenie klasztoru stanowiły szczupłe dwa łany chelmińskie, które za wiedzą Rzymu sprzedali księża za kapitał 14,000, umieszczony na dobrach pani Moszyńskiej; inne zapisy z ostatnich lat Rzeczypospolitej pochodzące, to jest 10,000 na Chorzewie pod Wieluniem księdza Karśnickiego (34 października w grodzie wieluńskim), i 3,000 na Blesznie pod Częstochową, zapis Stanisława Kostki Jeziorkowskiego (w Siewierzu 9 sierpnia 1786 r.), stracone zostały z przejściem tych dóbr pod inne panowania. Miał klasztor na Podwału kamienicę, którą sam wybudował, przytém dom mały jeden przy bramie Nowomiejskiej i kilka dworków na Nowym-Świecie (w ulicach Smolnej, Brackiej i na Widoku), na Starém i Nowém-Mieście (t. j. na Przyryнку, Krętéj ulicy i Zakroczymskiej). W ogóle na placach swoich i w domach mieli czynszowników 31: wielu z nich nie nie płaciło z nędzy, tak, że cały dochód z nieruchomości warszawskich wynosił talarów 870 i złotych 4, z czego na podatki odtrącało się 524 talar. (*). Mszy świętych funduszowych mieli paulini 860, domowych zaś nabożeństw żałobnych i śpiewanych sześć. Budynki klasztorne były w dobrym stanie, krom domków na Nowém-Mieście, bo te tak zniszczone, że nawet na podatki

(*) Należały do paulinów wtedy domy pod Nr. 158, 501, 1837, 1840, 1951, 1954, 1958, 1962.

nie wystarczały. Sprzęt kościelny przyzwoity. Przeorem był wtenczas ksiądz Aureli Trampczyński.

Za czasów pruskich zniesiono szczególnie średniowieczny zwyczaj, jaki się przechował niby pozostałość, odcisk dawnego świata w kościele paulinów, obchodzenia tak zwanych jasełek. Bywały takie nabożeństwa i po innych zaprowadzane kościołach, ale wszędzie ustały; u paulinów trzymał się jeszcze dawny zwyczaj. Z tém wszystkiém księża nasi od niejakiegoś czasu ile mogli utrudzali w swoim kościele jasełka, dopóki w r. 1802 władza duchowna wspólnie z policją tak się nie urządziły, że na Boże Narodzenie 1803 r. obeszło się już bez różnych scen w kościele.

Czasy paulinów jednak były już w Warszawie policzone. Za wkroczeniem najprzód francuzów (w styczniu 1807 r.), gmachy kościelne miały być zajęte dla wojska, dla tego nakazano się księżom wynosić natychmiast, a miejsce przytulku miał im wyznaczyć ksiądz Prażmowski, później biskup płocki. Przeor Trampczyński uratował jeszcze kościół, i nie napróżno kolatał o nadzieję do biskupa (12 stycznia). Klasztor jednak zabrano na koszary, za co potém sobie paulini do rządu królestwa polskiego założyli pretensyi złp. 9277 gr. 20. Po przejściu burzy téj, na chwilę zaświtało słońce, paulinom nawet dostał się w zarząd kościół po-jezuicki. Przeorem był wtedy ksiądz Teodor Fortuński. Nakaz biskupa Zambrzyckiego do zajęcia kościoła, nastąpił d. 27 sierpnia 1815 r. Fortuński rządził z zupełną władzą w kościele bractwa niemieckiego, i miał teraz trzy tytuły: przeora w klasztorze, przełożonego w szpitalu ś-go Ducha i rektora brackiego u po-jezuitów. Roczny dochód paulinów wynosił wtedy złotych 21,791 gr. 14, bo fundusze na Blesznie i Chorzewie odzyskano.

Tak było do r. 1819 w którym wypadła kassata klasztoru. Biskup administrator w skutek polecenia władzy, nakazał Fortuńskiemu, żeby księży swoich w cztery tygodnie najdalej przewiózł do Częstochowy, i żeby sprzęty wszystkie zostawił na miejscu, bo za uronienie ich był odpowiedzialnym (9 lipca).

W półtora miesiąca potem, kościół już po-pauliński bractwu niemieckiemu podarowano (24 sierp.), z klasztoru zaś wzięto tyle cel, ile starczyło na pomieszkanie dla dwóch księży i zakrystyjana. Ostatnim paulinem, co mieszkał tutaj przy kościele, był ks. Wojnarowski, którego zatrzymali Niemcy dla tego, że już trzy lata był u nich poprzednio kaznodzieją. Nie chciał naturalnie z początku pozwolić na to prowincyjał, ale bractwo udało się do arcybiskupa, który z uwagi, że mogą się paulini przez to utrzymać w Warszawie, a przynajmniej, że dla zachowania pamiątki wyrobiją sobie prawo rządzenia tym kościołem, wymógł na prowincyjał żądane zezwolenie. Wojnarowski przyjechał więc z Częstochowy w nadziei, że będzie rządził na dawnych prawach kościołem, ale bractwo zaczęło wojować, chciało trząść księdzem i funduszami. Tysiączne stąd powody do nieporozumień. Ksiądz chciał się zrzucić z obowiązków i odjechać, ale go arcybiskup trzymał. Upływały lata, bractwo niemieckie dokuczało innym bractwom. Klóciło się na wszystkie strony, wdawało się we wszystko i chciało, żeby wszystko było mu po woli. Skargi raz wraz, sprawy raz wraz. Szczególniej senjor Hippler dokazywał; księdzu Wojnarowskiemu z 4,800 złp. pensyi 200 wziął, drugiego kapelana trzymać nie chciał, a przynajmniej chciał obu dwu na stopie równości osadzić, bo sam jak powiedział jest rządcą, tak dalece, że ledwie ołtarza pozwalał duchowieństwu. Narażał się każdemu, narzekał że pięć mszy codziennie obcych niebrackich, chociaż gdy Niemcy tylko modlili się, nabożeństwo zwykle kończyło się w godzinę, bo ich mało było w bractwie. Obalono Hipplera, ale odtąd hałasu dużo było, i gwarno było od bractw spierających się w kościele. Konsystorz ciągle sądził i sądził. Bractwo kiedy się przenosiło do paulinów, pozwolił rząd wziąć z sobą z kościoła po-jezuickiego wszelkie sprzęty, jakie za potrzebne uznało, ale co do obrazów świętych, te tylko wolno było zabrać, których miejsce obrazy z kościoła paulińskiego mogły zastąpić (1819 r.). Cały zaś sprzęt po-pauliński i po ko-

ściele ś-go Jerzego, współcześnie skassowanym, oddany był pod zarząd księdzu Godswillerowi, który na rozkaz władzy po różnych biednych kościołach różne rozsyłał rzeczy, to kielichy, to ornaty, to bieliznę oltarzową; z czego najwięcej skorzystał podobno wówczas ubogi kościółek parafjalny w Błoniu (1823).

Ostatniemi czasy rektorami kościoła tutejszego byli: ksiądz Rakowski, potem ksiądz Lüdicke, który wiele zamięszania porobił i wreszcie wziął dymisyję na skutek swojego żądania w dniu 26 czerwca 1849 roku. Po nim ksiądz Józef Amman, dalej Jakób Gueldre, ksiądz Krasicki potomek téjże rodziny co i ks. biskup warmiński (czasowo), i dzisiejszy ksiądz Ballach. Gueldre był świątobliwym kapłanem, rodem z nad Renu, z książąt podobno pochodził; poprzednio nauczyciel w instytucie głuchoniemych, wszystkie swoje starania i prace kościołowi temu poświęcał. Przed nim odnowiono zupełnie kościół w r. 1844; ale ksiądz Gueldre jeszcze mimo to, postarał się o jedno najświeższe a ozdobne całego wnętrza ozdobienie, wiele téż funduszków odzyskał i gorliwie za nimi chodził. Żywot tego kapłana drukowany w gazecie warszawskiej 1853 roku. Dzisiaj wszystkie bractwa chwalą Boga w świętęj zgodzie, a pięciorańskie zdaje się do dziś dnia najświetniejsze; w roku 1832 odzyskało oltarz ukrzyżowanego Zbawiciela, ale za to włożono na nie obowiązek utrzymywania podług erekcyi dwóch odpustów, na Znalezienie i Podwyższenie Krzyża Ś-go.

To o kościele. Klasztor zaś po wydaleniu paulinów, wynajęto na mieszkania. W jednej jego części otwarto seminaryjum główne (22 września 1825 roku), które z uniwersyteckim wydziałem teologicznym tworzyło jedną całość. Otwarcie tego seminaryjum wyrobił arcybiskup Skarszewski. Rektorem piérwszym tego zakładu naukowego był ksiądz Żółtowski, drugim i ostatnim ksiądz Onoszko kanonik mohylewski aż do roku 1836, w którym seminaryjum podniesione zostało na akademię, i przeniesione do franciszkanów. Miejsce seminaryjum zajęła szkoła obwo-

dowa, potem powiatowa. Dopiero za naszej pamięci przed dwoma laty stanowczo murem rozdzielono to, co z klasztorem miało się zostać dla kościoła, i to co szło na użytek publiczny; w téj drugiej połowie szkoła powiatowa do dziś dnia się mieści, a cały dom rząd puszcza zwykle w dzierżawę.





KOŚCIÓŁ Ś. JACKA, KSIĘŻY DOMINIKANÓW

przy ulicy Freta.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} JACKA

KSIĘŻY DOMINIKANÓW.

NA ULICY FRETA (*).

Usilnie pragnęli dominikanie osiedlić się w Warszawie, ale zamiary ich długo nie mogły osiągnąć pożądanego skutku, gdy nie znajdowali dobrodziejów pomiędzy panami. Przyszło wreszcie do tego, że ojcowie sami przyjąć byli gotowi ciężar na swoje barki. Zgromadziwszy się albowiem na kapitule w Poznaniu dnia 1 lipca 1603 roku, uradzili, żeby na pierwszy początek nowo zamyślanego klasztoru, wyznaczyć choćby szczupły zasilek z kasy prowincjonalnej, a resztę poruczyć Opatrzności Bożej i dobremu sercu bogobojnych ludzi. Owczesny prowincjał zakonu Wojciech Sękowski, najusilniej popierał to przedsięwzięcie, wykonanie którego zlecono jednomyślnie ks. Abrahamowi Bzowskiemu, jednemu z ojców krakowskich, który później liczył się do naj-

(*) O tym kościele pisał Ignacy Łojola Rychter „Wiadomość historyczną” w programacie szkoły księży dominikanów na rok 1828 (str. 1—52). Jako dopełnienie tegoż, artykuł o księdzu Janie Alanie Bardzińskim w programacie na rok 1829 (str. 5—33). Prócz tego mieliśmy pod ręką wiadomość historyczną o fundacyi kościoła i klasztoru księży dominikanów warszawskich, rękopism księdza Damijana Dzieszkowskiego. Rychter pisał bez krytyki, ksiądz Dzieszkowski zaś trzymając się ślepo, słów Rychtera, jego pracę powiększył tylko dodatkami. Ale bardzo ważne wiadomości są u Rychtera o zakonnikach autorach tego klasztoru, stanowiące poniekąd materyjał do dziejów literatury.

oświeceńszych kapłanów katolickich, i znany dla tego osobiście papieżowi, miał wpływy u panów koronnych. Mianowany wikarym prowincyjalskim, Bzowski po kapitule udał się zaraz do Warszawy, i po drodze zawadził o Łowicz, gdzie wszedł w umowę z dwoma braćmi rodzonemi, to jest: księdzem Wincentym doktorem medycyny kanonikiem łowickim, i z Szymonem, Oczkami o kupno zabudowań z podwórzem i ogrodem owocowym na Nowém-Mieście w Warszawie od uliczki Zatylnój położonych. Kontrakt o to spisany w klasztorze łowickim, we wtorek przed ś-tą Anną, a w kilka dni potém do akt radzieckich starój Warszawy wciągnięty. Oczkowie w dwóch ratach dwa tysiące złp. dostali; zakon nie wydał na to kupno ani grosza, gdyż potrzebną summę zebrano w większej części w składkach od ludzi pobożnych. Grunta oczkowskie leżały nieco dalój na pochyłości wzgórza spuszczonego się ku Wiśle, dla tego ksiądz Bzowski chcąc nabytki swoje rozszerzyć i czołem do ulicy Freta przysunąć, zakupił jeszcze od Szymona Wituńskiego pisarza starój Warszawy dom zwany Kukielczyńskim z przyległościami (1603 r.), a potém trzy inne jeszcze domy: jeden od Franciszka Głównki, a dwa z placami zwanemi *Ogińskie* od Anny wdowy po Jakóbie Gudoshu Grudzkim (1604 r.), ku czemu dopomógł księdzu, Wojciech Baryczka kuchmistrz królewski. Znalazły się i ofiary: Maciej Pracki podarował klasztorowi bez żadnych obowiązków grunt swój Belcząca zwany, nad Wisłą wprost zdrojów, na którym, oprócz zabudowań dworskich, mieszkali czynszownicy pod zarządem swojego wójta. Biskup poznański Goślicki pod dniem 4 sierpnia tegoż roku, wydał Bzowskiemu pozwolenie na piśmie założenia kościoła i klasztoru. Król zaś wszelkie nabyte i nabyć się jeszcze mające posiadłości dominikanów w Warszawie zatwierdził, i uwolnił od ciężarów publicznych, (w Krakowie 6 lutego 1604 r.).

Na pierwszy zakład przybyło do Warszawy jedenastu zakonników. Bzowski ustanowiony wikarym konwentu, zburzył zabudowania oczkowskie. Zbudował na otwartym z tego powodu

placu dom drewniany na mieszkanie, a potem osobno kaplicę także drewnianą, na tém właśnie miejscu, gdzie dziś znajduje się *kaplica ciemna*. Obok niej stanęła na podmurowaniu drewniana jeszcze dzwonnica. Nabożeństwo zaczęło się w niej odbywać na ołtarzu przenośnym od dnia 8 listopada 1603 roku. Nazajutrz ksiądz Fryderyk Danigiel oficynał warszawski śpiewał tutaj pierwszą mszę o Duchu świętym, a kazanie miał ksiądz Maryjan Postękowski ex-prowincyał bernardyński z tematu: „wprowadzisz ich i umieścisz na górze dziedzictwa” (exod. 15); na nieszpórach sam Bzowski mówił na temat: „jedenasty fundament, Jacek” (Apocal. 21), z zastosowaniem do życia 5-go patryjarchy, którego przed dziewięcią dopiero laty kanonizowano w Rzymie. Nabożeństwo trwało ośm dni w nowym kościółku, a lud pobożny gromadził się i radował, potrzeby zakonników hojnie opatrując. Z taką pomocą Bzowski coraz więcej mógł zabiegać około budowy klasztoru, który podniesiono tymczasem do godności przeorstwa (22 września 1604 roku). Wprowadził do kościoła swego uroczyście arcybractwo różańcowe od 5-go Ducha i urządził je, pod opiekę najwyższą królowi, biskupom i senatorom oddawszy, w czém mu rajcy starego miasta, jako bracia pomagali (14 grudnia 1603 i 5 czerwca 1605 r.). Kiedy został pierwszym przeorem w Warszawie, na gruncie Prackiego, który że górzystym był i do innego użytku służyć dobrze nie mógł, ale za to w glinę obfitował, ksiądz Bzowski obaliwszy niepotrzebne budowle, wystawił potem cegielnię i zaraz d. 6 września 1605 r. zarzucił fundamenta na kościół murowany pod tytułem 5-go Jaka. Cegielnia nie tylko że służyła dominikanom ku wygodzie i potrzebie, ale jeszcze przynosiła im dochody. Kierował fabryką mularz Jan włosz, który plan kościoła wziął ze 5-go Jana i rzecz posuwał tak prędko, że już 22 września mógł położyć Goślicki kamień węgielny na kościół. Rychło potem ksiądz Bzowski wyjechał do Rzymu, zostawiwszy na swoim miejscu wikarym ojca Piotra Opatowczyka, który tak pracowicie doglądał budowy.

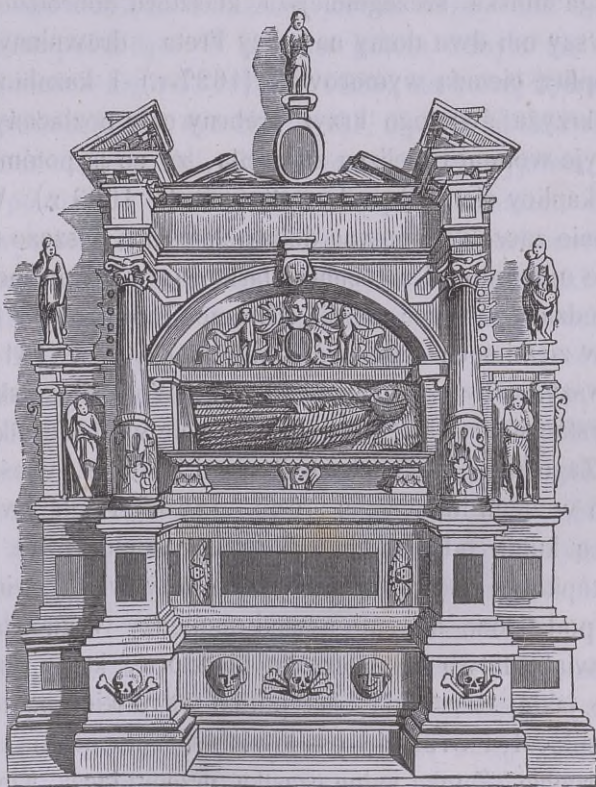
że w presbyterium druga już mogła się urządzić kaplica na przyjazd Bzowskiego. Mąż ten albowiem doktorskim biretem w Rzymie ozdobiony, powrócił do Warszawy w jesieni 1606 r. i w nowym już kościele pierwszą mszę o ś-jej Trójcy odprawił dnia 22 października. Jednocześnie przywieziono do Warszawy relikwie ś-go Jacka dla tutejszego kościoła, i złożono je najprzód prywatnie u Panny Maryi na Nowém-Mieście, skąd potem dnia trzeciego w wielkiej processyi przeniesiono je do kaplicy dominikańskiej; ta uroczystość ważną jest i pod tym względem dla całego kościoła polskiego, że wtedy to dopiero za pozwoleniem Rzymu zakon przystąpił do podziału świętych patryjarchy swego relikwii, których dotąd żaden prawie klasztor polski nie posiadał. Bzowski do tego jako sam człowiek uczony, pomyślał o biblijotece i na pierwszy jej zakład ofiarował nie tylko dzieła swoje własne, ale nadto spory zapas książek uzbieranych w czasie niejednokrotnych swoich podróży do Rzymu; do dziś dnia znajdują się w biblijotece klasztornej dzieła jego własnoręcznym podpisem oznaczone.

Bzowski dwoma nawrotami był tutaj przeorem; pierwszy raz złożył godność swoją po rzymskiej podróży (10 marca 1607 r.); drugi raz rządził klasztorem w lat kilka potem, ale krótko, ośm zaledwie miesięcy (od 7 lipca 1609 do 12 marca 1610 r.).

Najważniejsze to były dla klasztoru czasy; budował się, rozwijał, znajdował dobroczyńców. Chociaż go Bzowski opuścił i przeniósł się do Włoch na mieszkanie, gdzie pisał dzieje kościoła i kardynalskiej wyglądał purpury, początek już raz był dany, i dla tego sprawiedliwie ze wszech względów Bzowskiego uważać można za dobrodzieja i założyciela klasztoru. Duchem swoim przejął on i następnych przeorów, którzy wszyscy bez wyjątku odznaczali się gorliwością. Wtedy to arcybractwo różańcowe przyjmowało udział w narodowych uroczystościach; raz pod przewodnictwem księdza Wacława Kossowskiego promotora, odprawiło pierwszą pielgrzymkę do Częstochowy na odwró-

cenie zarazy, z obrazami i chorągwiami (1608 r.); drugi raz najajutrz po urodzeniu Jana Olbrachta królewicza na podziękowanie Bogu za szczęśliwe ukończenie sejmu (1612 r.). Wtedy za przeorstwa Ludwika z Przemyśla, nowicyjat przeniesiono z War-ki do Warszawy (1610 r.). Wtedy Anna z Dobrzykowa Tarnow-ska kasztelanowa konarska i Krzysztof Szymanowski z Kask z żo-ną Anną z Lasockich zapisywali summy, a rodzina Baryczków hojne z kilkunastu rąk sypała dobrodziejstwa na budujący się ko-ściół. Wojciech Baryczka wystawił ołtarz ś-go Jacka (w tém

miejscu
gdzie te-
raz jest
ołtarz
bracki
Najśłod-
szego
Imienia
Jezus), i
przed
nim wy-
muro-
wał grób
dla swo-
jój ro-
dziny;
prócz te-
go spra-
wił or-
naty i
bieliznę



kościel-
ną. Wte-
dy i Zbi-
gniew
Ossoliń-
ski świe-
żo na-
wróco-
ny ka-
tolik, i
w ogóle
całego
zakonu
kazno-
dziej-
skiego
przy-
jaciół,
piękny
tutaj sta-
wiał na-

Pomnik Katarzyny z Kosińskich Ossolińskiej.

grobek dla zony swojej Katarzyny z Lisowa Kosińskiej kaszte-lanki podlaskiej; był to sławny, burzliwy i wymowny senator;

ojciec trzech synów, i co największa kanclerza Jerzego: Kosińska była pierwszą jego żoną, a miał ich po niej trzy jeszcze; umarła bezdzietnie. Wtedy Jakób Sobieski wojewoda lubelski chował tutaj w kościele siostry swoje Wodyńską i Radziejowską, ciotki króla Jana III, a szwagier jego wojewoda rawski, Stanisław Radziejowski wymurował kosztem swoim kaplicę śnieżną i w niej grób rodzinny (1632): obadwaj także ci panowie porobili zapisy na klasztor. Zygmunt Kazanowski i Ruszkowski miecznika koronnego liczy też kościół za swoich dobrodziejów. Wtedy Jadwiga Mińska szczególniejsza klasztoru dobrodziejka, podarowawszy mu dwa domy na ulicy Freta, drewniany i murywany, kaplicę ciemną wymurowała (1627 r.) i kazała zrobić na drzewo krzyża świętego krzyż srebrny cały pozłacany; ołtarze i zakrystyje wotami i bielizną zarzuciła, za co ją potem dominikanie w kaplicy ciemnej pochowali (umarła 1633 r.). Wtedy to dominikanie zaczęli skupować dobra ziemskie; jeszcze trzydziści lat nie upłynęło od założenia klasztoru, a już posiadali prawem dziedzictwa wsie: Seroki i Granice (1605), oraz Pomiecin (1620), w ziemi sochaczewskiej; dalej Moczydłów (1616), który sprzedawszy, nabyli za to wieś Młęcin z Wolą Młęcińską, i Gąsionkę w stanisławowskim (1620); wreszcie wieś Wesółkę (1624), Lipniak, Zagoździe, Jamielnik, Jedlonkę i Zakopie, wieś Szyszki, wszystko w ziemi łukowskiej (1625 — 1627), i dalej wieś Świdry, którą kupili od karmelitanek krakowskich (1630). Były to piękne kapitały i dochód z nich wcale przyzwoity; wioski szlacheckie podzielone na małe części pomiędzy wielu właścicieli, przedstawiały łatwą zdobycz dla klasztoru, który raz dorwawszy się jakiejś częsteczki, już potem wszystkich po kolei właścicieli spłacał, i wreszcie osadowiał się mocno na własnym swoim gruncie. Z taką jedną częstką przeor Jacek Kielczewski kupił też prawa patronatu do kościoła w Tuchowiczu w ziemi łukowskiej od Zofii Kazanowskiej (1625). W ciągu téj epoki budowania się klasztoru i kościoła, na wizytę zakonu przyjechał

do Polski od jenerała kommissarz ojciec Fouseca, który bawił w Warszawie od 24 lutego do 2 marca 1618 r., poczem wyjechał do Piotrkowa na wizytę do innych klasztorów. Skończywszy tę pracę, zwołał do klasztoru warszawskiego starszyznę zakonną, na której oprócz innych czynności przeprowadził do skutku tak nazwaną ugodę warszawską (*concordia varsoviana*). Ugoda ta raz na zawsze przecięła zaród do kłótni panujących pomiędzy prowincją a klasztorem krakowskim, który chciał sobie bezwarunkową władzę i stanowisko u dominikanów wywalczyć, i z tego względu uważany, jest to ważny fakt i dla dziejów kościoła polskiego. W kilka lat potem odbyła się w Warszawie pierwsza kapituła zakonu (1623), na której Jędrzej Radawiecki doktor teologii, syn krakowski, a przez lat dziewięć ostatnich przeor warszawski, obrany został prowincjałem. W tém morowe powietrze w roku 1625 rozpędziło klasztor. Najprzód przeor wyniósł się z zakonnikami do Serok, zostawiwszy na swojem miejscu wikarego konwentu, który także uciekł na wieś; dotrzyмали tylko placu gorliwsi zakonnicy, którzy słuchali spowiedzi i kominuniją podawali zapowietrzonym, przez dziury umyślnie na to w podwojach kościelnych wywiercone, które po dziś dzień dla pamiątki w całości zostały, ale i ci gorliwi zakonnicy wymarli; wtedy dwaj szewcy bracia różańcowi Szymon Tarnawczyk i Piotr Gajewczyk zabrali klucze do siebie od kościoła i klasztoru, i jak wprzód tak i teraz poświęcali się dla dobra bliźnich. Tarnawczyk zawiadywał klasztorem, i w ciągu drugiego powietrza, które nie długo potem nastąpiło; zakonnicy znowu się rozpierchli po wsiach, a kościół był zamknięty od 13-grudnia 1628 do 21 marca 1629 r. Przemknął się potem tutaj na przeorstwie doktor Jerzy Trebnicz, który pamiętny jest z tego, że wyprawił własnym kosztem kapitułę w Warszawie, na której powtórnie obrany został prowincjałem (1631 r.). Po nim wikarym konwentu był czas jakiś sławny nasz mówca kościelny ksiądz Fabijan Birkowski (od 12 czerwca 1631 do 12 lu-

tego 1632), który spłaciwszy długi, uwolnił wieś Młęcin z pod zastawy. Ksiądz Jacek Mijakowski przeorem warszawskim był od 7 lipca 1633. Obok Birkowskiego Mijakowski, obok poezyi i uczucia nadętość wymowy, obok czystości niepokalanéj języka makaronizm. Mijakowski dużo pisał, ale wślawił się najwięcej sławną swoją „kokoszą,” którą już w roku 1613 na kolendę różnym stanom rozdawał, duchownym kurę co grzebie w śmieciach, nauczycielom kurę co gdać i kurczęta wodzi, szlachcie kokosz, co zawsze na grzędzie siada i zawsze się trzepocze, uczniom kokoszkę z pypciem i t. d. Mijakowski w dziejach tu-tejszego kościoła tém pamiętny, że sklepienie i dach w znacznej części na niém położył, oraz tém że processował się z księdzem Jagodowiczem proboszczem Panny Maryi. Od samego osadowienia się swego w Warszawie, grzebali dominikanie zmarłych w grobach kościoła i udzielali sakramentów, co budziło zgrozę w parafii. Proboszcz domagał się, żeby oddawano mu czwartą część dochodów za pogrzeby, ale gdy to nie pomagało, zapozwał nawet dominikanów do konsystorza (24 paździer. 1633 r.). Stanęli zakonnicy, ale nie uznawali sądu, bo mieli swoje osobną zwierzchność w Rzymie; mimo to officyjał kazał z nimi postępować zaocznie (14 listopada). Spór odwleczono do następnego kwietnia, ale tymczasem pomiarkował się przeor i szukał zgody, nibyto odwołując się do jenerała, na co mu pozwolił Jagodowicz dla świętój spokojności. Nie wiemy, jak się skończyła ta sprawa, ale domyślamy się, że pewno wygrał ją proboszcz. Tymczasem i ksiądz Jacek obrany przez magistrat krakowski kaznodzieją do kościoła Panny Maryi, po dwóch latach rzucił przeorstwo warszawskie.

Budowa kościoła skończoną nareszcie została (1638 r.). W rok potem kommissarz i wizytator apostolski Augustyn de Imola pisał w klasztorze warszawskim dekret dla niego, zwany reformationis, w którym obostrzał karność zakonną, i głównie nakazywał, żeby professor moralny co tydzień lekcye wykładał pu-

blicznie dla wszystkich, i żeby księży dopiero trzydziestoletnich do słuchania spowiedzi i do kazań używano (1639 r.). Kościół i klasztor potrzebował wtedy jeszcze wielu zmian wewnętrznych, dla tego więc kommissarz jednocześnie nakazywał, żeby cegieł swoich nie sprzedawał przeor nikomu, ale żeby je wyłącznie obracał na dalsze budowle. Rozwinał myśl księdza Augustyna przeor Jacek Baryczka doktor teologii. Najprzód albowiem klasztor murować zaczął, w kształcie litery Z, gdyż dotąd zakonnicy w kilku celach drewnianych mieścili się (1643), do czego nie tylko, że mu Baryczkowie dopomagali, ale on sam nie szczędził na to własnego majątku. Ojcowie popierając przeora na kapitule (2 stycznia 1647) postanowili, żeby na prędsze wymurowanie klasztoru obrócić dochody z Młęcina i pobożnych zapisów, któreby złotych sto przechodziły, po odcięciu od nich dziesiątej części na poboczne wydatki. Jarzemski słusznie zadziwiał się nad obszernością zamierzanéj budowy, „klasztor, mówi, budować zaczęto; będzie tak obszerny, jakiego podobnego nie ma w Warszawie, jakoż benefaktory nie jeden tysiąc wyłożą nań.” Klasztor stósowny był do kościoła, bo o kościele powiada Jarzemski: „wielki na dwieście kroków.” Potém chwali kościoła piękne ołtarze, aparaty, muzykę, kształtnie murowaną facyjatę, na której wierzchu pomiędzy kolumnami z kamienia wyrobione stały Matka Boska i ś-ta Anna. Postanowił także Baryczka wznieść w klasztorze tutejszym tak nazwane *studium formale*. Popierał tę sprawę na kapitule plockiej, i wyjednał na to pozwolenie starszyny zakonnéj (29 września t. r.), na wzór takich zakładów, jakie już dawniej były w Lublinie i w Poznaniu. Z własnego majątku ofiarował sześć tysięcy na dwóch profesorów teologii i jednego filozofii, którzy mieli brać po sto dwadzieścia, ośmdziesiąt i po sześćdziesiąt zlp. co rok; zastrzegł, żeby professury rozdawać głównie pomiędzy synów konwentu warszawskiego, wreszcie po jednej mszy za duszę swoją co miesiąc od każdego z nich wymawiał sobie. Studium to na jego cześć Baricia-

num to jest Baryczkowskiem nazywać się miało. Oprócz tego jednego dobrodziejstwa, ojciec Jacek wiele po sobie pamiątek w tym klasztorze pozostawił. Ukochał go szczególniej może dla tego, że pierwszym został tutaj z professów warszawskich przeorem. Izbę na bibliotekę zbudował i wcielił do niej znaczny zbiór ksiąg będących własnością rodziny (1647). Długi klasztorne popłacił i kapitały zbierał, takim sposobem oczyszczał dobra, dzień i noc trawiąc na pracy. On to kościół po innych przeorach murować dokończył, on także klasztor postawił (1649). Miał czas do tylu świątobliwych robót, bo cztery razy obierany przeorem, długo tutaj w klasztorze piastował władzę (od 27 czerwca 1627—1630, od lipca 1635—1638, od 27 lipca 1639 do 15 grudnia 1640, i od 8 kwietnia 1643 — 1646). Wreszcie, jako wikary jeneralny, objąwszy władzę nad całym zakonem w Koronie, po odjeździe na kapitułę jeneralną prowincyała, umarł w Warszawie 21 września 1650 r. Epokę tę wewnętrzną organizacyi zakończył drugi dekret reformacyjny nowego prowincyała Jana Konstantego Morskiego, wydany zaraz po dokonanej wizycie klasztoru (z d. 18 czerwca 1650). Głównie i tutaj miał na celu prowincyał karność kościelną i porządek nabożeństwa, oraz podniesienie nauki i pobożności, owszem, że klasztor warszawski był głównie obrany na ściślejszą karność, pro strictiori observantia, rozkazał żeby co poniedziałki i środy z postem zakonnicy jadali. Ale, oprócz tych ustaw kościelnych, Morski rozwijał inne urządzenia, mające na celu dobro klasztoru: kazał infirmaryją założyć, do niej doktora i aptekę ugodzić, dalej kazał przeorowi myśleć o wszystkich potrzebach zakonników, którzy dotąd mieli tylko życie i mieszkanie, a o habitach sami myśleć musieli, wreszcie zakazał świeckim wynajmować w klasztorze mieszkania. Urządzenia Morskiego były tak w miejscu, że kiedy Serafin Spada neapolitańczyk przysłany był od papieża na wizytę wszystkich trzech prowincyj dominikańskich w Rzeczypospolitej, swoim dekretem zatwierdził ustawy Mor-

skiego. Odprawił w Warszawie Spada wizytę w początkach września 1654 r. Po nim zjechał jeszcze do naszego klasztoru na wizytę ksiądz Jeremiasz a S. Guida, mianowany przez Innocentego IX prowincyjałem polskim. Przyjechał do Krakowa w zapusty, do Warszawy zaś na lato (w czerwcu 1653), a na wiosnę następnego roku umarł w tutejszym klasztorze (7 kwiet. 1654), wraz z swoim sekretarzem Sparanem i obaj w kościele przed wielkim ołtarzem pochowani.

Przeor Albert Grabiecki godzien także znaleźć miejsce w naszej kronice. Rządził on klasztorem dwa razy w czasach bardzo trudnych i niebezpiecznych. Dobry gospodarz, i w klasztorze i w kościele i na wsi, wiele zaprowadził porządków. Jego staranności winni dominikanie tutejsi wybudowanie pięknego kapitułarza, w którym na ścianach pomalowano portrety biskupów zakonu kaznodziejskiego, a mianowicie polaków, a pod nim grób klasztorny wybudowano; przeor zakrystyją i niewielki skarbiec z fundamentów na nowo wymurował, a pod nią grób drugi dla dobrodziejów zakonu. Kościołowi powagi przybyło przez obraz Najświętszej Panny Łaskawej, który zaczął słynąć cudami, co było powodem, że nuncyusz de Torres obraz ten uroczyście poświęcił (9 lutego 1654). Pomiędzy jednym a drugim przeorstwem Grabieckiego, naszli Warszawę szwedzi. Karol Gustaw, z Ujazdowa gdzie stanął, wyprawił posły do magistratu, w skutek czego nastąpiły układy o poddanie się miasta, które trwały kilka godzin w wielkim refektarzu dominikańskim. Szwedzi weszli do Warszawy, i porochochodząc się po domach, klasztor tutejszy całkiem na kwaterunek zajęli; wtenczas żartując sobie żołnierze szwedzki, strzelił do owego obrazu Matki Boskiej, lecz kula odbiwszy się, nic nie zrobiła obrazowi, tylko świętokradzcę zabiła. Odtąd naturalnie lud pobożny większem jeszcze uczuciem zdjęty był dla cudownego obrazu. Oprócz prześladowania jakiego doznawał klasztor od szwedów, dominikanie wiele stracił dotkliwych przez te lat kilka ponieśli. Wieś Pomięcin tak im spalili,

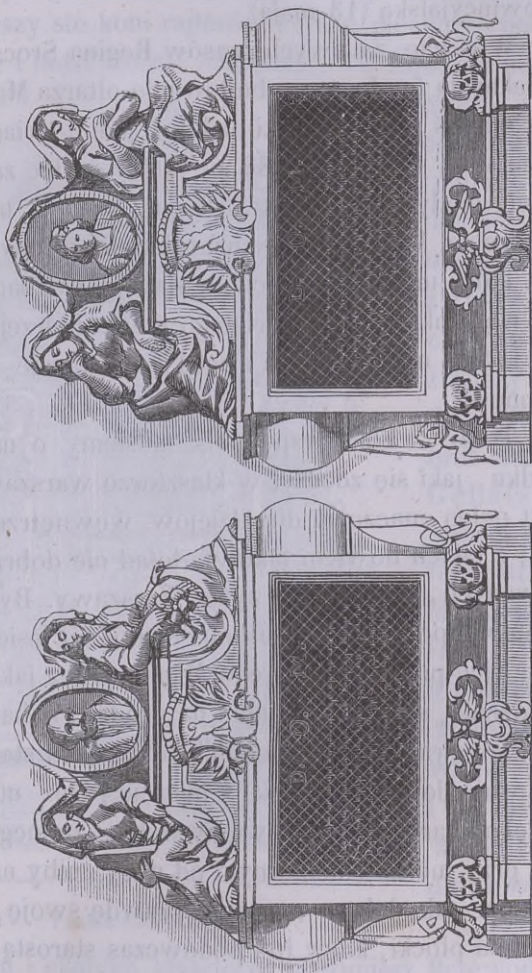
że już się więcej nigdy nie odbudowała; księża przenieśli poddanych do Seroka i grunta sami obsiewali lat sto przeszło, aż póki na zamianę za te grunta innych posiadłości ziemskich nie nabyli. Inną wieś Świdry szwedzi zniszczyli do szczytu tak, że dwór tylko nagi pozostał na polu i chaty gdzieś znikły; połowa wartości przepadła i dla tego sprzedali ją potem. Biskup poznański zabrał dziesięć grzywien srebra i kilka wotów na obronę ojczyzny; co przełożeni przed swojemi ukryć zdołali, to później stało się łupem najeźdców. Wreszcie uwięźczyli szwedzi swoje rozboje zabójstwem, jakby tego jednego do miary nie szczęście brakowało. Ksiądz Ludwik Pozora, sławny niegdyś zaklinacz złych duchów, człowiek bardzo nabożny, który w skutek objawienia zaciągnął się pod chorągiew kaznodziejskiego zakonu, pobożnością swoją i niemocą, ściągnął uwagę nieprzyjaciela; jęcząc na łożu boleści, wzywał opieki Najświętszej Panny, więc najgrawali się z niego, wyciągnęli potem z łóżka, nogi związali, z górnego korytarza ściągnęli na dolny, i długo po ziemi włóczyli, nakoniec powrozami do koni przywiązawszy, bez litości dobili; powietrze pojawiło się do tego. Zakonnicy wynieśli się do Lipnika, i klasztor bez obrony prawie pozostał. Cały ten rok szwed okropnie gościł w kościele. Cele gruzem pozasypywał, sprzęty pokruszył, stajnie i cegielnie popalił. Przeorem za tych nieszczęśliwych czasów był ksiądz Jan Kandyd Jalmużna, który krzątał się jak mógł; postawił większą drewnianą dzwonicę i dom mieszkalny, odbudował stajnie, znalazł czas na odbycie kapituły w Warszawie, a co główna, kiedy zakazano grabieży szwedom, i zakonnicy rozproszeni wrócili, cmentarz murem od ulicy osłonił, na około zaś kościoła, klasztoru i zabudowań gospodarskich poprowadził parkany, wały i fosę, tak dalece, że kościół przyjął postać małej fortecy, zwłaszcza że straż w nocy ciągle po wałach chodziła; widać, że jak Kordecki chciał się bronić ksiądz Jalmużna od małych napaści szwedzkich. Grabiecki po upływie fal szwedzkich, miał przeznaczenie starać

się o naprawę tych ruin (od października 1658 r.). Opatrzywszy najprzód z pierwszego kościół i klasztor, wioski w inwentarzach i budynkach podniósł, wystawił na ulicy Mostowej dom zwany Kuchowskim, wymurował cele dla prowincyała i przeora na dolnym korytarzu, oraz babiniec, dzwonnice z wieżą i pomieszkaniem pod nią, cegielnią nową wystawił, na górnych korytarzach cele oczyścił gruzem zasypane, sprawił zegar, nowicyjat odnowił. Organy na wielkim chórze z jałmużny przez ojców Dominika Czerniechowskiego i Alberta Czaplińskiego zbieranej wystawił, dalej zaopatrzył biblijotekę różnemi dziełami i uporządkował ją sam, wyzłocił ambone, długi za szwedów pozaciągane w znacznej części spłacił. Skarbiec kościelny zbogacił srebrnym krzyżem, puszką oraz monstrancyją w kształcie winogron i liści winnych, posprawił bogate ornaty, jednem słowem słusznie może się uważać ksiądz Grabiecki za odnowiciela kościoła i klasztoru. Pokończywszy prace swoje, starał się przeor o poświęcenie kościoła, które w istocie odbył na d. 26 czerwca 1661 r. z wielką okazałością i nie małym także dla klasztoru kosztem biskup poznański Tolibowski; oprócz kościoła siedm oltarzy (między któremi i wielki) tegoż samego dnia poświęcono. W pomnikach klasztornych zachowała się wiadomość, że za tę pracę Tolibowski dostał podarunek wartości 230 złp. W rok potem raz jeszcze powietrze morowe było powodem, że nowicyjat z magistrem wysłani byli do Lipniaka (24 czerwca 1662 roku). Zaczny Grabiecki był i autorem: dzieła jego wylicza Rychter. Znakomitość to i z tego względu, że dominikanie posyłali go młodym do kościoła paryzkiego ś-go Jakóba na nauki, tam Grabiecki został nawet doktorem Sorbony. Drugie przedświotwo swoje złożył 9 marca 1664 r., umarł zaś około 1673 r. Następcą jego ksiądz Damascen Jankuliński, dobry gospodarz, tym pamiętny, że wioski klasztorne swoją starannością u sejmujących panów uwolnił raz na zawsze od ciężkiej hiberny, i że wyrobił konstytucyją z roku 1667, na mocy której dominikanie warszaw-

scy mogli nabywać i zamieniać dobra swoje za insze szlacheckie.

Nie jedna jeszcze klęska spadła na klasztor w owym czasie. Powietrze zaczęło się na końcu r. 1677 i trwało blisko dwa lata. Zakonnicy i studium przenieśli się wtedy do Młęcina, a gdy nikt ze świeckich nie chciał wchodzić do klasztoru, zgromadzenie zamówiło sobie jakiegoś mieszczanina Kacpra, który nie tylko wszelkim kupnem, ale i wypłatą się trudnił. Wtedy w Młęcinie umarł wracając z kapituły rzymskiej przeor warszawski i autor ksiądz Cypryjan Stefanowski, za którego rządów ołtarz wielki ze stallami w chórze wyłocił brat Jacek Strzeszewski, z pozostałości po zmarłym przeorze wareckim Augustynie Siostrzeńskim (1669 r.). Wtedy też w Młęcinie obrany został przeorem do Warszawy ksiądz Kandyd Zagórowski (w lipcu 1677). Z następnych przeorów wspomnieć jeszcze potrzeba o księdzu Antonim Mdzewskim (1686—1688), który stąd wzięty na rejensa do Krakowa, został później biskupem kalamaceńskim, sufraganiem najprzód łuckim, a później gnieźnieńskim (poświęcony na biskupa 12 marca 1690 r. jak świadczy Załuski); był on dłużnikiem klasztoru, i stąd na dobrach swoich Strzegowie w plockiem, pewne zobowiązania zapisał; i o księdzu Floryjanie Straszyńskim, którego kilka jest drukowanych kazań. Ten obrany 27 grud. 1694 roku przeorem warszawskim z prowincyjała, ledwie rok zgromadzeniu tutejszemu przewodniczył, gdyż jenerał mianował go nagle prowincyjałem litewskim, musiał więc odjechać do Litwy. Największymi zaś z tego czasu dobrodziejami zakonu byli: sławny Aleksander Polanowski, którego tutaj w kościele znajduje się nagrobek z długim napisem łacińskim; ulubiony porucznik Czarnieckiego, dla jego pamięci nawet w czasie bezkrólewia po Janie Kazimierzu, kandydat do korony, Polanowski był w końcu chorążym wielkim koronnym. Cały piękny swój żywot spędził w obozach, i umarł 1687 roku. Oprócz zapisu wybudował dominikanom na ich gruncie w ulicy Starój dworek, który dopiero

po jego śmierci miał zostać własnością zgromadzenia, za to sobie wymówił pogrzeb w kapitułarzu (7 czerwca 1686 r.). Większym nierównie klasztoru dobroczyńcą był Adam Kotowski stolnik wyszogrodzki, człowiek nadzwyczaj pobożny, który w ogólności wiele kościołom świadczył. Już nie mówim o wotach pojedynczych i ofiarach, ale wystawił Kotowski kaplicę ś-go Dominika, po większej części marmurową; cała jest z porfirowego kwadratowego kamienia, sklepienie jej zdobije piękne malowanie włoskie, pod kaplicą zaś nieści się grób, w którym Kotowski z żoną w trumnach marmurowych oboje spoczywają. Kotowski podarował prócz tego klasztorowi wieś Jurki i Wolę Jurkowską



Pomnik Kotowskich

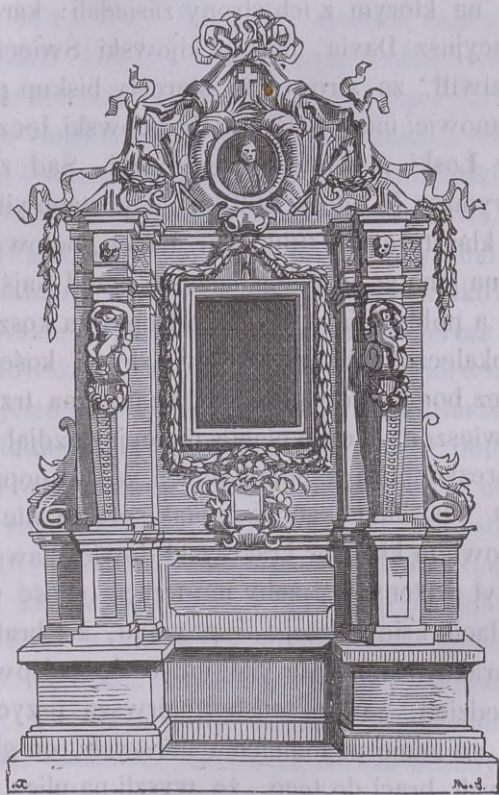
w powiecie tarczyńskim, oraz kupił dla zaokrąglenia tych dóbr przyległość Zamłynie w grójeckim, dotykającą gruntów jurowskich, nabył też dla klasztoru wieś Borowe w sandomierskim, przekazał różne summy swoje dominikanom, za co potem części

szlacheckie skupywali, i wreszcie dał fundusz osobny na skupienie części w wsi Górcach i Grotach pod Warszawą. Te wszystkie hojne dary spadły na kościół tutejszy w roku 1690, w którym Kotowski swoim kosztem podejmował także kapitułę prowincyjalską (13 maja).

Wreszcie za owych czasów Regina Sroczyńska testamentem przekazała fundusz na zbudowanie ołtarza Matki Bolesnej (1689). Biskup zaś plocki Dąbski ozdobił jedną ścianę kościoła nagrobkiem sługi swojego (1683 r.), który widać zancém był pacholęciem, kiedy obudził w biskupie pomysł takiego publicznego uczczenia. Mówim tutaj o nagrobku Stanisława Jana Skorobohatego, który urodzeniem i cnotą sławny był nad swe lata (wyrażenie nagrobku). Syn skarbnego litew. Jędrzeja, żył lat 22 (1658 do 1681); napis łaciński i polski przekazuje pamięć jego do potomności.

Teraz z kolei wspomnieć musimy o nadzwyczajnym wypadku, jaki się zdarzył w klasztorze warszawskim; stanowi on fakt pełen znaczenia dla dziejów wewnętrznych tutejszego miasta, z takich bowiem faktów, dotąd nie dobrze śledzonych i opisywanych, składało się życie Warszawy. Było to w czasie bezkrólewia po Janie Sobieskim w późnej jesieni. Aleksander Czamer vice-prezydent Starego-Miasta, przez jakąś niechęć do zgromadzenia, stawał mu ciągle na drodze, nabawiając klasztor niepokojów; raz oskarżył dominikanów przed starostą warszawskim, że psują dobry porządek w mieście przez utrzymywanie budek przekupniarskich wystawionych bez żadnego na to upoważnienia przy murze cmentarnym od ulicy, niby na gruncie miejskim. Czamer tak dobrze wystawił prawdę swoją, że Krasiński wojewoda plocki, który był podówczas starostą, natychmiast budki te kazał rozwalać. Napróżno przeor dowodził, że grunt należy do klasztoru i że jedenaście budek znakomity stanowią dochód, napróżno przekonywał, że budki nie były tak bardzo nikczemne, i że porządku miasta nie psuły; starosta rozgniewał się jeszcze

bardziej i nazajutrz chłopstwo spędził dla rozwalenia budek przemocą (10 listopada). Ale i przeor Kandyd Zagórowski pamiętał o sobie, zebrał co tylko mógł ludzi w klasztorze i stawiał zbrojny opór. Wtedy Michał Orłowski kapitan z poddmuchu samego starosty, używszy sto koni rajtarów i tyleż piechoty, podciągnął pod klasztor i ludzi zaczął rozpędzać. W kościele uderzono na gwałt, tłumy ludu się zbiegły. Na odgłos dzwonu księża porwali się od stołu, działało się to albo w iem podczas obiadu, i w mieszawszy się pomiędzy lud, dowództwo nad nim przyjęli. Walka za-



częła się od rzucania najprzód kamieniami, które zewsząd ciskano i z wieży i z dołu. Wtém brat Adam Gębalski więcej gorący, strzelił z pistoletu. Orłowski rozgniewany wśród trąb i kotłów zakomenderował

Pomnik Skorobohatego,

ognia. Poległ student i ekonom klasztorny Kazimierz Przewodyszewski; a ośmiu zakonników było rannych, Gębalski dostał kilkanaście postrzałów, dwaj zaś inni bracia Bernard Haur i Jacek Sokołowski na zawsze kalekami zostali. Wytoczyła się sprawa najprzód do kapturów, a później do trybunału. W Piotrkowie po-

pierał ją ksiądz Alan Bardziński tłumacz Lukana, ówczasowy kaznodzieja warszawski. Starosta widział z żalem, że sprawa wcale nieprzyjemny dla niego bierze obrót, i dla tego po dwóch latach sporów zabiegał o układy. Ojcowie nie byli od tego, zważając na koszta już poniesione i ponieść się mające, zresztą dobrze im było żyć w zgodzie z panami, zezwolili więc na sąd polubowny, na którym z ich strony zasiadali: kardynał Radziejowski, nuncyusz Davia, biskup kijowski Święcicki i kanclerz książę Radziwiłł, ze strony zaś starosty biskup plocki Żaluski, oraz kasztelanowie: inowrocławski Grzybowski, łęczycki Towiański i Aloizy Łoski podstoli wyszogrodzki. Sąd zgromadził się w pałacu prymasa (4 lutego 1699 r.), i postanowił, żeby starosta zapłacił klasztorowi 2,000 talar. bitych, połowę jako wieczny fundusz na lampy, ciągle palące się przed Najświętszym Sakramentem, a połowę jako wynagrodzenie za koszta prawne, za kuracje pokaleczonych, za naprawę drzwi kościelnych, nadpsutych przez bombardowanie i t. d., Czamer na trzy lata w urzędowaniu zawieszony. Po wypłacie, nuncyusz zdjął klątwę ze starosty, vice-prezydenta i współników ich, w jaką popadli przez sam czyn gwałtu. Dla dominikanów jednak sprawa nie skończyła się jeszcze, albowiem klasztor krakowski dowiedziawszy się o wyroku, założył pretensyje, żeby mu trzecią część wziętych pieniędzy wypłacili księża tutejsi, z powodu, że brat Gębalski był professem krakowskim. Ale nie udało się: ojcowie warszawscy odpowiedzieli, że brat ten był pierwszą przyczyną rozlewu krwi; dalej, że mimo napomnienia starszych, on głównie pobudził młodszych braci do tego, że wyszli na ulicę i że pierwszy strzelił; nareszcie z uwagi, że do prowadzenia téj sprawy w niczem się nie przyłożyli ojcowie krakowscy, a warszawskich kosztowała apteka, doktor, obdukcyje, wożenie zmarłego już brata Adama po sądach dla przekonania że istotnie z ran umarł, postanowili nic nie dać i nie dali. Ukończyła się ta sprawa prawie w wigilią drugiego najścia szwedzkiego, które mniej stra-

szne było dla klasztoru niż pierwsze. Mądry polak po szkodzie. Ojcowie zatem wprzód jeszcze nim nieprzyjaciel wkroczył do Warszawy uwieźli do Gdańska sprzęty bogatsze klasztorne i brackie, srebra kościelne i wszelkie składy; dla pilnowania tych kosztowności w drodze i na miejscu, wybrali ojca Feliksa Piotrowicza, który dopiero po uciechnięciu grozy wojennej powrócił z Gdańska 1713 roku. Mimo to, szwedzi szukając zaczepki, wzięli do niewoli ekonoma z Serok ojca Hołdakiewicza, na którego wykupno klasztor musiał dać trzysta imperyjalów.

Za czasów saskich trzy znakomitości klasztoru wzbijają się ponad tłumy, Jan Damascen Lubieniecki, Alan Bardziński i Piotr Drogoszewski, wszyscy jeden po drugim przeorowie. Lubieniecki z Drogoszewskim obadwaj doktorowie, wyrobili u generała w Rzymie, że mimo silne przeszkody ojców krakowskich, studium warszawskie *formale* podniesiono na *generale* i w przywilejach z krakowskiem zrównano (1700 r.); pierwszym jego rejensem był ojciec Albert Siekielewicz, a bakałarzem ks. Alan Bardziński. Statuta temu studium nadał generał dopiero dnia 29 marca 1704 roku, a trzy kapituly całego zakonu utwierdziły je, ostatni raz w roku jubileuszowym w Bononii (16 listopada 1725). Lubieniecki był dwa razy przeorem (od d. 10 grudnia 1691 do 1694, i od d. 22 marca 1708—1711); tutaj przyjął sukienkę zakonną (w r. 1668), a odbywszy studia był w Krakowie bakałarzem, potem rejensem. Zwiedził Francją i Włochy, w Lyonie uczył teologii, a w Rzymie był członkiem kolegium założonego przez kardynała Casanelli. Człowiek bardzo uczony, zgromadził wielką bardzo liczbę ksiąg w podróżyach swoich i niemi, zwłaszcza dziełami odnoszącemi się do historyi kościelnej, bibliotekę klasztoru zaopatrzył. Był nadwornym teologiem króla Sobieskiego. Pomiędzy obydwoma przeorstwami w Warszawie rządził prowincją. W trzecim roku drugiego przeorstwa mianowany biskupem bakońskim (7 czerwca 1710 r., prekonizowany 23 lutego 1711 r.), dyjecezyją swoją raz odwiedził. Mąż pelen

talentu, miał wielkie poważanie u panów. Do zakrystyi darował całe ubranie biskupie, i mszał charakterem gockim pisany z relikwiami ś-go Piusa V papieża, który tego mszału używał; szczególnie miał widać do tego świętego nabożeństwo, skoro i życie jego opisał, które odznacza się czystą polszczyzną i pewną żywością w opowiadaniu, a dotąd spoczywa w rękopiśmie w tutejszej biblijotece. Lubieniecki głównie też był promotorem sprawy ś-go Czesława, wydał o nim dziełko i sprawił, że Rzym pozwolił na ubłogosławienie naszego ziomka. Umarł Lubieniecki mając lat 63. w czasie zarazy morowej na Podlasiu w parafii Woińskiej 1714 roku; ciało jego pochowane tutaj w kaplicy Kotowskich. Ksiądz Drogoszewski był także dwoma nawrotami przeorem, ale urzędował lat 24 (od 21 stycznia 1698 — 1705, i od 11 stycznia 1711 — 1729 r.). Zabiegły gospodarz i gorliwy kapłan wszędzie ślady swojego pobytu zostawił, klasztoru znaczną część domurował, organy znakomicie rozszerzył. Do faktów przez Rychtera o jego życiu cytowanych, dodaję to jeszcze, że był w Hiszpanii na studiach, po czém wróciwszy do ojczyzny, przez lat dwanaście uczył teologii i kazywał. Nazywano go filarem zakonu. Trudno jest lepiej, jak świadczy Rychter, wykladać teologią w języku ojczystym, jak ją wyłożył ksiądz Piotr w dziele swoim: „Tarcza wiary Chrystusowej.” Umarł najpobożniej 1729 r., i pochowany w kapitularku, mszę żałobną po ostatnich wigilijach śpiewał ksiądz Mikołaj Wodziński ex-prowinicyjał i przeor augustyjanów, szczególnie przyjaciel nieboszczyka, kazanie zaś miał ksiądz Ludwik Miskie jubilat bernardyński, który akrostychy różne po łacinie na cześć jego napisał, przywodzi je Rychter: przełożeni wszystkich zakonów i bardzo wiele znakomitych osób znajdowało się na pogrzebie. Ksiądz Bardziński wierny tłómacz Lukana, Lucyjana i Boecyjusza, wzorowy prozaik, zdolny rymotwórca, prezentat teologii, z własnego majątku wiele łożył na klasztor za życia i zostawił mu jeszcze skarby po śmierci. Był tutaj przeorem przez trzy lata, bezpośrednio szedł

po Drogoszewskim a przed Lubienieckim (od d. 26 lutego 1705, umarł 1708 roku). Rychter osobny artykuł księdzu Alanowi poświęcił. Nie szczególnie obok tych świadectw o naukowości tu-tejszych zakonników odzywa się współczesny tym przeorom Erndtel; „nie widziałem, rozpowiada, w żadnym innym klasztorze warszawskim tak licznój i bogatěj biblijoteki jako w tym; samych oprawnych ksiąg przeszło 3,000, o rękopismach zaś głu-che tutaj milczenie, nie masz najmniejszego bogactw tych spisu, nad którego ułożeniem już lat przeszło 100 pracują.” Prawda, że w czasach kiedy to Erndtel pisał, nie było stu lat jeszcze klasztorowi (1700), ale zawsze nie na pochwałę mu policzyć te słowa pełne oburzenia. Tembardziej z późniejszych lat nie ma śladu jakiegokolwiek bądź inwentarza.

Jednakże, jak widzimy, miał klasztor warszawski wielu uczonych przeorów, rzadko który z nich nie zajmował się pracą literacką i książką. Żałujem, że nie tutaj miejsce zbierać o nich szczegóły biograficzne, którychby znalazło się wiele. Ochabowicz przeor (od 1729—1732, i 1737—1740) poświęcał się także dla kościoła, który wewnątrz przyozdobił i budował wiele; on także spory z sąsiadami o granice wiosek klasztornych pokończył i w Warszawie z magistratem Nowego-Miasta: w Górcach i w Młęcinie postawił kaplice, w Górcach ogród nakształt włoskiego założył. Trzeci raz zostawszy przeorem (w czerwcu 1745 roku), wyjechał na kapitułę do Gdańska, tam w kilka dni um. (15 września 1746 r.), i tam pochowany. Nowomiejski był historykiem zakonu. Nędznie się wywiązał z tego zadania, które mu raz kapituła jeneralna w Bononii, drugi raz prowincjonal-ska w Łucku powierzyła; nie ma w nim albowiem żadnej krytyki historycznej, daty fałszywe, fakta przemienione i dużo czezych słówek; jeżeli chwalił kogo, to już chwalił bez miłosierdzia. Nowomiejski był przeorem od 22 lutego 1742—1745. Symforyjan Poniński (1755—1760 r.) pokazywał się cokolwiek przyostrym, ale o dobro klasztorne usilnie zabiegał. Piotr Tysia-

rowicz był sławnym kaznodzieją; wziętość jego sięgała od wielkiego jubileuszu, który odbywał się w Polsce 1751 r., i podczas którego sześciomiesięczna missya odbywała się tutaj w kościele. Ksiądz Piotr przewyższył wtedy wymową wszystkich kaznodziejów stolicy, stąd szacowany był przez magnatów, szlachtę, lud i konsystorze; konsystorz warszawski zrobił go egzaminatorem prosynodalnym. Pod koniec życia został tutaj przeorem (1760—1763 r.), a kiedy umarł, chowali go na kapitularku bernardyni i odtąd nastąpiła tak nazwana dwóch zakonów filadelfija co do pogrzebów, to się znaczy, dominikanie chowali bernardynów, a ci nawzajem dominikanów (1764 roku). Mało co przed tą missją zgorzała dzwonnica i stopiły się dzwony (11 listopada 1750 r.): niebezpieczeństwo wielkie samemu kościołowi i paulinom groziło; składka niebawem pokryła wszelkie straty, i nową dzwonicę z wieżą wystawił przeor Tomasz Królikowski na dawnych murach od ognia ocalonych (1747—1753). Wszyscy tutaj wymienieni przeorowie byli doktorami, wszyscy byli synami tutejszego klasztoru.

Za czasów króla Poniatowskiego lubo klasztor coraz nowych a nawet potężnych znajdował dobroczyńców, chwilowo-groziło dominikanom wielkie niebezpieczeństwo, i chociaż księża uniknęli całkowitej zagłady, jednak okropnie za to odpokutowali. Wtedy Tadeusz Ogiński kasztelan trocki (1764 r.) i Dominik Sobolewski podkomorzy warszawski (1764 r.), wtedy ksiądz Stanisław Potkański opat sulejowski, którego ciało tutaj spoczywa i ks. Młodziejowski biskup poznański, dobrodziejami byli zakonu. Wtedy liczba zakonników urosła do 69 osób (1769 r.). Przeor mógł się podjąć wtedy wszelkiej posługi duchownej u Sakramentek, której dominikanie jako procent od pożyczonej summy bezpłatnie przez lat kilkanaście dopełniali (1744—1764 r.), aż póki przeor Marcin Runiński także doktor (1763—1766 r.) człowiek wielkiej roztropności, łagodny jak ojciec, a gorliwy o dobro ogólne, długu nie spłacił i nie porozumiał się z sakramentkami raz na zawsze

co do téj rzeczy, to do dziś dnia posługi duchowne w kościele panien spełniają dominikanie. W tém nagle niebezpieczeństwo zagroziło klasztorowi z następującego powodu: zdarzyło się to za przeorstwa księdza Dominika Borkowskiego (1766—1773). Raz w dżdżystą noc listopadową stało kilka wozów z sianem na rynku nowomiejskim; nie mogły już wracać do domu dla zbyt spóźnionej pory, biedny jakiś chłopiek przyszedł tedy do ks. syndyka klasztornego z prośbą, żeby w stajniach na podwórzu pozwolił mu i sąsiadowi jego zanocować. Ksiądz Stefan Dowgialło nie spodziewając się zdrady, bo ktoby się jój w chłopku domyślał? pozwolił im noclegu, który tak się przeciągnął, że dzień cały następny na podwórzu klasztorném włościł nasich gości. A jednak byli to przebrani konfederaci Strawińskiego, którzy na króla czatowali. W istocie, gdy się zmierzchno następnej nocy, okulbaczwszy konie i w broń się opatrzywszy, wyjechali na niebezpieczną wyprawę. Szło tutaj więc o zbrodnię obrażonego majestatu, i na nieszczęście klasztor w tę sprawę wmięszano. Na opowiedzenie Kuźmy, że konfederaci u dominikanów nocleg mieli, rano jeszcze przed dzwonieniem na różaniec, wojsko otoczyło klasztor i kilka dni żywój duszy ani wewnątrz, ani zewnątrz niktogo do księży ani wpuszczało ani wypuszczało od księży. Sądzone najprzód, że klasztor a przynajmniej że niektórzy zakonnicy byli w zмовie z Puławskim i pozory były, bo konfederacyje wiązały się wtedy wszędzie przeciw dyssydentom. Skoro się dobrze rozwidniło, przeora pod strażą zaprowadzono do księcia kanclerza, który ciągnął z niego śledztwo; następnie po dwóch zakonników brano z klasztoru i spisywano ich zeznania. Ojciec syndyk musiał się aż w sądach marszałkowskich świecić a tymczasem, że nie doniósł o tych ludziach policyi, do nuncyjatury po karę odesłany. Toż był główny zarzut w ogóle całemu klasztorowi, że ludzi tych u władzy nie meldował i że miasto wiedziało już o schronieniu się konfederatów u dominikanów, a dominikanie milczeli.

Byli panowie, którzy gwałtem księżom narzucali winę i spisek z Puławskim, głównym zaś był ich nieprzyjacielem Poniński, który już dawno ostrzył zęby na wioski zakonne, ciesząc się że po zniesieniu klasztoru dostanie je kadukiem. Gdyby nie Młodziejowski, któremu prowincyjał z kapitułą losy swoje poruczał, byłoby źle z dominikanami, stąd klasztor kanclerza do najcenniejszych swoich liczy dobrodziejów. W istocie, on tylko jeden mógł przeciwważyć wpływy Ponińskiego. Filozofija podniosła ogromne wrzaski na zakon, że rozwolnienie w nim wielkie, że kaznodziejów jako powinien z prawa swego, wcale nie ma, że wielu gości obcych do siebie przyjmuje, zwłaszcza podczas sejmów, kiedy to zakonników, jak śledzi do beczki po kilku do jednej celi pakują, żeby więcej miejsca było. Głosy wrogów odzywały się jawnie za kassatą. Ocalił zgromadzenie Młodziejowski i wpływy jakie u panów miał przeor, tylko syndyk skazany i ksiądz kaznodzieja Eugeni Syrkowski, który z jednym konfederatem w późną noc rozmawiał przez okno z głównego kurytarza, ale o czém? nie wiadomo. Za nieostrożność obadwaj dwutygodniowe odsiedzieli rekolekcyje.

Mimo to szarpano nielitościwie klasztor za wiedzą i upoważnieniem nawet Ponińskiego. Wzruszono dawne zapisy Kotowskich, był to wyraźny dowód złej wiary. Józef Oborski podkomorzyc liwski albowiem wyrobił sobie kaduk na cały majątek nieruchomy, bezdzietnie zmarłego stolnika, zajął więc dobra Górcze, Jurki i Borowe z przyległościami (1773 r.). Byłby został przy nieznanym nabytku, gdyby nie zbyteczna chciwość. Chciało mu się posiadać ten kaduk bez żadnych obowiązków, czysty jak srebro; że zaś w zapisach Kotowskiego były pobożne legaty, zgłosił się do stanów rzeczypospolitój o wyznaczenie kommissyi, któraby rozpoznała czy fundacyje spadkodawcy były zgodne z prawami keronnemi? Oborski myślał że pójdzie górą, bo konstytucyja z r. 1635 zakazywała zapisywać dobra ziemskie na takie legaty,

a więc Kotowski dobrze później nie miał prawa ich robić; wreszcie dowodził, że donacją dóbr swoich na dominikanów, stolnik zeznał tylko w metryce, a nie przed grodem, nareszcie że klasztor nie miał intromissyi do Gorców. Na czele kommissyi z dwunastu członków złożonej, zasiadał Młodziejowski: przegrali dominikanie na zasadzie konstytucyi z roku 1635. Ale za to kommissyja włożyła na Oborskiego obowiązek, żeby księżom wypłacił 5,000 dukatów, od których procent miał iść na mszę i nabożeństwa, których Kotowski domagał się; Oborski uważał to za krzywdę swoją, i wymógł na kommissarzach, że mu jeszcze 500 dukatów darowali (4 września 1774 r.). Wypłaciwszy dług klasztorowi i otrzymawszy kwit w grodzie warszawskim (20 lutego 1775 r.), zajął dobra. Dominikanie podali wtedy do sejmu prośbę, żeby pozwolił im nabyć w zamianę nowych dóbr i zatwierdził prawo do nieruchomości, jakie posiadali pod władzą miejską w Warszawie. Za wsparciem Młodziejowskiego w istocie otrzymali taką jaką chcieli konstytucyją; pozwolono im kupić dobra za 100,000, a grunta miejskie zatwierdzono (oblata w grodzie warszawskim 13 kwietnia 1775). Mimo to jednak, ojcowie dóbr żadnych nie kupili, tylko za pieniądze Oborskiego (80,990 złp.) wystawili kamienicę na ulicy Mostowej, a co zostało oddali pożyczką Młodziejowskiemu na dobra jego Czerniakowo. W tém drugi cios: jenerał-adjutant Wodzicki wyrobił sobie kaduk na Lipniak i Jamielnik z przyległościami (31 paździer. 1778) i zapozwał dominikanów do ziemstwa łukowskiego o ustąpienie z dóbr. Zgodzono się na kompromis, na którym superarbitrem był Makary Kurdwanowski podkomorzy bełski członek rady nieustającej. Napróżno siłił się jenerał na dowody, przepadł z kretesem, bo tytuł do własności tych dóbr sięgał jeszcze czasów z przed r. 1635, więc kaduk uznano za nieprawny (1781).

Już odtąd nie powracał nigdy klasztor do dawniej swojej świetności. Na własne potrzeby kościelne srebro topić

musiał po kilka razy (1777, 1778, 1783, 1786 r.). Stracił duże summy na bankach, a mianowicie u Prota Potockiego (1793 r.), co się stąd uratowało, to kommissyja trzech dworów później przekazała do Łysobyk w kordonie austryjackim, więc za granicę. Na wojnę 1794 r. klasztor musiał oddać zbywające srebro swoje i złoto. Nareszcie w roku 1797 klasztor utracił wszystkie swoje dobra, rząd pruski za Seroki i Granicę dał kompetencji złp. 2,854 gr. 4. Dobra zaś w Galicyi i summy na nich, nawet owa łysobycka przepadły. Ojcowie widząc tak wielką swoją stratę, postanowili (1797 roku) wysłać którego z zakonników do Krakowa z prośbą do gubernatora przynajmniej o wyjednanie jakiej kompetencji z dóbr. Ale wysłany ksiądz Dominik Przewłocki nic nie wskórał. Wszystko to było powodem redukcji nabożeństw, do których obowiązani byli dominikanie; pierwszą taką redukcją zarządził sam generał przed kilkudziesięcią jeszcze laty w Rzymie (20 marca 1728 roku), druga odbyła się teraz na prośbę całej prowincyi polskiej w 1797 r., do czego dominikanie słuszny powód mieli, bo tu summy poprzepadały; tam procent upadł zmniejszony przez sejm do połowy, nowe wreszcie podatki potrzeba było płacić. Przeorem był wtenczas w klasztorze tutejszym ksiądz Urban Kunkiewicz z Gdańska, od wszystkich kochany, dobry, łagodny, poczciwy, ale w smutnych rządził czasach (1792 — 1798 r.). Za przeorstwa księdza Dominika Przewłockiego, tego co do Krakowa jeździł, Francuzi wkroczyli do Warszawy. Były to jeszcze smutniejsze czasy; wojsko zalało wszystkie domy. Klasztor nasz, oprócz kilkunastu oficerów, do stu na kwaterę dostał żołnierzy, którym przez dwa miesiące musiał dawać pościel, żywność i opał; potem uwolniono mieszkańców od dawania żywności, ale ciężar kwaterunkowy pozostał. Od 26 grudnia 1806 r. założono jeszcze u dominikanów lazaret francuzki, na który zajęto główne cele dolne i górne, refektarz, kuchnie, śpiżarnie i śpiczrz, tak, że zakonnikom zostały ledwo

cele nad kapitularem i nowicyjat, na obiad zaś chodzili do dworku swego na ulicy starój. Jenerał Bertrand nadesłał te rozkazy w sam dzień Bożego Narodz. o jedenastój w nocy: gdy biblijotekę w ciągu dwunastu godzin uprzątnąć rozkazano, na znaczne stąd księża narazili się straty; szafy popsuto, dzieła porozrywano, a resztę w stercie przy nowicyjacie złożono na kurz, słotę, myszy i mole. Kiedy wreszcie 4 maja 1807 r. wywieziono lazaret z klasztoru, salę biblijoteczną zatrzymano na szwalnię, potem na skład sprzętów wojskowych. Drugi raz przeorem był już Przewłocki, kiedy za radą starszych w 1818 r. ratując szczątki biblijoteki, z której wiele pożywił się i Linde, aby książki na gromadach leżące większej szkodzie nie uległy, inne sale kazał poprzerabiać na pomieszczenie nowój biblijoteki, dawna zaś przemieniona potem na szkoły wydziałowe (1824). Czasy księstwa warszawskiego kosztowały ubogi klasztor przeszło 30,000 złp. gotowizny, prócz strat niepowetowanych, np. w biblijotece.

Czasy księstwa pamiętne tém są jeszcze dla klasztoru, że w roku 1808 po kassacie Benonów przeniosło się tutaj bractwo Skonania Pana Jezusa, i kaplicę ciemną przez czeladź szewcką opuszczoną, wzięło pod swój dozór, czém ujęci szewczykowie, obrali sobie oltarz ś-go Jacka, jako z ich kwesty w roku 1764 postawiony, i że odbyło się do kościoła dominikanów uroczyste wprowadzenie obrazu błogosławionych męczenników sandomierskich Sadoka i towarzyszków jego, z kościoła księży pijarów (24 czerwca 1809): uroczystość to była bardzo rzadka i nowa dla Warszawy w tych czasach filozofii, bo Augustowie sascy, za których takie obrzędy odbywały się prawie codzień w Warszawie, już dawno zstąpili do grobu i pokolenie żyjące za księstwa zapomniało o dawniej przodków pobożności. Celebrował ks. Antoni Malinowski biskup cynneński ex-dominikanin, dawniej sufragan żmudzki poświęcony w kościele tutejszym na biskupa (d. 22 grudnia 1782 roku) przez Giedrojcia, Cieciszowskiego i Na-

ruszewicza. Towarzyszyło uroczystości bractwo różańcowe, cechy z chorągwiami, zakony, gwardya narodowa, była i muzyka wyborna z dętych instrumentów złożona. Z ogromną wystawą trwało przez kilka dni nabożeństwo. Lud się tłumił. Nakład główniełożył zakonny brat Pius Szczerbiński, który przez lat kilkanaście utrzymując w klasztorze sławny handel w stolicy wina i miodu, zebrał kapitałik, i z niego 200 dukatów poświęcił w taki sposób na chwałę Bożą.

Wprowadzenie święta męczenników sandomierskich odbyło się za przeorstwa księdza Damijana Dzieszковского, którego nazwiskiem najstósowniej będzie zamknąć kronikę dominikanów w Warszawie. Prezentat teologii, potem doktor, rzeczywisty rezens studyi, syn tutejszego klasztoru, objął w nim rządy po raz pierwszy 24 listopada 1807 r., i piastował je do 1815 r., w którym jednomyślnie obrany prowincyałem; po czém drugi raz d. 8 grudnia 1821 r. Gdy przy końcu roku trzeciego, został znowu prowincyałem, jenerał pozwolił mu zatrzymać przeorstwo które tą razą piastował do r. 1830. Tak więc przez lat siedmnaście rządził klasztorem warszawskim. Kawał to wielki czasu, ale ks. Dzieszkowski więcej zrobił jak mógł, bo lata mnożył. Apostolskiej gorliwości zakonnik żył dla modlitwy, pracy i dla swojego kościoła. Jego tu znać na każdym kroku. Odpust wieczysty dla całej prowincyi wyrobił w Rzymie na dzień błogosł. Sadoka i jego współmęczenników (1817 r.). Klasztor powoli wszędzie przebudowywał, dachy wszędzie dał nowe, kapitułarz Grabieckiego z portretami biskupów zakonu razem z ołtarzem kazał odnowić i wymalować (1829 r.). Gdy dla upiększenia miasta nakazał urząd municypalny, żeby księża mur cmentarzowy od dzwonnicy, aż do obcej posiadłości dotykający rozebrali i kratę żelazną w tém miejscu postawili, przeor Damijan zamiast kraty, postawił dom zwany gotyką podług planu Hilarego Szpilowskiego, który miastu był ozdobą, a zgromadzeniu stanowi dochód

(1823 r.). Gdy dzwon największy pękł przy dzwonieniu za duszę prymasa Malczewskiego, ksiądz Damijan, ogromny 4,800 funt. ważący kazał ułać (1827). Wybudował pokoje biskupie. W kościele podobnież zmiany na lepsze: zbudował skarbiec, całe ściany na nowo murował. Gdy wichry cały prawie gzyms obdarły, pokrył go blachą (1813 r.), organy odnowił (1810 r.). Zakrystyją uposażył w piękne rozmaite aparaty, do ołtarzów sprawiał sukienki z miedzi posrebrzanéj (ś-go Jakóba), inne odnawiał i pozłacał, jako to w r. 1844 ołtarz Pana Jezusa i ś-go Wincentego. Kościół raz wraz stroił i bielił. Gdy ołtarz wielki spróchniały musiał być rozebrany, kupił prawie nowy od bernardynów pragskich za 2,000 złp., a że chór zakonny przed ołtarzem dawniej dany wielką był przeszkodą zakonnikom do nabożeństwa, z powodu że ludzie świeccy, a szczególnież kobiety cisnęły się do stallów, więc i stalle, jako także spróchniałe kazał rozebrać i mense od wielkiego ołtarza w presbiterjum odsunąć o tyle, o ile potrzeba było miejsca na pomieszczenie stallów pomiędzy mensem a ołtarzem; cymboryjum nowe podług rysunku Szpilowskiego zrobił, tablatury przed wielkim ołtarzem, ławki i dwa konfesyjonały przy końcu ławek postawił, kazał je pozłocić i odmalować. Robota ta w r. 1815 skończona, kosztowała przeszło 23,000 złp. Ksiądz Dzieszkowski więc stworzył to wnętrze kościoła, jakie dzisiaj oglądamy. W ogóle zważywszy te wszystkie prace, jakie podejmował w czasach najkrytyczniejszych, zważywszy że nakładom publicznym wystarczą, a długu nie zaciągał żadnego i że ze swojej własnej oszczędności przeszło 12,000 wydatkował, przyznać musim, że ksiądz Dzieszkowski mógł z chlubą o sobie przed śmiercią powiedzieć, że Bóg mu oczywiście w tém wszystkiém pomagał.

Nikt tak gorliwie, jak ksiądz Damijan nie walczył o fundusze swojego kościoła. Nie tylko że różne summy wynajdywał, że długi spłacał, że bogactwa klasztoru mnożył, a nie uszczuplał

ich, jeszcze stare od wieków wznawiał pretensyje i wygrywa sprawę. Gdy skasowano dominikanów obserwantów, ksiądz Damijan z rewersami w ręku jeszcze z czasów Michała Korybuta upominał się o zwrot pożyczonych im z tutejszego klasztoru monstrancyi i kapy, które mu prymas ksiądz Hołowczyce wydać rozkazał. Za jego téż czasów fundusze skassowanego świeżo klasztoru w Warce, przeszły na własność tutejszych dominikanów (1818), a nadto w lat kilka później z kapitałów po drugim klasztorze w Górze Kalwaryi Rada Administracyjna przeznaczyła dla tutejszego 24,000 złp. (9 października 1827 r.). Szacunku takiego ksiądz Dzieszkowski używał, że Kommissyja Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia wezwiała go 17 kwietnia 1823 roku, żeby się podjął utrzymywać wraz ze zgromadzeniem szkołę wydziałową; gdy dominikanie na to przystali, rząd przeznaczył zgromadzeniu 7,000 złp. wynagrodzenia, a szkoła otwartą została na rok szkolny 1823³/₄ i trwała do r. 1830. Rektorem jój był ciągle ksiądz Dzieszkowski, prefektem niedawno zmarły ks. ex-prowincyjał zakonu, mąż apostolski ksiądz Wszelaki, między zaś nauczycielami świeckimi byli znakomity filolog Aleksy Nędzyński i Ignacy Lojola Rychter.

Ostatnie wypadki odnoszące się do kościoła i klasztoru, są następujące: grunt Bełcząca wzięty został pod cytadelę w r. 1832, i za to klasztor dostał złp. 34,718 gr. 25. W roku 1839 kościół i klasztor wybielono cały. W roku 1843 obadwa ołtarze różańcowe całkowicie odnowił i ozłocił Feliks Bobrowski malarz z funduszu, który zostawił testamentem Edward Rakiety sekretarz jeneralny Kommissyi Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego, wielki dobrodziej dominikanów. Dwa drugie, o czém już mówiliśmy, odnowił ksiądz Dzieszkowski (1844 r.).

Niezbyteczną będzie więc rzeczą na zakończenie naszej kroniki, powiedzieć słów kilka o samym księdzu Damijanie. Urodził się w biskupstwie wileńskim 17 lipca 1770 roku. Skoń-

czył szkoły po-jezuickie w Warszawie. Wstąpił do zakonu w tu-
tejszym klasztorze 15 listopada 1787 roku. Odbывszy studija,
sam uczył tutaj filozofii i był kaznodzieją, poczem przeniesiony
do Gdańska, wrócił znowu do Warszawy i już krokiem z niéj
nie wyjeżdżał. Obrany był trzy razy prowincyjałem. Umarł
w późnej starości 1846 roku.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} FRANCISZKA SERAFICKIEGO

KSIĘŻY FRANCISZKANOW.

NA ULICY ZAKROCZYMSKIÉJ (*).

Za Zygmunta III, za którego najwięcej klasztorów pobudowało się w Warszawie, ojcowie franciszkanie ruscy na pierwszej swojej kapitule w Drohiczynie, naradzali się jakimby sposobem, kiedy funduszu żadnego nie było, założyć klasztor w Warszawie (1626 roku). W tém, na piątém posiedzeniu (16 stycznia) kustosz wileński ksiądz Jacek Siecki doniósł zgromadzonym braciom, że w jego klasztorze umarł niedawno na zarazę, ojciec Gabryjel Berliński, który po sobie dosyć zostawił różnych rzeczy, a co najwięcej piękną bardzo biblijotekę: kapituła uchwyciwszy zaraz tę okoliczność, postanowiła ten spadek, jako i wszelkie inne jakie się zdarzą w prowincyi, przeznaczyć na wybudowanie przytułku (hospitium) w stolicy, to jest na mały domek i kapliczkę na piérwszy raz, sądząc bardzo sprawiedliwie, że wtedy dobroczyńcy koniecznie znaleźć się muszą. Prócz tego prowincyjałowi polecono, żeby zbierał po kośc. franciszkańskich

(*) O tym kościele obszerniej nieco pisze ks. Jakób Piasecki prowincyjał franciszkanów w dziele, które częściami ogłaszał w Pamiętniku religijno-moralnym, pod tytułem: „opisanie klasztorów i kościołów ks. franciszkanów prowincyi polskiej.” O kościele warszaw. w Pamięt. tom VIII str. 436 – 466



KOŚCIÓŁ Ś. FRANCISZKA SERAFICKIEGO, KSIĘŻY FRANCISZKANÓW
przy ulicy Zakroczymskiej.



składki, żeby u panów błagał o jałmużny, kupił plac i prędce stawiał ów przytułek. W dni kilka na ósmym posiedzeniu (18 stycz.) ojcowie rozbierali jeszcze raz stanowczo tę sprawę. Prowincyjał sam o tém rozpoczął i dowodził ojcom konieczności założenia klasztoru w Warsz. „Mam powiadał, mniej więcej w tych stronach publiczne i prywatne moje sprawy, to u nuncyjusza, to u króla, dla tego posyłam często do Warszawy braci, którzy naturalnie bawią tam bez towarzystwa klasztornego, a co gorsza, stoją po karczmach i poniewiera się karność zakonna: czy to wypada tak?” pytał się prowincyjał zgromadzenia. Ojcowie postanowili więc, żeby prowincyjał natychmiast się tém zajął i użył wszystkich spadków, jakie są w téj chwili po braciach zmarłych w prowincyi i po za prowincyją nawet, jeżeli do niej należą. Zliczono na prędce te fundusze: był spadek po Berlińskim, były pretensyje prowincyi ruskiej franciszkanów do polskiej, te uchwalono obrócić na cel wiadomy i już nie prowincyjała, a braci upoważniono wszystkich do zbierania składek od panów, do których przystęp otwarty mieli. Prowincyjał rozszerzał się jeszcze o potrzebie osadzenia biegłego w prawie prokuratora w Warszawie, i dodał do tego w Lublinie, bo prosty brat nieumiejący i niezgrabny radzić sobie nie potrafi, zwłaszcza w trybunale, a przez to wiele prowincyja traci. I to przyjęto. Wszystko zdano na prowincyjała, żeby plac kupił, przytułki wystawił w Warszawie i w Lublinie, żeby tu i tam po dwóch księży utrzymywał, a z resztą czekał szczęśliwych okoliczności. Tak więc te dwie fundacyje, przeznaczone były pierwsiastkowo dla prawników; potrzeba obrony funduszków klasztornych, dała początek obu klasztorom. I druga rzecz godna uwagi, nie ojcowie polscy, jakby naturalnie było, ale ruscy myśleli osadzić się pierwsi w Warszawie. Fakta które tutaj przywodzimy, mamy z oryginalnej księgi kapituł franciszkańskich ocalonej przez księdza Ostapowicza; z téj to również księgi wyjęliśmy życiorys Dembołęckiego. (Biblijoteka warszawska 1854 tom I.).

Bądź co bądź, było w przeznaczeniach, żeby nie ruscy, ale polscy franciszkanie osiedli w Warszawie. Postanowienie drohiczyńskie widać skutku nie wzięło, nastąpiła zwłoka, a w tém wiele zmieniło się rzeczy. Bawił w zamku u Władysława mnich Wincenty Skapita jako kapelan i kapelmistrz nadworny, rodem włocho, a ze ślubów franciszkanin. Kiedyś na dworach książąt niemieckich prowadził rej w kapelach, na starość dostał się do Polski i był spowiednikiem i doradcą duchownym dwóch synów Zygmunta III, którzy po ojcu na tron wstąpili. Nauczył się dobrze po polsku, a wcielony do prowincyi koronnej, został zaraz wizytatorem i kommissarzem jeneralskim franciszkanów polskich. Znakomity to mąż był, pan chociaż prosty zakonnik, i nie jeden szlachcic starał się o jego względy. Dwaj szczególnie, sekretarz królewski Jakób Sosnowski i stolnik warszawski Zygmunt Wybranowski, pragnęli niespodziankę sprawić ojcu Wincentemu: Sosnowski ofiarował plac, Wybranowski pewny kapitał, i obadwaj postanowili założyć kościół i klasztor franciszkanów polskich w Warszawie. Na prośby Wincentego król Władysław „zgromadzeniu wielce przychylny,” jak stoi w dyplomacie, na fundacyją tę zgodził się (6 listopada 1645 roku); biskup zaś ksiądz Jędrzej Szoldrski wydał kanoniczne pozwolenie (16 kwietnia 1646 r.).

Założenie kamienia węgielnego odbyło się z należytą uroczystością w miesiąc niespełna po kanoniczném błogosławieństwie. Sam Szoldrski po biskupiemu ubrany, w towarzystwie nuncjusza Jana de Torres i jego brata opata Ludwika, na czele duchowieństwa wyższego z dominikanami i bractwami, które niosły chorągwie i świece, udał się processyjonalnie wśród odgłosu dzwonów i śpiewów na plac Sosnowskiego, który leżał na rogu ulicy Przyrynka i Wójtowskiej, i zajmował część placu, na którym dzisiaj stoją koszary Sapieżyńskie, kamień położył i krzyż Chrystusa poświęcił (10 maja). Pokazało się atoli zaraz, że to niedogodne i za szczupłe miejsce, więc za zgodą biskupa i Sosnowskiego plac ofiarowany sprzedano, a z summy która stąd

powstała, naroslój od składek, nowy obszerniejszy plac zakupiono od tyłu ulicy zakroczymskiej, pomiędzy gołębią dziś nie egzystującą i placem pociejowskim. Tutaj dopiero stanął kościół drewniany z dwiema kapliczkami, to jest: Najświęt. Maryi Panny i ś-go Antoniego, i klasztor także drewniany, które za upoważnieniem biskupa, oficyna warszawski poświęcił pod nazwiskiem ś-go Franciszka Zakonodawcy (3 października 1646). Obrzęd ten odbył się w samą wiliją dnia patryjarchy, zatem od pierwszych niesporów w wiliją, przez cały dzień następny nabożeństwo świetne tutaj odprawiano i lud zbierał się tłumnie. Pierwszym przełożonym klasztoru tego był ksiądz Wincenty Skapita. Wkrótce generał Catallani ustanowił w tym klasztorze wyższe studia dla młodzieży zakonnój (1648 r.), które wkrótce w zapomnienie poszły. Zawiązały się tudzież dwa bractwa paskowych ś-go Franciszka i ś-go Antoniego, pierwsze 18 maja 1650 r. Pobożność warszawian zasilala nową fundacją. Już na pierwsze rozpoczęcie nabożeństwa miał kościół obrazy: Najświęt. Maryi Panny, oraz ś-ch Franciszka i Antoniego, które mu artyści miejscowi ofiarowali. Inni dawali kielichy, puszki, ornaty i alby. Stolnik Wybranowski, który brata rodzonego miał w zakonie, oprócz 8,000 które dał na budowę, wielkie świadczył franciszkanom tutejszym dobrodziejstwa, pobłogosławił go Bóg za to i został wojewodą dorpacim. Dawid Mincer kupiec, podarował plac Żmijewskie zwany, z polami ornami, ciągnącemi się aż do Woli, które Władysław IV (przywilejem z dnia 12 lipca 1647 roku) od wszelkich służebności i ciężarów uwolnił na wieczne czasy.

Ale, w samym zarodzie upadł nowo powstający klasztor: zmiotła go z ziemi burza szwedzka. Ksiądz Wincenty założyciel jego i gwardyjan umknął się wraz z dworem królewskim, ze Lwowa pojechał do Austrii i w Wiedniu u franciszkanów, starzec 63 letni zakończył życie (1 sierp. 1656 r.). Po jego ucieczce, jako czasowy kommisarz, rządził tutaj ksiądz Adam Sieczkowski, przełożony z Warki, ale pożar zniszczył zupełnie i ko-

ściół i klasztor, a zaraza do szczytu go wyludniła. W dziesięć lat jeszcze zupełnie świeciły tutaj ruiny. Sieczkowski wprawdzie starał się o postawienie nowych budowli, ale sam ciężkiemu zadaniu poddać nie mógł, aż przyszła mu na pomoc kapituła krakowska, na której gwardyjanem obrany ksiądz Ludwik Cichocki (herbu Nałęcz u Niesieckiego) ex-prowincyjał, otrzymał polecenie myśleć na nowo o klasztorze warszawskim. W rok później dla zarazy stanął w stolicy Cichocki i zaraz wziął się do roboty, ale kościół już stawał w trzecim miejscu, to jest w tém, gdzie dzisiejszy stoi. Drewnianą tę świątynię, a raczej zakładziny jej officyjał warszawski ksiądz Mateusz Jagodowicz, proboszcz Panny Maryi w dzień odpustowy patryjarchy zakonu poświęcił (4 października 1662). Ze składek dobrodziejów stanęła cała budowa dopiero w następnym roku. Pierwsze w niej nabożeństwo odprawiał opat czerwiński Czarnecki (2 września 1663 r. w niedzielę). Cichocki jednocześnie wznosił drewniany klasztor, który następca jego ksiądz Franciszek Mielżyński ex-prowincyjał zupełnie dokończył i obwiodł parkanem drewnianym (1665), a że miejsce między dawnym a nowo zabudowanym klasztorem rozdzielał wał z przekopem, własność królewska, przeto Michał Korybut pod pewnemi warunkami nadał zgromadzeniu i ten kawałek gruntu 9 sierpnia 1672 r.), co król Sobieski potem rozwinął (10 kwietnia 1696 r.).

Dotąd w drewnianych zabudowaniach mieścili się franciszkanie. Gwardyjan Adryjan Piędzikowski pomyślał pierwszy o murowaniu się, na ten cel nowe założył fundamenty pod trzeci już z kolei kościół (1679). Ksiądz Mikołaj Popławski znowu officyjał warszawski poświęcił kamień węgielny (2 sierpnia t. r.). Ale nadsity swoje podjęli się franciszkanie ciężaru, bo lubo następca Adryjana ksiądz Remigi Kurowicz pracował dalej, ale mimo to, przez dwadzieścia lat fabryka mało co postąpiła dla braku funduszu i dobrodziejów. Klasztor tymczasem zupełnie opuszczony w ostatniej był nędzy. Dopiero w roku 1690 ksiądz Franciszek

Prawdzic Biegański ex-prowincyjał, człowiek bogaty i wpływowy, bo był nadwornym teologiem króla Jana, i od niego potem mianowany został biskupem bakońskim, wsparł wiele klasztor z rodzinnego majątku. Biegański gorliwie prowadził dalej zaczęta fabrykę, zwłaszcza, że go dobrodzieje zewsząd wspierali, a naśladował go ksiądz Rafał Grabia, z którym król Jan żył bardzo poufale, jako także ze swoim nadwornym teologiem. Sobieski bywał tutaj często na nabożeństwie, po ukończeniu którego chodził zwykle do refektarza, i jadał razem obiad z zakonnikami. Odwiedził wtenczas nasz klasztor ksiądz Józef Maryja Bottari, jenerał zakonu, który wraz ze swoim orszakem tutaj przez półtora tygodnia przemieszkiwał.

Dobrodziejem klasztoru pod one czasy był Adam Kotowski stolnik wyszogrodzki, później starosta bolimowski, który jak widzieliśmy wiele świadczył i dla dominikanów. Akta klasztorne, różne dowody łaskawości jego podają (od 1679—1688 r.). Nie miał dzieci i dalszych dziedziców, więc za życia swego na pobożne fundacyje rozdawał obszerne dobra; miał zamiar téż w mieście swoim Bobrownikach fundować franciszkanów (1682), ale śmierć temu przeszkodziła. Po śmierci jego i tak wiele jeszcze nierozpożyczonych dóbr zostało, więc na skarb królewski przypadły kadukiem. Jan III wiedział o tém, że Kotowski obiecał franciszkanom warszawskim 8,000 na budowę, więc z kaduka owego kazał całą sumę franciszkanom wypłacić, i sam ze skarbu swojego dodał na ten cel 2,500 zlp. Przyrzekł król nawet, że kościół i klasztor zupełnie swoim kosztem ukończy, ale i tutaj zły los stanął na zawadzie; umarł Jan III nie spełniwszy obietnicy. Z funduszu Kotowskiego i ze składek ks. Grabia dokończył chóru mniejszego z pobocznymi kaplicami, z których jedna później na zakrystyję zamienioną została (1694 r.); chór ten wedle planu Jana Chrzyciciela Ceroni, który i u dominikanów wystawił za Drogoszewskiego chór na organy, budował Ant. Solari. Śmierć królewska zawiesiła roboty na jakiś czas, tylko w r. 1700 funda-

menty pod kolumny nawy kościoła założono w kościele i mury podwyższono. Później nie czas było nawet myśleć o robocie, skoro morowe powietrze tak się srożyło, że w klasztorze jeden tylko zakonnik pozostał, a wszyscy wymarli (1708): do tego, jako w czasie niespokojnym, swawola niegodziwych ludzi najazdem i zupełnem łupiestwem splamiła kościół i klasztor. Dopiero w r. 1713 ocknęli się franciszkanie, a szczególnie gorliwy w sprawie odbudowania kościoła warszawskiego prowincjał Ludwik Elbing, który zesłał tutaj na miejsce gwardyjanem ksiądz Gabryjela Welisewicza, jedynego człowieka do przedsięwzięcia takiej roboty; umiał Welisewicz trafić do serca, to też znalazł fundusze i ze składek i z własnej rodziny zasobów, w czem dopomagali mu czynnie ksiądz Elbing i ksiądz Adryjan Skrzetuski ex-franciszkan biskup bakoński. W lat kilkanaście wystawił gwardyjan kościół i klasztor z cegły palonej (1713—1732) i wszystkie zabudowania, wznosił także studia młodzieży zakonnej. Sam tylko Welisewicz wydał przez czas swoich rządów na tę fabrykę 184,390 złp. Plan narysował Ceroni, budowali zaś Józef i syn jego Jakób Fontannowie. Tytuł kościoła dawny pozostał. Poświęcał go zaś po ukończeniu Stanisław Hozjusz biskup poznański (29 września 1737 r.): dnia poprzedniego wprowadzono do kościoła relikwije świętych Illuminata i Florentyny, które stały pod namiotem i baldachimem noc całą, aż rano nadjechał biskup. Kościół przy tej okoliczności wywiązywał się z długu jaki zaciągnął względem ks. wojewody krak. Jerzego Lubomirskiego, który jako szczególniejszy czciciel ś-go Antoniego, na fabrykę tutejszą dał 50,000, a kiedy umarł, dzieci jego dalej pamiętały o franciszkanach. Dowodem pamięci dla tego dobroczyńcy jest marmurowy kamień z napisem łacińskim po nad drzwiami kościoła, jednocześnie z ukończeniem budowy w ścianę wmurowany (1732 r.). Ma go w dziele swoim ks. Piasecki.

Najwspanialsze ołtarze są: wielki ś-go Franciszka, drugi Pana Jezusa ukrzyżowanego i ś-go Antoniego z Padwy, postawione

ze składek. Kazalnicę zbudował i wyzłocić kazał Jan Fryderyk Sapieha wtenczas kasztelan trocki. Później już dopełniano prac głównych w kościele. W roku 1745 ołtarz wielki odsunięto od obrazu cokolwiek w kościół, żeby po za nim chór zakonny utworzyć. Organ główny, (bo są i dwa mniejsze) wystawiono w r. 1755, kosztował około 4,000 złp. Ołtarz Pana Jezusa pozłocił Aleksander Drewnik kupiec i ławnik Starego Miasta (1737). Inny ołtarz ś-go Macieja apostoła, jako swojego patrona, fundował kupiec warszawski Dulfuss (dziś Matki Boskiej Nawiedzenia), a żona jego zbudowała ołtarz ś-go Jana Nepomucena; stąd w kościele znajduje się nagrobek Dulfussa z napisem polskim (um. r. 1740). Nareszcie Władysław Grzegorzewski kasztelan ciechanowski, dawniej generał gwardyi koronnej, który kochał franciszkanów na równi z krewnym swoim officyjałem tego nazwiska, dzwon ogromny sprawił, który ulano w Gdańsku (1750), a który poświęcał Marcin Żalusi sufragan płocki. Wystawił sobie kasztelan za życia w klasztorze, wprost ambony piękny z marmuru nagrobek, bo chciał być w tym kościele pochowanym, ale chociaż później odmienił wolę swoją i kazał się w Jasieńcu, w kościele przez siebie wymurowanym pogrzebać, zawsze pomnik tutaj został, chociaż daty śmierci na nim nie ma, która nastąpiła w istocie dnia 23 marca 1758 r. Kasztelan znajdował się jeszcze z królem Janem na wiedeńskiej wyprawie.

W odnowionym kościele nabożeństwo rosło. Bractwo paskowe ś-go Antoniego, które teraz zdradziło troszkę życia, nadane odpustami jeszcze przez Aleksandra VII (18 stycznia 1664), uzyskało z Rzymu przywilej na odprawianie wotywy o ś-tym Antonim, każdego wtorku co rok, oprócz adwentu i wielkiego postu, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu w puszcze, co dziewić zaś wtorków poprzedzających uroczystość świętego, wystawienie w monstrancyi z kazaniem i processyjami (28 listopada 1739 r.). Później cokolwiek przybyło nabożeństwo na cześć ś-go Witalisa; relikwije tego wyznawcy podarował dla tutejszego

klasztoru kardynał protektor rzeczypospolitéj Albani; przywieziono je do Warszawy w grud. 1746 r. a kiedy książę biskup poznański przeor i oficcyjał sprawdzili rzecz, piérwszy książę prymas Krzysztof Szembek na wyjeźdźnym ze stolicy, cześć im oddał mając przed niemi msze w swojéj palacowéj kaplicy, po czém je kazał odnieść do franciszkanów dla wystawienia ku publicznej cześci. Teraz klasztor myślał tylko o domku dla świętych relikwii; zajął się tém gorliwie ksiądz Michał Halkiewicz ex-prowincyjał, który głównie sprowadził do Warszawy te relikwie, będąc w Rzymie asesorem jeneralskim. W kaplicy Najśw. Maryi Pan Pocieszenia pod ołtarzem wymurował ksiądz Halkiewicz małą dolną kapliczkę dla ś-go Witalisa, i w lat ośm dopiero po sprowadzeniu zwłok odbyło się ich przeniesienie do nowéj kaplicy (17—19 wrześ. 1754). Świetne to bardzo było w całej Warszawie nabożeństwo. Piérwsze nieszpory celebrował uczony ksiądz referendarz koronny, nazajutrz wotywę, sumę i nieszpory odprawiali audytor nuncyusza, biskup kujawski Dembowski i Kreni kanonik płocki surrogat warszawski, drugiego dnia ksiądz Kajetan Soltyk koadjutor kijowski, potém kanonik Minasowicz, ostatnie zaś nieszpory ks. sekretarz koronny Krasinśki późniéj sławny biskup kamieniecki. Zbierało się na sejm, zatém wiele bywało podówczas w kościele tym koronnych znakomitości, na czele których znajdowali się pobożni królowie; towarzyszyła téż nabożeństwu liczna z tego powodu processyja, i gwardyja koronna, którój officerowie dźwigali sami trumnę z ciałem świętego.

Franciszkanie warszawscy byli dawniéj dosyć zamożni, bo oprócz stałych kapitałów mieli kamienice i jeszcze najmowali w klasztorze mieszkania dla panów, którzy się na sejm zjeżdżali. Trzymali nadto kapelanije po wielu kościołach u Benonów, u Teatynów, u Brygidek, mieli téż penitencyaryją w kolegijacie i altaryją ś-go Walentego w kościele parafijalnym raszyńskim, uposażoną przez Felicyanę z Ojrzeńskich Łoniewską, którą biskup Bartłomiej Tarło wcielił do klasztoru (5 października 1714 roku),

co Rzym zatwierdził (16 grudnia 1719 r.). Od roku 1736 jeszcze mieli franciszkanie kapelaniją w domu poprawy przez biskupa Filadelfii Rostkowskiego założonym; gwardyjan nawet franciszkański łącznie z jednym ze starszych bractwa ś-go Benona, był ustanowiony wizytatorem onego domu poprawy. Oryginał fundacyi posiadają w archiwum swoim franciszkanie. Ksiądz Pia-secki całą wydrukował w swoim opisanu klasztorów.

Jak widzieliśmy, często gwardyjanie tutejsi wychodzili na biskupów bakońskich, która to godność na przemiany spadała to na franciszkanów, to na dominikanów. Ostatnim takim z gwardyjanów biskupem był ksiądz Franciszek Salezy Ossoliński (Kandyd w zakonie), chorążyc liwski. Z Warki przeniósł się na gwardyjana do Warszawy w r. 1761, a już w rok potem mianowany koadjutorem biskupim na Wołoszczyźnie (29 listop. 1762), i zatwierdzony w Rzymie z tytułem dardańskiego in partibus; później już dobrze (bo pewnie przeszkodziło bezkrólewie), wyświęcony we Lwowie (1765), przesiadł się jeszcze wyżej, bo na krzesło senatorskie, gdyż dostał od Załuskiego koadjutoryją kij, i po nim wziął samą stolicę biskupią (1774), Ossolińskiego całe życie spłynęło wśród murów warszawskiego klasztoru, tutaj dokończył nauki zakonnej, tutaj prymicyje odbył, tutaj był teologiem. Za powrotem z Włoch, przesiadując w kościele warszawskim, często dawał się słyszeć z kazalnicy u Pan. Maryi. Był sędzią w sprawie ubłogosławienia Rafała Chylińskiego, i stąd odbywał processyją u franciszkanów w Warszawie (1773 r.), tutaj prezydował na kapitulach zakonnych, chociaż już dawno był biskupem. Oprócz téż wspomnień księdza Ossolińskiego nie ma co o kościele tutejszym powiedzieć przez całe panowanie króla Poniatowskiego, chyba to, że cmentarz, który przed nim się rozciągał w r. 1774 księża otoczyli żelaznymi kratami i bramami podobnież z krat żelaznych w słupach i na podstawie kamiennéj, które zdo-biły cztery kolossalne postaci świętych Franciszka, Antoniego, Tadeusza apostoła i Jana Nepomucena z kamienia wykute. Pó-

KOŚCIÓŁ PRZEMIENIENIA PAŃSKIEGO

OO. KAPUCYNÓW.

NA ULICY MIODOWEJ (*).

Zygmuntowi III odmówił Rzym wolności sprowadzenia kapucynów do Polski, dla tego, że ten zakon tak ostry w swoich ustawach, nie mógłby święcie przestrzegać swojej reguły na północy. Nie byli w usiłowaniach swoich szczęśliwsi i dwaj jego synowie, którzy w Polsce panowali, chociaż Władysław IV szczerze o wprowadzeniu zakonu myślał przez przyjaźń jaką miał dla uczonego kapucyna, a sławnego dyplomaty owych czasów ojca Waleryjana Magni. Za to król Sobieski dopiął celu. Podobno ślubem do tego zobowiązany, chcąc podziękować niebu za zwycięstwa nad Turkami i Tatarami jakie otrzymał, postanowił przełamać dla klimatu naszego wstręt Rzymu i udało się mu, bo nie długo ojciec Jakób z Rawenny wysłany przez starszysznę, przybył do Polski 1679 r., żeby przepatrzyć i obrał miejsce na klasztor. Odwiedził króla w Jaworowie, a otrzymawszy od niego

(*) Z Allelui 1840 osobna odbitka z monografią o tym kościele wyszła pod tytułem Fundacyja Zakonu i Kościoła księży Kapucynów w Warszawie, opisana przez Michała Balińskiego i t. d., Warsz. w druk. przy ulicy Rymarskiej Nr. 743 w 8-ce 1840 str. 83. Toż samo przedrukowane w pismach historycznych Balińskiego. Warszawa 1843, tom IV.



KOŚCIÓŁ PRZEMIENIENIA PAŃSKIEGO OO. KAPUCYNÓW.
przy ulicy Miodowej.



listy polecające do kardynałów i jenerała, powrócił do Włoch, gdzie głównie sprawę tę popierał książę Michał Radziwiłł szwagier królewski a poseł Rzeczypospolitej u ś-tój stolicy. W Rzymie na pierwsze klasztory w Polsce wybrano Warszawę i Kraków. Z bullami przybył drugi raz ojciec Jakób kommissarz do Polski i z trzema zakonnikami przy końcu sierpnia 1681 r., stanął w Warszawie. Królestwo przyjęli go z radością i w zamku wyznaczili tymczasowe mieszkanie. Kiedy ośmiu jeszcze braci przybyło, biskup poznański Wierzbowski wydał księdzu Jakóbowi kanoniczne zezwolenie ku założeniu klasztoru (27 grudnia).

Król zajął się zaraz budową kościoła dla kapucynów. Oddał im na tymczasem dozór kaplicy zamkowej, i oprócz tego zlecił by odtąd codziennie raz na zawsze nasi zakonnicy odprawiali w tej kaplicy nabożeństwo dworskie. Na kościół zaś wybrał Sobieski miejsce bliskie zamku, to jest plac na pustej prawie dotąd ulicy Miodowej, który z domem zakupił; stawiał najprzód król kaplicę, która kiedy skończoną była w początkach maja 1682 r., zaraz się do niej kapucyni przenieśli i rozpoczęli nabożeństwo, na które najwięcej ściągalo się cudzoziemców, zamieszkałych w Warszawie. Ale i panów polskich budowała pokora kapucynów; jeden przed drugim zaczęli się zgłaszać z ofiarami, a byli i tacy, którzy fundacją warszawską chcieli przenieść do Gdańska. Nie pomogło nic to, że ojciec komissarz tłumaczył się i uniewinniał, twierdząc, że oprócz Krakowa i Warszawy nie ma prawa nigdzie zakładać klasztorów; pomimo jego wiedzy i woli króla pisano o to do Rzymu, aż Jan III wdawać się musiał w tę sprawę i takim sposobem nowe zamysły upadły. Inny cios ledwie nie zachwiał przyszłością zgromadzenia; ojcu Jakóbowi kázano do Włoch powracać. Znaglony temi wypadkami król, namyslił się i kazał wydać dyplomata fundacyjny dla klasztoru warszawskiego (11 lipca 1683 r.). Było to w samą wilią wyprawy wiedeńskiej; wojska już ruszały na wojnę, kiedy król uroczyście ślubując Bogu, że Mu wzniesie w Warszawie za powrotem, jeżeli

zostanie zwycięzcą kościoł na cześć Chrystusa tryumfującego, kładł kamień węgielny, na kościół dla kapucynów (23 lipca). Pamiętny był to dzień i dla króla i dla miasta. Otaczali Sobieskiego wtedy przy téj okoliczności synowie, żona, nuncyusz Pallavicini, biskup Wierzbowski i grono poważnych ministrów, senatorów, hetmanów. Stosownie do ślubu król na kamieniu węgielnym zamiast pierwotnych słów Christo Redemptori, kazał położyć Christo Triumphatori. W Częstochowie przed cudownym obrazem i w Krakowie Sobieski ślub ten ponowił. Z Gliwic już w Morawii przysłał do podskarbiego swego w Warszawie zlecenie żeby dał 15,000 złp. na fabrykę kościoła (23 sierpnia). Widać z tego, że jedna myśl ciągle zajmowała króla. Na miłość jego dla zakonu wpłynęło także wiele poznanie w ciągu wyprawy księdza Marka Aviano kapucyna, który od niego był nieodstępny.

Tymczasem zatargi zakonników z budowniczymi opóźniły znacznie samą budowę kościoła. Król wróciwszy do stolicy z pociechą spoglądał na mury wysoko już podniesione, i ojcu Jakóbowi mówił: że pragnie już nie dwóch klasztorów, ale całej prowincyi kapucynów w Polsce. Były z tém jednak nie małe trudności, bo Rzym nie tak łatwo jeszcze wierzył, żeby reguła kapucynów mogła być w nieskazitelności swojej zachowaną pod naszym północnym niebem. Ojciec Jakób nawet gotów był powrócić do Bononii. Pojechał do Lwowa, gdzie bawił nuncyusz, zdał dla tego rządu zgromadzenia warszawskiego na Michała Anioła z Fawencyi, który tylko co z nowym zastępem zakonników przybył z Rzymu do stolicy. Tymczasem przyspieszano budowę. Jeszcze kościół nie był skończony, a już na wiosnę 1686 roku zaczął ojciec Paweł z Imoli kapucyn wznosić klasztor według planu włocho Affati. Tutaj nowe zatargi budowniczego z zakonem. Plan na klasztor zbyt na wielką był rozwinięty skalę i uderzał wspaniałością i wielkością, co się wcale nie zgadzało z ustawami kapucynów, stąd ojciec Paweł zmienił go własną

wola, i podał plan inny skromniejszy, co rozgniewało bardzo budowniczego Augustyna Locci. Wstrzymał więc roboty i odwołał się do króla bawiącego wtedy w Jaworowie. Zdanie budowniczego przemogło wprawdzie u dworu, ale Jan III kazał mimo to Loccemu nakreślić plan znacznie już zmniejszonego klasztoru. Odtąd budował gmachy kapucynów w Warszawie Karol Ceroni. Król na lato przybywszy do stolicy, chociaż już fundamenty założone były, położył jednak pod klasztor kamień węgielny, i stosownie do wymagań zakonu polecił największą skarbu swego oszczędność.

Chmury przecież unosiły się ciągle po nad przyszłością zakonu w Polsce. Bracia zaczęli się powoli, niby zrażeni ostrością klimatu, wymykać do ojczyzny, i żeby im to wolno było, używali wszelkich sposobów. Karność zakonna rozprzęgala się; ojca Michała Anioła, niezdolnego stawieć czoła trudnościom, odwołał do Włoch generał, kapucynów mało co pozostało w Warszawie. Ale Jakób z Rawenny czuwał nad swoim dziełem. Za jego poradą król pisał do generała o nowych apostolskiego ducha braci (w Żółkwi w początkach roku 1687); za jego prośbą ksiądz Skopowski kapelan królewski wyjednał dla kapucynów nowy przywilej na zarząd kaplicy zamkowej, wreszcie król dla klasztoru na jego prośbę zakupił za 40,000 zlp. obszerny plac po Staniewiczu wice-instygatorze litewskim na podwórze i ogrody, które rozciągać się miały od kapucyńskiego kościoła aż do pałacu księdza biskupa Zbąskiego (w maju 1688). Ale w trzy lata potem dopiero breve Innocentego XII z d. 1 Grudnia 1694 r. ustaliło byt zakonu w Polsce; skutkiem czego dwie fundacje polskie wcielono do prowincyi tokańskiej. Zakonnikom bez wiedzy stolicy apostolskiej opuszczać klasztorów nie było już wolno; po skończonej budowie obiedwie rezydencje miały być wyniesione na stopień klasztorów, i nowicyjat dla polaków otworzony. W pół roku nowy kommissarz jeneralski kapucynów polskich ojciec Franciszek Arrezzi przez Kraków Wisłą z czternastą

braćmi przybył do Warszawy. Udali się prosto do kościoła ś-to Jańskiego; tu padłszy na kolana; podziękowali Bogu za szczęśliwą podróż i hymn ś-go Ambrożego odmówili. Przybiegl zaraz do kościoła ks. Mikołaj Popławski biskup inflancki i czule ich powitał. Było tam, jak mówi kronika klasztorna, kapłanów siedmiu, kleryków trzech i braci pięciu. Szli ojcowie wśród tłumów ludu do swojego klasztoru, tutaj przybywszy złożyli brewjarze (to był cały ich majątek który z sobą przynieśli) i udali się do nuncjusza księdza Santa Crozze z uszanowaniem i z listami od księży kardynałów; czule od niego powitani wrócili do klasztoru, gdzie zastali już listy od króla i królowej z Jaworowa, tudzież od biskupa krakowskiego i różnych znakomych osób, listy pełne powin-szowań i radości. Król uwiadomił kommissarza, że wydał wszelkie rozporządzenia potrzebne, że zatem na niczém zakonnikom zbywać nie może i nie powinno.

Ojcowie nasi oglądali już kościół skończony zupełnie podczas, skromny na pozór, wewnątrz całkiem mozaikowany. Ojciec Arrezzi przeląkł się tego niesłychanego na kapucynów zbytku, i stąd nowe trudności, do których przelamania znowu król wpływał. Wreszcie list kardynała Ajaccioli protektora zakonu zaspokoili trwogę ojca Franciszka (d. 18 października 1692 r.). Nie czekając więc nawet przybycia królewskiego, wprowadził nabożeństwo do nowego kościoła, tém bardziej że podobno jezuici zabiegali już u króla z prośbami, żeby im téj fundacyi ustąpił, kiedy kapucyni mają skrupuły. Ale Jan III ślubu uroczystego dotrzymał.

Poświęcenie kościoła odbyło się d. 11 października 1692 r. pod tytułem Przemienienia Pańskiego, co odpowiadało pierwotnej myśli królewskiej; Chrystus tryjuntujący albowiem, smutek chrześcijaństwa w radość przemienił zwycięstwem nad niewiernymi. Klasztor jednak później stanął. Król nie szczędził wydatków, bo to ciche ustronie klasztorne i dla niego przybytkiem być miało w dni praktyk religijnych, w dni smutku i duchownego

opuszczenia. Cele królewskie znajdowały się zaraz za furką od wnijsia w dolnym korytarzu. Ubogie i proste, jak i zakonnice cele, niczém nie odróżniały się, nie odznaczały ni światowym polem ni zbytkiem. Ściany zaś wewnątrz i zewnątrz bez tynku, cegłą tylko czerwoną mocno widniały. Dzwon do kościoła król kazał zdjąć z zegaru pałacu wilanowskiego. W lecie 1694 r. ukończono ostatnie budowy, poczém z radością wielką króla, po dopełnieniu urzędowych formalności i błogosławieństwie nuncjusza, kapucyni do swojego klasztoru na mieszkanie się przenieśli. Całe wydatki na budowę kościoła wynosiły 100,000, na klasztor zaś 60,000 ówczesnych złotych. Chciał król jeszcze pod kościołem drugi dolny urządzić; jak to było u Ś-go Krzyża, a to dla włoskiego nabożeństwa i kazań, ale wilgoć i ciemność miejsca nie pozwalały na rozwinięcie się tego planu, całe podziemie obrócono więc na sklepy grobowe.

Znalazł pobożny król po śmierci tutaj w kościele kapucyńskim dłuższe i spokojniejsze schronienie, jak niegdyś za życia. Zwłoki jego nabalsamowane spoczywały to w Wilanowie, to czas jakiś w kaplicy na zamku, wreszcie z woli senatu i rodziny przeniesione zostały do kapucynów. O dacie tego przeniesienia mamy dwa podania do wyboru. Żaluski biskup płocki opowiada w listach swoich w maju 1697 roku, że, aby przeciąć pozory do dłuższego w stolicy pobytu królowej, która to niby ciała pilnowała, już wtedy przeniesiono zwłoki i że temu smutnemu obrzędowi towarzyszyło kilku biskupów; sam Żaluski celebrował przy téj okoliczności w kościele kapucynów. Baliński z akt klasztornych zapewnie, inną podaje datę tego przeniesienia, to jest dzień 23 grud. 1697 r. Zwłoki złożone chwilowo w górném oratoryjum, aż do czasu, kiedy będą mogły być przeniesione do grobów królewskich w Krakowie. Ale nie prędko to nastąpiło, bo ciągłe konfederacje i wojny w inne pole unosiły umysł narodu. Tymczasem grób Sobieskich u kapucynów wzrastał powoli, coraz nowe zyskując ofiary. Z Olawy nadesłał królewicz Jakób do tutejszego

kościola zwłoki jedynego swojego syna 1700 roku). W lat kilkanaście potem tajemniczo przywieziono do kapucynów ciało Maryi Kazimiry zmarłej w Blois (1716); legendą technie o tém podanie klasztorne. Pewnego dnia późno wieczorem zadzwoniono u furty, wyszedł zakonnik odźwierny i znalazł ogromnej wielkości trumnę złożoną u wnijscia; kto ją przyniósł? jak i kiedy? niczego się dowiedzieć nie mógł, bo pusto było na ulicy. Pobiegł zakonnik do gwardyjana, gwardyjan do biskupa Jana Tarły, który wtedy w izbach królewskich odprawiał rekolekcyje. Zbiegło się wszystko w klasztorze co żyło: biskup kazał otworzyć trumnę, w niej znaleziono drugą obitą jedwabiem, w trumnie zaś téj leżała królowa z żelazném berłem i koroną, obiedwie były pozłacane, w ustach trzymała medal stósowny z napisem. Zwłoki Maryi Kazimiry spoczęły więc obok męża. Król August zaś na ich uczcze nie w kościele u kapucynów wspaniale swoim kosztem odprawić kazał egzekwije (17 marca 1717 r.). Przebudziła się wtedy uśpiona długo czułość synowska w Jakóbie Sobieskim, ale było to już za czasów nowego bezkrólewia (1733). Kazał ciała rodziców przenieść z górnego oratoryjum do chóru wspaniale na ten cel urządzonego, podług planu kommissarza swojego Eperjesza starosty skirsztymońskiego. Tam między trumnami obojga królestwa postawiono na katafalku małą trumienkę wnuka ich, pokrywała ją książęca mitra; u stóp jęj złożono w puszcze srebrnej serce Jana III. U zwłok ciągle się odbywały nabożeństwa, i zawsze był w chórze królewskim napływ ludu, biskupi jeden po drugim celebrowali; wojewoda bełzki Potocki podjął się głównego nadzoru nad porządkiem przy téj ceremonii i dla tego mieszkał w klasztorze. Trudno i w tym wypadku nie dowiedzieć historycznej dumy Jakóba. Podejmował te nabożeństwa, bo się przypominał takim sposobem królewicostwem swoim rzeczypospolitęj, jakby jęj wyrzucał, że ciało tych jeszcze w grobach krakow. nie pochowała. W istocie, przypomniął sobie naród dawną powinność: była to wspaniała również choć smutna uroczystość. Po zgiełkach sejmu

konwokacyjnego nastawała chwilowa cisza. Zwłoki więc Sobieskich dnia 9 sierpnia 1733 roku wieczorem przeprowadzono na dziedziniec zamkowy, a nazajutrz w paradzie wraz z ciałem Augusta II, orszak żałobny przeciągał ulicami przez miasto, czego wszystkiego ciekawy opis czytać można w ówczesnym „kuryjerze polskim.” Sześciu kapucynów warszawskich pospieszyło do Krakowa odprowadzając zwłoki swojego dobroczyńcy.

Rzeczywiście król Jan był wielkim dobrodziejem klasztoru i za życia i po śmierci nawet; choć umarł, duch jego z niewidzialną opieką unosił się ciągle po nad tutejszém zgromadzeniem. Zwłoki króla bohatera, którego pamięć błogosławiło chrześcijaństwo, były tarczą bezpieczeństwa dla kapucynów wśród wojen szwedzkich. Wszystkie kościoły cierpiały, cierpiał pewnie i kapucyński ale najmniej. Z uszanowaniem po kilka razy za pierwszego pobytu swego w stolicy odwiedzał z ks. prymasem ciało bohatera Karol XII, i obiecywał je nawet sam przewieźć do Krakowa (1702); później Piotr Wielki bywał u zwłok królewskich, i nawet kapucynom wydał od swoich wojsk list ochronny (8 sierp. 1707). Także list ochronny miał klasztor i od króla Leszczyńskiego (d. 23 stycznia 1703 roku). Nie mówim już o Augustie II, który wiele sprzyjał kapucynom.

Mało co przed epoką wywiezienia z Warszawy zwłok Sobieskich, zaszedł w zgromadzeniu tutejszém wypadek, który zgorzzył wiele całe miasto i dał powód do tysiąca wieści i gawęd, a pokazał do jakiego jeszcze stopnia był zakon w Polsce, pomimo już tyloletniego w niej pobytu, nie był ustalony. Kapucyni skonfederowali się przeciwko władzy swojej, i dnia 14 sierpnia 1731 r. o godzinie 11-ej w uroczystej processyi niosąc krzyż, opuścili wszyscy kościół swój i klasztor i poszli do bernardynów, którzy ich gościnnie przyjęli z otwartymi ramionami. W klasztorze zostali tylko zakonnicy kommissarze i furtyjan. Kuryjer polski donosząc nazajutrz publicznie o tym wypadku, dodaje, że kapucyni bawią jeszcze u bernardynów, *ex quo motivo*, nie wiedzieć.

Konfederacyja ta nie tak jednak prędko skończyć się miała. W styczniu następnego roku, a więc w pięć miesięcy potém ojciec święty daje mandat nuncyuszowi, żeby kapucynom kazał wrócić do konwentu (Kur. pol. CXI). Mimo to trwali konfederaci w uporze, i ledwie dopiero 9 września powrócili od bernardynów do siebie (tamże Nr. 142 suppl.). Konfederacyja zatem trwała przeszło rok cały, a że dużoby o niej trzeba było rozpowiadać, sprawę tę całą na dziś pomijamy i rozwinąć ją gdzie indziej obszernie będziemy się starali. Stolica apostolska urządzając téż lepiej kustodyją polską kapucynów, kiedy włosi do Polski przyjeżdżać nie chcieli, lub wymierali, wydzieliwszy ją z prowincyi tokańskiej, wcieliła do czeskiej (1738). Stąd napływ czechów, a co za tém idzie i Niemców do klasztorów kapucyńskich i do Warszawy, a razem i coraz większe unarodowianie się zakonu przez otwarty nowicyjat dla młodzi polskiej. Już w roku 1744 gwardyanem warszawskim był ojciec Bartłomiej, czech rodem. Ale i to nowe urządzenie trwało nie długo, za wielkiem albowiem staraniem króla, Benedykt XIV kustodyją polską podniósł do stopnia oddzielnéj prowincyi (5 października 1754 r.). Upłynęło właśnie 75 lat od czasu osadowienia się kapucynów w Rzeczypospolitej. Z tego powodu w Warszawie w dwa lata później odbyła się świetna bardzo kapituła w klasztorze warszawskim, na której prezydował kommissarz generalny Firminian; było 40-to godzinne nabożeństwo, sześć kazań polskich i dwa niemieckie, skończyło się wszystko 22 sierpnia 1756 r. Mimo to, czesi rościli sobie prawo do rządów w prowincyi polskiej, aż ojciec Antonin Przedwojewski obrany kustoszem na kapitułę generalną w r. 1761, wyrobił to w Rzymie, że prowincyja polska zupełną odzyskała niepodległość. Fakt ten dopiero, można powiedzieć, ustalił byt zgromadzenia w Polsce; prowincyja albowiem mogli już kapucyni obierać polaka nie zaś czecha lub Niemca.

Kapucyni warszawscy bogobojnością i skromnością swoją

wtenczas wszystko podbili. W szacunku powszechnym pierwsze zaraz po misyjnarzach trzymali miejsce. Sama ta okoliczność, że Niemców było wielu pomiędzy kapucynami polskimi, przyczyniła się znacznie do sławy, jakiej ich zakon pod owe czasy używał, odpowiadając albowiem nabożeństwa rozmaite, prawie i polskie i niemieckie kazania, rozwijali swój wpływ, i stąd najwięcej dyssydentów na łono rzymskiego kościoła nawrócili. Do różnych błogosławieństw, a mianowicie dzieci używani bardzo często, nie raz zadziwiali poświęceniem się swoim i cudownymi skutkami. Sławny był z owych czasów ojciec Feliks kapucyn, kiedyś rozpustny dworak, a potem człowiek nadzwyczaj pobożny.

W Warszawie i w Lublinie nigdy nie potrzebowali wysyłać na kwestę, bo kapucynom i dyssydenci nawet tyle słały żywności i jałmużny pieniężnej, że wystarczała hojnie na wszelkie potrzeby. Mieli też wiele przyjaciół, dla tego że wyszedłszy z nowicyjatu, uczyli się ogrodnictwa i kucharstwa; stąd też w ich ogrodach owoce najlepsze, kwiaty najpiękniejsze, a w ich kuchni potrawy bywały najsmaczniejsze.

Benoni im powierzyli kazalnice swojego kościoła, szczególnie dla bractwa niemieckiego (od 1737 roku). Powierzono im na mieście obowiązki gotowania na śmierć winowajców, za szczyt, który dotąd jedynie służył jezuitom (od 1743 r.). Nuncjusz Kamil Paulucci w obliczu mnogiego ludu ukoronował kapucynom obraz Najświętej Panny, półbiustowy, który im podarował jeden z mieszkańców warszawskich, syndyk klasztoru Fiszer.

W ich kościele nastąpiły dysputy. Najsławniejszą z nich była jezuicka, na cześć kanclerza księdza Załuskiego, który tylko co objął biskupstwo łuckie (1737). Dwa kolegia w nowej dyjecezyi Załuskiego leżące, pińskie i drohickie, nie zdążyły na czas wyprawić panegiryków swoich do Łucka na czas wjazdu, bo ogromne rozlewy zatopiły Wołyń, stąd upoważniły jezuitów litewskich w Warszawie mieszkających, do publicznego oddania

holdu imieniem braci swojej kanclerzowi. Wybrany był w tym celu kościół kapucynów i dzień Przemienienia Pańskiego, bo wtedy wielki odpust odbywał się u kapucynów. Ksiądz Rudnicki który panegiryk oddawał, dowodził, korzystając z okoliczności, że stało się tu nowe przemienienie Warszawy w Łuck, a kwietnia w sierpień (wjazd biskupa odbył się w kwietniu), a przemienienie to tém świetniejsze w mniemaniu panegirysty było, że właśnie w sierpniu ś-ty Stanisław Kostka patron kanclerza do niebieskiej Łuceorii (Łuck, Luceoria po łacinie), odbywał ingress czyli wjazd, to jest w sam dzień Mariani ingressus (to się miało znaczyć, że na Wniebowzięcie Najś. Panny umarł ś-ty patron biskupa). Zwyczajem przyjętym towarzyszyło téj dyspacie, oprócz kanclerza grono dostojników duchownych, (suffragan plocki, łucki, nominat suffragan kujawski, ksiądz Aleksander Działyński i moc świeckich osób, 6 sierpnia 1737 r.).

Biskup plocki książę Czartoryski zwykle celebrował na uroczystościach i nabożeństwach tutejszych, które rozmaite były; zwyczajne i nadzwyczajne. Do nadzwyczajnych liczyły się: trzy niedzielny obchód wprowadzenia święta nowo kanonizowanego Józefa z Leonissy (28—30 października 1737 r.). W lat kilkanaście odbyło się w tutejszym kościele pierwsze takie święto Jana Nepomucena z wystawieniem relikwii, które kościołowi podarowała królowna Maryja Anna; był to wielki odpust w stolicy i uprzywilejowany przez stolicę apostolską i działami uczczony, największe znakomitości Rzeczypospolitej i nowe zgromadzenie kanoniczek znajdowały się na nim, tylko króla jednego nie było, bo w Saksonii bawił (23 maja 1745 r.). Wreszcie wprowadzenie do tutejszego kościoła z kolegiaty świętego Fidelisa de Sigmaringa, pierwszego pomiędzy kapucynami męczennika, było trzecią z kolei uroczystością (15 lipca 1747). Na tych dwóch ostatnich celebrowali Załuscy bracia, referendarz koronny i sufragana plocki, który zaraz święcił tutaj księży. Ostatniej uroczystości jest osobno drukowany dyjaryusz. Kapucyni już narodowym zwy-

czajem mieli na nią swoje własne działka, z których radość ziemi z łask nieba ogłaszali.

Pobożni królestwo oboje bardzo się wiele przyłożyli do tej czci, jaka otaczała kapucynów. Nikt z panów polskich tyle dla tego kościoła nie robił co królestwo. August III szedł tutaj za wspomnieniami ojca. W kościele kapucynów zasyłał modły do niebios za jego duszę, tutaj w grobach wnętrzości jego pochował i wystawił potem ojcu wspaniały pomnik z marmuru, do którego biskup poznański Hozjusz przeniósł z grobów klasztornych królewskie szczątki (31 stycznia 1736 r.). Nie dosyć na tym, po nad pomnikiem wznosił król kaplicę, na której wymurowanie tenże biskup we trzy miesiące potem dał kanoniczne zezwolenie (d. 22 kwietnia 1736 r.). Kaplica była owalna, z dwoma oknami, na ścianach jej piękne alfresco malowidła, emblematyczne z żałobnymi napisami; wielkie drzwi szklane oddzialały kaplicę od kościoła, ołtarz w niej był kamienny. Odtąd w tej kaplicy świętne co rok zaczęły się odbywać żałobne nabożeństwa za duszę króla, to w samą rocznicę śmierci, to później cokolwiek stósownie do okoliczności, ale nie ustawały ciągle przez całe panowanie Augusta III, i nawet po za rok 1764 przeciągnęły się; pilnował święcie tego obowiązku sumienia dwór saski. Kiedy pierwszy raz odbywała się taka smutna uroczystość, jednocześnie modlono się za duszę Augusta II i u ś-go Jana; u kapucynów szczątki królewskie wystawiono w urnie marmurowej, pod baldachimem z aksamitu karmazynowego przed ołtarzem, na którym złamana piramida świadczyła o ziemskiej skazitelności. Zajmował się tym nabożeństwem pułkownik Jauch, rozsypując jałmużnę (1 lutego 1737 r.). Opis obszerny przystroju żałobnego w ten dzień kościoła pomieścił ówczesny kuryjer polski.

August III kapucynom powierzył nabożeństwo w swojej pałacowej kaplicy. Królowa często u nich bywała. Na swoim stole zawsze musiała miewać stokfisz kapucyński, ile go razy w klasztorze gotowano, i koniecznie nie w inném naczyniu, tyl-

ko w porcyi zakonnéj; bo jako pani wielce nabożna chciała mieć jakąś częśćkę zasługi duchownéj, dając tem samem przykład, że smakuje w zakonném jedzeniu, chociaż kuchnia Augusta III była najwykwintniejszą może w Europie. Przechowują się w skarbcu kościelnym jeszcze do dziś dnia bogate ornaty haftowane ręką królowny Maryi Anny. Bywała ona tutaj z matką i z siostrami. Zostawiła nawet na piśmie pamiatkę jedną takich odwiedzin (12 stycznia 1745 r.). Za żadnego téż króla, jak mówiliśmy już, zakon tak się mocno nie rozszerzył, jak za panowania tego Augusta. Królowi pochlebiając się, wystawił w tutejszym kościele wspinały z marmuru pomnik żonie swojej, bardzo zresztą i zacnej pani Annie z Kolowratów, sławny minister Brühl i za wzorem królewskim kaplicę po nad pomnikiem wystawił (1764 r.). Brühlowa za życia pamiętała o kapucynach.

Dwiema jeszcze pamiątkami z czasów saskich słynie kościół kapucynów; mówimy o dwóch nawróceniach. Biskup lwowski Szumlański tutaj uroczyście pojednał się z Rzymem (1700 roku). W lat potem pięćdziesiąt znakomity uczony polski biograf literatury, sekretarz księdza referendarza Żaluskiego Janocki, także tutaj uroczyście wyznawał wiarę katolicką: sam referendarz odbierał od niego przysięgę, i miał z téj okoliczności mowę po niemiecku o prawdzie i potrzebie używania ciała Pańskiego, pod jedną postacią.

W roku 1774 klasztor z hojnych jałmużn ogromne przedsięwziął wewnętrzne naprawy, wtedy i biblijoteka z dołu na górę przeniesioną i lepiej urządzoną została. Po czém w r. 1776 podczas wielkiego jubileuszu odbywała się w tutejszym kościele misyja niemiecka, którą rozpoczął nabożeństwem biskup Aleksandrowicz (31 maja). Wreszcie stuletnia rocznica wprowadzenia do Polski zakonu, wspinałe tutaj była obchodzona. Sam Stanisław August przybył na pomoc klasztorowi, i cały koszt na tę uroczystość potrzebny podejmował ze swojej kieszeni. Kościół wszędzie jeszcze przypominał Jana III. Dzień wybrano na

to odpustowy, to jest święto Przemienienia Pańskiego (6 sierpnia 1784 r.). Zajął się urządzeniem uroczystości ksiądz gwardyjan Filipecki. W wigilią tego dnia ze starszyzną zakonną udał się do zamku dziękować królowi za łaski, a prosić, żeby przyjechał na uroczystość. Rzeczywiście rano nazajutrz król stawił się w czas naznaczony ze świetnym orszakiem znakomitości. Mszę wielką celebrował biskup smoleński, śpiewane zaś mieli ksiądz nuncyusz Cieciszewski i drudzy biskupi. Kazania mieli Kadłubicki kanonik rano, a po południu proboszcz ś-go Łazarza Golaszewski. Kościół wewnątrz i zewnątrz świetną przybrał postać, facyjatę na ten raz zdobiły piękne malowania i napisy, w kościele zaś wystawiono uwieńczone wawrzynami czterech królów portrety t.j.: Sobieskiego, dwóch sasów i Stanisława Augusta. Król po nabożeństwie udał się do klasztoru i zwiedził go, w refektarzu całe zgromadzenie przypuścił do pocałowania ręki, obiecywał kapucynom nadal swoją opiekę prosząc ich o modlitwy, oraz portret swój, Bacciarellego roboty podarował klasztorowi. Zakończyły tę uroczystość nieszpory, hymn ś-go Ambrożego i wieczorem illuminacja kościoła, przyczém działa, które na Miodową ulicę umyślnie zatoczono ozwały się i potłukły szyby w sąsiednich pałacach i kamienicach. Podobna uroczystość odbyła się jednocześnie w Lublinie.

Pamięć księżnej kanclerzyny Czartoryskiej klasztor żywo z owych też czasów przechowuje. Oprócz licznych dobrodziejstw, księżna dwa obrazy ś-go Franciszka Serafickiego i ś-go Kajetana do dwóch oltarzy podarowała kapucynom; pierwszy pochodził z galeryi papieżkiej z Watykanu, drugi bardzo pięknego też pędzla, nabyła po teatynach. Szymon Czechowicz z Lipnicy, który na starość został tercyjarzem kapucyńskim w Warszawie, malował wiele dla wszystkich klasztorów tego zakonu, tembardziej dla warszawskiego. Z dawnych artystów są ślady, że Jerzy Leuter zbogacał obrazami swojemi nasz kościół.

Wspomnieliśmy już raz nazwisko księdza Przedwojewskiego,

dodać teraz musimy że była to znakomitość, która przez całe panowanie Stan. Augusta przyświecała zakonowi w ogóle a klasztorowi warsz. w szczególności. Ks. Antoni Kornel na Zdzianach Odrowąż Przedwojewski urodził się 1727 r., a podobno 1748 r. wstąpił do kapucynów. Z kolei kaznodzieja, lektor, dwa razy kustosz jeneralny i prowincyał, uwolnił zakon od zawisłości względem czechów. Zyskał na tém ostatniem stanowisku względy dwóch królów, stąd nawet Poniatowski lubił zgromadzenie i często odwiedzał klasztor; wreszcie kiedy prowincyał wyjechał na kapitułę do Rzymu w r. 1768, król wyrobił mu w stolicy świętej biskupstwo bolineńskie. Po dwudziestu więc latach prac zakonnych, Przedwojewski wyszedł na pana. Troszkę próżny lubił błyskotki, a przytém dosyć możny z siebie, jeszcze więcej na licznych zbogacił się probostwach i stallach, które mu teraz dawało. Mimo to, nie zerwał z karnością zakonną, i brodę nosił do samėj śmierci. Posuwał się łatwo, bo otrzymawszy probostwo skierniewickie, stale w niém zamieszkał pod okiem prymasów, którzy go jeden po drugim zarówno lubili. Dla tego został scholastykiem gnieźnieńskim, proboszczem kolegiaty łowickiej, kanonikiem katedralnym chełmskim (od 1782) i proboszczem czerniawieckim w dyjecezyi chełmskiej (1789). Bolało go to jeszcze, że nie miał orderów, więc kiedy został prezydentem trybunału koronnego Olizara, przymówił się o świętego Stanisława Ochockiemu, który przez wojewodę Stępkowskiego wyrabiał ordery. Niewinnėj chęci biskupa zadosyć się stało. Umarł Przedwojewski 3 sierpnia 1793 r. w Warszawie w roku życia 66-tym po trzech dziennėj chorobie, pochowany jak chciał w tutejszym grobie kapucyńskim. W pół roku po jego śmierci, jak Kitowicz świadczy, z naszego kościoła zrobiono chwilową cytadelę.

Po księdzu Przedwojewskim dwie klasztor tutejszy miał jeszcze w łonie swojém znakomitości. Mówimy o księdzu Wiatorze Piotrowskim i o księdzu Benjaminie Szymańskim. Obadwaj gwardyjanie warszawscy, prowincyałowie, obadwaj uczeni, pa-

miątki w literaturze zostawili, obadwaj wreszcie pełni gorliwości o dobro zakonne i znakomicie względem prowincyi swojej zasłużeńi. Ks. Wiator współtowarzysz prac jeszcze i trudów obozowych dawnego wojska polskiego z czasów Rzeczypospolitej, przez trzy lata kaznodzieja katedralny warszawski i prowincyjał przez lat dwanaście, zostawił ze czterdzieści tomów kazań własną ręką pisanych, z tych nie wiele ogłoszonych jest drukiem. Obadwaj, ksiądz Wiator i ksiądz Benjamin spotkali się w pracy przy wielkiej klasztornej uroczystości, która była zarazem i narodową. Było to jeszcze w latach 1827—29. Rzym ubłogosławił kapucyna Anioła z Akry, i jego nabożeństwo miało być uroczyscie wprowadzone do naszego kościoła. Nie było stosownego miejsca na nowy ołtarz, tylko w kaplicy królewskiej, w której dotąd na środku stała urna z wnętrznościami Augusta II. Ksiądz Benjamin postanowił przy téj okoliczności przenieść do téj kaplicy serce króla Jana III dotąd przechowywane w archiwum i umieścić je w oddzielnym pomniku, któryby odpowiadał pomnikowi Augusta. A urnę z popiołami króla sasa usunawszy, wystawia w niéj ołtarz na cześć błogosławionego Anioła. Wojewodowie Stanisław Grabowski minister oświecenia i Walenty Sobolewski prezes rady administracyjnój poparli tę piękną myśl, i wyrobili stosowny fundusz ze skarbu na odnowienie i naprawę całej kaplicy królewskiej, jako téż na wzniesienie pomnika obrońcy chrześcijaństwa. Marconi dyrygował robotami trwającemi dwa lata. Tymczasem od bernardynów wprowadzono obraz błogosławionego Anioła (1828 roku), i przy zdarzonej sposobności facyjatę kościoła odnowiono kosztem rządu. Dnia 5 wrześ. 1829 roku, wnętrzności Jana III w skrzynce ołowianej zachowane, a z grobu wydobyte, wmurowano do pomnika. Nakoniec w początku lata 1830, całą kaplicę ukończono. Zatem 26 czerwca odbył się obchód żałobny po Janie III, w czasie którego przeniósł serce króla z archiwum do kaplicy minister oświecenia, i złożył na ozdobnie w trofea przybranym katafalku na saméj

złotój chorągwi Mahometa zdobytej pod Wiedniem. Ksiądz Wiator prowincyjał wówczas powiedział piękne kazanie, które osobno wydrukowane po tysiącach rąk się zaraz rozleciało; mszę wielką celebrował ksiądz biskup sandomierski, po której castrum doloris śpiewali inni biskupi, i zanieśli serce do kaplicy. Pomnik Janowi III wystawiony, jest-to sarkofag z szarego marmuru; na pokrywie jego leży bronzowa poduszka, a na niej z brązu także łana tarcza i berło z mieczem złożone na krzyż pod koroną również bronzową. Po nad framugą wyłożoną szarym marmurem, w której znajduje się pomnik, wznosi się popiersie Jana III z białego marmuru

dluta Kaufmana. Napis łaciński bronzowy. Naprzeciw tego pomnika we framudze na podstawie z czarnego marmuru, stoi usunięta ze środka urna szara marmurowa, pokryta koroną z brązu; na tej framudze nad urną napis, że w niej spoczywają szczątki króla Au-



Pomnik Jana III Sobieskiego.

Kajetana (1828 roku). Teraz w niej wznosi się ołtarz z obrazem księżnej kanclerzyny, a po prawej jego stronie pomnik we framudze Brühlowej, to jest urna z szarego marmuru czworokątna z grupą aniołków na wierzchu, z białego marmuru wykutych.

Oprócz tych nagrobków zdobią kościół wspaniałe z czasów późniejszych już pomniki; Anny z Korzeniowskich Pocięjowej (1815 roku), Aleksandra Colony Walewskiego senatora i preze-

gusta. Pomnik Sobieskiego jest po prawej, Augusta po lewej stronie ołtarza błogosławionego Anioła. Odtąd kaplica ta nazywa się kaplicą Jana III.

Ojciec Benjamin ze składek też na nowo od podstaw wybudował starą walącą się kaplicę Brühlowską, która dziś nazywa się kaplicą ś-go

sa heroldyi (um. 1845 r.), i Antoniego Wyczzechowskiego dyrektora głównego prezydującego w Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości (um. 1844 r.). W ostatnich czasach wiele kościołowi pomników żałobnych przybyło i ciągle przybywa. Mniej ozdobne są więcj dla pamiątki, dla przypomnienia zmarłej osoby, kiedy wspanialsze ubierają ściany kościoła i uderzają od razu na pierwszy rzut oka. Z tych ostatnich wspomnimy jeszcze o kamieniach grobowych ks. Michała Radziwiłła (ur. 1778, umarł 24 maja 1850 r.) i Antoniny z Niemojewskich Zboińskiej. Radziwiłł, syn ostatniego wojewody wileńskiego, był jenerałem dawnych wojsk polskich, potém kasztelanem i wojewodą. Pani Ksawerowa Zboińska, córka jenerała Niemojewskiego, umarła za granicą, a na kamień grobowy złożyły się dla niej jak napis opiewa „wdzięczne córki.“

Ks. Benjamin dzisiejszy kommissarz jeneralski czuwa jeszcze nad kościołem. Cichy ten i skro-



Pomnik Radziwiłła.



Pomnik Zboińskiej.

mny kościołek, chociaż w samym środku miasta położony, przyciągał ku sobie zawsze po-

bożnych zmetnością jakąś, która tak dziwnie serce i umysł ku nabożeństwu nastrajała. Cóż dopiéro, kiedy z téj kazalnicy, z której krzyż wystaje jakby lud błogosławiąc, ozwały się natchnione głosy wołające do pokuty? W ostatnich czasach żaden kościół stolicy nie wydał tak znakomitych kaznodziejów, jako ten uderzający prostotą kościół kapucyński. Tłumy ludu słuchały tutaj zawsze słowa Bożego, podawanego im z wyższém namaszczeniem. Porządek nabożeństwa wzorowy, brak nawet organu, który w innych kościołach brzmi tak rozgłośnie, a tutaj ciszy nawet serca skruszonego nie przerywa, wszystko to podniosło

wysoko w mniemaniu ogólném, uszlachetniło kościół i zgromadzenie. Dzisiaj żadna uroczystość religijna, wesola czy smutna, nie obejdzie się bez kapucynów. Nabożeństwa żałobne tutaj najświetniejsze. Acz i dawniej był w sprawiedliwej wziętości zakon ten, trudno przecież zaprzeczyć, że na dzisiejszą jego sławę i wziętość znakomicie wpłynął pobożny dzisiejszych kapucynów polskich przewodnik ks. Benjamin kommissarz jeneralski. Już od przeszło ćwierć wieku imię jego i zasługi są nierozdzielne od dobra klasztoru, całego zgromadzenia, całego nawet kościoła polskiego.





KOŚCIÓŁ BRACI MIŁOSIERDZIA KSIĘŻY BONIFRATRÓW.
przy ulicy Bonifraterskiej.

KOŚCIÓŁ BRACI MIŁOSIERDZIA

CZYLI

KSIEŻY BONIFRATROW

NA ULICY BONIFRATERSKIÉJ.

Portugalczyk Jan Boży, poświęcał się szczególniej doglądaniu chorych po szpitalach. Kiedy umarł, przyjaciele jego połączyli się ściślej po trójnemi ślubami zakonnemi i postanowili dalej prowadzić rozpoczęte przez niego dzieło. Paweł V w roku 1617 zatwierdził regułę Jana Bożego, i odtąd krzewiła się swobodnie po wszystkich krajach katolickich, zwłaszcza od czasu kanonizacyi patryjarchy zakonu, która nastąpiła w r. 1630.

W Warszawie, a raczéj na Lesznie, to jest w miasteczku swojém dziedziczném pod samą stolicą, Bogusław Leszczyński podskarbi wielki koronny, w r. 1650 fundował kościół i klasztor *Bonifratellom* (tak ich wtedy nazywano w Polsce). Ale fundacyja była za szczupłą, miejsce niesposobne i zbyt oddalone od ruchu i gwaru stolicy. Wprawdzie opat plocki, a potem biskup kijowski Tomasz Ujejski, świątobliwy człowiek, wziął opiekę nad nowym zakonem, i pomagał mu w budowaniu się, ale nie wiele to jednak pomagało. Były téż może jakie nadzieje na króla Jana Kazimierza, który wiele miał przyjaźni do ks. Modesta Genoino neapolitańczyka, przeora kościoła warszawskiego bonifratellów.

Ojciec Modest był wziętym swojego czasu chirurgiem i domyślają się uczeni, że we Włoszech uczył się anatomii (Gąsiorowski Zbiór wiadomości tom 2, str. 263 i Adamowicz krótki rys początkowo postępu anatomii w Polsce i Wilnie str. 13). Ale ani król, ani Leszczyńscy nie wsparli fundacyi, tylko dwaj bracia rodzeni Tobijasze łowczy wielki koronny i sławny referendarz Jan Jędrzej Morsztynowie.

Tobijasze był kalwinem ale się nawrócił. Przed śmiercią spisał w r. 1664 testament, w którym między innemi, następujące rozporządzenia jego czytamy: „Niedawno będąc do kościoła prawdziwego przyłączony, nie mogłem téż wydawać godnych fructus wiary mojej, co jako mogę nagradzając, proszę Majestatu Boskiego, żeby wdzięcznie przyjąć raczył, tę moję na chwałę i potrzeby kościoła swego, i potrzebujących członków jego ordynacją. Widząc ojców bonifratellów warszawskich na bardzo szczupłą fundacyi i w niesposobnym miejscu, daleko od miasta na Lesznie zasadzonych, na przeniesienie ich, zmurowanie kościoła i fundacyą w nich tak suffagiorum za duszę moję, jako i sustentacyi chorych i ubogich, do której ex regula obligantur zapisuję i leguję pomienionym ojcom bonifratellom warszawskim 30,000 złot. pol., zlecając Ich M. panom oexecutorom, aby z pomienionymi ojcami postanowili tak około fabryki, jako i fundacyi to wszystko, co się im będzie zdało najlepiej do chwały Bożej i pomocy dusze mojej expedire, zostawując jednak w ręku dispositioni i szafunku J. M. pana referendarza samego tę summę quam et quantam na fabrykę obrócić się będzie zdało. Proszę przytém Jaśnie Wielm. J. M. pana kasztelana Wojnickiego, aby według obietnice swój mnie uczynionej, grunt i plac przestrony i sposobny na ten convent i kościół ojcom bonifratellom assignować i conferre za confirmacją J. K. Mości raczył.

„W tymże kościele ojców bonifratellów, jako prędko wystawiony będzie, naznaczam ciału memu grzesznemu odpoczynek, tam a nie gdzieindziej życząc sobie być pochowany. A tymcza-

sem póki kościół bonifratellów nie stanie, chcę mieć aby ciało moje w farnym ś-go Jana kościele w Warszawie w sklepie cudzym deponowane było, aż do czasu translatiey do bonifratellów gruntownie wprzód obwarowawszy, a kogo będzie należało, aby potem około téj translatiey, nikt przeszkody i trudności czynić nie mógł."

Ten kasztelan wojnicki, o którym tutaj mowa, był to Jan Wielopolski, dobrodziej bernardynów warszawskich. Zdaje się że obiecał dać plac na Wielopolu swojej jurydyce pod Warszawą. Właśnie w téj okolicy referendarz Morsztyn budował wspaniały pałac (niedawno jeszcze znany pod imieniem saskiego), a w testamencie Tobijasa czytamy zapis na rzecz brata dworku na przedmieściu położonego po za walem miejskim, a przytykającego do tego ogrodu i pałacu referendarza; dworek swój oddawał Tobijasz z budynkami, ogrodami, gruntami i dziedzińcem. Tutaj więc na gruncie teraz morsztynowskim może od Wielopola oddzielnym, dzisiaj od ulicy Królewskiej niedaleko od swojego pałacu, wykonawca testamentu referendarz koronny postanowił osadzić bonifratellów z Leszna. Przed kilką jeszcze laty, skutkiem przypadkowego obalenia od wiatru ogromnego kasztanu w dzisiejszym ogrodzie saskim, na tém miejscu gdzie był niegdyś cmentarz bonifratellów, znaleziono trzy ludzkie szkielety (1845). Referendarz przed 1673 r. skończył budowlę „wystawiwszy kościół i konwent znacznym kosztem," jak powiada Niesiecki.

Już był Morsztyn podskarbin wielkim koronnym, kiedy sejm na jego żądanie zatwierdził tę nową jego fundacyą bonifratellów na „Krakowskiem-Przedmieściu," jak powiedziano w konstytucyi 1673 r.. Była to fundacyja która stanęła wbrew woli i życzeniom starosty warszawskiego, stąd przeciw niej srożył się Jan Dobrogost Krasinśki, ten sam, który z dominikanami wojował; sejm robi o tém wzmiankę w konstytucyi, bo zatwierdzając fundacyą jako *pium et proficuum opus* ojców bonifratellów w Warszawie, i szpital ich który już posiadali, wyrażnie mówi, że to wszystko

stało się przeciw starostwu. Włożono tylko na Morsztyna obowiązek, żeby fundacją swoją do akt metryki koronnej zapisał, zresztą grunty kościelne i klasztorne na wieczne czasy konstytucja od płacenia czynszów do starostwa uwolniła (Vol. Legum V. 123). Tobijas Morsztyn miał zawsze w tej fundacji swój udział, bo 30,000 złp. pochodzące z jego zapisu wsiąknęło w budowę bonifratrów, i oprócz tego 3,000 złp. dostał jeszcze klasztor na msze; ale czy zadosyć się stało życzeniu, żeby ciało jego przeniesiono od ś-go Jana do nowego kościoła? tego trudno dociec.

Niedługo jednak ojcowie bonifratelle mieszkali na nowosiedlinach, ledwie pół wieku. Król August II albowiem zakupił gmachy Morsztynowskie, i postanowiwszy wznieść sobie na tém miejscu prywatny pałac, ciągle nowe skupował w onych stronach dwory, dworki i place. Chciał założyć wspaniały ogród, dla tego miejsca mu zabrakło. Trzeba więc było rugować i bonifratrów; zajął więc ich grunty, kościół i klasztor zniósł, a dawszy im za to ze swojej szkatuły 42,000 talarów bitych, kazał budować się na tém miejscu, na którym są dzisiaj. Budowniczymi nowego przybytku Bożego byli dwaj Włosi Józef Fontanna i Antoni Solari. Roboty zaczęto około r. 1728. W lat kilka potem biskup poznański Jan Tarło kościół i klasztor poświęcił.

Początkowo bracia miłosierdzia tylko ośmiu utrzymywali chorych, ale książę August Czartoryski wojewoda ruski w 1760 roku wybudował nową ogromną salę na 34 łózek, i kilka izb osobno założył. Później cokolwiek testamentem z dnia 20 marca 1773 roku, nowy dobroczyńca Jakób Fontanna zapisał do szpitala konwentu ojców bonifratrów ubogim chorym 74,000 złp., to dla dostateczniejszego utrzymania, to dla oporządzenia bielizny, to dla kupienia lekarstw. Zapis ten, sejm delegacyjny z r. 1775 zatwierdził (Vol. Leg. VIII 282). Fontannowie nie w jednym pokoleniu bonifratrom się zasłużyli, bo i za Poniatowskiego, budowniczy tego nazwiska stawiał gmachy kościelne.

Bracia miłosierdzia nie byli mszalnemi księżmi; prowincyał.

przeor i cała ich starszyzna byli laikowie; zakrystyjanem i kapelanem ksiądz jeden a najwięcej dwóch w klasztorze, ci nie należeli do usług chorych, ale tylko nabożeństwo dla swojej wspólbraci zakonnej odprawiali. Kapłani wzbili się raz wprawdzie w górę nad laików za króla Poniatowskiego, ale wkrótce powrócił porządek dawny. Ta może okoliczność, i zresztą ciągle przestawanie z chorem na umyśle, były powodem, że starszyzna braci miłosierdzia brała się do medycyny. Tak ex-prowincyjał i ex-wikary jeneralski w Polsce Paschal Stirzelheimer publicznie z medycyny doktoryzował się w Zamościu. Było to 23 marca 1765 r.; wszedł na katedrę Jan Nepomucen Awedyk doktor medycyny i professor zamojski i mówił długo o tém, jaki to powinien być doktor mianowicie według Hippokrata, potem wychwalał naukę i metodę księdza Paschala i jego zakonne prace. Potém zadał mu temata, wręczył oznaki nowój dostojności, i ogłosił Paschala doktorem (Wiad. Warsz. Nr. 29).

Zresztą ogromnie ciche życie prowadzili bracia miłosierdzia w Warszawie. Przez całe panowanie Augusta III, ani ich slychać w stolicy. Król Poniatowski czasami ich odwiedzał, tudzież i miasto całe w drugi dzień Zielonych Świątek, czyli w tak nazwany Emaus, zwyczaj który do dziś dnia niezmiennie przetrwał.

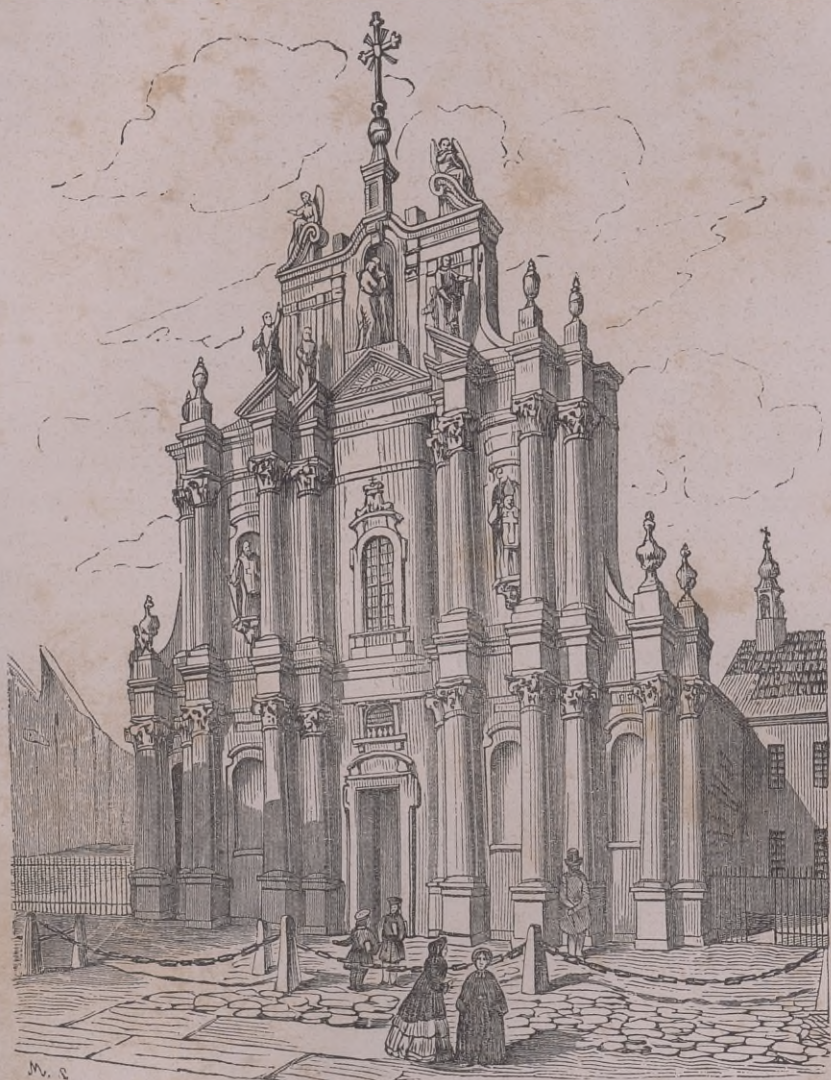
Kościółek sam cichy, spokojny, bez zbytnich ozdób, nie wspinały stylem budownictwa, nie ma wewnątrz żadnych nagrobków, równie jak i żadnych wspomnień. Dzisiaj zaś tém bardziej, bo mieszcząc się w odludnej stronie, pomiędzy żydostwem, wygląda jakby ziarno piasku w odmęt rzucone.

KOŚCIÓŁ OPIEKI Ś^{go} JÓZEFA PANIEŃ WIZYTEK.

NA KRAKOWSKIÉM-PRZEDMIEŚCIU (*).

Maryja Ludwika przez powracającą do Francyi panią des Es-sarts pisała list do panny de Moignon z prośbą, żeby wstawiła się do przełożonej ś-go Jakóba, i wyjednała pozwolenie wizyt-kom do przesiedlenia się nad Wisłę (12 maja 1649 r.). Królowa polubiła zakon najprzód dla łagodności reguły. Były u nas kar-melitki, brygidki i bernardynki, ale przystęp do nich za trudny, prawa za surowe; do tego ludzkość i poświęcenie się wizytek ujmowały królowę, a nareszcie był to zakon francuzki. Maryja Ludwika głównie jednak chciała sprowadzić te panny dla nad-zoru i pracowania nad poprawą młodych dziewic, które z drogi grzechu chciały powrócić do cnoty; wszakże i w Paryżu poświę-cały się na to wizytki, i dawały ze swego zgromadzenia prze-łożone do zakładu ś-tój Magdaleny. Kiedy te wstępne kroki do-brze przyjęto, wysłała królowa do Paryża sekretarza swojego Desnoyersa, i stosowną opatrzyła go instrukcją (w październi-ku 1649 r.). Miał udać się najprzód do arcybiskupa i władz du-chownych, potem do panny Moignon, za pośrednictwem której potrzeba się było układać z przełożoną ś-go Jakóba. Królowa

(*) Szczegóły o pierwszej fundacyi wizytek w Polsce, oparte są na powa-dze dzieła Porto-folio Maryi Ludwiki.



M. 2

KOŚCIÓŁ PANIEN WIZYTEK

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście.



chciała w Warszawie założyć dom ucieczki dla dziewcząt, które stały się ofiarami, i dla życia musiały trwać w grzechu; wprawdzie była i kara, łapano je albowiem do katowskich domów, ale to moralności publicznej nie podniosło, gdyż stawały się i tam w więzieniach igraszką dla pierwszego lepszego i umierały w największych męczarniach na różne choroby, a nikt im nie dał ratunku, bo samby się uważał w przeciwnym razie za znikczemionego. Zaradzić temu chciała królowa; żądała dla tego dwunastu panien młodych, któreby się łatwo mogły nauczyć po polsku, chciała założyć dwa domy, na zabudowanie każdemu ofiarowała 60,000 franków, i zapewniła oprócz tego 60,000 rocznej intraty. Wybór miejsca na klasztor zostawiała zakonnikom, dla tego obiecywała im przysłać do Paryża plany znajdujących się w Warszawie do sprzedania placów. O pozwolenie króla i biskupa nie było się co troszczyć, wszystkie formalności prawne królowa brała na siebie; obiecywała dostarczyć mniszkom sprzętów i srebra kościelnego, pamiętać o ich wygodach i stole. To wymawiała tylko sobie, żeby wizytki przyjęły tyle dziewcząt darmo, na ile intraty ich wystarczą. Do tych dwóch domów pokutnic, będą wizytki tylko dawały przełożonych, same będą mieszkały w osobnym klasztorze. Po śmierci zakonnicy, kiedy jój miejsce będzie wolne, każda wstępująca polka wnieść za sobą do klasztoru posag. O potrzeby religijne także nie ma się co troszczyć, bo królowa da im za kapelana i spowiednika francuza, który będzie stale pełnił te obowiązki, a co się tyczy nadzwyczajnych wydarzeń, są w Warszawie księża polscy, którzy dobrze mówią po francuzku.

Nad wszelkie spodziewanie zły obrót wzięły rzeczy. Wizytki ś-go Jakóba nie były od podróży do Polski, ale wprzód poradziły się swojego przełożonego księdza Wincentego, który nie tylko, że przystał na ich żądanie, ale radził żeby spisać kontrakt. Długo się przeciągnęły układy, ale wreszcie kontrakt stanął i ojciec Wincenty podpisał się na nim za świadka. Król tymczasem wy-

prawił się na wojnę kozacką, i dla tego wizytki chwilowo wstrzymały swoją podróż, miały bowiem nadzieję że w Polsce się uspokoi; powozy jednak i łomoki były przygotowane jak należy do drogi. Ale w tém siostróm ś-go Jakóba zachciało się jeszcze powagi arcybiskupa. Otóż, kiedy odwiedzał ich klasztor ks. de Gondy, upraszały go wszystkie o pozwolenie na podróż i o błogosławieństwo; arcybiskup odmówił. Napróżno pisała do niego sama M. Ludwika, i wstawiała się za wizytkami, de Gondy uparł się stanowczo. Mogła się królowa lękać oporu ze strony wizytek, ale trudności z téj strony wcale nie przewidywała. Bądź co bądź, miał Desnoyers i na ten przypadek instrukcją. Panny Moignon proszono, żeby wskazała najlepsze sposoby do założenia w Warszawie domu pokutnic, i żeby znalazła osoby któreby się nadzoru podjęły, chociażby przyszło i wszelką myśl rzucić o wizytkach. Ale że królowa koniecznie chciała mieć te a nie inne zakonnice, więc poleciła wywiadywać się wprzód, czyby za Paryżem nie było wizytek któreby z ochotą jechały. Teraz kiedy de Gondy plany wszystkie zniweczył, pytano się siostr ś-go Jakóba dokąd królowa udać się ma ze swojemi prośbami? I zakonnice wskazały na klasztor w Annecy, z którego wyszły, jako ze źródła po całym świecie.

Proszony imieniem Maryi Ludwiki biskup Genewy, do którego dyjecezyi należało Annecy, dał odpowiedź przychylną. W skutku tego zgłosiło się z ochotą pięć zakonnic, a resztę, to jest siedm, radził biskup wziąć z miasta Troyes. Takim sposobem zebrała się oznaczona liczba dwunastu panien, które opatrzone we wszystkie świadectwa i zezwolenia, zaczęły się powoli zjeżdżać do klasztoru ś-go Jakóba. Siostry z Troyes wprzód miesiącem przybyły jak z Annecy (9 czerwca i 9 lipca 1654 roku). Z ostatnimi przyjechali dwaj zacni bardzo kapłani, których dodał im biskup Genewy, jeden spowiednik, a drugi nazwiskiem de Monthaux mianowany był przez niego opiekunem siostr w podróży. Zakonnice nasze spotkały wiele gościnności u ś-go Jakó-

ba; paryzkie wizytki ustąpiły im swych praw do fundacyi w Polsce, oddały im swoje urzędowe dowody, kontrakt i przywileje. Siostry wybierające się do Polski, były zachwycone tą serdecznością; w miłości przeżyły u ś-go Jakóba cały swój czas pobytu w Paryżu, same głównie zajęte będąc ciąglemi przygotowaniami do podróży; rade téż były i Polsce, czego dowodem i ta między innemi okoliczność, że kiedy posłom polskim, którzy im towarzyszyć mieli w drodze, potrzeba było podać rachunek za drogę, podały go tak oszczędnie, że same pewno za nie jedną rzecz zapłaciły. Dziewiątego sierpnia nastąpił wyjazd do Rouen w trzech karetach; po drodze do tego miasta wstąpiły do Saint-Lazaire, gdzie wzięły dwóch missyjonarzy jadących także do Polski na prośbę Maryi Ludwiki, wstępowały téż do wszystkich klasztorów wizytkowskich po drodze, jakby na pożegnanie z Francją i znalazły wszędzie serdeczne przyjęcie. Stanęły nareszcie w Dieppe (18 sierpnia); miasto powitało je ze czcią, a wszyscy niemi wyłącznie byli zajęci; dla tego téż każdy chciał się przyłożyć do kosztów podróży, i jeden to, drugi co innego niósł na ofiarę zakonnikom.

Podróż miała być morzem. Stąd zawczasu gotowano już w Dieppe ogromny okręt hamburgski o 4,200 beczkach ciężaru. Na nim po dwóch bokach umieszczono dwie kitajkowe bandery na dwadzieścia łokci długie, dla ozdoby i bezpieczeństwa; białą z herbami Francyi, a błękitną z herbami Polski. Przyrządzono dla wizytek osobną na okręcie izbę długą i szeroką na 18 łokci kwadratowych: był to mały klaszorek bez kaplicy; wszystkie rzeczy zakonne pomieściły się tutaj, a wygody ich, pilnie przestrzegali ksiądz Paulain spowiednik wizytek w Dieppe, i orszak poselski Maryi Ludwiki. Za 3,000 franków całe to grono jadące do Polski, a złożone z czterdziestu osób, miało dostać się do Gdańska; na okręcie zaś całym znajdowało się do stu osób; między innemi dwóch panów polskich i dwoje ich służby. Ciekawe są te wszystkie szczegóły, które zanotowały w pamiętni-

kach swoich pobożne zakonnice o zapasach jakie z sobą wiczyły. Spiżarnia ich dobrze opatrzona, składała się z mięsa solonego i świeżego, z baraniny, pasztetów i szynki, ze zwyczajnych sucharów, z kilku tuzinów doskonałych sucharków pieczonych na winie hiszpańskiem z cukrem i anyżem; miały z sobą pomarańcze i cytryny, kilkadziesiąt słoików wybornych konfitur, jarzyn i ziół; wiozły sto indyków i żywe barany w klatce, po trzy beczki wina, piwa i słodkiej wódki, a kilkanaście butelek wina hiszpańskiego, tyleż w stosunku innych napojów. Wszystkie te zapasy przygotowała dobroć Maryi Ludwiki, a krom tego siostry w Dieppe przesadzały się w usługach.

Teraz następują dosyć dramatyczne, jak ze względu na pleć słabą szczegóły podróży. Kiedy nadszedł dzień odjazdu, lzy i żale. Zakonnice poszły do spowiedzi i komunii, i uspokoiły się. Zajechały dwie kryte karety rządu miasta, wsiadły do nich wizytki i jadą do portu, ale po drodze spotyka ich posłaniec od kapitana, że wiatr zły i że dopiero wieczorem będzie można wypłynąć na morze, więc zawróciły karety, i zakonnice znowu do klasztoru wysiadły, nie opatrzywszy się wcale ze strachu; a wszedłszy do cel, zadziwiły się ogromnie, że kajuty na okręcie są jakby cele w klasztorze i sądziły biedne w prostocie ducha, że płyną już po morzu: jedna tuliła się do drugiej i złudzenie było tak wielkie, że najwięcej nerwową porwały mdłości, więc zbladła okropnie i skarżyła się na zawrót głowy, albowiem wmówiła w siebie chorobę morską. Kiedy wywieziono ją z błędu, śmiała się od serca, i wszystkie towarzyszkę swoje pobudziła do szczerzej wesołości. Wieczorem tegoż dnia rzeczywiście wsiadły na okręt. Było to we środę 20 sierpnia 1653 r.

Biedne zakonnice w ciągu krótkiej swojej podróży, wszystkiego po trosze doświadczyły. Cierpiały chorobę i burzę morską, widziały krew rozlaną, rozbój, znosiły niewolę. Korsarze angielscy zdobyli albowiem i złupili okręt Gropa i pojegli wszelkie zapasy żywności, „nie jako ludzie, ale jako bestyje,“ do-

dają zakonnice, i dwadzieścia dni dokuczali im na morzu wszelkimi sposobami, dopytując się skarbów. Ksiądz Monthaux uwięziony był do Duwru na śledztwo i ledwie wymógł, że okręt Gripa postanowiono sprowadzić do tego portu, zawsze w towarzystwie korsarskiej fregaty. Rabusie widząc, że im się zdobycz wymyka, z szaleństwem wpadli znowu na podrózne z pogrozkami męczeństw, jeżeli nie wydadzą skarbów; zakonnice pokazywały, że mają tylko złote krzyżyki na piersiach, aż ledwie kapitan poskromił zuchwałych. Dziewice modliły się klęcząc, kiedy przed portem nowa schwyła burza, do tego mgła spadła i pożar zapalił się od świecy: ocalenie to było, gdyż burza we mgle zapędziła nasze wizytki do portu, w którym już pełno ludzi się zbiegło na ratunek rozbitków. Korsarze chcieli dotrzymać słowa, ostrzyli noże, zapalali pochodnie, zakonnice krzyczały z całych sił, aż władza się w to wdała. Korsarze poszli do więzienia, a ksiądz Monthaux jak anioł pocieszyciel przybył z katolikami na obronę. Poseł franc. Bordeaux wziął wizytki w opiekę; odwiedziła je gubernatorowa i damy angielskie. Kiedy wysiadły na ląd, ze wsząd je opatrywano bielizną i wszelkimi potrzebami, bo im rozbójnicy wszystko zabrali. Pierwszy raz tutaj na ziemi angielskiej spokojnie spały zakonnice. Wieść o tém nieszczęściu zanieśiono do Francji; sam król, ksiądz de Brienne, siostry ś-go Jakóba, pani des Essarts, ślali do Londynu listy, pieniądze i składki. Pani des Essarts przysłała nawet swego pełnomocnika, żeby w Londynie wytoczył o ten rozbój sprawę przed parlament w imieniu Maryi Ludwiki. Nim sprawa przeszła wszystkie formalności, panny tym czasem nie miały co robić, i powróciły do Francji. Stanąwszy w Calais (w październiku), chociaż szczęśliwe, że oglądają znowu ojczyznę, zgłosiły się jednak do M. Ludwiki, a dowodząc, że okręt ich już zajęty i że już późna pora do żeglugi, prosiły o dalsze rozkazy królowej. Gniewała się ta pani serdecznie już poprzednio na przewłokę, że za niemi doczekać się nie mogła, zwłaszcza że do Gdańska dawno już naprzeciw

nich posłała swoje pojazdy; list Maryi Ludwiki do przełożonego ś-go Jakóba, jest wyraźnym dowodem jój żalu (z dnia 25 września). Napróżno kupcy angielscy zapewniali ją, że nic nie stanie się zakonnicom, królowa odgrażała się, i magistrat Gdańska oświadczył to nawet kupcom, że Anglija niedługo pożałuje tego co zrobiła. Pojazdy królowa posłała już z Gdańska do Hamburga, a do przełożonej ś-go Jakóba pisze: „co dzień spodziewałam się siostr,“ i dalej „wczoraj cały dzień byłam w ich kościółku, zdo-
biłam go, zawieszałam obrazy, urządzałam klauzurę.“

Po tym pierwszym liście raz w raz pisała Maryja Ludwika do Paryża uskarżając się, prosząc, nalegając. „Mieszkam tu już lat ośm, pisze z Warszawy królowa (2 października), co rok jest u mnie ktoś z Francyi, a nikt jeszcze w podróży nie doznał przeszkody.... od miesiąca szukam sposobów, żeby siostróm uprzyjemnić tu pobyt, najmilsze to moje zajęcie; pragnę by nie żałowały Francyi.... opatrzyłam już we wszystko spiżarnie.... moja fundacyja musi to być coś ważnego, kiedy na takie napotyka przeszkody.“ Królowej donoszono że wizytki już są wolne; nie wierzyła temu, chciała je sama wprzód widzieć. Zaraza panowała w Warszawie i ustala dopiero we wrześniu, M. Ludwika przypisywała to zrządzeniu Bożemu i raz w raz pocieszała tém siostry. W miarę zwłoki powiększała się niecierpliwość królowej; z niecierpliwością oczekiwała każdego posłańca z Francyi i pannie de Moignon przez każdego kazała pisywać do siebie: „podziękuj wszystkim co mi robią dobrze,“ to znowu wracając do przedmiotu który ją ciągle zajmował, pisała: „największe koszta poniosę byle tylko sprowadzić siostry (9 października).“ Napróżno Desnoyers pocieszał ją. W połowie dopiero października dowiedziała się od niego, że siostry wolne, ale „nie podoba mi się, pisała znów (16-go), że na zimę wybierają się do Polski;“ — „już nie ma żadnej obawy, a rok przyszły będzie łatwiejszy.“ Wprawdzie lepiej byłoby dla nich na wiosnę, aleć przecie siostry miłosierdzia bez przypadku o téj porze przybyły roku zeszłego

z Francyi do nas." Do przełożonej zaś siostr podróżnych pisała Maryja Ludwika (23 października) „Smutnam, żeście wróciły do Calais; poradził to wam ktoś bojaźliwy, przebywszy bowiem Anglią, nie daleko już miałyście do Hamburga, a z téj strony Elby niktyby was nie zaczepił; bałyście się niepotrzebnie, że nie znajdziecie mszy w Hamburgu, bo i owszem, jest tam codziennie u rezydenta francuzkiego i cesarskiego: tydzień podróży przez Niemcy, tydzień przez Polskę i byłabyście już na miejscu, droga piękna, kraj równy, na wiosnę zaś anglicy znowu na was napadną: jam w styczniu jechała do Polski i nie mi, zresztą, trzeba było moich ludzi w Gdańsku o tém wszystkiém uwiadomić, czekają tam na was trzy wygodne karety, cztery powozy a piąty dla kuchni; przy nich znajduje się marszałek, kwatermistrz, urzędnicy i mój dzierżawca polak, który mówi po francuzku i po niemiecku, i orszakiem całym dowodzi. W Hamburgu przyjąłby was magistrat naszój Polsce przychylny, a na wiosnę może nie będę mogła dać wam takiego ekwipażu, bo nie wiem, co się ze mną samą stanie." Téj ostatniej obawy, coby powodem było, nie domyślamy się. A do Paryża jednocześnie pisała, zdając się na wolę Bożą królowa (23 października): „klasztorek jest już gotów i spiżarnia, znajdzie się w nim co do poprawy i odmiany, ale ja nie umiem tutaj radzić sobie, niech przyjadą siostry, niech wskażą co brakować będzie i jak im reguła każe; dobrze byłoby to, żeby wszystko urządzić jak należy, przed ich wprowadzeniem poza kratę, dla tego jak przyjadą, jakiś czas mieszkać ze mną będą w królewskim pałacu, już nawet trzymam dla nich gotowe oddawna komnaty, obok moich; są to izby panien moich i niewiast, którym kazałam dla tego wynieść się do zamku."

Miała słuszne przeczucie Maryja Ludwika, przewłoka o mało co całej sprawy nie zgubiła. Siostry z Annecy namyśliły się inaczej w Calais, a skarżąc się że słabe, bez ogródki oświadczyły, że wracają do Sabaudyi. Za to uznając w tém wszystkiém jawną wolę Boga, siostry ś-go Jakóba zgłosiły się

do wizytek w Akwisgranie, podając im myśl podróży do Polski. Upłynęło znowu kilka miesięcy zanim akwisgrańskie wizytki porozumiały się z klasztorem Bellecour w Lyonie, z którym żyły w wielkiej zażyłości i zanim odpowiedziały że dobrze, a nawet że są już gotowe. W istocie, wyjechały zaraz do Brukselli, zapraszając wytrwalsze siostry z pierwszej wyprawy, żeby zjechały do tego miasta dla ułożenia planu. Z Calais więc udały się do Brukselli nasze wizytki. Stało odbywać podróż lądem; jakoż przez Hamburg, Lubekę i Gdańsk, doznawszy wiele przygód, stanęły wreszcie pierwsze pożądane tak serdecznie przez królową wizytki na ziemi polskiej. Anglików tak się bały, że kiedy w Niemczech spotkały trzech grzecznych dworzan Maryi Ludwiki, zlekły się ich z obawy, czy to czasem nie przebrani korsarze. Z Lubeki płynęły już morzem; podróż była dni trzech, a okręt bujał po morzu dni dziesięć, gdy do tego jeszcze zabrakło żywności, dziewice udały się do modłów, przekonane że Bóg je karze za to, że z heretykami, którzy także płynęli, puściły się razem na morze. D. 15 czerw. 1654 r. przy małym wietrze ujrzały Gdańsk i zaśpiewały z radości hymn ś-go Ambrożego, ale dopiero nazajutrz wylądowały w przystani. W pół drogi do lądu z szalupy okrętowej, przyjął dziewice imieniem Maryi Ludwiki, referendarz koronny (Laskowski) i posłowie od magistratu gdańskiego: i płynęły na ogromnej łodzi, która jakby karetą pokryta była bławatem, a we wszystkie wygody była opatrzoną, chorągiew z herbami królowej powiewała na łodzi. Wylądowanie odbywało się koło szóstej wieczorem. Chciały wizytki wjechać do miasta cicho, ale nie udało się, cały Gdańsk i deputacja magistratu z muzyką i okrzykami wyszły na ich spotkanie; prezydent von der Linde przyjął dziewice u siebie, chociaż królowa dom ustronny za miastem poprzednio już dla nich przygotowała. Trudno się było przez tłumy narodu przecisnąć po wylądowaniu; siły nawet zbrojnej używano, by torować drogę orszakowi, wszystkie okna, dachy były zajęte patrzącemi. Prezydentowa

z córkami czekała na wizytki w pierwszej komnacie, obsypanej kwiatami, była to miła i poważna niewiasta. Przyjęcie było wystawne, ogromny stół zastawiono mięsiwem i przysmakami. Tak się miasto siliło uszanować wolę i upodobanie królowej. Wizytki rade były przyszłości, która się przed niemi otwierała, tylko na dwie rzeczy utyskując, że tłumacza musiały używać, i że chociaż moc gdańszczan je nawiedzało, nie mogły „z herezyi” nikogo z tych „nieszczęśliwych” nawrócić.

W Gdańsku trzy dni bawiły zakonnice. Były u brygidek w kościele, oglądały dawną katedrę i obraz cudowny, w niej krucyfiks, relikwije ś-tój Doroty i arsenał, a ubolewały nad upadkiem wiary katolickiej. Dnia 18 czerwca wyjechały w dalszą podróż. Na pierwszym noclegu spotkał ich nowy przystaw, przyjaciel pana Zielińskiego, który im dotąd wiernie towarzyszył. W Malborgu jakiś „baron” przyjął je najwspaniałej i częstował na złoto-srebrnych półmiskach. W Grudziążu także serdeczne przyjęcie i w Toruniu i w Brześciu Kujawskim i w Błoniu już pod samą Warszawą. Po drodze wszędzie odwiedzały zakonnice kościoły, a najwięcej jezuickie, wszędzie plakały i modliły się o nawrócenie Pomorza; w samej Polsce już weselsze miały widoki. W Sochaczewie ucałowały relikwije ś-go Jacka, w Błoniu przyjmowały spowiedź i komunię, i pierwszy raz widziały ową cześć oddawaną przez polaków Bogu podczas Ewangelii wydobyciem szabel, o czém tyle się nasłuchały we Francyi. Chciały nocą wjechać do Warszawy, unikając przyjęcia takiego jak w Gdańsku, ale na samem wyjeździe zatrzymać się musiały, bo Maryja Ludwika w komnatach pałacu kazimierowskiego dla panien przeznaczonych, odbywała właśnie wesele panny de Mailly, z Pacem. Panna de Villiers przestrzegła o tém listem zakonnice i potem sama wybrała się naprzeciw nich ku Błoniu. Nie posiadała się z radości spotkawszy już w drodze wizytki. Była to prawa ręka królowej; pobożna, zacna i dobra, miała zarząd funduszków dla wsparcia przeznaczonych przez M. Ludwikę, która się zupeł-

nie spuszczała w tém na swoje przyjaciółkę, sama zanadto zajęta będąc sprawami kraju. Panna Villiers rozdawała pieniądze, a każdy do niej miał wstęp wolny; była więc jedyną ucieczką strapiionych, pocieszycielką biednych, orędowniczką nieszczęśliwych. Dnia 29 czerw. powitały wizytki w pałacu kazimierowskim królowę, która pokazała się prawdziwą im matką: całowała, ścisłała, pieściła zakonnice jak siostry i jak córki. Dała im pokój przy swoim sypialnym, i gabinetu ustąpiła na skład rzeczy. Królowa krzątała się koło nich jako prawdziwa gospodyni; kazała znosić łomoki, rozpaścić ogień na kominie, porozwieszać zmokłe od deszczu suknie i bieliznę. Chciała panny swoje zaraz przedstawić królowi, ale Jan Kazimierz był na sejmie, rano tam szedł a późno wieczorem wracał. Więc po obiedzie zaraz prowadziła królowa wizytki do kościołka i klasztoru, które stały zaraz obok pałacu. Oprowadzała drogie goście swoje i pokazywała im wszystko; wizytkom podobało się miejsce i urządzenie, z czego niewymownie miłościwa pani była kontenta. W tém król nadjechał prosto z izby sejmowej, Maryja Ludwika nie pozwoliła mu jeść obiadu wprzód, ażby jój goście przywitał; dziewice skłoniły się i całowały rękę pańską, a król Kazimierz na to: „bardzo nam jest przyjemnie widzieć tu was wielbne siostry; dziękuję Panu Bogu że życzenia mojej najukochańszej i moje, sprowadzenia was do naszego królestwa zjściły się, zawsze bowiem wróżyliśmy to sobie i wróżyć nie przestajem, że obecność tu wasza powiększy oddawaną w tém królestwie chwałę Wszechmocnemu Stwórcy i wszech rzeczy Panu.” Tu podniósłszy oczy król, westchnął, a potem dodał: „będziem mieli sposobność często się widywać, a mianowicie po zamknięciu obecnych obrad sejmowych; dziś jestem zmęczony, bywajcież mi zdrowe i pomódlcież się za nas i za szczęśliwe tego sejmu dokonanie.” D. 4 lipca królowa pisała list z radością do panny de Moignon do Paryża: „są tu już od dwóch dni nasze panny, siostra assystentka trochę słaba, inne są zdrowe; przekonały się teraz, że nedorzecznosci im wielkie pra-

wiono o Polsce; dziękuję ci za twoją pomoc z serca, dobór pannen prawdziwie piękny, donieś tam ich krewnym, że zdrowe są i szczęśliwe."

Ale Maryja Ludwika była troszkę dobroczynną z cudzej kieszeni, to jest ze skarbu rzeczypospolitej, chciała bowiem uposażyć swoje wizytki starostwem, które posiadała dożywociem, ale nie można było tego dokazać bez sejmu. Użyła więc całego wpływu, jaki posiadała na to, żeby starostwo było jej sprzedane z prawem odstąpienia wizytkom. Był czas, że sama królowa wątpiła o pomyślnym skutku swoich zabiegów, bo konstytucya była wyraźna, że alienować dóbr narodowych nie wolno. Do tego sejm był na dokończeniu. Maryja Ludwika potrafiła go jednakże o kilka dni przedłużyć i projekt przez swoich przyjaciół wniosła, a wizytkom chcąc pokazać sejm, i dla tego żeby wiedziały komu winne być mają wdzięczność, jeżeli nastąpi pomyślny skutek, ukryć się kazała w swojej łoży w izbie sejmowej. Nie żałowały wizytki że tą razą spuścily coś z surowości swojej reguły, bo widziały i podziwiały się naocznie majestatowi rzplitej. Sprawa ich spotkała jednakże opór, więc cały wieczór spędziły na modlitwie prosząc o łaskę Niebios, która tą razą ich nie zawiodła, bo kiedy nazajutrz odwiedziły jeszcze Loret na Pradze, przybiegła do nich Maryja Ludwika promieniejąca radością, wołając że cud stał się, bo jednomyślności było potrzeba w sejmie, a była jednomyślność. Co większa, drzwi się nie zamykały u wizytek przed winszującemi, cały sejm prawie był na pokojach; posłowie i senatorowie pochlebiali się królowej jak mogli. Po obawach nastąpiła więc radość, bo jedna z największych fundacyj polskich i wizytek nadspodziewanie prawie stanęła (Vol. leg. IV, 452.)

Zdawało się, że zaraz po-tém wszystkiém powinna była nastąpić uroczystość wprowadzenia wizytek do kościoła. Myślały zakonnice że ku temu celowi będzie wybrany dzień ś-tój Anny. Ale nie tak się stało. Królestwo bowiem uradowani że im się udało, powieźli naprzód wizytki do nadanego im starostwa. Było to

miasto Kamieńczyk nad Bugiem z przyległościami, do których się liczyły wsie: Skaszew, Nadpole, Gwizdały, Nowinki, Sitno, Brzoza, Morzyczyn, Płatkownica, Wielkie, Kąt, Zawiszyn, Stara wola, Myszadły i Bałe w dwóch ziemiach nurskiej i liwskiej. Obejrzały więc panny swoje ziemie; poczem je królowa oprowadzała w Warszawie po klasztorach żeńskich, żeby przyjrzały się wewnętrznemu ich życiu, odwiedziły też z kolei i missyjonarzy. Królowa przyspieszała te wizyty, bo naszym zakonnicom śpieszno było za kratę, a kiedy raz krata zapadnie, nigdy się już dla nich nie otworzy. Zakonnice mieszkaly więc ciągle w pałacu, i często zaglądały z niego do klasztoru, żeby w nim wszystko co jeszcze się dalo urządzać, królowa tę pracę dla nich samych zostawiła, nie chcąc się mieszać pod tym względem do niczego. Bawily ją dziewice opowiadaniem jak je straszono i jak je po drodze jeszcze ostrzegano o barbarzyństwie polskiem. Królowa znajdowała wiele przyjemności w towarzystwie przełożonej, która była wcale światłą i roztrozną osobą; król nawiedzał też zakonnice, jednem słowem wszyscy z siebie byli kontenci.

Dnia 31 lipca nareszcie przeszły z pałacu do klasztoru, i urządziły się powoli. Królestwo na uroczystość wprowadzenia wybrali dzień 6-go Romana, którego ciało Maryja Ludwika podarowała swemu klasztorowi. W wilią dnia tego królestwo z całym dworem odwiedzili klasztor; nazajutrz poświęcał go jeden z prałatów miejscowych, a wieczorem dnia tego, nuncyusz dał kanoniczne zezwolenie. Zatém 9 sierpnia rano, karety królewskie zawiozły nasze wizytki do karmelitek, skąd miało się odbywać wprowadzenie. Tutaj spowiednik panien odprawił mszę z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, i odszedł do klasztoru wizytkowskiego. Nadjechali potem oboje królestwo i nuncyusz z całym wyższm duchowieństwem stolicy. Zaczęła się uroczystość w której nuncyusz celebrował. Processyja była najwspanialsza. Szła najprzód duchowieństwa moc z krzyżem, zakony, kapela królewska z trąbami i kotłami, potem prałaci,

potém nuncyusz pod baldachimem, któremu missyjonarze towarzyszyli, potem marszałek wielki z laską, potem sam król pod rękę prowadził przełożoną, a za nim M. Ludwika assystentkę, za królestwem postępowały damy dworu, każda prowadząc jedną siostrę. Processyją kończyli panowie, a cała Warszawa zbiegła się po obudwu stronach ulic, przez które orszak przechodził. Gwardyje koronne stały także w paradzie. Ulice wysypane były czystym piaskiem i kwiatami, z domów zwieszały się kobierce i bławaty jak w Boże Ciało. Sam kościół i klasztor przybrany był wewnątrz w najbogatsze materyje, tkaniny, w złoto i srebro. „Taka wszędzie była uroczystość, przyznawały to same zakonnice, że musiałby mieć bronzowe serce, ktoby nie doznał wzruszenia na widok tak wspaniały. Dwie potęgi, niebieska i ziemską pomieściły się z sobą, żeby uświęcić dzień ten wielki, dla dziewięć poślubionych Chrystusowi.” Wizytki, duchowieństwo i orszak królewski nieśli w ręku jarzące świece. Kiedy processyja przeszła do kościoła, nuncyusz mszę zaśpiewał przed wielkim ołtarzem, a kapela królewska wdzięcznie ję przygrywała, przenajśliczniejsza zaś harmonija wzniosła się na baranek Boży. Zakonnice przystępowały wtedy do komunii i zdawało im się, że do nieba wstępują wpośród chóru aniołów. Po mszy świętej i Te Deum nuncyusz wprowadzając zakonnice do klasztoru, kazał im zaśpiewać pieśń: „chwalcie Pana wszystkie narody;” śpiewały z rozczeniem. Królestwo zostali w kościele szanując regułę, bo chociażby wolno im było z wizytkami pójść za kratę, nie chcieli by dwór poszedł za nimi. Tak się skończyła uroczystość, której wedle wizytek cudy towarzyszyły. Raz albowiem tęcza wzniosła się po nad klasztorem, drugi raz Maryja Ludwika wchodząc do swojej celi w wilią ś-go Romana, ujrzała gołębie białe na posadze i chociaż straszyla je przybijając młotkiem draperye, zawieszając obrazy, gołębie ani się ruszyły. Królowa pobiegła wtedy do wizytek, ściągnęła je i wszystkie widziały owe gołębie.

Klasztorzek drewniany o jednem piętrze, bardzo się podobał

pobożnym zakonnicom. Leżał w najpiękniejszej części miasta, i w najzdrowszym miejscu pomiędzy pałacem a zamkiem. Przed klasztorem był obszerny ogród wzdłuż Wisły i z okien prześliczny na niego widok; odkryto w nim jeszcze źródło mineralne, w którym oboje królestwo się kąpali; smak wody i skutki jej podobne były do wód w Forger niedaleko Paryża. Kościółek stał obok klasztoru także drewniany, szczupły wprawdzie, ale bardzo piękny i ozdobny, ściany malowane, a po nich porozwieszane obrazy artystów; w głębi przy wielkim oltarzu mieściły się dwie zakrystyje w jednej skarbiec się mieścił, druga zaś łączyła klasztor z kościołem. Nad głównym wejściem wznosił się mały chór dla muzyki królewskiej, która w dni uroczyste towarzyszyła mszy i modlitwie. Wchodząc z kościoła do klasztoru przez zakrystyje, spotykało się najprzód salę przeznaczoną do rozmowy z gośćmi, stąd przechodziło się do sali ogólnych zgromadzeń, dalej do nowicyjatu, przy którym dwie osobne izby przeznaczyła królowa na infirmaryję. Potém szła izba szatna, refektarz z gabinetem, kuchnia, spiżarnia i furta czyli koło. Na piętrze były sypialnie i ośmnaście cel, z tych pierwsza od wejścia należała do Maryi Ludwiki, obok niej trzy wielkie pokoje z meblami dla niewiast, które towarzyszyć miały królowej podczas każdej rekolekeyi. Budowle wszystkie tak piękne i okazałe, że po całej drodze od Paryża nic takiego wizytki nie widziały. Większa część tych budowli była wprawdzie z drzewa, ale to nie dla ubóstwa tak było, ale z przekonania że drzewo zdrowsze od cegły i od kamienia; stąd wszystkie polskie dwory i pałace, ten sam charakter budowy nosiły na sobie, choć ze wszech stron uderzały przepychem. Zresztą królowa pomyślała zawczasu o wzniesieniu muru dla wizytek, chociaż im dobrze było i w tym drewnianym klasztorze, i same mówiły żeby im trudno go było na murywany przemienić. Na rok przyszły miała te roboty rozpocząć; drzewo ciesielskie i stolarskie już przygotowała.

Po kilka razy do roku przyjeżdżała do swojej celi Maryja

Ludwika na te ćwiczenia duchowne: jadła w refektarzu, nocowała w swojej celi. Toż Jan Kazimierz przychodził tu często, spowiadał się i komunikował. W tych pokojach dawała zwykle posłuchania obcym, a wszystko z taką skromnością i przyzwyczajoną, że to nic a nic klasztornej ciszy nie wstrząsało. Bywało nieraz, chce królowa żeby tym posłuchaniom, zwłaszcza rzadszym, dziewice były przytomne, bo lubiła je bawić jak dzieci i pokazywać im to, czego jeszcze nie widziały. Tak raz, wzięła królowę pustota, żeby w klasztorze przyjąć posłów tatarskich (w październiku 1654 r.): wizytki otaczały królowę kiedy wszedł poseł z całym ceremoniałem obrzędowym i wybijał tysiąc pokłonów; belkotał coś niewyraźnie: słowa jego wprawdzie dragoman wykladał po francusku, ale mimo to, wizytki i tak mało go rozumiały; — poseł oddał podarunki od hanowej, które z podziwem oglądały dziewice: jakąś bławatną suknią nakształt koszuli z rękawami, z haftowanemi wokół w złoto, w srebro i różnokolorowy jedwab' brzegami; jakiś butel z krowiej skóry bardzo misterny arabeskwany i osypany kwiatami z ciągniętego złota

Maryja Ludwika była w klasztorze przedmiotem czci, a niedumna z zakonnicami, codzień skromniejsza, zachwycała wizytki. Co chwila czémś nowém wzbogacała ich klasztor, — to dawała do niego przepyszne kapy z materji srebrnej, to ornaty, baldachim, to różne garnitury: czerwone, różowe, fioletowe, a wszystko wspaniałe, zdobne w kwiaty i srebro; to cały sprawiła kredens kościelny i osobno lampy, kielichy i puszki, potem dała cudownej roboty szczerozłotą monstrancyją, na której polyskiwały drogie kamienie, dyjamenty, rubiny i szafiry, wartującą 20,000 tałarów; to krucyfiks kryształowy oprawny w złoto, a na nim główki gwoździ w ranach Chrystusa szmaragdowe, inne ozdoby były z rubinów i turkusów. Dała królowa i prześliczne cymborium hebanowe: na wierzchu srebrny pelikan, który z kapitelami i srebrnymi ozdobami ważył sto grzywien kolońskich. Królowa sama rysowała wzory do tych monstrancyj, krzyżów i t. d., artyści tyl-

ko myśli jęj wyrabiali. Wszystko było, tylko ornatów czarnych nie było, bo królowa mówiła że ma wstręt do żałoby i że dla tego z nią się niespieszy. Bywając téż u wizytek, królowa często im powtarzała, żeby wprowadziły u siebie porządek dworski: w pałacu wszystko co schodziło ze stołu dostawało się biednym.

W kilka miesięcy potém spisano akt fundacyjny. Zakonnice przyznawały w nim, że o równęj fundacyi za swoich czasów jeszcze nie słyszały. Królowa płaciła koszta podróży i wszelkie ruchomości, jakie wizytki sobie przywiozły, co na francuską monetę wynosiło 40,000 złotych; dawała dom z całém zabudowaniem, ogromne ogrody i sprzęty warte przynajmniej drugie 40,000 złot. Srebro kościelne i klejnoty kościelne nieocenione jako dzieło sztuki, czystej wartości miały 60,000,— dobra kosztowały 130,000; bo królowa tyle zapłaciła za nie do skarbu Rzeczypospolitej, dochód z nich był 22,000; do tego dom mieszkalny w starostwie, a wygoda ta, że wszelkie płody Wisłą mogły być spławiane z dóbr aż pod sam klasztor. Nie oeniłoby wartości drogich sprzętów z komnat królewskich, kosztowności i drobnych przedmiotów. Maryja Ludwika poleciła sporządzić dokładny inwentarz wszelkich ruchomości klasztornych, z określeniem ściśłem granic majątku nieruchomego, bo własność wizytek, mówiła, ma być wolną od wszelkich sporów granicznych, a processy o dochody nie przystały im. Pierwotne warunki zaś obejmowały, że na wieczne czasy ma być dla królowej pokój w klasztorze i że z dochodów corok odkładać się mają 40,000 złotych na murowanie kościoła i klasztoru, że po wzniesieniu tych budowli zakonnice utrzymywać będą darmo dwanaście polskich dziewcząt ubogich i sześć nauczycielek, że nadto otworzyć mają szkołkę dla przychodnich, pod kierunkiem matki przełożonej. Maryja Ludwika miała samą dobudować salę szkolną dla klasztoru tak, żeby po kolei zakonnice nie wychodząc z poza kraty mogły dozorować swoje wychowanice: lekcye odbywać się miały rano i po południu. Wizytki powinny były służyć biednym i chorym, dawać im

żywność i jałmużnę, a nawet schronienie im otworzyć i dziewczętom, ile ich klasztor będzie w stanie wyżywić. Gdy się wykryło, że nad dochód 22,000 złotych jest jeszcze 4,600 złotych procentu, Maryja Ludwika wymówiła sobie tę nadwyżkę na edukacją kilku dziewcząt aż do zbudowania klasztoru, a potem i ten dochód miał stać się własnością wizytek. Wreszcie królowa na wieczny dochód ze swoich skarbów miała 4,000 co rok wypłacać pod warunkiem, żeby się za nią zakonnice modliły.

*

*

*

Królowa zrobiła już prawie wszystko co miała zrobić dla swojej fundacyi. Do wymurowania kościoła przeszkodziła jéj zrazu wojna szwedzka. Wystarała się tymczasem, że sejm 1664 roku wyznaczył kommissyją do rozgraniczenia dóbr Kamieńczykowskich, która w roku 1663 ukończyła swoje prace. Przed samą zaś śmiercią położyła kamień węgielny na kościół murowany (3 października 1664), ale już nie doczekała się skutku swoich zabiegów, bo niedługo potem umarła; ostatnią jednak wolą nakazała serce swoje pochować u wizytek, co naturalnie spełnioném zostało. Sam akt rozgraniczenia zatwierdził dopiero sejm grodzieński z roku 1678 i uwolnił dobra klasztorne od wszelkich podatków (Vol. Leg. V, 567), co potem rozwijając druga konstytucja z roku 1685 postanowiła, że gdy zakonnice nie mogą zajmować się same swojemi interesami i dla tego stawać u sądów, mogą ustanowić rządcę dóbr swoich, aby tylko szlacheica osiadłego, który ich prawnie zastępować mocen we wszelkich czynnościach publicznych (Vol. Leg. V, 722).

Zakon wizytek przyswoił się doskonale na ziemi polskiej. Klasztory jeden po drugim rosły, dobroczyńcy byli coraz liczniejsi, a francuzki niedługo zupełnie polkom ustąpiły pierwszeństwa w klasztorach. Owszem, do wizytek szły chętnie dziewice znakomych rodzin polskich, co naturalnie jak podnosiło zakon w powadze, tak uposażało go w majątek i w dobra ziemskie. Jedną z najpiérwszych polek co klasztorowi warszawskiemu

przewodniczyła, była świętobliwa Krystyna Branicka rodzona siostra Jana Klemensa marszałka nadwornego koronnego. Do tego wizytki nie leniły się pracy. Trudniły się według swęj reguły wychowaniem panien i pracowały nawet dla literatury. Warszawskie wydały po polsku kazania ś-go Franciszka Salezego i objaśniały mistyczne pieśni Salomonowe (1693 Jocher, t. 2—405). Inną razą dla swoich uczennic wydrukowały zebranie wiary po polsku i po francusku (1702). Maryja Ludwika Sobieska i Małachowski biskup krakowski największymi wtedy byli wizytek przyjaciółmi.

Nikt jednakże po Maryi Ludwice nie myślał o wzniesieniu murów wizytkom w Warszawie. Królowa Sobieska zajęła się sakramentkami, biskup Małachowski wiek prawie cały o Krakowie myślał. Po tém nastaly burze szwedzkie, a kiedy znowu zajaśniało słońce znaleźli się dobroczyńcy. Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska hetmanowa wielka koronna, niewiasta męskiego umysłu a pobożna, postanowiła na wymurowanie kościoła ofiarować wizytkom 120,000 złotych. Nieszczęście mieć chciało, że za ledwie na rozpoczęcie fabryki dała jedną ratę swojéj ofiary, to jest 30,000 złotych, już przyszło jéj rozstawać się ze światem; nuncyusz Kamil Paulucci położył za jéj życia jeszcze kamień węgielny pod nowy kościół (28 sierpnia 1728). Nie ustał jednakże popęd raz dany pobożnéj myśli, chociaż śmierć nagła i bez testamentu hetmanowéj była powodem najprzód opóźnienia się, a potem chwilowego przerwania robót. Upadały tymczasem częściowo wzniesione mury przez lat 27, aż dopiero Franciszka Cecylia Mazini przełożona podała kapitule projekt, aby podniosła kapitał 80,000 na procencie umieszczony i użyła go na dokończenie budowy i t. d. Poświęciły więc wizytki oszczędności z dóbr swoich i młodszych zakonnic posagi. I wtedy to życzenia matki wypełniając córka i zięć hetmanowéj, sławny książę wojewoda ruski, jeden z najbogatszych panów koronnych dodali oboje 40,000 złotych do funduszu przeznaczonego na wymurowanie kościoła.

Matka Lud. Helena Zborowska krzątała się żwawo, pożyczala gdzie mogła na budowę pieniędzy,—za jęj téż staraniem kościół całkowicie stanął. Anna Delroce z miasta dała wtedy 12,000 tynfów i Jan Ryzner 6,000 na msze: obadwa te fundusze przeznaczono na fabrykę. Ryzner kupiec pamiętał jeszcze o wewnątrznych ozdobach i podarował dwa piękne obrazy wystawiające zdjęcie z krzyża i ś-go Michała, nadto sprzęt kościelny zbogacił w ornaty. Roboty na dobre zaczęły się z wiosną 1755 i dopiero w dniu 20 września 1761 roku biskup kijowski uczony Załuski mógł przystąpić do poświęcenia kościoła. Obadwaj bracia Załuscy, biskup kijowski i krakowski, należeli także do bardzo gorliwych dobroczyńców kościoła. Starszy biskup krakowski przy téj okoliczności sprawił piękny obraz do wielkiego ołtarza Nawiedzenia Najświętszj Panny. Odtąd kościół nosi tytuł opieki ś-go Józefa, a rocznica poświęcenia obchodzi się wpiérwszą niedzielę po Podwyższeniu ś-go Krzyża. Oprócz wielkiego siedm wznie-siono ołtarzy, to jest: Serca Jezusowego, ś-go Franciszka Salezyjusza, ś-go Józefa, ś-těj Franciszki de Chantal, ś-go Aloizego i ś-těj Anny.

Kanoniczną wizytę piérwszą tego kościoła odbył biskup Młodziejowski przed samą swoją śmiercią (19 października 1779). Bardzo oplakaném znalazł położenie wizytek. Nękali klasztor ze wszech stron nieprzyjaciele. Miały zakonnice pałac za emfiteutycznym kontraktem w dzierżawę wypuszczony wojewodzie plockiemu Podoskiemu: wojewoda umarł, a spadkobiercy jego rozpoczęli proces o to z wizytkami w ziemstwie warszawském. Był téż zdawna grunt za polem ujazdowskím, na którym stały niegdys cegielnie; te podupadły, a grunt próżno leżał, więc sprzedać go chciały zakonnice i w tym celu kazały z obwieszczeniem słup postawić na owym gruncie,—książę Kacper Lubomirski słup obalić kazał i stracił znowu klasztor swoją własność. Kiedy król Stanisław August kupił Ujazdów dla siebie, a było to już kawał czasu po owém wydarzeniu, zakonnice prosiły różnych osób, żeby

krzywdę klasztoru przedstawiły królowi. Ale gdy nie miały przyjaciół, czy też z innych jakich powodów nikt się tego nie podjął, więc i te grunty ujazdowskie przepadły bez nadziei. Nie były także spokojne wizytki na wsi, tam albowiem spór prowadziły o zalewy z chorążym liwskim (1775). Cały więc dochód w Warszawie klasztoru stanowiły małe kamieniczki, i domki jakie miały na swoim dziedzińcu i czynsze emfiteutyczne z jurydyki, która się rozciągała pomiędzy pałacem królewskim (kazimierowskim), Stanisławowem i ulicą prowadzącą obok pałacu marszałka koronnego Lubomirskiego od Krakowskiego Przedmieścia w dół aż do Wisły. Na pensyi swojej uczyły wizytki religii, obyczajów, czytać i pisać po polsku i po francusku, arytmetyki i robót kobiecych—uczennice mieszkwały oddzielnie z mistrzyniami swoimi, ale było ich wszystkich ledwie dziewiętnaście. Mistrzyniami tych dam świeckich były podówczas Józefa Salezyja Wodzińska i Ludwika Urszula Ponińska; zakonnic zaś było wtedy dwadzieścia dwie, konwerek sześć i trzy siostry kolowe. Nad nowicyjatem przełożoną była Teresa Puzynianka, najprzewielebniejszą zaś matką była podówczas Ludwika Helena Zborowska (1783). Zresztą biskup znalazł wszystko dobrze w kościele i klasztorze. Do wiosek zaś wizytkowskich, że sam zjechać nie chciał, wyprawił Onufrego Szembeka archidyjaka warszawskiego. Już po śmierci biskupa zjechał ksiądz Szembek do Kamieńca Mazowieckiego i tam zabudowania oglądał, inwentarze spisywał (1783). Miasteczko to z drzewa zabudowane utrzymywało się jedynie z rolnictwa, chociaż na prośbę ksieni wizytek jeszcze król August II do dwóch dawnych jarmarków nowe dwa przydał i postanowił targi co niedzielę (1701). Przywileje miasteczka zatwierdził i Stanisław August w r. 1765.

Missyjonarze pełnili zwykle służbę w tutejszym kościele, msze też często miewali dominikanie obserwanci, bywało jednakże czasami inaczej. Jakiś czas pijarowie służyli temu klasztorowi, tak spowiednikiem wizytek był Samuel Wysocki były rektor

warszawski za Augusta III, a za króla Stanisława ksiądz Bleszyński, obadwaj literaci. Za wizyty Młodziejowskiego ojcem duchownym był misyjnarz ksiądz wizytator Siemieński, a spowiednikiem ksiądz Grodzicki ex-jezuita i wikary ś-go Jędrzeja. Z kazalnicy tutejszej nieraz wcale poważne odzywały się glosy. Biskup kijowski Załuski mówił tutaj nieraz po francusku (a nawet było to już za panowania Poniatowskiego), publicznie raz oznajmił przez pisma, że ponieważ naród francuski w Warszawie pozbawiony jest słowa Boga, chce u wizytek kazywać. Odtąd ciągle kilka razy do roku, w każdej święto Zbawiciela i Najświętszej Panny, mówił tutaj po francusku. Za-



Ambona.

czął kazania swoje od Wniebowzięcia 15 sierpnia 1766 roku, ale roku ich nawet nie dociągnął. Zdarzało się mimo tego, że ten i ów po francusku tutaj kazywał. Z pomiędzy dominikanów odznaczał się u wizytek wymową ksiądz Maleczeniński, którego wiele kazań jużno jest drukowanych.

Zresztą nabożeństw w tym kościele wielkich nie bywało. Tylko za czasów saskich, w rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem processją od dominikanów obserwantów do wizytek (1731) obchodzono tę świetną narodową pamiątkę. Świetne też nieraz bywały owe bardzo częste tutaj obrzędy przyrzeczyn i obłóczyn, na których zawsze biskupi przewodniczyli, a czasem nawet sam nuncjusz. Że nie było tutaj żadnych postronnych nabożeństw, więc jedną tylko możemy przywieść konsekracją biskupią u wizytek. Szembek plocki z Cieciszowskim i Naruszewiczem święcili w tutejszym

kościół na biskupa kamaceńskiego księdza Iwona Rogowskiego, który został sufraganiem chełmińskim (26 lutego 1786).

Za naszych czasów przez składki kościół wizytek zupełnie został odnowiony. Zajęła się tém matka Franc. Ksawera Bobrowska, a więcej jeszcze Ludwika Helena Różycka, która wzywała do ofiar przez pisma ludzi dobroczynnych i pobożnych. Z wiosną 1844 rozpoczęły się roboty, chociaż fundusz jeszcze na budowę zebrany nie był wtedy dostateczny. Rząd przyszedł w pomoc. Facyjata olejno pomalowana, gzymsy kamienne pokryte miedzią, cztery wielkie wazony z ciosu przyozdobiły facyjatę. Odnowiono też grupy Nawiedzenia Najświętszej Panny, dwa posagi świętych Augustyna i Franciszka Salezego i cztery pomniejsze, jako też godła herbowe Maryi Ludwiki. Wewnątrz wiele ozdoby przybyło w złoceniach i obrazach. Pobożni odnowili wspaniałe ołtarze wszystkie, główny i sześć pobocznych, powiększając część potomkowie Elżbiety Sieniawskiej, a bractwo Serca Jezusowego pamiętało o swoim ołtarzu. Roboty skończyły się w roku 1847. Za rządów matki przełożonej Maryi Salomei Zdziennickiej, w sam dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny (8 grudnia) biskup kujawski wewnątrz i zewnątrz pobłogosławił kościół z nadzwyczajną uroczystością. Ze składek także sztachety nowe postawiono przed kościołem (*).

Kościół wizytek można przezwąć akademickim, albowiem od r. 1815 ciągle tutaj dla różnych szkół odbywało się i odbywa się nabożeństwo.

(*) Roboty, jakie szczegółowo przy tém odbudowaniu wizytki zarządziły, przytacza Kuryjer warsz. z r. 1847, Nr. 326, 329, 332 i 335.





KOŚCIÓŁ Ś. ANTONIEGO Z PADWY KSIĘŻY REFORMATÓW
przy ulicy Senatorakcji.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} ANTONIEGO Z PADWY

KSIĘŻY REFORMATOW.

NA ULICY SENATORSKIĘJ.

W roku 1623 za panowania Zygmunta III, reformaci pojawili się w Warszawie. Pobożny król sam pisał do Grzegorza XV z prośbą, ażeby tę nową latorośl, która wtedy w Europie zakwitła, starodawnego ś-go Franciszka zakonu, pozwolił przeszczepić i pod nasze północne niebo. Z królem prosili także Adam Sędziwoj Czarnkowski wojewoda łęczycki, Zygmunt Tarło kasztelan sądecki, Jan na Żywcu Komorowski i Jędrzej Zborowski kasztelan oświęcimski. Byli to pierwsi opiekunowie zakonu w Rzeczypospolitej. Rzym przysłał też kommissarza apostolskiego w osobie księdza Aleksandra Patavini, za którym „święta reforma” wstępując po drodze do Krakowa, zbliżyła się do murów Warszawy. Król nadał pobożnej braci plac, i na prędkę zaczął się dla nich stawiać kościół drewniany, do którego uroczyste wprowadzenie zakonników odbyło się w sam dzień świętego patryjarchy Franciszka (1623). Lipski biskup kujawski przewodniczył na uroczystości, której Zygmunt III z dworem i panowie towarzyszyli. Znajdowali się też na niej nuncjusz Lancelotti i Jan Altieri audytor jeneralny stolicy apostolskiej, który potem został obrany papieżem i słynął w dziejach jako Klemens X.

Plac, na którym budowali się księża reformaci, leżał właściwie już po za murami miasta, pod wałem, zaraz za bramą ku Woli prowadzącą, na przedmieściu, które się tam rozwijało. Okolica to była zupełnie pusta i miała zabudować się dopiero za wzrostem stolicy; stąd żadnej ulicy, żadnej drogi tam nie było, pałacu nigdzie w okolo i jeden tylko dworzec więcej wspaniały owego księdza biskupa Lipskiego, który był razem i kanclerzem koronnym, do gruntów reformackich dotykał. Same piaski z téj strony okalały nową stolicę rzeczypospolitęj, stąd téż i okolice te zowią się urzędowo „in arenis,” i kościół reformatów wznosił się powoli „na piasku.” Ktoś nazwał rzeczy jak były, a z kolejną czasu imie pospolite zmieniło się na imie własne, i dzieje Warszawy ciągle już powtarzają, że kościół stał „na piasku.” Plac podarowany przez króla wynosił 40 łokci wzdłuż i wszerz i szedł do wałów, aż po dworzec księdza biskupa (30 marca 1624 r.). Księża część téj przestrzeni zajęli pod budowę i otoczyli ją murem; a resztę, to jest tą drugą częścią placu spokojnie tylko władali, i nikt im do tego prawa przeczyć nie śmiał; założyli tam swój cmentarz, i na nim grzebali biednych. Kościół nie doczekał się ojciec kommissarz jeneralski Patavini, i umarł w Warszawie właśnie w tym samym prawie czasie, kiedy był zakonu w Polsce nie był jeszcze ustalony, a Strozius hece po kościołach wyprawiał, (o czém wspominaliśmy w kronice bernardynów). Nie doczekał się kościoła sam Zygmunt III, a przynajmniej nie widział ostatniego aktu swojej fundacyi, to jest uroczystości poświęcenia, które się odbyło już za Władysława IV. Biskup tylko co osierocił śmiercią swoją kościół poznański; administrator zaś nie śmiał wdawać się w rzeczy które mu nie służyły; to było powodem, że reformaci udali się aż do nuncjusza z prośbą o poświęcenie kościoła. Bawił podówczas w Polsce Jan Baltazar Liesch z Hornawy biskup nikopolitański, suffragan królewicza polskiego Karola Ferdynanda Wazy, proboszcz katedralny i kolegiaty ś-go krzyża we Wrocławiu, i rajca cesar-

ski. Często on bardzo zaglądał do Polski i nie raz święcił u nas kościoły. Wezwał go tedy uroczyście do téj posługi religijnej Honorat Vice-comes nuncyusz (10 maja 1635), jakoż w istocie trzeciego dnia już potem, w piątą niedzielę po wielkiej nocy, Liesch poświęcił najprzód kościół, a potem ołtarze; wielki na cześć Przenajświętszój Trójcy, ś-go Michała i ś-go Franciszka; drugi na cześć Niepokalanego Poczęcia, oraz świętych Gabryela, Joachima i Józefa; trzeci na cześć ś-go Antoniego z Padwy, oraz Anioła Stróża i pięciu męczenników towarzyszy ś-go Franciszka (13 maja). W każdym ołtarzu umieścił inne relikwije: to świętego Bartłomieja apostoła, to świętego Cypryjana biskupa, to męczenników świętych: Tyburcego, Hilarego, ś-tój Heleny i 11,000 pannen. Osobne odpusty apostolską mocą przywiązał do tych ołtarzów i nabożeństw, obecnym zaś nadał rok cały, a na pamiątkę doroczną poświęcenia 40 dni odpustu wyznaczył. Uderza ta niezmierna moc relikwii, jaka tutaj ciągle latami i kolejną wieków wpływała do reformatów. Rzeklibyś, że biskupi, panowie i sami pobożni zakonnicy chcą się przesadzić w ubogaceniu kościoła tego pamiątkami czci religijnej. Zaczawszy od czasu rządów oficjalna warszawskiego Erlera (um. 1645), aż po ostatnie prawie dni nasze, aż do początków XIX wieku i biskupa Miaskowskiego, nie upłynęło prawie dziesięciolecie, żeby jakimi nowymi relikwiami nie przyozdobił się i nie wzbogacił nasz klasztor. To biskupi wypraszały je u Rzymu, to zakonnicy wyblągali, to jaka prywatna osoba z dokumentami autentycznymi przysyłała je do kościoła. Przeglądaliśmy niezmiernie wiele tych aktów urzędowych i tych oznaków jawnej czci dla kościoła w dzisiejszym archiwum klasztoru. Kardynał Vidoni niegdyś nuncyusz w Polsce, przysyłał tutaj pamiątki, wdzięczny za miłe wspomnienia (1661); królowa angielska, wnuczka wielkiego Jana, najdroższy tutaj ślała swój upominek. Nie wiemy, może się mylimy, może przesadzamy, może nie mają inne archiwa kościołów warszawskich, tyle

dowodów przechowanych, ale nam się zdaje, że relikwiami najbogatszy w Warszawie kościół ś-go Antoniego reformatów.

Chociaż księża reformaci nie zabudowali całego swojego gruntu, jednak długo własności tej nikt im nie przeczył. Wielcy panowie nawet prawa klasztoru szanowali. Zdarzyło się albowiem że Jędrzej Leszczyński, biskup kamieniecki (1640—6) na gruncie owym, zaraz obok kościoła chciał sobie pałac postawić, ale skoro mu reformaci pokazali nadania króla Zygmunta, nie tylko roboty kazał zaprzestać, ale nawet zaraz i fundamenta rozwalili. Taki spokojny stan rzeczy dla reformatów trwał do 1667 roku. Okolice wciąż jeszcze była pusta, i tego właśnie roku pierwszą drogę poprowadzili sami księża obok nowych fundamentów klasztoru, bo mieli prawo robić co się im podoba na własnej ziemi. Ale naturalnie droga ta przecięła na dwie połowy grunt, stąd zła wiara korzystała snadno, a gdy dawne stosunki szły w zapomnienie, gdy wojna szwedzka zatarła pamiątki, gdy archiwa się porozpraszały, a u dyplomu nadawczego pieczęć urwano, ktoś z dworzan królewskich wyrobił sobie cicho przywilej, na mocy którego zaczął sobie rościć prawo do tej drugiej a pustej połowy gruntu, co nazywało się dostać przywilej ad malam informationem Cancellariae; udał albowiem że ten grunt publiczny, nie miał innego właściciela oprócz króla. Tym wrogiem tajnym zakonu był Kazimierz Lauri muzyk dworski. Księża tymczasem postarali się o zatwierdzenie darowizny króla Zygmunta, na które im z ochotą przyzwolił Jan Kazimierz (2 sierpnia 1667). Z okoliczności tedy korzystając, zwłaszcza że zamyślali o nową budowę klasztoru i kościoła, księża szerokiemi kołami rozsiedli się na gruncie swoim, i zajęli śmiećisko, czyli cały plac nazwany wtedy gnojowym (*quisquillaceam vel argillaceam*), leżący po za drogą, którą świeżo poprowadzili obok klasztoru; jednem słowem podsunęli się aż pod wał miejski tak, że przywłaszczyli sobie forteczkę pomiędzy dwoma drogami publicznymi, nareszcie postawili dla bezpieczeństwa własnego jakąś małą forteczkę (*belluar-*

dum). Wtedy Lauri wystąpił i zaczął księży nękać processem; wygrawszy z nimi sprawę, byłby się niezawodnie, ile że miał na to przywilej w ręku, przy oderwanych gruntach utrzymał. Zapozwawszy zyskał kondemnatę jedną, zatém drugi pozew wręczył dowodząc, że księża świeżo co zajęli nieprawnie na swój użytek cudzy grunt, i przesadzał nawet w skardze, siląc się na wywody że forteczka owa na wale była przeciwko bezpieczeństwu miasta (contra securitatem urbis). Miał Lauri pozory za sobą, bo placu gnojowego w istocie król Zygmunt w nadaniu swoim nie wymieniał, ale gdy księża wywiedli ze swojej strony, że na tych piaskach gnojów nigdy przedtém nie było i że to nazwisko placu wcale niedawne, a nadane mu zostało przez woźnice, którzy na placu tym nieraz stawali z pojazdami czekając na samych panów lub konie tutaj przejeżdżali i że z tego powodu z czasem namnożyło się tutaj śmieci i gnoju; sprawę wygrali i utrzymali się ostatecznie przy wszystkich nadaniach króla Zygmunta (w listopadzie 1667).

Wczas urządzili się z tém reformaci, bo teraz spokojnie mogli ciągnąć oddawna zamierzoną budowę. Dotąd kościółek ich potulny i cichy, nie należał do ozdób przedmieścia, a tém bardziej stolicy. Jarzemski krótko o nim wspomina: „kościół księży reformatów bosych, rozpowiada, niewielki z trzema ołtarzami, klasztorzek także mały, krzyż przed nim, wszystko tam bardzo ubogo.“ Teraz miały stanąć mury. Głównym dobroczyńcą klasztoru przy téj robocie był Stanisław Leszczyć Skarszewski, kasztelan wojnicki „pan jak sam wielkiej nauki, tak mądrych ludzi kochający, na synów ś-go Franciszka i zakon nasz dobroczynny, dodaje Niesiecki, dzielny w powierzonych sobie sprawach.“ Po Skarszewskim wiele pracował około téj budowy Piotr z Bojanowa Bojanowski cześnik płocki, burgrabia poznański, tém bardziej że był bezżennym. Były téż inne fundusze, Tobiasz Morstyn na przykład, ów założyciel bonifratellów 1000 złotych jałmużny w testamencie zapisał także dla klasztoru (1664), Samuel

Lipski starosta stanisławowski 2000 na fabrykę wyraźnie zapisał (w lutym 1669). W aktach czytaliśmy następne z tego czasu rozporządzenie kapituły, która się tutaj zebrała po raz ostatni przed rozpoczęciem nowój fabryki, na dwa miesiące uprzedzając abdykacją Jana Kazimierza. Na czwartej sessyi co się tyczy budowy warszawskiej, postanowiono (25 czerwca 1668) użyć koni do roboty (*equorum usus ratione fabricae actualis in conventu varsoviensi permittitur*), podwórze od refektarza odsunąć, gwardyjanowi wolno ścinać drzewa jakie rosły na placu, albo je przesadzić ile zechce, czoło kościoła od ulicy ma ozdobić jak wypada, studnię w ogrodzie znieść i zasypać, żeby wilgoć nie psuła murów; konwent miał się pośrednio stykać „z nowym kościołem,” a w nim miejsce na zakrystyją i ambonę ojcowie zarazem oznaczają, o infirmaryją ma się téż starać ksiądz gwardyjan.

Budowa jednak długo i opieszale się wlokła; widać że brakowało klasztorowi dostatecznych funduszków. Grunta reformackie powiększył wprawdzie znakomitą darowizną placu oderwane go od pobliskiego dworca Ossolińskich, Aleksander Lubomirski (14 lipca 1672) ale ta darowizna nie przysparzała kapitałów. Wiele zasług położył tutaj ksiądz gwardyjan Atanazy Krotoszyński, który od r. 1668 kierując ciągle fabryką, składkami zbieraniem od pobożnych jak mógł nadstarczał. W roku 1675 będąc już wtedy ojcem prowincyi, ukończył kaplicę na cześć Najświętszej Panny i ś-go Dydaka, umyślnie dla pomieszczenia w niej obrazu Bogarodzicy, który niegdyś w bramie nowój od Warszawy umieszczony, świeżo sławą cudów rozbłysnął. Kilka razy bowiem widzieli mieszczanie, jak w burzliwych czasach nagle światło jakieś niebieskie splotywały garściami promieni na ten obraz, który stał wtedy jak w ogniu; magistrat więc zdjął z uszanowaniem obraz z téj bramy, i podarował go reformatom na prośbę księdza Augustyna Socelja bardzo sławnego kaznodziei. Gwardyjan spieszył się umyślnie z kaplicą, w której obraz ten cudowny teraz złożył. Pamiętnym jest téż Krotoszyński założeniem

apłeki i urządzeniem szpitala miejscowego. Podobno już 1679 r. kościół ten murowany poświęcił biskup poznański Stefan Wierzbowski, ale że jeszcze nie był wtedy zupełnie skończony, tego mamy dowody w aktach klasztoru, w których znajdujem układy syndyka reformackiego z jednym i drugim majstrem, którzy widać wykończali robotę. Syndyk ten, sławetny Jan Kazimierz Przeworski, mieszczanin leszczyński (*scabinus civitatis Lesnensis*) wart być wspomniony w kronice kościoła, bo nadzwyczaj gorliwie około budowy jego chodził. Ciekawe są nie z jednego względu te szczegóły ugody jego o robotę mularską z Franciszkiem Czołosowiczem (4 kwietnia 1679 r.). Mistrz (majster) podejmował się doglądać roboty, pilnować pracujących i szkodom klasztoru zapobiegać, a za to brał jedenaście złotych co tydzień bez żadnych innych dodatków; podmajstrzy jego brał dziewięć, a towarzysz jego ośm złotych na tydzień także bez dodatków; pomocnik brał po pięć złotych. Inni zaś robotnicy (a dużo ich było, jak to: gracownik, mularze, i t. d.) każdy brał według proporecy po 15—18 groszy tygodniowo. Dodatkami się nazywało jadlo, napój lub inne jakie wynagrodzenie pracy nie pieniężne. Do roboty mieli przychodzić wszyscy rano o piątej godzinie, na śniadanie przeznaczono godzinę (od 8—9), a odchodzić robotnikom było wolno dopiero o 7-miej wieczorem.

Dobroczyńcy klasztoru wymierali podczas budowy (Bojanowski zakończył życie 16 grudnia 1674 roku, toż i Lipski i t. d.); jeden Skarszewski przetrzymał długie lata. Ostatnią może jego darowizną była moc różnych relikwii, które sam przed laty przywiózł z Rzymu dla biskupa krakowskiego Szyszkowskiego 1629 r. Kiedy biskup ten umarł, jedna z tych relikwii ś-tój Doroty przypadła mu nawet w spadku jako jednemu ze spadkobierców. Teraz z Rzeczniowa podarował to wszystko klasztorowi (1676—8 lipca), a na jego żądanie Mikołaj Popławski biskup inflancki dopełnił kanonicznej rewizyi tych nowych bogactw klasztoru (d. 14 lipca 1681 r.). Umarł potem kasztelan niedługo dziewięćdziesię-

cioletnim starcem (1683). Ale syn mu pozostał jedyny, Jan Antoni, który również jak ojciec świadczył wiele reformatom. Wdzięczny zakon i ojcu i synowi, (zmarłemu 1690 r.) nagrobki w kościele postawił i obudwu w kościele pochował. Nagrobek Bojanowskiego także do dziś dnia egzystuje. Na korytarzach klasztornych jest też wielki obraz przedstawiający rysy kasztelana wojnickiego, pod nim długi pochwalny napis łaciński. Reformaci czcili go na równi z pierwszym swoim dobroczyńcą królem Zygmuntem III, najczuliej też pamięć obudwu tych założycieli swoich aż do dziś dnia przechowali.

Chlubną także jest dla tutejszego kościoła bliższa opieka trzech po sobie panujących królów w Polsce. W ogrodzie mają księża mały domek, w którym często Jan III i August II reko-lekcyje podczas wielkiego tygodnia odbywali. Ale więcej jak po nich zostało tutaj wspomnień po Augustynie III i żonie jego Maryi Józefie. Mieszkając królestwo w pałacu saskim, sąsiadowali z klasztorem; stąd często bywali w kościele tutejszym gośćmi, mając do niego wolne wejście z ogrodu. Czasem więc piechotą, czasem w lektykach śpieszyli na mszę, czasem sami w gronie rodzinnym, a czasem w orszaku dworzan. Księża już zawsze wiedzieli o tych odwiedzinach, stąd gwardyjan przyjmował państwo i dziękował im żegnając; stąd panowie zwykle zawsze cały zapelniali kościół, a kiedy wchodzili królestwo, marszałkowie przed nimi podnosili laski. Kapela królewska grała, kaznodzieja niemiecki występował na ambonę. Bywali tutaj królestwo na różnych nabożeństwach, ale szczególnie nie opuszczali nigdy jeżeli bawili w Warszawie, święta Bożego Ciała i Porcjunkuli. Maryja Józefa rano i popołudniu, dwa razy dziennie bywała regularnie na processyjach Bożego Ciała, które się tutaj przez całą oktawę obchodziło (1744, 1748). To jawnie i uroczyście razem z dworem i z pany, ale prywatnie incognito królowa do kościoła reformackiego nieraz po kilka razy dziennie przybiegała, często z jedną tylko służebną. Mawiała albowiem, że to jój kościół

parafijalny. Miała tutaj królowa łożę skrytą, w której modliła się po całych godzinach od nikogo niewidziana; ta łoża jeszcze w r. 1803 egzystowała. Nie raz późno w nocy albo nad samym rankiem, zbudzona dzwonkiem klasztornym wstawiała z łoża i spieszyła przez ogród o północy na jutrznią, którą razem z zakonnikami śpiewała. Pobożna królowa zostawiła nadto pamiątkę w kościele reformatów, którą także do dziś dnia księża zachowują, jako dowód monarszej szczodrobliwości, która poufałą kiedyś była z kościołem i prostotą zakonną. Wielkim kosztem sprawiła jasełka, które wystawiały narodzenie Pańskie, ofiarowanie i pokłon trzech króli; były tam posągi naturalnej wielkości, z drzewa robione i malowidła, i broń sztuczna i cały przybór starożytny Izraela. Więc co rok wystawa w kościele zmieniała się co tydzień; w Boże Narodzenie, leży Dzieciątko Jezus w żłobku, a nad niem Maryja i Józef, aniołkowie unoszą się po nad szopką, a pasterze padają na kolana przed Dzieciątkiem i dary mu przynoszą, ten baranka, ów koźlę, po za szopą zaś pastuszkowie z trzodami owiec i bydła, panowie w karetach jadą, szlachta i mieszczenie pieszo idą, chłopci na targ drwa noszą i t. d. Więc na nowy rok Symeon błogosławi Dzieciątko w kościele. Więc na Trzy Króle mędrcy klęczą przed Nowonarodzonym i poświęcają Mu złoto, mirę i kadzidło, a za niemi orszaki i tłumy persów, murzynów, laufrów, koni z bogatemi rzędami, płowe wielbłądy, wojsko rozmaitego gatunku jezdne i piesze, murzyńskie i białe, namioty porozbijane, a dalej są i regimenta uszykowane gwardyi polskiej, i w ogóle wojsko kor. hussarze, pancerni, węgryni, armaty i chorągwie. Taki przystrój kosztował nie małe pieniądze, do dziś dnia zwyczaj wystawiania jasełek tylko u reformatów w Warszawie się przechowuje. Lud tłumami zawsze śpieszył na te pobożne widowisko, więc księża tutejsi musieli działać stósownie na imaginacyją i uczucie ludu, jasełkami naprzykład przydawali im ciekawości. Zresztą pozór ich kościołów podówczas, a więc i warszawskiego w szczególności za-

wsze uderzał miłą prostotą i wdziękiem. Świeczniki cynowe i srebrne znieśli, i aparaty bogate, a natomiast po swoich ołtarzach poustawiali drewniane świeczniki i sprzęty, jedwabne tylko i włóczkowe dla jawniejszego wykazania swego ubóstwa. Do tego ołtarze i ławki dotąd w każdym kościele odmienne, na jeden fason przemienili. Skromność i pokora jaką oddychali, ściągnęła na księży reformatów przyjaźń ludzką. Ołtarz nowy ś-go Józefa wzniesli w tym kościele August III z Maryją Józefą (1756), a poprzednio kaplicę ś-go Antoniego powiększyła, naprawiła, ozdobiła wielka przez całe życie swoje dobrodziejka klasztoru Maryjanna Szpigłowa turczynka, nawrócona i bardzo pobożna, która była na dworze Augusta II; umierając zapisała jeszcze 8000 reformatom na reparacje korytarzy (um. 1730, pochowana tutaj 17 września tegoż roku). W kościele tym ostatni prymas elekcyjny Władysław Łubieński, jako tercyjarz reformacki przyjmował od biskupa inflanckiego palusz i przed wielkim ołtarzem wyznanie wiary składał (4 maja 1759 roku). W kościele tym biskup przed święceniem się odbywał rekolekcyje (Michał Dembowski 4 października 1742 roku). Wojewoda bełzki marszałek królowej sprawił tutaj wspaniałe egzekwije po śmierci jej, ku czemu cały aparat żałobny wydał z kaplicy pałacowej spowiednik nadworny i koronę złotą Augusta II (18 listopada 1758 r.). Nareszcie jako nowy dowód publicznego współczucia dla reformatów była i ta okoliczność, że raz podczas sejmu odbywały się w klasztorze tutejszym sessyje prowincjonalne Małopolskie (1739 r.). Załuscy, Przebendowscy, Szembekowie, Bielińscy groby sobie tutaj obierali. Dla tego pierwszej żonie swojej kancle-rzance Szembekównie (umarła 7 października 1747 r.) wzniośł w tym kościele piękny nagrobek sławny marszałek nadworny koronny Mniszech, który potem zostawszy zięciem Brühla, trząsał całą Polską: przeżył i drugą żonę (um. 30 kwietnia 1772 r.), a jeden nagrobek przekazał potomności pamiątkę tych dwojga strat, które nawet i Polskę całą interessowały. Kancelarzanka jedynacz-

ka, ukochana i ulubiona, ogromny wniosła mężowi majątek, a śmierć jej odbiła się wielkiem echem na współczesnej literaturze, posypały się gradem elegije, kazania i treny; była to osoba nadzwyczaj ładna, nadzwyczaj bogata i nadzwyczaj dobra, a umarła prawie dzieckiem, tylko co po zamąż pójściu (zostawiając mężowi jedną córeczkę). Brühlowna zaś wslawiła się w dziejach konfederacyi barskiej: zapamiętała nieprzyjaciółka Sta-

nisława Augusta, równie jak jej mąż, miała za niego serce i rozum, a umysł jej męski chwala historycy. Jednali sobie ks. ludzi wszelkiego stanu miłość tak dalece, że z pomiędzy wszystkich zakonników ś-go Franciszka wyjąwszy kapucynów, oni byli pierwsi w sz-



Nagrobek Mechtyldy Szembekówny i Amelii Brühlowny, dwóch żon marszałka nadwornego koronnego Mniszcha.

świecali. O jednym takim mężu rzadkiej cnoty a wielkiego kiedyś wpływu wspominamy. Był to Antoni Bruckentall czech, rodem z pod samej Pragi; losy rzuciły go daleko od ojczyzny, poświęcił się służbie wojskowej, z kolei został generałem i adjutantem Piotra Wielkiego. Ale po burzliwem życiu swoim, Bruckentall zażądał spokoju, rzucił szablę i przyjął habit reformacki w Łękach, klasztorze dyjecezyi chełmińskiego. (13 czerwca 1714 roku). Nowicyjat odbywał w Gdańsku, a ludzie innego wy-

cunku publicznym, a po misyjonarzach najpierwsi w ogóle wśród całego bractwa zakonów polskich.

Na ten szacunek ogólny składały się nie tylko instytucyje reformatów ale i ludzie którzy im podówczas światłem cnót swoich przy-

znania i katolicy dziwili się nadzwyczajnej pobożności starego zakonnika; do celi jego zaglądali téż rezydenci to hollenderski, to pruski, to duński, szli do niego jenerałowie i sam regent pruski nawiedzał w celi Bruckentalla, toż i Menszyków bawiąc w Gdańsku przysłał do niego officera z Petersburga nadesłanego, pytając się od Cesarza czy zdrów Bruckentall? Wyświęciwszy się na księdza ojciec Antoni, postanowił udać się na missyją, do krajów po nad Bałtykiem leżących. Otworzyła mu do tego drogę łaska znajomego monarchy i dobrodzieja. Z całym więc zapalem poświęcał się tutaj pracy jako missyjonarz apostolski. Nie były bez owocu te pobożne wyprawy, Bruckentall założył tam missyją, i w ciągu lat wielu odwiedzał czasami Warszawę i nasz klasztor. Raz wrócił tutaj po pięcioletniej missyi w maju 1730 r. i zastał króla w stolicy. August II był jego niezmiernym bo od serca przyjacielem, ceniał Bruckentalla wielce, często o nim mówił, nawet do śmierci ojciec Antoni pana i przyjaciela swojego przygotowywał. W kronikach zakonu wiele jest o tym kapłanie, który zakończył życie w Gdańsku (15 maja 1740 roku). Zdaje się, że prace apostolskie Bruckentalla o tyle potém wpłynęły na dalsze losy tutejszego klasztoru, że missyja reformatów założona w Rydze była jakby pod opieką gwardyjanów warszawskich, a przynajmniej wielkopolskich, i wtenczas i później już za czasów Stanisława Augusta. Jeszcze w r. 1775 kaznodzieja niemiecki Nepomucen Gindel w Warszawie był wybrany na missyją do Rygi. Stolica apostolska przestrzegała, żeby się reformaci w tém pilnowali. Gindel był może najwięcej zasłużonym w sprawie kościoła z pomiędzy przełożonych, téj missyi; wymurował w Rydze przy zamku kościół, mieszkanie dla księży, szkołę i szpital; gubernator szanował go, i wszelkiéj udzielał pomocy. Długiém obcowaniem z Ryżanami ksiądz Gindel unarodowił się w Inflantach, (um. 1800 roku).

Nabożeństwem regularném, missyjami, kapellanijami, różnemi usługami duchownemi, w których nadzwyczaj pilni byli, od-

znaczeni się reformaci. Otóż kiedy już o tych praktykach religijnych i ludziach mówić poszło, wspomniemy o missyjach tutejszych, gdyż w r. 1755 odbywać je regularnie postanowiono po całej Wielkopolsce. Na ziemię warszawską wyznaczono wtedy dwóch księży, OO. Feliksa Kassalskiego i Onufrego Gregiera. Naturalnie w Warszawie nie mogły się odbywać w taki sam sposób te misyje jak po prowincjach, więc podniesiono tutaj natomiast nieustającą niemiecką ambonę, gdyż w okolicy kościoła mieszkało wiele katolików tego narodu. Ale nie sami tylko katolicy zbiegali się słuchać ojca Gregiera, który tę ambonę otrzymał; gorliwy ten i pobożny kapłan ze stu już różnowierców nawrócił do katolicyzmu, a od lat trzydziestu znano go w Warszawie jako znakomitego kaznodzieję. Gregier zaczął swoje misyjne kazania z nowym rokiem (1756), ale nie długo je ciągnął będąc skolatany wiekiem, (um. 14 marca 1767).

Pamiętny też był w owych czasach dla tutejszego kościoła przejazd przez Warszawę księdza Tomasza Morawickiego, reformata prowincyi bawarskiej. Dzielnym to był dyplomata polak rodem, Tarłom pokrewny. Rzym słał go po królach chrześcijańskich z prośbą, żeby się wstawili do sultana za katolikami na wschodzie i za miejscami świętymi. Ksiądz Morawicki nosił więc na sobie charakter kommissarza ajenta apostolskiego: miał przy sobie sekretarza Jędrzeja Phogio bernardyna z Neapolu, który dobrze umiał po arabsku. Do Warszawy przyjechali prosto z Anglii (w październiku 1760 roku) z listami króla Jerzego i pierwszego ministra Pitta do posła w Konstantynopolu. Stali naturalnie u reformatów w Warszawie i kilka tygodni przemieszkiwali w klasztorze. Stolica ożywiła się na czas jakiś; ruch nadzwyczajny pojawił się w niej, którego kościół reformacki był ogniskiem, współczucie dla misyi było powszechne. Odwiedzali najprzód podróżni nasi nuncjusza, nuncjusz zalecił ich panom, panowie królowi. W Polsce mógł się spodziewać ksiądz Morawicki

silnego poparcia swęj sprawy, gdyż codziennie stosunki były z Turcyją rzeczywospolitęj, a hetmani z urzędu nawet obsyłali się listami, to z wezyrem w Carogrodzie, to z paszami na pograniczu. Uzyskali wreszcie obadwaj zakonnicy posłuchanie u króla, oddali panu tam list papieżki (z dnia 27 lipca 1759 r.), król grzeczną dał odpowiedź (4 listopada 1760 r.), poczem na drogę zarzuceni listami od różnych panów, udali się obadwaj drogą z Warszawy na Lwów i Kamieniec do Konstantynopola.

Kapituł prowincjonalnych (klasztor warszawski należał do prowincyi wielkopolskiej), mało się tutaj odbyło, kroniki miejscowe o dwóch tylko wspominają, o jednéj w roku 1739 (7 lipca) na której radzono o podróży do Rzymu na wybór jenerała, i na której rezydencyją szamotulską podniesiono do godności konwentu; druga zaś odbyła się także za czasów Augusta III (8 sierpnia 1754 roku).

Za czasów Stanisława Augusta nabożeństwa parafijalne ś-go Jędrzeja zaczęły się odbywać w tutejszym kościele, rozpoczęły się wielkim jubileuszem, wśród którego wielu biskupów tutaj celebrowało (1775). Parafija była ludna, wielcy panowie w niej mieszkali. Był téż u reformatów obraz święty do którego znakomite rodziny szczególniejsze czuły nabożeństwo; wystawiał Bogarodziecę. Wybudowano tedy dla niego osobną kaplicę na cmentarzu, bo dotąd mieścił się w babieńcu dokąd go z górnych gancków klasztornych około 1762 roku przeniósł ksiądz zakrystyjan Franciszek Rogowski. Kiedy kaplicę skończono, odbyło się tutaj wielkie nabożeństwo wprowadzenia obrazu przez księdza biskupa smoleńskiego (1 lipca 1784 r.).

Pamiętne jest także późniejsze nabożeństwo wprowadzenia do kościoła relikwii ś-go Jana Nepomucena (1799 r.). Albertrandi officyjał wydał na to pozwolenie (10 maja), wprowadził je zaś później w kilka dni ksiądz Christ rejens seminaryjum ś-go Jana. Syndykiem klasztoru i kościoła był podówczas kasztelan zakroczymski Prażmowski.

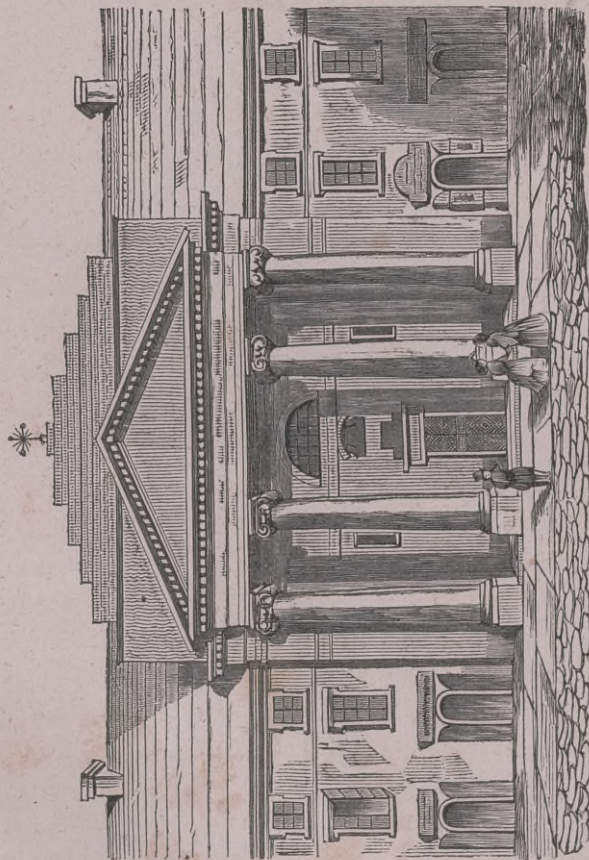
Mało zmian zewnętrznych i wewnętrznych zanotować mam o chwilach ostatnich, które niedawno co ubiegły. Wewnątrz stały kraty żelazne dzielące dziś prezbyterjum od kościoła (1785), a po obrazach różne obrazy świętych pędzla różnych mistrzów świeżo co poodnawiał Rafał Hadziewicz, znakomity artysta. Jego też jest nowy obraz Najświętszej Panny, który świeci na frontonie kościoła u góry pod wiązaniami, czołem od ulicy. Oltarzów w samym kościele jest dziewięć, ale na każdym mieści się po kilka, jeden na drugim zasuwanych obrazów. Odprawia się tutaj 40-sto godzinne nabożeństwo i ośm odpustów do roku.

Na gruntach też reformackich już za czasów królestwa polskiego ogromne pobudowały się domy i przyozdobiły miasto od szerokiej ulicy. Było z tém troszkę trudności, gdyż klasztor alje nować nie mógł swoich własności, ale przeciął od razu węzeł gordyjski rozkaz księcia namiestnika Zajączka, który na tych gruntach budować pozwoił, a klasztorowi czynsz wieczysty właścicielom domów opłacać kazał. Kościół więc otwarty dotąd zacieśniał się coraz bardziej w murach miasta. W samej zaś ulicy na cmentarzu kościelnym stanął niedawno piękny posąg Najświętszej Panny, co noc oświecany lampą: sprawia to widok wspaniały i myśl wznosi do nieba, bo zawsze ta postać święta w bieli z dziecięciem na ręku i z głową, którą otacza aureola promieni, postać na którą cudownie spada światło jakby jaki odbłysek fantastyczny, jest wysoce religijno-poetyczną postacią dla mieszkańców Warszawy. Składki też na to światło nocne przed posągiem od pobożności zależą. Ojcom reformatom winna Warszawa i sam ten pomysł i dzisiejszą rzeczywistość, a pomysł to piękny i udatny, kiedy wzniosły się do tego czasu nowe przed inszemi kościołami posągi i kiedy lampy przed nimi jak przed Najświętszą Panną w ciemnościach nocy goreją.

W r. 1851 kościół reformacki wrócił do zakonnej ciszy z przeniesieniem się parafii ś-go Jędrzeja do nowego kościoła. Była też to najstosowniejsza chwila dla tak gorliwego gwardyjana jakim

jest dzisiaj ksiądz Paweł Stopiński do zaprowadzenia wielu wewnętrznych napraw i w kościele i w klasztorze. Pomiedzy innymi reformami potrzeba téż wspomnieć o nowém uporządkowaniu biblijoteki i opisywaniu jéj zbiorów, zwłaszcza rękopiśmieniowych, do czego wziął się z całym zapalem ksiądz Paweł.





KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO JERZEGO KANONICZEK
przy ulicy Senatorskiej.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} JĘDRZEJA

KANONICZEK

NA ULICY SENATORSKIÉJ (a).

W dziejach kościoła Ś. Jędrzeja można rozróżnić trzy doby. Najprzód byli tutaj jezuici, potem parafija, nareszcie kościół ten w zamian za swój dawny na Marywilu otrzymały kanoniczki.

Podobno któryś z Daniłowiczów, podarował w Warszawie jezuitom rawskim różne place i grunta, które ciągnęły się obok sławnego pałacu Daniłowiczowskiego, wznoszącego się na przedmieściu. Darowiznę tę pierwsza zawierucha szwedzka zamitnęła. Tymczasem i rodzina Daniłowiczów wygasła, z czego korzystając i ci i owi, na gruntach komu innemu przekazanych własnością popostawiali sobie budynki i pozakładali ogrody. Jezuici rawscy późno dopiero obejrzel się i w bezkrólewiu po Janie Sobieskim zaczęli proces z Szałapskimi, na których głównie wi-na przywłaszczenia ciążyła. Z dowodami w ręku wygrali łatwo sprawę, lubo Szałapscy broniąc się, wmieszali do sporu Grzybowskiiego kasztelana inowrocławskiego i karmelitki warszaw-

(a) Obszerną historyją tego kościoła ogłosiliśmy już poprzednio w Bibliotece Warszawskiej z r. 1850, pod tytułem: „Kościół Ś. Andrzeja i Kanoniczki w Warszawie.” Spory tom utworzyłby się, gdyby tę rzecz oddrukować osobno. Sprostowania do pierwszej części téj naszej historyi dał także w Bibliotece z r. 1850 Franc. Maks. Sobieszczański.

skie. Ostateczny wyrok zapadł na d. 15 lipca 1701 r. Grunta puste przyznano jezuitom, budynki zaś kasztelanowi. Odtąd mamy już ciągle ślady jezuitów rawskich w Warszawie. W roku 1702 zaciągnęli dług na reperacyją pałacu Daniłowiczowskiego, potem urządzali swoje stosunki i posiadłości, wreszcie od r. 1715 występują już ciągle, jako osobna rezydencyja warszawska. Wtenczas znalazł się naszemu kościołowi dobrodziej w osobie Teodora Potockiego biskupa warmińskiego.

Posiadał Potocki blisko tych jezuitów pałac swój na ulicy Senatorskiej. Dawny ich uczeń i wychowaniec, był teraz ich sąsiadem. Nic więc dziwnego, że pańską hojnością zaczął nawiedzać dawnych nauczycieli. Postawił im kościółek czyli raczej kaplicę, a do niej następnie dodał dwa domy zupełnie nowe i ozdobne, i w podwórzu stajnie i zabudowania gospodarskie: drzwi wszędzie były dębowe, okna wszędzie w olów poprawne. Że miał szczególne nabożeństwo do drzewa Krzyża Ś. i że pod tém wezwaniem stawiał tu i owdzie ołtarze i kaplice, przeto i ten mały kościółek jezuicki ochrzcił Potocki imieniem Ś. Krzyża. Budowla znaczne summy kosztowała. Ołtarz wielki drewniany pozłocisty, był z obrazem Zbawiciela ukrzyżowanego, miał dwa ołtarze po bokach mniejsze, Ś. Franciszka Ksawerego i Stanisława Kostki, i dwa inne jeszcze na cześć ŚŚ. Ignacego i Józefa. Przystrój wewnętrzny kościoła był dębowy; organy i dzwony Potocki sprawił, toż samo zegar; ambona była lana cała z żelaza. Sufit gipsowy z kolumnami jonickimi przy ścianach. Cały murywany był nie wielki kościółek, ale piękny. Srebro, tudzież wszelkie naczynia kościelne, dał sam założyciel i Stefan brat jego rodzony, referendarz koronny, który brał żywy udział w fundacyi i z pobożną żoną swoją skupował sprzęty do zakrystyi.

Poświęcenie kościoła odbyło się z nadzwyczajną wystawnością. Kilku albowiem biskupów otworzyło nabożeństwo w tym nowym domu Bożym. Potocki, który tylko co został prymasem, przewodniczył uroczystości. Piotr Tarło biskup poznański, po-

święcił kościółek i mury klasztoru, sam Potocki pierwszą mszę tutaj odprawił, a Kunicki sufragan krakowski, krewny księcia prymasa, pierwsze z ambony w tym kościele powiedział kazanie (w r. 1722).

Książę prymas lubił bardzo cichy swój kościółek, czego za życia bardzo nawet często dawał dowody.

Sypał książę prymas ciągle dla jezuitów tutejszych jałmużnami, ile że często u nich przemieszkiwał w celach, które umyślnie zbudował dla siebie. Bywało tak nieraz, że przyjechawszy ze Skierniewic, dwór odsyłał do pałacu prymasowskiego, a sam stawał u Ś. Krzyża. Ile razy wypadło mu być podczas postu wielkiego w Warszawie, tyle razy rekolekcyje odbywał u Ś. Krzyża. Lubił też Potocki pamiątki swojej rodziny przywiązywać do murów tego kościółka, stąd śluby małżeńskie krewnych swoich zwykle u jezuitów koronnych błogosławił. Nie raz to wychodziło na dobre samemu kościołowi. Tak z okoliczności wesela wojewody kijowskiego, książę nawiózł do kościoła wiele bogatych ornatów, kap, całej bielizny świętej, świeczników i ozdób do ołtarzy; świeczniki te były srebrne wielkie, toż pacyfikały czyli relikwijarze i krzyż srebrny wielki; krzyż był z trupią główką, pacyfikał z relikwijami, wszystko herbem prymasa ozdobne, misternej roboty i wielkiej ceny. Nie pierwsza to była dla tego kościoła ofiara ze sreber, ale tę „argenteryją“ podziwiali wszyscy, jako piękny i bogaty dar prawdziwie pański i książęcy (1732). W bezkrólewiu po Augustie II, nie wychodził prawie książę od jezuitów. W ciągu tych lat kilku, często odzywał się z tutejszj ambony dignissimus ecclesiastes prałat gnieźnieński, ksiądz Sieniński, poufny doradca księcia prymasa i prawa jego ręka. Ostatnim już podarunkiem Potockiego dla Ś. Krzyża, było uposażenie kościółka w dobra ziemskie. Mieli jezuita pewne summy na Łazniewie, wiosce położonej o półtorej mili od stolicy: Potocki spłacił właściciela, skupił też dług augu-
styjanów warszawskich, które na tej wsi ciążyły i trzecie jeszcze

pretensyje, poczem Łaźniewo podarował jezuitom, zapisując pojedyncze summy to na „sustentowanie pomienionych ojców,” to na „opalenie lampy przed Najświętszym Sakramentem, na воск, świece i inne potrzeby do kaplicy na gruncie Daniłowiczowskim istniejącej.” (1731 — 6).

Ze śmiercią Potockiego (w roku 1738) wiele jezuiti koronni stracili, jednakże nie zbywało kościolkowi Ś. Krzyża i tak na dobroczyncach. Zbogacili się prędko, oprócz bowiem znacznych summ, na różnych dobrach lokowanych i Łaźniewa, w samej Warszawie posiadali dziewiętnaście kamienic i domów. Księży też wielu mieszkało przy téj rezydencji. Ostatnim jég rektorem był ks. Tomasz Grodzicki, który w 1773, doczekał się kassaty zakonu, na której się kończy pierwsza doba historyi naszego kościołka.

Drugą jego epokę rozpoczyna probostwo. Myślał król Stanisław co ma zrobić z jezuitami, których tyle mu pozostało, ludzi światłych i pożytecznych, niemających teraz i kątko schronienia. Rozposażył jak mógł innych, ale dla Wyrwicza nie tak łatwo było znaleźć miejsce, zwłaszcza, że go chciano utrzymać w Warszawie. Przyszło na myśl tedy królowi, żeby dla Wyrwicza zrobić nowe probostwo w Warszawie i spotkał się tutaj w jednéj myśli z biskupem Młodziejowskim, który już dawno czuł potrzebę lepszego urządzenia i powiększenia nawet liczby parafij warszawskich, bo wszystkie dotąd były za obszerne i za ludne. Stąd już w dniu 18 maja 1774, rok jeszcze cały nie upłynął od kassaty, biskup z kościołka po-jezuickiego Ś. Krzyża, utworzył tymczasowo nowy kościół parafijalny dla przedmieść warszawskich: jednocześnie zmienił tytuł dawny kaplicy Potockiego, żeby przyszłych nieporozumień nie było, gdy już jedna parafija stolicy nazywała się Ś-to Krzyżką. Odtąd kościółek nasz nazywa się do dziś dnia kościołem Ś. Jędrzeja. Ze trzech innych parafij oddzielono do niego bliższe okolice, ale najwięcej na tém straciła kolegijata. Erekyi wydać od razu biskup

nie mógł, aż do czasu kiedyby się stanowczo funduszami jezuitami rozrządziła rzeczpospolita. Przeczuwano jednak niedogodność ku rozleglejszym teraz celom przeznaczonego kościółka, był bowiem za szczupły dla parafii: dla tego już wtenczas radzono, żeby go rozprzestrzenić i szerzej rozbudować zwłaszcza, że placów nie brakło. Następnie pierwszym proboszczem Ś. Jędrzeja został Wyrwicz; młodzi jezuici tutejsi zmienili się zatem na wikaryjuszów, których seniorem został dawniejszy rektor Tomasz Grodzicki.

Pospiech stanowił wszystko: szło tylko naprzód, jak widzieliśmy o umieszczenie Wyrwicza, reszta dopiero potem znaleźć się miała. Ale téj reszcie tak zaradzono, że powoli zaczęto przenosić nabożeństwo parafijalne do kościoła znacznie obszerniejszego a pobliskiego księży reformatów. Gmach Ś. Jędrzeja tracił więc po kolei swój blask, na który nie zasłużył. Mniejsze albowiem tylko nabożeństwa parafijalne tutaj odbywano, w święta zaś uroczyste, gdy kościół objąć nie mógł pobożnych, udawano się do reformatów: proszono ich o to raz i drugi, żeby kościoła swego pozwolili, a potem jakoś w zwyczaj to weszło; nareszcie zmieniło się to w prawo, a wielka szkoda, bo gdyby rozprzestrzeniono, jak był plan pierwotny, kościół Ś. Jędrzeja, znakomitejby ozdoby przybyło stolicy w tych stronach. Już kiedy Młodziejowski otwierał miłościwe lato, wprowadzie u Ś. Jędrzeja rozpoczął sam mszą śpiewaną nabożeństwo (19 maja 1775), ale zaraz kazał przenieść je do reformatów, bo miejsca nie było w dawnym po-jezuickim kościele. Kiedy więc parafija z konieczności gdzie indziej się chroniła, Wyrwicz przy swoim kościółku przytulił starość nie jednego z rozbitków Lojoli. Tak było do roku 1780 i dnia 30 kwietnia, w którym Wyrwicz w ręce Grodzickiego złożył probostwo, co władza duchowna zatwierdziła ze swojej strony. Grodzickiego nazywano apostołem Warszawy; niezmordowany był też w ceremonijach i w opowiadaniu słowa Bożego, była to bardzo popularna swojego czasu postać. Za niego Okę-

cki wydał dla parafii Ś. Jędrzeja kanoniczną erekcją (6 grudnia 1782 r.). Dowiadujemy się przytém, że przy naszym kościele jezuitskim istniało bractwo Opatrzności Boskiej, udarowane odpustami rzymskimi. Grodzicki uporządkował szczupłą kościoła bibliotekę i na nią jedną wielką izbę w budynkach parafijalnych przeznaczył. Oczekiwał téż z dnia na dzień zapowiedzianej od dawna wielkiej chwili, w której się wybuduje wielki kościół dla parafii, ku czemu myśl i serce skłaniając, już zawczasu grunt rozmierzył i wytknął na nim linie nowej budowy. Zaprowadził nowe zwyczaje i porządki. Usilnie się starał o zaprowadzenie do swojego kościoła bractwa Zwiastowania Matki Boskiej, które założone w stolicy świata katolickiego, po całej ziemi rozszerzyło się i posiadało wielkie odpusty. Rzeczywiście w samo Zwiastowanie 1785 r., biskup kijowski, bractwu Zwiastowania otworzył podwoje Ś. Jędrzeja. Wszystko to było dobrze, ale najdroższej myśli ks. Grodzickiego nie stało się wcale zadosyć, kościółek jego nie rosł w nowe kaplice, w nowe się ołtarze nie przystrajał. Wprawdzie Helena Ogińska kasztelanowa wileńska ofiarowała 40,000 na mające się rozpocząć budowy i na stały fundusz probostwa; Barbara księżna Sanguszkowa marszałkowa wielka litewska, zapisała na ten cel także 7,000 złp., ale kiedy jakoś wkrótce niedługo po sobie umarły obiedwie świętobliwe niewiasty i ta ostatnia nadzieja zdawała się niknąć. Drukował więc tylko Grodzicki swoje kazania i nauki parafijalne, aż doczekał się najsmutniejszych czasów dla swoich marzeń ulubionych: rząd pruski zabrał kościołowi Łaźniewo i o budowie kościoła już ani mowy być nie mogło. Umarł w r. 1802 wśród nabożeństwa.

Następcą Grodzickiego był jako proboszcz ex-jezuita także, Jan Barszcz (Bartsch) człowiek bardzo uczony, bardzo świętobliwy, kapłan przenajzaczniejszy, dawniej bibliotekarz Załuskich. Spłacił długi swojego poprzednika i z dochodów parafii postawił nowy dach nad kościołem i domem mieszkalnym, bo dawny groził ruiną. Stąd go zwano w urzędowym języku „instaurator

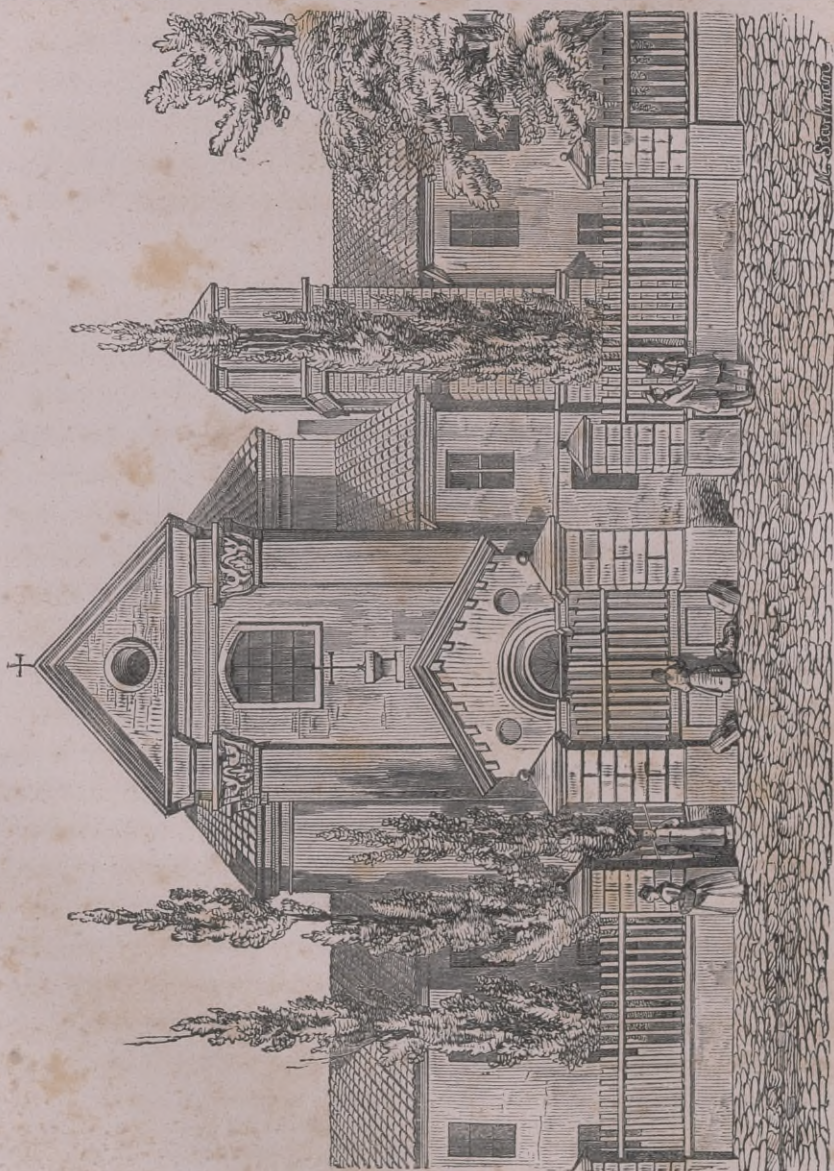
praepositurae.“ Kiedy umarł (w 1810), proboszczem po nim został ks. Maciej Węgierski, później dziekan metropolitalny warszawski, który umarł już za naszych prawie czasów, to jest w r. 1836. Za Węgierskiego kończy się druga doba historii kościółka Ś. Jędrzeja, którą nazwaliśmy parafijalną.

Kanoniczki przeniosły się wreszcie do kościoła Ś. Jędrzeja z Marywilu, w którym pierwotnie je osadziła założycielka kapituły, pani Zamojska. Kiedy Warszawa po r. 1815 zaczęła się przystrajać coraz więcej w ozdobne gmachy i przybierać postać stolicy kraju, rząd postanowił znieść klitki, które zajmowały cały obszerny plac marywilski i na tém miejscu wystawić jakie gmach wspaniały ku wygodzie i ozdobie. Kanoniczki więc rade nierade usunąć się musiały z dawniej posady swojej; zyskało na tém zgromadzenie i sam kościół Ś. Jędrzeja. Kościół nasz nie miał albowiem do tego czasu facyjaty, a że się do niej różnemi czasy widać brano i raz wraz przerabiano, właśnie w owęj epoce przeniesienia się kanoniczek z Marywilu, miał ją zasłonioną drewnianemi tarcicami; oprócz tego cztery kolumny również były niedokończone i mur przed kościołem daleko na ulicę wystawał, Brzydką była postać tak nieforemnego kościółka, ale miała zniknąć i lada chwila w czyściejszych i wspanialszych ukazać się szatach. Postanowienie księcia Namiestnika Zajączka, które urządziło kościołek ów dla kanoniczek, wydane było d. 5 sierpnia 1817 r. Skarb przeznaczył z funduszków miejskich 55,000 zlp. na potrzebne upiększenia i naprawy, których plan i anszlag nakreślił Piotr Aigner budowniczy. Na wielką skalę dokonano przerobienia. Oprócz albowiem ścian i drzwi środkowych, wszystko stanęło w kościółku nowe, to jest: dach, facyjatai gzyms, sufit, mur nad frontem, cztery owe kolumny i t. d. Do tych nowo przerobionych gmachów przeniosły się kanoniczki już za przewodnictwa dzisiejszej ksieni Teresy Karśnickiej. Cesarz Aleksander zatwierdził dla nich darowiznę gmachów Ś. Jędrzeja, w d. 23 listopada 1819 r. i chciał żeby ta cała odnowio-

na posada Ś. Jędrzeja nosiła odtąd na zawsze nazwisko nowego Marywilu, na pamiątkę starego.

Na funduszach nie straciły też nic kanoniczki przez to przeniesienie się swoje do Marywilu. Pobierają albowiem corocznie z kassy ekonomicznój 53,000 złp. Proboszcz ustąpił im wszelkich praw do zabudowań Ś. Jędrzeja, za co osobno wynagrodzony został. Rząd nadto przykupił do kościołka z funduszów miejskich kamienicę na ulicy Bielańskiej za 600,000 i podarował ją kanoniczkom; urządzono z niej dogodnie bardzo przejście do kościoła i dawnych zabudowań parafijalnych. Kapitały jednak upadły, bo główny fundusz kanoniczek opierał się na dobrach Tygieniaffskich, które leżały na Pomorzu, a które zaraz pierwszym podziałem dostały się królowi pruskiemu. W roku 1811 jeszcze przez licytacją sprzedano dobra Rydzew i Chotów, na których umieszczone były szczątki summy tygieniaffowskiej.





KOŚCIÓŁ KSIĘŻY TRYNITARZY
przy ulicy Solec.

KOŚCIÓŁ Ś^tej TRÓJCY

KSIĘŻY TRYNITARZY.

NA SOLCU (*).

Jest podanie zanotowane przez historyka zakonu (Facies chronologica i t. d. a patre fratre Onuphrio a S. S. Sacramento i t. d. conscripta, we Lwowie 1748 na str. 275), że Jan III, który sprowadził trynitarzy do Polski, chciał im klasztor założyć w samej Warszawie. Ale za radą Maryi Kazimiry, która więcej sprzyjała francuzom i włochom jak hiszpanom, fundował kapucynów. Jednakże pierwsi trynitarze przybyli do Warszawy już po zwycięstwie wiedeńskim (22 maja 1685 roku), a więc po fundacyi kapucynów. Jechali prosto z Madrytu i byli rzeczywiście hiszpanami; nasi chodzili boso, bo była też osobna gałąź trzewickowych trynitarzy. Odjechali potem do Lwowa i tam pierwszy założyli klasztor. Druga osada zakonników Ś-tėj Trójcy pojawiła się w naszym mieście, we trzy lata później, ale już na stałą siedzibę. Sprowadził ich ze Lwowa biskup poznański Witwicki, i nadał im po za miastem t. j. po za ulicą Zakroczymską na gołym polu niedaleko od Wisły kaplicę S-go Krzyża, którą ostatniemi czasy zwano kościółkiem gwardyi (23 lipca 1688 r.). Nie mieli

(*) Adryjan Krzyżanowski pisząc swój „Pogląd na powołanie, dzieje i sprawy zakonu trynitarzy w Polsce,” pisał też i o klasztorze ich warszawskim w Pamiętniku religijno-moralnym T. 20, str. 501 i T. 21, str. 1 i nast.

tam księża wygody, bo mieszczenie szczupłe i daleko było od miasta; woleli kościółek Ś-to Krzyski zostawić dla starców, wysłużonych zakonników, którzy siły stargali w podróżyach po krajach niewiernych za niewolnikami, a sami pragnęli przyjąć większą fundacyją w mieście na dwunastu przynajmniej księży, jak ich prawidła wymagały. Otóż królowa, która podobno przeszkadzała poprzednio fundacyi trynitarzów w Warszawie, chciała teraz naprawić swój błąd i los ich ustalić. Wymówił się raz Otto Felkerzamb wojewoda czarniechowski, który z całym domem swoim przeszedł do wiary katolickiej i bardzo był pobożnym człowiekiem, nawet raz przez sejm wysłany, budował kościoły w Inflantach, wymówił się, że chciałby fundować trynitarzy w Warszawie. Doszło to do uszu Maryi Kazimiry, a że czas płynął i Felkerzamb słowa nie dotrzymał, zapytała go raz na pokojach królowa, co jest przyczyną téj zwłoki? Na to rzekł wojewoda, że nie wyszukał jeszcze stosownego miejsca na klasztor. Królowa obiecała mu w tém dopomódz i miejsce wyszukać. Przyjechała więc z panią Felkerzambową (z domu Elżbietą de Windischgrath) pewnego dnia na Solec do dworku, który sobie świeżo co kupił Matczyński wojewoda ruski i stargowała u niego ów dworek za 40,000 zł., które Felkerzamb zaraz wypłacił; było już tedy miejsce, tylko nie było kościoła. Miasto, na którego gruncie stał ów dworek protestowało, bo Matczyński czynsz do niego płacił, który teraz mógł przepaść. Ale w tém już król jegomość poradził; kanclerzowi kazał zwołać starszyznę miasta i oświadczyć jéj, że to króлева wola, by fundacyja przyszła do skutku, więc mają nie burmistrzować i ułożyć się powinni dobrowolnie. Spisano akta sprzedaży i darowizny, które król kazał do metryki koronnój zaciągnąć. Felkerzamb zaś czynsz miasta dalszy zapewnił. Rozochociwszy się potém wojewoda, zapisał trynitarzom summy na wsi swojej Oltarzewie pod Warszawą, a w dzień poświęcenia kaplicy zrobił drugi zapis, i raz wraz pamiętał o swojej fundacyi.

Trynitarze przenieśli się tedy od Ś-go Krzyża na Solec i zajęli

dworek Mateczyńskiego 4 sierpnia 1693 roku. Felkerzamb zaraz obok zaczął dla nich stawiać kaplicę, w dworku zaś porobił stancyje i stosowne porządki. Kiedy trwała fabryka, nowe pojawiały się burze na horyzoncie. Nie łatwo przychodziło trynitarzom osadowić się w Warszawie. Gniewał się proboszcz ujazdowski na takową fundacyją, która bez jego wiedzy stawała w jego parafii, a mogła mu przynosić uszczerbek w dochodach. Popierali go silnie mansjonarze od ś-go Jana, do których należał kościół ujazdowski, i na téj zasadzie domagali się owego czynszu, który Felkerzamb obiecał miastu płacić. Do tego nasi księża zażądali od biskupa, żeby im ze trzech dzwonów kaplicy Ś-go Krzyża kazał wydać największy na téj zasadzie, że 500 zlp. swoich wydali na potrzebne naprawy w kaplicy; przeciw téj pretensyi powstało znowu miasto. Ksiądz Witwicki spory godził zawsze na stronę trynitarzów, dzwon im przyznał, mansjonarzy do prawa z miastem odesłał, z parafiją kanonicznie stosunki urządził. Kłopot tylko był potém przez czas niejaki z miastem, które wciąż czynszu brać nie chciało, obstając za swoim prawem własności. Mansjonarze zaś przegrali sprawę w sądzie oficcyjała warszawskiego księdza biskupa inflanckiego, który im appellacyi do nuncjusza nie dopuścił. Wreszcie na dniu 21 listopada 1693 r. zjechał Witwicki z dwoma drugimi biskupami na Solec, to jest z chełmińskim Kazimierzem Szczuką, i z inflanckim Popławskim w gronie wielu prałatów; licznych znowu gości sprosił na tę uroczystość sam Felkerzamb. Witwicki kaplicę poświęcił i pierwsze w niej odprawił nabożeństwo, założyciel zaś gości uraczył obiadem w samym klasztorze, poczem biskup oddał zabudowania trynitarzom i ogłosił klauzurę zakonną.

Po tych przygotowawczych robotach, zaczęła się budowa już nie tymczasowego, ale na większą skalę klasztoru. Zwłóczył wprawdzie Felkerzamb lat kilka, i tylko w dworku to i owo ciągle przerabiał, ale czynniiej wziął się do dzieła po śmierci króla Sobieskiego, który go tylko co posunął na wyższe krzesło woje-

wódtwa inflanckiego. Cały rok 1698 zwożono na plac cegły, wapno, kamienie i drzewo: robota zaczęła się dopiero w r. 1699 a szła bardzo gorąco pod nadzorem samego wojewody. Mury już się wysoko wznosiły, kiedy wojna szwedzka przerwała nagle roboty. Nieszczęście mieć chciało, że w tymże jakoś czasie umarł stary już Felkerzamb (27 listopada 1705 r.). Ostatki życia swojego marzył jedynie o tém, żeby ciało jego spoczywało w grobach kościoła trynitarского, ale nie doczekał się wojewoda radosnej dla siebie chwili ukończenia fabryki; stąd ciało jego złożono tymczasowo u kapucynów (2 grudnia). Szedł za tą klęską nieuchronny upadek fundacyi: nikt bowiem z pokrewnych, lub dziedziców wojewody nie uważał się za obowiązane dalsze koształożyć na budowę; stąd mury bez dachu na śniegi i deszcze wystawione marniały, a przyszła do tego zaraza i zabierała zakonników. W roku 1708 ustała wreszcie robota nawet około zabezpieczenia murów, bo księża zwiłali się tylko pomiędzy ludem i niosąc mu pociechy religijne, z kolei jeden za drugim wymierali. Opustoszał wreszcie tak klasztor, że sąsiedzi zamknęli go i wzięli klucze do siebie. Kiedy ustała klęska, starsi z różnych klasztorów poprzysyłali wprawdzie na Solec księży. Wyrывała zaraza nowe ofiary z pomiędzy zakonników, ale na dobitkę okropny wylew Wisły (1 sierpnia 1713 roku) najwięcej znowu przeraził wszystkich. Woda wzniosła się do wysokości przeszło dwóch łokci po nad pokład dziedzińcowy klasztoru, który wprawdzie różnych z tego powodu szkód doznał, ale przynajmniej ratował go Bóg od chorób, które znowu ludzi nękały. Prezydent ówczesny klasztoru, trzeci na tym urzędzie polak, (bo dotąd rządili w Warszawie sami hiszpanie, a było ich aż siedmiu po kolei) zapisał w protokóle życzenie, żeby klasztor przenieść na inne miejsce więcej dogodnie i od wylewów zabezpieczone, ale żał mu było i Solca, bo dalej robi uwagę, żeby starając się o to nowe miejsce dawnego nie porzucać, które bardzo

wygodne jest, bo rzeka blisko i splaw dla tego doskonały, a przytém dowóz drzewa i zboża lepszy jak gdzie indziej.

Rzeczywiście była myśl, żeby się trynitarze przenieśli na górę do środka miasta. Anna z Chodorowskich księżna Wiśniowiecka potem Dolska, darowała na ten cel naszym zakonnikom dworzec swój na ulicy Ossolińskiej (dziś Królewskiej), zwany Wydźgowskim dla tego, że był niegdyś prymasa Wydźgi własnością (1702). Starsi ze Lwowa pozwolili trynitarzom warszawskim przenieść się do tego dworca (12 kwietnia 1703 r.), ale trudno o tём podówczas myśleć było. Wylew ów Wisły na nowo, jak widzim, zbudził obawy i myśli. Nie tylko w Warszawie ale i w Rzymie lękano się o klasztor solecki. Kardynał Franc. Passini pisał o tём do biskupa poznańskiego Bartłomieja Tarły (14 listopada 1713 r.) i księżna Dolska gorąco tego przeniesienia się pragnęła, zajął się więc tą sprawą gorąco zacny biskup, ale trudność nadzwyczajne się pokazały i na projekcie skończyło się wszystko. Trynitarze więc jak dawniej, tak i teraz dworzec swój wypuszczali dzierżawą, najprzód prywatnym, później królom sasom: mieściła się tutaj pospolicie straż i służba pałacowa obudwu Augustówi która się nawet zabudowała na placach wydźgowskich, na czём klasztor nic wprawdzie nie stracił. Kiedy więc nadzieja zgasła przeniesienia się do miasta, Opatrzność zesłała naszemu klasztorowi kilku gorliwych prezydentów, którzy cudami pobożności i poświęcenia się więcej okazali, jak bogacze pieniędzmi, Byli to, Michał z rodu ormijanin, dziekan trynitarzy polskich, najzasłużeńszy w prowincyi zakonnik (prez. 1718—19), dalej ks. Hieronim włoch (od r. 1721): obadwaj ludzie uczeni, wiele na dobro klasztoru wpłynęli. Ostatni szczególnie, który dłużej tutaj rządził, lepiej zabudował place klasztorne; założył ogród i dokończył budowy kościoła. Wspierał go w tём przedsięwzięciu kanclerz Szembek i starościna stężycka. Znalazły się téż zapisy pośmiertne pani Felkerzambowój i dobrodzieje pośpieszyli ze składkami. Ojciec Hieronim zaraz ukończywszy kościół wewnątrz, kazał

do niego przenieść z drewnianej kaplicy Przenajświętszy Sakrament, obrazy i nowy posąg Pana Jezusa Nazareńskiego. Ożga biskup kijowski poświęcił zaraz kościół (w kwietniu 1726 roku). Te ostatnie lata są jeszcze dla klasztoru pamiętne, że go sławny patrijarcha naszych trynitarzy ksiądz Antoni Wielhorski jako prowincyjał zwiedzał po kilka razy (1713, 1720, 1726, 1727).

Król August znał osobiście z najlepszej strony księdza prezydenta z jego cnót, zasług i nauki, z jego znajomości języków, a zwłaszcza niemieckiego. Ztąd odwiedzał niekiedy w klasztorze księdza Hieronima. Za królem odwiedzali go na Solcu i panowie, do których umiał zręcznie trafiać ksiądz prezydent, a znał ich prawie wszystkich. Bywało nieraz, że król przyjedzie na te odwiedziny w licznym i pięknym orszaku panów. Ojciec Hieronim stawiał wtedy na stole na przyjęcie znakomitych gości wyborne owoce ze swojego ogrodu, a w darze dawał im prześliczne bukiety kwiatów. Nieraz te podarki z owoców i kwiatów figurowały na stołach w pośród komnat pańskich i królewskich: hojnie je rozsyłał ksiądz prezydent, a było co rozsyłać, klasztor solecki bowiem słynął ze swoich owoców i kwiatów. Oplacała się ta grzeszność, bo król i panowie często gęsto zostawiali tutaj jałmużnę na budowę kościoła, i ztąd to ubogi zakonnik mógł dokonać dzieła, na które sił nie stało bogatemu wojewodzie. Król zapaliwszy się raz do trynitarzy, postanowił im wyświadczyć niespodziankę. W Ujazdowie, w najpiękniejszym położeniu, założył ową sławną kalwaryję z wielą kaplicami, o której głucha wieść tylko w kronice Warszawy pozostała. Dozór nad tą kalwaryją powierzył trynitarzom, a klucze od niej oddał sam własną ręką księdzu Hieronimowi: co pięć lat mieli księża nasi odprawiać tam mszę w głównej kaplicy; w Wielkim zaś tygodniu chciał król, by w kalwaryi było wystawienie Przenajświętszego Sakramentu aż do wieczora w Sobotę Wielką przy wspaniałém oświeceniu, a w nocy żeby odprawiała się rezurekcyja. Od stycznia 1727 r. brali za to trynitarze pensyją z kassy królewskiej. Król August często

bywał w téj kalwaryi, i za każdą razą hojne zostawiał ofiary, bylbym i uposażył stosownie trynitarzy, gdyby mu w tém śmierć nie przeszkodziła.

Ojciec Hieronim już w r. 1728 powrócił do ojczyzny. Jeden z jego następców ksiądz Miller z Warmii rodem (1729—1744) odznaczył się także w dziejach klasztoru. Że księża nie mieli gdzie mieszkać, zaczął stawiać klasztor drewniany. Umiął tak ku sobie pociągać serca, że przy hojnych składkach postawił w kościele wielki ołtarz rzeźbiony i dwa male (ś-go Jana Nepomucena i ś-tój Barbary), dalej wzniósł wieżę; bielizny, ornatów i srebra samego prawie drugie tyle przybyło. Dla porządku wewnętrznego zaś i gospodarstwa zrobił bardzo wiele; powiększył bibliotekę, nabył młyn wodny na Wiśle, i przy niezmiernych wydatkach swoich zebrał kapitały, które umieścił na Oborach i Jeziornie; za niego téż klasztor nabył dobra ziemskie Falęcice i Lekarzycę pod samą Warszawą. Ojciec Gabryel z Lubelskiego (1746 do 1749, drugi raz od 1751—1757) wstępował w ślady Millera i klasztor ciągle wzbogacał w sprzęty i wewnętrzne ozdoby, ale rządy jego były to już świetne ostatki dobrego bytu zgromadzenia. Odniósł ojciec Gabryel liczne zwycięstwa nad przeciwnikami klasztoru. Pokonał proboszcza ujazdowskiego, który znów bronić zaczął kalwaryi: umiając brać się do rzeczy, uciekł się pod opiekę Maryi Józefy, pani, która jak dla wszystkich zakonów tak i dla trynitarzkiego miała nabożeństwo; będąc tutaj raz królowa na obchodzie uroczystości ś-tój Trójcy (dnia 29 czerwca 1748 r.) i darowała do skarbcza ornat z nową bielizną, z ozdobami do ołtarza. Owszem, za jój przyczyną król zatwierdził na piśmie na wieczne czasy ustne dotąd nadanie dla trynitarzy kalwaryi (12 sierpnia 1748 roku) i dalej dał im drugi przywilej, na mocy którego dwa już wtedy wodne młyny, które miał klasztor na Wiśle, uwolnił od wszelkich podatków ze względu, iż przy kalwaryi utrzymywali księża jednego z zakonnych braci (10 grudnia 1754 roku). Myślał jeszcze ojciec Gabryel o erekcyi arcy-

bractwa w swoim kościele ku czci Najświętszej Trójcy, ale z nim myśl przyprowadził do skutku, przeniósł się na prezydenta do Trynitopola w Wilnie (1757 roku). Jednym słowem ojciec Gabryel, o którego budowach i pracach wiele jest w protokóle klasztornym był znakomitością, ad plurima animum movens, wyraża się o nim kronika.

Falęcice i Lekarcice dwie wioski w ziemi czerskiej, były niegdyś własnością trynitarzy beresteckich na Wołyniu. Ale że leżały za daleko od swojego klasztoru, a długi na nich ciążyły, stąd nasi trynitarze soleccy długi splacili, i oprócz tego braciom beresteckim oddawszy umówioną kwotę, dobra czerskie wzięli na siebie jako własność (1730 roku). Trynitarze beresteccy dokonali w tém wszystkiém więcéj dzieła miłosierdzia jak sprawiedliwości, bo pożalili się warszawskiego klasztoru że ciągle znosił biedę, będąc od nrodzenia się swojego uboziuchnym. Ale nadzieje zawiodły: kupili sobie albowiem nasi księża przez tę zamianę dóbr kłopot, który na długie lata odebrał im spokojność. Wielu szlachty posiadało części w tych wioskach, inni pozoru tylko używali, aby nękać klasztor: słyhać więc tylko było u księży o zapozwach i processach przez drugie lat 56. To zajścia graniczne i sąsiedzkie, to splata długów które na dobrach ciążyły, to nowe pretensyje rozdymały ogień. Raz nawet obiedwie te wioski zajechali panowie Wężykowie Rudzcy, a kiedy po latach trzech ustąpili z nich, zostawili księżom pustki i nowe długi do splacania. Przez kilka pokoleń trwała ta wojna: po Pawle Boskim podkomorzym czerskim, wstępował naprzykład w jego pretensyje syn chorąży; po Wężykach nowy zjawił się nieprzyjaciel Ignacy Rychłowski poseł na sejm delegacyjny i rwał wtedy jak wszyscy co można rwać było. Rychłowski wywiódł u króla, że Falęcice i Lekarcice nie miały pana, i otrzymał te dobra na siebie kadukiem (1775 roku). Okropne było położenie klasztoru: pretendenci domagali się spłaty ogromnych summ jak na biednych zakonników, daléj inne kapitały pomniejsze zginęły w powszechnéj zawie-

rusze; dochód z dworcu wydźgowskiego najprzód mały, potem zupełnie się urwał, zaległy podatki za lat 6, i rząd wszystkie czynsze klasztorne zasekwestrował na swoją korzyść, wreszcie i ów dworzec wystawił na sprzedaż publiczną, a tutaj trzeba jeszcze było funduszków na obronę od wrogów, trzeba jeździć do Poznania, Kalisza i Piotrkowa. Spokojności cokolwiek zjednał dla klasztoru Ignacy Potocki dziedzic Kurowa, potem marszałek wielki litewski, który wziął summy trynitarzy i na swoich dobrach je umieścił (1779 roku). Summy te powstały ze sprzedania obydwóch wsi, kiedy księża ostatecznie wygrali proces.

Współcześnie prawie z temi wypadkami stanął nowy na Solcu i murowany klasztor. Kasztelanstwo wileńscy Ignacy i Helena Ogińscy, pierwszą na ten cel składkę ofiarowali; kiedy umarł kasztelan, żona jego ciągle hojnie wspierała klasztor, i testamentem jeszcze zapisała mu przeszło 20,000. Ogińscy tedy różnemi czasy dali na tę budowę do 60,000. Do tego przyczyniły się inne składki, i dnia 19 maja 1773 roku położono kamień węgielny. Kościół w rychłe stanął. Całą także rodzinę baronów Symonowiczów wdzięcznie z tego czasu wspominają kroniki klasztoru. Mimo to wszystko, nędza ciągle trynitarzom dokuczała.

Za czasów pruskich znowu tak klasztor podupadł, że officyjał Prażmowski myślał go już zamknąć na rozkaz rządu. Rząd również zabrał im papiery i dowody i odesłał je do Galicyi; stąd zaledwie już po roku 1815 trynitarze odzyskali swoje summy kurowskie i oparli je tą razą już w okolicy miasta na Willanowie. W lat kilka potem zyskali fundusze po skassowanym klasztorze braci swoich lubelskich, który przeniesiono do Warszawy; chciano z początku te fundusze zabrać na skarb, ale je biskup Skarszewski uratował podobno dla zakonu (1817—1819 r.). Świadkiem tych ostatnich zapasów klasztornych ze śmiercią był ksiądz Jan Walewski wołyńnianin, który najdlużej może, bo przez lat 9 był tutaj ciągle w najgorszych czasach prezydentem (1810—1819), a poprzednio lat 6; przecież szczęśliwy był że wybrnął z toni,

ale też w ostateczności chwycił się tonąc brzytwy, wynajął większą część murów i zabudowań klasztornych na wyroby górnicze (1816 roku).

Trzej przedsiębiorcy założyli tutaj zakład wyrobów chemicznych w roku 1826, a od r. 1833 stali się wieczystymi dzierżawcami tych zabudowań, przez co klasztor stracił trzy części swoich gmachów i ziemi. Ostateczną o to ugodę niepytając się nikogo, przewiódł ksiądz prezydent Aleksander Pawłowski (1829 do 1850). Księża zostali przy szczupłym odtąd czynszu, a w pozostałej czwartej części swojej siedziby nie mają już ani świeżego powietrza, ani wygod, ani miejsca na bibliotekę klasztorną chociaż szczupłą. Dzisiejszy prezydent ksiądz Seweryn Smółski przez prowincyała ostatniego przysłany z Antopola do Warszawy na prezydenta (1850 roku) ma rozpocząć sprawę o dobra klasztorne.

Dnia 1 lipca 1821 roku obchodzili tutejsi trynitarze na Solcu uroczystość ubłogosławienia drugiego swojego założyciela Jana Babtysty od poczęcia Najświętszej Panny Maryi za prezydencji księdza Michała Kaupowicza żmudzina.

Celem głównym trynitarzy było wykupno niewolników chrześcijańskich z rąk tureckich. Klasztor warszawski zawsze biedny, który całe życie walczył ze śmiercią, najmniejsze tutaj mógł położyć i położył zasługi. Pamiętne jest tylko w rocznikach tutejszego zgromadzenia wykupno Antoniny z Kobielskich Błonskiej, którą Turcy za konfederacyi barskiej, ze wsi własnej Bohawic o milę od Kamieńca Podolskiego, uwieźli razem z sześciorgiem dzieci (w czerwcu 1768); mąż jeden tylko ratował się ucieczką. Cierpiała wiele nieszczęśliwa matka, dzieci jej posprzedawane w inne kraje przepadły, t. j. córka dziewiętnastoletnia i syn szesnastoletni i t. d., jedna mała córeczka umarła; aż przecie Bóg się nad nią ulitował, a król Stanisław dowiedziawszy się o nieszczęściu téj kobiety i matki, kazał ją trynitarzom wykupić. Przyjechała na Wenecyję, Wiedeń i Kraków z jednym tylko synem

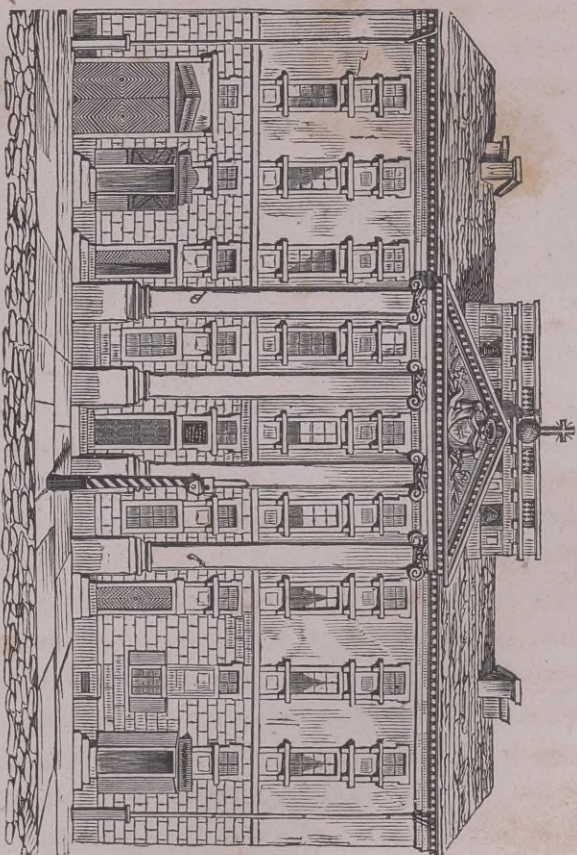
do Warszawy 12 października 1774 r., a miała z sobą w niewoli dzieci sześcioro !! Niezmierne współczucie obudziło się dla pani Błońskiej w stolicy; dobrze się kiedyś miała, a dzisiaj bez sposobu do życia, wyciągała ręce po jałmużnę, znalazłszy łaskawy przytułek u missyjonarzy. Przed królem stanawszy na zamku (16 października), opowiadała mu i panom o swojej ciężkiej niewoli. Miała wtenczas lat 38, syn zaś jój lat 9. Król jój pensyją ze swego skarbu wyznaczył. Mały Błoński umarł niedługo na głowę (18 czerwca 1772 roku), pochowany w klasztorze na Solcu.

KOŚCIÓŁ WNIEBOWZIECIA N. P. MARYI

KSIEŻY BAZYLIJANOW.

NA ULICY MIODOWEJ.

Na Podwalu w pałacu metropolity ruskiego, mieściła się mała kapliczka i rezydencyja z trzech zakonników złożona, dla wygody przychodniów i mieszkańców warszawskich obrządku ruskiego. Powstała dopiero za królów saskich, bo wtedy co raz częściej metropolici do Warszawy przyjeżdżali i co raz częściej zamieszkiwali w stolicy wyznawcy tego obrządku. Była oprócz tego druga mała także kapliczka na Lesznie. O tych dawnych przed-historycznych prawie czasach bazylijanów w Warszawie, jedno tylko mamy podanie: uroczyscie odbyło się do kaplicy na Podwalu wprowadzenie bractwa ś-go Onufrego z kolegiaty, czemu towarzyszyła cała kapituła ś-go Jana, kler miasta i magistrat; bractwo wprowadzał ksiądz Załuski referendarz koronny (22 czerwca 1745 r. Kuryer polski Nr. 446). Lubo są pogłoski, że już stale od roku 1721 osiedli bazylijanie w Warszawie i na Podwalu, najdawniejsza to data jednak pewna o téj kaplicy i bazylijanach w naszej stronie. Zaczynali świetnie, bo od uroczystości.



KOŚCIÓŁ KSIĘŻY BAZYLIJANÓW
przy ulicy Miodowej.



Później pokazała się potrzeba gwałtem większego kościoła dla nabożnej Rusi. Metropolita co raz częściej bywał w stolicy była to bowiem chwila kiedy się już gotowało dla niego miejsce w senacie. Wyznawców liczba się mnożyła, lubo i sam pobyt metropolity ściągał ich do Warszawy; osiadali tu na urzędowaniach, albo trudnili się kupiectwem, przyjmowali téż prawo miejskie. Stąd konstytucja roku 1768 pozwala na nową fundacyją w Warszawie dla księży bazylijanów koronnych, ale ich po za miastem osadza, to jest na placu królewskim w Ujazdowie, i pozwala na uposażenie klasztoru, kupić dóbr za 200,000 złp. Za jedną z korzyści téj fundacyi i to przytoczono, że księża oddadzą publiczną przysługę krajowi uczeniem języków greckiego i starosławiańskiego, zwanego skoropismem i że owszem innych nauk jeszcze młodzież uczyć będą (Vol. VII 845).

Miejsce na klasztor bazylijanów tak zwany ujazdowski wyznaczone było po za Nowym-Światem po prawej stronie ulicy na samym początku aleji; nieszczęście mieć chciało, że kierunek robót około zamyślanej budowy polecono księdzu Komarkiewiczowi, który z Supraśla wygnany, przeszedł do koronnej prowincyi, i wyszedł dziwném losu zdarzeniem na opiekuna nowej fundacyi. Potrzebne na nią pieniądze dał w części król, w części zaś przekazano na to różne summy bazylijańskie, wreszcie pozwolono na składki. Ale gdy trudno było summy te z różnych rąk odrazu wycofać, ile że w czasach trudnych, gdy drugie z trudnością i szkodą, a inne wcale nie procentowały, ksiądz Komarkiewicz z tego co zebrał, to jest summą funduszową ujazdowską zaczął facyjendować w nadziei, że z zysków wyciągnie jakie 400,000 i więcej, nie tylko na pokrycie wydatków fabryki, ale i na uporządkowanie całego gmachu tak, żeby nowi zakonnicy mogli w nim od razu wygodnie zamieszkać. Rozpoczął więc handel drzewem, cegłą, wapnem i innemi przedmiotami: różnie szło, raz z niemłą korzyścią, drugi raz ze stratą, jak wypadło. Stąd oprócz założonych fundamentów i nieco po nad ziemię wypro-

wadzonych murów, ksiądz Komarkiewicz nie więcej nie pozostawił po sobie. Zaszły nawet z tego powodu nieporozumienia pomiędzy bazylijanami a metropolitą. Zakon powinien był pamiętać o téj fundacyi, a spuszczał się na metropolitę. Ksiądz Komarkiewicz na różne obrady prowincjonalne wzywany, nigdy na nich nogą nie postał, chociaż go ojcowie wyczekiwali po dzień się tygodni, i stąd żadnej wiadomości urzędowej o fabryce nie mieli. Chociaż kościół ujazdowski nie stawał, płacili jednak od swoich funduszków 1365 złp. subsidii charitativi. Kiedy wreszcie umarł ksiądz Komarkiewicz, upadła całkiem fundacyja ujazdowska. Majątek księdza prawem kaduka dostał się Karwoszewskiemu kapitanowi gwardyi królewskiej, który był jego przyjacielem. Grunt zaś zajął znowu Stanisław August i w zamian oddał za to bazylijanom okropnie opuszczony klasztor i kościółek po bernardynkach w Krakowie. Fundamenta bazylijańskie w alejach przetrwały aż do 1824 r., w którym zaczęły niknąć i wkrótce zamieniły się w piękną prywatną kamienicę z gospodarskimi zabudowaniami.

Szczęśliwszym był metropolita ksiądz Jazon Junosza Smogorzewski, który postanowił na swoje ręce wziąć całą tę sprawę, osadzenia lepszego bazylijanów w Warszawie. Był to człowiek znakomity, prawdziwy mąż stanu w swoim zakresie. Nie spuszczając się już na ludzi, z własnych funduszków postanowił wznieść kościół na chwałę Bogu, a miał z czego czerpać, z bogatych skarbców metropolity: i placu długo nie szukał, miał go albowiem w Warszawie na Podwalu. Od tyłu tego placu na ulicy Miodowej miał wznieść się nowy kościół. Zaprosił na uroczystość położenia fundamentów, lubo sam nie był na niej ksiądz metropolita, wyższe duchowieństwo koronne. Kamień poświęcił nuncyusz, król zaś po kilka razy nakrył go wapnem, przyrównał kielnią i młotkiem uderzył (12 maja 1781 roku). Według zwyczaju, oprócz relikwii zamurowano w fundamentach kościoła wielki medal Stanisława Augusta, na którym z jednej strony by-

ła twarz Najśw. Panny, a z drugiej herby i napis: „Pro fide lege et rege,“ dalej pięć rzymskich monet Piusa VI i wszystkie ówczesne monety polskie, napis zaś na kamieniu był następujący: „Ad Rutheno-Catholicae Ecclesiae Incrementum et Decus Stanislaus Augustus Rex Poloniae M. D. L. hunc primum lapidem feliciter posuit. Joan. Andr. Archetti, Archi-Episcop. Chalcedon. Nun. Apostol. soleniter consecravit. A. D. MDCCLXXXI. IV Idus Majas.“ Gwardyja piesza koronna przy téj uroczystości przestrzegała nacisku. Król oglądał plan cerkwi i klasztoru i bardzo był kontent z budowli, więc bazylijanów i wielu świeckich do ucałowania ręki przypuścił (Gaz. Warsz. Nr. 39).

Plan był Merliniego. Tytuł kościołowi nadany Wniebowzięcia Najświętszój Panny; Smogorzewski raz tylko przez czas budowy odwiedził Warszawę (1782—1783). Roboty posuwały się szybko, trzech lat z okładem jednak było na nie potrzeba. Poświęcenie kościoła odbyło się dnia 25 sierpnia 1784 roku, we środę przed samą uroczystością Wniebowzięcia, podług ruskiego kalendarza: nazajutrz pierwszy raz odprawiono tutaj nabożeństwo. Kościołek mały, ale pięknie się wewnątrz przystroił. Smuglewicz, który tylko co przyjechał z Rzymu, dał do niego trzy najcenniejsze swoje obrazy: jeden wystawiał samo Wniebowzięcie Boga-Rodzicy wśród otaczających ją dwunastu apostołów; drugi cudowne prerażenie cesarza Walensa na widok ś-go Bazylego arcy-biskupa Cezarei, w chwili gdy podczas ofiary Pańskiej z orszakiem zbrojnych przyszedł wypędzać kapłany z kościoła; trzeci zaś wystawiał ś-go Onufrego, kiedy go na puszczy ś-ty Pafnucy znajduje.

Świetne chwile kościoła tego i klasztoru były za życia Smogorzewskiego i Rostockiego metropolitów, którzy u bazylijanów zwykle stawali, ile tylko razy odwiedzali Warszawę; kościół nasz przy nich grał rolę katedry. Rostocki z tutejszych klasztornych komnat przeszedł do senatu.

Ale potem stracił klasztor warszawski całe swoje znaczenie,

gdy został odcięty od kraju, z którego brał zasilek. Położony, w okolicy, która nie dużo już liczyła parafijan swego obrządku żył dla tego, że go zbudowano. Liczba zakonników nigdy tutaj nie wynosiła więcej jak osób cztery; parafijan w najszcześniejszej dobie było do 500. Superyjorowie warszawscy byli to pospolicie starcy na chleb spokojny zasyłani nad Wisłę. Wspomnim o księdzu Izydorze Jamiolkowskim, który od lat przeszło czterdziestu był proboszczem w Warszawie i chociaż wreszcie został prowincyjałem, mieszkał ciągle w stolicy i tutaj umarł (44 maja 1834 r.) mając lat 83. Po nim dwaj starcy Kalinowscy, Stanisław i Bazyli, dzisiejszy superyjor i proboszcz, starzec także blisko 90-letni.





KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA PANIEN SAKRAMENTEK.

przy ulicy Nowe Miasto.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} KAZIMIERZA

PANIEN SAKRAMENTEK

NA NOWÉM MIEŚCIE.

Maryja Kazimiera ślubowała postawić nowy kościół w Warszawie na pamiątkę zwycięstwa wiedeńskiego. To było powodem sprowadzenia sakramentek z Francji. Na ten cel kupiła królowa od stolnika wyszogrodzkiego Adama Kotowskiego dwa domostwa, jedno murowane a drugie drewniane z podwójnym ogrodem, do czego przyłączyła grunt od Kacpra Waltera kupca i rajcy nabyty za gotówkę. Kamienicę w rychle przerobiła na klasztor a kościół zaczęła osobno królowa budować, osobno zaś przywilejami obwarowała i swoje nadania i obowiązki, jakie wkładała na zakonnice. Fundusz był oznaczony na czternaście panien, do czego się już liczyły dwie konwerski; ośm miało być zawsze francuzek, sześć zaś polek, do nowicyjatu więc przyjmowano li tylko w skutek jakiejś śmierci. Na utrzymanie zakonnic królowa zapisała 8000 złotych pol. na dobrach jarosławskich dziedzicznych domu Sobieskich. Sakramentki oprócz chwały Bożej, miały uczyć panny szlacheckie nauk, robót, a co głównie miały rozpowszechniać w Polsce, znajomość języka francuzkiego. Postanowieniami temi nie przesądzała nic jednak królowa względem przyszłości. Można było przyjmować do nowicyjatu i nad komplet, ale wtedy dziewice już musiały przynosić

z sobą posagi, za które kupowały się dobra, a potem z powiększających się dochodów wolno nawet było liczbę funduszową zakonnice powiększyć. Wszystkich tych zmian nie mogły jednak zakonnice zaprowadzać bez wiedzy i błogosławieństwa biskupiego, do którego i w wyborze kapelana jako też kaznodziei musiały się stosować.

Historyja sprowadzenia sakramentek też sama co wizytek. Maryja Kazimiera pozazdrościła poprzedniczce królowej i przez siostrę rodzoną margrabinę de Bethune oraz biskupa Beauvais układała się we Francyi z przełożoną zakonu. W Warszawie już prawie roboty pokończyły się około fundacyi, której postępu sama królowa pilnie doglądała, kiedy te zabiegi zaczęto dopiero w Paryżu. Poszło wszystko jak najszcześliwiej i już 22 sierpnia 1687 roku sakramentki przeznaczone do Polski opuściły Paryż, udając się w drogę przez Rouen. Cały orszak wynosił do trzydziestu osób. Kapelanem był ksiądz Chartrin. Pani de Bethune pomiętała o wszelkich wygodach; nawet dużo zakonnicom ponadawała świętości, jako to: mszałów, brewijarzów, bielizny świętej, nawet ofiarowała monstrancyją ceny przeszło 2000 duk. fr. Z Rouen, gdzie doznały wiele współczucia od wszystkich pobożnych, puściły się zakonnice na morze. Nie obeszło się i tą rzazą bez różnych tragicznych wypadków, bez burzy morskiej, bez strachu zakonnic i wylądowań po drodze, aż wreszcie stanęły szczęśliwie w Gdańsku nasze podróżne (4 października), gdzie już o nich stracono nawet nadzieję. Tutaj zastały list królowej, która pomiędzy wielu rozporządzeniami rozkazała im dopełnić zaraz wyboru przełożonej, żeby bez głowy nie przyjeżdżały do Warszawy, bo wiedziała Maryja Kazimiéra, że matka Gertruda nie zechce dalej sprawować swojego urzędu. Z pokorą zatem udały się nasze zakonnice do zniszczonego kościoła karmelitów i pomodliwszy się tam o pomoc Ducha Świętego obrały Maryją od Pana Jezusa, dotychczasową mistrzynię nowicyjuszek, która jedna tylko z całego grona po tej elekcji smutną twarz przybra-

ła, ale uległa swojemu przeznaczeniu. Dziesięć dni zeszło w Gdańsku jak błyskawica; pani Romain była tu od królowej przeznaczona gospodarzyć sakramentkom. Poczém w karetach odjechały zakonnice do Warszawy, gdzie je znowu przyjmowała pani Kotowska na zamku. Królestwa nie było, bawili albowiem podówczas na Rusi, ale sakramentki mimo to nie wprowadzając się jeszcze do kościoła swego, już pierwszój niedzieli adwentu rozpoczęły swoje święte ćwiczenia. Maryja Kazimiera przyjechała do Warszawy dopiéro w końcu grudnia, z radością powitała zakonnice i była dla nich dobrą jako matka. Urządziła im klauzurę na zamku obok swoich pokojów; kaplicę zamkową im przybrała i przystawiła do niej kraty na dzień nowego roku, w samą wiliją którego przybył i król do stolicy. Przyniósł zaraz biskup do téj kaplicy sakrament i błogosławił Pana, a zakonnice nasze wtedy zanóciły hymn ś. Ambrożego. Sobieski wylał się dla nich w najserdeczniejsze grzeczności, a kiedy zakonnice zaraz chciały odbywać służbę przed Najświętszym Sakramentem, król kazał Go odnieść do Fary i nie pozwolił na to, prosząc dziewice, żeby jeszcze odpoczęły cokolwiek po drodze. Ale nic nie pomogło: z nowym rokiem uroczyście zaczęły sakramentki służbę swoją w kaplicy zamkowej po mszy wielkiej, którą tam śpiewał biskup Witwicki. Naturalnie roboty około kościoła tego szły sporzéd, przez ten czas królestwo raz tylko wyjeżdżali na sejm do Grodna. Budowla téj świątyni, która się powoli wznosiła na Nowém Mieście, różną była od budowy wszystkich innych kościołów naszego miasta; zewnętrzna jéj postać stylu tokańskiego z takimiż pilastrami, odznaczała się rotundą pokrytą niegdyś ołowiem, na którój świeciło ośm kwadratowych narożników, pod kopułą były frontyny cerkliste; nad wejściem do kościoła herby Sobieskich i d'Arquianów. Wewnątrz architektura koryncka, rotunda malowana obrazami z Pisma świętego. Kiedy podano plan na kościół, a królowa chciała aby był w formie krzyża, nie można było bez naruszenia kształtu postawić zewnątrz kościoła

przedsionka do wejścia na chór jónskiej budowy z organami, który rzucono po nad wielkie drzwi kościelne; żeby więc nie psuć symetrii wejściem na chór ten z klasztoru zrobiono pod kościołem przez groby.

Od czasu ślubu aż do spełnienia jego, upłynęło lat pięć. Właściwie zatém dopiero w roku 1688 stanęła fundacyja sakramentek w Warszawie. Z kolei był to ósmy klasztor tego zgromadzenia w świecie. Dyplom założenia wydała królowa 4 czerwca. Akt przyjęcia tego wszystkiego przez zakonnice co im podarowała królowa, był podpisany 22-go, erekcyją przyjął i potwierdził biskup poznański 25-go, wreszcie przeniesienie się sakramentek z zamku do kościoła odbyło się 27 czerwca tegoż roku. Była tedy uroczysta processyja, a na niej cechy z chorągwiami, duchowienstwo wszelkiego rodzaju, biskupi, nuncyusz i oboje wreszcie królestwo; były trąby, cymbały, skrzypce, msze przy wystawieniu najświętszego Sakramentu, mowa i błogosławieństwo nuncyjusza; zakończył wreszcie obiad wspaniały, na którym królestwo podejmowali gościnnie.

Maryja Kazimiera tak samo się bawiła sakramentkami, jak niegdyś Maryja Ludwika wizytkami. Bywała tutaj na obrzędach zakonnych, bo chciała je widzieć po kolei i we wszystkich brać udział. Z początku samego dwie nowicyuszki porzuciły zgromadzenie, więc z Paryża sprowadzono do Warszawy inne cztery młode dziewice, które już u nas odbywały rok próby. Kiedy nadszedł dla nich czas professyi, sama królowa lubując się tém, oblóczyła panny po zakonnemu i w obec całego dworu przyjmowała śluby. Podejmowała zawsze koszta professyi i oblóczyn. Jeżeli chciała uczcić kogo królowa w chrzcie albo w jakiej posłudze religijnej, posługę tę odbywała zwykle w tutejszym kościele. Wielką okazałość i radość towarzyszyła naturalnie tym pańskim obrzędom. I później nawet kiedy już królowa po śmierci męża nie mogła osobiście zajmować się losem swojego klasztoru, zajmowała się przynajmniej losem całego zakonu, tak jój zawsze

drogie były sakramentki. Nawet powiedzieć można, że Maryja Kazimiera była ich jakby współzałożycielką z Katarzyną de Bar. Reguła sakramentek albowiem do tego czasu nie miała za sobą całkowitego uznania władzy apostolskiej, i oto właśnie królowa bawiać długo w Rzymie starać się poczęła. Miała nawet myśl nowy klasztor sakramentek założyć w wiekuistej stolicy, ale do tego jednak nie przyszło. W tym celu ciągnęła do siebie podobno z Warszawy matkę przełożoną, owę Maryję od Pana Jezusa obraną w Gdańsku i obiedwie wspólnie pracowały nad uzyskaniem potwierdzenia konstytucyi. Dawna matka warszawska dzielnie odpierała zarzuty i trudności, które kardynałowie wzniecali; wreszcie Klemens XI. przez brewe apostolskie z dnia 4 kwietnia 1705 roku na wstawienie się królowej polskiej wszystkie przywileje zakonu powierdził. Dzisiaj sakramentki tylko głównie w Polsce mają klasztory: w Warszawie jeden, we Lwowie drugi, a po za granicami naszego kraju trzeci podobno przeżył złe chwile i trzyma się jeszcze w Paryżu. Lwowska fundacyja datuje od roku 1736; dała jęj początek Zofija Cetnerówna wojewodzianka smoleńska, wielkiego majątku dziedziczka, która téż suknię we Lwowie przyjęła zakonną. (Niesiecki).

Podobno pierwsze sakramentki dosyć często opuszczały Polskę, przenosząc się na starość do rodzinnego kraju, ale już los klasztoru warszawskiego był ustalony, gdy polki przyjmowały coraz częściej sukienkę zakonną. Pierwsza polka, która sakramentką została, była Barbara Bidzińska (w roku 1690). Przeoryszami jednak ciągle przez długi jeszcze czas były tutaj same francuzki, które téż znakomitą większość w klasztorze stanowiły. Zazwyczaj w roku 1708 wielce się dała naszym zakonnicom we znaki. Matka przeorysza przerwała wtedy wszelkie stosunki z miastem, a w tém zamknięciu gdyby nie wsparł swemi pieniędzmi zakonnic ojciec ich i spowiednik Belaviti, z głodu by pewnie pomarli. Popłoch ogromny panował, kiedy i w klasztorze pokazała się zaraza; natychmiast pensyja panien świeckich, którą dziewice utrzy-

mywały rozproszyla się, zacna nawet matka Zuzanna de la Passion umarła (24 sier. 1708 r.). Wszystkie służące wymarły sakramentkom; został się tylko jeden przy nich mężczyzna francuz rodowity i jedna kobieta, którzy pracy już teraz wystarczyć nie mogli. A jednak chociaż w ustawach zakonu jest, że zaraza uwalnia od klauzury, ani na godzinę nie przerwała się adoracyja Sakramentu i śpiew ciągle był utrzymywany. Ośm miesięcy tak przeszło pod krzyżowym ogniem zarazy, choć w około klasztoru ciągle zmarłych grzebano; wreszcie Belaviti znowu pobożne dziewice poratował, które zostawiwszy w Warszawie na straży pięć siostr, przejechały się do Lwowa, gdzie im robiono nadzieję nowej fundacyi i dokąd już poprzednio wyjechała matka. Ale i fundacyja nie przysłała do skutku tą razą i nasze zakonnice po długiej tułaczce powróciły do Warszawy. I wtedy to dopiero po kilku jeszcze latach kościół poświęcił biskup poznański Bartłomiej Tarło w uroczystość świętej Trójcy (16 czerwca 1715).

Następuje teraz najświetniejsza epoka dla zgromadzenia: klasztorem naszym opiekują się możni panowie, i dla tego naturalnie księżniczki, wojewodzianki, senatorówny wstępują do zakonu a kanclerz Szembek z posagów nowych już sakramentek kupuje im za 38000 złotych polskich wieś Macierzysz niedaleko Warszawy (1728). Książę Prymas w post wielki po rekolekcyjach u jezuitów na lamentacyje do sakramentek przyjeżdża (1732). Biskup jeden za drugim tutaj w kościele celebrują na processyjach, obłóczynach, nabożeństwach, a dziewic pobożnych co nie miara, przyjmują śluby, wnoszą posagi. Królewicowa Konstanta Sobieska owdowiała po synu Jana III. osiada tutaj na dewocyi w murach klasztornych, gdzie dla niej osobne zbudowane są pokoje; czasem wprawdzie i na wieś do dóbr swych wyjeżdża, ale po większej części bawi w Warszawie i przyjmuje udział we wszystkich radościach familijnych zgromadzenia i matkuje zwykle młodym sakramentkom przy professyi. Ma i ona tutaj swoje krewniaczki i znajome, naprzykład dwie siostrzenice Wesslowny

i Joannę Zaluską, synowicę uczonego biskupa kijowskiego. Dla Konstanty sam król jegomość August II bywa tutaj na oblóczynach, a mały kościółek wtedy licznie panowie sascy i polscy odwiedzają. Później już królowa Maryja Józefą zastępuje w matkowaniu Konstantę, a królowny przy niej wkładają na młode zakonniczki welon i habit. Jednym słowem cały świat wielki stołicy i nawet rzeczypospolitej gromadzi się tutaj w murach sakramentek. Kościół staje się eleganckim, zgromadzenie pp. sakramentek coraz więcej arystokratyczne. Wreszcie liczba dziewic podwaja się i jeszcze rośnie, aż wreszcie w roku 1762 do najwyższej liczby dochodzi. Nic dziwnego: wyższe ukształcenie, delikatność w obęjsiu, wyrozumiałość władzy klasztornej, obok ścisłego wypełniania przepisów, przeważnie wpływały na tę świetność zakonu. Dziewice wysokiego rodu poświęcały się jednak z zapalem edukacji młodego pokolenia; im to kraj głównie był winien upowszechnienie w owym czasie w Polsce języka francuzkiego i ozdobę swoich ołtarzy, które delikatnymi wyrobami, haftami i wyszywaniami sakramentki i uczennice ich obficie zdobiły. Kościół tutejszy tak dalece wszedł w modę, że chociaż szczupły był, wybierali go jednak biskupi dla obcych mu zupełnie obrzędów: ksiązę biskup krakowski Sołtyk np. poświęca tutaj na opactwo klasztorne sieciechowskie księdza Prokopowicza (29 września 1767).

Jakże świetne bywały doroczne nabożeństwa w święto tak nazwane naprawy czci Przenajświętszego Sakramentu, które obchodziło się w lutym; jak świetne te ostatnie trzy dni zapust, w które odbywało się czterdziesto-godzinne nabożeństwo! Święto naprawy (reparacyj) które za cel miało zadosyć uczynienie sprawiedliwości boskiej za wszelką zniewagę Sakramentu, niosło za sobą odpust zupełny: odbyło się zaś po raz pierwszy w r. 1749. Wyprosilili je król i królowa u Benedykta XIV. Nie było odtąd żadnego biskupa, któryby nie odwiedzał sakramentek, czy to w klastorze czy w kościele. Książdz Załuski biskup kijowski

niewychodził prawie od nich: wielki to był znawca szlachetności rodu, a obok Konstancy wszystkie zakonnice były mu krewnie i powinowate. Bez niego więc nie odbyła się tutaj prawie żadna większa uroczystość, tém bardziej że Zaluski i po francuzku modne odprawiał nabożeństwo, a jeżeli potrzeba było, miewał nie raz i u fórty przemowy francuzkie do wstępujących zakonnice, które niechciały słuchać biskupa po polsku.

Dominikanie z Nowego miasta byli zwykle kapelanami sakramentek.

Wyliczymy chociaż kilkanaście nazwisk tutejszych zakonnice kiedy już mówim o świetności zgromadzenia. Przyjęły tutaj oblóczyny: Przerębska kasztelanka konarsko sieradzka (1730), Wodzicka stolnikówna krakowska (1732), Pakoszówna chorążanka litewska a pasierbica podskarbiego Sołłohuba (1743), Szembekówna kasztelanka nakielska, Ciecierska stolnikówna drohicka, Przebendowskie kasztelanka elbląska (1743) i wojewodzianka malborska, Potulicka wojewodzianka czernichowska (1746), Łuszczewska miecznikówna sochaczewska (1745), Dorota księżniczka Worniecka (1757) i t. d. Wessłowna kasztelanka warszawska synowica królewiczowej Konstancy razem jednego dnia z Jundziłówną podkomorzaną grodzieńską przyjęły welon (1762). Później już za króla Poniatowskiego Dembowska kasztelanka czechowska rzuciła Marywill i z kanoniczki została sakramentką (1776) i t. d. Jakie wspaniałe przy tej uroczystości zachowywano obrzędy, widzimy na przykład z oblóczyn księżniczki Anny Kazimiery Radziwiłłówny wojewodzianki nowogrodzkiej (23 sierpnia 1744). Znajdowała się wtedy u sakramentek królowa z córkami i gronem świętych pań i panów, pomiędzy którymi znajdowali się posłowie szwedzki, węgierski, sycylijski i sardyński. Królowa włożyła na księżniczkę koronę z samych brylantów i prowadziła ją do fórty, od fórty zaś do kościoła, prowadzili ją dalej ksiądz kanclerz koronny i wojewoda podlaski jako marszałek królowej:

postępowały za nowicyjuską księżną wojewodzina ruska, która zastępowała matkę i księżną starościna buska, jako najbliższa krewna. Za wejściem orszaku tego do kościoła, kardynał biskup krakowski rozpoczął nieszpory przy których mnóstwo mu księży towarzyszyło. Po kazaniu, które powiedział ksiądz Kazimierz Gedrojc Juraha, prokurator jezuitów litewskich, znowu kanclerz koronny z księciem podkanclerzym litewskim poprowadzili Radziwillównę do ołtarza, za niemi dopiero ruszyły się niewiasty. Kardynał zaśpiewał pieśń do Ducha świętego i huczna kapela grzmiała. Przy jój dźwięku kanclerz z podkanclerzym i kardynał wiedli księżniczkę znowu do fórtu i oddawali ją zakonnicom, poczem królowa szła za nią do chóru i tam sama według ceremonijału błogosławiła habit, a nakoniec błogosławił go książę kardynał. Na téj usłudze religijnéj zmęczyła się Maryja Józefa, ale mimo to nie folgowała sobie i z ochotą pełniła wszystkie obrzędy. Księżna wojewodzina ruska w pałacu swoim następnie częstowała zaproszonych gości.

Zakonnicom naszym przewodziły naturalnie córki także historycznych rodzin. Pierwszą matką z polek była tutaj od roku 1730 Katarzyna Potocka, klasztorném imieniem zwana Maryją Kazimierą; była to wielkiej godności i pobożności osoba, która po piętnastu latach rządu skończyła życie (17 listopada 1745). Po niéj nastąpiła Maryja Kczewska córka Piotra wojewody malborskiego, przezywano ją u zakonnic Maryją od Wszystkich Świętych. Ta wiele dobrego zrobiła, gmachów przymnożyła, arcybractwem przyozdobiła kościół, ustanowiła nadto adoracyją co czwartek Najświętszego Sakramentu z kazaniami, processyjami i godzinkami. Arcybractwo to rozszerzone we Włoszech, ściśle było związane regułą klasztorną, bo cześć Najświętszego Sakramentu miało także na celu; od czasu zaś kiedy bullą Klemensa XII (1737) przyłączone było do arcybractwa Adoracyi będącego w Rzymie, w kolegijacie Najś. Panny zwanéj Rotunda, ważność jego tak urosła, że i sakramentki zapragnęły założyć je wśród War-

szawy. Zawiazało się wprawdzie nieco jeszcze dawniej przed siostrą Maryją (27 stycznia 1737 roku) i wprowadził je do kościoła biskup poznański Hozyjusz (27 kwietnia tegoż roku), ale dopiero siostra Maryja zapewniła byt bractwu, zapisawszy mu na utrzymanie pewną sumę. Umarła po latach dwunastu rządów na słabość katarową i gorączkę, mając lat życia 51 a zakonu 30 (26 maja 1756 roku, Kur. Pol. N. 149).

Z owego to czasu najpiękniejszych wspomnień dla tutejszego kościoła, pochodzą dwa owe piękne nagrobki, jakie ściany jego wspianiale zdobią. Obadwa należą do rodziny Sobieskich. Jeden pomnikiem jest Maryi Karoliny córki królewicza Jakóba, a wnuki Jana III Sobieskiego, z męża zaś księżny de Bouillon. Matka dwojga dzieci porzuciła Francją dla Polski, aby ojca pielęgnować starego, pochowała go i sama też niedługo za nim umarła w Żółkwi (8 maja 1740). Ciało przeniesiono do sakramentek warszawskich i w kościele tutejszym dwaj księżny egzekutorowie testamentowi, kanclerz koronny biskup Załuski i książę hetman wojewoda wileński Radziwiłł Rybeńko wzniesli jój pomnik z czarnego marmuru (1746) przy oltarzu Najświętszej Maryi Panny. Płacząca na nim niewiasta opiera się na białej trumnie, a przy nogach herby Rzeczypospolitej. Księżna de Bouillon zapisała tutejszemu klasztorowi na mszę codzienną 12000, które hetman Radziwiłł oparł na Strachówku w ziemi liwskiej (w listopadzie 1740). Drugi nagrobek jest królewiczowej Konstancy, Wesslownej z domu, a więc osoby, która już weszła do rodziny Sobieskich i za to wiele od niej cierpiała. Śmierć jój była wielką dla sakramentek stratą. Królewiczowa albowiem przydawała im wiele ozdoby i blasku i była jakby ostatniem ogniwem, co zakon wiazała z przeszłością. Nie dziw też, ośmdziesięcioletnia w dniu śmierci swojej niewiasta, w odległe czasy przeniosła świeżą pamięć wiedeńskiej wyprawy i jednoczyła w sobie wiele pięknych narodowych wspomnień, była przecież synową Jana III. Każdy ją znał w Polsce, bo Konstanta jak niegdyś Anna Jagielonka miała przy-

wilój, że w epoce zupełnie nowój, stare czasy przedstawiała. Dwadzieścia lat przeszło mieszkała ciągle w tych murach. Z jéj też śmiercią gorzej wszystko iść zaczęło, bo zbliżało się przesilenie towarzyskie: dla tego zdawało się, że Konstanta jakby w rękach swoich trzymała przyszłość i zaklinała ją, by się jeszcze wstrzymała na chwilkę. Umarła w niedzielę 4 stycznia 1761 roku. Nabożeństwo żałobne i pogrzeb u sakramentek trwały przez cztery dni, bez żadnej wystawności i kazań, bo tak chciała królewiczowa (7 — 10 stycznia). Ciało spoczęło w grobie fundatorskim obok księżny de Bouillon. Nagrobek jéj wzniosł bratunek, Teodor Wessel podskarbi koronny, przy ołtarzu św. Kazimierza: jest to sarkofag z marmuru ciemnego, podstawa z czarnego, dwa genjusze trzymają medaljon z portretem w płaskorzeźbie, na wierzchu gwiazdy wpośród obłoków.

Sakramentki musiały przyczynić klasztoru, i wymurować nowe seminaryjum dla świeckich panien, gdy stare groziło im ruiną. Mowa tutaj o pensyi, którą zakonnice utrzymywały. Otóż księżna wojewodzina ruska w towarzystwie wielu niewiast, położyła kamień węgielny na tę budowę już za panowania Stanisława Augusta (16 lipca 1767 roku), której ksiądz Kierski sekretarz koronny pobłogosławił. Pokazała się też potrzeba całkowitego odnowienia wewnątrz klasztoru, sakramentki więc czekały wielkie wydatki, ale Opatrzność przyszła im w pomoc. Fabrykę tę wsparła dzielnie swoim posagiem księżniczka owa Radziwiłłówna, wojewodzianka nowogrodzka z taką uroczystością przyjmowana przed laty do zgromadzenia, w którym otrzymała imię Augusty, jéj też herby błyszczą za to po nad główném wnijsciem do klasztoru. Wreszcie i sam król jegomość postanowił ruszyć hojnością a zręcznie gorliwość swoją połączył z uroczystością narodową, zbliżała się albowiem stoletnia rocznica zwycięstwa pod Wiedniem: dla tego mury sakramentek miały się na nowo odrodzić jak feniks z popiołów. Pilnowała już fabryki księżniczka Augusta, którą tylko co obrano ksienią czy przeoryszą w o-

bec biskupa Okęckiego (2 lipca 1780). Król budował gmachy sakramentek także przez dobrą pamięć na edukacją narodową. Skutkiem jego przyłożenia się, zakonnice otrzymały teraz nowe wspanialsze, a razem nierównie wygodniejsze jak przedtém mieszkania; rozszerzono i wewnątrz znacznie klasztor i zewnątrz przyozdobiono go od ulicy tak dalece, że króla Stanisława imię zgromadzenie sakramentek warszawskich uważa za drugiego współzałożyciela. Po zupełném ukończeniu fabryki, ksiądz Okęcki znów zjechał do klasztoru w orszaku duchowieństwa, i księżniczce przeoryszy oddał klucze od nowych zabudowań (20 stycznia 1783 roku). I nie ten raz jeden doświadczały zakonnice dobroci serca królewskiego. Stanisław August pożyczył raz od sakramentek pieniędzy; nie tylko więc regularnie im procent opłacał i z wszelką względnością wglądał w ich potrzeby, ale i na wszelkie ich prośby chętnego zawsze pozwalał ucha.

W kronice tutejszego kościoła za króla Stanisława dwie jeszcze okoliczności natracają się pod pióro. Jedną, że za wielkiego jubileuszu odbyła się tutaj u sakramentek missyja francuzka, w czasie której ksiądz nuncyusz odprawiał tu publiczną processyją i mszę (9 — 10 czerwca 1776). Drugą zaś ważną okolicznością jest wizyta Okęckiego (1780), bo wizyty tego biskupa dla historii każdego kościoła są faktem. Zaczął ją wprawdzie Młodziejowski (14 listopada 1779), ale następca jego skończył (2 lipca 1780). Tutaj Okęcki przypomniał zakonnikom, że w ich przepisach jest przewidziana potrzeba obierania wizytatora, z którym przeorysze znosić się mają w rzeczach duchownych i doczesnych. Gdy nie było wizytatora od czasów niepamiętnych, biskup natychmiast polecał go obrać. Chore kazał Okęcki przenosić do infirmaryi. Przypomniał téż zakonnikom ślub ubóstwa, widać nie bardzo ściśle zachowywany. Żadna z pobożnych dziewic nie ma odtąd rościć sobie pretensyj do większych jakich wygód, a podlejsze zatrudnienia surowo zakazywał biskup na pewne osoby tylko zwalać. Raz w rok mają się odbywać reko-

lekcye. Chociaż matka dosyć robiła, jednak nakazywał surowy biskup, żeby cele przynajmniej trzy razy w rok zwiedzała. Matce zakazywał bardzo pieścić się z pewnemi zakonnicami, a drugie zaniedbywać. Wszak na to były przepisy, a biskup ostro postanowił wszędzie na przyszłość doglądać karności klasztornej. Okęcki téż wznowił zaniedbane peryjodyczne elekcyje przeorysz: dotąd zwykle dożywociem szedł ten urząd, ale w konstytucyjach zakonnych był termin trzyletni dla niego oznaczony. Sam Okęcki, jak widzieliśmy, dopilnował nowego wyboru, na którym przeoryszą Radziwiłłówna stanęła, lubo żyła jeszcze dawniejsza matka przełożona Maryja od świętego Benedykta. Uczennic nie wiele wtedy miały sakramentki; biskup chciał, żeby podług prawa nie wychodziły także jak i zakonnice po za kłauzurę klasztorną. W istocie panienki uczące się osobno mieszkaly, a przy nich mistrzynię, refektarz do jedzenia także miały osobny. Sakramentki uczyły ich wiary, obyczajów, języka francuzkiego i niemieckiego, robót i muzyki. Na tańce w klasztorze nigdy nie pozwalał biskup. Co zaś do dochodów, tych Okęcki sporo zastał. Było kapitału z dzieścicin różnych summ 364750 złp. a z tego procentu 15093 oprócz 8000 z Jarosławia. Od czasów więc Maryi Kazimiery sam kapitał klasztorny urósł jak widzimy o dwie części. Oprócz tego za 15000 złp. posagu siostry Scholastyki postawiono młyn, który przynosił dochodu złp. 700, a nad Wisłą domek za złp. 252. Czysty więc dochód z kapitałów i czynszów wynosił 24045. Do tego wieś Macierzysz, a na niej 38000 złp. klasztornych. Trzy summy zalegały od lat trzech, trzynastu i dziewiętnastu, to jest: 7000, 12000 i 54000. U króla było na pożyczce wtedy 61000. Jedna z tych zaległości była u księcia Karola Radziwiłła wojewody wileńskiego na Strachówku (w roku 1767). Takim sposobem cały kapitał, nie rachując już Jarosławia, zabudowań i dochodu od uczennic wynosił, a może i przenosił pół milijona złp.

Widno, że złe czasy nastały dla klasztoru, bo gdzież to można porównać wizytę Okęckiego z niedawną jeszcze przeszłością? Wprzód nikt się do rządów wewnętrznych zgromadzenia nie wdawał, a

każdy był z największym dla niego szacunkiem. Biskup Żaluski, acz bardzo przykładowy kapłan, już przez wzgląd na samo urodzenie zakonnic byłby miał więcej dla nich uszanowania, i wcaleby nie zważał na pewne zwolnienia od reguły. Dla tego razu pewnego grano tutaj w klasztorze nawet teatr dla umyślnie zaproszonych gości. Było to na kilka dni przed samą koronacją Stanisł. Augusta (24 list.). Damy uczące się u sakramentek (tak powiedziano w ogłoszeniu), występowwały w trajedyi, której treścią był: „święty Polyektus męczennik.” Na widowisku znajdowały się wprawdzie same kobiety, które tak niemię ujęte zostały, że pragnęłyby i drugi raz i więcej tę trajediją widzieć; przedmiot także był wprawdzie religijny, ale wątpim by i na takie nawet zabawy pozwalał w swoim czasie zakonnikom surowy biskup Okęcki.

Wodzińska siostra biskupa smoleńskiego, była tutaj ksienią po Radziwiłłównie. Darowała rzeczypospolitęj olów z pokrycia kościelnego, z warunkiem żeby przed zimą jeszcze dach innym materjałem mniej drogiem pokryto. Rzeczywiście olów wtedy zdjęto z kościoła. Król już siedząc w Grodnie martwił się bardzo z tego powodu. Duhamel przypominał mu listownie obowiązki względem klasztoru. Słał król procenta jak mógł, obiecywał co mógł. Ale ta bięda nie tyle się dała klasztorowi we znaki co następna. Po śmierci Wodzińskiej, którą zwyczajem ówczesnym zwano po aktach urzędowych obywatelką, obrano przeoryszą Wiktoryją Franciszkę Żaluską siostrę dwóch biskupów krakowskiego i kijowskiego. Rząd pruski odebrał zakonnikom wtedy dobra i wyznaczył kompetencyją, własną wioskę Macierzysz trzymały odtąd w dzierżawie od rządu. Panny zubożały okropnie i pozaciągały długi. Podatków nie było czém płacić a zebrano się im 15000; egzekucyja, którą już wyznaczono, byłaby gorsze jeszcze złe spowodowała, ale cofnięto ją, dług zaś później cesarz darował.

Za czasów pruskich krótko wprawdzie, ale w murach naszego klasztoru jako prosta zakonnica zajaśniała lilija burbońska. Przyjechała albowiem wtedy do klasztoru z Nieświeża Ludwika

Adelajda z linii królewskiej francuzkiej, księżniczka de Condé (18 czerwca 1800 roku) i oświadczyła chęć zostania sakramentką. Odbywszy trzymiesięczną próbę w świeckiej sukni, oblekła się w szaty zakonne, do czego jęj błogosławił biskup warszawski ksiądz Miaskowski (20 września) w przytomności Ludwika XVIII. i obojga księstwa Angouleme. Dwa lata była w nowicyjacie, aż wreszcie śluby zakonne wykonała przed Albertrandim (20 września 1802 roku), przyczém jęj znowu wygnana rodzina królewska towarzyszyła. Objęła zaraz obowiązki mistrzyni pensyi. Dla zmian politycznych otrzymawszy na to pozwolenie z Rzymu, opuściła (w maju 1805 roku) klasztor waszawski i wyjechała na Gdańsk do Anglii. Tam mieszkała wśród małego lasku w pałacyku, który dla nięj umyślnie wyznaczył król Jerzy i otoczyła się nawet małym klasztorem, bo przyjęła do pałacyku kilka zakonnic, które jako emigrantki schroniły się także do Anglii. Pobyt księżniczki za granicą przeciągnął się aż do upadku Napoleona, wtedy powróciła do Paryża, gdzie Ludwik XVIII. podarował jęj pałac Temple: w rychłe księżniczka go zmieniła w klasztor z piękną kaplicą i założyła nowe zgromadzenie sakramentek, w którem téż była pierwszą przeoryszą. Pamiętała dobrze Warszawę i tego dowodem są listy, jakie często pisywała do Polski, a jakie znajdują się w archiwum klasztorném. Kiedy umarła w Paryżu (10 marca 1824 roku), odbyło się i w kościele tutejszym żałobne za jęj duszę nabożeństwo, na którem celebrowali biskupi, Skarszewski i Prażmowski.

W roku 1838 staraniem przeoryszy Kajetany Sędzimirówny kościół wraz z klasztorem całkowicie wewnątrz i zewnątrz odnowiono. Wreszcie do wspomnień ostatnich kościoła tego należy, że arcybractwo nieustającej adoracyi uroczyście zmartwychwstało i z gorliwością teraz dla dobra ogólnego pracuje. Dawniej mężczyźni wcale się do tego bractwa nie wpisywali, dziś zaś główną siłę jego stanowią właśnie mężczyźni. Wznowienie tego pobożnego zgromadzenia świeckich jest wyłącznie zasługą braci literatów od świętego Jana, którzy konstytucyje dawne podnieśli

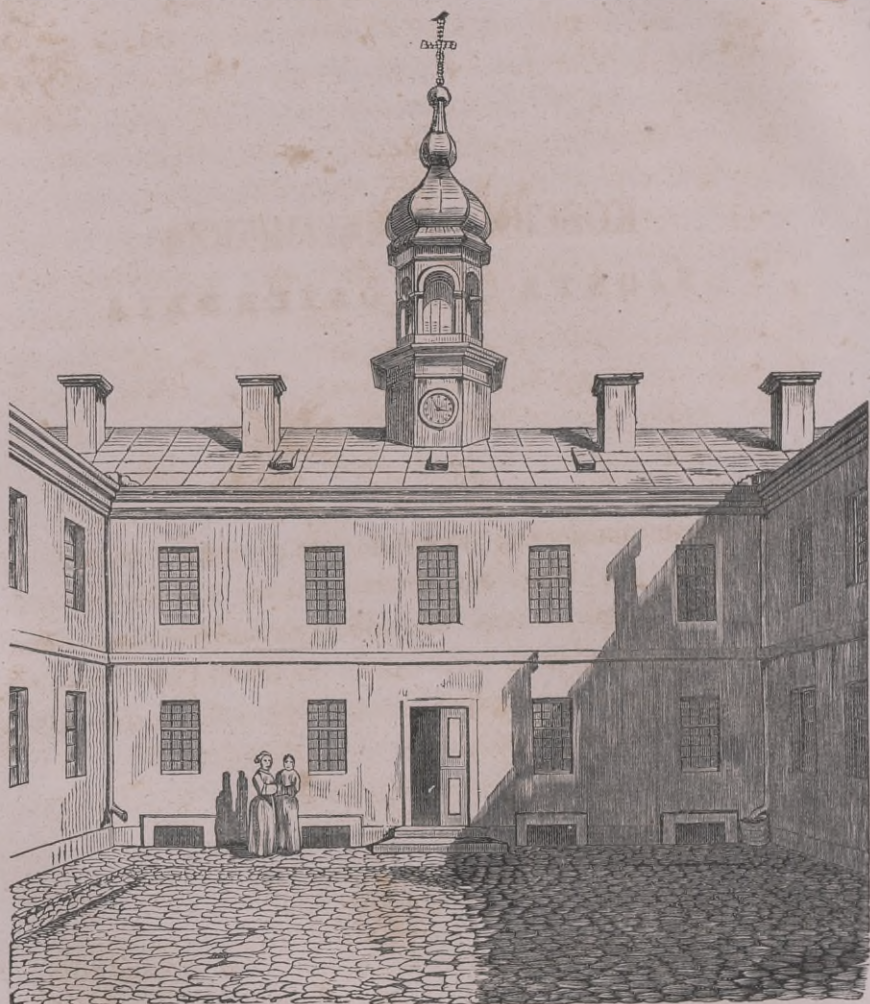
i urządzili się na nowo; było to za rządów w klasztorze matki Maryi Barbary Hausnerowny, która na dzień otwarcia bractwa przeznaczyła pierwszy dzień Zesłania Ducha świętego (4 czerwca 1843 roku). Poczém arcybractwo ustawę swoją spisało (15 października) i zatwierdzenie biskupie uzyskało (14 listopada). Osobno spisano ustawę „stowarzyszenia dam“ (25 grudnia). Nabożeństwo inauguracyjne odbyło się zaraz nazajutrz (26 grudnia). Z arcybractwem dzisiaj wiążą się dwie piękne instytucje; jedna opieka nad wstydzącemi się żebrac i druga, uroczystość pierwszej komunii dla dzieci. Dobroczynne osoby co chwila różne summy przeznaczają dla arcybractwa, żeby je rozdzielało pomiędzy potrzebnych, ztąd téż powoli około kościoła sakramentek skupiło się mnóstwo drobnych interessów. Uroczystość zaś pierwszej komunii, obrzęd tkliwy a serdeczny zaprowadziło bractwo w kościele, na wniosek jednego ze swoich duchownych protektorów księdza archidyakona metropolitalnego Dekerta (29 kwietnia 1846 roku). Niedziela pierwsza po Zielonych świątkach przeznaczona jest do tego obrzędu, a sobota stanowiąca wigilią téj niedzieli jest dniem przygotowania. Odtąd co rok zbiera się tutaj w owe dni wiele dzieci pobożnych rodziców, a po stosownych naukach i obrzędach przyjmują Ciało i Krew Pańską, do czego im zwykle ksiądz prałat Dekert przewodniczy.

Od czasu zmartwychwstania arcybractwa kilka już jego ukazało się druków. Celniejsze tutaj przypominam:

1. Ustawa arcybractwa nieustającej adoracyi Najświętszego Sakramentu przy kościele wielbnych PP. Sakramentek warszawskich. W Warszawie w drukarni Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, 1844, w 8-ce, str. 39, oprócz liczby członków bractwa która zajmuje kart 8.

2. Przepisy porządku i obrzędów uroczystej pierwszej komunii dzieci w kościele wielbnych Panien Sakramentek warszawskich. Warszawa, w drukarni Józefa Unger przy ulicy Miodowej Nr. 481. 1847, w małej 8-ce, str. 40.





KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA
przy ulicy Tamka.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} KAZIMIERZA

SIOSTR MIŁOSIERDZIA

NA TAMCE (*).

Zakon siostr miłosierdzia (szarytek) jest nie tylko francuzki jak misyjnarzy, ale i tegoż samego założyciela. Zakony te dopełniały się wzajem, nie więc ta okoliczność dziwić niepowinna, że kiedy Maryja Ludwika sprowadziła do Warszawy z Francyi misyjnarzy, sprowadziła jednocześnie prawie i siostry miłosierdzia. Były to instytucyje dobroczynne i jeżeli królowa w historii pamięć swoją uwieczniła li tylko intrygami, w założeniu u nas klasztoru siostr miłosierdzia i rozwinięciu błogich działań zakonu, położyła jedyne dla Rzeczypospolitej zasługę; bo nie w czém inném.

Księżniczką mantuańską jeszcze będąc, królowa знаła osobiście w Paryżu św. Wincentego a Paulo, ojca tych dwóch zakonów,

(*) Mamy jedną tylko rozprawę, której celem jest ten kościółek. Jan Kulesza doktor dzisiejszego instytutu świętego Kazimierza czytał na publicznym posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego dnia 25 stycznia 1852 roku, rzecz o tym instytucie, którą potem drukował w Biblijotece Warszawskiej tegoż roku tom 2 str. 265 — 286. Więcej tu o szpitalu i dobroczynności dat statystycznych, jak o kościele.

o jakich mówimy i Ludwikę Le Gras pierwszą przełożoną siostr miłosierdzia. Zaraz więc po drugiem weselu z Janem Kazimierzem zgłosiła się królowa do nich do Paryża. Na początek przysłali przełożeni trzy siostry miłosierdzia pod przewodnictwem Małgorzaty Moreaux. Siostry spotkały oboje królestwo po drodze w Łowiczu; kryli się tam, gdyż zaraza srożyła się podówczas w stolicy. Ale mimo to pod koniec r. 1651 siostry miłosierdzia już się znajdowały w Warszawie, bo śpieszno im było nieść pomoc chorym zapowietrzonym, których wszyscy opuszczali. I z całą gorliwością, z całym poświęceniem się, na jakie zdobyć się przyszło, zbierały siostry przez cztery do pięciu miesięcy chorych z ulic i mieściły ich po izbach jak i gdzie mogły. Były to lata klęsk różnego rodzaju na koronę. Zarazy i wojny, jedna drugą gonily. W jednej z krótkich przerw spokojności, królowa nasze siostry umieściła tymczasowo w jakimś domu co leżał w pobliżu kościoła świętego Krzyża; nam się zdaje, że najprawdopodobniej będzie to w szpitalu świętego Rocha. Zakonnice tutaj pielęgnowały chorych i uczyły sierotki płci żeńskiej. Spłoszył je z tego miejsca najazd szwedów. Królowa uchodząc do Krakowa, a potem na Szląsk wzięła z sobą siostry, które wszędzie po drodze opatrywały rannych żołnierzy. Wróciwszy potem, umieszczone w pawilonie pałacu kazimierowskiego wróciły do dawnych zatrudnień. Mały ich pierwotny zastęp zasilaly ciągle nowe siostry przysyłane z Francji. Takim sposobem w ciągu lat ośmiu dwadzieścia dziewięć przyjechało. Prawda, że zaraza co chwila zabierała z pomiędzy siostr swoje ofiary; tak w latach 1654, 1660 i 1661 umarło ich kilkanaście, kiedy chorych doglądały po chatkach.

Byt zgromadzenia ustalił się dopiero po wojnie szwedzkiej. Królowa na ten cel kupiła od Agnieszki Skąpskiej dziedziczki część folwarku Kałęczyńskiego nad Wisłą przy Solcu (w roku 1659); od innych zaś właścicieli dokupiła grunta nazwane Glinki i na wybranym placu zaczęła stawiać zabudowania drewniane,

kościółek i klasztor. Później jeszcze królowa do tej posiadłości różnych przyczyniła dobrodziejstw. Nabyła dobra Pęchery o milę od Piaseczna położone ze wsiami Runowem, Bogatkami, Grochowem, Wólką i częścią w Jazgarzewie. Przeznaczyła 30000 na zakupno przyległego folwarku Łbiski to wszystko przeznaczyła na wieczysty fundusz dla sióstr miłosierdzia. Nie może dziwić ta hojność królowej, bo oddając w ręce dziewic bogate na pozór uposażenie, szerokie pole zakreślała ich dobroczynności i liczne im przekazywała powinności do spełniania. A najprzód chciała królowa aby oprócz dozoru szpitala i nauki młodych dziewczątek zajmowały się jeszcze wychowywaniem z dochodów ziemskich biednych bez ojca i matki sierotek, a dalej dziewcząt niezamożnych rodziców. Co do chorych, tych miały zakonnice dochodzić po przedmieściach i miejscach opustoszałych, szukać ich, doglądać i rozdawać im żywność, lekarstwa a nawet krew puszczając, jeżeli się tego okazała potrzeba. Wystawiła dla tego królowa przy kościółku odosobniony budynek, do którego zakonnice miały zbierać chorych ubogich walających się po ulicach i po drogach publicznych; powinny też były dawać przytułek biedakom przybywającym do miasta a nie mającym schronienia. Samo się rozumie, że musiały być na zawołanie klasztoru apteka i pracownia, w której zakonnice same wyrabiały lekarstwa. Nadto królowa przewidując, że zakład jej pobożny z czasem się rozwinie, postanowiła, żeby klasztor warszawski był władzą w zgromadzeniu, t. j. żeby w nim mieszkała jeneralna wizytatorka i żeby z niego siostry jako z gniazda rozchodziły się po ziemi polskiej. Ztąd założyła tutaj M. Ludwika tak nazwane seminaryjum dla sióstr, czyli nowicyjat. Zaszczyt ten do dziś dnia utrzymał się przy naszym klasztorze i zawsze tu główna stolica zgromadzenia. Wtedy Wincenty a Paulo pragnąc żeby i na ziemi polskiej nieustawała jedność zakonna sióstr z missyjonarzami, wysyłając trzy nowe dziewice do Warszawy postanowił, żeby według zwyczaju zakonu we Francyi, siostry miłosierdzia polskie były

zawsze pod kierunkiem i zarządem wizytatora misyjnego, którym był podówczas ksiądz Wilhelm Desdames (16 września 1660). Kościołowi nadała M. Ludwika narodowy tytuł świętego Kazimierza królewicza polskiego.

Zgadła królowa: z przybyciem sióstr miłosierdzia wzrosła natychmiast publiczna dobroczynność Warszawy i Rzeczypospolitej. Dotąd grosz litości zaradzał niedoli, odtąd chętnie przelewał się w instytucje dobroczynne. Szpitale w Warszawie powstawały jeden po drugim, w każdym siostry miłosierdzia przyjęły nadzór. Kapituła warszawska św. Jana oddała siostrom swój szpital św. Ducha (1684), które odtąd w owym miejscu marcinkankami powszechnie nazywano; do drugiego szpitala św. Rocha dostały się już za panowania króla Sasa (1707). W późniejszym czasie objęły w zarząd swój dom Dzieciątka Jezus, zakład Towarzystwa Dobroczynności i ks. Lubomirskiego zakład oftalmiczny. Takim sposobem dzisiaj w Warszawie mają dziewice aż pięć zgromadzeń. Wizytator misyjny miał tutaj naturalnie swój udział; pośredniczył przynajmniej do różnych układów, które nowym szpitalom nadawały życie. Umówiwszy się z kim należało, sam zwykle wprowadzał siostry do szpitalów. Fundusze zostawały się w rękach właścicieli: naszym zaś siostrom powierzało się tylko zarząd wewnętrzny, zapewniało się mieszkanie i wszelką wygodę, a w chorobach najprzystojniejszy ratunek. Do szpitala świętego Ducha pierwszy na tych warunkach wprowadził siostry i przełożoną pannę le Bay, ks. Edmund Jolli wizytator. Rozszerzenie się to zakonu sprawiło, że prędko bardzo spolszczał: naturalnie po szpitalach mogły posługiwać chorym tylko polki lub francuzki, które się naszego języka wyuczyły, co się często zdarzało. Co mówić teraz o Rzeczypospolitej? W krótkim lat stukilkudziesięciu przeciągu liczba klasztorów sióstr miłosierdzia szybko urosła, tak, że w ostatnich czasach Rzeczypospolitej było szpitali pod ich zarządem, kościołów i klasztorów aż 34.

Z początku zakres działań sióstr w samym klasztorze świę-

tego Kazimierza był dosyć szczupły. Rzeczpospolita fundacją M. Ludwika przyznała na sejmie w r. 1662; ale nie powiększyła jej. Dziewice więc utrzymywały początkowo tylko piętnaście sierot ubogich, mieszcząc się w owych zabudowaniach drewnianych na Tamce, czyli w dawnym Kałęczynie. Ale powoli same dziewczęta myśleć poczęły o rozwinieciu swojej dobroczynności na większą skalę. Z drobnych oszczędności dokupiły więc gruntów dla klasztoru i utworzyły na około siebie nowe miasteczko, czyli jurydykę, która pod nazwiskiem Tamki i Kałęczyna przetrwała do roku 1795. Przyszły im w pomoc prywatne usiłowania. Kardynał Radziejowski, Mikołaj Święcicki biskup poznański i wizytator misyjnarzy ksiądz Bartłomiej Tarło pomagali dziewczętom. Dźwignęły więc także własnym nakładem gmach czworoboczny z kaplicą, ten sam właśnie, w którym się do dziś dnia mieści instytut świętego Kazimierza. Było to w roku 1699. Poprzednio zaś na lat sześć, wierne zobowiązaniom się swoim względem królowej założycielki, otworzyły zakład naukowy dla uczennic, w którym wykład języka francuzkiego naturalnie największą rolę grał (1693). Pensyją tę zamknęły siostry miłosierdzia dopiero w roku 1824, z wielką nieradością ówczesnego ministra oświecenia. Powód jednakże do tego kroku był słuszny. Przyjmowano panienki uboższe szlachetniejszych rodzin bezpłatnie, możniejsze zaś miały rocznie płacić po 20 — 30 dukatów. Liczba tych uczennic wynosiła zwykle od 30 do 35 pańienek. Ale gdy wiele rodziców zadłużało się siostrze, składając na zgromadzenie cały ciężar nie tylko edukacji i żywienia, ale nawet przydziewku, gdy sam instytut przez to w długie rosł, rade nierade, żeby lepiej odpowiedzieć życzeniom założycielki, siostry wyłącznie poświęciły się sierotom. W naszych już czasach Józef Krzyżanowski urzędnikiemeryt zapisał 6000 złp. na instytut świętego Kazimierza żeby procentem od tej summy siostry mogły wynagradzać dawne a bogobojne swe wychowanki, gdyż nawet po za murami instytutu siostry rozciągały nadzór nad sierotami,

dawały im służbę po domach możliwych, kierowały ich przyszłością.

Od roku 1842 kiedy zaprowadzono Rady opiekuńcze szczegółowe zakładów dobroczynnych, obowiązki wizytatorki, która ciągle mieszka u świętego Kazimierza wśród najliczniejszego grona sióstr, nieco się odmieniły: fundusze wyszły już zupełnie z pod ich opieki i siostry trudnią się tylko wewnętrznym gospodarstwem. Wizytatorka zachowała po większej części władzę tylko przełożonych zgromadzeń zakonnych; przyjmuje więc kandydatki do nowicyjatu, usposabia je, rozsyła siostry po szpitalach, wybiera panny starsze, czuwa nad wszystkich moralnym prowadzeniem się. Ale dawniej mogła rozrządzać funduszami wszystkich zgromadzeń i sprawdzała rachunki, dzisiaj solidarności majątkowej nie ma, gdyż każdy klasztor osobny ma już nietykalny swój majątek.

W obecnym stanie rzeczy fundusze klasztoru warszawskiego starczą prawie na utrzymanie 40 zakonnic i 120 sierot. Wydatki roczne dochodzą do 60000. Doktor Kulesza obrachował, że do nowicyjatu tutejszego po koniec roku 1851 wstąpiło panien 769, że siostry wychowały przez ten czas dziewcząt szlacheckich 798 a sierot 6400, że nakoniec umarło przez te dwa wieki sióstr 359 i t. d. Kończąc to sprawozdanie Kulesza uważa, że dzisiejszy gmach instytutowy jest za mały, a gdyby nawet i był dostateczny, gdyby się nawet fundusze znalazły, nieodpowiadałby i tak jeszcze dzisiejszym wymaganiom, bo liczba ubiegających się teraz kandydatek tak znaczna, że instytut powiększony być musi. Powtórzmy za szanownym doktorem, że ważna ta okoliczność powinna zwrócić na siebie uwagę ludzi dbałych o dobro powszechne.

W kościółku ś-go Kazimierza do dziś dnia obchodzi się corocznie narodowe święto francuzkie w dzień ś-go Ludwika i bywało niegdyś, że wszyscy francuzi obecni w Warszawie znajdowali się wtedy na nabożeństwie u sióstr miłosierdzia.





KOŚCIÓŁ NARODZENIA MATKI BOSKIEJ,
KSIĘŻY KARMELITÓW TRZEWICZKOWYCH.
przy ulicy Leszno.

KOŚCIÓŁ NARODZENIA MATKI BOSKIEJ

KSIĘŻY KARMELITÓW TRZEWICZKOWYCH

NA LESZNIE.

Dwóch zakonników, przeor karmelicki ze wsi Lipia i prokurator konwentu bialskiego za szczególném swójem staraniem się otrzymali domek na jedném z przedmieść warszawskich, dzisiaj na ulicy Długiej, w myśli, że założą w stolicy klasztor i kościół swojego zakonu. Sekretarz królewski wice-instygator wielkiego księstwa litewskiego, szlachcic osiadły w województwie brześciańskiem, pan Marcin Swieżyński, podarował ten domek owym dwóm kapłanom, z których pierwszy się nazywał Fabijan Daruch, a drugi Elizeusz Niewiński. Darowizna zeznana jeszcze za panowania Władysława IV dnia 20 czerwca 1644 roku.

Przez lat czterdzieści przeszło oczekiwali karmelici zmiłowania się ludzkiego, ale nie pocieszył ich Bóg; na własne siły zdobyć się nie mogli, a składki pobożnych nie dopisywały tak, żeby o trwalszej budowie można było pomyśleć. Wiemy albowiem o jednym tylko zapisie przeznaczonym na ten cel; Anna Magnuszewska wdowa po Floryjanie Wilskim jeszcze w roku 1668 (w sierpniu) zeznała w Warszawie darowiznę tysiąca zło-

tych. Więcej współczucia znalazł ksiądz prowincjał polsko-litewski Marcin Charzewicz, a było to za panowania króla Jana III. Wsparty przez składki, z własnych zasobów zakonu ksiądz Marcin sprzedał domek na ulicy Długiej, który i tak wiele kłopotów kosztował zgromadzenie, a za to kupił posiadłość w miasteczku Lesznie pod samą Warszawą. Działał nie sam osobiście, ale przez księdza doktora teologii Marcina Behma rejensa studium generalnego, którego imieniem zakonu przysłał z Krakowa do Warszawy. Stał na owym placu nabytym także dworek, częścią murowany, częścią zaś drewniany i obszerne do niego należały place, graniczące z sąsiednimi domostwami. Dom ten sprzedali zakonowi, podpułkownik Jan Weretycki i żona jego Anna Bugajska, wdowa niegdyś po Waleryjanie Pajkerze, wójcie z miasteczka Leszna. Że to była posiadłość pani Weretyckiej, ztąd w akcie sprzedaży wymienione są córki jej z pierwszego małżeństwa z Pajkerem, to jest: panny, Magdalena, Teressa i Wiktoryja. Te zaś sąsiednie domostwa o których wspomnieliśmy, były własnością po jednej stronie Sebastyjana Gilbaszowskiego instygatora koronnego, (dawniej ś. p. Gintera burmistrza stariej Warszawy), po drugiej zaś Wojciecha Lassoty mieszczanina leszniańskiego. Behm dał gotówką 2000 złotych ówczesnych, a do tego przejął na klasztor opłatę czynszów i wszelkich ciężarów gruntowych, jako to np. podatki.

Oto daty: pozwolenie miejscowego biskupa na założenie klasztoru i kościoła na Lesznie, wydane było pod dniem 2 września 1682 r., datowane w Nowej Jerozolimie, to jest na Górze Kalwarii, w ulubionym miejscu pobytu ks. Wierzbowskiego. Było udzielone w formie listu biskupa do prowincjała, i jak prawo chciało, pozwalał tam karmelitom Wierzbowski podnieść krzyż i odprawić nabożeństwo. Sam akt sprzedaży spisany w magistracie miasteczka 7 września. Pozwolenie dziedziców, bo i od nich tu oczywiście wiele zależało, wydane we środę po świętym Michale (w pierwszych dniach października), a zapisane w grodzie war-

szawskim. Leszno własnością było podówczas dwóch rodzonych braci podskarbiców koronnych Bogusława i Rafała; pierwszy z nich obecny wtedy w Warszawie opat czerwiński i proboszcz plocki, za siebie i za brata wydał przywilej karmelitom, co potem oczewiście brat jego Rafał potwierdził, ten sam co to był ojcem króla Stanisława. Być może, młodzi Leszczyńscy wykonywali tutaj li tylko wolę swojego stryja kanclerza koronnego Jana, który, jak Gołębiowski opowiada, już w 1677 roku jako dziedzie przyzwolił karmelitom na fundacyją; dowodziłoby to, że księża dobrze jeszcze przed nabyciem gruntów pejkierowskich, pragnęli przenieść się nareszcie pod opiekę możnej rodziny i że od niej nawet mieli zachętę; to przynajmniej pewna, że gdy trzeci rodzony brat Bogusława i Rafała, Jan Przeclaw starosta warszawski umarł w stolicy bardzo młodo (1668 r.), pochowano go w klasztorze ś-tój Trójcy, to jest u brygidek, bo na Lesznie zwłok jego nie było gdzie złożyć. Nie na rękę to było możnej rodzinie: chcieli mieć kościół we własnem swoim miasteczku, zwłaszcza, że przez Morsztynów chybiła im fundacyja braci ś-go Jana Bożego. Z tego pewniej źródła płynął ów wcześniejszy nieco przywilej kanclerza Jana, jeżeli był w istocie jaki i owe późniejsze osadzenie się karmelitów na Lesznie.

Zakonnicy osiedli na gruntach w dworku już na dniu 3-cim października 1682 r., ale uroczyste prawne zajęcie nastąpiło dopiero w wigilią świętych apostołów Szymona i Judy. Mimo to, poprzednio jeszcze karmelici urządzili już w nabytym domostwie kaplicę, w której pierwsze nabożeństwo i msza ś-ta odbyły się dnia 8 września w samo święto Narodzenia Matki Boskiej, przed Jój cudownym obrazem, słynącym łaskami, który po dziś dzień mieści się w ołtarzu wielkim. Obraz ten nieznanomego pędzla spoczywa w ramach srebrnych. Ta okoliczność nawet podała myśl założenia klasztoru i świątyni pod tytułem Narodzenia Matki Boskiej.

Zabiegami księży karmelitów wznosił się powoli kościół i klasztor na Lesznie, bardzo powoli, bo fundusze trzeba tu było zbierać składkami. Jeden tylko stolnik koronny a pólkownik królewski Aleksander Polanowski, towarzysz prac obozowych Czarneckiego i panującego podówczas króla Jana, zacny starzec, którego nagrobek, jak mówiliśmy, znajduje się u dominikanów, dowiedziawszy się o téj fundacyi, prostym długiem zapisał naszym karmelitom w grodzie lwowskim 15,000 złp., i oparł je na gruntach swoich jakie posiadał w Warszawie na Nowém Mieście za franciszkanami, pomiędzy posiadłością z jednej strony Adama Kotowskiego stolnika wyszogrodzkiego, z drugiej Stanisława Falkiewicza burmistrza z Warszawy (w grudniu 1682 r.). Może także do naszego kościoła odnosi się ta wiadomość u Niesieckiego, że Bogusław Leszczyński, który tymczasem został biskupem łuckim, trzy kościoły wystawił, jeden w Lesznie a dwa w płockiej dyecezyi. Bądź co bądź, bez wpływu jego do budowy karmelitów obejść się nie mogło, ile że był to mąż „na ubogich szczodroblivy, na zakony i klasztory dobroczynny.“ Zapisów jednak na żelazny fundusz dla karmelitów biskup ten nie zostawił; brakowi więc przyszłemu zaradzając, ksiądz prowincyał w Karmelu płońskim na kapitule postanowił, że na utrzymanie klasztoru warszawskiego składać mają część swoich dochodów cztery poblizsze zgromadzenia, jako to: lipskie, płońskie, grabowskie i kłodawskie, aż do czasu, do którego pomoc ta potrzebną będzie (d. 24 lutego 1683).

Były jeszcze do załatwienia pewne trudności z parafjami ś-go Krzyża i ś-go Jana. Imieniem pierwszej proboszcz ksiądz August de Monteils, imieniem drugiej ksiądz Wojciech Opolski, wikary, upominali się o czwartą część dochodów za nabożeństwa żałobne, które w przyszłym kościele miały się odbywać. Mieli za sobą prawo; załatwiono zaraz tę trudność.

Kiedy więc niczego nie brakowało dla wydania kanonicznej erekcyi kościoła, kiedy księża już siedzieli w domostwie, a w ka-

płicy codziennie odbywało się nabożeństwo, kiedy fabrykę już rozpoczęto, karmelici zgłosili się do biskupa, który z ramienia swego wyznaczył na ten cel księdza oficcyjała. Był nim podówczas Mikołaj Stanisław Święcicki opat trzemeszyński, dziekan poznański, scholastyk warszawski i proboszcz krakowski. Złożyli przed nim zakonnicy wszystkie swoje dowody. Oficcyjał zastrzegłszy prawo parafijalne, wydał im erekcyją na dniu 6 kwietnia 1683 roku. W skutku tego zaraz odbyła się na Lesznie processyja, przez którą wprowadzono księży karmelitów do owego klasztoru i kaplicy. Uroczystość ta odbyła się rano o dziesiątę; siedl na nią książdz Behm z erekcyją, a towarzyszyli wprowadzeniu temu uproszeni na świadków pan kasztelan podlaski Marcin Oborski i pan Sebastyan Gilbaszewski sąsiad karmelitów, instygator koronny.

W 1695 roku Marek Matczyński wojewoda ruski, zapisał ojcom karmelitom trzewickowym warszawskim 6,000 złp. „in suffragium animae“ z warunkiem, żeby co piątek odprawiali mszę za niego.

Jedno tylko wspomnienie większej wagi historyczne przywiązane jest do dziejów tego kościółka z czasów wojen augustowskich. Stąd albowiem od karmelitów wyjechało poselstwo szwedzkie do nowo-obranego króla Stanisława Leszczyńskiego i odbyło wjazd do Warszawy (dnia 28 i 29 lipca 1704 roku). Było wszystkiego przeszło dwadzieścia karet, a przed powozem posłów postępowała kalwakata tak dworska, jako też żołnierska w zbrojach, pancerzach i lampartach. Przeciwno posłom wyjechało z miasta na Leszno aż pod sam kościół kilku senatorów.

W ostatnich spokojnych latach panowania Augusta drugiego, karmelici śpieszyli się z budową kościoła. Mieli wtedy sprawę z Wielopolskim wojewodą sieradzkim, o pałac Kotowski (w czerwcu 1727 roku). W lat kilka potem od pijarów z Długiej ulicy wprowadzili do swego kościółka bractwo serca Najświętsz

Panny, na której to uroczystości, jak zwykle przygrywała kapela, działa i kotły i jak nie zwykle, postępowali w szeregach studenci i księży pijarowie (d. 9 marca 1731 r.). Wojewoda kijowski Józef Potocki był wtenczas dobrodziejem zakonu, stąd jako protektorowi bractwa jemu ofiarowano akt téj uroczystości. Potoccy, (głównie zdaje się wojewoda), fundowali tutaj w kościele ołtarz wielki, stąd ponad nim do dziś dnia jeszcze błyszczy herb Pilawa. Inne cztery ołtarze poświęcono czci świętych: Wojciecha karmelity, Magdaleny de Pazzis, Józefa i Elijasza: malował te wszystkie cztery obrazy do ołtarzów mistrz sławny Czechowicz. Ołtarze mozaikową robotą wyłożone. Teraz dopiero po latach 50 pracy, zachodów i starań, mogli karmelici przystąpić do poświęcenia swego kościoła. Ks. arcybiskup ikonenski ówczesny nuncjusz świętej stolicy w Polsce, Kamil Paulucci chętnie się pobożnym zakonnikom do tego ofiarował. I w istocie z całym wspaiałym obrzędem katolickim, kościół na Lesznie poświęcił w drugą niedzielę po wielkiej nocy, to jest d. 27 kwietnia 1732 roku.

Druga uroczysta processya, jaka się odbyła do tego kościoła od księży reformatów, przypadła już w ostatnim roku panowania drugiego króla z rodziny saskiej. Było to wprowadzenie święta błogosławionego Anioła wyznawcy zakonu karmelitańskiego, którego Klemens XIII policzył w poczet wybranych. Processyją przez miasto prowadził Żaluski biskup kijowski, który stanąwszy u karmelitów, zanucił hymn ś-go Ambrożego, potem miał o błogosławionym kazanie po niemiecku, wreszcie mszą śpiewaną zakończył obrzęd, chociaż nabożeństwo jeszcze dwa dni następne trwało (d. 24 lipca 1763 r. w niedzielę). Był to ostatni zdaje się tego rodzaju obrzęd religijny w Warszawie, na którym jeszcze występowały wszystkie razem bractwa, wszystkie zakony, na którym wotywy i kazania gonily się, na którym grzmiały jeszcze działa dla tłumów pobożnego ludu. Za chwilę zacząć się miało panowanie Stanisława Augusta, które nie lubiło podobnych oznak nabożeństwa.

Ksiądz Antoni Łuba przeor tutejszego klasztoru za czasów księstwa warszawskiego i później, znający się na sztuce, postarał się o piękne odnowienie obrazów kościoła. Zdjął z tych malowideł, które miały wartość artystyczną, różne niepotrzebne dodatki i ozdoby; mógł więc następnie Konradowicz, dozorca sławnej galeryi Osolińskiego powoli zupełnie poodnawiać obrazy. Jest to zasługa względem sztuki polskiej, której milczeniem pomijać nie należy.

Ale sam kościół dopiero w naszych czasach doczekał się odnowienia swojego; przewidziane koszty wynosiły przeszło 22,000 złp. (rsr. 3,345 kop. 20). Rząd udzielił na ten cel z własnych zasobów rsr. 500, resztę zastąpiły składki pobożnych. Oprócz wieżowego zegara i niektórych oltarzów, cały kościół w nowe przystroił się szaty. Wstrzymano na czas nabożeństwo, a kiedy je po odświeżeniu świątyni rozpocząć znowu należało, zgromadzenie księży karmelitów wybrało stosowną do tego rocznicę, to jest ów dzień 8 września, w którym przed sto siedmziesięcią laty, pierwszy raz przed cudownym obrazem tutejszym Najświętszej Panny, kapłani z ludem wiernym zanosili modły. W sobotę d. 7 września rozpoczęły tę rocznicę nieszpory, a nazajutrz w święto, jako w drugą uroczystość, odbyło się nabożeństwo z zupełnym odpustem i kazaniami.

Oprócz bractwa Serca Panny Maryi znajduje się przy tutejszym kościele razem z niemi połączone bractwo Szkaplerza świętego. Oddzielne jest bractwo Miłosierdzia.

Nagrobków w kościele nie ma wspaniałych. Proste marmury z napisami są pamiątką po kilku historycznych osobach. Jest tu kamień poświęcony Antoniemu Kossowskiemu, z podskarbiego nadwornego sekretarzowi wielk. koron. (um. 1771 r.), ale ten mieści się zewnątrz kościoła. Na ścianach wewnętrznych tkwił kiedyś kamień nagrobny Szymona Dzierzbickiego wojewody łęczyckiego (um. 1787 r.), ale za ostatniej fabryki zdjęto go i wmurowano w posadzkę. Każdy wchodzący do przedsionka kościoła, naj-

przód na ów kamień musi nogą nastąpić; przykro robi się sercu kiedy się wspomni na taki wandalizm w XIX wieku. Dzierzbicki jednak i Kossowski, że tutaj spoczywają, musieli być dobrodziejami kościoła. W ostatnich czasach wdowa położyła kamień grobowy w tutejszym kościele, także historycznej osobie, Kajetanowi Sierakowskiemu senatorowi kasztelanowi królestwa polskiego, który w 1841 r. zakończył życie, mając lat 88.

W życiu codzienném warszawian jest doroczna chwila, która na Lesznie do karmelitów gromadzi zawsze niezmierne zbiegowiska narodu. Kiedy pokończą się wszędzie w tygodniu Bożego Ciała nabożeństwa i processyje po innych kościołach, processyja od kościoła karmelitów po Lesznie zamyka szereg tych uroczystych obchodów, które zaświadczać o tryumfie wiary, podnosząc umysł i serce. Najznakomitsi wtedy kapłani celebrują zwykle na processyi, a zgromadzenie pobożnych nigdzie tak może nieliczne jak tutaj, bo jest się gdzie pomieścić tłumowi na szerokiej i długiej ulicy.





KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY Ś. ALEKSANDRA
na placu pod Trzema Krzyżami.

KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY Ś^{go} ALEKSANDRA

NA PLACU

POD TRZEMA KRZYŻAMI.

Jeszcze Warszawa małym była miasteczkiem, stolicą mazowieckich książąt, kiedy w małej obok położonej również nad Wisłą wioseczce, która do niej należała, to jest na Solcu, wznosił się parafijalny kościółek (*). Chociaż od pierwszych chwil swoich był filiją kolegiaty ś-go Jana, jednak nie miał praw pewnych, oznaczonych i nadania jemu służące tak były niejasne, że ulegały różnym tłómaczeniom. Magistrat, kapituła ś-go Jana i osobno dziekan jój, wtrącali się w zarząd kościółka. Dobrze to było czas jakiś, ale kiedy Anna Jagiellonka postanowiła prawa te raz już urządzić, wylało się na raz całe morze processów o parafiją i kościół. Solec często zalewała Wisła, stąd niewygoda i niebezpieczeństwo. Królowa Anna, już wtedy wdowa po Batorym, mając najwyższy zarząd wszystkich w ogóle spraw Warszawy, jako dożywotniczka na księstwie mazowieckim, postanowiła solecką parafiją przenieść do Ujazdowa, nieco dalej na południe od miasta położonej wioski, ale za to leżącej na wzgórzu. Nie robiła nic tutaj królowa przeciwko kanonicznym przepisom, parafii no-

(*) Gołębiowski, (Opisanie statystyczno-historyczne miasta Warszawy. 1827 r. str. 102) zbyt śmiało na zasadzie jakichś mylnych podań utrzymuje, że Łokietek wystawił ten kościół. Łokietkowi nic nie było do Warszawy.

wój nie tworzyła, granic nie zmieniała, tylko z jednego miejsca na drugie w téjże saméj parafii przenosiła kościółek. Wyznaczyła w Ujazdowie pół łanu pod zabudowania nowéj świątyni i cmentarz. Kiedy fabryka była skończoną, powagą swoją przenieść do Ujazdowa kazala wszelkie własności parafijalne z Solca, i zgłosiła się wtedy do biskupa, żeby kanonicznie do murów nowego kościoła przeniósł wszelkie prawa dawnego. Było to w 1593 r. Biskup według prawa postępując, nakazał rzecz tę głosić po kościołach, a swego officyjała warszawskiego wyznaczył jako sędziego i kommissarza, przed którym kazał się stawić stronom, mającym coś przeciwko nowéj fundacyi, (d. 14 marca 1594 r. w Poznaniu) termin zaś ostateczny dla stron, oznaczył na poniedziałek po niedzieli przewodniéj. Na dzień ten, który przypadł w owym roku d. 18 kwietnia, stawilo się wielu protestujących: Jędrzej Noe i Grzegorz z Warki kanonicy warszawscy imieniem kapituły ś-go Jana, osobno nadszedł pełnomocnik dziekana kolegiaty księdza Kossackiego i od magistratu stanął Szymon Wituński pisarz staréj Warszawy. Królowa Anna zaś, nie mogąc stanąć osobiście dla powagi swéj, wyznaczyła od siebie zastępcę do téj sprawy księdza Jana Barskiego swego kaznodzieję. Kanonicy żądali zwłoki do 15 dni, na co officyjał przyzwolił. D. 2 maja tedy miał się rozwiązać los kościoła ujazdowskiego; ale że officyjała nie było na sądach, więc strony tylko, że wykazały różne pretensyje i zażalenia, a przynajmniej zastrzegły swoje prawa. Sesya na pierwsze sądy po Wniebowstąpieniu odłożona. Ksiądz Noe to jedynie miał do nadmienienia, że pół łanu na Mokotowie należącego do szpitala ś-go Marcina, królowa w swoim zapisie przydzieliła do kościoła, a za to dała szpitalowi inne pół łanu bez wiedzy kapituły; byłaby to rzecz mała, zwłaszcza, jeżeli dla parafii stawała się przez to pewna dogodność, ale dawniejszy grunt był libertowany, to jest uwolniony od wszelkich ciężarów, nowy zaś nie, — dla tego kapituła, jako z urzędu opiekunka szpitala, domagała się wprzódki libertacyi nowego nadanego pół łanu, zanimby mogła

pozwoić na erekcyjå kościółå. Następnie dziekan i magistrat złożyli swoje zażalenia. Wtedy Kacper Sadlocha proboszcz ś-go Jana, sekretarz królowej, który stanął tą razą w konsystorzu z księdzem Barskim, podali do akt erekcyjå nowego kościółå na paragaminie spisany, którą już zatwierdzili poprzednio biskup i kapituła poznańska, dowodząc że magistrat próżno się sroży, bo jak nie miał tak nie ma żadnych praw do kollacyi soleckiej, a jeżeli przykro mu to, że dał pewne sprzęty do kościółå, teraz już do Ujazdowa przeniesione, królowa kazała mu oświadczyć, że wszystkie te sprzęty kazała wydać; więc już o tém proboszcz, który się zastosuje do woli swojej pani. Proboszcz w konsystorzu podówczas obecny przyznał, że w istocie ma taki rozkaz. Po czém strony do biskupa założyły apelacyjå. Dziekan, powtarzając, że parafija solecka była córką ś-go Jana, dowodził, że był z urzędu kollatorem kościółå na Solcu, co mu teraz naturalnie odbierano, bo patronat zachowywała sobie Anna za życia, a potem przenosiła go na królów; wskazywał fakta, że dziekani utrzymywali na Solcu swoich zastępców, (Vicarios perpetuos), z którymi dzielili się dochodami. Zastępcą taki brał wszelkie wpływy parafijalne i posiadał pewne dziesięciny, resztę zaś dziekanowi musiał oddawać. Wreszcie, dziekanowi nie tyle chodziło o dochody, niechby je pobierał sobie wszystkie zastępcą, ale o utrzymanie praw swojego zwierzchnictwa nad kościółem. Magistrat zaś ostro odsadzony od swoich pretensyj, zaczynał już z innej strony; Wituński mówił, że przeciw postanowieniom soboru trydenckiego stało się przeniesienie to: sobor pozwolił wprowadzić proste beneficyjå i prawo patronatu ze starych podupadłych kościółów, których już więcej naprawić nie było można, przenosić do nowych, ale należało wprzód o takim zamiarze uwiadomić interessowanych, jak sobor każe: nie mogło zaś to przeniesienie obyć się na żaden żywy sposób bez wiedzy właścicieli miejsca, to jest bez woli senatu warszawskiego. Na nowym terminie dnia 30 maja, nakazał officyjał, żeby strony wy-

wiodły się ze swoich praw. Ciągnęła się więc rzecz dalej, aż wreszcie wola Anny przemogła. Konieczność przeniesienia kościoła ze zrujnowanego Solca była widoczną, i tylko co do erekcyi zachodziły pewne nieporozumienia. Anna wszelkie nadania kościoła zbiła w jeden przywilej, i nie wiedząc o tém, w istocie ubliżyła prawom trzecich osób, ale nie magistratowi, tylko księdzu dziekanowi kolegiaty. Kossacki zrzekł się praw swoich do kollacyi, gdy już tak koniecznie wypadło, ale za to zawarował sobie i następcom dziesięciny snopowe i pieniężne, które według starych fundacyj poprzedników i jego samego dochodziły z Czerniakowa i od szlachty tamecznej Niskich, dalej z Solca i z Ujazdowa. Że te dziesięciny błędnie wpisane były przez Annę w erekcyi za własność kościoła soleckiego, zaprzysięgli ks. Zacheusz Pikarski archidyjakon plocki, kanonik warszawski, i sławetni Franciszek Szeliga rajca (consul), oraz Grzegorz solecki mieszczanie. Proboszcz jazdowski, dawniej solecki, zgodził się wypłacać te dziesięciny. Ale nową protestacyją założył Szymon Belina Wolski, ekonom szpitala ś-go Marcina i także kanonik warszawski, z powodu, że władza szpitalna zgodzić się nie może na zamianę owego pół łanu na Mokotowie, chyba aż na to król i sejm pozwoli. Ułatwiono i tę trudność. Tak stało się założenie nowego domu Bożego w Warszawie. Mały drewniany, podobno tylko 250 osób mógł w sobie mieścić. „Na górze jest kościół, opowiada tak o nim Jarzemski, z cudownym obrazem, który królowa Anna tam z Solca przeniosła, jest przy nim plebański dwór.” — Otóż i ślad cudownego obrazu, o którym dotąd innych nie mieliśmy wiadomości. Kościółek stał na miejscu dzisiejszych zabudowań belwederskich, królowa poświęciła go na cześć matki Bogarodzicy, ś-tój Anny patronki swojej i ś-tój Małgorzaty męczenniczki. Stąd odpust wielki bywał tutaj na ś-tą Annę.

Królowa lubiła mieszkać w pałacu ujazdowskim. Opuszczona od męża, nieraz tutaj smutne przepędzała chwile i dla tego w modlitwach znajdowała ulgę. Nie długo po jój śmierci przejazd kardynała

Gaetano przez Ujazdów z Krakowa do Warszawy, przywiązał pamiątkę do tego kościółka Anny Jagiellonki: kardynał trzy dni z orszakiem swoim stał w pałacu, zanim odbył wjazd do stolicy, i raz w niedzielę rano umyślnie poszedł legat odprawić mszę do ś-go Michała, o pół milę włoską od Ujazdowa, (d. 22 września 1596 r.). Widać że się przesłyszał sekretarz Gaetana, kiedy opowiadał, że legat miał mszę w kościele ś-go Michała, nie ś tej Anny.

Pierwszym proboszczem w Jazdowie był ks. Marcin Solecki, pewnie z rodziny mieszczan warszawskich. Niespokojny to był charakter, a może tylko zbyt gorliwy o dobro swojego kościoła. Na wszystkie strony prowadził processa, żeby fundacją Anny królowej już utwierdzoną, przy dawnych prawach zostawić. Spierał się, to z gronem wikaryjuszów ś. Jana o dziesięciny z pół łanku mokołowskiego, to z osadnikami, to ze szlachtą na Wielkiej Woli osiadłą, bo i z tej wsi elekcyjnej do Jazdowa szły dziesięciny i czynsze. Z Wolą spory nie ustawały, ale tutaj górą był ksiądz Solecki: z wikaryjuszami zaś przegrał w konsystorzu (d. 8 marca 1613 r.). Naturalnie, te processa nękające nowy kościół, wybuchły z całą siłą już po śmierci założycielki, której obrona byłaby skuteczniejszą, ale widać że Anna w krytycznej chwili dla kościoła zakończyła swoje życie. Powoli poodrastały wszystkie oddalone pretenzje; dziekan gniewał się, wikaryjusze ś-to-jańscy wtrącali się, król zaś miał związane ręce, ciesząc się li tylko jedynie samą prezentą. W takim stanie trwały rzeczy aż do czasu Władysława IV-go. Mansyjonarze kolegiaty z królewskiej kaplicy nieudaną mieli chrapkę na kollację ujazdowską i skarżyli się na to, że klęski krajowe zrujnowały ich i że potrzebują wsparcia, wreszcie znalazłszy przyjaciół u dworu upraszali, żeby do ich funduszu wcielono probostwo jazdowskie. Król przyzwoliwszy na to, wydał mansyjonarzom stosowny przywilej (dnia 15 marca 1637 r.). Biskup Szoldrski kanoniczne urządzenie tej rzeczy zlecił oficjjałowi warszawskiemu księdzu Erlerowi (d. 6 lipca 1638 r. z Łowicza). Głównie sprawę tę imieniem mansyjonarzy popierał ich

senior ksiądz Jan Szumski. Zawarowano prawo ówczesnego proboszcza i dopiero po śmierci jego, prezenta miała przejść do nowych właścicieli prawa, ale Erler przy tém zastrzegł, że zastępcy proboszczów, owi vicarii perpetui, którzy tutaj na przyszłość osiadą, nie mają być z grona mansjonarzy, bo by inaczej służba kaplicy królewskiej na tém cierpiała: mógł mansjonarz otrzymać prezentę, ale jednocześnie tém samém mansjonaryi się zrzekał. Proboszczowi wyznaczono krom dochodów niestałych 450 złp. pewnego uposażenia, które w dwóch ratach pobierać miał, to jest na ś-ty Jan i na Boże narodzenie. Inne dochody szły już na rzecz mansjonarzy (d. 6 września 1638 r.). Akt ten urzędowo zapisany został do akt konsystorza dopiero w 1641 roku. Od tego czasu służba kościelna w Jazdowie musiała się zmniejszyć. Znaleźliśmy ślady, że naprzykład w roku 1632 proboszcz utrzymywał aż dwóch wikarych, potem już tego nie widać; dalej że był bakałarz miejscowej szkółki, o której potem ani słyhu.

Umyślnieśmy weszli w te szczegóły, bo dzisiejsza parafija ś-go Aleksandra jest dawną parafiją ujazdowską i dawniejszą jeszcze solecką. Historyja więc kościołów na Solcu i w Jazdowie, musi być wstępem do kroniki ś. Aleksandra. Nie prędko tam jeszcze zajdziemy, jesteśmy dopiero w połowie 17-go wieku, zatem od epoki dzisiejszej blisko 200 lat nas dzieli, ale i nie wiele co się zostaje powiedzieć o kościółku w Jazdowie. Wprawdzie król August II-gi znakomicie podniósł znaczenie owego miejsca przez zbudowanie nowój kalwaryi w Jazdowie z 33-ma ołtarzami czyli kaplicami męki Pańskiej; w wielki piątek 1732 r. odprawiła się z miasta do téj kalwaryi wspaniała processyja przy ogromném zbiegowisku ludu i cechów, na którą król koszt potrzebnyłożył. Kaplice stały jako figury, gęsto mur je otaczał ze wszystkich stron, a jedna szczególniej blisko samej kaplicy, marmurowa, na włoski manier zbudowana, miała kosztować 10,000 czerwonych złotych. Państwo podówczas w Warszawie przytomne, bawiło się nabożeństwem i obchodzeniem grobów. Ale ta kalwaryja miała

bardzo krótkie dni swojej wziętości. Oddana w zarząd trynitarzom, gniewała proboszczów jazdowskich, a w końcu zupełnie o niej zapomniano. Za Stanisława Augusta, kaplicę dla ziemi coraz bardziej usuwającej się pod nią, rozrzucono, i kapliczki stopniowemu podlegające zniszczeniu, kolejno ustępowały miejsca wznoszącym się w alei budowlom, a razem starością pochylony, znikąd nie doznający opieki, upadał parafijalny kościółek. Mimo to jednak w czasie wielkiego jubileuszu w 1776 r. i tutaj w Ujazdowie dwu-tygodniową odbywali misyjną księża kapucyni. Uroczystość otworzył sam oficjał warszawski, biskup dardański Aleksandrowicz, który w kościółku ś-tój Anny miał mszę śpiewaną w niedzielę (d. 2 czerwca): odpust na miłościwe lato obchodził wtedy wszystkie domy Boże stolicy, nie pominął więc i parafii ujazdowskiej. Za czasów pruskich jeszcze, wygnana francuska rodzina Burbonów latem w Łazienkach mieszkając, słuchała w kościółku ujazdowskim mszy ś., ale cała już służba parafijalna przeniosła się znowu tam skąd wyszła, to jest na Solec, do kościoła księży trynitarzy. Było to z większą jeszcze niedogodnością dla miasta, jak kiedyś za czasów królowej Anny, bo dawniej Solec od miasta rozdzielały puste pola i przedmieścia, teraz zaś Warszawa rozwinęła się i nie tylko zabudowała się na Nowym Świecie, ale aleje i prawie Ujazdów w swoje granice zajęła. Miastu zbudowanemu na górze, niezręcznie było szukać zaspokojenia potrzeb duchownych w oddaloném miejscu i wystawioném na częste wylewy Wisły. Ale możeby się długo to jako wlokło, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności.

Miasto ujrzało wjeżdżającego po raz pierwszy do stolicy Króla Polskiego błogosławionej pamięci Cesarza Aleksandra, (d. 12 listopada 1815 r.); chciało więc wystawić dla niego tymczasowo tryumfalną bramę na placu pod trzema krzyżami, mając zamiar na pamiątkę dnia tego, wznieść trwalszy w owych miejscach pomnik. Ale monarcha nie przyjął ofiary, i w liście pisanym do ówczesnego prezesa senatu podał środek, jakim naród może

przekazać następnym pokoleniom historyczną pamiątkę, to jest fundusz na ten cel zebrany kazał obrócić na postawienie kościoła, którego tak bardzo pożądało miasto. Takim sposobem powstał nowy kościół, który jazdowski miał zastąpić, pod imieniem ś. Aleksandra. Miasto plac pod trzema krzyżami wybrało, ten sam plac, na którym miała stać owa brama tryumfalna. Dla przyozdobienia téj okolicy miasta, trafny to był wybór. Plac rozsiadł się albowiem przy zbiegu wielu ulic; odsłonięty jest ze wszystkich stron i niezetknięty z żadną budową tak prywatną jak i publiczną, kościół więc na nim wystawiony okazale powinien był wyglądać i w istocie okazale wygląda. Aigner podał plany; wzór wziął z panteonu rzymskiego, a więc zbudował rotundę. Dwa w tym kościele sklepienia; jedno na podziemny, drugie na górny kościół: to ostatnie wspiera się na ośmiu mniejszych sklepieniach, ponad niszami. Na wierzch budowniczy zarzucił kopułę, która sztuką i piękném wyrobieniem zajmuje. Wnętrze kościoła mieści ośm framug; w 4-rech większych zdobnych w korynckie kolumny, są ołtarze i kruchta; w mniejszych zaś, ambona, chrzcielnica i ławki. Kapi-tele i gzymsy zdobne są i bogate w snycerskie przybory. Ołtarze trzy i posadzka z krajowego marmuru; cymboryjum, krucyfiks i świeczniki, oraz pokrywa do chrzcielnicy ze złoczonego bronzu, prześliczne, roboty Norblina. Opisywano kiedyś po pismach publicznych rzadką piękność i wysokość tego cymboryjum, jako téż w ogóle bronzów i świeczników przeznaczonych do tego kościoła; co do cymboryjum głościono, że to bez wątpienia pierwsze było dzieło z takim gustem wykonane w stolicy polskiej, (1824^{1/5}) W ołtarzu wielkim mieści się obraz Zbawiciela na krzyżu; w pobocznych zaś są obrazy Niepokalanego Poczęcia, męczeństwo ś. Piotra, wskrzeszenie Łazarza, i Najświętszej Panny częstochowskiej. We wklęsłości téż ołtarza wielkiego złożono posąg wielkości naturalnej Zbawiciela zdjętego z krzyża, z białego marmuru wykuty, dzieło dawne rylca biegłego w sztuce swojej mistrza, które niegdyś jeden z książąt Lubomirskich, dziedziców Ujazdowa,

sprowadził z Rzymu; posąg ten dostał się tutaj z kościółka ś-tój Anny. Facyjaty dwie, bo kościół otwarty ze wszech stron i niezaslonięty niczém; pierwsza i celniejsza, obrócona ku alei ujazdowskiej, ma wspaniałą wystawę czyli portyk z 8-miu kolumn korynckich i stanowi główne wejście; druga podobna zupełnie od Nowego Świata, ma drzwi do zakrystyi: tu i tam idzie się po 14-stu wschodach kamiennych. Cała świątynia pokryta blachą miedzianą; nie wielka, ale widna i piękna, może objąć 900 ludzi, nie więcej.

Kamień węgielny na budowę tego kościoła położył dnia 15 czerwca 1818 r. sam książę namiestnik Zajączek. Jednocześnie rozebrano stary kościółek ujazdowski (w lipcu 1818 r.). Fabryka jednakże trwała dosyć długo, bo przez lat ośm. Wreszcie załśniła pamiętna dla téj okolicy miasta niedziela (d. 18 czerwca 1826 r.). W dniu tym, poświęcenia kościoła dopełnił ksiądz Wojciech Skarszewski, arcybiskup warszawski i prymas królestwa. Z namiotu postawionego przed nowym przybytkiem przeniósł w czasie ślicznej pogody poważny arcykapłan relikwie świętych Wincen-tego, Symplicjusza i Filomeny do świątyni, u podwojów której miał mowę do ludu napelniającego tłumami obszerny plac, i w niej nauczał jak należy szanować kościoły. Sam celebrował mszę wielką i odpust całoroczny ogłosił dla obecnych. Liczne duchowieństwo śpiewało chorałem w czasie obrzędów, a w czasie mszy znowu wzniosły się pienia, przy towarzyszeniu nowych ładnego głosu organów. Zakończyły uroczystość nieszpory, na których śpiewał ksiądz Falkowski. Dotąd administrował parafiją w kościele trynitarzy, którzy mu służyli za wikaryjuszów, teraz zaś z przeniesieniem nabożeństwa do ś-go Aleksandra, które później nieco nastąpiło, został pierwszym tutejszym proboszczem. Tak parafija ta, długo zamiejska, (Jazdow albowiem jeszcze w 1795 r. liczył się do dekanatu piaseczyńskiego), stała się wreszcie w naszych czasach parafiją miejską, piątą w Warszawie. Liczba jej owieczek codziennie wzrasta, i nie dziw, bo w téj stronie dużo

się Warszawa buduje na rozległych placach. W 1831 roku było parafijan u ś-go Aleksandra 7,854 osób, w lat kilkanaście potem (w 1845 r.) już 11,860. Dzisiaj ten przyrost jeszcze znamiętszy.

Kronikę kościoła ś-go Aleksandra zamknijemy spisem proboszczów parafii ujazdowskiej, dawniej i nowiej. Mniej zajmują spisy nagich imion i nazwisk przed królową Anną. Ale od roku 1593 ster duchowieństwa trzymali w tej stronie Warszawy:

1. Marcin Solecki, umarł 1620 r. Późno już został kanonikiem warszawskim. Parafii do lat 30 przewodniczył

2. Walenty Wąglikowski, otrzymał prezentę od króla i w konsystorzu instytuował się d. 1 czerwca 1620 r. W rok później został kanonikiem kolegiaty u ś-go Jana, po śmierci Jana Zalasiewskiego i na tę kanoniję installował się d. 6 listopada 1621 r. Umarł nie długo, bo w 1622 roku.

3. Mikołaj z Rokszyce, Pobóg Ruszkowski, kanonik warszawski, installował się w konsystorzu d. 20 kwietnia 1622 r. Oficjjałem warszawskim i dziekanem ś-go Jana był natenczas ksiądz Jan Raciborski, wielki dobroczyńca nędzy i słabości. Widać, że prawa prezenty królewskiej do probostwa ujazdowskiego jeszcze się nie ustaliły, skoro dziekan na ten raz zrzekał się dla łaski pańskiej praw swych do kościoła soleckiego i przyznał księdza Mikołaja proboszczem. Za Ruszkowskiego też stanęło ostateczne wcielenie, jakeśmy mówili, kościoła ujazdowskiego do funduszu mansyjonarzy. Proboszcz nasz tymczasem urósł na wielkiego pralata. Kanoniję ś-go Jana, (fundusz na Dębniej Woli), wziął jeszcze w 1616 r. po Stanisławie Łubieńskim. Oficjjałem warszawskim po Raciborskim mianowany przez biskupa obecnego podówczas w stolicy d. 28 lutego 1625 r. Złożył w lat kilka tę godność. Następnie został kustoszem warszawskim, i był nim aż do 1645 r., to jest aż do czasu kiedy Władysław IV dał mu chociaż świeckiemu księdzu opactwo paradyckie, co w swoim czasie wywołało głośną sprawę. Ruszkowski posiadał, widać z tego, wielkie łaski

u dworu, z którym miał urzędowe stosunki, bo przy innych godnościach należał jeszcze do kancelaryi koronnej, jako sekretarz królewski. Starcem już będąc, podpisał w 1648 r. z województwem sieradzkim, z którego pochodził, elekcyą Jana Kazimierza. Był jeszcze podobno w kapitule plockiej archidyakonem dobrzyńskim. Niesiecki, zdaje się, dwóch opatów paradyskich z tego jednego zrobił, Jana i Mikołaja. O Janie mówi, że był szczodrobliwym bardzo na kościół zdziszewski, i że książka „Magnalia Dei-paræ” wspomina o jego bogatych darach dla tego kościoła, a mianowicie o pięknych ozdobach do obrazu Matki Boskiej, o świecznikach srebrnych, o nalewce z miednicą i o znacznych relikwijach świętych Pańskich. Zasługi te względem kościoła zdziszewskiego, zdaje się, że prędzej można przyznać naszemu Mikołajowi. Jest też o nim sława, że literaturą się bawił, miał albowiem bezimiennie wydać dziełko małe, pod tytułem: „Co za pożytki Kcrona polska odniosła z pruskiej wojny z Gustawem?” Szkód wielkich nie zapierając autor, wskazuje korzyści; oto, mówi, nauczyła się Rzeczpospolita, że i małym nie należy gardzić nieprzyjacielem, nauczyła się dalej walczyć po hollendersku, to jest sztuką i kunsztem wojennym, poznała wreszcie, że chcąc wojować, należy mieć skarb nieubogi.“ (Maciejowski Piśmiennictwo, tom 3, str. 143). Musiał pisać to dziełko Ruszkowski, siedząc jeszcze tylko na samém probostwie ujazdowskim. Syty wreszcie lat i zasług, ks. Mikołaj, jak pisze Niesiecki, pewną sprawę utrzymując wielkim kosztem do Rzymu jechał, i tam życie swoje stargał w 1651 r. Najpewniej chodziło mu tam o paradyskie opactwo.

Po Ruszkowskim szli już tutaj proboszcze z rąk mansyjonaarzy ś-go Jana. Z pomiędzy nich znamy tylko następnych:

4. Marcin Malczewski był proboszczem w 1680 r.

5. Tomasz Wągrodzki objął probostwo d. 9 czerwca 1686 roku, prezentowany do niego nie tylko przez mansyjonaarzy, ale

i przez Stanisława Lubomirskiego dziedzica Ujazdowa, marszałka wielk. koron.

6. Wojciech Zarębski od sierpnia 1687 r. Był jeszcze w r. 1690.

7. Jan Franciszek Bugajski, administrator w 1691 roku, proboszcz 1692 r.

8. Piotr Litmanowski, długo rządził parafią ujazdowską jako komendarz i proboszcz; przynajmniej od 1697 do 1721 roku.

9. Mikołaj Aloizy Kreczmer, mansjonarz ś-go Jana i sekretarz kapituły w kolegiacie, od 1722 r. Był tutaj krótko.

10. Adam Stanisław Lasocki, jeden z najwięcej zasłużonych względem téj parafii proboszczów. Rodem z ziemi wyszogrodzkiej, klerikiem będąc dostał prezentę; może dla tego obudził przeciwko sobie nienawiść, która mu przez całe pięć lat spokoju nie dawała i wreszcie upadła ale z krzywdą jego honoru, fortuny i życia. Pracą i cierpliwością wreszcie Lasocki odniósł zwycięstwo. Wziął probostwo podupadłe, desolatissimum et depauperatissimum. beneficium, jak się wyraża, a wybudował je na nowo i pomnożył dochodami. Zajrzał albowiem do dawnych wizyt i pokoleji o to i owo, co zaniedbali poprzednicy, rozpoczynał sprawy po sądach. Tak wydobył propinacyją, tak wygrał aż z dwiema stronami u konzystorza sprawę o szkołę, która niegdyś była przy kościele, a upadła przez niedbalstwo. Postawił szpichlerz, stajnię, zabudowania gospodarskie drewniane; założył ogród wielki i zasadził w nim drzewa. Urządził rybołówstwo, naprawił zaniedbany browar, w którym za jego czasów, przez lat dziesięć wyrabiano piwo. „Et ulterius volo, takie własną ręką zapisał zobowiązanie się Lasocki w aktach parafijalnych, usque ad vitae tempora cohonestare et proventus augere, mam chęć aż do śmierci kościół mój wznosić i powiększać jego bogactwa.” Oczywiście ta szczerłość proboszcza wyszła mu także na zle i była jednym z powodów do jego późniejszych zmartwień. Nędzę latał własnym majątkiem, tutaj nic do zarzucenia mu nie było, ale upominając

się o prawa dawne, obrażał i świeckich i duchowieństwo. Niepotrzebnie tylko grał rolę w intrygach politycznych w czasie bezkrólewia po Augustcie II; zjednali go sobie sasi, których był narzędziem. Kiedy cała Polska za przewodnictwem księcia prymasa składała przysięgę, że obierze Piasta, to jest Leszczyńskiego, pleban ujazdowski miał śmiałość publicznie wystąpić i rozdawał pomiędzy szlachtą paszkwil, który miał za cel odciągnąć ją od przysięgi. Zwalila się burza na biédnego księdza, który przyciśnięty, zeznał dobrowolnie, że gdy się upominał u kommissarzy saskich o swoje krzywdy, podczas kampamentu (1732 r.) ponie-sione, a wynoszące do tysiąca złp. Wackerbarth rezydent tego dworu, wypłaciwszy tę summę, zaraz w rękę wsunął mu paszkwile i polecił intrygować pomiędzy szlachtą, zaco dał księdzu jeszcze ośm dukatów i drugie tysiąc złotych dać przyobiecał. Ziemia warszawska podczas sejmiku relacyjnego zapalila się na to opowiadanie (d. 7 lipca) i żądała po księciu prymasie, żeby wszystkich sasów oddalił ze stolicy, a po marszałku koronnym, żeby paszkwil spalił przed ratuszem. Stało się i jedno i drugie. Potém znowu o księdzu Lasockim głośno mówiono z tego powodu, że spierał się ciągle z trynitarzami o prawa parafijalne i o kalwaryją ujazdowską (1748 r.).

11. Łukasz Antoni Masłowski kommandarz 1752—3.

12. Bogusław Pachowicz, wziął probostwo już w maju 1753 r. i przez półwieku przewodniczył parafii ujazdowskiej. Zaprowadził chwalebny zwyczaj spisywania dobrodziejów kościoła; corok więc regularnie notował przez jakiś czas ofiary, jakie dla kościoła od pobożnych otrzymywał. Był kanonikiem honorowym katedry inflanckiej. Żył jeszcze 1795 roku.

13. Tomasz Józef Kocharzewski w r. 1806—1814 r.

14. Kacper Rother z kommandarza, rektor kościoła i parafii od 1815 roku.

15. Jakób Falkowski, nieśmiertelny założyciel i pierwszy rektor instytutu głucho-niemych w Warszawie. Administrator od

1820 r. proboszcz już w 1828 r. Życie jego obszerniej nieco rozpowiedział ks. Firsiukowski w osobnej książeczce, pod tytułem: „Przyjaciół i ojciec głuchoniemych, ks. Jakób Falkowski. Warszawa 1850 r.“ zresztą szczegóły jego żywota zna kraj cały i cześć pamięć męża apostolskiego. Nie rad się cudzą wyręczać posługą, grzesznik Kuba (tak się sam przezywał ksiądz Falkowski), wszystkie chwile wolniejsze od pracy z nieszczęśliwymi dziećmi, poświęcał swojej parafii: wiedział też ks. Skarszewski kogo wybierał do winnicy Chrystusowej. Sam ksiądz Jakób w niedziele i święta ogłaszał zasady wiary w pasterskich naukach; sam nawiedzał w domu często owieczki swoje, zwłaszcza tych, co w Mokotowie po cegielniach mieszkali. Pilnował ściśle czystości obyczajów. Naukę dla jednych w ustach, a wsparcie zawsze miał w ręce dla drugich. Ksiądz Skarszewski dał mu kanoniją honorową warszawską i łęczycką; minister wyznań dawał mu probostwo Panny Maryi, którego ksiądz Jakób nie przyjął. Postać to szanowna, legendowa, święta, niepokalana. Ułożył plan, żeby Instytut Głuchoniemych na zawsze połączyć z probostwem ś-go Aleksandra, albo ze zgromadzeniem głuchoniemych; chciał też założyć towarzystwo religijno - dobroczynne, któreby z obowiązku zajmowało się nauką i wsparciem głuchoniemych. Ale nie udało mu się i jedno i drugie, za to znowu pod koniec życia ociemniałym był dobroczyńcą. W 1831 r. złożył obowiązki rektora instytutu, a z początkiem 1837 r. zrzekł się nawet probostwa ś-go Aleksandra, uzyskawszy poprzednio emeryturę. Przed samym jego odejściem kościół cały kosztem rządu był z wierzchu naprawiony, a wewnątrz dokonano w nim różnych upiększeń, na co anszlag do 8,000 złp. nakładu wynosił (1836 r.). Umarł w Warszawie dnia 2 września 1848 r. Ksiądz Falkowski tak uświetnił swoją parafię, tak pracowitym i cnotliwym żywotem zasłużył sobie na pamięć, że przy kościele ś. Aleksandra i o nim koniecznie wspomnieć potrzeba i Kuba grzesznik do najodleglejszej przejdzie potomności, a imię jego błogosławić będą wnuki i późne potomki nasze. Urodzony na Podlasiu d. 29 kwietnia 1774 r. Żył lat 74.

16. Mateusz Naruszewicz dawniejszy wikary księdza Falkowskiego, dzisiejszy proboszcz, mianowany przez Radę Administracyjną d. 25 sierpnia 1837 r. kanonik honorowy augustowski od marca 1843 r. Jest dziekanem warszawskim wewnątrz murów miasta i referentem w Kommissyi Rządowej spraw wewnętrznych i duchownych. Za niego w 1838 r. ostatnią już po kościółku królowej Anny zniesiono pamiątkę, to jest cmentarz ujazdowski. Ale w naszych czasach, w obecnej chwili, znowu w parafii ś. Aleksandra poza miastem, pobożni ludzie zbudowali Panu nowy przybytek w Mokotowie, który dawny pozamiejski i czasy jagiellońskie przypomina. Wikarym dzisiaj jest przy kościele ś-go Aleksandra jeden z najzacniejszych i najuczeńszych kapłanów polskich, ksiądz Paweł Rzewuski.

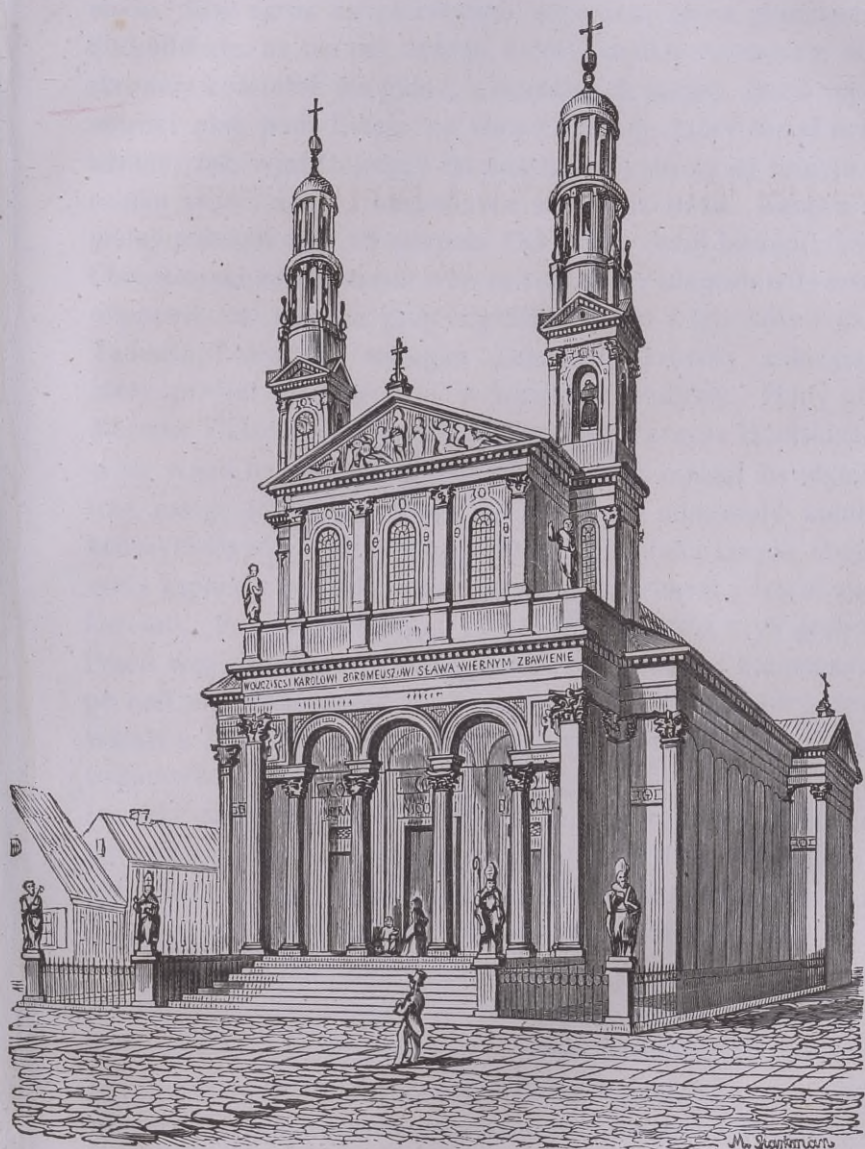
KOŚCIÓŁ Ś^{go} KAROLA BOROMEUSZA.

NA ULICY CHŁODNEJ (*).

Wszystkie kościoły Warszawy zbiegły się jakoś razem w rząd po kilku głównych ulicach wzdłuż miasta, nie zaś w szerz, i dla tego są u nas okolice zupełnie pozbawione kościołów. Dawniej każde prawie przedmieście miało swój własny przybytek Boży; dzisiaj, kiedy wszędzie rozeszło się miasto i jurydyki oddzielne w siebie wcieliło, stare kościoły zwykle z drzewa dla chwilowej wygody budowane podupadły, więc rozebrano je, albo na inny obrócono użytek, a stąd dzisiaj całe okolice Warszawy są bez kościołów. Przed kilkunastą laty, czuła ten brak ta strona miasta, która poza koszarami mirowskimi i ulicą Elektorálną ciągnie się aż pod Wolę. Zrujnowany był oddawna parafijalny kościółek wolski, a nabożeństwo odbywało się tymczasowie za rogatkami w prywatnym najętym domu. Pierwszą tedy myślą było pobożnych, którzy chcieli zaspokoić potrzeby duchowne bliźnich swoich, żeby w murach już miasta, chociaż na skraju jego, zbudować inny kościół dla parafii wolskiej.

Rzuconą szczęśliwie myśl zbudowania tego kościoła, podniosła bogobojna pani, księżniczka Klementyna Sanguszkówna, z pierwszego męża Władysławowa Ostrowska, z drugiego Józefowa Małachowska, właścicielka dóbr lubartowskich w króle-

(*) Opis kościoła w Kuryjerze warszawskim, 1849 r. str. 291—2.



KOŚCIÓŁ Ś. KAROLA BOROMEUSZA
przy ulicy Chłodnej.



stwie. Idąc zaraz za pierwszym popędem serca, przeznaczyła 200,000 złp. na ten cel, sądząc, że taki kapitał wystarczy, ile na skromny kościółek dla jednej z zamiejskich parafij. Rząd wybrał szeroki plac pode Lwem na ulicy Chłodnej, który chciał przyozdobić; tak, wjeżdżającego do miasta z téj strony na samym początku witać miała i błogosławić świątynia Boża. Kamień węgielny położyli dnia 18 sierpnia 1841 roku dwaj biskupi; ksiądz Chmielewski administrator warszawski, który błogosławił i mszę ś. odprawił na miejscu przy odgłosie muzyki i śpiewów i ksiądz Tadeusz Łubieński sufragan kujawski, krewny założycielki, który przyjął prezydencyją w komitecie budowy. Plany podał Marconi. Układ kościoła miał być w formie krzyża łacińskiego na wzór wielu bazylik katolickich. Budowniczy rozciął świątynią na trzy nawy: środkowa, którą od bocznych oddzielały kolumny, kończyła się półkolistém prezbiteryjum. Ramiona krzyża obejmowały kaplicę z prawej, a zakrystyją ze skarbcem z lewej strony kościoła. Pod prezbiteryjum jest kaplica żałobna czyli grobowa. Przed wejściem główném przysionek wspierały z kolumnami, a po nad nim dwie kwadratowe wieże. Styl architektury dawny włoski z XIV wieku. Porządek koryncki. Wszędzie z jednakiem bogactwem rozłożone są kolumny, pilastry, kamienne arkady, i wnęki czyli framugi. Trzynaście stopni prowadzi do kościoła; posadzka marmurowa pochodzi z Karrary. W prezbiteryjum jeden ołtarz wielki, w końcach naw bocznych dwa mniejsze i jeden w kaplicy. Kościół budowany był najmniej na 1,500 ludzi.

Kiedy podług tego planu komitet przystąpił do budowy, wkrótce się przekonano, że ofiary pani Małachowskiej będzie mało, bo zaniósło się już nie na wiejski kościółek, ale na kościół godny stolicy królestwa. Założycielka pośpieszyłaby niezawodnie z pomocą, mając na myśli szlachetne przodków swoich przykłady, którzy dla Boga niczego w świecie nie żalowali, ale chciał los zawistny, że nie doczekała świątyni, bo wkrótce po założeniu kamienia węgielnego umarła w Paryżu (dnia 26 grudnia 1841 r.).

Przerwały się chwilowo roboty około budowy. Rząd zatem wziął w swoją opiekę nowy przybytek Boży. Raz na ten cel 150,000 złp. wpłynęło do komitetu, a kiedy i to wsparcie okazało się niedostatecznem, drugi raz dodał Rząd jeszcze złp. 117,738 gr. 9 (w październiku 1847 roku). Tak więc gotówką przyszły kościół ś-go Karola otrzymał na swoją fabrykę blisko półmilion złotych, nie rachując już prywatnych składek i ofiar, bo każdy mimowolnie czuł wtedy jakiś obowiązek, czémkolwiek-bądź przyłożyć się do uposażenia tego domu Bożego, a nad dającami wisiało błogosławieństwo niebios. Pamiętamy tę chwilę uroczystą w życiu naszego miasta, zbyt to świeże jeszcze wrażenia; nie było rodziny, w którejby się nie unoszono modlitwą ku przyszłym czasom, ku owój chwili, która miała nam otworzyć podwoje kościoła; nie było prawie dnia, zwłaszcza pod koniec budowy, w którymby Kuryjer warszawski, jako kronikarz miejski, nie notował tych drobnych i wielkich darów, na które się składali bogaci i ubodzy, wielcy i mali, uczeni i nieuczeni, panowie i rzemieślnicy, jednem słowem, cały katolicki świat Warszawy. „Ty-siące ofiar już nie złożono, ale wysypano na stopnie ołtarza.”

Budował się kościół w pośród illuminacyj i nabożeństw. Ledwie przy pogodnym poranku po mszy ś-tój rozpoczęto na nowo fabrykę (d. 7 kwietnia 1842 r.), a już w pierwszą rocznicę założenia komitet i rzemieślnicy pracujący przy budowie, słuchali mszy w kaplicy wolskiej, a dnia tego, jak i poprzedniego wieczorem na murach kościoła rozpalono lampy i kagańce, kwiatami zaś ubierały fundamenta stypendystki z instytutu miejscowego starców Panny Maryi. Illuminacja ta powtarzała się regularnie w każdą rocznicę, a wtedy zwykle lud mnogi zapełniał plac po-de Lwem. W kwietniu 1843 roku już miedzią pokrywano dach i obrzucano wapnem gzymsy. Nikt się nie spodziewał przed dwoma laty, żeby tak prędko poszła robota i dla wszystkich z po-dziwieniem to było, że budowa tak piękna i trwała z mo-drzewia, miedzi, żelaza, ciosu i marmuru, wznosiła się tak oka-

zale; już sądzono, że z końcem roku przybytek Pański będzie mógł być otwarty dla pobożnych. Ale nie tak się stało. Kościół ś-go Karola równie jak i ś-go Aleksandra budował się przez lat ośm.

Cały stanął dopiero w 1849 roku. Od połowy października prawie aż do samych dni poświęcenia, pobożni mogli go zwiedzać i oglądać w szczegółach, za złożeniem przy wnijsciu dobrowólnej ofiary na korzyść sierot zostających pod opieką towarzystwa dobroczynności. Wielu korzystało z tego pozwolenia i lubowało się świątynią, jedną z najpiękniejszych w Warszawie. U wejścia przyozdobiły ją wspaniale kolosalnej wielkości cztery posągi wielkich doktorów kościoła: świętych Hieronima, Ambrożego, Grzegorza i Augustyna, a dwa pierwszych apostołów, ś-tych Piotra i Pawła. Są i nasi święci, Stanisław biskup i Bronisława, w niszach zewnętrznych. Dłuto Malińskiego, Kaufmana i Hegla miało tutaj wiele do roboty, tak w wyrobieniu owych 4-ch posągów, jak i w innych płaskorzeźbach, frontonach i ozdobach, na których widać postaci ś-go Karola Boromeusza, to udzielającego komunij, to kazającego do ludu, to rozdającego jałmużnę. Napis na fryzie głównego frontonu pomieszczono następujący „Bogu cześć, ś-mu Karolowi Boromeuszowi sława, wiernym zbawienie.” Wnętrze kościoła prześliczne. Ale co rzecz godna uwagi, wszystkie te wyroby jakie tutaj są, pochodzą z fabryk krajowych i pracowali nad nimi li tylko robotnicy krajowi. W ołtarzach tylko pozamieszczano piękne z zagranicy sprowadzone obrazy i malowania al fresco w presbyterium są pędzla (nie-wszystkie) cudzoziemskich artystów. W ołtarzu wielkim była z początku Noc święta, czyli Narodzenie Chrystusa, kopija z Corregia, dopóki jéj inny nie zastąpił medyolański obraz. W kaplicy mieści się obraz malarza Rubio wspaniały, wystawiający Najświętszą Pannę z dziećciem na ręku, unoszącą się w obłokach i otoczoną aniołami; po prawej obrazu, stoi po biskupiemu przybrany ś-ty Stanisław, po lewej ś-ty Wawrzyniec. W téjże kaplicy

jest portret założycielki. Ambona w formie kielicha ulana w Chlewiskach z żelaza, zdaje się tak lekką, że przenieśćby ją można. Nad zakrystyją łaciński napis położony przez budowniczych:

„Laus Divina nobis semper fuit unica via
Post obitum sit Laus Divina nobis unica merces.“

Aediles.

Kiedy takim sposobem ukończoną została budowa wspaniałego przybytku, zaczęły się obrzędy poświęcenia. Na ten cel wybrano uroczystość patrona. W wigilią ś-go Karola odbyła się więc po mieście processya od kościoła reformatów do murów nowo wzniesionej świątyni, na której celebrował biskup rodopolitański ks. Łubieński. Przed nim postępowała kapituła metropolitalna, liczne duchowieństwo, zakony, bractwa ze światłem jarzącym i wizerunkami świętych, a za nim massy ludu. Czterech kapłanów na skromnych marach dźwigało relikwije ś-go patrona, które biskup złożył tymczasem w kościele dolnym. Nazajutrz, d. 4 listopada 1849 r. odbyło się samo poświęcenie domu Bożego. Tutaj przewodniczył uroczystości biskup Łubieński, towarzyszyli mu zaś dwaj inni pasterze, miejscowy administrator archidiecezyi dzisiejszy ks. arcybiskup Fijałkowski i biskup kujawski ks. Tomaszewski. Rzadka więc to była dla miasta uroczystość a dla kościoła zaszczyt nie mały, gdy aż trzech biskupów jego podwoje wiernym otwierało. Już od ósmej rano cały plac zaległy tłumy pobożnego ludu, które potem słuchały pierwszej mszy ś-tój odprawianej tutaj przez ks. Łubieńskiego. Elsner umyślnie na ten dzień przed kilką jeszcze laty napisał muzykę, którą wykonali artyści i amatorowie. Pierwsze kazanie powiedział ks. Jan Bogdan, wtedy proboszcz z Kozłowa biskupiego i wydrukował je zaraz w *Kuryerze* (Nr. 295); zastanawiał się w niem nad godnością katolickich kościołów i wskazywał, że się w nich dla nas dzieje zbawienie.

Wartość rzeczywista kościoła w owym dniu poświęcenia wynosiła rub. sr. 85,754 kop. 83.

W czasie téj budowy, dojrzałszy namysł i postanowienie, zmieniły los tego kościoła i do świetniejszych go powołały przeznaczeń. Parafija ś-go Jędrzeja w Warszawie utworzona po kasacie jezuitów dla Wyrwicza, nie miała dotąd swojego kościoła i mieścić się musiała u reformatów. Lat już 31 ubiegało, jak nabożeństwo parafijalne przerywało skromnym zakonnikom porządek i spokojność klasztorną (od d. 25 czerwca 1818 r.). Postanowiono więc wstrzymać się jeszcze nieco z chęcią zaspokojenia potrzeb duchownych Woli, a zwrócić uwagę na to, że parafianie ś-go Jędrzeja od lat ośmdziesięciu prawie nie mieli swojego kościoła, gdy wolscy czekali dopiero lat kilkanaście. Skutkiem tego była okoliczność, że nowy przybytek Pański uznano za piąty kościół parafijalny w mieście i że do ś. Karola przeniesiono zaraz całe nabożeństwo od reformatów. W samym dniu poświęcenia, biskup przed drugim swoim wejściem do kościoła, według ceremonijału rzymskiego, oddał klucze księdzu Marcinowi Zarzeckiemu, najstarszemu z wikarych i administratorowi parafii ś-go Jędrzeja. Dotąd jeszcze kanoniczne stosunki te księży parafijalnych z kościołem nie są ustalone. Same tytuły przeciwią się: wikaryjusze ś-go Jędrzeja służą w kościele parafijalnym ś-go Karola. Z czasem urządują się te rzeczy i zniknie w kronice Warszawy parafija ś-go Jędrzeja, żeby ustąpić miejsca nie innéj owczarni, ale innemu nazwisku jednéj i téjże saméj rzeczy, to jest parafii ś-go Karola.

O czterech proboszczach ś-go Jędrzeja mówiliśmy w opisie kościoła panien kanoniczek. Piątym miał zostać ksiądz Michał Wierzbowski kanonik metropolitalny warszawski, którego arcybiskup Choromański na tę godność mianował. Ale urządzono to inaczej i probostwo nasze wcielone do funduszu suffraganii warszawskiej, na co uzyskano bullę Grzegorza XVI, z dnia 11 grudnia 1839 r. Tak więc pierwszym proboszczem suffraganem tu-tejszym został ks. Tomasz Chmielewski, biskup gracyjanopolitański, zmarły w lipcu 1844 r. Że zaś od tego czasu nie było suffra-

gana warszawskiego, parafiją rządzą tylko administratorowie. Był takim rządcą parafii uczony ks. Jakób Szarkiewicz, także kanonik metropolitalny i professor byłego uniwersytetu, a potem akademii duchownej, który tylko co w 1822 r. nie został proboszczem kościoła Panny Maryi za sprawą ks. Falkowskiego. Ale i ten nie doczekał się poświęcenia kościoła, gdy umarł d. 30 września 1846 r. Odtąd parafiją rządzi ks. Zarzecki. Uposażenie jej jedno z najlepszych w stolicy. Księża mieszkają obok kościoła w domu najętym; powinno ich być trzech krom proboszcza.

W 1854 r. na lekkie naprawy około kościoła rząd wydał do 6,000 złp.





KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO KAROLA

na Powązkach.

KOŚCIÓŁ Ś^{go} KAROLA NA POWĄŻKACH.

Powązki stanowiły już oddzielną wioskę w końcu XIV stolecia. W 1408 r. książę Jan warszawski wcielił je do wójtostwa starego miasta, któremu nadał Piotra pielgrzyma. Ale z czasem wójtowi wioskę wydarł starosta: powtórzyła się po raz tysięczny w Polsce wiecznie jedna i ta sama historia. Odtąd Powązki za przywilejem królewskim chodziły po rękach starostów warszawskich, lubo zdarzały się wypadki nadzwyczajne, w których na chwilę zmieniały i Powązki urzędowego pana: tak Baltazar Zimozarski lekarz ostatnich władców mazowieckich Janusza i Stanisława, za należne mu sto kop ze skarbu książęcego, otrzymał jako wynagrodzenie od króla dożywociem wieś Powązki (1526). Dziesięciny snopowe każdego ziarna wybierał tutaj jeszcze za króla Batorego biskup poznański; potem ustały. Nie była to jednak wielka, jak się zdaje dziesięcina, skoro biskupi rozdarowywali ją zwykle służbie swojej, a służba znowu chcąc się uwolnić od zabiegów i może kłopotów, sprzedawała swoje prawo osadnikom powązkowskim, zwykle poddany tego lub owego pana. Byli wszyscy kontenci, bo każdy coś ustąpił i coś za to zyskał. Byli zaś w Powązkach różnych panów poddani, z czego widać, że grunta dzieliły się pomiędzy wielu właścicieli. Nie tylko król, ale i szpital ś-go Marcina gospodarzył na Powązkach (*). Cudem

(*) W sierpniu 1581 r. w konsystorzu warszawskim Adam Rybski, dwo-

téż ocalał przed starostami i łan soltysi, chociaż prawda, że chodził zawsze po rękach szlacheckich.

Powązki zmieniają wielce swoją powierzchowność za czasów Stanisława Augusta. Książę jenerał ziem podolskich skupował po kolei różne tutaj grunty, chcąc dla siebie i żony letnie zbudować mieszkanie w téj stronie. Dotąd żadnych pięknych nie było tutaj widoków, a obszerne pole piaszczyste i nieplenne polyskiwało szeroko nagą smugą; gdzieniegdzie tylko zabielał się na polu zasiew. Łan soltysi pusty był także. Książę najprzód łan ten kupił od Franciszka Duszewskiego (w kwietniu 1771 r.), potem od starosty warszawskiego Bryła nabył prawa do gruntów królewskich (1775 r.) i zaraz począł na téj ziemi tworzyć monarchiczne cuda. Za piaskiem powiewał liściem gaj obszerny. Książę zarzucił tedy kwiatowy ogród po nad brzegiem gaju, w miejscu, w którym błyszczał staw czystej wody, a po niej teraz pływały łabędzie. Nad wodą stanęła chatka z olszyny pod trzinowem poszyciem. Budowniczy Zug opisując ogrody warszawskie szerzej się rozgadał o tém zaczarowaném ustroniu, jakie stworzył kaprys i zbytek. Bo wewnątrz wejść było tylko do téj chaty, zaraz razila wspaniałość. Wytworne meble i przybory książęce uderzały oko; po ścianach zwieszały się śliczne malowania scen wiejskich Norblina, który był domowym u księstwa, jako nauczyciel młodych paniczów, tudzież inne pierwszych mistrzów obrazy. Osobne pokoje miał pan, osobne pani, którzy lubili chronić się w swojej chatce przed gwarem stolicy, a zajmowali się tutaj jedynie dobroczynnością i literaturą, bo oddzielną także komnatę poświęcili na biblijotekę, złożoną po większej części z dzieł polskich; nawet książki miały swoją własną oprawę i dla tego pod mitrą książęcą, były na nich cyfry właścicielki i napis:

rzanin biskupa Kościeleckiego sprzedaje na dwa lata podarowaną sobie z Powązek dziesięcinę pracowitym Franciszkowi Jemielnickiemu poddanemu króla jegomości i Janowi Kępce poddanemu szpitala ś. Marcina. Co rok Rybski dostanie 18 złp., ale bez potrącań poborowych. Acta.

„Biblioteque de Povenski.” Ta olszynowa chata nie sama jedna stała wpośród ogrodu i gajów. Dzieci księżnej, która tutaj częściej przesiadywała od męża, który zwykle podróżował po świecie, każde z nich miało na Powązkach swój domek wiejski z wierzchu słomą pokryty; nie tylko zresztą jej dzieci, ale i młode przyjaciółki księżniczek, mieszkaly w tym ogrodzie w chałupkach, każda w osobnej. Sama pani tej osady lubiła życie i towarzystwa, dla tego nawet na ustroniu chciała mieć koło siebie młode pokolenie gości puławskich, które jej dwór i orszak zwykły składało. Obchodziła w Powązkach zabawami każde urodziny i imieniny swoich gości, tak lubiła to familijne spokojne życie. Nim stworzyła około Sybilli ustronie książęce, próbowała tego na Powązkach. Tutaj więc wśród natury wzrastała owa cudna piękność, najmilsze dziecko u ojca, która potem tak tragicznie skończyła w płomieniach, księżniczka Teressa. Na pierwszą rocznicę imienin po jej śmierci, śpiewak Justyny wiersz napisał na obchód innej uroczystości, która była nową, oryginalną, pełną uroku, a którą wymyślić mogło tylko serce matki. Księżna miała swoje pomysły i cała oddychała poezją: wtenczas właśnie domek księżniczki osierocony, że nie miał komu służyć, kazała przenieść w głąb lasu (dnia 15 października 1780 roku). Ustronie powązkowskie wkrótce się rozslawilo na całą Polskę. Bernouilli w przejeździe przez Warszawę, chciał ujrzeć te cudy, i oglądał je (1779 r.); potem Trembecki unieśmiertelnił książęcą roszkosh poematem, któremu dał na imię: Powązki. Karpiński śpiewał oddzielnie. Z czasem przeminęła świetność i tego ustronia, nad którym opiekę rozciągała, już nie księżna jenerałowa, ale jej męża rodzona siostra pani Lubomirska, marszałkowa wielka-koronna. Kiedy ta pani bawiła za granicą, tutaj w jej domu sławne swoje bale wyprawiał inny książę, Adam Poniński (1790 r.).

Książęcy dwór ściągnął ku Powązkom ludność miejską. Pod koniec XVIII wieku, był nawet w tych stronach sławny dosyć ogródek Langa, do którego zaglądali goście po wycieczkach letnich. Podobno zajął nawet miejsce wspaniałej siedziby książęcej.

Kłoby się spodziewał, żeby to miejsce zabaw i zbytku wybrano kiedy na mieszkanie umarłych? A jednak tak było. Dopiero za Stanisława Augusta warszawianie nauczyli się zwłoki umarłych wynosić za miasto. Było z tém dużo biedy, gdy biskupi przykładem swoim musieli łamać dawny przesąd. Zakładano więc parafijalne cmentarze po za Warszawą, najprzód dla parafii świętokrzyskiej, potem dla wszystkich innych trzech w stolicy, na Powązkach.

Cmentarz powązkowski założony został d. 4 listopada 1790 roku, w samą uroczystość ś-go Karola Boromeusza. Pierwszy grunt na ten cel ofiarował Melchior Ślepowron Szymanowski starosta klonowski. Do téj fundacyi dolożyli się bracia i jeszcze inni członkowie rodziny Szymanowskich, którzy w owém miejscu mieli swoją własną jurydykę. Pamiątką téj fundacyi jest do dziś dzień pomnik kamienny z herbem i stosownym napisem, blisko katakumb. W okolicy leżą tam ciała kilkunastu pokoleń domu Szymanowskich, a między nimi spoczywa sławny w swoim czasie szambelan i poeta, autor Świątyni Wenery w Knidos. Inne na ten cel ofiary, jako to, powiększenie funduszów i nowe place ku rozszerzeniu cmentarza, nadawali różni panowie. Religijném téż uczuciem wiedzione miasto, zachęcane wciąż przykładem, dawało chętnie składki na urządzenie cmentarza. Najwięcej podobno ofiarował biskup Okęcki, bo 12,900 złp. Książę prymas dał 9,000, król 7,200, książdz Łuski z Wyrwiczem bezimiennie wnieśli razem 6,655 złp., Ryks starosta Piaseczyński dał 1,800 złp. Książę generał ziem podolskich złp. 756 i 21,000 sztuk cegły. Zresztą, kapituła i parafje Panny Maryi i ś-go Jędrzeja razem złożyły 12,000 złp., a prywatne datki w jedno zebrane wyniosły złp. 23,924. (Kuryer warsz. 1822 r. Nr. 127).

Król Stanisław postawił wtedy kościółek na Powązkach. Kamień węgielny położono w sam dzień obrzędu poświęcenia cmentarza, to jest d. 20 maja 1792 r. Król jegomość który umyślnie zjechał na Powązki, słuchał pierwszego tutaj nabożeństwa,

podczas którego ksiądz Stefan Bogdanowicz powiedział kazanie.

Blizko w półtora roku potem, drugie smutne nabożeństwo ściągnęło ku Powązkom pobożnych. Było to d. 6 listopada 1793 roku. Księża od ś-go Jana, od Panny Maryi i ś-go Jędrzeja, ze wszystkich trzech parafij warszawskich, dla których cmentarz tutejszy zakładano, obchodzili nabożeństwo żałobne za dusze złożone na Powązkach. Wigilije odbywały się już w nowym kościółku ś-go Karola Boromeusza, na którym czytano napis, jako chwalebna rzecz jest modlić się za umarłych; poczem processyja wyszła na cmentarz i obchodziła stacyje. Żałobną mszę śpiewał tego dnia sławny uczony ksiądz Albertrandi, wpośród niej znówu ksiądz Bogdanowicz tenże sam co i wprzód już kanonik honorowy, mansyjonarz warszawski powiedział kazanie, tekst miał ze ś-go Łukasza: „Jakaście miarką mnie odmierzyli, taką i ja wam odmierzę” (rozdział 6). Znajdował się na Powązkach w czasie tego nabożeństwa Magistrat Starego Miasta i wiele ludu. Miał zjechać na mszę i sam ks. prymas, ale że mu to nie pilno bywało do kościoła, przybył po nabożeństwie i nawiedził kościółek, który, i to nie dawno z jego łaski, dostał obraz kosztowny do wielkiego ołtarza, wyobrażający ś-go patrona, pędzla Józefa Wahla, który był uczniem Bacciarellego i drugi obraz, ale już tylko pamiątkowy, na którym artysta przedstawił scenę porwania królewskiego od konfederatów; blizko albowiem tego miejsca pomoc nadbiegła Panu ze stolicy, a ksiązę prymas chciał by o tém długie lata pamiętano na Powązkach. Nie upłynęło roku potem i sam arcybiskup, ostatni prymas Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego, Michał Jerzy Poniatowski, zakończył życie i ciało jego złożone zostało na Powązkach w katakumbach.

Od tego czasu kilka już razy kosztem rządu i cmentarz powiększano i katakumby rozszerzano. Nawet ślady tego stopniowego rozszerzania można widzieć w odłamkach dawnych murów, które zostawiono tu i owdzie dla tego jedynie, że mieszczą się

na nich kamienie grobowe. Pięć razy przez lat sześćdziesiąt zakres swój coraz szerszy na Powązkach zakreślał cmentarz, który w roku 1822 otoczono murem; ostatni raz już za naszej pamięci w roku 1838. Dawniej nazywał się polowym, że na polu daleko za miastem zbudowany, dzisiaj zaś zbliżył się już do miasta i dał początek nowój ulicy Powązkowskiej. Powierzchność cmentarza odpowiada godnie znaczeniu Warszawy. Wszędzie gdzie spojrzysz okiem, pomniki kamienne, grobowce z marmuru i żelaza, na wielu znać przepych sztuki. Ulice szerokie, wysadzone drzewami, ocieniają to mieszkanie umarłych. Spoczęli już w nich ludzie zdolności i zasługi, ludzie sławy i czci narodowej.

Wiele rodzin ma tutaj najdroższe swoje pamiątki: braci, siostry, krewnych i przyjaciół odwiedzają na cmentarzu. Powązki nigdy nie puste, chociaż na grobach tyle życia, które rozpala tęsknota i miłość. Wielkim i małym na świecie, tutaj kres.

Wójcicki w obecnej chwili zbiera po nich wszystkich wspomnienia i w swoim pięknym dziele pod tytułem: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą“ kreśli życiorysy zmarłych. O tej pracy trzeba nam wspomnieć przy opisie kościółka na Powązkach.

Kościółek ten w roku 1822 przy powiększeniu cmentarza naprawiano, na co jak również na wystawienie niektórych potrzebnych zabudowań władza na parafijan rozłożyła składkę. Od tego czasu przez lat kilkadziesiąt nie było żadnej zmiany. Dopiero w październiku 1849 roku zamknięto na chwilę kościół, gdyż z woli rządu miał być odnowiony w zupełności a przyozdobiony z gustem i staraniem. Nabożeństwo przeniosło się do tymczasowo urządzonej kaplicy w zakrystyi. Zbudowano więc nowe ołtarze, położono posadzkę, organy nowe sprawiono. Prace miały być skończone na wiosnę. Gotowała się tedy religijna uroczystość dla Warszawy, ile że kościół powązkowski dotąd tylko pobłogosławiony w roku 1791, nie był jeszcze poświęconym. Na jesień jednak dopiero wypieszono z robotami. Ko-

ściołek przybrał piękniejszą jak dotąd powierzchowność; wewnątrz także na miejscu dawnego wielkiego ołtarza, który był tylko malowany, stanął nowy murowany ołtarz, a przy nim dwie kolumny po bokach; obraz Wabla odnowiono. Stał dotąd kościół na tém miejscu jako pustelnik, jako pokutnik pośród mogił, z krzyżem i modlitwą, oczekując na uroczysty chrzest poświęcenia. Ale wtedy na dniu 22 września 1850 r. odnowione ściany świątyni zrosił biskup wodą święconą, namaścił olejem świętym, napelnił obłokami kadzideł, wśród modłów kapłanów i ludu.

Odtąd kościołek Powązkowski stał się domem Bożym, domem modlitwy, i na tém polu śmierci, to jedno miejsce prawdziwie tchnie życiem wiary, nadziei i miłości. Kazanie miał na tym obrzędzie poświęcenia, znany z wymowy ksiądz Leon Topolski, professor Akademii Duchownej. (Pamiętnik Religijno-moralny tom 20, str. 292 — 300).



KOŚCIÓŁ PARAFIJALNY

NA PRADZE (*)

Praga za czasów dawniej świetności, jak składała się z kilku odrębnych miasteczek i wsi, tak miała kilka swoich kościołów, nawet kilka parafijalnych, nierazem wprawdzie, ale jeden po drugim. Na Pradze posiadali także swój kościół i klasztor bernardyni, inny później zbudowany należał do bernardynek, była oprócz tego osobna jeszcze kaplica loretańska i kościółek w Grodzisku. Najwięcej Pradze tych świętości przybyło dopiero za panowania Zygmunta III^{go}, a upadło prawie w naszych czasach, to jest za wojen napoleońskich. Dzisiaj został tylko jeden kościółek parafijalny w dawniej kaplicy loretańskiej, nie rachując już kościółka bernardyńskiego w Grodzisku, który dawniej, kiedy to miasto szerzej się jeszcze rozlegało przedmieściami, mógł liczyć się do kościołów pragskich, ale dzisiaj rzucony o milę od Wisły, w ustroniu cichém, do Pragi już nic nie należy.

Nauka dzisiaj nie mogła jeszcze oznaczyć epoki, w której na Pradze dźwignięto pierwszy kościół parafijalny. Śladów tego trzebaby szukać po aktach dawniej kapituły plockiej i w ogólności biskupstwa plockiego, do którego władzy duchownej należał

(*) Artykuł „Kościoły na Pradze“ umieszczony w Pamiętniku Religijnym z r. 1854, Tom 26 str. 225—237, mieści w sobie szczegóły o parafijalnym kościele, szkoda że za szczupłe.



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY

na Pradze.



cały prawy brzeg Wisły położony na prawo Warszawy, a więc i Stara Praga. Dzisiaj wiemy tyle, że prebenda tutejsza wcielioną była do funduszu kolegiaty pultuskiej i że stała na tém miejscu, na którém obecnie znajduje się cmentarz do grzebania zmarłych, to jest na gruntach wsi Kamieńca czy Kamionka, wstawionéj aż dwiema elekcyjami królów, to jest Henryka Walezego i Augusta III^{go} Sasa. Kanonik Pultuski tedy (a było to bardzo dawno, ze dwieście lat temu) albo sam osobiście pełnił na Pradze obowiązki parafijalne, albo trzymał tutaj z poręki swojej wikaryjusza. Tak było do r. 1681, kiedy któryś z biskupów płockich chcąc położyć koniec nazbyt nienaturalnemu porządkowi rzeczy, zwłaszcza, że Praga potrzebowała więcej jak kiedykolwiek czujności pasterskiej wśród tylu nabożeństw i kościołów, rozdzielił fundusz. Jedną część zostawiwszy kanonikowi w Grodzisku, drugą przeznaczył dla stałego miejscowego proboszcza na Pradze. W tym celu biskup zbudował nowy kościół w miasteczku Skaryszewie i do niego przeniósł nabożeństwo z Kamieńca. Stał więc kościół drewniany na cześć biskupa krakowskiego Ś^{go} Stanisława. Nie był z początku ani obszerny, ani zamożny, nie zbogacał się téż wcale przez cały ciąg swojego żywota, który trwał wiek, ani nadaniami hojnemi, ani wewnętrznemi upiększeniami; prosty był, cichy i spokojny. Nie miał ani wielkich pamiątek, ani ozdób, a całą świetność swoją, jakkolwiek bardzo skromną, winien był tylko bractwu Matki Boskiej Różańcowej. Pamiątką tych urządzeń kanonicznych biskupa, jest księga zachowana dotąd w aktach konsystorza warszawskiego, pod tytułem: „*Ordinatio Ecclesiae parochialis quondam in Kamień nunc Skaryszeviensis dictae anno 1681.*”

Było to na lat niewiele przed drugą wojną szwedzką, która się Pradze dobrze dała we znaki, bo i swoi i obcy często nieprzyjacielskimi napadami niszczyli to przedmieście Warszawy. Ale jeżeli o upadku i klęskach miasta znajdujem często po pismach i źródłach naszych różne szczegóły, o kościele parafijalnym ni-

czego się nie dowiadujemy; może pożoga szwedzka niszcząc i mordując po kraju, nie miała potrzeby zawadzać o ten kościółek drewniany. I byłby może ten kościółek zmarniał przez samą siebie niszczącą czas, gdyby nie zjawił się na Pradze ksiądz Bohomolec. Powiedzieć można, że w tém nazwisku cała historyja kościółka owego się skupiła; przed Bohomolcem żadnych nie było pamiątek, a po nim zostało się tutaj ich wiele, bardzo wiele. Po Bohomolcu téż zniknął i sam kościółek parafijalny.

Było to jakoś w środku panowania Stanisława Augusta, kiedy po kassacyi zakonu jezuitów, Bohomolec przeszedłszy na księdza świeckiego, otrzymał parafię pragską.

Syn jeden z siedmiu Pawła starosty dworzyckiego, młodszy brat uczonego Franciszka autora gazet i komedyj, narodzony 1724 r. potomek zaczęj i starożytnėj rodziny na Białej Rusi, poszedł za ojcem, który na starość został jezuitą. W zakonie jeszcze będąc, wsławił się nauką i dziełami. Wydał głównie dwie książki, to jest jedną pod tytułem: Prognostyk zły czy dobry komety r. 1769, albo natura komet i t. d. Warszawa 1776, — drugą zaś pod tytułem: Djabeł w swojej postaci. Pierwsza książka była bardzo pożyteczną, druga zaś bardzo głośną w swoim czasie. Piérwsza przyczyniła się wiele do sprostowania błędnych mniemań co do astronomii w Polsce (Bentkowski Tom 2, strona 337). Druga zaś powstawała przeciw ludowym wierzeniom i przesądom, przeciw strachom i zabobonom, które w całej sile pannały w pośród społeczeństwa upadłego. Na to ostatnie dzieło miał Bohomolec nawet przywilej królewski, którym zakazywano druku i przedruku a nawet tłómaczenia na jakikolwiek język bez wiedzy autora, pod karą trzystu dukatów i zastrzeżeniem konfiskaty egzemplarzy (Gazeta Warszawska 1779 rok Nr. 17). Maciejowski rozpowiada, że Bohomolec w Djable wiele korzystał z „Czarownicy powołanėj,” która wyszła piérwszy raz w Poznaniu 1639, a miała kilka wydań (Polska i Ruś Tom I. strona 234 i Piśmiennictwo Polskie T. III.). Dzisiaj ów Djabeł w swo-

jéj postaci jest biblijograficzną rzadkością, lubo Grell dwa razy go drukował, o czém bliższe szczegóły w Cmentarzu Powązkowskim Wójcickiego (T. II. str. 161). Może nie chciał zgrzeszyć ks. Bohomolec, ale pokazał się w swoich dziełach deistą; był to człowiek zawsze przesiąkły filozofiją francuzką, której się wiele naczytał, stąd więc filozofowie polscy dosyć go szanowali, co mu później zresztą, na dobre wyszło. Nim dostał się na Pragę, u Bielińskiego pisarza wielkiego koronnego był domowym nauczycielem syna. Przyjaciół miał dużo, których karmił ulubioną sobie czekoladą, a bawił marjaszem. Lubił dużo spacerować, konno jeździł po Warszawie. Miał odwagę myśli, charakter silny, nieugięty. Zdolności dosyć i nauki wiele. Serce jego biło szczególniej miłością dla ludu wiejskiego, nad którego ciemnotą ubolewał, a zresztą było przystępne wszelkim uczuciom dobroczynności, miłości i ludzkości. Kochał téż ojczyznę gorąco, ale chociaż filozof nie cierpiał bardzo niereligijnego ruchu, który się w Polsce rozwijał; za błędy ludzi kilku lub kilkunastu, potępiał ojczyznę. Pomimo wszelkich pozorów, wyraźnie grało w nim od przodków w spadku przejęte uczucie religijne. Zgryźliwy i cierpki z nienawiścią spoglądał na świat wyższy, do którego z wielu należał powodów, ale go unikał i pod tym względem z księdzem Łuski-
ną jedno miał usposobienie i jeden pogląd. Uroił sobie w głowie swojej widoki, podług których chciał widzieć rozwijającą się przyszłość kraju, a jako był dumny, tutaj nikomu już w przekonaniu nie ustąpił i gotów był się raczej narazić na wszystko. A kiedy go znużyła boleść, wracał z upodobaniem do widoków wioskowej prostoty, wśród której zapominał o całym świecie. Został téż dobroczyńcą ludu, a chociaż marzenia jego ani w połowie się nie ziściły, chociaż fundacyje jego przepadły w znaczniejszej części, Bohomolec przejdzie do odległej potomności. Jak w dziejach Pragi jedna to z najwydatniejszych postaci, tak w kronice kościółka parafijalnego postać to jedyna, co zwraca na siebie uwagę historyka.

Kościół przedstawiał zupełny obraz nędzy, kiedy go objął Bohomolec. A za niego już zła wola dokonała reszty. Pożar gwałtowny, który wybuchł razem w kilku miejscach, zniszczył do szczytu Pragę, massa dworków legła w popiele. Zgorzały w tych płomieniach, na Skaryszewie szpital i dom dla księży, zwany promotorją, dzwonnice, kruchta drewniana, dwa dzwony się stopiły; farę dziwnym sposobem ocalono, inaczéj płomień rozlałby się daléj i jeszcze większe porobilby spustoszenia, lubo i tak szkodę szacowano na milijony (21 czerwca 1782 roku). W ciągu lat albowiem dwunastu (1774 -- 86) aż dziesięć razy okradli kościół złodzieje, wreszcie do szczytu, upatrzywszy raz dogodną do tego chwilę, zrabowała go cała widocznie banda świętokradców i rozbójników (23 marca 1786 roku). Trzy drzwi z mocnemi zamkami i kłódkami musieli złamać, żeby się dostać do środka, dwie zakrystyje kościelną i bractwa rożańcowego splondrowali, pootwierali wszystkie skrzynie i szafy, ornaty wyrzucali na kościół lub z zakrystyi jednéj do drugiéj poprzenosili. Mieli z sobą siarkowane sznurki i świece bo zostawili ogarki. Długo widać w kościele bawili. Nikt ich z sąsiadów nie widział, ani strażę wojskowe i urzędowe. Naturalnie poprzednie już kradzieże odarły kościół ze wszystkiego, ze sreber i kosztowności. Teraz już resztę sprzętów świętokradcy zabrali to jest: kielich srebrny wewnątrz wyłaczany ze srebrną patyną i palką, w której chowano Przenajświętszy Sakrament. Po ostatniej kradzieży (20 maja 1785 roku) to nie było nawet puszek w kościele. Przechybrał proboszcza był tak wielki z powodu tych systematycznych łupieztw, że Przenajświętszy Sakrament chował w zakrystyi pod kluczem, sądził, że tam źli ludzie nie znajdą Go, ale i to nie pomogło, bo teraz właśnie dobili się do niego i wyrzucili na ziemię. Zabrali lustro lane mosiężne, które wisiało pośrodku kościoła, tudzież pełno innych ozdób mosiężnych ze ścian i z oltarzów, półmiski i talerze cynowe, które jakaś biedna wdowa przed laty pozostawiła w kościele na składzie i t. d. Podziwienie brało,

jak tyle razem unieść mogli, gdyż lustro samo dwóch ludzi potrzebowało, a z sześciu esów oltarzowych każdy także potrzebował jednego człowieka.

Lustracja przez deputowanego Schwanfelda w dniu 14 listopada 1789 roku dokonana, wykazała szczupłe dochody probostwa. Miał ksiądz z gruntów zlp. 230, z pieniężnych czynszów zlp. 143 i z dziesięciny snopowej zlp. 1177, krom tego miał kilka summ umieszczonych na dobrach ziemskich i nieruchomościach, jako to: zlp. 1000 na Targówku, 1000 na Moszniach, 1500 na Borkowie, 2000 na pałacu Platerowskim w Warszawie, 3000 na Miłosnej. Kapitałów więc razem było na 8500, a dochód od nich po $3\frac{1}{2}$ od sta wynosił zlp. 297 gr. 15. Cały więc dochód proboszcza tak obrachowany wynosił zlp. 1847 gr. 9. Odręcało się od tego ofiary dziesiątego grosza, przez Sejm wielki uchwalonej zlp. 184 gr. 22. Miał więc proboszcz do 1600 zlp. dochodu, a z tego musiał utrzymać i ponosić wszelkie wydatki kościelne.

Umyślnie przywodzimy te cyfry, żeby dać miarę tego, co zrobił Bohomolec, jeżeli nie bezpośrednio dla swojego kościoła, to przynajmniej dla dobroczynności i okolic pragskich, a więc dla parafii. Być może bardzo, że go tutaj wspierała ręka przyjaciół, a może dostatki familijne, ale w każdym razie musi każdego dziwić ta obfitość miłosierdzia, jaka przez pośrednictwo biednego kapłana spadła na bliźnich. O podniesieniu stanowczém kościoła, o wzbogaceniu go w sprzęt duchowny, Bohomolec ani myślał, a potem od kradzieży któż zabezpieczy dom Boży zupełnie zniszczony i nędzny? Bohomolec filantrop myślał wyłącznie o ludzkości. Musim tutaj ile możności dokładnie a treściwie przejrzeć szereg jego fundacyj, o których dużo mówią w Warszawie. Ale szczegółów wszystkich nikt prawie nie zna, bo rozproszone dotąd były w pismach i zeznaniach urzędowych po różnych aktach.

Bohomolec, jak to widać z uchwały Magistratu Starój Warszawy z dnia 4 lipca 1787, roku wypożyczył miastu dukatów

2433 i złp. 6, zabezpieczywszy swój poprzednio kapitał na całym ruchomym i nieruchomym majątku miasta. To była pierwsza podstawa, na której budował swoje dobroczynne gmachy. Zaraz na sam nowy rok 1788 spisał nowe rozporządzenia majątkowe, które poprzedził najpiękniejszym, najserdeczniejszym wstępem. Oryginalny to był człowiek i oryginalne miał pomysły: jego też rozporządzenia treścią swoją i językiem, jakim się wyrażał, i zabezpieczeniami jakie dla nich tworzył, uderzały oryginalnością. Przeznaczał trzy nowe summy na trzy dobroczynne fundacje. Pierwsza wynosiła tylko dukatów 166 i złp. 12: po pięć od sta, było z tego procentu dukatów 8 i zł. 6: dochód ten przeznaczał na wsparcie dla osoby świeckiej, szczególnie obciążonej dziećmi, a niezdolnej do prac innych, tylko do nauczania zasad moralności i wiary. Osobę tę miał zawsze wybierać proboszcz pragski. Za wiedzą biskupa mógł jednak do téj jałmużny wybrać jakiego księdza pobożnego, uczonego, wypracowanego już po probostwach, słabego na siłach, ale koniecznie z dyecezyi plockiej. Nauczyciel ów miał zwiedzać po kolei wszystkie wioski należące do parafii i w każdej bawiąc po dwa tygodnie, miał dzieci nauczać, a gospodarzom przypominać owe prawdy, bez których ani docześnie, ani wiecznie być szczęśliwymi nie mogli. Najlepiej zaś tak będzie podając środki, wskazywał zapisodawca. Do domu najwygodniejszego we wsi, który obierze ekonom, wójt lub podstarości, mają się zebrać gospodarze, każdy z czeladzią; tutaj z nauczycielem będą odmawiać modlitwy poranne i dziękczynne, potem powtarzać mają katechizm i t. d. Rozporządzenie to niezmiernie szczegółowe i drobiazgowe przewiduje wszystko i na wszystko podaje stosowne przepisy. Bohomolec urządził, widzimy, zupełne misyje i lubował się wyraźnie tym swoim pomysłem, który w wieku XIX dziwnie się pewnie dla wielu musiał wydawać, kiedy rozpisał się o tém szeroko i daleko szerzej, jak o następnych swoich fundacyjach, coby dowodziło, że go najwięcej zajmowała oświata ludu. Druga summa 4000

dukatów, przynosząca dochodu co rok 50 czerwonych złotych, była dla pobożnych a spracowanych już kapłanów dyecezyi plockiej, plebanów lub wikaryjuszów. Pierwszeństwo mieli księża z parafii pragskiej, a po nich w ogóle z dekanatu kamieńcowskiego czyli radzyńskiego, ale wszyscy lat dziesięć najmniej musieli pracować po parafijach. Bohomolec zastrzegł, że tego funduszu nie wolno obracać na żadne domy emerytów, lubo księży, którzy się już w jednym z takich domów bawili, od wsparcia nie wyłączał. Warszawa, której te summy dawał, co rok musiała płacić procent biskupowi plockiemu wybierać powinien był pomiędzy księżmi zasługujących na takie wsparcie, ale ani w konsystorzach, ani między prałatami ich szukać, tylko patrzeć na samą pobożność zalecał Bohomolec. Liczbę owych księży ograniczał do pięciu. Od biskupa woli zależało dać każdemu ile się podoba, ale obdarowanego zobowiązywał Bohomolec, żeby tyle mszy za duszę jego odprawił, ile wziął dukatów. Była to jednak prośba tylko, nie więcéj, nie żadna powinność. Gdyby się nie zdarzyło pięciu księży, czterem, trzem, można było rozdać cały dochód roczny. Ale mógł być wypadek, że w całym duchowieństwie nie znalazłoby się ani jednego biednego z takiej kategorii, więc Bohomolec wtedy fundusz swój oddawał na dwóch szlachty w ogóle mazowieckiej, lub mianowicie z ziemi warszawskiej, uczącój się w seminaryjum plockiem lub pultuskim. Gdyby i seminaryja tego nie potrzebowały, fundusz miał się składać na kapitał, z którego kończącym nauki młodym lewitom Bohomolec wyznaczał zapomogi na pierwsze zagospodarowanie się dla tego, żeby zawczasu nie ubiegali się za zyskiem i cierpliwi byli, aż dostaną posady. Ci już przez życie całe msze musieli odprawiać co kwartał raz, za duszę dobroczyńcy i t. d. A gdyby nie posłuchano zapisodawcy i przez trzy lata summa ta nie znalazła wcale biednych w dyecezyi, wtedy dopięro miały do niej prawo dzieci, wnuki i prawnuki rodzonych braci proboszcza Józefa, Piotra i Joachima, gdyby zaś ich nie było,

wtedy na dobrach jakich fundusz oparty przeznaczał się na edukacją krewnych Bohomolca. I tutaj pełno drobiazgowych przepisów, któreśmy musieli pomijać. Trzecia summa była dla bernardynów pragskich i już prosto dotyczyła kościółka parafijalnego. Kapitał trzysta dukatów, a procent był dukatów dziesięć i złp. 9. Bohomolec zeznał w zapisie, że powinnością jego było też pamiętać i na oblubienicę. Znalazł ją nędzną, ogołoconą ze wszystkiego, zadłużoną (niedawno wyrok sądowy nakazywał proboszczowi wypłacić złp. 6233 gr. 25 jakiemuś wierzycielowi) zakłóconą pretensyjami, z których dalby Bóg, żeby już następcy wybrnęli. Robił tedy co mógł, na co go stać było w takim opuszczeniu; gdyby Opatrzność nie poratowała go, nie podniósłby nigdy kościoła z dwojakich ruin, ze starości i z pożaru. Z dochodów ledwieby się sam wyżywił, a dopiero wikarego mieć, opłacić podatki, opatrzyć potrzeby kościelne! Nie mógł budować, mógł przynajmniej od ostatniego upadku ratować swoją oblubienicę, powrócić jęj choć w części to, co straciła przez jego złość i niedbalstwo lub niewiadomość. Z początku dla powiększenia dochodów dwa domki wystawił na gruncie kościelnym i pobudował w nich sklepiki, z których przez lat 18 pobierał komorne. Ale to za szczupły zasilek. Gdy więc nie ma funduszu na wikarych, więc stanowił teraz penitencjaryjuszów, to jest, zobowiązywał wieczystym funduszem bernardynów, żeby co święto i co niedzielę ślali do jego kościółka księdza ze mszą, dla słuchania spowiedzi. Te trzy nowe fundacje zapisał w aktach starój Warszawy pod dniem 15 lutego 1788 roku, także na wieczny ciężar dla miasta. Kopija znajduje się w aktach konsystorza.

Nie tutaj jeszcze koniec téj dobroczynności wcielonej w ks. Bohomolca. W testamencie swoim z d. 20 września 1793 r. dla nauczyciela wiejskiego, który po jego już śmierci miał wykładać w parafii naukę religii przeznaczył 7,000 złp. z warunkiem żeby co rok w innéj wsi wyuczył sześcioro dzieci, t. j. trzech chłopców,

i trzy dziewczyny czytać, pisać i rachować. Dobroczyńca miał wzgląd główny na nędzę, więc Kamiónnę i Grochów wyłączył pod tym względem, jako siedzibę kolonistów zamożniejszych, toż samo Grodzisk wieś na dwie połowy podzieloną pomiędzy szlachcica i starostę: nauczyciel Bohomolca mógł czytania i pisania uczyć dzieci li tylko z Grodziska starościńskiego. W testamencie jeszcze 2,000 zlp. zostawił ksiądz na procent, z którego wyznaczał nagrody pieniężne dla dzieci celujących w nauce i na posiłek dla nich, gdy się podróżą zmęczą, schodząc się do nauki w jedno miejsce i na kupno książek pożytecznych. Najzacniejszy ten marzyciel marzenia swoje po za kres grobu posuwał i chciał kształcić całe pokolenia, zlewając na nie swoje ojcowskie błogosławieństwo. Uczniów już wydoskonalonych upoważniał do uczenia młodszych dzieci, do czego ich zachęcał nagrodą z tego kapitału. Marzył o szkołach wiecznych, rodzących się jedna z drugiej i uprzedzał metodę Lankastra, a nadto marzył, że z upływem czasu przez to samo kupno książek, które obmyślił, zawiąże się w każdej wsi należące do parafii mała biblioteczka. Widział już, szczęśliwą upojony myślą, którą stworzył, jak w dni niedzielne i świąteczne po nabożeństwie, zejdą się dzieci osobno w każdej wiosce i z książek czytać i uczyć się razem będą.

Po za kres grobu; mówimy przenosi Bohomolec marzenia swoje. Wyrażał albowiem wolę, żeby w przeciągu 17-tu miesięcy i kilku dni po jego śmierci wszystkie kapitały w magistracie złożone nierozchodziły się na procenta, ale żeby z tych procentów utworzył się nowy kapitał o 4,000 zlp. Kapitał ten uzupełniał ostatnie jego rozporządzenia co do instrukcyi dzieci parafijalnych. Polecał z dochodów od niego kupować dla małych uczniów wszelkie przybory piśmienne, tudzież książeczki takie, jak np. *katechizm missyjny*, jak *różaniec*, *koronki*, *msza paulińska*, jak *gorzkie żale* i t. d. Książeczki te polecał wydawać, komu i jak, obszernie o tém rozpisał się w testamencie, ale zawsze w obrębie parafii. Nareszcie z owych czterech tysięcy, sto zło-

tych corocznie przeznaczal na wyposazenie jednej pary nowozencow. Po kolei kazda wieś co roku miala do tego prawo, ale wybor padal na najuczeńszych i na najniewinniejszych pod wzgledem obyczajow oblubiencow. Zeby zaś nie podsycac niepotrzebnej wesołosci i zbytku na weselach, Bohomolec chcial, zeby dawano ten posag nowozencom w rok dopiero po slubie i po przykladnym pozyciu, i t. d. (*). Powiadano o sejmie wielkim, ze chcial wybrukowac Polske herbami, o Bohomolcu powiedziec można, ze chcial parafija pragska wybrukowac nauka katolicka.

Nie wiemy dobrze, czyśmy wszystkie zapisy Bohomolca wylczyli, ale juz te, które tutaj mamy, wynoszą znaczną sumę 80,000 złp.

Spieszyl sie ks. Bohomolec z ostatnimi rozporzadzeniami swojemi, bo i na niego nadeszly chwile cięzkie i śmierć po nich rychla. Bohomolec wieciecej rekojmi dla wiary i dla rzeczypospolitej widzial w Targowicy, wiec przemawial w tej myśli do ludu. Oburzył też strasznie przeciwko sobie opinia i bylby złe skonczyl, gdyby nie bracia jego dawni filozofowie, co wrzašli razem: „szkoda naszego“ i zbiegli sie wszyscy na ratunek. Przed sadem, na którym wiele sie znalazlo różnych zarzutów, udano Bohomolca za waryjata, wiec skazano go przez reszte życia na rekolekcyje, a majatek zabrano na skarb. Probstwo pragskie wzieto w administracyja narodowa aż do śmierci księdza, z intraty częśc przeznaczyl sad na jego potrzeby i 400 złp. dla bonifratrów, reszte oddal na lazaret wojskowy (wyrok 10 wrzesnia). Później Suworów dowiedziawszy sie o wielkiej nauce księdza, chcial go widziec. Bohomolec tak sie podobal jenerałowi z rozmowy, ze bylby moze zostal biskupem, gdyby nie śmierć prawie nagla, która nastapila dnia 17 stycznia 1795 roku. Żyl Bohomolec lat 71 i dni 21, umarl u bonifratrów co wskazuje, ze mial rzeczywiscie lekkie oblakanie zmysłów. Juz i dawniej po tej drobiazgo-

(*) Tych ostatnich szczegolów i drobiazgów czytelnik dowiedziec sie może ze *Starożytności Warszawy* Wejnerta Tom IV, str. 84 — 91.

wości jego, po tych marzeniach, po osnowie i po treści jego rozporządzeń dobroczynnych, można było wnosić, że cierpi na jakąś maniją. Pochowany w katakumbach na Powązkach.

Bohomolcowi parafia pragska winna jeszcze swój herb i pieczęć. Nie miał ich dotąd kościół, więc proboszcz podpisywał się na aktach zwykle przy wyciśnięciu swojej herbowej pieczęci, to jest trzema różami. Następcy nie wiedzą może o tém, herb Bohomolca przyjęli za herb parafii i prawem zwyczajowém ustalili się, to jakoś i trwa do dni naszych.

W następujący po śmierci Bohomolca poniedziałek wielkanocny (6 kwietnia 1795 roku) odbyła się rekonsyliacja parafialnego kościoła na Pradze. Celebrował i świętych dokonywał obrzędów ksiądz Malinowski biskup cynneński, sufragan żmudzki, a proboszcz N. P. Maryi w Warszawie. Paszkowski archi-dyjakon pultuski ex-jezuity, miał kazanie z tekstu: „dziś zbawienie temu domowi stało się.“ Przypomniął pobożnym, że kościół ów przed stu laty poświęcony, teraz przywrócony został. Żyjących napominał, żeby wdzięczni byli Bogu za to, co widzą i żeby wspomagali kościół nagi zupełnie.

Praga i probostwo niezmiernie wiele straciły w tych zaburzeniach krajowych. Summa z Miłosnej, która dostała się pod kordon austrijski, przepadła bez nadziei. Za to wprowadzie biskup Szembek wcielił do Pragi wieś Marki, która także skutkiem granic nowych oderwała się od swojej parafii w Kobylce, ale dzieściny nie pokryły straconego kapitału. Lustracją Schwanfelda zatwierdził rząd pruski w r. 1797 i wtedy to dochód proboszcza na 300 tal. oszacowano. Ale cóż znaczą materyjalne straty w porównaniu z moralnemi? Czasy pruskie odznaczają się dla Pragi straszném zgorszeniem. Warszawa była blisko i granica austrijska blisko, więc z Warszawy szła tutaj za Wisłę rozwiązłość i rozpusta, a swawola chroniła się łatwo za granicę. Kobylka zmieniła się w angielską Gretna-Green; nieprawych związków tworzyło się co niemiara, a jedna para za drugą prze-

mykała się do Kobyłki, gdzie błogosławiono byle jakie małżeństwo, bez żadnych w świecie formalności.

Krótko po Bohomolcu siedział w Pradze na probostwie ów ksiądz archi-dyjakon pultuski, Tadeusz Paszkowski kaznodzieja z rekuncyljacji. Zajęty wyższemi duchownemi sprawami rzadko tu gościł, trud cały w parafii zdawszy na księdza Fanisławskiego, który osobiłyszém staraniem swoim doprowadził kościół do stanu dosyć dobrego. Ale ze śmiercią ks. archi-dyjakona w r. 1799, dostała Praga niedbałego proboszcza, zupełnie stosownego do czasów pruskich.

Był to ks. Kaźmierz Bujnowski. Wziął komendę w sam nowy rok 1800, został zaś mianowany na proboszcza 29 lipca 1800 r. Rządy jego były bardzo krótkie; oskarżony zaraz albowiem przed kamerą, był przez nią usunięty za zdzierstwo i na zastępstwo proboszcza powołany znów Fanisławski. Szczególny to był charakter tego Bujnowskiego. Nic sobie nie robił z żadnych powinności kapłańskich i pasterskich, a beneficyjum uważał li tylko za posadę, która mu dostarczała środków do życia. Filozof, więc nie umiał wcale udawać; niespokojny więc z każdym zadzierał, po całych tygodniach i miesiącach nawet podróżował po kraju, lub gościł gdzie u przyjaciół nie troszcząc się o to co powiedzą parafianie, którzy też umierali bez spowiedzi. Za obelgi, których się dopuszczał przeciwko nawet duchownym, odsiadywał raz wraz rekolekcyje u bonifratrów i zawsze się z biedy jakoś wykręcił. Takie życie i przed usunięciem się prowadził od rządów Pragi, i potem kiedy zręcznemi zabiegami powrócił znowu do władzy. Był to jednak człowiek bardzo zdolny, był to umysł nadzwyczaj jasno pojmujący rzeczy, systematyczny i logiczny. Roskosz czytać jego korespondencyje z władzami: język, styl, rzecz, rozumowanie, wszystko tam zajmuje i pojmujemy łatwo, że ks. Bujnowski przed nieznaną rzeczą, łatwo umiał się wyplątać ze wszelkich zarzutów. Kiedy Fanisławski nie pozwalał mu, jako zawieszonemu księdzu odprawiać mszy w kościele, Bujnowski oddalił się

i sprzedawał komuś swoje proboszczowskie dochody. Już nie był u steru, kiedy biskup Miaskowski zjechał na wizytę jeneralną do Pragi (29 listopada 1801 r.). Ceremonija odbyła się z wielką uroczystością. Biskup bierzmował aż w dwóch kościołach, piętnastu księży mu towarzyszyło: wspaniale wystąpił Fanisławski z przyjęciem. Akta téj wizyty ważne są dla dziejów kościoła pragskiego, bo biskup sądził sprawy proboszcza z bernardynami i z parafją. Obiedwie strony oskarżały się nawzajem na piśmie. Miał jednak Bujnowski przyjaciół w duchowieństwie. W skutek nowych skarg dziekan zjechał na wizytę do Pragi (22 maja 1806 roku) w skutek dawniejszego nakazu biskupa Miaskowskiego, który coroczne zaprowadził wizyty. Dobrze wyszedł Bujnowski z dziekanem, ale mimo to usunęła księdza kamera jeszcze raz (w sierpniu 1806 r.) Poczém się zgłosił Fanisławski i upominając się o swoje zaległości z Pragi, upraszał żeby mu komendę probostwa oddano. Stało się inaczej. Za Napoleona Bujnowski chciał być razem i proboszczem i rejentem przy izbie sprawiedliwości (w lutym 1807 r.), ale go władza duchowna odsuwać znowu zaczęła od rządów. Zdarzyło się, że kościół parafijalny nakazał znieść cesarz, dla umocnienia przedmieścia Warszawy; nabożeństwo więc i wszelkie rachunki przeniesiono na tymczasem do księży bernardynów, którym zarazem poruczono częściowy zarząd parafii. Probował jeszcze ks. Bujnowski szczęścia, chciał mieszkać u bernardynów, ale konwent nie przyjął go i na większe umartwienie swoje księgi parafijalne na wyraźny rozkaz biskupa Zacharyjaszewicza oddać musiał Bujnowski tymże bernardynom (1808 r.). Zgorszeniu miary już nie było, kiedy za komorne jakiś mieszczanin pragski kilka z tych ksiąg aresztował Bujnowskiemu i trzymał je lat kilka u siebie, pozwalając z nich robić wyciągi, ale nie pozwalając ich zabrać. Ale nie długi tryumf. Oto kościół zakonników świętego Franciszka został zewnątrz fortyfikacyj przedmostowego szanca, więc także z kolei zniesiony być musiał. W roku 1811 dnia 27 maja, rozbierać go zaczę-

to, a parafija musiała się chronić znowu na inne, trzecie już z kolei miejsce.

Była po za ścianą wschodnią kościoła księży bernardynów na Pradze, kaplica Loretańska. Wystawił ją w roku 1645 Władysław IV. Jarzemski opowiada, że zbudowaną była tak, jak w Lorecie: „Na białym marmurze wyrte są różne historyje. W sklepieniu otwarte okno, dla wyjścia dymu od lamp i oddechu natłoczonego ludu. Dwoje drzwi naprzeciw siebie, jedno z boku kaplicy, oltarz cały od złota i srebra, klejnotami i drogiemi kamieniami przez różnych monarchów zbogacony. Sama Matka Boska smagławej płci, malowana przez ś-go Łukasza. Przed oltarzem złota krata, z tyłu kominek, na którym garnuszek, miseczki gliniane i drewniane łyżeczki, téż same któremi Najświętsza Panna jadać zwykła była. Na marmurze wypisano, zkąd otrzymane te sprzęty. Kaplica ta ma małe basztecзки.“ Bernardyni nie mieli wtedy jeszcze na Pradze klasztoru i mieszkali „w błahych celach“ a mieli jednak już tę cudowną kaplicę. Domek ten loretański odnowił w r. 1675 pobożny ks. Jerzy Stan. Węgierski, proboszcz katedry kijowskiej i pleban z Nieporętu pod Warszawą. Oto wszystkie szczegóły, jakie mamy dotąd o pragskim Lorecie. Powiedzieliśmy, że miejsce cudowne było. Jeżeli Bóg nie pozwolił, żeby tutaj pomiędzy nami na Pradze spełniały się wielkie i niepojęte tajemnice Jego dobroci, za to ubłogosławił wyrażnie tchnieniem swoim Loret. Miejsce to stało się celem przechadzek pobożnego ludu. Tutaj co sobota w czasie adwentu zbierali się tłumami z okolic i ze stolicy ludzie i na klęczkach odbywali podróż po korytarzach, które do dziś dnia otaczają kaplicę, a która właściwie sam środek stanowi. W każdą inną sobotę odbywali po południu do Loretu pobożne pielgrzymki studenci z Warszawy, pod przewodnictwem swych nauczycieli, jezuitów i pijarów. W porze zimowej, szczególnież kiedy Wisła stała, uroczysty ten pochód przez rzekę z muzyką, z chorągwiami i ze światłem tak doskonale przypadał do wiary i upodo-

bań całego kraju w czasach saskich, że trudno tego nie widzieć. Emulowała młodzież pomiędzy sobą, jak emulowali professorowie, jak wysadzały się jeden przed drugim obadwa uczone zakony. Każda strona chciała wystąpić okazaliej, świetniej i z większą assystencyją pobożnego ludu. Ztąd nieraz kłótnia na zamrzlėj rzece i bitwy dosyć krwawe. I ta strona processyi bardzo do miar owych czasów przypada. Historyk ostatnich chwil rzeczypośpolitej, ks. Kitowicz, kiedy był jeszcze w szkołach, odbywał często tę pielgrzymkę i rozpowiada o jēj szczegółach z wielkiem zajęciem, z rzewném wspomnieniem: opowiadając kreśli obrazy, pełne właściwój barwy i woni. Wreszcie uczony marszałek Bieliński dla uniknienia zejść przyszłych rozkazwał, żeby na przemian, co drugą sobotę, z kolei uczniowie pijarscy i jezuiccy zwiedzali kaplicę loretańską, jedni ustępując drugim. Samo z siebie ma się rozumieć, że taka cześć publiczna zastępowała pobożnym brak cudów. Cześć ta rozwieliżyła się z upływem całego wieku, bo mają to do siebie wszystkie miejsca czci publicznej oddane, że starożytność urok ich i powagę podnosi. A do tego ludzie na Pradze przypatrywali się domkowi Maryji, jaki był ongi jeszcze w ziemi świętej. Oglądali ubogie Jěj graty i musieli rosnać w uwielbieniu dla tego miejsca, które im świętą już pokazywała starożytność. Ztąd słusznie i kaplica loretańska była w czci ludu cudowną i świętą.

Do téj kaplicy, kiedy i bernardynów kościół obalono, rząd Księstwa Warszawskiego nakazał przenieść nabożeństwo parafijalne w roku 1811, zapewniwszy mieszczan, że Loret w całości zachowany będzie. Boleść i żal przejęły prażan, którzy patrzyli na to, jak ostatnią ich religijną pamiątkę niszczone. Mieszczanie podali zaraz prośbę do rządu (26 maja) o wystawienie im nowego parafijalnego kościoła; woleli, żeby nawet dom jaki na to przerobić, bo Loret dla parafii nie wystarczał. Wskazywali nawet fundusze, jakichby użyć na ten cel można było: oto zebrać dochody z ratusza pragskiego przez jeden rok, ogłosić

składki, wziąć summy dwóch bractw Rozańcowego i Niepokalanego Poczęcia, resztę ofiarowałby rząd i dobrodzieje; rząd tém bardziej, że zobowiązany był wynagrodzić Pradze za kościół parafijalny zniesiony. Inni obywatele chcieli sam ratusz obrócić na kościół, ale to był głos po większej części dyssydentów, którzy w obaleniu ratusza mieli jakieś widoki dla swego handlu. Nie słuchano więc ich, ale trzech czwartych części mieszczan, którzy domek spadkobierców Stenzlowskich Szperkuszczyznę, wprost dawnego kościoła Bernardynów (Nr. 63 na ulicy Szerokiej) radzili kupić i przebudować na kościół. Właśnie przy tym kościele niedawno wystawili mieszczanie swoim kosztem dzwonnice, która kosztowała 1560 złp. i mogłaby służyć nowemu kościołowi, bo była blisko, a korzyść za taką kombinacją i ta była, że podwórze domu wielkie, pozwalało budowniczemu wielkiej swobody. Bernardynów, którzy się wynosili ciągle z rzeczami parafijalnemi prosili mieszczanie, żeby zatrzymać, i żeby im powierzyć i nadal staranie i obowiązki pasterskie.

Nie wysłuchał rząd téj prośby i blisko we dwa lata potem prezydent Warszawy odebrał rozkaz, żeby dach Loretu naprawiał (23 kwietnia 1843 roku). Prezydent chciał się obyc funduszami kościoła, ale biskup administrator Zacharyjaszewicz odparł, że parafija nie ma na to żadnego funduszu. Znowu ucichło na chwilę, a kiedy umarł w tymże czasie ksiądz Bujnowski (17 listopada 1843 r.), wziął naprzód w administracją Pragę ks. Filipowicz. Za długoletnich jego rządów ustalił się przecie los kościoła. Ale wiele czasu, wiele jeszcze korowodów kosztowało to ustalenie.

Rząd widocznie zamierzał Loret obrócić na kościół parafijalny, kiedy powtórnie zalecił prezydentowi stolicy (7 marca 1844 roku), żeby ogłosił licytacją na sprzedaż dachu miedzianego, którym była pokrytą kaplica; fundusz albowiem ztąd otrzymany, miał służyć na koszt naprawy Loretu. Dach ten miedziany, jedyną był ozdobą, jedyném bogactwem kaplicy i ostatnią jej nadzieją. Miano pobić ją za to gontami, a głównie ułożyć w niej

posadzkę, której nie było. Nie odnosząc się do władzy duchownej, bo wtedy wiek był taki, że pomieszał wszelkie wyobrażenie i stosunki, prezydent licytacją ogłosił przez gazety. Zarząd dyecezyi miał wtedy po Zacharyjaszewiczu ks. Zambrzycki dawny suffragan kijowski. Zaczny to był, gorliwy, a pracowity bardzo kapłan, który pilnował święcie praw Boskich. Wstrzymał więc władzą swoją sprzedaż dachu, bo to była własność kościelna. Powstałożtąd nieporozumienie, gdy prezydent upierał się przy swoim dowodząc, że traci wiarę publiczną z powodu kroku biskupa. Zambrzycki zgłosił się wtedy do księcia Lubecckiego, ówczesnego dyrektora spraw wewnętrznych (13 czerwca). Przedstawił mu, że Loret w żaden sposób na kościół parafialny przerobić się nie da, że obszerność kaplicy mała jak na Pragę, rozszerzyć jęj niepodobna, bo inaczej zrobi się coś z niej poctwornego. Zresztą stojąc na uboczu, Loret odległy był i dla księży i dla parafijan. Z tego biskup wyprowadził wniosek, że nakład jakiby poświęcono na urządzenie Loretu, lepiej było obrócić na wymurowanie nowego zupełnie i dogodnego kościoła. Lubecki na grunt zesłał Zambrzyckiego z prezydentem, żeby się przekonali o stanie rzeczy. Biskup pokazywał uszkodzenia w dachu i w murze, jakie poniósł Loret przez rozebranie kościoła bernardyńskiego i przekonał, że przerabiać go, będzie to ni kaplica, ni kościół, a koszt kto wie, czy nie będzie większy, zatem szkoda topić pieniędzy w nieużyteczne mury. Rząd dawał 42000 na roboty około Loretu, a ma krom tego zapłacić za zniesione kościoły. Bernardyński oszacowany był za złp. 329,344. Te 42000 szło z funduszu bernardyńskiego, do tego dodać dach miedziany, summa ztąd pozostała aż nadto wystarczy, bo w razie potrzeby, zawsze są jeszcze niespłacone pretensyje. Mury kaplicy przydałyby się wybornie dla kościoła; trzeba żeby tylko rząd zapobiegł kradzieży tafel miedzianych, a ksiądz proboszcz pobije tymczasem słomą Loret, żeby nie ciekło w czasie nabożeństwa. Gorąco biskupa popierał ksiądz Filipowicz. Wywodził, że Loret

dobry na skład rzeczy kościelnych, ale nie na parafiją. Lud bowiem, który na nabożeństwo przychodzi do kościoła, gruppuje się aż w cztery kolumny jak miejscowość pozwoli, ale kolumny te wcale się z sobą nie widzą i dla księdza u ołtarza trzy grupy są także niewidzialne. Lud jak lud, potrzebuje widzieć obrzędy i wystawę, bo się nie umie modlić w skrytości serca; napatrzeć się wolałby i dla tego w Lorecie potrzebaby dla niego aż czterech właściwie księży.

Na takie silne przedstawienia, które Zambrzycki ciągle ponawiał, nastąpiło wreszcie zezwolenie prezydującego podówczas w wydziale oświecenia narodowego i spraw wewnętrznych (23 września 1815 roku). Postanowiono zbudować kościół dla Pragi, a prezydent miasta z biskupem, mieli opatrzyć stosowne do tego miejsce; na zimę zaś następną, nabożeństwo odprawiać kazano jeszcze w Lorecie, ale bez odjęcia miedzianego dachu. Obok kościoła plebanija i wielkie gospodarskie budynki miały stanąć. Anszlag na tymczasową naprawę Loretu czynił jednak wiele, bo 14,163 złp. i gr. 20. Podniesiono go później do summy złp. 22,488. Kaplica tak okropnie zepsuta była, że na miesiąc przed tą decyzją zamknięto ją wskutek rapportu budowniczego i kommissarza policyi (5 sierpnia), co dało powód do nowych utyskiwań ze strony biskupa.

Rychło zapomniano nawet zupełnie o tych zabiegach poczynionych Zambrzyckiego, który gorliwie jednak dla dobra parafii pragskiej pracował; sam własną ręką pisał wszystkie przedstawienia i sam je pięknie redagował. Rzeczywiście myśl jego najpraktyczniejszą była; żałowano większego nakładu od razu, a masy pieniędzy wrzucono w codzienne naprawy kaplicy. Zdjęto z niej dach na wiosnę 1816 r., a w maju przystąpiono do nowej naprawy. Zambrzycki widząc, że odwleka się rzecz główna, znowu upominał się śmiało za Pragą, ale rychło ustąpił władzy; nastały nowe rządy, nowe widoki i co chwila zmieniała się u steru drzymiąca władza duchowna. Ksiądz Wołowicz

zapomniał, Holłowczyc ani myślał. Tylko w roku 1821 jeszcze, kiedy regulowano Pragę i nowe dla jój przyszłości nakreślano plany, jak się miała rozrastać, postanowiono, że wypada na przedmieściu tém dźwignąć dwa kościoły. Z tego powodu minister wyznań pytał się arcybiskupa, czy w istocie byłby potrzebny dla Pragi drugi dom Boży w razie, gdyby Loret się został i gdyby kościół parafijalny zmurowano? Drugie drażliwsze pytanie było, jakieby na to znaleźć można fundusze? (10 września). W roku 1829, przyznano proboszczowi pragskiemu złp. 16,859, wynagrodzenia za kościół zniesiony w roku 1807.

Teraz słów kilka o ks. Aloizym Filipowiczu. Byłto mąż cnotliwy, gorliwy i uczony. Z profesora i vice-regensa seminarjum administrator pragski od 11 listopada 1813 r., proboszcz od 11 maja 1814 r. instalowany 21 maja. Nie wziął kościoła ale ruiny w Lorecie i w gospodarstwie. Gruntów połowę zajął sąsiad, a dowodów na nie ksiądz nie znalazł. Aparata i papiery były w Bujnowku opieczętowane. Dziesięcin nikt nie płacił, bo zniechęcenie ogólne panowało, a jednak główny fundusz proboszcza tutejszego stanowiły dziesięciny. W pierwszych latach czterysta tylko złotych miał ksiądz dochodu. Zakrystyją najuboższą wziął w świecie, sam ją ocenił ledwie na sto złotych. Pierwsze cztery ornaty, które zaraz dostał, najpierwszą były sprzętu kościelnego zapomoga. Nawet puszka do Najświętszego Sakramentu była szklanna. Kurczył się ksiądz, bo rozchód wynosił dziesięć razy więcej jak dochód. Podatki od lat dawnych zalegały, a trzeba je było zapłacić. Żadnych nie było dokumentów i erekcyi. Nie chciał się ksiądz wdawać w procesa, żeby nie zniechęcać od razu parafijan. Myślał długo, wreszcie dla podniesienia kościoła podał projekt biskupowi vice-administratorowi (11 lipca 1814 r.). Chciał, żeby mu pozwolono sprzedać blachę miedzianą z Loretu, miał już nawet na nią kupca: na siebie proboszcz brał cały kłopot o naprawę kaplicy tak, że obiecywał nie naprzykrzać się w niczém rządowi, który z ko-

lei po biskupach plockich został podawcą (kollatorem) kościoła. Zambrzycki wiedział kogo wybierał do Pragi. W istocie całe życie swoje ks. Filipowicz parafii poświęcił, która po długich latach nierządu, teraz dopiero za niego zaczęła się urządzać na nowo. Nie dali mu naprawiać Loretu, sami naprawiali; ksiądz tylko wołał, popędzał, przyspieszał, w ład wprowadzał. A wiele przeszkód spotykał po drodze. Na samym wstępie spory z wikaryuszami, których popierało miasto i forytowało na proboszczów, niepokoiły Filipowicza. Potém spory bractw Matki Najświętszej Bolesnej i różańcowego. Pierwsze było u bernardynów i przeniosło się pierwsze do Loretu, a nawet można powiedzieć ocaliło kaplicę, utrzymując w niej przez jakiś czas ład i ołtarze, gdy żadnych funduszy nie dostarczała na to skarbnica proboszcza. Aż w lat kilka ocknęło się bractwo różańcowe, któremu się przyśniło, że musi stowarzyszenie Matki Bolesnej wielkie posiadać zbiory; więc wybudowawszy swój ołtarz w Lorecie, podniosło się i żądało jako bractwo parafijalne pierwszeństwa. Spory te wybuchły głównie w roku 1814. Nadludzkich starań użył Filipowicz. Za czterech księży proboszcz z wikarym we dwóch razem pracowali i wystarczali wszystkiemu. W roku 1816 ludność Pragi wynosiła osób 1877, a we wsiach było mieszkańców 1093, razem 2970. W roku 1831 podniosła się do 5738, potém znowu się zniżyła; dzisiaj wynosi przeszło 3000.

Zdolności ks. Filipowicza i na inném miejscu chlubnie błyszczały. Powołano go na urząd rejensa seminarjum ś-go Jana. Urząd ten przy pracy parafijalnej przez lat kilka piastował. Przeprowadził do porządku i tego zakładu fundusze, a łagodnością i spokojnym charakterem ujmował sobie wszystkich i uczniów i parafijan. Dla tego był ks. Filipowicz dziekanem pragskim, kanonikiem honorowym, wreszcie w r. 1826, znajdował się pomiędzy kandydatami do otrzymania kanonii metropolitalnej. Był czas, że spracowany chciał zawczasu się usunąć i władza już myślała postawić za niego w parafii zastępcę (1831 r.). Ale wytrwał,

i dopiero w dniu śmierci t. j. 21 stycznia 1843 rozstał się ze swoją parafją. Człowiek niestary, bo narodzony w r. 1785, miał dopiero 58 lat życia, a 35 kapłaństwa.

Następcą Filipowicza jest dzisiejszy proboszcz, ksiądz Stanisław Zwoleński, narodzony 22 listopada 1804 r., a wyświęcony 1827; był najprzód wikarym przy kościele metropolitalnym w Warszawie. Proboszczem pragskim mianowany przez Radę Administracyjną 14 lutego 1843 r., kanonik honorowy plocki, sędzia apostolski II^{ej} instancyi, był również przez lat kilka sędzią surogatem w konsystorzu metropolitalnym do 5 września 1853. Na ostatniej promocyi kanoników, dnia 10 marca 1857 r. mianowany trzecim kanonikiem metropolitalnym warszawskim.

Za niego przystapiono do przerobienia jeszcze raz tego dawnego domu Bożego, do którego się schroniło nabożeństwo parafjalne, to jest Loretu. Ale dzisiaj właściwie nie jest to już Loret, tylko pamiątka po nim; Loret był bernardyński, sprawiedliwie zatem przeniósł się zupełnie do Warszawy i jako kaplica przywiązał się do murów kościoła bernardyńskiego. Pragski kościółek już to pół wieku blisko, jak nosi godność, do której nie był nigdy przeznaczony. W roku 1853, dano mu więcej pozor kościoła, nie zaś kaplicy, bo postawiono wieżę nową i dach pokryto. Attyka przy główném wejściu zmieniła swój dawny kształt budowy i wewnętrzne urządzenie kościoła, ma więc wygodę parafijan na celu; kaplica jednak będąca w środku, to jest dawny właściwy Loret, został nietknięty, i chociaż już nie ma w sobie dawnych świętości, jest zawsze wielce szanownym dwu-wiekowym zabytkiem i pamiątką.

K O N I E C .



SPIS KOŚCIOŁÓW.

	Strona.
Kościół katedralny świętego Jana	5
Kościół parafjalny Panny Maryi	28
Kościół parafjalny świętego Krzyża	44
✓ Kościół świętego Marcina Augustyjanów	63
Kościół świętej Anny Bernardynów	79
✓ Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Panny Księży Karmelitów Bosych	112
Kościół Księży Pijarów	127
Kościół Po-Pauliński świętego Ducha	149
Kościół świętego Jacka Księży Dominikanów	171
Kościół świętego Franciszka Serafickiego Księży Franciszkanów	202
Kościół Przemienienia Pańskiego OO. Kapucynów	214
✓ Kościół Braci Miłosierdzia, czyli Księży Bonifratrów	233
✓ Kościół Opieki świętego Józefa Panien Wizytek	238
Kościół świętego Antoniego z Padwy Księży Reformatów	261
Kościół świętego Jędrzeja Kanoniczek	277
Kościół świętej Trójcy Księży Trynitarzy	285
Kościół Wniebowzięcia N. P. Maryi Księży Bazylijanów	296
✓ Kościół świętego Razimierza Panien Sakramentek	301
✓ Kościół świętego Razimierza Siost Miłosierdzia	317
✓ Kościół Narodzenia Matki Boskiej, Księży Karmelitów Trzewiezkowych	323
Kościół parafjalny świętego Aleksandra	331
Kościół świętego Karola Boromeusza	346
Kościół świętego Karola (na Powązkach)	353
Kościół parafjalny (na Pradze)	360

12.152

£

250. -

of 5087

14/VI 55

POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA



L. inw.

28695

Kdn. Zar. 480/55 20.000

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000299955